

Twórca bestsellerowych thrillerów:
OFICERA I SZPIEGA, ENIGMY i AUTORA WIDMO

WIELKA UCIECZKA

ZABILI KRÓLA ANGLII.
JAKĄ CENĘ BĘDĄ MUSIELI
ZAPŁACIĆ?



ALBATROS

JEDNA Z NAJLEPSZYCH POWIEŚCI HISTORYCZNYCH 2022 ROKU WEDŁUG
„NEW YORK TIMESA”.

HARRIS PO RAZ KOLEJNY UDOWADNIA, ZE HISTORIA MOŻE BYĆ
DOSKONAŁYM MATERIAŁEM NA THRILLER.

Opowieść o desperackiej ucieczce dwóch mężczyzn i zacieklej pościgu człowieka
ogarniętego obsesją.

O fanatyzmie, podzielonym narodzie i cenie, jaką płaci się za władzę.

Rok 1649

Król Karol I zostaje skazany przez sąd angielskiego parlamentu na śmierć.

Rok 1660

Powrót z wygnania Karola II, syna zabitego króla, kończy jedenastoletni okres
republikańskich rządów. Zaczyna się polowanie na pięćdziesięciu dziewięciu
mężczyzn, którzy podpisali rozkaz wykonania wyroku na jego ojcu. Uznani za
królobójców, jeden po drugim są wyłapywani i poddawani okrutnym publicznym
egzekucjom.

Dwóm pułkownikom – Edwardowi Whalleyowi i Williamowi Goe’owi – udaje się
uciec i znaleźć schronienie w Ameryce. Nie na długo jednak, bo odpowiedzialny za
schwywanie ukrywających się królobójców Richard Nayler ma własne powody, by
ścigać ich jeszcze zacieklej niż pozostałych. Nawet Atlantyk nie będzie dla niego
przeszkodą, by ich dopaść. Żywych lub martwych.

ROBERT
HARRIS

WIELKA
UCIECZKA

Z angielskiego przełożył
Janusz Ochab

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

ROBERT HARRIS

Brytyjski pisarz i dziennikarz; pracował m.in. dla BBC i jako komentator polityczny dla „The Observer”. Autor kilku książek popularnonaukowych, ale przede wszystkim piętnastu przetłumaczonych na czterdzieści języków powieści. Są wśród nich thrillery – m.in. *Vaterland*, *Enigma*, *Archangielsk*, *Autor widmo*, *Monachium*, *Drugi sen*, *V2* (pierwszych pięć zostało sfilmowanych) – a także powieści historyczne z elementami sensacji – *Oficer i szpieg* (kolejna po *Autorze widmo* powieść zaadaptowana przez Romana Polańskiego) oraz „Trylogia rzymska”, w której ukazały się *Cycero*, *Spisek* i *Dyktator*.

Niedawno na platformie Netflix pojawił się film na podstawie książki Harrisa *Monachium*. W rolę premiera Wielkiej Brytanii, Neville’a Chamberlaina, wcielił się w nim Jeremy Irons.

Tego autora

VATERLAND

ENIGMA

ARCHANGIELSK

POMPEJE

AUTOR WIDMO

INDEKS STRACHU

OFICER I SZPIEG

KONKLAWIE

MONACHIUM

DRUGI SEN

V2

WIELKA UCIECZKA

Trylogia rzymska

CYCERO

SPISEK

DYKTATOR

Tytuł oryginału:
ACT OF OBLIVION

Copyright © Canal K 2022

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Glen O'Neill

Projekt okładki polskiej: Agnieszka Drabek

Zdjęcia na okładce: Getty Images (*konie i wilki*); Colin Thomas (*postacie*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Marcin Kośka

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

OD AUTORA

Dramatis Personae

CZĘŚĆ PIERWSZA. Polowanie. 1660

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

CZĘŚĆ DRUGA. Pościg. 1661

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

CZĘŚĆ TRZECIA. W ukryciu. 1662

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

CZĘŚĆ CZWARTA. Śmierć. 1674

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Podziękowania

Dla Gill

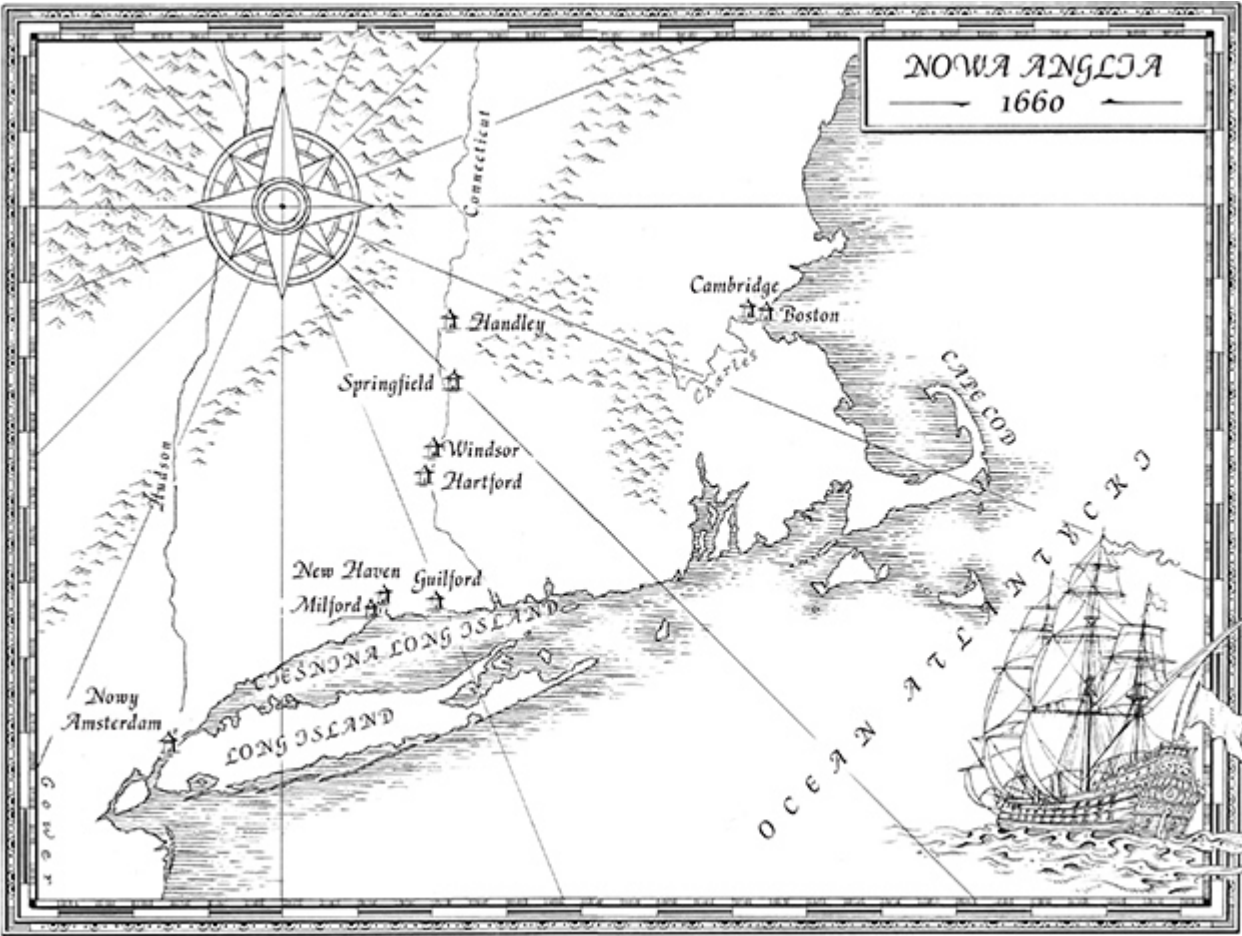
OD AUTORA

Niniejsza powieść jest autorską rekonstrukcją prawdziwej historii: polowania na „królobójców”, czyli sygnatariuszy wyroku śmierci na króla Karola I. Była to największa tego typu akcja w XVII wieku – zwłaszcza pościg za Edwardem Whalleyem i Williamem Goffe’em przez Nową Anglię. Zdarzenia, daty i miejsca są rzeczywiste, podobnie jak prawie wszystkie postacie, z wyjątkiem Richarda Naylera, którego musiałem wymyślić: skoro mamy łowy, musi być i łowca.

Starłem się trzymać uznanych powszechnie faktów, odkryłem nawet kilka dotąd nieznanych, jak datę i miejsce urodzenia Goffe’a czy tożsamość drugiej żony Whalleya. Przede wszystkim jednak jest to powieść, a czytelnicy, którzy zechcą bliżej zapoznać się z tą historią, znajdą w podziękowaniach listę źródeł.

Robert Harris

20 czerwca 2022



Dramatis Personae

UCIEKINIERY

Pułkownik Edward Whalley

Pułkownik William Goffe

MASSACHUSETTS

Daniel Gookin – osadnik z Cambridge

Mary Gookin – żona Daniela Gookina

Mary, Elizabeth, Daniel, Samuel, Nathaniel – dzieci Gookinów

John Endecott – gubernator kolonii Massachusetts

Jonathan Mitchell – pastor z Cambridge

John Norton – pastor Pierwszego Kościoła w Bostonie

Thomas Breedon – bostoński kupiec, kapitan statku, rojalista

Thomas Kellond – właściciel statku, rojalista

Kapitan Thomas Kirke – rojalista

John Chapin – przewodnik Naylera

John Stewart, William Mackwater, Niven Agnew, John Ross – Szkoci,
członkowie grupy pościgowej Naylera

John Dixwell – jeden z królobójców

NEW HAVEN

John Davenport – pastor i współzałożyciel New Haven

Nicholas Street – pomocnik pastora Davenporta i nauczyciel w szkole w New Haven

William Jones – mieszkaniec New Haven

Hannah Jones – żona Williama Jonesa
William Leete – gubernator New Haven
Dennis Crampton – mieszkaniec New Haven
Richard Sperry – farmer

CONNECTICUT

John Winthrop – gubernator Connecticut
Simon Lobdell – przewodnik uciekinierów
Micah Tomkins – właściciel sklepu w Milfordzie
Kapitan Thomas Bull – purytanin z Hartfordu
John Russell – pastor w Hadley

LONDYN

Richard Nayler – urzędnik Tajnej Rady Królewskiej
Katherine Whalley – żona Edwarda Whalleya
Frances Goffe – żona Williama Goffe'a, córka Edwarda Whalleya
Frankie, Betty, Nan, Judith, Richard – dzieci Goffe'ów
William Hooke – pastor, szwagier Edwarda Whalleya
Jane Hooke – żona Williama Hooke'a, siostra Edwarda Whalleya
Pułkownik Hacker – były dowódca straży króla Karola I
Isabelle Hacker – żona pułkownika Hackera
Sir Edward Hyde (później hrabia Clarendonu) – lord kanclerz
Sir William Morice – sekretarz stanu
Sir Arthur Annesley i sir Anthony Ashley-Cooper – członkowie Tajnej Rady Królewskiej
Barbara Palmer (później lady Castlemaine) – kochanka króla Karola II
Samuel Nokes – sekretarz Naylera
Książę Yorku – młodszy brat króla Karola II
Samuel Wilson – kupiec

EUROPA KONTYNENTALNA

Sir George Downing – ambasador Anglii w Hadze

Sir John Barkstead, John Dixwell, pułkownik John Okey, Miles Corbet, Edmund Ludlow – ścigani za podpisanie rozkazu wykonania wyroku na królu Karolu I

James Fitz Edmond Cotter, Miles Crowley, John Rierdan – irlandzcy zamachowcy, rojaliści

Sir John Lisle – prawnik, jeden z organizatorów procesu króla Karola I

WOJNA DOMOWA

Oliver Cromwell – kuzyn Edwarda Whalleya

Henry Ireton – zięć Olivera Cromwella

General Fairfax – dowódca armii parlamentu

George Joyce – oficer, który aresztował króla Karola I

John Bradshaw – przewodniczący sądu w procesie Karola I

John Cooke – oskarżyciel w procesie Karola I

Część pierwsza

POLOWANIE

1660

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdybyście latem 1660 roku wybrali się w liczącą cztery mile drogę z Bostonu do Cambridge w stanie Massachusetts, pierwszym domem, jaki ujrzelibyście po przekroczeniu rzeki Charles, byłby ten należący do Gookinów. Stał na ogrodzonym podmokłym gruncie przy drodze na południowym krańcu niewielkiej osady, tuż za strumieniem, w połowie odległości między rzeką a College'em Harvarda – solidny piętrowy budynek z muru pruskiego ze strychem pod stromym spadzistym dachem, skąd rozciągał się szeroki widok na rzekę. Tego lata kolonia zajmowała się budową pierwszego mostu przez rzekę. W pobliżu pochylni, z której odpływał prom, wbijano w muliste dno grube drewniane pale. Przez senne letnie powietrze do domu niosły się stukot młotów, zgrzyt pił i krzyki robotników.

Tego dnia – w piątek dwudziestego siódmego lipca – drzwi stały otworem, a do furtki przybito kartkę ze sporządzonym dziecięcą ręką napisem *Witamy w domu*. Nieco wcześniej student przechodzący obok posiadłości przyniósł informację, że rano między Bostonem a Charlestown zacumował statek z Londynu, *Prudent Mary*. Wśród pasażerów znajdował się prawdopodobnie pan Daniel Gookin, właściciel domu, który wracał do Ameryki po dwuletniej nieobecności.

W domu, tak czy inaczej nieskazitelnie czystym, szybko zrobiono porządki, a dzieci wyszorowano i zmuszono do założenia najlepszych niedzielnych ubrań. Wczesnym popołudniem cała piątka czekała w salonie razem z panią Gookin: Mary, która miała dwadzieścia lat i otrzymała imię po matce, osiemnastoletnia Elizabeth oraz ich trzech młodsi bracia: dziesięcioletni Daniel, ośmioletni Samuel oraz czteroletni Nathaniel. Ten ostatni w ogóle nie pamiętał ojca i wiercił się niespokojnie na krześle.

Pani Gookin wiedziała, że przyczyną tego napięcia nie jest przymusowy pobyt w domu, lecz raczej perspektywa zobaczenia ojca. Wzięła najmłodszego syna na

kolana i głaskała go po głowie, opowiadając o mężczyźnie, który wkrótce wejdzie do domu – o jego dobroci i łagodności, o ważnej pracy dla rządu w Londynie, dokąd wezwał go sam lord protektor.

– Ojciec cię kocha, Nat, a Bóg już dopilnuje, żebyś i ty go pokochał.

– Kto to jest lord protektor? – spytał chłopczyk.

– Protektor – poprawiła go matka. – Władca Anglii i Ameryki. Nazywaliśmy go tak, bo nas chronił.

– Jak król?

– Tak, jak król, tylko lepszy, bo wybrany przez parlament. Ale lord protektor już nie żyje. Dlatego twój ojciec wraca do domu.

Nathaniel otworzył szerzej oczy.

– Jeśli protektor nie żyje, to kto nas będzie chronił?

To samo pytanie zadawały sobie najtęższe umysły w Anglii i pani Gookin nie potrafiła udzielić na nie odpowiedzi. Zwróciła się więc ponad głową synka do najstarszej córki:

– Mary, idź, proszę, na strych i zobacz, czy ojciec już nie nadchodzi.

Dziewczyna pobiegła na górę i wróciła minutę później z wiadomością, że prom wciąż cumuje przy przeciwległym brzegu rzeki, a na drodze nikogo nie ma.

Potem dzieci na zmianę wychodziły co kwadrans na strych, by sprawdzić, co dzieje się na rzece i drodze, i za każdym razem wracały z tą samą odpowiedzią. W umyśle pani Gookin zaczęło się rodzić straszne podejrzenie, że mąż jednak nie wróci do domu – że statek nie dopłynął do Ameryki albo że dopłynął, ale jej męża na nim nie było. Być może w ogóle nie wsiadł w Anglii na pokład albo podczas rejsu spotkało go jakieś nieszczęście. Owinięte całunem ciało, krótka modlitwa, obciążone zwłoki zsuwające się głową prosto w morskie fale. Podczas ich rejsu z Anglii przed dwudziestu laty coś takiego zdarzyło się dwukrotnie.

– Chłopcy, możecie wyjść na zewnątrz i tam poczekać – powiedziała.

Nathaniel zsunął się z jej kolan i wszyscy trzej popędzili do drzwi niczym koty wypuszczone z worka.

– Ale nie pobrudźcie ubrań!

Dziewczyny pozostały na swoich miejscach.

– Na pewno nie ma się czym martwić, mamó – odezwała się Mary, która bardziej niż siostra przypominała rozsądną i powściągliwą matkę i przez ostatnie dwa lata odgrywała w gospodarstwie rolę mężczyzny. – Bóg z pewnością miał go w opiece.

Elizabeth – ładniejsza, wiecznie narzekająca na swoje obowiązki domowe – wybuchła ze złością:

– Przecież minęło już chyba z siedem godzin, odkąd przyplłynął statek, a z Bostonu jest tylko godzina drogi.

– Nie krytykuj ojca – upomniała ją pani Gookin. – Jeśli się spóźnia, to na pewno ma ku temu ważne powody.

– Ktoś tu płynie! – zawołał z zewnątrz Daniel kilka minut później.

Matka i córki wyszły pospiesznie na podwórze, a stamtąd przez furtkę na pożłobione koleinami zaschnięte błoto na drodze. Pani Gookin patrzyła spod przymrużonych powiek w stronę rzeki. Od czasu wyjazdu męża jej wzrok się pogorszył. Widziała jedynie ciemną sylwetkę promu, przypominającą wodnego żuka sunącego przez jasną wstęgę wody.

– To wóz! – zawołali chłopcy. – To wóz! To tata na wozie!

Popędzili drogą na spotkanie promu. Nathaniel musiał szybko przebierać krótkimi nóżkami, by dotrzymać kroku braciom.

– To naprawdę on? – spytała pani Gookin, bezskutecznie wyteżając wzrok.

– To on – potwierdziła Elizabeth. – Popatrz! Macha do nas!

– Och, Bogu dzięki! – Jej matka osunęła się na kolana. – Bogu dzięki!

– Tak, to on – rzuciła Mary, osłaniając dłonią oczy przed słońcem, po czym dodała ze zdziwieniem: – Ale jest z nim dwóch mężczyzn.



Gdy chwilę później cała rodzina utonęła w uściskach, wymieniano pocałunki, śmiano się i płakano, podrzucano dzieci wysoko w górę i obracano je na wszystkie strony, początkowo nikt nie zwracał uwagi na dwóch nieznanym mężczyzn, którzy przez cały czas siedzieli na tyłach wozu pośród bagaży.

Daniel Gookin posadził sobie Nathaniela na ramionach, wziął Dana i Sama pod pachy i przez chwilę biegał po podwórku, rozganiając wystraszone kurczaki, a potem zajął się piszczącymi córkami. Ich matka zdążyła już zapomnieć, jak wysoki jest jej mąż, jak przystojny i silny. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

W końcu Daniel postawił na ziemi rozradowane dziewczęta, objął żonę w pasie i wyszeptał:

– Są tu ludzie, których musisz poznać; nie obawiaj się. – Pchnął ją łagodnie w stronę wozu. – Panowie, całkiem zapomniałem o dobrych manierach. Pozwólcie, że przedstawię wam moją żonę, prawdziwą roztrofną¹ Mary, istotę z krwi i kości.

Ku pani Gookin zwróciły się dwie brodate ogorzałe twarze. Przybysze unieśli w pozdrowieniu kapelusze, odsłaniając zmierzwione długie włosy. Obaj nosili płaszcze z bawolej skóry, oblepione warstwą soli, i obtarte brązowe buty z wysokimi cholewami. Kiedy się uklonili, dość sztywno, gruba skóra zaskrzypiała, a Mary wyczuła woń morza, potu i pleśni, jakby mężczyzn wyłowiono z dna Atlantyku.

– Mary, to moi dobrzy przyjaciele i towarzysze podróży, pułkownik Edward Whalley i jego zięć, pułkownik William Goffe.

– Miło nam panią poznać – powiedział Whalley.

Kobieta uśmiechnęła się wymuszenie i zerknęła na męża – dwóch pułkowników? – lecz ten odsunął się od niej i pomagał gościom zejść z wozu. Zauważyła, że traktuje ich z wielkim szacunkiem. Kiedy stanęli na ziemi po wielu tygodniach spędzonych na morzu, obaj zachwiali się lekko, parsknęli śmiechem i przytrzymali się nawzajem. Dzieci gapiły się na nich z otwartymi ustami.

– Podziękujemy wszyscy za szczęśliwe przybycie – odezwał się pułkownik Goffe, ten młodszy, z lekkim melodyjnym zaśpiewem. Pod jego brodą kryła się

przystojna, inteligentna i pobożna twarz. Rozłożył ręce, odwracając wnętrze dłoni do góry, i podniósł oczy ku niebu.

Gookinowie oderwali od niego zafascynowane spojrzenia i pochylili głowy.

– Wspomnijmy psalm sto siódmy. *Niech dzięki czynią Panu za Jego łaskawość, za Jego cuda dla synów ludzkich!*² *Ci, którzy na statkach ruszyli na morze, aby uprawiać handel na ogromnych wodach, ci widzieli dzieła Pana i Jego cuda wśród głębin*³. Amen.

– Amen.

– A kogóż my tu mamy? – spytał pułkownik Whalley. Przechodząc wzdłuż szeregu dzieci, pytał je o imiona. Potem wskazywał na każde po kolei. – Mary. Elizabeth. Daniel. Sam. Nathaniel. Bardzo dobrze. Ja jestem Ned, a to jest Will.

– Znał pan lorda proterkota, Ned? – odezwał się Nathaniel.

– Znałem, bardzo dobrze.

– Wie pan, że on nie żyje?

– Ciii... – upomniała chłopca matka.

– Tak, Nathanielu, nie żyje – odpowiedział ze smutkiem Ned. – Wielka szkoda. Zapadła cisza.

Po chwili Daniel Gookin klasnął w dłonie.

– Chłopcy, przynieście bagaże panów pułkowników.

Do tego momentu Mary Gookin łudziła się nadzieją, że mąż tylko podwiózł tych dwóch wojskowych. Teraz, gdy patrzyła, jak zdejmują z wozu bagaże i podają je chłopcom, poczuła irytację i rozczarowanie. Z pewnością nie tak wyobrażała sobie powrót męża – nie w towarzystwie dwóch angielskich oficerów, których będzie musiała zakwaterować i karmić.

– Gdzie ich położymy, Danielu? – spytała cicho, by jej nie usłyszeli. Nie patrzyła przy tym na męża, bo tak łatwiej przychodziło jej zapanować nad złością.

– Chłopcy mogą im oddać swoje łóżka i spać na dole.

– Jak długo tu zostaną?

– Tak długo, jak będzie to konieczne.

– Czyli? Dzień? Miesiąc? Rok?

– Nie wiem.

– Dlaczego tutaj? W Bostonie nie było pokoi do wynajęcia? Panowie pułkownicy są za biedni, żeby opłacić sobie nocleg?

– Gubernator uważa, że Cambridge to bezpieczniejsze miejsce niż Boston.

Bezpieczniejsze...

– Rozmawiałeś z gubernatorem o ich zakwaterowaniu?

– Spędziliśmy z nim pół dnia. Zaprosił nas na obiad.

Więc dlatego droga z Bostonu zajęła mu tyle czasu. Spojrzała na chłopców uginających się pod ciężarem wielkich kufków, a potem na pułkowników, którzy szli za nimi w stronę domu i rozmawiali z dziewczętami. Do irytacji i rozczarowania, które wypełniały jej serce, dołączyło nagle coś znacznie gorszego: strach.

– A dlaczego... – zaczęła z wahaniem. – Dlaczego gubernator uważa, że w Cambridge jest bezpieczniej niż w Bostonie?

– Bo w Bostonie roi się od łajdaków i rojalistów, a tu będą wśród bogobożnych ludzi.

– Więc oni nie są zwykłymi gośćmi z Anglii, tylko... zbiegami?

Daniel milczał.

– Przed czym uciekają? – spytała go żona.

Nie spieszył się z odpowiedzią. Odezwał się dopiero wtedy, gdy dwaj mężczyźni zniknęli we wnętrzu domu.

– Zabili króla – powiedział cicho.

¹ *Prudent* (ang.) – roztropny; aluzja do statku *Prudent Mary*.

² Biblia Tysiąclecia, Ps 107, 23-24 (pozostałe cytaty również z Biblii Tysiąclecia).

³ Ps 107, 31.

ROZDZIAŁ DRUGI

W Anglii była już niemal dziewiąta wieczorem; właśnie zachodziło słońce. Isabelle Hacker w prostej niebieskiej sukni kwaków, pokrytej brązowym pyłem drogi, na której spędziła ostatnie dwa dni, wjeżdżała właśnie do rodzinnej osady Stathern w hrabstwie Leicester.

Towarzyszył jej jadący tuż za nią mężczyzna. Jego bliskość działała jej na nerwy. Podobnie jak jego milczenie. Podążał za nią na północ od samego Londynu. Nawet gdy zatrzymali się na nocleg, wypowiedział zaledwie kilka słów. Wiedziała, że w kieszeni wiezie nakaz wydany trzy dni wcześniej przez Izbę Lordów. Pokazał go, gdy zapukał do jej drzwi w Londynie. *Niniejszym nakazuje się, by pułkownik Hacker niezwłocznie wysłał żonę do swojego domu na prowincji po rzeczony dokument. Nakazuje się również, by reprezentujący Izbę Lordów pan Usher wysłał z nią swojego przedstawiciela.*

– Ja jestem tym przedstawicielem – oświadczył mężczyzna.

Isabelle Hacker od razu zgodziła się pojechać z nim na wieś. Była gotowa zrobić wszystko, by pomóc mężowi uwięzionemu w Tower i podejrzanemu o zdradę, za którą karano śmiercią, zadawaną w sposób budzący trudną do zniesienia grozę: skazańca najpierw wieszano tak, by stracił przytomność, następnie odcinano go, cucono, kastrowano, wypruwano wnętrzności – które rozciągano i palono na oczach wciąż żyjącej ofiary – po czym ścinano mu głowę, a ciało rozcinano na cztery części i wystawiano je na widok publiczny. Taka kaźń wydawała się niewyobrażalna, a mimo to Isabelle nieustannie zadręczała się myślami o tym, co może czekać jej męża. Najgorsza wydawała się świadomość, że nieszczęśnik opuści ten świat w straszliwych cierpieniach, a ona nie będzie nawet mogła złożyć jego ciała do grobu.

Pożegnała się z dziećmi i godzinę później oboje byli już w drodze. Obserwując ukradkiem towarzyszącego jej mężczyznę, doszła do wniosku, że ma około czterdziestki – kilka lat mniej niż ona – i że prawdopodobnie był kiedyś ranny lub doznał urazu przy porodzie, bo ledwie dostrzegalnie utykał. Był barczysty, miał krótkie nogi, a kiedy już się odzywał, robił to zaskakująco cichym głosem. Powiedział jej, że nazywa się Richard Nayler. Domyśliła się, że jest urzędnikiem pracującym dla Tajnej Rady Królewskiej. Dobrze jeździł konno. Poza tym nie mogła o nim powiedzieć nic więcej.

Kończący się dzień był gorący, a wieczorem niewiele się ochłodziło. Kilku mieszkańców wioski przechadzało się drogą lub wystawało przy bramach domów. Usłyszawszy stukot kopyt, spoglądali na drogę, a potem szybko odwracali wzrok. Mężczyźni, którzy miesiąc temu zdejmowali przed nią kapelusz i gięli się w ukłonach, teraz byli zbyt wystraszeni, by w jakikolwiek sposób zareagować na jej obecność. Isabelle Hacker była co prawda pobożną kwakierką i dziedziczką, ale także żoną spiskowca. Patrzyła dziś na tych ludzi z nieskrywaną pogardą.

Stathern Hall, największy dom w osadzie, stał niedaleko kościoła Świętego Gutlaka. Właśnie cicho ostatnie – dziewiąte – uderzenie dzwonu wybijającego godzinę, gdy Isabelle skręciła z drogi i przejechała przez otwartą bramę. Od razu zauważyła, że w ciągu kilku ostatnich tygodni, kiedy szukała wsparcia dla męża, ogród warzywny zarósł chwastami. Trawę w sadzie przydałoby się skosić. W gęstniejącym mroku dom wydawał się posępny i opuszczony.

Gdy wierzchołek Isabelle zatrzymał się przed frontem domu, zeskoczyła na ziemię, przywiązała zwierzę do żelaznej poręczy przy wejściu, po czym nie patrząc na Naylera, wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła ciężkie drzwi. Chciała jak najszybciej pozbyć się tego człowieka.

Przeszła po kamiennej podłodze i zawołała służbę, lecz jej głos odbił się tylko echem w pustym domu. Wyglądało na to, że nawet służący uciekli. W holu nagle pociemniało, gdy w drzwiach za jej plecami stanął Nayler. Kiedy szła do gabinetu męża, podążał za nią szybkim krokiem. Prawdopodobnie chciał mieć pewność, że kobieta nie zniszczy dokumentu, po który tu przyjechali. W gabinecie panowała

duchota. W koronach drzew za witrażowymi oknami śpiewały słowiki. Isabelle dobyła z szuflady małą kasetkę, wyjęła z niej klucz i uklękła przed sejfem. Nigdy nie czytała tego dokumentu, ale wiedziała, jak wygląda. Odda go, uratuje Francisę przed męczarnią i pozbędzie się niechcianego towarzysza.



Aż do tej chwili Nayler wolał nie łudzić się nadzieją, że dokument wciąż istnieje. Nikt nie widział go od jedenastu lat. Wiedział z doświadczenia, że zdesperowani ludzie zrobią wszystko, by kupić sobie trochę czasu – a pułkownik Hacker był w naprawdę beznadziejnym położeniu. Jego żona, zwrócona do Naylera wąskimi plecami, przerzucała ukryte w sejfie akty własności, rachunki i inne papiery, aż w końcu wyciągnęła rulonik i powoli się podniosła.

Zakładał, że jeśli dokument rzeczywiście istnieje, to jest to wielki – proporcjonalnie do wymiaru zbrodni – arkusz pergaminu, jak te z ustawami parlamentarnymi. Tymczasem kobieta podała mu przewiązany postrzępioną czarną wstążką mały rulon długości najwyżej ośmiu cali, jakby to była umowa sprzedaży konia czy rachunek za beczkę wina. Był jednak obiecująco ciężki jak na swoje rozmiary. Pergamin, nie papier. Nayler przeniósł go do okna i w nikłym świetle rozwiązał wstążkę. Rozwinął arkusz, którego dłuższy bok miał jakieś siedemnaście cali. Pisemny rozkaz wykonania wyroku śmierci na Karolu Stuarcie, królu Anglii, Szkocji i Irlandii, wręczony przez samego Olivera Cromwella pułkownikowi Francisowi Hackerowi, dowódcy wojsk strzegących króla w dniu egzekucji Jego Wysokości.

Gdy Nayler położył arkusz na biurku, pergamin natychmiast zwinął się w rulon, niczym wąż broniący się przed wrogiem. Mężczyzna usiadł, zdjął kapelusz, położył go z boku biurka i wytarł ręce w kaftan.

– Jakież światło, gdyby była pani tak uprzejma.

Isabelle Hacker poszła do holu, gdzie w komodzie trzymano świece. Potrzebowała sporo czasu, by drżącymi rękami skrzesać ogień. Kiedy wróciła do gabinetu, niosąc dwa świeczniki, Nayler siedział w tym samym miejscu i w takiej

samej pozie, w jakiej go zostawiła, nieruchomy niczym posąg na tle ciemniejącego okna. Postawiła świeczniki na blacie. Nie podziękowawszy jej ani słowem, mężczyzna przyciągnął je do siebie i rozwinął pergamin.

Z zaciekawieniem zauważył, że dokument jest pełen skreśleń i dopisków. Zastanawiał się, o czym to mogło świadczyć. Być może o pośpiechu? O zamieszaniu? O wątpliwościach? Zaczął czytać głośno jego treść, by dobrze ją zapamiętać, a nie przez wzgląd na kobietę, która uważnie mu się przyglądała.

– *Zważywszy na to, że Karol Stuart, król Anglii, został uznany za winnego zdrady stanu oraz innych zbrodni, a w minioną sobotę ten Sąd skazał go na karę śmierci przez oddzielenie głowy od ciała i wyroku tego jeszcze nie wykonano, z całą stanowczością rozkazuje się Wam dopilnować, by egzekucja odbyła się pod gołym niebem na ulicy przed Whitehall dnia jutrzejszego, czyli trzydziestego dnia miesiąca stycznia między godziną dziesiątą rano a piątą po południu...* – Te straszliwe i doniosłe słowa utkwily mu na moment w gardle. Musiał przerwać, by nabrać powietrza, i kontynuował: – *Niniejszy rozkaz w pełni Was do tego upoważnia. Jednocześnie nakazuje się, by wszyscy oficerowie, żołnierze i inni dobrzy Anglicy wspomagali Was w wykonaniu tego obowiązku. Co potwierdzamy naszymi podpisami i pieczęciami...* – Znow zrobił krótką pauzę. – A tutaj są nazwiska.

Przejrzał pobieżnie pięćdziesiąt kilka podpisów pod tekstem, ułożonych w siedmiu kolumnach. Obok nich widniały czerwone pieczęcie osób, które się podpisały, rozsiane po dokumencie niczym krople krwi.

– Ale nie ma wśród nich nazwiska mojego męża? – odezwała się kobieta.

Nayler znowu przeglądał listę nazwisk, zatrzymując się na moment przy niektórych. Gregory Clements. Edmund Ludlow. Thomas Harrison. William Goffe.

– Nie. On tego nie podpisał.

Głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Widzi pan, mówił prawdę. Nie należał do tych, którzy osądzili króla, i nie złożył podpisu pod wyrokiem śmierci.

– Owszem, ale tak czy inaczej, jest tu jego nazwisko. *Do pułkownika Francisza Hackera, pułkownika Huncksa i podpułkownika Phayre’a.* – Podsunął jej pergamin i wskazał miejsce. – Rozkaz jest adresowany przede wszystkim do pani męża i zapewne dlatego znalazł się w jego posiadaniu.

– Ale mój mąż był tylko żołnierzem – zaprotestowała. – Wykonywał rozkazy, nie wydawał ich.

– O tym zdecyduje sąd.

Nayler przysunął do siebie dokument na wypadek, gdyby kobieta próbowała mu go wyrwać. Hacker nadzorował egzekucję. Wina pułkownika była oczywista. A jego żona dała Naylerowi dowód – jakby wręczyła mu stryczek, na którym zawisnie jej mąż. Chyba właśnie zdała sobie z tego sprawę, bo blada jak ściana zachwiała się i oparła o biurko. Chciał się jej jak najszybciej pozbyć. Odegrała swoją rolę, a on chciał w spokoju uważniej obejrzeć dokument.

– Już późno, pani Hacker. Powinna pani udać się na spoczynek. – Zauważył sofę w rogu gabinetu. – Ja spędzę noc tutaj, jeśli pani pozwoli, i wyjadę o brzasku.

Kobieta nie mogła się pogodzić z tą klęską, nagłą i okrutną. Dwa dni jazdy tylko po to.

– Ale zrobiliśmy to, co nam nakazała Izba Lordów – powiedziała. – To też musi się jakoś liczyć.

– Nie mnie o tym decydować. Proponuję, żeby udała się pani na spoczynek i pomodliła za męża. – Jego usta wykrzywiły się w lekkim uśmiechu. – Cała reszta w rękach Boga, prawda?

Ileż to razy w ciągu ostatnich jedenastu lat słyszał tę świętoszkowatą formułkę? Ciekawe, czy teraz im się tak podoba.

Kobieta przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy. Temu człowiekowi nie wystarczało, że ścigał, więził i zabijał wrogów króla. Musiał jeszcze drwić z ich wiary. Ale diabeł w chwilach triumfu też jest z siebie dumny i niczego się nie wstydzi. Nayler patrzył na nią wyzywająco. W końcu odwróciła się, wyszła z gabinetu, poszła na górę do sypialni i osunęła się nieprzytomna na podłogę.



Choć miał za sobą długi i wyczerpujący dzień, Nayler nie czuł głodu ani pragnienia. Ten dokument był dla niego wystarczającą strawą. Usiadł przy biurku i ponownie go przeczytał. *...przez oddzielenie głowy od ciała... pod gołym niebem na ulicy przed Whitehall...* Te słowa wciąż go szokowały. Rozchylił kaftan, rozpiął koszulę i pochylił głowę, by zdjąć ramię, który nosił na szyi od jedenastu lat. Wisiał na nim niewielki woreczek, w którym krył się maleńki skrawek płótna poplamionego krwią. Obrócił go w palcach.

Doskonale pamiętał tamten zimowy dzień: wymknął się o brzasku z Essex House i smagany przenikliwym wiatrem od Tamizy, szedł pospiesznie Strandem, mijając wielkie rezydencje z widokiem na rzekę. Niósł ze sobą ukryty pod kaftanem pistolet i stary wojskowy nóż. Wszystko to wydawało mu się nierealne. Uciąć głowę koronowanego króla? Niemożliwe. Barbarzyństwo. Świątokradztwo. Nie zrobią tego. Albo nie zgodzi się na to generał Fairfax, zwolennik parlamentu, albo tysiące rojalistów ukrytych w mieście chwycą za broń, by do tego nie dopuścić. W razie potrzeby sam był gotowy poświęcić życie, by ratować swojego władcę.

Potem, gdy skręcił przy Charing Cross w stronę Whitehall, stracił wszelką nadzieję. Cóż to był za widok! Tłum zgromadzony na King Street z pewnością był wystarczająco liczny – pięćset lub sześćset osób – by wywołać zamieszki, ale żołnierzy było jeszcze więcej, co najmniej tysiąc: szeregi pikinierów stojących ramię w ramię i powstrzymujących ludzką ciżbę, a dalej kawaleria ustawiona pośrodku szerokiej arterii, gotowa powstrzymać każdego, kto próbowałby dotrzeć do szafotu. Przygotowane naprędce podwyższenie z desek, okryte czarną materią, przylegało do bocznej ściany Banqueting House. Od strony ulicy nie dostawiono tu żadnej drabiny; na szafot można było wejść tylko przez górne okno budynku. Jakiś zorganizowany umysł – wojskowy umysł – obmyślił to wszystko bardzo starannie.

Nayler przepychał się przez tłum w ponurej ciszy, pozbawionej choćby cienia świątecznego nastroju, jaki zwykle towarzyszył egzekucjom. Nawet najbardziej

radykalni republikanie, lewellerzy, łatwo rozpoznawalni dzięki turkusowym wstążkom przypiętym do kaftanów i kapeluszy, choć raz trzymali gęby na kłódkę. Przeciskał się przez milczącą cizbę wzdłuż muru oddzielającego Whitehall od Tilt Yard. Ludzie stali na nim lub siedzieli ze zwieszonymi nogami. Dostrzegł trochę wolnego miejsca i zażądał, by go tam wpuszczono, a gdy nikt się nie poruszył, złapał najbliższego mężczyznę za nogi i zagroził, że ściągnie go na ziemię, jeśli się nie przesunie. Nayler miał posturę zapaśnika, więc w końcu ludzie zrobili mu miejsce.

Kiedy stanął na murze, wysoko ponad głowami tłumu i żołnierzy, mógł przyjrzeć się lepiej szafotowi, oddalonemu o jakieś trzydzieści jardów. Okna Banqueting House zostały zabite deskami, z wyjątkiem jednego, na pierwszym piętrze, które prowadziło bezpośrednio na podwyższenie. Od czasu do czasu wychodził z niego oficer, przechadzał się wokół szafotu, lustrował wzrokiem zgromadzonych ludzi i żołnierzy, po czym wracał do ciepłego wnętrza i zamykał za sobą okno. Pośrodku podwyższenia znajdowało się pięć małych przedmiotów, których przeznaczenie nie od razu wydało się Naylerowi oczywiste. Jednym z nich był bardzo niski pniak, niewiele wyższy od ludzkiej dłoni. Po obu stronach pniaka znajdowały się dwie żelazne obręcze; druga para, ułożona tuż obok siebie, znajdowała się nieco dalej. Zapewne umieszczono je tam po to, by skrępować króla, gdyby ten się szarpał lub próbował podburzyć tłum, i ściąć go, kiedy będzie już leżał nieruchomo. Kolejny element starannie przemyślanego planu. Barbarzyństwo.

Choć wstał już dzień, wcale nie robiło się cieplej. Ukryte za chmurami słońce nie łagodziło mrozu; przenikliwy wiatr podnosił co jakiś czas kłęby śniegu, szare niebo, sprawiające wrażenie ciężkiego, napierało na dachy budynków. Zdawało się, że czas również zamarznął i stanął w miejscu. Nayler musiał trzymać ręce w kieszeniach i przestępować z nogi na nogę, by nie zdrętwieć z zimna. W końcu w oddalonym o pół mili na południe opactwie Westminster dzwon wybił dziewiątą. Stara rana na nodze Naylera bolała tak, jakby ktoś wbił nóż w kość. Jego umysł upodobnił się do nieba, wypełnił ponurą szarością; zostały tylko ból w nodze, ziąb

i strach. Minęła kolejna godzina. Odliczył dziesięć uderzeń zegara, a wkrótce potem usłyszał odległe bicie werbli, dochodzące gdzieś z tyłu, od strony St James's Park: powolny, pogrzebowy rytm. Po chwili werble ucichły.

Spojrzał na prawo, na Holbein Gate. Nad łukiem potężnej bramy znajdował się przeszklony częściowo korytarz prowadzący do Banqueting House. W oknach ze szprosami pojawiło się kolejno kilka postaci: najpierw żołnierze, potem niższy mężczyzna o znajomym profilu – ten odwrócił się na moment, by spojrzeć na tłum i na szafot – następnie dwóch duchownych i znów żołnierze. Na widok znajomej sylwetki Nayler zmartwiał. Chwilę później procesja zniknęła. Inni też ją dostrzegli i przez tłum przebiegły podniecone głosy:

– On tu jest!

Nadal jednak nic się nie działo. Wybiła jedenasta. Południe. Z każdą upływającą minutą nadzieje Naylera rosły. Wśród zgromadzonych na ulicy ludzi krążyły plotki dotyczące powodów opóźnienia: że w tej właśnie chwili Izba Gmin debatuje nad odwołaniem egzekucji, że król zgodził się abdykować na rzecz syna, że Holendrzy zaoferowali pół miliona funtów za wstrzymanie egzekucji. Nayler próbował nie wyobrazać sobie, jakie myśli krążą teraz po głowie Jego Wysokości, czekającego w Banqueting House. Już sam zamiar ścięcia króla był czystym złem, ale przeciąganie jego męczarni wydawało się okrucieństwem ponad miarę.

Minęła pierwsza, zbliżała się już druga, gdy w końcu coś zaczęło się dziać. Otworzyło się okno przy szafocie i wyszedł z niego oddział żołnierzy z oficerami, a za nimi kat i jego pomocnik, odziani w długie kaftany z czarnej wełny i czarne rajtuzy. Ich twarze zakryte były czarnymi maskami z groteskowymi białymi perukami i sztucznymi brodami. Niższy niósł topór, opierając jego drzewce o szerokie ramię. Za nim pojawił się biskup z otwartym modlitewnikiem w ręce.

Jako ostatni z okna wyszedł król – drobny, z gołą głową, mierzący zaledwie pięć stóp i trzy cale wzrostu, chociaż jak zawsze, nawet w tych ostatnich minutach, nosił się jak olbrzym. Podszedł prosto do niskiego pniaka, wyraźnie oburzony, że musi leżeć na brzuchu, by poddać się egzekucji. Oficerowie, w których stronę kierował to oburzenie, popatrzyli po sobie i pokręcili głowami. Król odwrócił się

od nich. Wyjął spod płaszcza małą kartkę i przeszedł na skraj podwyższenia. Powiódł wzrokiem po żołnierzach, kawalerii i zgromadzonym dalej tłumie. Uświadomiwszy sobie zapewne, że nie zdoła przemówić tak głośno, by wszyscy go usłyszeli, wrócił na środek podwyższenia i odczytał oświadczenie oficerom. Nayler nie słyszał ani słowa, ale następnego dnia zostało wydrukowane i można je było kupić niemal na każdej londyńskiej ulicy. *Gdybym w istocie zechciał uciec się do tyranii, zmieniać wszystkie prawa siłą miecza, nie byłoby mnie tu dzisiaj. Dlatego też mówię wam (i modlę się do Boga, by nie poczytał wam tego za winę), że jestem męczennikiem ludu...*

Król rozpiął płaszcz i zrzucił go, zdjął również kaftan i podał go biskupowi wraz z jakąś lśniąca ozdobą. Stanął prosto w białej koszuli, na dotkliwym mrozie, i zebrał długie włosy pod kapelusz. Nie drżał. Powiedział coś do kata i wskazał gniewnie na niski pieńek, potem wzruszył ramionami, ukląkł i położył się na brzuchu, układając głowę na pieńku tak, by było mu wygodnie. Wyprostowane ręce złożył za plecami. Kat rozstawił nogi, podniósł topór i odciągnął go do tyłu najmocniej, jak potrafił. Po kilku sekundach król wykonał dłońmi nieznaczny gest, jakby zamierzał rzucić się do wody i zanurkować. Wtedy ostrze opadło z taką siłą, że w ciszy zalegającej nad placem uderzenie słychać było na całej ulicy prowadzącej do Whitehall.

Z pozbawionego głowy tułowia wytrysnęła krew. Żołnierze stojący najbliżej pieńka odsunęli się od czerwonego strumienia, a po chwili krew spływała już jednostajnie, niczym piwo z przewróconej beczki. Kat, który wciąż trzymał w dłoni topór, podniósł głowę króla za włosy, przeszedł na przód podwyższenia i pokazał ją zgromadzonym. Krzyczał coś, lecz jego słowa zagłuszył wielki ryk, który podniósł się z tłumu; podniecenie mieszało się w nim z przerażeniem i odrazą. Ludzie zaczęli napierać na żołnierzy i przedarli się między zdezorientowanymi pikinierami, którzy odwrócili się na moment, by oglądać ten makabryczny spektakl; pierwsi z gapiów przemykali już między kawalerzystami. Nayler zeskoczył z muru i popędził na drugą stronę Whitehall, gdzie przed chwilą odbyła się egzekucja.

Pod podwyższeniem sączyła się spomiędzy desek krew. Opadała ciężko, niczym grube krople deszczu zapowiadającego burzę. Ludzie przeciskający się do tego miejsca raz po raz potracali Naylera. Ten podniósł swoją chustkę i patrzył, jak pojawiają się na niej karmazynowe kropki. Jedna, dwie, trzy krople połączyły się w większą plamę. Wtedy złożył chustkę i przecisnął się przez tłum, przeszedł Whitehall, a potem Stranem do kaplicy przy Essex House, gdzie w to ponure zimowe popołudnie jego protektor, markiz Hertfordu, klęczał z rodziną przed ołtarzem i czekał na wieści.



Na przestrzeni lat krew męczennika wyblakła i przybrała rdzawy odcień. Być może kiedyś całkiem zniknie. Nayler poprzysiągł jednak, że dopóki się to nie stanie, zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomścić wydarzenia tamtego styczniowego dnia. Ucałował chustkę, złożył ją starannie, schował z powrotem do woreczka i nałożył rzemyk na szyję, by relikwia znalazła się blisko jego serca.

W gabinecie zaległa już ciemność, rozświetlana jedynie blaskiem świec. Ptaki za oknem przestały śpiewać.

Przejrzał podpisy na rozkazie wykonania wyroku śmierci i naliczył ich pięćdziesiąt dziewięć. Niektóre nazwiska były słynne, inne znane tylko nielicznym, lecz Nayler zapamiętał je wszystkie w ciągu ostatnich dziesięciu tygodni, gdy szukał ich w zakurzonych dokumentach dotyczących procesu króla. Ale czym innym była wiedza, że taki a taki człowiek zasiadał w sądzie podczas procesu króla Karola Stuarta w Westminster Hall takiego a takiego dnia, a czym innym dowiedzenie, że miał na rękach jego krew. A ten rozkaz stanowił niepodważalny dowód winy. Na przykład szczywany pułkownik Ingoldsby przyznał się już do podpisania tego dokumentu, lecz twierdził, że został do tego zmuszony i że Cromwell, śmiejąc się z jego skrupułów, wcisnął mu pióro w dłoń i siłą przesunął je po pergaminie. Tutaj jednak, w piątej kolumnie, widniał całkiem zgrabny, starannie skreślony podpis Ingoldsby'ego, a obok jego pieczęć. Wszyscy ci, którzy podpisali się pod wyrokiem króla, tym samym podpisali wyrok śmierci na siebie.

Nayler przeniósł spojrzenie na nazwiska figurujące w pierwszej kolumnie. Pierwszy był John Bradshaw, prawnik, którego mianowano przewodniczącym sądu. Tak bardzo bał się zamachu, że podczas wszystkich posiedzeń nosił pod sędziowskimi szatami zbroję, a głowę okrywał kuloodpornym kapeluszem ze stali obszytej futrem bobrowym; szczęśliwie dla niego nie żył już od niemal roku, a tym samym uniknął zemsty. Autorem drugiego podpisu był Thomas Grey – lord Grey z Groby, nazywany „lordem lewellerów” – człowiek zbyt radykalny nawet dla Cromwella i ten w końcu wtrącił go do więzienia. Grey również już nie żył. Jako trzeci w tej kolumnie podpisał się sam Cromwell, architekt tego diabolicznego procesu; on oczywiście również nie żył i smażył się teraz w piekle. Jednak kolejny podpis, złożony tuż pod autografem Cromwella, należał do człowieka, który według wiedzy Naylera wciąż żył i którego dobrze znał.

Musi sporządzić nową listę.

Wyjął kartkę z biurka Hackera, zanurzył pióro w kałamarzu i zapisał starannie:
płk Edw. Whalley.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pokój chłopców był na tyłach domu, skąd rozciągał się widok nie tylko na całe Cambridge, ale też na odległe wyniosłe dachy College'u Harvarda, jego szerokie kominy i smukłą wieżę, ozłoconą teraz blaskiem popołudniowego słońca. Gdy weszła tam Mary Gookin, przy oknie stało dwóch pułkowników i podziwiała panoramę osady, podczas gdy Daniel, Sam i Nathaniel przyglądali im się z fascynacją. U stóp gości leżały stare wojskowe sakwy, podrapane i pokryte łatami. Skromny bagaż jak na podróż przez pół świata, pomyślała Mary. Najwyraźniej opuszczali ojczyznę w pośpiechu.

– Chłopcy, idźcie na dół, dajcie panom spokój.

– Ale, mammo...

– Na dół!

Wyszli z pokoju i zbiegając po schodach, głośno tupali i przekrzykiwali się nawzajem.

– Nasi synowie mają ten pokój od urodzenia – oznajmiła Mary. – Nie wiem, co obiecał panom mój mąż, ale... wybaczcie, proszę... moim zdaniem byłoby lepiej, gdyby tu zostali.

– Miłe chłopaki – zauważył pułkownik Whalley. – Przypominają mi mnie, gdy byłem w ich wieku. – Odwrócił się od okna i Mary po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się lepiej jego twarzy. Wyraźnie zarysowany nos, ciemne oczy, siwa broda przetykana czarnymi pasmami. – Nie chcielibyśmy zabierać im łóżek.

– A ja nie chciałabym wyjść na niegościnną...

– Proszę się tym nie przejmować. – Spojrzał w górę. – Co jest nad nami? Strych?

– Pokój służącej.

– Macie służącą? Nie widziałem jej.

– Teraz nie mamy – przyznała. – Ale na strychu będzie panom niewygodnie.

– Po pobycie na statku wszędzie będzie nam wygodnie.

Obaj zarzucili na ramiona sakwy. Pułkownik Whalley bez wątpienia pochodził z arystokratycznej rodziny: miał nienaganne maniery, oczekiwał od innych należytego szacunku i nie dawał się łatwo zbić z tropu. Mary wahała się przez moment, ale nie znalazłszy wymówki, nie miała wyboru, musiała zaprowadzić ich na górę wąskimi schodami.

Strych ciągnął się wzdłuż całego domu. Sufit, tak jak dach, opadał stromo na obie strony, a Whalley był wysoki – prawie o głowę wyższy od zięcia – więc mógł stanąć prosto tylko w centralnej części pomieszczenia. Gdy podchodził do okna, musiał się schylić, by nie uderzyć głową w belki. Odsunął zasuwkę i otworzył okno, po czym wysunął głowę na zewnątrz, rozejrzał się na obie strony i ją cofnął.

– Idealnie. Będzie nam tu dobrze, prawda, Will?

– W rzeczy samej. I przynajmniej nie będziemy pani wchodzić w drogę, pani Gookin. Bardzo przepraszamy za to nieoczekiwane najście.

Mary rozejrzała się z powątpiewaniem po ciasnym pomieszczeniu. Stało tu jedno łóżko z siennikiem, zbyt krótkie dla Whalleya – jego stopy bez wątpienia wystawałyby poza drewnianą ramę. W półmroku po drugiej stronie strychu zalegały nieużywane meble. Pamiętała, że są tam stare krzesło i kufer. Poddała się.

– Bierzcie, co tylko chcecie. Każę córkom przynieść koce i pościel.

– Bardzo dziękujemy. – Whalley stał już z powrotem przy oknie. Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza małą lunetę, rozłożył ją, ustawił ostrość i spojrzał na rzekę. – Dzięki temu mostowi podróż z Bostonu znacznie się skróci. Pracuje przy nim chyba ze trzydziestu mężczyzn. Kiedy będzie gotowy?

– Mówią, że za pół roku.

– Czyli w styczniu. – Wydawało się, że ta odpowiedź go zadowala. – Idealnie – powtórzył i złożył lunetę.



Daniel Gookin leżał w małżeńskiej sypialni na łóżku, z szeroko rozpostartymi rękami, pogrążony w głębokim śnie. Był tak zmęczony, że nie zdjął nawet butów. Mary pochyliła się nad nim i przyglądała mu się przez chwilę. Miał czterdzieści osiem lat, był szczuplejszy, niż go zapamiętała. Siwizna na skroniach dodawała mu dostojności. Poczwała, jak wzbiera w niej czułość. Dwóch pułkowników nie było pierwszymi ludźmi potrzebującymi pomocy, nad którymi się ulitował, i z pewnością nie ostatnimi. Zdarzało się, że przyjmowali pod swój dach nawet miejscowych Indian. Daniel z godnym podziwu uporem próbował nauczać ich religii. Jeśli miał jakieś wady, to wynikały jedynie z dobroci serca. Mary uklękła przed łóżkiem i zaczęła rozwiązywać sznurówki butów męża. Wyczuł ten ruch, otworzył oczy i podniósł głowę, by na nią spojrzeć.

– Zostaw to i połóż się obok mnie.

– Cierpliwości, mężu.

Skończyła rozwiązywać sznurówki, pochwyciła mocno obcas i ściągnęła pierwszy but, potem zrobiła to samo z drugim. Gdy Daniel był w podróży, przestała miesiączkować, co oznaczało, że nie zajdzie już w ciążę, za co dziękowała Bogu. Piętnaście ciąż to zdecydowanie za dużo. Podniosła skraj spódnicy i weszła na łóżko.

Dziesięć minut później nad ich głowami rozległo się głucho uderzenie, potem kolejne, a potem zgrzyt ciężkiego przedmiotu przesuwanego po podłodze.

Daniel spojrzał na sufit.

– Umieściłaś ich na strychu?

– Sami tego chcieli. Masz coś przeciwko? – Zeszła z łóżka i znalazła na podłodze swoją bieliznę.

– Nie, jeśli im to odpowiada.

– Jeśli tak bardzo ich lubisz, mogą spać tutaj z nami, twój wybór.

Roześmiał się i spróbował ją złapać, lecz Mary odsunęła się na bok i skończyła się ubierać.

– Jak ich poznałeś? – spytała.

Daniel opuścił nogi na podłogę i usiadł na skraju łóżka.

– Pamiętasz wielebnego Hooke’a z New Haven? Tego, który kilka lat temu wrócił do Anglii?

– Oczywiście.

– Jego żona jest siostrą pułkownika Whalleya. Kiedy Hooke dowiedział się, że wracam do Ameryki z kapitanem Pierce’em, poprosił, bym załatwił miejsce na statku dla jego szwagra. A potem Ned namówił Willa, by do nas dołączył. Will ma młodą żonę i małe dzieci i nie chciał ich zostawiać.

– Dlaczego tak się spieszyli z wyjazdem?

– Krótko rzecz ujmując: syn króla obejmuje tron na zaproszenie parlamentu, armia się na to zgodziła... a przynajmniej jej większość... i Anglia nie będzie już republiką.

Ta wiadomość była tak niespodziewana i przytłaczająca, że Mary musiała usiąść obok męża na łóżku, by się z nią oswoić.

– Dlaczego armia zgodziła się na coś takiego? – odezwała się po chwili.

– Parlament wprowadził nową ustawę, nazywają ją Aktem Łaski. To coś w rodzaju aktu zapomnienia, bo przeszłość ma pójść w niepamięć, a wszyscy, którzy walczyli z królem, zostaną ułaskawieni... z jednym wyjątkiem. „Królobójcy”, jak ich nazywają, to znaczy ci, którzy byli bezpośrednio zaangażowani w proces i egzekucję Karola Stuarta, mają stanąć przed sądem. – Daniel ujął dłoń żony. – Tak to właśnie wygląda w dużym skrócie. Nasz statek jako pierwszy dotarł do Bostonu z tymi wieściami. I dlatego musiałem pójść z nimi do gubernatora, gdy tylko zesłiśmy na ląd.

– Ilu tych królobójców przypłynęło z tobą?

– Tylko tych dwóch.

– A pozostali?

– Niektórzy uciekli do Holandii. Większość jednak przyczaiła się w Anglii. Są też tacy, którzy zamierzają się poddać, licząc na litość sądów. Zaraz po tym, jak wypłynęliśmy, miały zostać zamknięte porty, więc trudno będzie uciec z kraju. –

Zacisnął mocniej palce na dłoni żony, jakby chciał w ten sposób przekazać jej choć część swojej siły i wiary. – To dobrzy ludzie, Mary. Ned jest krewnym Cromwella. Dowodził kawalerią podczas kampanii przeciwko Szkotom, a jego zięć dowodził pułkiem piechoty Cromwella. Potrzebują bezpiecznego schronienia, dopóki sprawa trochę nie przycichnie. Nie ma się czego obawiać. Nikt nie wie, że są tutaj, prócz ciebie, mnie i gubernatora.

– Pułkownik Whalley jest krewnym Cromwella? Och, Danielu! – Zabrała rękę z jego dłoni. – Ta sprawa nigdy nie przycichnie. Będą ich ścigać, to pewne. Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Z góry znów dobiegł zgrzyt przesuwanego mebla. Zaniepokojona Mary widziała już oczami wyobraźni, jak dwóch ich gości buduje barykadę.



Robotnicy budujący most zakończyli już pracę na ten dzień. Oba brzegi opustoszały. Woda lśniła zachęcająco w blasku słońca. Ned Whalley, który znów zajął stanowisko przy oknie, uśmiechnął się z zadowoleniem. Polubił rodzinę Gookina. I zdążył już polubić to miejsce. W Ameryce będzie im dobrze.

Tymczasem jego zięć rozkładał na łóżku mały arsenał: cztery pistolety z zamkami lontowymi, dwie torebki prochu, skrzynkę kul, dwa noże i dwie szpady. Odkąd weszli do domu, prawie się nie odzywał.

– Zostaw to, Will. – Ned pogrzebał w swojej sakwie, wyjął z niej dwie koszule i rzucił mu jedną z nich. Przez ostatnie cztery miesiące właściwie się nie rozstawali, poznał więc już zięcia na wylot. Potrafił wręcz czytać w jego myślach. – Chodźmy nad rzekę. Kąpiel dobrze nam zrobi, pozbędziemy się wreszcie tej soli.

Will nie wyglądał na przekonanego.

– A jeśli ktoś nas zobaczy?

– Nikogo tam nie ma. A nawet jeśli, to co? Ot, dwóch mężczyzn przyszło się wykąpać.

– Nie powinniśmy spytać najpierw Gookina?

– Jest naszym gospodarzem, a nie strażnikiem – odparł Ned. – Gubernator mówił, że możemy się tu bezpiecznie poruszać, nic nam nie grozi. – Podszedł do zięcia, chwycił go za przedramiona i potrząsnął nim lekko. – Zobaczysz jeszcze żonę, moją słodką Frances, i maluchy, jestem tego pewien. Bóg nie pozwoli, by nikczemnicy triumfowali zbyt długo. Trzeba nam cierpliwości i wiary.

Młodszy mężczyzna skinął głową.

– Masz rację – przyznał. – Wybacz.

– Doskonale. – Ned puścił jego ręce.

Gdy razem włożyli broń do kufra i przykryli go kocem, pierwszy ruszył w dół po schodach. Drzwi do dwóch sypialni, mieszczących się po dwóch stronach na pierwszym piętrze, były zamknięte.

Mary, która wciąż siedziała na łóżku, usłyszała skrzypienie desek, gdy goście szli na dół, i zerknęła na męża.

– Jak myślisz, co teraz? – wyszeptała.

Daniel pokręcił głową. Nie miał pojęcia.

Ned i Will przeszli przez salon, wyszli na podwórze, zamknęli za sobą furtkę i zeszli ze zbocza prowadzącego do rzeki.



Gookin zabrał ich prosto z *Prudent Mary* do domu gubernatora, Johna Endecotta, starca w koronkowym kołnierzu i czarnym kapeluszu, jakby żywcem przeniesionego z czasów królowej Elżbiety. Wręczyli mu listy polecające – Will od Johna Rowe’a i Setha Wooda, kaznodziejów z opactwa Westminster, a Ned od doktora Thomasa Goodwina ze wspólnoty Niezależnego Kościoła przy Fetter Lane. Podczas gdy starzec czytał powoli listy, trzymając je tuż przed oczami, Ned przedstawił pokrótce okoliczności ich wyjazdu; opowiedział, jak przez dwa dni musieli się ukrywać pod pokładem w Gravesend, podczas gdy ludzie na nabrzeżu świętowali rychły powrót Karola Stuarta, syna nieżyjącego króla. Niebo nad miastem lśniło diaboliczną czerwienią ich ognisk, powietrze wypełniały odgłosy

zabawy i skwierczenie pieczonego mięsa. Bezbożne hulanki trwały do późnej nocy, a w niektórych miejscach nawet do niedzielnego poranka. W poniedziałek, gdy na statek dotarły wieści, że nazwiska Neda i Willa znajdują się na liście osób poszukiwanych w związku z egzekucją byłego króla, kapitan Pierce postanowił wypłynąć z portu.

– Gdyby nie nasz dobry przyjaciel, pan Gookin, prawdopodobnie zostalibyśmy aresztowani – zakończył opowieść Ned.

– Więc obaj uczestniczyliście jako sędziowie w procesie króla?

– Tak, i podpisaliśmy rozkaz wykonania wyroku śmierci. Będę z panem szczery, panie Endecott, bo nie chciałbym udawać, że przyplłynąwszy tutaj, stałem się kimś innym. Dziś zrobilibyśmy to samo.

– Doprawdy! – Endecott odłożył listy i przyjrzał się gościom załzawionymi, szarymi jak ostrygi oczami. Zacisnął dłonie na krawędzi biurka i podniósł się powoli, czemu towarzyszyło głośne trzeszczenie stawów. – Pozwólcie więc, że uściskę dłonie, które złożyły te podpisy, i powitam was w Massachusetts. Jesteście tu wśród przyjaciół.



Znaleźli miejsce oddalone nieco od drogi, gdzie część brzegu zapadła się do rzeki, tworząc naturalny basen. Gałęzie drzew zwieszały się niemal do samej powierzchni wody. Ktoś przywiązał do grubego konara sznur, który służył za huśtawkę. Nad trzciną przemknęła długa zielona ważka; czegoś tak egzotycznego Ned w Anglii nie widział. Wśród listowia pohukiwały gołębie grzywacze. Zdjął buty i na moment zanurzył stopy w chłodnym nurcie, potem ściągnął zeszywniałe od morskiej wody ubrania i nagi wszedł do rzeki. Krzyknął, przeniknięty nagłym chłodem, zanurzył ramiona i już po chwili przywykł do niższej temperatury. Will, który wciąż tkwił na brzegu, zdjął buty i skórzany płaszcz, ale wyraźnie się wahał. Ned zbliżył się do niego, nabrał wody w dłonie i ochlapał zięcia. Ten parsknął śmiechem, odskoczył na bok i głośno zaprotestował, w końcu jednak ściągnął koszulę przez głowę i szybko pozbył się reszty ubrań.

Ned pomyślał, że muszą przedstawiać sobą naprawdę niezwykły widok: ich pokryte bitewnymi bliznami blade ciała przypominały pewnie zjawy pośród bujnej zieleni. Widział trupy, które wyglądały lepiej. Will miał poszarpaną szramę na brzuchu, ślad pozostawiony przez rojalistyczną pikę pod Naseby, a Ned wielkie jak pięść zagłębienie pod prawym ramieniem, pamiątkę po upadku z konia pod Dunbar. Jego zięć stanął na brzegu rzeki i podniósł ręce nad głowę. W wieku czterdziestu dwóch lat wciąż był szczupły jak chłopiec. Ku zdumieniu Neda rzucił się w wodę i zanurkował. Chwilę później jego głowa wychynęła nad powierzchnię.

Czy istnieje doznanie cudowniejsze od tego? Od zmywania w ciepły letni dzień w czystej wodzie zaschniętej soli ze spoconej skóry? Wysławiajmy Pana, wysławiajmy Pana w całej jego chwale za to, że przywiódł nas bezpiecznie do tego miejsca! Ned poruszył palcami u stóp w miękkim mule. Nie pływał już od wielu lat. Zawsze kiepsko radził sobie w wodzie, nawet jako chłopiec. Teraz jednak rozłożył szeroko ręce i położył się twarzą w dół na wodzie, a potem obrócił się na plecy. W jego umyśle znów pojawiło się wspomnienie Katherine, lecz tym razem nie próbował go odegnać – pozwolił mu nabrać wyraźniejszych kształtów. Gdzie teraz była? Jak się czuła? Minęły cztery lata, odkąd poroniła i omal nie umarła, a potem już nie doszła do siebie, ani na duszy, ani na ciele. Po co się jednak zadręczać jałowymi spekulacjami, jak robił to co wieczór Will? Jeden z nich musi być silny. Ich obowiązkiem było pozostać przy życiu, nie dla siebie, lecz dla sprawy. Tym, co ostatecznie przekonało Willa, by wyjechał z nim do Ameryki, były słowa Chrystusa skierowane do Jego uczniów: *Gdy was prześladować będą w tym mieście, uciekajcie do innego. Zaprawdę, powiadam wam: Nie zdążycie obejść miast Izraela, nim przyjdzie Syn Człowieczy*⁴.

Kiedy obrócił się ponownie na brzuch, okazało się, że brzeg rzeki jest zaskakująco daleko. Gdy zaczął płynąć w stronę lądu, czuł, że prąd zaczyna go znosić w stronę zatoki Massachusetts. Will stał zanurzony do pasa w wodze, podpierając się pod boki, i obserwował go. Ned zatrzymał się na moment i pomachał do niego. W tym samym momencie w cieniu drzew za zięciem dostrzegł jakąś postać. Stojący w całkowitym bezruchu nieznajomy był ubrany na

czarno, miał ciemne włosy i krótką czarną brodę. Ned nie mógł przyglądać mu się dłużej, bo znowu poczuł, że znosi go prąd, na tyle silny – jak mu się zdawało – że mógłby zanieść go z powrotem do samej Anglii, gdyby tylko Ned mu na to pozwolił. Musiał opuścić głowę i płynąć, wyężdżając wszystkie siły, poruszając mocno rękami i nogami, bliski paniki. Gdy w końcu dotknął stopami mulistego dna i mógł stanąć, nieznajomy już zniknął.

Ned przeszedł chwiejnym krokiem przez wodę i dysząc ciężko, rzucił się na trawę. Will również wyszedł na brzeg, stanął nad teściem, zasłaniając słońce, i zaniósł się głośnym śmiechem.

– Nigdy nie widziałem, by ktoś płynął równie szybko! Wyglądałeś tak, jakby ścigał cię Lewiatan!

Ned pomyślał, że dawno już nie słyszał tego dźwięku: śmiechu Willa. Oparł się na łokciach, odkaszlnął i wypluł trochę wody. Spojrzał na drzewa, kołysane lekkim wiatrem. Może ten tajemniczy człowiek pojawił się tylko w jego umyśle. Postanowił nie mówić niczego, co mogłoby zepsuć dobry humor zięcia.

– Ta rzeka jest taka sama jak człowiek, od którego pochodzi jej nazwa⁵. Na pozór wygląda przyjaźnie, ale tak naprawdę chce cię zabić.

Will znów się roześmiał, wyciągnął rękę i pomógł Nedowi podnieść się na nogi. Wysuszyli się w słońcu, włożyli czyste koszule i wrócili pustą drogą do domu, dwaj angielscy królobójcy, ramię w ramię.



Mary Gookin, w fartuchu, przygotowywała w kuchni kolację, gdy Ned wsunął głowę pod nadproże i spytał, czy nie ma może nożyczek i szczotki, a jeśli tak, to czy mógłby je pożyczyć.

Oczywiście, że miała nożyczki, ostre jak brzytwa, i szczotkę. Wyciągnęła je z szafki.

– A może jeszcze lusterko?

Podawała mu i lusterko, a potem patrzyła, jak idzie w górę po schodach. Przy progu, gdzie przed chwilą stał, została wilgotna plama.

– Jak długo oni tu zostaną, mamó? – spytała Elizabeth, nakrywając do stołu.

– Jak długo zechcą. Twój ojciec jest w tej kwestii nieugięty.

– Ale dlaczego przyплыnęli z Anglii do Massachusetts? Załatwiają tu jakieś interesy?

– Dość tych pytań. Przynieś wody.

Wszedłszy na strych, Ned postawił krzesło przy oknie, poprosił Willa, by usiadł, i zaczął obcinać mu włosy. Uciekali nieprzerwanie od kwietnia; przez półtora miesiąca w Anglii sypiali w domach obcych ludzi, w stodołach i pod płotami, ścigani przez parlament za próbę zbuntowania armii przeciwko układaniu się parlamentu z przebywającym na wygnaniu Karolem, a potem przez dziesięć tygodni gnieździli się na tym śmierdzącym statku. Gęste pukle opadały jeden po drugim na podłogę.

Po chwili Will zaprotestował.

– Chyba już wystarczy, co? Będę łysy jak kolano!

– Nie wystarczy, jeżeli masz się godnie prezentować, a tak właśnie musi być. Jeśli będziemy wyglądali jak zbiegli więźniowie, tak nas będą traktować. Siedź prosto, żołnierzu – nakazał zięciowi Ned. – Musimy się pozbyć tej brody.

Przykucnął przed Willem i zajął się splątanym zarostem, który sięgał niemal do piersi. Z wprawą posługiwał się nożyczkami. W latach dwudziestych, na długo przed wojną domową, praktykował w Merchant Taylor's Company, gdzie uczył się krawiectwa, i umiejętność równego przycinania weszła mu w krew. Twarz, która wychynęła spod obciętej brody, była mocna i delikatna zarazem, pełna duchowej siły. Twarz prosto z *Księgi męczenników Foxe'a*, pomyślał Ned, bo przecież Will zostałby męczennikiem, gdyby nie dał się przekonać do ucieczki.

– Tak będzie dobrze. – Pokazał zięciowi w lusterku rezultat swoich zabiegów, a potem podał mu nożyczki. – Teraz ty ostrzyż mnie.

Zajął jego miejsce na krześle. Will się wahał. Jego teść zawsze prezentował się dystyngowanie; nosił eleganckie wyszywane kamizelki i piękne buty, równie bogate i efektowne jak jego dom przy King Street, niedaleko pałacu Whitehall. Nie tylko lewellersi zarzucali mu próżność. Z pewnością teraz brakowało mu tego wszystkiego, ale nigdy się nie skarżył. W ciągu ostatnich miesięcy jego włosy całkiem posiwiały.

Will wykonał pierwsze niepewne cięcie.

– Wal śmiało, Will – nakazał mu teść wesołym tonem. Kiedy spojrzął na kępki włosów spadające na podłogę, zauważył, że są białe jak gołębi puch. Sięgnął po lusterko, spojrzął na swoje odbicie i przeżył szok, bo uzmysłowił sobie, że jest całkiem siwy, jak ci rojalistyczni żołnierze zebrzący w Londynie. Odłożył lusterko na bok.



Pół godziny później, gdy zeszli do kuchni na kolację, wyglądali już całkiem inaczej, w koszulach, bez śmierzących wojskowych kaftanów ze skóry. Dzięki kąpieli w rzece byli czysti i odświeżeni. Kiedy usiedli przy stole z Gookinami, nie różnili się niczym od innych Anglików z Massachusetts, za co Mary dziękowała w myślach Bogu. Być może jednak nikt po drodze nie zwróci na nich większej uwagi.

Daniel pochylił głowę.

– Błogosławione niech będzie święte imię Twoje, Panie, za tę strawę, którą nas dziś obdarzyłeś. Panie, przebacz nam nasze grzechy i słabości, zachowaj swój święty Kościół w tych trudnych czasach i daj nam zdrowie, pokój i prawdę w Chrystusie, naszym Zbawicielu. Amen.

– Amen.

Gospodarz podniósł wzrok, uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– Jedzcie.

Kolacja była prosta, ale smaczna – świeżo upieczony chleb, ser, peklowany ozór wołowy – a goście Gookinów zabrali się do jedzenia z takim zapałem, jakby od wielu dni nie mieli nic w ustach, choć starali się zachować przy tym chociaż pozory dobrych manier; łamali chleb na małe kawałki i wkładali do ust kolejne dopiero po przełknięciu poprzednich. Daniel postawił na stole dzban piwa. Ned chętnie się poczęstował, ale jego zięć odmówił.

– Ojciec Willa był pastorem i przestrzegał surowych purytańskich zasad – zwrócił się Daniel do żony, jakby chciał usprawiedliwić abstynencję gościa.

– Tak było, pułkowniku Goffe? – spytała Mary uprzejmie.

Will przełknął najpierw chleb i dopiero potem odpowiedział:

– Tak, kierował się bardzo surowymi zasadami. Nie czynił znaku krzyża podczas chrzcin, nie pozwalał na wymianę obrączek podczas ceremonii ślubnej, nie nosił komży. Podpisał petycję do króla z prośbą o zakazanie takich praktyk i w konsekwencji stracił swój majątek w Sussex. Musiał się przeprowadzić do Walii.

– To bardzo sroga kara, jakiej nie życzyłbym najgorszemu wrogowi – powiedział z powagą Ned.

Will uśmiechnął się nieznacznie i pokręcił głową.

– Proszę wybaczyć mojemu teściowi – zwrócił się do gospodyni. – Ja muszę wysłuchiwać takich żartów od lat. Urodziłem się w Walii, co być może słychać po moim akcencie.

Mary również się uśmiechnęła.

– Zakładam więc, że pan nie jest Walijszykiem, pułkowniku Whalley.

– Nie, Bogu dzięki, pochodzę z hrabstwa Nottingham. – Ned upił łyk piwa. – Ale muszę przyznać, że Walia rodzi dobrych kaznodziejów, i Will otrzymał taki dar. Oliver uważał go za najlepszego mówcę w całej armii.

Oliver Cromwell. Wymienił to imię z taką swobodą, że przy stole zapadła pełna zdumienia cisza, a Daniel nie mógł się oprzeć pokusie i wyjaśnić:

– Ned jest krewnym zmarłego lorda protektora.

Od razu tego pożałował. Żona spojrzała na niego z przyganą, a dzieci natychmiast się ożywiły, zafascynowane.

– Jaki on był?

– Często pan się z nim widywał?

– Proszę nam opowiedzieć o lordzie proterkocie!

Ned parsknął śmiechem i podniósł rękę.

– Zbyt wiele pytań naraz.

– Ale znał pan go dobrze?

– O tak, całkiem dobrze.

Nie chciał mówić nic więcej, a mógłby powiedzieć, że byli niemal rówieśnikami, że przyjaźnili się od dzieciństwa, że razem się uczyli, razem jeździli konno, polowali z sokołami i uprawiali hazard – bo to było jeszcze przed nawróceniem Olivera Cromwella – że przez jakiś czas, jeszcze jako kawalerowie, wynajmowali wspólnie dom w Londynie, że Cromwell namówił go, by został żołnierzem, a po jakimś czasie mianował go dowódcą angielskiej kawalerii, że walczyli razem pod Marston Moor, pod Naseby i w kilkunastu innych bitwach, że za rządów Cromwella odpowiadał za jego ochronę, że towarzyszył mu w ostatnich chwilach jego życia, że gdyby nie on, Ned prowadziłby nudne życie handlarza tkaninami i kiepskiego rolnika i nigdy nie podpisałby wyroku śmierci na króla, więc na stare lata nie znalazłby się tutaj, po drugiej stronie świata, i nie spałby na strychu.

Zamiast snuć tę długą historię, powiedział krótko:

– Opowiem wam o nim kiedy indziej.

Daniel Gookin wykorzystał okazję i szybko zmienił temat.

– Może zechciałbyś przemówić w naszym domu modlitwy, Will? – zwrócił się do młodszego z mężczyzn. – Z pewnością wiele moglibyśmy się od ciebie nauczyć.

– Czy to rozsądne, by pokazywali się tak otwarcie? – spytała z powątpiewaniem Mary.

– Słuszna uwaga – zgodził się z nią Will, spoglądając niepewnie na teścia. – Poza tym dawno już nie przemawiałem publicznie.

– Przyjechaliśmy do Cambridge, by spotkać się z ludźmi o podobnych poglądach – powiedział Ned. – Jeśli dostajemy zaproszenie do wspólnej modlitwy i badania Pisma, powinniśmy je przyjąć, bo inaczej co tu po nas? Pani Gookin, choć państwa strych to wspaniałe miejsce, nie możemy spędzić reszty życia w jednym pokoju, jak więźniowie.

Mary otworzyła już usta, by mu odpowiedzieć, w porę się jednak rozmyśliła.



Po posiłku goście pożegnali uprzejmie gospodarzy i poszli na strych.

Ned stanął przy oknie, zapalił fajkę i patrzył na rzekę, szaroniebieską w gasnącym blasku dnia. Ciemne filary niedokończonego mostu przebijały się przez powierzchnię wody niczym maszty zatopionego statku podczas odpływu. Gdy otworzył okno, smugi dymu zafalowały, poruszone lekkim podmuchem powietrza. Kiedyś o tej porze dnia często przechodził ze swojego domu do pałacu Whitehall, by palić fajkę z lordem protektorem, który uwielbiał tytoń niemal tak jak muzykę; czasami, gdy usłyszał, jak ktoś gra lub śpiewa, wędrował po pałacu, dopóki nie znalazł źródła tego dźwięku, a wtedy stał i słuchał ze łzami w oczach. Jeśli chcecie wiedzieć, jaki był naprawdę, to właśnie coś dla was. Coś, czego się zapewne nie spodziewaliście.

Will siedział obok przy stole, pochylony nad małym notesem, w którym prowadził dziennik. Pisał skrótowo, oszczędzając papier: przywiózł ze sobą tylko kilka takich notesów i nie miał pojęcia, kiedy uda mu się kupić następne.

27 lipca 1660 r. Zakotwiczyliśmy między Bostonem i Charlestown; między ósmą a dziewiątą rano. Wszyscy w dobrym zdrowiu dzięki opiece Bożej. Och! Chwała niech będzie Panu za Jego dobroć jak w psalmie 107, w wersie 21.

Był zbyt zmęczony, by pisać więcej. Podmuchał na kartkę, a kiedy atrament wysechł, ukląkł przy łóżku, by pomodlić się za Frances i ich pięcioro dzieci.

Najstarsze miało zaledwie sześć lat, najmłodsze urodziło się w czasie, gdy musiał już uciekać, więc nawet go nie widział.

– Dick, Betty, Frankie, Nan i Judith... Chroń je, Panie, zachowaj od złego i przyjmij do swej świętej chwały.

Ned miał rację: nie powinien rozmyślać o nich zbyt często. Musi wierzyć, że ich zobaczy. To chwilowe rozstanie było z pewnością częścią Bożego planu. Widok dzieci Gookina nie pozwalał jednak Willowi zapomnieć o swojej rodzinie. Lecz uświadomił sobie, że z każdym dniem ich obraz coraz bardziej się zaciera w jego wspomnieniach. Maluchy pewnie już chodzą i mówią. Z pewnością nie wyglądają już tak, jak je zapamiętał. Widział je jak przez mgłę.

Do rzeczywistości przywołał go głośny stukot. To Ned uderzał główką fajki o parapet, wytrzepując z niej popiół. Will znowu poczuł ogromne zmęczenie. Z trudem wspiął się na łóżko. Jakże dziwne wydało mu się leżenie na materacu po wielu nocach spędzonych w hamaku – jego twardość, brak kołysania, krzyków czy kroków na pokładzie nad głową. Cisza. Usłyszał skrzypienie łóżka, gdy Ned położył się obok niego, a potem zapadł w głęboki sen.

4 Mt 10, 23.

5 Rzeka Charles; Charles – Karol.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Richard Nayler opuścił Stathern Hall w sobotę rano, gdy tylko wzeszło słońce. Na wszelki wypadek zatknął za pas pistolet. Być może pułkownik Hacker zostawił w domu broń, a kto wie, do czego była zdolna jego zdesperowana żona. Nayler cicho zamknął za sobą drzwi.

Odwiązał swoją klacz i przyniósł jej wiadro wody. Kiedy pasła się w sadzie, owinął rozkaz wykonania wyroku śmierci kawałkiem materiału, umieścił go w sakwie i mocno ją zapiął. Nim dosiadł konia, spojrzał jeszcze raz na dom, ciemny, pusty i martwy niczym grobowiec. Kiedy wybiła piąta, był już w drodze.

Jechał galopem, pochylony mocno do przodu i wpatrzony w drogę, stojąc w strzemionach i niemal dotykając łokciami kolan. Mijał pola i lasy, przejeżdżał przez budzące się dopiero wsie i nie zwolnił, dopóki nie zostawił za sobą Stathern Hall na kilka mil. O dziewiątej był już przy ruinach starego rzymskiego fortu, gdzie przecinały się Fosse Way i Watling Street. Droga pamiętająca jeszcze starożytność prowadziła prosto na południe.

W ciągu dnia dwukrotnie zmieniał wyczerpane konie, najpierw w Burbage, a potem w Towcesterze. Zwolnił tylko raz, wczesnym popołudniem, kiedy zorientował się, że musi być blisko pola bitwy pod Naseby. Przejechał kłusem jakieś dwie mile, spoglądając na lewo, na płaskie pola hrabstwa Northampton, w poszukiwaniu jakichś znajomych elementów krajobrazu, które pomogłyby mu odtworzyć w myślach tamten straszliwy dzień sprzed piętnastu lat. Gdzieś tutaj w czerwcowy poranek kawaleria księcia Ruperta pędziła na wroga w górę zbocza, przez krzewy kolcolistów, pod którymi kryły się królicze nory, gdy nagle tysiąc jeźdźców z doborowej kawalerii Cromwella, nazywanych Żelaznobokimi, ryczących „Bóg jest naszą siłą!”, runęło na nich z boku przez poranną mgłę. Jak się później dowiedział, dowodził nimi wtedy pułkownik Edward Whalley. Nayler

zdołał oddać jeden strzał, nim Żelaznobocy uderzyli w ich pierwszą linię, a koń padł pod nim jak rażony gromem. Leżał przez cały dzień między zmarłymi, uwięziony pod zabitym wierzchowcem, ranny i zakrwawiony, ze strzaskanymi żebrami i złamanym biodrem, niezdolny do ruchu. Słuchał, jak ranni towarzysze broni jęczą i umierają, aż do zmroku, kiedy stracił przytomność. Ocknął się, gdy coś ostrego dźgnęło go w pierś, a dokoła rozległ się huk wystrzałów. Kiedy otworzył oczy, dwaj Żelaznobocy stali nad nim z naładowanymi muszkietami i zastanawiali się, czy go dobić.

– Poczekaj – powiedział jeden z nich. – On na nas patrzy.

Ułożyli go na wozie i ostatecznie przeżył, choć w ciągu kilku następnych miesięcy często tego żałował. A jednak teraz, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, wciąż żył, stał po zwycięskiej stronie i nie zamierzał popełniać błędu, jakim jest okazywanie litości.

Poderwał konia do galopu i popędził na południe niczym anioł zemsty.

Noc spędził w St Albans, dwadzieścia mil na północ od Londynu, gdzie w gospodzie White Hart dzielił łóżko z dwoma innymi podróżnikami – handlarzem kukurydzą z Lincoln oraz kapitanem piechoty, który zmierzał do swojego pułku w hrabstwie York – i w niedzielę o świcie, kiedy obaj jeszcze smacznie spali, ruszył dalej. Kilka godzin później dotarł do Londynu i jechał w dół Ludgate Hill. Dzwony katedry Świętego Pawła biły radośnie, jakby chciały uczcić jego triumfalny powrót. Wszedł do Worcester House przy Strandzie.

– Richard Nayler do sir Edwarda Hyde’a – powiedział, gdy kilka jardów od wejścia zatrzymał go jeden ze strażników lorda kanclerza. Nayler był zlany potem i obolały po długiej jeździe, brudny i nieogolony, a w ręce trzymał sakwę. Próbował obejść strażnika, lecz ten zastąpił mu drogę.

– Sir Edward jest na nabożeństwie z rodziną.

– Więc poczekam, aż msza się skończy.

Strażnik zmierzył go spojrzeniem.

– Wiesz, że dziś jest dzień odpoczynku?

– Wiem, że jesteś głupkiem. Powiedz mu, że mam wyrok. Właśnie tak, rozumiesz? Będzie wiedział, o co chodzi.

Nayler pokuśtykał korytarzem do westybulu i opadł na fotel. Nie czuł się urażony gburowatością strażnika. Przywykł już do tego, że go nie rozpoznają. Właściwie wolał pozostawać nierozpoznany. Dzięki temu mógł więcej działać, bo ludzie byli przy nim szczerzy i zdradzali się. Kiedyś był sekretarzem markiza Hertfordu i gdy król wrócił z wygnania i zasiadł na tronie, to właśnie markiz, w nagrodę za długie lata wiernej służby, znalazł dla niego miejsce w nowej administracji. Nayler mógł objąć każde stanowisko, jakie zechciał, w granicach rozsądku oczywiście – w Ministerstwie Skarbu, w marynarce wojennej, w Sądzie Najwyższym – zależało mu jednak na pracy w Tajnej Radzie Królewskiej, a zwłaszcza w komisji utworzonej z myślą o ściganiu królobójców. To zajęcie najbardziej mu odpowiadało. Nie miał żony ani dzieci, które odciągałyby go od ważnych zadań. Na odpoczynek nie miał czasu. Jego sława rosła z dnia na dzień. Był jednym z tych cieni, które przenikają niezauważone do domów, tajnych przejść i pokoi narad w każdym państwie i każdej epoce – tu szepnął słowo, tam kogoś ostrzegł, podzielił się sekretem, zdemaskował zdrajcę. Bardzo przydatnym cieniem o wielkiej mocy sprawczej. Wyprostował nogę i zaczął masować obolały mięsień.

Po kilku minutach pojawił się jeden z sekretarzy lorda kanclerza, leniwy fircykowaty młodzieniec, bez wątpienia krewny któregoś z dworzan.

– Sir Edward jest teraz na obiedzie. – Wyciągnął rękę do Naylera. Koronki na nadgarstku, upierścienione palce. – Chciałby jednak zobaczyć dokument, o którym pan wspomniał.

Nayler zawahał się na moment, nim wyjął rozkaz z sakwy, a potem obserwował z zazdrością, jak młodzieniec niesie go na piętro. Dobrze znał dziwactwa wysoko postawionych ludzi, mimo to miał nadzieję, że osobiście wręczy ten cenny dokument sir Edwardowi.

Wkrótce mógł jednak z satysfakcją obserwować rezultaty swej misji. Wielki gmach zbudził się nagle z niedzielnego odrętwienia: korytarze rozbrzmiewały nawoływaniem, posłańcy wybiegali przez otwarte drzwi. Jakieś pół godziny

później na dziedzińcu z turkotem zajechał powóz, a po chwili korytarzem przeszedł długonosy, chudy sir William Morice, sekretarz stanu w Departamencie Północnym. Wkrótce dołączyli do niego sir Anthony Ashley-Cooper i sir Arthur Annesley, członkowie Tajnej Rady Królewskiej, którzy zwykle przyjeżdżali razem. Zaraz potem w drzwiach ponownie pojawił się fircykowaty sekretarz i tym razem zwracał się do Naylera ze znacznie większym szacunkiem.

– Sir Edward przesyła pozdrowienia, panie Nayler, i prosi, by zechciał pan dołączyć do spotkania komisji Rady.

Nayler zabrał sakwę i przeszedł za młodzieńcem do szerokiego holu z krużgankami, potem po schodach na górę i przez kilka salonów z oknami wychodzącymi na ogrody i Tamizę. Gdy w końcu dotarli do prywatnego gabinetu lorda kanclerza, sekretarz odsunął się na bok i gestem zaprosił gościa do środka. Nayler jak zawsze nie mógł się nadziwić, że to wyłożone drewnem niskie pomieszczenie jest tak małe. Było tam duszno i ciemno; przez jedno niewielkie okienko wpadało tak mało światła, że nawet w to letnie popołudnie zapalono świece. A jednak to właśnie stąd zarządzano Anglią. Większość miejsca zajmował ciężki stół przykryty tureckim dywanem. Nayler objął jednym spojrzeniem wszystkich zebranych: Morice siedział po jednej stronie stołu, Ashley-Cooper i Annesley naprzeciwko niego, a u szczytu, na wprost drzwi, zajął miejsce pierwszy minister króla, sir Edward Hyde. Niewiarygodnie gruby, usadowił się w pewnym oddaleniu od stołu, zwrócony bokiem do pozostałych, i trzymał artretyczne nogi na stołku. Czytał właśnie rozkaz wykonania wyroku śmierci. Nie podniósł wzroku.

– Kto przechowuje taki dokument, gdy jego wrogowie powrócili do władzy i dobrze wie, że to dla niego wyrok śmierci? Może mi pan powiedzieć, panie Nayler?

– Fanatyk, sir Edwardzie.

– Cóż, w takim razie znalazł w panu godnego siebie przeciwnika. – Hyde podniósł wzrok znad dokumentu i spojrzał na Naylera kątem oka. – Do hrabstwa Leicester i z powrotem w cztery dni... Nie lada wyczyn. Nie chciał pan tam kogoś posłać?

– Uważałem, że to zbyt ważna sprawa.

Hyde skinął głową.

– I słusznie. Miał pan prawo zakłócić nam niedzielny wypoczynek. – Ponownie zajął się dokumentem, a jednocześnie podniósł pulchną dłoń i wskazał krzesło po drugiej stronie stołu. – Proszę do nas dołączyć.

Nayler zdjął kapelusz i usiadł.

– Dziękuję, sir Edwardzie, ale prawdę mówiąc, jestem tylko posłańcem. Całą zasługę należy przypisać sir Arthurowi i sir Anthony’emu, którzy zdołali przekonać pułkownika Hackera, by przyznał, że taki dokument istnieje.

Słowo „przekonać” było w tym przypadku eufemizmem. Kiedy Nayler siedział w rogu celi i sporządzał notatki podczas przesłuchania, to właśnie oni kazali strażnikom z Tower bić skutego pułkownika pałkami, dopóki nie wyznał wszystkiego, co wiedział. Obaj byli prawnikami, którzy kiedyś służyli Cromwellowi, lecz potem gładko przenieśli się do obozu zwolenników króla. Kiedy Nayler zerknął na nich, z uznaniem pokiwali głowami. Wiedział, że chcą pokazać, jak gorliwie ścigają swoich dawnych towarzyszy.

– Teraz to, że Hacker trafi na szafot, jest już przypieczętowane. A co z dwoma pozostałymi oficerami, którzy otrzymali ten rozkaz, z Phayre’em i Huncksem?

– Obaj są w areszcie i obaj utrzymują, że odmówili wykonania rozkazu. Huncks twierdzi, że Cromwell go zelżył i oskarżył o tchórzostwo. Obaj zrzucają całą winę na Hackera.

– Pewnie powinniśmy przekazać ten dokument Izbie Lordów, prawda?

– Tak, sir Edwardzie – potwierdził Annesley. – Najpierw powinien trafić do komendanta Tower, żeby pokazał ten rozkaz Hackerowi i nakłonił go, by potwierdził pod przysięgą jego autentyczność, a potem należy go, zgodnie z instrukcjami, przekazać Izbie Lordów.

– I trzeba to zrobić od razu? Jutro?

Annesley i Ashley-Cooper pokiwali zgodnie głowami.

Hyde westchnął.

– W parlamencie znów zawrze. – Zerknął na Naylera. – Ilu spośród tych, którzy podpisali ten rozkaz, nadal jest na wolności? To będzie pierwsze pytanie, jakie usłyszymy.

– Pan pozwoli, sir Edwardzie? – Nayler wyjął z sakwy listę, którą sporządził poprzedniego wieczoru w gabinecie Hackera. – Przejrzałem uważnie ten dokument. Jak pan widzi, podpisało go pięćdziesięciu dziewięciu zdrajców. Z moich obliczeń wynika, że dwudziestu z nich już nie żyje. Dwudziestu pięciu albo się poddało, albo wpadło w nasze ręce i wszyscy są teraz w areszcie. Jeden, pułkownik Ingoldsby, został ułaskawiony przez Jego Królewską Mość w zamian za pomoc przy schwytaniu innych. Pozostaje więc trzynastu.

– Co to za ludzie? – spytał Morice.

Podobnie jak Hyde towarzyszył królowi podczas jego wieloletniego wygnania. Był już jednak starcem nieco słabującym na umyśle, należało się więc spodziewać, że nie będzie zbyt długo piastował stanowiska sekretarza stanu. Mimo to Nayler darzył go większym szacunkiem niż Annesleya i Ashleya-Coopera, którzy zdecydowanie górowali nad nim inteligencją. Uważał, że Morice powinien do końca cieszyć się z przywilejów związanych z jego pozycją, zasłużył na to.

– Whalley – odpowiedział Nayler i przesunął palcem w dół listy nazwisk: – Livesey, Okey, Goffe, Hewson, Blagrove, Ludlow, Barkstead, Dixwell, Walton, Say, Challoner i Corbet.

– Jakie są szanse, że ich schwytamy?

– Livesey, o ile nam wiadomo, przebywa z żoną i dziećmi w Niderlandach. Okeya i Barksteada widziano w Niemczech, podobnie jak Waltona, który jest już stary i podobno ciężko chory. Hewson jest w Amsterdamie. Blagrove, Challoner i Corbet, jak głoszą plotki, również uciekli do Niderlandów. Say przebywa w Szwajcarii. O pozostałych na razie nic nie wiemy. Obserwujemy ich rodziny.

Hyde rzucił dokument na stół.

– To się nigdy nie skończy – powiedział. – Tylko czterech ludzi miało zginąć za zamordowanie króla. Tak uzgodniliśmy, negocjując treść Aktu Łaski. Potem

znaleźliśmy dokumentację z procesu króla... to znaczy pan ją znalazł, panie Nayler... i z czterech zrobiło się ośmiu, później z ośmiu dwunastu, a teraz jest ich już kilkudziesięciu. Każdy z członków parlamentu ma jakiegoś wroga, którego chciałby pozbawić prawa łaski.

Obwisłe policzki Morice'a zatrzęły się z oburzenia.

– Chyba nie sugeruje pan, sir Edwardzie, że powinniśmy zostawić tych trzynastu w spokoju?

– Nie, sir Williamie, oczywiście, że nie. Musimy ich wytropić i schwytać. Ale jednocześnie powinniśmy przyspieszyć bieg tej sprawy, by zająć się innymi problemami. – Rozważając w milczeniu tę kwestię, Hyde zdjął z głowy perukę i podrapawszy się po spoconej łysinie, nałożył ją z powrotem. – Proponuję na razie skupić nasze wysiłki na tych, których mamy w areszcie. Dzięki temu dokumentowi będziemy mogli zamknąć ich sprawę. – Zwrócił się ponownie do Naylera: – Ci, którzy poddali się sami, licząc na litość... Wciąż nie postawiono im zarzutów i nadal trzymamy ich w Lambeth House, a nie w Tower?

Nayler skinął głową.

– Tak, chcemy w ten sposób zachęcić innych, by poszli za ich przykładem – wyjaśnił.

– Właściwie możemy być pewni, że żaden z tych zbiegów nie podda się dobrowolnie, inaczej dawno już by to zrobili. Dlatego czas przedsięwziąć kolejne kroki.

– Czyli, sir Edwardzie?

– Powinniśmy ich przenieść do Tower i jak najszybciej postawić przed sądem.

– Więc żaden z nich nie zostanie ułaskawiony? – spytał Ashley-Cooper.

– Żaden.

– Ale poddali się w nadziei, że okazemy im łaskę.

– Więc byli głupcami. Wolalbym, żeby stało się inaczej. Bóg mi świadkiem, że ostrzegałem króla, jak to się skończy. Ale w parlamencie panują takie nastroje, że trudno liczyć na cokolwiek innego. Nie zgadza się pan ze mną?

– Ależ skąd, wszyscy się z panem zgadzamy – zapewnił go szybko Annesley.
– A pan, panie Nayler? Jak pan uważa?
– Nie okazali litości królowi, więc dlaczego mieliby jej oczekiwać dla siebie?
– Dobrze powiedziane. Zaproponuję więc królowi i Tajnej Radzie, by tak właśnie postąpili.

– A co z ujęciem pozostałych? – spytał Nayler.

– Pan może się tym zająć, bo najwyraźniej odpowiada panu taka praca. – Hyde odsunął dokument na długość ramienia i odwrócił głowę, jakby brzydził się go nawet dotykać. – A teraz proszę dostarczyć to do Tower.

Nayler wstał z krzesła i przeszedł na drugą stronę stołu, by odebrać rozkaz.

– Proszę nas informować o postępach w sprawie – powiedział Hyde. – A teraz chciałbym omówić z panami z komisji pewną delikatną sprawę.

Zrozumiawszy, że został odprawiony, Nayler wstał, podniósł sakwę i uklonił się mężczyznom siedzącym przy stole.

– Panowie...

Gdy znalazł się już za drzwiami, przystanął, żeby schować dokument, ale tak naprawdę dlatego, że chciał wiedzieć, o czym będą mówić członkowie komisji.

Usłyszał, jak Morice mówi z uznaniem:

– Trzeba przyznać, że to zawzięty człowiek.

– Bardzo zawzięty – zawtórował mu piskliwym głosem Hyde. – Dwieście mil w cztery dni? Ciekawe, dlaczego tak się na nich wziął.

Nayler chętnie zostałby jeszcze dłużej, ale sekretarz fircyk czekał, by go wyprowadzić. Choć idąc, Nayler wyteżał słuch, wkrótce głosy dobiegające z pokoju zamieniły się w niezrozumiały pomruk.



Wzdłuż południowej strony Strandu, przy całej ulicy o długości mili, ciągnęły się wielkie pałace i ogrody arystokracji, sięgające Tamizy: najpierw Somerset House na wschodzie, potem Worcester House, Arundel House i York House aż do

Northumberland House przy Whitehall. Między tymi solidnymi budynkami, zniszczonymi nieco przez wojnę domową i chude lata protektoratu, stał Essex House, pałac z czasów elżbietańskich, w którym mieściła się londyńska rezydencja Williama Seymoura, pierwszego markiza Hertfordu. Teraz właściwie nie był to już pałac, lecz labirynt pomieszczeń rozmieszczonych w kilku budynkach – w sumie czterdzieści dwa pokoje, w większości przeznaczone na wynajem dla podreperowania budżetu. I to właśnie tutaj, w tym pomniku rojalistycznego upadku, przez ostatnie czternaście lat Nayler mieszkał za darmo jako człowiek zatrudniony przez markiza.

Przeszedł przez wybrukowany dziedziniec, między stertami śmieci, w których buszowały szczury, zatrzymał się przed ciężkimi dębowymi drzwiami w zachodnim skrzydle, wyjął pęk kluczy, otworzył drzwi i wszedł schodami na najwyższe piętro. Na końcu ciemnego korytarza otworzył kolejne drzwi. Żaden ze służących nie miał kluczy. Powietrze w zamkniętym przez cztery dni pomieszczeniu uderzyło go w twarz niczym podmuch z rozpalonego pieca. Pośrodku pokoju krążyło kilka otepiałych much, inne uderzały w szybki witrażowego okna. Wszystkie dostępne powierzchnie pokryte były stertami żółknących papierów; była wśród nich dokumentacja z procesu królobójców, listy i dokumenty znalezione w zaniedbanych zakątkach bibliotek prawników i rodzinnych archiwów, w kryjówkach urządzonych w piwnicach i na strychach. Przyprószone czerwonym pyłem, miejscami przegniłe lub zapleśniałe, wypełniały pokój osobliwą wonią. Stąpał ostrożnie po dywanie między papierami, ale i tak trącił kilka. Szeleściły jak uschłe liście, a spod jego stóp wzbijały się obłoczki kurzu, który zatykał mu nozdrza. Czuł, że lada moment znów dopadnie go przyprawiający o mdłości ból głowy, który wzbierał w górnej części nosa i sięgał za oczy.

Otworzył okno. Za ledwie sto jardów dalej Tamiza leniwie toczyła swoje wody. Trwał właśnie odpływ i w korycie rzeki widać było czarne garby oślizgłego mułu, przetykanego zielenią wodorostów. Ogrzane gorącymi promieniami słońca, roztaczały smród rozkładu i woń morza. Tu i ówdzie w błocie grzebali biedni mieszkańcy Londynu w nadziei, że znajdą tam coś, co będą mogli wykorzystać lub

sprzedać. Nad ich głowami krążyły i krzyczały mewy; co jakiś czas przysiadły na ziemi, a potem znów wzlatywały. W dolnej części ogrodu przy brzegu łukowate przejście prowadziło na prywatny pomost. Nayler przechylił głowę i zobaczył, że przy pomoście nie ma łodzi markiza. Staruszek popłynął zapewne w górę rzeki, by spotkać się z królem w Hampton Court.

Żeby zrobić w pokoju przewiew, Nayler przeszedł do małej sypialni i otworzył tam okno wychodzące na Milford Lane, biegnącą między Essex House i Arundel House. Przy tej okrytej złą sławą wąskiej ulicy mieściły się tawerny, tanie sklepy, burdele i rudery zamieszkanе przez ludzi, których nawet zwolennicy Cromwella nie byli w stanie sprowadzić na właściwą drogę. W niedzielne popołudnie panowała tu niezwykła cisza, co nie dziwiło Naylera, wiedział bowiem z doświadczenia, że dziwki i pijacy przestrzegają dnia świętego równie skrupulatnie jak szanujący się obywatele. Na przestrzeni paru ostatnich lat wybierał się tam kilkakrotnie, gdy samotność i ból pożądania stawały się nie do zniesienia.

Patrzył jeszcze przez kilka minut na ulicę, po czym odwrócił się i rozejrzał po sypialni. Nie trzymał tu żadnych dokumentów ani ozdób, nie licząc miniatury portretowej żony zawieszanej nad toaletką, na której stała świeca. Lubił zapalać świecę w nocy, by zasypiać w jej towarzystwie. Żona, zwrócona półprofilem, zerknęła teraz na niego spod ciemnych loków, trochę jak sir Edward Hyde dzisiaj przy stole, z tajemniczym uśmieszkiem na twarzy, wyrazem inteligencji i rozbawienia. Po raz ostatni widział ją w Boże Narodzenie 1657 roku, gdy rodzina i współpracownicy markiza zebrali się nielegalnie w prywatnej kaplicy, by świętować narodzenie Chrystusa. Kiedy kapłan skończył kazanie i udzielał najświętszego sakramentu przy balustradzie przed ołtarzem – która była niedopuszczalną ozdobą – drzwi otworzyły się z trzaskiem i do wnętrza kaplicy wszedł oddział żołnierzy. Otoczyli uczestników mszy, wycelowali w nich muszkiety, ale pozwolili, by wszyscy chętni przyjęli komunię w postaci opłatków i wina. Odprowadzając Sarę do ławki, Nayler zauważył, że nie ma wśród nich oficerów, był jednak pewien, że żołnierze wypełniają ich rozkazy. Kiedy usiedli na miejscach, Sara ujęła jego dłoń i położyła sobie na brzuchu. Poczuł wtedy

kopnięcie – wciąż je czuł, dwa i pół roku później, energiczne uderzenie, jak bicie serca. Żona milczała. Po jakimś czasie uświadomił sobie, że daje mu w ten sposób do zrozumienia, by nie robił niczego głupiego, postanowił więc zachować spokój.

Kilka godzin później w kaplicy w końcu pojawili się dwaj oficerowie; przeszli do ołtarza i zapytali o powód tego nielegalnego zgromadzenia. Wtedy poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość.

– Dziś jest wtorek – oznajmił jeden z nich. – Zwyczajny dzień tygodnia, jak każdy inny. Świątowanie zabobonu Bożego Narodzenia zostało zakazane ustawą parlamentu. Powinniśmy was aresztować.

Nikt mu nie odpowiedział, nawet markiz, który siedział w pierwszej ławce. Nayler, niemal wbrew sobie, mruknął po chwili:

– Oddawanie czci Bogu nie jest chyba nielegalne.

– Słucham? – spytał głośno oficer.

– Powiedziałem, że oddawanie czci Bogu nie jest nielegalne.

– Nielegalne jest używanie Modlitewnika Powszechnego, który jest niczym innym jak katolicką mszą po angielsku.

Czuł, jak Sara ściska go za ramię, ale nie mógł się powstrzymać.

– A ja myślałem, że walczyliście o wolność wyznania.

– Nie mówimy tu o wolności wyznania, tylko o zdradzie. Skoro używacie Modlitewnika Powszechnego, to modlicie się szczególnie za Karola Stuarta, prawda?

– Modlimy się za wszystkich chrześcijańskich królów, książąt i suwerenów.

– Więc modlicie się również za króla Hiszpanii, który jest wrogiem i papistą – odezwał się drugi oficer.

– Modlimy się tylko o to, by Bóg prowadził właściwą drogą wszystkich władców. Nie ma tu żadnych papistów.

– Aresztować go.

Nayler nie miał czasu, by pożegnać się z Sarą ani nawet dobrze się jej przyjrzeć. Dwóch żołnierzy już wcześniej stanęło za jego plecami, był jednak zbyt

rozniewany, by ich zauważyć. Usłyszał krzyk żony, lecz zanim zdążył się zorientować, co się z nią dzieje, został poderwany z miejsca i wywleczony z kaplicy. Żołnierze prowadzili go przez grudniowy chłód i puste ulice, opustoszałe w Boże Narodzenie, co ich zirytowało. Dotarli do więzienia Newgate i wrzucono go do celi, gdzie gnił przez następne pół roku. Kiedy wyszedł na wolność, dowiedział się, że dziecko, chłopiec, urodziło się martwe w noc jego aresztowania. Sara doznała w kaplicy szoku i dlatego zaczęła przedwcześnie rodzić. Nie przeżyła tego.

„Ciekawe, dlaczego tak się na nich uwziął”.

Cóż, to chyba wystarczający powód, by się na kogoś uwziąć, nie uważa pan, sir Edwardzie? Zwłaszcza że oficerami, którzy kazali go aresztować, byli pułkownik Whalley i pułkownik Goffe, poszukiwani jako królobójcy i wciąż pozostający na wolności, gdzieś na tym pięknym Bożym świecie. Ale nie na długo, jeśli będzie to zależeć od Richarda Naylera.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy tylko tamtego Dnia Pańskiego zrobiło się jasno, Will – bosy, jedynie w koszuli i pludrach – zsunął się ostrożnie z łóżka, by nie budzić teścia, i usiadł przy stole. Wyjął z kieszeni kartkę żółknącego papieru, wyrwaną ze starego almanachu, zanurzył pióro w kałamarzu i po chwili wahania napisał na górze pustej strony, tym samym wyszukany charakterem pisma, którym podpisał rozkaz wykonania kary śmierci na królu: *Pokorna prośba do pobożnych parafian Cambridge w stanie Massachusetts, wystosowana przez Williama Goffe'a.*

Przerwał i z podniesionym wzrokiem szukał inspiracji w cieniach zalegających pod ukośnym sufitem. Gdy stawał przed żywą publicznością, choćby przed największym tłumem, choćby w obecności samego Cromwella, Pan wypełniał jego głowę bezmiarem słów i wystarczyło tylko, by Will otworzył usta, a wypływały z niego szerokim strumieniem. Z pisanem sprawa miała się trochę inaczej. Być może gdyby studiował w Oksfordzie, jak jego dwaj bracia, byłby pewniejszy siebie. Nim jednak osiągnął odpowiedni wiek, ojciec stracił pracę, a on trafił do terminu jako solarz u rozmodlonego Williama Vaughana, purytańskiego sklepikarza w Londynie, i nie miał już czasu na naukę.

Po chwili jednak słowa zaczęły układać mu się w głowie, a pióro przenosiło je powoli na papier. Lecz potrzebował niemal godziny, by przygotować cały tekst. Był podniosły i może nie do końca poprawny, ale szczery i obejmujący wszystko, co chciał powiedzieć. Will podmuchał na papier, odchylił się na oparcie krzesła i czekał, aż słońce wzejdzie wyżej i z dołu dobiegną odgłosy porannej krzątany. Dopiero wtedy podszedł do łóżka i lekko potrząsnął ramieniem teścia.

– Napisałem coś – oznajmił.

– Niech no rzucę okiem... – Ned wziął od niego petycję, odsunął ją na długość ramienia i spojrzał na tekst zaspanymi oczami.

Obdarzony miłosierdziem Pana, który pozwolił mu opuścić ojczyste brzegi i pokonać niezmierzone głębie; dotarłszy do tej krainy, gdzie pozostaje przybyszem; stając oto przed Panem pośród wiernego Mu ludu, pokornie prosi, by mógł należną chwałę składać Bogu i Jego imieniu. I by mógł pokornie błagać Pana, by nadal obdarzał swego niegodnego sługę dobrocią i miłosierdziem; by czynił wszystko w zgodzie z ewangelią i zawsze trwał wiernie przy Panu; i miłował Go, i służył Mu we wszelkiej doli i niedoli.

Ned przeczytał cały tekst i skinął głową.

– Dobrze to ująłeś.

– A jak z gramatyką?

– Ujdzie.

– Więc rzecz jest postanowiona? – spytał Will. – Ujawnimy się?

Dyskutowali o tym niemal cały poprzedni dzień. Teraz teść oddał mu petycję.

– Co Oliver zrobiłby na naszym miejscu? – odezwał się. – Nie chowałby się na strychu, możesz być tego pewien. Chodziłby z dumnie podniesioną głową, a w Dzień Pański modliłby się z innymi wiernymi.

– Więc dam to naszemu przyjacielowi.

Will włożył buty i zszedł na dół.

W salonie zastał Gookinów, którzy przygotowywali się właśnie do wyjścia do domu modlitwy. Przekazał kartkę gospodarzowi, razem z referencjami pastorów z Londynu, potwierdzającymi, że on i jego teść doświadczyli oświecenia.

Daniel Gookin czytał petycję, marszcząc przy tym brwi i przygryzając dolną wargę.

– Rozumiecie, że muszę podać waszą prawdziwą tożsamość i powód, dla którego przybyliście do Ameryki? – spytał, gdy skończył.

– Rozumiemy.

– Mary, co o tym myślisz?

Mary uważała, że trochę już za późno, by pytać ją o zdanie. Coraz bardziej jednak lubiła Willa – jego cichą powagę, pobożność, uważność, z jaką rozmawiał z dziećmi. Nie chciała go zniechęcać.

– Róbcie, co uważacie za najwłaściwsze.

W oddali zaczął bić dzwon. Daniel wsunął kartki do kieszeni.

– Powiadomię was, gdy tylko zgromadzenie zagłosuje.

Wyszli w ustalonym szyku, z Danielem na przedzie i małym Nathanielem na końcu. Will wrócił na strych.

– Poszli.

Ned – rozebrany do pasa, pochylony nad miednicą i zajęty myciem – skinał tylko głową.

Will usiadł przy stole, zamknął oczy, wsunął palec w Biblię i otworzył ją na chybił trafił. Bóg zawsze wskazywał mu właściwy fragment i tak też się stało tego ranka.

– *Wysłuchaj, Panie, słuszności, zważ na me wołanie, przyjmij moje modły z warg nieobludnych*⁶.

Włożywszy koszulę, Ned podszedł do okna i spojrzał na rzekę przez lunetę. Do brzegu właśnie zbliżał się prom z koniem oraz wozem wypełnionym pasażerami i kilkoma mężczyznami i kobietami stojącymi na pokładzie. Wszyscy w średnim wieku. Bez dzieci. Wyglądało na to, że się spieszą. Gdy tylko prom dobił do brzegu i opuszczono trap, zeszli pospiesznie na drogę wiodącą przez mokradła, wzdłuż strumienia i obok domu. Już po chwili wszyscy zniknęli mu z oczu. Wkrótce potem umilkł dzwon i zapadła cisza.

Ned złożył lunetę i położył się na łóżku. Przez osiemnaście lat oficerskiej służby nauczył się, że należy okazywać pewność siebie nawet wtedy, gdy się jej nie czuje. Był pewien, że postępują słusznie, ujawniając swoją tożsamość, choćby dlatego, że wielu ludzi i tak już ją znało: kapitan Pierce, kilku pasażerów z *Prudent Mary*, gubernator Endecott, Gookinowie... Nie należało się raczej spodziewać, że gadatliwe dzieciaki dochowają takiej tajemnicy. Nie wiedział jednak, czy

społeczność Cambridge zechce przyjąć jego i Willa. A jeśli podejmie niekorzystną dla nich decyzję? Co wtedy? Musieliby stąd szybko wyjechać. Tylko dokąd? Choć Ameryka była ogromną krainą, Ned miał wrażenie, że trudno tu znaleźć dobrą kryjówkę, przynajmniej dla sześćdziesięcioletniego i czterdziestodwuletniego mężczyzny, którzy prócz wojaczki niewiele potrafią i mają mało pieniędzy.

Wciąż się nad tym zastanawiał, gdy pół godziny później usłyszał, jak otwierają się drzwi frontowe domu, a potem ktoś wbiega na schody. Sięgnął pod poduszkę i położył palec na spuście pistoletu, lecz gdy drzwi pomieszczenia na poddaszu się otworzyły, stał w nich tylko młody Samuel Gookin, ogromnie dumny z roli, jaką mu powierzono.

– Ojciec mówi, że macie natychmiast przyjść!

Każdy zabrał swoją Biblię i podążyli za chłopcem po schodach. Wyszli z domu i ruszyli drogą w górę zbocza, w stronę wioski. Rozglądali się z zaciekawieniem. Z dala od drogi stało kilka domów, takich samych jak ten Gookinów, oddalonych od siebie i wybudowanych na ogrodzonych działkach, lśniących jasno w porannym słońcu. Z przodu nad osadą górowały dachy i kominy college'u. Zdawało się, że wokół domów nie ma żywej duszy i ta pustka połączona z wielką przestrzenią i poczuciem obcości sprawiały, że obaj mężczyźni czuli się dziwnie zaniepokojeni, jakby znaleźli się we śnie. Neda ogarnęła nagle dojmująca tęsknota za domem. Dobry Boże, nigdy do tego nie przywyknę, pomyślał.

Przed nimi Samuel truchtał niestrudzenie.

Dom modlitwy był skromnym budynkiem postawionym na planie kwadratu o boku długim na czterdzieści stóp, miał dwie kondygnacje z oknami i ściany obłożone gontem, który przybrał szarą barwę podobną do koloru rybiej łuski; spiczasty dach wieńczyła mała dzwonnica przypominająca ul. Przed budynkiem stało mnóstwo koni, wozów i dwukółek. W ciszy słychać było jedynie śpiew ptaków. Samuel otworzył drzwi i weszli do dobrze oświetlonego chłodnego wnętrza z galerią. Oba poziomy wypełnione były milczącymi ludźmi – mężczyźni siedzieli po jednej stronie, kobiety po drugiej, dzieci z tyłu. Wszyscy odwrócili się do wyjścia, gdy weszli dwaj pułkownicy. W tym momencie Ned był całkowicie

pewien, że wierni głosowali przeciwko nim. Lecz Daniel Gookin wstał i zaczął klaskać, a po chwili dołączyli do niego pozostali i nagle drewniany budynek wypełnił się aplauzem. Pastor zszedł z mównicy i ruszył w ich stronę; uśmiechał się i wyciągał ręce w geście powitania.



Pastor rozpoczął kazanie od cytatu z Księgi Powtórzonego Prawa, przypominającego o tym, że zawsze należy być gotowym na śmierć. „Grzesznicy powinni pamiętać, że śmierć nadejdzie z całą pewnością, nie wiadomo jedynie kiedy, i że podejmują straszliwe ryzyko, jeśli odejdą od Chrystusa choćby na jeden dzień”. Mówił mocnym, głębokim głosem z akcentem z hrabstwa York, podnosząc ręce i oczy ku niebu i nakłaniając słuchaczy, by szukali Bożej łaski w cnotie bezinteresownej gościnności.

Jako goście honorowi Ned i Will zostali usadzeni w pierwszym rzędzie. Will wysłuchał całego kazania z zamkniętymi oczami; co jakiś czas kiwał głową i pomrukiwał z aprobatą. Ned natomiast po pierwszych trzydziestu minutach zaczął tracić wątek. Obracając lekko głowę, rozglądał się ukradkiem. Najpierw spojrzał na zasłuchane twarze sąsiadów z ławki, a potem na zatłoczoną galerię nad pastorem. W końcu ponownie skupił się na kapłanie. Był to mężczyzna po trzydziestce, krępy, ciemnowłosy, z krótką czarną brodą i zrosniętymi brwiami, które tworzyły jedną ciemną linię. Ned odniósł wrażenie, że już go gdzieś widział, a potem przyszło mu do głowy, że to właśnie on ich obserwował, gdy kapali się w rzece.

Próbował oczyścić umysł z tych myśli i otworzyć serce na Słowo Boże. Gdy po godzinie kazanie dobiegło końca, odśpiewał wraz z innymi psalm (*Złożyłem w Panu całą nadzieję*⁷) i odmówił Modlitwę Pańską. Wysłuchał uważnie omówienia ustępu z Księgi Izajasza (*Odwagi! Nie bójcie się! Oto wasz Bóg, oto – pomsta*⁸). Gdy spotkanie zakończyło się i stali na zewnątrz w blasku słońca, starał się usilnie zapamiętać imiona i nazwiska wszystkich parafian, których przyprowadził i przedstawił im Daniel Gookin, poczynając od wielobnego Charlesa Chaunceya, rektora College’u Harvarda, potężnie zbudowanego i dostojnego

mężczyzny po sześćdziesiątce, odzianego w czarne kapłańskie szaty i otoczonego przez małe stadko przejętych studentów, którzy z szacunkiem kiwali głowami. Miał różową szeroką twarz, pomarańczową perukę na głowie, a przy szyi biały kołnierz z befką.

– Jestem przekonany, że Pan sprowadził was do tego kraju zarówno dla waszego, jak i dla naszego dobra – powiedział takim tonem jak sędzia ogłaszający wyrok. – Musicie odwiedzić college i zjeść z nami obiad.

– Bylibyśmy zaszczyceni, prawda, Will? – odparł Ned.

– W rzeczy samej, panie Chauncey, z przyjemnością, choć oczywiście nie chcielibyśmy się narzucać...

– Narzucać się? Jesteście niczym aniołowie, którzy zstąpili tu prosto z niebios!

Kiedy rektor i jego studenci odeszli, Daniel Gookin przedstawił pułkownikom członka parafialnej starszyny, pana Frosta, i gdy ten przywitał ich chrapliwym głosem, przyszła kolej na procesję farmerów o twarzach spalonych słońcem i wychudłych od ciężkiej pracy. Ned ścisnął ich spracowane dłonie, notując w pamięci kolejne nazwiska – Thomas Danforth, Golden Moore, Nathaniel Sparrowhawk, Abraham Errington. Ci pracowici prości ludzie przypominali mu pierwszych rekrutów pułku kawalerii Cromwella.

Zerkał stale na pastora, rozmawiającego z parafianami przy wejściu do domu modlitwy. Ten w końcu wyczuł chyba, że jest obserwowany; spojrzawszy na Neda i minutę później pożegnał się z wiernymi, by przejść po trawie do miejsca, gdzie stali pułkownicy z ich gospodarzem.

– Proszę tutaj – powiedział Daniel, zapraszając go do grupy. – Panowie – zwrócił się do Neda i Willa – jeśli jeszcze nie rozboleły was głowy od nadmiaru nazwisk, pozwolę sobie przedstawić wam wielebnego Jonathana Mitchella. Jonathanie, to pułkownik Edward Whalley i pułkownik William Goffe.

Pastor skłonił głowę przed każdym z nich.

– Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek zapomnieli pana nazwisko, panie Mitchell, nie po takim kazaniu – powiedział Will.

– Ach... – Pastor westchnął skromnie. – Wie pan, jak to jest, panie Goffe, kiedy spłynie na człowieka natchnienie. To wyłącznie zasługa Boga. Słyszałem od Daniela, że i pan wygłasza piękne kazania.

– Czasami.

Mitchell spojrział na Neda.

– Jak długo zamierzacie, panowie, pozostać w Cambridge, pułkowniku Whalley?

– To zależy od sytuacji w Anglii. Dobry Bóg z pewnością nie pozwoli, by jego przeciwnicy triumfowali zbyt długo. Gdy tylko rząd upadnie, wrócimy do domu.

– A na razie my mamy być waszym schronieniem przed burzą, tak?

W słowach pastora pobrzmiewał ton, który nie spodobał się Nedowi, choć nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Zdawało się, że ani Will, ani Daniel nie zwrócili na to uwagi.

– Oczywiście jesteśmy wam bardzo wdzięczni za to schronienie – odparł Ned, po czym dodał swobodnym tonem: – A właśnie... czy to nie pastora widziałem kilka dni temu nad rzeką?

Mitchell zmarszczył gęste brwi, jakby wyteżał pamięć.

– Nie, nie sędzę. Dopiero wczoraj wieczorem wróciłem z Bostonu. – Spojrział na coś ponad ich ramionami. – Widzę, że pani Simes czeka cierpliwie, żeby zamienić ze mną słowo. Niedawno owdowiała. Porozmawiamy dłużej przy innej okazji. – Znowu uprzejmie skłonił głowę przed jednym i drugim przybyszem z Anglii i odszedł.

Kiedy szli w dół zbocza, w stronę domu, Will zwrócił się do teścia:

– Nie mówiłeś mi, że widziałeś kogoś nad rzeką.

– Bo nie byłem pewien, czy rzeczywiście tam kogoś widziałam. To nieważne.

Z pewnością jednak ważne było co innego: pastor kłamał. I jeśli rzeczywiście był wczoraj w Bostonie, mógł o nich wypytywać. A skoro nie chciał się do tego przyznać, to wcale nie był im tak życzliwy, jak twierdził.



W ciągu następnego tygodnia Neda i Willa rzeczywiście traktowano niczym – jak to ujął Chauncey – aniołów, którzy zstąpili prosto z nieba. Siedzieli w salonie Gookinów i przyjmowali kolejnych sąsiadów, którzy pragnęli poznać dwóch najwyższych rangą oficerów Anglików, jacy postawili stopę w Ameryce. Szczególne zainteresowanie mieszkańców osady i okolic wzbudziła wiadomość, że Ned jest krewnym Cromwella, wszyscy więc wypytywali go, czy to prawda.

– W rzeczy samej, mam ten zaszczyt. Moja matka, Frances Cromwell, była siostrą ojca lorda protektora.

– Jaki był? – To pytanie padało bardzo często.

– Był niezwykły – odpowiadał krótko Ned, zamykając w ten sposób temat.

Sąsiedzi zapraszali ich na poczęstunek i wspólne czytanie Pisma, a że Ned i Will nie mieli nic innego do roboty, przyjmowali zaproszenia i wkrótce stali się dobrze znanymi postaciami – z Bibliami w dłoniach chodzili po zarośniętych trawą drogach: w górę Wood Street do domu modlitwy przy Cow Yard Lane, w dół Crooked Street i Creek Lane. Ned starał się zapamiętać układ dróg przecinających osadę: główny trakt prowadzący z Bostonu na południe biegł między grzędzawiskami Ox Marsh i Ship Marsh, przez całe Cambridge, obok college’u i na błonia, gdzie pasło się bydło; droga na zachód prowadziła do Watertown, a na wschód wiodła ścieżka wzdłuż rzeki, aż do rafy ostrygowej i glinianki. Do osady można więc było wjechać i – co ważniejsze – wyjechać z niej czterema drogami. Ned, otoczony tyloma bratnimi duszami, czuł się wprawdzie w Cambridge całkiem bezpiecznie, ale zawsze uważał, że takie rzeczy warto wiedzieć.

W następną niedzielę w domu modlitwy było tłoczniej niż poprzednio, zjechali się bowiem ludzie z miejscowości odległych o wiele mil, by zobaczyć na własne oczy pułkowników, którzy czuli się nieco skrępowani taką sławą. Wielebny Mitchell wygłosił kolejne piękne kazanie, lecz po nabożeństwie ich unikał, a przynajmniej takie wrażenie odniósł Ned.

Rano w czwartek dziewiątego sierpnia, trzynastcie dni po ich przybyciu do Ameryki, zdarzyło się coś, co zarzutowało na losy dwóch pułkowników.

Byli właśnie u Goldena Moore'a, do którego zabrali ich synowie Gookinów, by pokazać im miot urodzonych niedawno spanieli, gdy w drzwiach szopy Moore'a pojawiła się Mary Gookin. Wyraźnie podenerwowana, wytarła dłonie w fartuch i oznajmiła, że przyjechał do nich John Norton.

– A kim jest ten John Norton? – spytał Ned.

– Pastorem Pierwszego Kościoła w Bostonie – odpowiedział Golden Moore, który już od jakiegoś czasu nie był w stanie pracować na roli, zgięty niemal w pół pod ciężarem lat. – Człowiekiem wielce wykształconym.

– I przyjechał tu aż z Bostonu? – zdziwił się Will.

– Na to wygląda.

– Skoro jest tak wybitnym człowiekiem i przybył z tak daleka, to chyba powinniśmy pójść i porozmawiać z nim – stwierdził Ned.

Chłopcy zaczęli głośno protestować; chcieli zostać i bawić się ze szczeniakami albo wziąć jednego do domu. Mary była jednak nieugięta i kazała im zostawić pieska, po czym wszyscy ruszyli w dół zbocza. Zastali wielebnego Nortona przy bramie; przyglądał się pracom prowadzonym nad rzeką. Był szczupłym dystygowanym mężczyzną koło pięćdziesiątki, o długich rzadkich włosach z przedziałką pośrodku, wiszących niczym zasłony po obu stronach posępnej twarzy. Przywiózł ze sobą list starszyny swojego Kościoła z zaproszeniem na jego wykład następnego dnia po południu i spotkanie w jego domu, które miało się odbyć potem. Ned przeczytał list i podał go Willowi.

– Członkowie naszego zboru bardzo chcieliby panów poznać – powiedział Norton. – Chciałem przekazać to panom osobiście.

Will, który czytał właśnie list, pokręcił z wahaniem głową.

– Gubernator Endecott radził nam nie opuszczać Cambridge – oznajmił.

– Ale skoro w Bostonie wiedzą już, że się tu zatrzymaliśmy, nie ma to chyba większego znaczenia, prawda? – zauważył Ned. – Ci, którzy chcieliby nas

skrzywdzić, znajdą nas bez trudu.

– Jesteśmy Kościołem z bardzo surowymi zasadami – zapewnił Norton. – Przyjmujemy tylko sprawdzonych ludzi. Będziecie, panowie, wśród przyjaciół.

– Mimo wszystko uważam, że najpierw powinniśmy spytać o radę gubernatora – upierał się Will.

– Gubernator też tam będzie – odrzekł Norton z uśmiechem.

Zbity z tropu Will nie odezwał się.

Daniel Gookin nie mógł im towarzyszyć, bo spodziewał się gościa, więc narysował im mapkę.

– To bardzo ładny kościół, nie można go nie zauważyć – powiedział. – Kierujcie się po prostu w stronę przystani.

Wyruszyli w drogę następnego dnia, tuż po południu, uzbrojeni w szpady. Na wszelki wypadek wzięli też pistolety i ukryli je pod skórzanymi płaszczami.

Prom był drewnianą platformą, która mogła pomieścić dwa wozy z końmi, przymocowaną do liny przerzuconej nad rzeką. Czekali do ostatnich chwil przed odpłynięciem, by mieć pewność, że nie wsiądą jacyś pasażerowie. Przewoźnik cały czas na nich patrzył i w końcu, przekonany, że nie pojawi się już nikt więcej, podniósł pochylnię, splunął w dłonie, pochwycił za linę i zaczął przeciągać platformę na drugi brzeg.

Było chłodniej, niż kiedy płynęli do Cambridge; niebo przesłaniały niskie chmury, a zimny wiatr od Atlantyku marszczył powierzchnię rzeki, jakby przestrzegał, że lato wkrótce się skończy. Ned spojrzał na malejące w oddali domy osady i próbował sobie wyobrazić, jak czułby się uwięziony zimą w takim miejscu. Cambridge już zaczynało go nudzić. Był pewien, że postępują słusznie, wybierając się do Bostonu. Mieli zaledwie pięćdziesiąt funtów; wcześniej czy później będą musieli poszukać sobie pracy, a w mieście z pewnością o to łatwiej.

– Może wrócimy do swoich starych zawodów, Will? – Trącił zięcia łokciem, żeby go trochę rozweselić. – Ty zostaniesz solarzem, a ja kupcem bławatnym, co ty

na to? Moglibyśmy otworzyć sklep. Albo mógłbyś zostać pastorem, bo to chyba twoje prawdziwe powołanie.

Will podniósł wzrok znad wody, uśmiechnął się do teścia, po czym znów pogрузzył się w rozmyślaniach. Frances, Dick, Betty, Frankie, Nan i Judith. Co teraz robią? Która godzina jest w Anglii?

W niewiele ponad minutę przepłynęli na drugi brzeg i ruszyli drogą biegnącą wzdłuż rzeki. Początkowo mieli ją tylko dla siebie – po prawej stronie płynęła wartko rzeka, po lewej ciągnęły się zielone pastwiska upstrzone skrawkami lasu, całkiem jak w Anglii, a w oddali widać było początek rozleglejszej puszczy, która okrywała niskie wzgórza niczym ciemny koc. Po chwili minęli wóz zaprzężony w konia, zmierzający do Cambridge, i zaczęły się pojawiać coraz liczniejsze oznaki osadnictwa: rozrzucone po okolicy gospodarstwa, wiatrak, a przy nim dom ze stodołą i ogrodzone pastwisko dla bydła. Po półgodzinnej wędrówce dotarli do miejsca, gdzie rzeka zakręcała i rozszerzała się przy ujściu. Stamtąd zobaczyli Boston – fort na cyplu – rozciągający się za nim ocean, szary niczym ołów, i kilkanaście statków o wysokich masztach, zacumowanych w kanale. Na ten widok obaj przyspieszyli kroku.

Czuli się cudownie, mogąc po tak wielu miesiącach znów spacerować swobodnie po prawdziwym mieście, stąpać po drewnianych chodnikach, przyglądać się zatłoczonemu rynkowi, przeciskać przez tłum żeglarzy, wciągać w nozdrza zapach świeżo złowionych ryb, podziwiać piękne ceglane budynki kryte dachówkami. Na ruchliwych ulicach, którymi ciągnęły setki ludzi zaaferowanych swoimi sprawami, nikt nie zwracał na nich większej uwagi. W końcu, kierując się mapą Daniela Gookina, dotarli w pobliżu nabrzeża do imponującej dwupiętrowej budowli na rogu ulicy, z wybrukowanym dziedzińcem przed wejściem, gdzie czekał już na nich komitet powitalny: wielebny Norton, gubernator Endecott oraz kilku innych purytanów, członków Pierwszego Kościoła w Bostonie.



Tematem wykładu wielebnego Nortona był list świętego Pawła do Hebrajczyków, a konkretnie pytanie, dlaczego Chrystus przyjął postać człowieka, a nie anioła. *Zaiste bowiem nie aniołów przygarnia, ale przygarnia potomstwo Abrahamowe*⁹.

Gdy Ned słuchał jego słów, serce napełniało mu się radością, jakiej nie czuł od wielu miesięcy, a właściwie od lat. Czy ten Kościół nie był dokładnie tym, co pragnęli osiągnąć, tocząc wojnę domową? Czy nie walczyli właśnie o to, by mogli w środku tygodnia siedzieć w domu modlitwy z prostym, skromnym stołem zamiast ołtarza; z oknami ze zwykłych szyb, a nie kolorowych bałwochwalczych wizerunków aniołów; bez wymyślnych koronkowych komż i bez muzyki organowej, która odciągałaby ich od prawdy; bez napuszonych biskupów w bogatych pałacach; bez grzesznego króla, który świętokradczo uznaje siebie za głowę Kościoła Chrystusowego – właśnie o tę wolność bezpośredniego doświadczania słowa Pana?

– Amen! – zawołał, gdy wykład dobiegł końca. – Amen! Amen!

Will zerknął na niego, nieco zaskoczony. Nigdy jeszcze nie widział, by teść tak otwarcie okazywał zapal religijny. Ned wciąż był zachwycony, gdy po dyskusji wychodzili na ulicę.

– Tak właśnie należy dowodzić prawd wiary, Will, jasno i niezbiacie! – Ujął zięcia pod łokieć. – Pan zesłał na ziemię człowieka z krwi i kości, byśmy wszyscy poszli za nim... pokornego człowieka, *potomstwo Abrahamowe*... i wyniósł go ponad aniołów, by mógł nas nauczać, że nie trzeba bać się śmierci – perorował, przystanąwszy na dziedzińcu przed domem modlitwy. – Cała reszta to kazuistyka i papizm...

– Whalley! – krzyknął ktoś ze zdumieniem. – Edward Whalley!

Ned umilkł i rozejrzał się. Kilku mężczyzn o dość odstręczającej powierzchowności, którzy nadeszli chwiejnym krokiem od strony przystani, zatrzymało się naprzeciwko kościoła, a jeden z nich wskazywał na Neda.

– To stary Ned Whalley! – powtórzył. Mówił z silnym gardłowym akcentem, do tego nieco bełkotliwie, ale jego słowa były wystarczająco zrozumiałe. – Znam tego łajdaka! – wrzasnął. Wciąż wskazywał na Neda ręką, niczym starotestamentalny prorok. – Wziął mnie do niewoli pod Dunbar!

Norton, Endecott i pozostali odwrócili się, by zobaczyć, co się dzieje.

– Mówi tak, jakby zszedł z tego szkockiego statku, który przyplłynął dziś rano – zauważył ktoś.

– Ach tak... – Ned pokiwał głową, odzyskując pewność siebie. Próbował zbagatelizować tę historię. – No jasne, to musi być Szkot!

Nagle grupa awanturników ruszyła przez ulicę w ich stronę. Około dwudziestu członków Pierwszego Kościoła szybko otoczyło Neda i Willa, by ochronić ich przed napaścią.

– Mój dom jest tuż obok – powiedział Norton. – Powinniśmy się pospieszyć.

Purytanie ruszyli ulicą. Szkot i jego towarzysze szli za nimi i dotrzymywali im tempa. Dokoła zbierało się coraz więcej gapiów.

– Whalley, Whalley! – wołał prześladowca Neda. – Założę się, że ten drugi chujek to Goffe, jego zięć. Obaj poszukiwani za zabicie króla!

Ned zaczął wyciągać szpadę, lecz Will złapał go za ramię i powstrzymał.

– Nie tutaj, jeszcze nie teraz.

Dotarli do domu Nortona. Stary Endecott – zasapany i czerwony na twarzy – odwrócił się do Szkota.

– Jestem gubernatorem tej kolonii, a ci panowie są naszymi gośćmi. Trzymaj język na wodzy albo każę cię aresztować za zakłócanie spokoju! – Odwrócił się do Neda i Willa i dał znak, by weszli do środka.

Szkot, pokonany, stanął z rękami opartymi na biodrach, wspierany przez towarzyszy.

– Gdyby nie wasi opiekunowie, wywleklibyśmy was stąd za włosy! – wrzasnął.

– Wszystkie włosy na naszych głowach są policzone przez Pana! – odkrzyknął przez ramię Will. – Nie boimy się was!

Drzwi domu zamknięto z trzaskiem, a potem zaryglowano.



Purytanie, którzy schronili się we wnętrzu budynku, stali w małych grupkach i zerkali na dwóch pułkowników. Zdenerwowany Ned dyszał ciężko. Żałował, że Will nie pozwolił mu wyciągnąć szpady. Dźgnąłby tego szkockiego psa raz czy dwa, żeby nauczyć go manier.

– Źle się stało, że ten człowiek właśnie wtedy przechodził i zobaczył pana, pułkownika Whalley – powiedział Endecott. – Domyślam się, że pan go nie rozpoznał, prawda?

– Pod Dunbar wzięliśmy pięć tysięcy jeńców, panie gubernatorze, więc nie, nie rozpoznałem go!

Na samą wzmiankę o Dunbar Ned poczuł tępy ból w ramieniu, w miejscu, w które wtedy został zraniony. O tak, to była bitwa! Choć wróg przewyższał ich liczebnie i drogę ucieczki odcinało im morze, dzięki Bożej łasce zdołali się przegrupować pod osłoną ciemności, tuż przed świtem zaskoczyli Szkotów i popędzili ich aż do samego Edynburga. Większość jeńców przeprowadzono do Anglii i uwięziono w katedrze w Durham. Tysiąc sześciuset z nich zmarło z głodu i chorób – przykra sprawa, z którą Ned nie miał nic wspólnego. Pozostałych przewieziono statkami do kolonii i sprzedano jako niewolniczą siłę roboczą. Trzy tysiące funtów za towar z jednego statku; państwo bardzo potrzebowało tych pieniędzy

Uświadomił sobie, że jego odpowiedź zabrzmiała zbyt ostro, dodał więc uprzejmiejszym tonem:

– Ale teraz przypominam sobie, że część Szkotów wysłano do Massachusetts.

– Pracowali tu w kopalniach rudy żelaza, w tartakach i w innych miejscach. Ostatnich uwolniono w tym roku. – Endecott zamyślił się na moment. – Nie wiedziałem, że był pan pod Dunbar. Mamy w kolonii wielu Szkotów, weteranów z królewskiej armii. Boston może się okazać dla was bardziej niebezpieczny, niż

przypuszczałem. – Odwrócił się do okna, przez które gospodarz wyglądał na ulicę.

– Czy ci łajdacy już sobie poszli, panie Norton?

– Tak, panie gubernatorze, odeszli. Z pewnością żeby awanturować się gdzie indziej.

– Kapitanie Michelson! – zawołał Endecott do tęgiego mężczyzny po pięćdziesiątce. – Byłby pan tak dobry i sprowadził tu kilku zbrojnych, żeby odeskortowali naszych szanownych gości do Cambridge? – powiedział, po czym zwrócił się do Neda: – Kapitan Michelson jest dowódcą naszej straży miejskiej.

– To bardzo miłe z pana strony, gubernatorze, ale poradzimy sobie sami – odparł Ned.

– Nie wątpię, ale będzie to dla wszystkich sygnał, że jesteście pod naszą ochroną, i być może zapobiegnie podobnym incydentom w przyszłości.

Gdy tylko Michelson wyszedł, nastroje wśród zebranych nieco się poprawiły. Dom Nortona był przestronny, a biel ścian, jasne szerokie deski podłogowe i wysokie sufity pogłębiały to wrażenie. Z myślą o gościach ustawiono na długim stole dzbanki z wodą i tace z jedzeniem. Po chwili salon wypełnił się gwarem rozmów. Przez następną godzinę Norton oprowadzał Neda i Willa wśród gości. Bostońscy purytanie różnili się od członków wspólnoty Kościoła w Cambridge; było tu mniej farmerów, a więcej kupców i prawników oraz paru lekarzy. Było też kilku pastorów, między innymi Jonathan Mitchell. Ten przywitał się serdecznie z pułkownikami i wyraził ubolewanie z powodu nieprzyjemnej sceny na ulicy.

– Pijana hołota – skwitował, wyrażając powszechną opinię.

Ned wziął sobie kawałek chleba i sera. Chętnie napiłby się piwa, ale gospodarz nie oferował takich napitków.

– A to jest pan John Crowne – powiedział Norton, popychając do przodu młodego mężczyznę. – Student College’u Harvarda, który u mnie mieszka.

Crowne był ostatnim z gości, których przedstawiono Nedowi i Willowi, i najwyraźniej wcale nie miał ochoty ich poznać. Nie podał im ręki, lecz od razu wypalił:

– Czy to, co mówili tamci ludzie, to prawda? Jesteście poszukiwani za zamordowanie króla?

– Nie słyszałem, by wydano taki nakaz, przynajmniej przed naszym wyjazdem z Anglii – odparł Will. – Poza tym to nie było morderstwo.

– A po waszym wyjeździe?

– Miarkuj się, John – ostrzegł młodego człowieka Norton. – Ci panowie są moimi gośćmi.

– To prawda, i oczywiście może pan podejmować, kogo tylko chce. Ale nie przyszedłbym tutaj, gdybym wiedział o tych oskarżeniach.

W pokoju zapadła cisza; spoglądano z zaciekawieniem na studenta i pułkowników.

– Ile pan ma lat, panie Crowne? – odezwał się w końcu Ned.

– Dziewiętnaście.

– Dziewiętnaście! Tak myślałem. Był pan dzieckiem, kiedy sądzono króla. Nie wie pan nic o okolicznościach.

– Wiem, jak brzmi piąte przykazanie – oświadczył Crowne. – *Nie zabijaj.*

– A my wiemy, jakie jest przesłanie Księgi Wyjścia – odpowiedział mu Will. – *Oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę...*¹⁰ Karol Stuart nie był niewiniątkiem. Zabił tysiące ludzi.

– Ale był waszym królem... naszym królem.

– Korona w nazwisku... – Ned z uśmiechem odwrócił się do pozostałych gości – i korona w sercu, jak widzę!

Odpowiedział mu głośny śmiech. Crowne poczerwieniał.

– Proszę wybaczyć, wielobny. – Ukłonił się gospodarzowi. – Ale nie mogę pozostać dłużej pod tym dachem.

– Johnie!

– Niech mówi, co uważa – wtrącił Ned. – Ma prawo do swojego zdania.

Ktoś zapukał głośno do drzwi.

– To pewnie Michelson – powiedział Endecott. – Proszę go wpuścić, panie Norton.

Kiedy jednak gospodarz otworzył drzwi, w progu stał ktoś inny: elegancki wysoki mężczyzna, wyprostowany i pewny siebie. Tuż za nim stał Szkot, który zaczepił wcześniej Whalleya, oraz jego kompani. Norton próbował zamknąć drzwi, lecz nieznajomy zablokował je stopą. Ned wyciągnął szpadę i tym razem zięć nie próbował go powstrzymać, lecz sam sięgnął po broń.

– Dzień dobry, panie Norton – odezwał się uprzejmym tonem wysoki mężczyzna i dotknął kapelusza. – Jestem kapitan Thomas Breedon.

– Wiem, kim pan jest – rzucił Norton. – To prywatne spotkanie.

Breedon przechylił głowę, po czym rozejrzał się.

– Widzę, że jest tu też pan Endecott! Dzień dobry, panie gubernatorze. I jeśli się nie mylę, są też pułkownik Edward Whalley i pułkownik William Goffe.

– Proszę się odsunąć, panie Norton – rozkazał Endecott i stanął przed nim. – Co pana tu sprowadza, kapitanie?

– Co mnie sprowadza? To chyba oczywiste. Ci ludzie są poszukiwani za zabicie króla.

– To pan tak twierdzi. Ja nie otrzymałem żadnego listu z Anglii, który by na to wskazywał.

– Więc pozwoli pan, że przeczytam najnowszy biuletyn z Londynu. – Breedon sięgnął do kaftana i wyjął zadrukowany arkusz papieru. – Przywieziono go dzisiaj, na szkockim statku, i jest w nim mowa o następującej decyzji parlamentu: *Izba Gmin zgromadzona w parlamencie dnia 17 maja 1660 roku postanowiła po uprzednim głosowaniu, że wszystkie osoby, które osądzały zabitego Króla i wydały wyrok śmierci, oraz majątki, zarówno nieruchomości, jak i mienie osobiste, wszystkich tych osób, czy to pozostające w ich rękach, czy w rękach innych, mają zostać niezwłocznie przejęte i zabezpieczone. Wszyscy szeryfowie i inni stróże prawa mają jak najszybciej wykonać niniejszy rozkaz. A tutaj jest lista nazwisk tych, którzy mają zostać zatrzymani i pozbawieni majątku.* – Podsunął biuletyn pod

nos gubernatora i wskazał palcem miejsce. – Widzi pan? Są tu też nazwiska Whalleya i Goffe’a.

– Być może. – Endecott uniósł dumnie głowę. – Ale to tylko biuletyn, a nie nakaz.

– Domagam się więc, by kazał pan ich aresztować i trzymać pod kluczem, dopóki nie otrzyma pan takiego nakazu.

– „Domaga się” pan? – W głosie gubernatora pobrzmiwały nuty oburzenia. – Może się pan „domagać”, ile tylko pan chce, kapitanie, ale to nie pan będzie rozstrzygał w tej kwestii. Ja sprawuję władzę w tej kolonii.

– Służy pan Koronie...

Podczas gdy dyskusja toczyła się dalej, Ned wyszeptał do Nortona:

– Proszę mi powiedzieć, kim jest ten kapitan Breedon.

– Zamożnym kupcem. Właścicielem statku. Rojalistą. Wrogiem purytanizmu.

Ned rozejrzał się.

– Jest tu jakieś tylne wyjście? – spytał.

– Oczywiście.

– Co o tym myślisz? – zwrócił się do zięcia. – Powinniśmy się wycofać?

Will szybko dokonał w myślach oceny sytuacji: gubernator przy wejściu; inni purytanie zebrani za jego plecami, gotowi go wesprzeć; Breedon na czele swojej hałastry, ale tak pochłonięty zaciętą dyskusją z Endecottem, że zapomniał na chwilę o tych, po których tu przyszedł.

– Myślę, że to roztropna propozycja – szepnął Will do teścia.

Obaj schowali szpady i przemknęli się za pastorem Nortonom do kuchni; minęli służącą, która przywarła do ściany i wpatrywała się w nich z rozdziawionymi ustami, i znaleźli się na podwórzu. Norton otworzył furtkę w murze, wyszedł na ulicę, rozejrzał się i wrócił do pułkowników.

– Droga wolna, panowie – oznajmił. – Jeśli skróćcie w lewo, a potem w prawo, wyjdziecie na drogę do Cambridge.

– Przykro nam, że narobiliśmy panu kłopotów, wielbny – powiedział Ned.

- Nic się nie stało. To nasza wina. Nie powinniśmy byli was tu ściągać.
- Chętnie odwiedzimy ponownie tę wspólnotę, jeśli zostaniemy zaproszeni.
- Oczywiście, oczywiście, że to zrobimy.

Lecz wahanie w głosie Nortona i pośpiech, z jakim wypychał ich na ulicę, wcale na to nie wskazywały. Will przypuszczał, że prawdopodobnie po raz ostatni widzi wielebnego Nortona i Pierwszy Kościół w Bostonie.



Poruszali się szybko; nie biegli, bo to przyciągałoby uwagę, lecz energicznie stawiali długie kroki. Dopiero gdy opuścili miasto i znaleźli się na drodze prowadzącej wzdłuż rzeki Charles, odważyli się spojrzeć za siebie. Wyglądało na to, że nikt ich nie ściga.

Zaczął padać deszcz – zaskakująco zimne duże, ciężkie krople siekły powierzchnię wody i liście drzew niczym pociski z muszkietów. Ned i Will szli w milczeniu, chowając głowy w ramionach i rozmyślając o tym, co się właśnie wydarzyło. Właściwie nie spodziewali się niczego innego, ale gdy ujrzeli upublicznione drukiem postanowienie parlamentu, zagrożenie ze strony wrogów wydało się nagle znacznie realniejsze. Do tego skonfiskowano ich majątki! Tego nie przewidzieli. *...majątki, zarówno nieruchomości, jak i mienie osobiste, wszystkich tych osób, czy to pozostające w ich rękach, czy w rękach innych, mają zostać niezwłocznie przejęte i zabezpieczone.* Co to oznaczało? Zajęcie nie tylko domów dających schronienie ich żonom i dzieciom, ale też krzeseł, na których siedzieli, noży i łyżek, którymi jedli? Posiadłości i ziem, będących jedynym źródłem ich dochodów? Ich rodziny będą doszczętnie zrujnowane.

Ned wyczuwał rozpacz zięcia. Instynkt nie mylił Willa: nie powinni byli wybierać się do Bostonu, nie sprawdzwszy wcześniej, czy to bezpieczne.

– Cóż, przynajmniej wiemy, na czym stoimy – powiedział w końcu, by rozładować napięcie.

Will spojrział na niego z ukosa. Jego twarz była blada, ściągnięta w gniewnym grymasie, ociekała wodą.

– I co nam to niby daje? – rzucił.

– Wiemy już, że w przyszłości musimy być ostrożniejsi.

– Mówisz mi to teraz? – Will nigdy dotąd nie mówił do teścia takim tonem.

Przez dalszą drogę żaden się nie odezwał.

Dotarli do przeprawy promowej dopiero po godzinie, późnym popołudniem; było szaro i posepnie od deszczu. Prom był po stronie Cambridge, a przewoźnik najwyraźniej postanowił na ten dzień zakończyć pracę. Stał odwrócony do nich plecami, z kapturem naciągniętym na głowę. Początkowo udawał, że ich nie słyszy. Musieli przykładać dłonie do ust, wrzeszczeć z całych sił i machać rękami, by dał się przekonać i po nich przyplłynął.

Kiedy odbili od brzegu, Ned stał sam, na szeroko rozstawionych nogach. Otarł oczy rękawem i usłyszał, jak podchodzi do niego zięć.

– Wybacz, proszę, te szorstkie słowa – powiedział Will. – Wiesz, że jeśli chodzi o mnie, niczym się nie przejmuję, nie obawiam się o życie ani o majątek. Ale nie mogłem przestać myśleć o Frances i o dzieciach. Musi im być teraz bardzo ciężko. Ciężej niż nam.

– Wiem. Przykro mi.

– Myślę, że od tej pory nie powinniśmy opuszczać Cambridge, tak będzie najrozsądniej. – Will położył dłoń na ramieniu teścia. Obaj patrzyli na osadę wyłaniającą się zza zasłony deszczu. – Musimy mieć wiarę. *Postępowanie wasze niech będzie wolne od chciwości na pieniądze: zadowolajcie się tym, co macie. Sam bowiem powiedział: Nie opuszczę cię ani pozostawię*¹¹.

Gdy prom uderzył w przybrzeżną płyciznę, obaj polecili gwałtownie do przodu.

– Amen – dodał Ned.

6 Ps 17, 1.

7 Ps 40, 2.

8 Iz 35, 4.

9 Hbr 2, 16.

10 Wj 21, 24.

11 Hbr 13, 5.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nieco ponad dwa tygodnie później, w ostatnią sobotę sierpnia – wyjątkowo piękne zakończenie lata jak na angielskie warunki – Richard Nayler stał na dziedzińcu Lambeth House, dokładnie naprzeciwko gmachu parlamentu wznoszącego się na drugim brzegu Tamizy. W jednej ręce trzymał ołówek, a w drugiej dokument wydany przez Izbę Gmin, który nakazywał przekazać w jego pieczę wszystkich więźniów przebywających obecnie w Lambeth.

Nayler znał wszystkich przynajmniej z widzenia. Mimo to, gdy wyprowadzano ich z piwnic, ze skutymi rękami i nogami, uprzejmie pytał każdego o nazwisko i odznaczał je na liście. Czternastu spośród siedemnastu mężczyzn, którzy znaleźli się na tej liście, podpisało wyrok śmierci na króla; pozostali byli sędziami podczas procesu. Cała siedemnastka oddała się w ręce parlamentu, licząc na królewskie miłosierdzie. Gdy teraz wychodzili jeden po drugim na dziedziniec, chorobliwie bladzi po kilku miesiącach spędzonych pod ziemią, mrużyli oczy, oślepieni nagłym blaskiem słońca. Ci, którzy wciąż nie mogli się pogodzić z utratą swojego statusu, wypytywali gniewnie, co ich teraz czeka.

– Krótka podróż w dół rzeki – odpowiadał Nayler uprzejmie i wskazywał na pomost, przy którym czekała barka.

Kiedy wszyscy znaleźli się na pokładzie i podpisał dokument potwierdzający odbiór więźniów, Nayler zajął miejsce na rufie i nasunął kapelusz na oczy. Gdy odbili od brzegu, opuścił rękę za burtę i jego dłoń muskała powierzchnię wody. Tuż za nimi płynęła łódź, w której siedzieli żołnierze. Zgodnie z przewidywaniami Hyde'a ujawnienie pisemnego rozkazu wykonania wyroku śmierci na nowo rozbudziło w parlamencie żądzę zemsty. Wydawało się, że nic nie będzie jej w stanie zaspokoić, Nayler był jednak pewien, że nastroje przycichną, gdy uda się wyłapać pozostałych dziewięciu, którzy woleli salwować się ucieczką. Wiedział

mniej więcej, gdzie przebywa siedmiu z nich, rozproszonych po różnych krajach Europy. Tylko Whalley i Goffe zniknęli bez śladu. Świadomość, że tych dwóch wciąż cieszy się wolnością, skutecznie psuła mu dobry humor.

Barka przepłynęła pod Mostem Londyńskim, a potem skręciła w lewo, w stronę Tower. Kiedy wpływała do Bramy Zdrajców, wśród grupki więźniów rozległ się głośny jęk. Nim zacumowali, na nabrzeżu czekał już komendant Tower, sir John Robinson, z kilkunastoma strażnikami. Nayler nie przepadał za tym człowiekiem – głupim, chełpliwym londyńskim kupcem.

Wysiadł z łodzi i Robinson poświadczył przyjęcie więźniów, opierając dokument na udzie i składając na nim niedbały podpis.

– Nie chce pan ich policzyć, sir Johnie? – spytał Nayler, zirytowany jego niedbalstwem.

– Wierzę panu na słowo, panie Nayler – odparł komendant, oddając mu dokument.

Strażnicy bezceremonialnie wyciągnęli więźniów z barki i poprowadzili wzdłuż nabrzeża. Obok Naylera przeszedł chwiejnym krokiem pułkownik Scroope z zakrwawioną głową.

– Nasi nowi strażnicy są z pułku irlandzkich katolików – oznajmił Robinson. – Dobrze pamiętają masakry Cromwella w Droghedzie i Wexfordzie. Obawiam się, że królobójców spotka tu ciężki los.

Nayler poczekał, aż ostatni z więźniów wejdzie na schody i zniknie w mrocznym wnętrzu Tower, po czym wszedł na pusty pokład i ruszył w drogę powrotną do Whitehall. Gdy wiosła zanurzyły się w wodzie i barka zaczęła oddalać się od posępnej kamiennej fortecy o potężnych murach i wąskich oknach, po raz pierwszy od wielu lat doświadczył czegoś, o czym niemal całkiem już zapomniał: zwykłego ludzkiego współczucia.



Przez następne trzy dni Nayler pracował niemal bez wytchnienia. Niewiele spał i z wyświechtaną skórzaną teczką, zawierającą raporty z przesłuchań i kompromitujące dokumenty, krążył między mieszkaniem w Essex House, swoim gabinetem mieszczącym się naprzeciw sali Tajnej Rady w pałacu Whitehall, kancelariami prawników Korony w okolicach Fleet Street i salami posiedzeń różnych komisji parlamentu w pałacu Westminster. We wtorek dwudziestego ósmego sierpnia parlament zatwierdził Akt Łaski, a następnego dnia Nayler w nagrodę za swoje starania został zaproszony do karety sir Edwarda Hyde'a, by pojechać z nim z Worcester House do Izby Lordów i zobaczyć na własne oczy, jak Jego Królewska Mość składa podpis pod nową ustawą.

Lord kanclerz, okryty ciężkimi czarno-złotymi szatami, i jego paż siedzieli w karecie naprzeciwko Naylera. Mięśnista twarz Hyde'a spływała potem, wilgotne dłonie spoczywały na gałce laski. Kiedy mijali Banqueting House, spojrzął na okno, przez które wyszedł król w dniu egzekucji.

– Ulice będą spływały krwią przez tydzień, może dwa – mruknął. – Miejmy nadzieję, że potem uda nam się z tym skończyć. – Zamilkł i nie odezwał się, dopóki nie zatrzymali się przy pałacu Westminster, przed wejściem dla członków Izby Lordów. – No cóż... – westchnął – miejmy to za sobą.

Nayler przystanął przy balustradzie w Izbie Lordów i śledził z obojętnością rozwój wydarzeń. Feeria barw, gwar rozmów, przeszywający dźwięk fanfar, nagła cisza, trzask otwierających się drzwi po przeciwnej stronie sali, który oznaczał, że zebrani mają wstać, nawet pojawienie się króla w koronie i wspaniałej szacie z czerwonego aksamitu, podbitej gronostajami – nic nie zrobiło na Naylerze większego wrażenia. Wiedział, że powinna to być dla niego chwila triumfu, lecz po śmierci Sary nie potrafił już odczuwać przyjemności ani zadowolenia.

Hyde podniósł się z trudem z fotela kanclerskiego i poprosił króla, by przemówił.

Jego Królewska Mość był potężnym mężczyzną, o stopę wyższym od ojca, jurnym, przystojnym, ciemnowłosym i ciemnookim; kiedy był młodszy, nazywano

go Czarnym Chłopcem. Odczytał przemówienie, które napisał dla niego Hyde i które później sprawdził Nayler, głosem pełnym teatralnej władczości.

– Przemawiałem przed wami już wiele razy, ale nigdy nie robiłem tego równie ochoczo jak dziś. Niewielu jest w Królestwie ludzi, którzy czekali na uchwalenie tej ustawy równie niecierpliwie jak ja...

Nayler, rozglądając się po sali, zatrzymał wzrok na kilku znanych mu twarzach. Dostrzegł markiza Hertfordu, człowieka mocno już posuniętego w latach i schorowanego, który niedawno otrzymał tytuł księcia Hertfordu; księcia Yorku, siedzącego obok tronu i wyraźnie znudzonego młodszego brata króla; sir Orlanda Bridgema, przewodniczącego Sądu Najwyższego, który pomagał prokuratorom przygotowywać akty oskarżenia i przewodniczył posiedzeniom sądu podczas procesu królobójców – ci nie mogli raczej w tej sytuacji liczyć na bezstronność wyroku.

– ...ta sama roztropność – ciągnął król – i dobra wiara, które skłaniają mnie ku łaskawości, tak bliskiej mojej naturze, zmuszają mnie jednak do tego, bym teraz wykazał się nieustępliwością i surowością. Dlatego też zaklinam was wszystkich, drodzy lordowie, byście poparli tę sprawiedliwą i konieczną surowość...

Gdy po raz drugi rozbrzmiało słowo „surowość”, spośród szeregów zgromadzonych podniósł się głęboki pomruk aprobaty.

Uroczystość wkrótce dobiegła końca. Król zakończył przemówienie płaczliwym błaganiem o pieniądze, które dotąd musiał wykladać z własnej kieszeni („Odkąd przybyłem do Anglii, nie mogłem jeszcze dać moim braciom choćby szylinga”). Urzędnicy podsunęli mu ustawę określającą warunki ułaskawienia; pochylił się nad stołem, podpisał ją, wysłuchał oklasków, a potem, pozdrowiwszy skinieniem głowy kilka osób, które rozpoznał, wyszedł tymi samymi drzwiami, przez które wszedł do sali. Hyde truchtał jego śladem na spuchniętych nogach. Dał znak Naylerowi, by wszedł za nim do zatłoczonego pokoju za tronem.

Grupa kobiet – obwieszonych biżuterią, z wysoko spiętymi włosami i głębokimi dekoltami – przyglądała się królowi. Sługa, stojący za plecami Jego

Wysokości, zdjął z niego gronostajowy płaszcz, inny stanął przed nim na palcach i uniósł z głowy monarchy koronę. Nayler nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nagle król wygląda całkiem zwyczajnie. Gdyby minął go na ulicy, pomyślałby, że to włoski kupiec, który wybiera się do krawca.

Monarcha stał odwrócony do niego bokiem, uśmiechał się do dam i puszczał do nich oko.

– Wasza Królewska Mość – odezwał się kanclerz – czy mogę przedstawić pana Richarda Naylera, który z ogromną gorliwością starał się postawić przed obliczem sprawiedliwości zabójców ojca Waszej Wysokości?

Król z ociąganiem odwrócił się od kobiet i wyciągnął rękę.

Nayler uklonił się nisko i pocałował ją.

– Wasza Wysokość.

Już dwukrotnie przedstawiano go królowi, ale ten najwyraźniej wciąż go nie pamiętał.

– Jesteśmy panu bardzo wdzięczni za pańskie starania, panie... – Król spojrzał pytająco na Hyde'a.

– Nayler – podsunął kanclerz.

– Panie Nayler. – Monarcha uśmiechnął się, skinął głową i zwrócił się do Hyde'a: – Wydaje mi się, że poszło całkiem nieźle, sir Edwardzie.

– Znakomicie, Wasza Królewska Mość.

Najwyższa spośród kobiet stanęła przed lordem kanclerzem i ujęła króla pod rękę.

– Sir Edwardzie, chyba wystarczy już na dziś polityki, prawda? Jego Wysokość potrzebuje teraz przynajmniej godzinę odpoczynku.

Król roześmiał się głośno, odsłaniając duże białe zęby, i pozwolił, by kobieta wyprowadziła go z sali.

Hyde postukał laską w podłogę.

– Odpoczynek... Więc tak to się teraz nazywa?

– Prawdziwa piękność – stwierdził Nayler ostrożnie. – Kto to?

– To pani Palmer – odparł kanclerz z niesmakiem. – Proszę mi nie mówić, że żaden z pańskich szpiegów jeszcze o niej nie wspominał. Król umieścił ją w domu tuż obok swojego pałacu.

Nayler drgnął zaniepokojony.

– W którym dokładnie domu, sir Edwardzie?

– W najbliższym, oczywiście. W rezydencji Whalleya.



Jakąś godzinę później, gdy tylko Nayler mógł opuścić komnatę, w której był król, wyszedł z pałacu Westminster, minął tawerny i małe dziedzińce, po czym skręcił w King Street, w stronę pałacu Whitehall.

Środkiem ulicy płynął strumień. Wszystkie domy w pobliżu pałacu wzniesiono w stylu flamandzkim. Przylegały do siebie, miały po dwa lub trzy piętra, dwuspadowe dachy i wykuszowe okna wystające ponad ulicą. Belki były pozłacane i pomalowane jaskrawymi farbami, pasującymi do umieszczonych nad drzwiami herbów właścicieli.

Nayler wiedział, który z tych domów należał do Whalleya; obserwował go od końca maja. Na jego polecenie Katherine Whalley oraz jej pasierbica, Frances Goffe, z dziećmi mogły tam pozostać jeszcze długo po tym, jak powinny zostać eksmitowane. Niestety, kobiety były bardzo ostrożne i nie zdradziły w żaden sposób, gdzie mogą przebywać ich mężowie. Mimo to Nayler wolał, by przebywały tam, gdzie miałyby je na oku. Okazało się jednak, że wyrzucono je, by zrobić miejsce dla kochanicy króla, i usunięto rodzinny herb Whalleya, przedstawiający głowy trzech wielorybów wystające z wody. Pozostały po nim jedynie otwory w ścianie.

Zgubił kobiety, dzięki którym mógł dotrzeć do dwóch uciekinierów.

Przeszedł przez ulicę i pociągnął za uchwyt dzwonka u drzwi. Otworzył mu starszy służący.

– Tak?

– Dzień dobry. – Nayler dotknął kapelusza. – Szukam pani Whalley.

– Wyprowadziła się.

Z wnętrza dobiegły hałasy: muzyka i kobiecy śmiech. A po chwili jakiś szklany przedmiot upadł na podłogę i rozbił się z trzaskiem. Służący obejrzał się przez ramię.

– Może mi pan powiedzieć, dokąd się przeniosła? – spytał Nayler. – Jestem przyjacielem rodziny... bardzo dobrym przyjacielem.

W korytarzu za służącym pojawił się mężczyzna w rozpiętej do pasa koszuli; trzymał szyjkę rozbitej butelki.

– Jego Wysokość potrzebuje wina – powiedział.

Nayler rozpoznał w nim księcia Yorku.

Służący uklonił się nisko.

– Tak, jaśnie książe. – Spojrzał przeproszająco na przybysza i zamknął drzwi.

Nayler odszedł kawałek dalej. Nie był zszokowany, bo niewiele go już dziwiło. Skoro wybrany przez Boga Karol, syn zabitego króla, zasiadł na tronie, to Nayler nie miał prawa tego negować. Przeklinał go jednak za rozpasane żądze. Odczekał kilka minut i ponownie zadzwonił do drzwi.

Tym razem stary sługa miał dla niego więcej czasu. Obejrząwszy się przez ramię, spytał:

– Naprawdę jest pan przyjacielem Whalleyów?

– Oczywiście.

– Więc jest pan i moim przyjacielem. Służyłem u nich przez siedem lat. Uczciwi, bogobojni ludzie. Stracili wszystko. Nie została im nawet świeczka.

– To prawdziwe okrucieństwo. – Nayler westchnął, składając dłonie jak do modlitwy. – Żeby karać żony i dzieci za grzechy mężów i ojców... Dokąd się przenieśli?

– Do szwagra pani Whalley – służący zniżył głos do szeptu – wielebnego Hooke'a, w Savoy Hospital.

– Znalazł im pokoje?

- Zamieszkali u niego. Jest tam zarządcą.
- Służba! Gdzie ty się podziewasz, do diabła? – rozległ się głos księcia Yorku. Stary służący spojrział ze smutkiem na Naylera i zamknął drzwi.



Od razu poszedł do Savoy Hospital. Miał na sobie swoje najlepsze dworskie buty ze srebrnymi sprzączkami oraz jedwabne białe rajtuzy, musiał więc uważnie stawiać stopy i unikać cuchnących stert łąjna i kałuż mocz – ludzkiego i końskiego – które zalegały na ulicy.

Stojący przy Strandzie Savoy Hospital, zaraz za Essex House, był przytułkiem dla biednych i chorych, który w czasie wojny domowej służył za szpital dla purytanów. Nayler, Bogu dzięki, nigdy dotąd nie miał powodu, by tam zaglądać. Dotarłszy do końca mrocznej alei, przeszedł przez bramę i znalazł się na cmentarzu pełnym szarych kamiennych nagrobków z czasów Tudorów, które przechylały się na różne strony niczym zepsute zęby. Po prawej stała kaplica, a z przodu i po lewej dwie fortece z czerwonej cegły, czarne od dymu węglowego i upstrzone maleńkimi oknami. W cieniach zalegających pod murami kulili się londyńscy nędzarze okryci poszarpanymi łachmanami. Między grobami kuśtykali o kulach ranni weterani pozbawieni różnych kończyn. To przerażające miejsce wyglądało zdaniem Naylera jak więzienie, a nie szpital. Przypominało mu długi okres niemocy i choroby, z którą zmagał się po Naseby, a także areszt, w którym przetrzymywano go po śmierci żony.

Przechadzał się po dziedzińcach i zachwaszczonym ogrodzie, wypatrując Katherine Whalley albo jej pasierbicy. W końcu spotkał kobietę z pękiem kluczy u pasa i ta pokazała mu, gdzie mieszka zarządcą przytułku – w całkiem miłym dla oka budynku, porośniętym bluszczem i przypominającym dom wykładowcy w Oksfordzie. Teraz Nayler już się nie dziwił, że żony Whalleya i Goffe’a szukały tutaj schronienia. Zastanawiał się przez chwilę, czy powinien się tam pokazywać, doszedł jednak do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Powie wielebnemu Hooke’owi, że ma wiadomość dla Katherine Whalley, a jeśli ta będzie w domu,

wymyśli na poczekaniu jakąś historyjkę. Lecz kiedy zadzwonił do drzwi, zrozumiał od razu, że zarządcę przytułku zmieniono, otworzył mu bowiem człowiek w komży, który z pewnością nie był purytaninem.

– Szukam wielebnego Hooke’a – powiedział Nayler.

– Hooke się wyprowadził – odparł ksiądz z nieskrywaną satysfakcją. – Został mianowany przez Cromwella, a teraz go zwolniono.

Nayler z trudem stłumił jęk zawodu.

– Wyprowadził się? Dokąd?

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Wiem tylko tyle, że tydzień temu wyniósł się stąd razem ze swoimi domownikami.

– Ilu było tych domowników?

– Jakieś dziesięć osób, głównie kobiety i dzieci.

– Nie zostawili nowego adresu?

– Mieli tylko dzień na to, żeby się spakować i opuścić ten dom. Sami pewnie nie wiedzieli, co ze sobą zrobią. W Anglii nie ma już miejsca dla takich jak William Hooke. W jego wieku trudno mu będzie znaleźć jakąś pracę.

– Jest stary?

– Ma około sześćdziesiątki.

Nayler westchnął i cofnął się o krok.

– Gdyby dowiedział się pan przypadkiem, gdzie można go znaleźć, proszę przesłać wiadomość do siedziby Tajnej Rady Królewskiej, dobrze? Nazywam się Richard Nayler.

Ksiądz pokiwał gorliwie głową.

– Oczywiście, panie Nayler. – Wiedząc już, że ma do czynienia z wysoko postawionym człowiekiem, wyraźnie spokorniał. – Może powinien pan popytać o niego w purytańskich domach modlitwy w Spitalfields. Wspierają się nawzajem jak Żydzi. – Po krótkim namyśle dodał: – Możliwe też, że Hooke wróci do Ameryki.

Nayler, który właśnie się odwracał, przystanął i spojrzał na księdza.

– Do Ameryki?

– Oczywiście. Mieszkał tam prawie przez dwadzieścia lat, kierował jakąś wspólnotą fanatyków religijnych.



Następnego popołudnia Nayler zorganizował w swoim małym gabinecie naprzeciwko sali Tajnej Rady, z oknami wychodzącymi na ogrody pałacu Whitehall, spotkanie ludzi najbardziej zaangażowanych w poszukiwania królobójców. Na tablicy ustawionej na sztaludze umieścił tabelę z nazwiskami uciekinierów i miejscami, w których prawdopodobnie przebywali.

W spotkaniu uczestniczyła ta sama czwórka co zwykle: sekretarz Naylera, Samuel Nokes, pracowity młody prawnik po studiach w Lincoln's Inn; doktor John Wallis, wykładowca geometrii z college'u w Oksfordzie, najlepszy kryptolog w całej Anglii, podczas wojny domowej zwolennik parlamentu, człowiek, który złamał szyfr królewskiej korespondencji przejętej pod Naseby i dał się przekonać, by służyć swoimi umiejętnościami również nowym władzom; pułkownik Henry Bishop, poczmistrz generalny, dzięki któremu komisja miała dostęp do wszystkich listów przechodzących przez londyńską sortownię; oraz William Prynne, członek parlamentu pochodzący z Bath, najbardziej fanatyczny spośród tropicieli królobójców, zawsze noszący czarny skórzany kaptur, by ukryć to, że dwadzieścia lat wcześniej zakuto go w dyby i obcięto mu uszy.

Kiedy doktor Wallis złożył raport dotyczący ostatnich zaszyfrowanych wiadomości, które wymieniali między sobą uciekinierzy w Holandii i ich sympatycy w Anglii, Nayler podniósł kwestię Whalleya i Goffe'a. Opowiedział o wizycie w domu przy King Street i rozmowie ze służącym – taktownie pomijając to, co jeszcze tam zobaczył i usłyszał – a potem o wyprawie do Savoy Hospital, gdzie powiedziano mu, że rodziny poszukiwanych musiały się wyprowadzić. Kiedy skończył relację, zauważył, że młody Nokes przygląda mu się z zaciekawieniem,

zapewne zdumiony tym, że Nayler podjął się tak nudnego zadania, przeszedł więc szybko do konkluzji:

– Mówiąc krótko, panowie, jestem przekonany, że jeśli mamy znaleźć tych dwóch zdrajców, musimy najpierw odszukać ich rodziny. Goffe ma małe dzieci. Prawdopodobnie wcześniej czy później spróbuje się z nimi skontaktować. Miłość to ich słaby punkt.

– Czy obaj nadal trzymają się razem? – spytał pułkownik Bishop. – Jeśli tak, to ich kolejny słaby punkt. Dwóch mężczyzn podróżujących razem bardziej rzuca się w oczy niż samotny wędrowiec.

– Przypuszczam, że nadal są razem – odparł Nayler. Przypomniawszy sobie tamto Boże Narodzenie, gdy Whalley i Goffe stali przy ołtarzu w Essex House i łajali wiernych. – Za życia Cromwella często działali wspólnie.

– Muszę przyznać, że wciąż zdumiewa mnie to, jak skutecznie nam się wymknęli – oznajmił Wallis. Jak zwykle mówił z typowym dla naukowca dystansem; dla niego pościg za królobójcami był po prostu serią matematycznych zadań, które należało rozwiązać. – W żadnej z szyfrowanych wiadomości między innymi zbiegami i ich zwolennikami nie ma choćby wzmianki o tych dwóch. Kompletna pustka, jakby po prostu zniknęli z powierzchni ziemi.

– A ja zacząłem się zastanawiać, czy nie popłynęli do Ameryki – powiedział Nayler. Rozmyślał o tym przez pół nocy. – Siostra pułkownika Whalleya jest żoną purytańskiego pastora, niejakiego Hooke'a, który przez wiele lat działał w amerykańskiej społeczności fanatyków religijnych. Gdyby tam uciekli, tłumaczyłoby to, dlaczego nie mają kontaktu z pozostałymi królobójcami.

– Musieliby tam popłynąć przed końcem maja – zauważył Nokes. – Bo od tamtej pory sprawdzamy wszystkich pasażerów opuszczających Anglię. Chyba że wypłynęli z Holandii.

– Wtedy na pewno byśmy o tym wiedzieli, prawda? Panie Nokes, proszę wysłać któregoś z naszych ludzi do komory celnej, żeby sprawdził listy pasażerów

statków, które popłynęły do Ameryki w kwietniu i maju. Być może podróżowali pod przybranymi nazwiskami.

– Tak jest. – Nokes skinął głową, notując polecenie.

– Czy mamy jakiegoś informatora w purytańskiej społeczności w Spitalfields?

– spytał Nayler.

– Mamy kilku – odparł Nokes.

– Więc trzeba im przykazać, by wypytywali... dyskretnie... o miejsce pobytu walebnego Hooke'a. Jestem pewien, że on doprowadzi nas do rodzin Whalleya i Goffe'a.

– Będzie hakiem z przynętą, na którą złapiemy ryby – wtrącił Prynne, uśmiechając się z rozbawieniem.

Na zapadniętych policzkach miał blizny po literach *SL*, którymi piętnowano wywrotowców i oszczerców; na polecenie sądu wypalono je na jego twarzy w tym samym czasie, gdy obcięto mu uszy. Po latach litery zatraciły swój pierwotny kształt i zamieniły się w dwa brązowe zgrubienia. I choć Prynne poniósł tę okrutną karę za rządów Karola I, kierując się jakąś pokrętną logiką, został rojalistą.

– Znam tych dwóch, Whalleya i Goffe'a – kontynuował. – Stali obok pułkownika Pride'a i jego żołnierzy, nie pozwolili mi wejść do parlamentu, bo wiedzieli, że jestem jednym z tych posłów, którzy będą głosować przeciwko postawieniu króla przed sądem. Przez wiele tygodni trzymano mnie w paskudnym lochu i wypuszczono dopiero po zamordowaniu Jego Królewskiej Mości. Bardzo chciałbym zobaczyć, jak dyndają na szubienicy, a potem kat wypruwa im flaki.

Nayler pokiwał głową na znak aprobaty, ale milczał; co więcej, odwrócił wzrok, by nie dojrzeć samego siebie w fanatycznych oczach Prynne'a.



Dwa dni później, w sobotę, wkrótce po wschodzie słońca Nayler siedział w gabinecie i pisał notatkę służbową dla sir Orlanda Bridgema, gdy nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadł podekscytowany Nokes.

– Znalaziono Hooke’a! Pewien bogaty purytanin, niejaki Gold, użyczył mu swojej wiejskiej rezydencji.

Nayler odłożył pióro, odchylił się na oparcie krzesła i parsknął radosnym śmiechem. Szybko się jednak opanował.

– Czy to może być prawda? Bogacz o nazwisku Gold? Jesteś pewien, że to nie kiepski żart?

– Tak, proszę pana, jestem pewien – odparł Nokes z powagą. – Otrzymałem tę wiadomość z zaufanego źródła. Wczoraj wieczorem kazałem obserwować ten dom na wsi i dziś rano otrzymałem meldunek, że rzeczywiście przebywa tam Hooke z żoną i pozostali, kobiety i dzieci.

– Gdzie to jest?

– Po drugiej stronie Tamizy, w Clapham.

– Zauważono tam jakichś innych mężczyzn?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Ale nie masz pewności.

– Nie, proszę pana.

Nayler przez chwilę milczał, stukając palcami w blat stołu. Rozmyślał o tym, że choć nie jest to zbyt prawdopodobne, musi na wszelki wypadek założyć, że Whalley i Goffe wciąż przebywają ze swoimi rodzinami.

– Porozmawiaj z dowódcą straży – odezwał się w końcu. – Opisz całą sytuację i powiedz mu, że potrzebujemy kilkunastu zbrojnych, by jeszcze dziś sprawdzić dom w Clapham.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Frances Goffe nie umiałaby nawet opisać, w jak żalosnej sytuacji znalazła się w wieku dwudziestu sześciu lat. Jediną zaletą jej położenia było to, że nie miała czasu, by się nad nim zastanawiać. W ciągu kilku miesięcy utraciła męża i ojca, pozycję w społeczeństwie, dom, majątek, pieniądze, służbę i spokój umysłu – wszystko prócz silnej prostej wiary, że Bóg miał jakiś ważny powód, by zesłać na nią te nieszczęścia, i że jej obowiązkiem jest cierpliwie je znosić. Gdyby nie to, z pewnością straciłaby rozum, co – jak się zdawało – spotkało już jej matkę.

Frances miała pięcioro dzieci w wieku poniżej ośmiu lat – szczególnie martwiły ją bardzo chorowite Betty i Nan – lecz były dla niej mniejszym ciężarem niż matka, która leżała obok niej na łóżku, z otwartymi oczami, nieruchoma, podczas gdy Frances próbowała wlać jej do ust trochę zupy, a jednocześnie karmiła piersią najmłodszą pociechę, maleńkiego Richarda. Dopiero zaczynało się robić jasno. Na górze słychać było, jak ciotka Jane mówi Frankie, najstarszej córce Frances, by pomogła się ubrać swojej siostrze Judith. William Hooke był w kuchni i czytał Biblię; spośród nich wszystkich to jemu chyba najmniej przeszkadzały skromne warunki, w których przyszło im żyć.

Mieszkali w małym domu, właściwie chacie z dwoma pokojami na piętrze, stojącej na końcu drogi, pół mili za miasteczkiem. Hooke'owie zajmowali jeden z tych pokoi, cztery córki Frances drugi, a ona spała w salonie na parterze, na sienniku, który rozkładała co wieczór na wilgotnej podłodze między łóżkiem matki i łóżeczkiem synka. Oprócz łóżek, stołu i kilku drewnianych krzeseł w kuchni w domu nie było mebli, ponieważ pan Gold zamierzał wyburzyć ten dom i postawić nowy. Nie potrzebowali jednak kredensu, komód czy szaf, bo i tak nie byłoby czego do nich włożyć. Cały ich majątek składał się z ubrań, które mieli na sobie, kilku dodatkowych koszul i strojów na noc, lalek dziewczynek i trzech

Biblii. Hooke'owie byli zamożniejsi – nie skonfiskowano im majątku – lecz ich rzeczy zostały w magazynie w centrum Londynu. Wuj William, który nie miał głowy do pieniędzy i oddał większość oszczędności Willowi i Nedowi, gdy ci wypływali do Ameryki, pożyczył od pana Golda dziesięć funtów. Ciotka Jane codziennie wybierała się z kilkoma szylingami do miasteczka po jedzenie, które potem przygotowywała z Frances. Nie mieli służby. Nie przypominało to ani trochę życia, do którego przywykła Frances – apartamentu w Somerset House, domu przy King Street, szacunku, jakim cieszyła się rodzina pozostająca w zażyłych stosunkach z lordem protektorem.

„Głowa do góry, dziecko – mówił wuj William, gdy widział ją płaczącą. – Nasz Pan miał jeszcze mniej, a my przecież mamy jeszcze siebie nawzajem”.

Ale Frances nie miała już męża.

Mały Richard przestał ssać i usnął. Położyła go do łóżeczka i ponownie spróbowała nakarmić matkę. Katherine Whalley nie była wcale stara; ledwie skończyła czterdzieści lat. Właściwie była jej macochą – prawdziwa matka zmarła, gdy Frances była jeszcze dzieckiem. Katherine całkiem jednak posiwiiała, a jej skóra wyglądała niczym całun, którym okryto kości. Chorowała od lat, od ostatniego poronienia, a teraz zachowywała się tak, jakby całkiem straciła kontakt z rzeczywistością; odwracała głowę niczym obrażone dziecko. Zupa wyciekła z jej ust i spłynęła na poduszkę. Frances wytarła ją ściereczką, położyła się na sienniku i zakryła dłonią oczy.

Will... Will... Will...

Wyruszył do Ameryki niemal cztery miesiące temu. Nie wiedziała, czy dotarł do celu. Upłynęło jeszcze zbyt mało czasu, by mogła otrzymać taką wiadomość. Nie chciał uciekać, ale ubłagała go, by ze względu na dzieci i nią nie oddawał się w ręce wroga. Świadomość, że towarzyszy mu jej ojciec, dodawała Frances nieco otuchy. Ojciec był człowiekiem praktycznym i sprytnym, podczas gdy Will chodził z głową w chmurach i widział wszystko w czarnych barwach. Wstydziała się trochę, że myśli o nim w ten sposób, ale taka była prawda. Pokochała go jako szesnastolatka, poślubiła w wieku lat osiemnastu i znała go lepiej niż ktokolwiek na

tym świecie. Usiadła prosto i odszukała palcami małe nacięcie, które zrobiła w krawędzi siennika. Wsunęła palce w słomę i wyciągnęła jedyne trzy rzeczy, które jej zostawił: kosmyk włosów, miniaturowy portret i ostatni list, wysłany tuż przed wejściem na pokład statku. Przywiózł go wuj William, gdy pożegnał się z ojcem i mężem Frances w Gravesend.

Serce moje najdroższe, Bóg nas ochroni, bo przecież On kieruje wszystkim, co dzieje się na ziemi. Módl się za mnie, tak jak ja zawsze modłę się za Ciebie. Jesteś największym skarbem, jakim mnie obdarzył. Wrócę do Ciebie, gdy tylko będę mógł.

Will napisał to starannym charakterem pisma na kawałku papieru wyrwanym z notesu. Atrament był lekko rozmazany, brakowało podpisu i daty. Frances przeczytała list raz jeszcze. Powąchała kosmyk włosów męża. Przez chwilę wpatrywała się w jego ukochaną twarz na portrecie – szerokie oczy, wąski nos i delikatne usta – a potem ją ucałowała. W tym samym momencie usłyszała, jak woła ją ciotka. Frances schowała swoje skarby w głębi siennika i wyszła na górę, by zobaczyć, w czym może jej pomóc.



Kilka godzin później, gdy zbliżało się południe i ciotka Jane wróciła z miasteczka z chlebem i serem, a Frances właśnie nabrała ze studni wody, żeby wyprać koszule nocne dzieci, William Hooke wrócił pospiesznie z sadu i powiedział, że drogą nadjeżdżają konno żołnierze.

Frances dojrzała strach w jego oczach.

– Myślisz, że jadą do nas? – spytała.

– Nie ma tu innych domów prócz naszego. Dokąd indziej mieliby jechać?

Podniosła Nan z podłogi w kuchni, podała ją Frankie i przykazała starszej córce, by zabrała siostrzyczkę i Judith do pokoju na piętrze, gdzie Betty leżała jeszcze w łóżku.

– I zostańcie tam, dopóki nie każę wam zejść – dodała.

Z ogrodu dobiegły męskie głosy i parskanie koni. Dwóch żołnierzy przeszło obok kuchennego okna. Dom był otoczony. Chwilę później rozległo się walenie do drzwi. William uchylił je lekko i został odepchnięty na bok przez mężczyzn uzbrojonych w muszkiety i obnażone szpady. Wtargnęli do domu, po czym niektórzy pobiegli do salonu, a inni wdarli się na schody. Dwaj wycelowali muszkiety we Frances i Hooke'ów; krzyczeli, że mają się nie ruszać. Chwilę później do kuchni wszedł niski, barczysty mężczyzna.

– Wielebny William Hooke, jak sądzę? – Dotknął uprzejmie kapelusza i odwrócił się do ciotki Jane. – A pani jest Katherine Whalley, tak?

– Nie, proszę pana. Nazywam się Jane Hooke.

– Proszę wybaczyć. – Spojrzał na Frances. – Jest pani zapewne panią Goffe. – Przyglądał jej się przez moment. Miał bardzo ciemne oczy.

Frances dostrzegła w nich dziwny błysk, jakby zrozumienia lub zażyłości, który przyprawił ją o gęsią skórę.

– Gdzie jest pani Katherine Whalley? – spytał nieznajomy.

– W łóżku, proszę pana. Jest chora – wyjaśniła Frances.

– Proszę mnie do niej zaprowadzić.

William otrząsnął się wreszcie z szoku.

– Chwileczkę – rzucił. – Jakim prawem wchodzicie do naszego domu?

– Mamy nakaz aresztowania pułkownika Whalleya i pułkownika Goffe'a, o czym dobrze pan wie.

Jeden z żołnierzy krzyknął z piętra:

– Nie ma tu nikogo, panie Nayler, prócz kilku dziewczynek!

Frances dojrzała na twarzy Naylera przelotny wyraz rozczarowania.

– Cóż, tego należało się spodziewać. – Odwrócił się do niej. – Z pewnością powie mi pani, że nie ma pojęcia, gdzie ich szukać.

– Nie widziałam męża ani ojca od wielu miesięcy.

– Doprawdy? Przeszukajcie dokładnie cały dom! – zawołał do żołnierzy na piętrze. – Przewróćcie go na drugą stronę, jeśli będzie trzeba – dodał, po czym zwrócił się do Frances: – Proszę mnie zabrać do pani Whalley.

Zaprowadziła go do salonu. Katherine podciągnęła koc do szyi i wpatrywała się w sufit. Nayler pochylił się nad nią i przyjrzał się jej uważnie. Przesunął dłonią przed jej oczami. Nie zareagowała.

– Od jak dawna jest w takim stanie?

– Odkąd wyrzucono ją z jej domu na ulicę i nie pozostawiono jej grosza przy duszy.

– Nie ma pani braci ani sióstr, którzy mogliby wam pomóc?

– Mam brata i dwóch braci przyrodnich, ale wszyscy wyjechali z Anglii.

– I gdzie teraz są?

– Nie wiem. – Mówiła prawdę. Podobno John i Henry byli we Francji, a Edward w Irlandii. Rodzina się rozsypała.

Niemowlak zaczął płakać. Frances ruszyła do synka, ale Nayler pierwszy znalazł się przy łóżeczku. Wyjął z niego niemowlaka, odsunął go na długość rąk i obracał na boki, oglądając go niczym prosię na targu.

– Ładny dzieciaczek – powiedział. – To musi być cudowne uczucie, kiedy ma się zdrowego synka.

Z góry dobiegły odgłosy głuchych uderzeń, trzask pękającego drewna. Jedna z dziewczynek krzyczała. Frances wyciągnęła rękę do Naylera.

– Proszę mi go oddać.

Mężczyzna przytulił dziecko do piersi i wciągnął w nozdrza zapach jego delikatnych włosów. Zaczął je kołysać i głaskać po plecach. Płacz maleństwa ucichł.

– Widzi pani? Mam dobrą rękę do dzieci – pochwalił się. – Proszę mi powiedzieć, gdzie jest pani mąż – dodał cicho. – Pani i dzieciom będzie wtedy o wiele łatwiej.

– Nie mogę panu powiedzieć czegoś, czego nie wiem.

– Więc ja pani powiem, co o tym myślę. – Wskazał głową na Williama, który przyglądał im się od drzwi. – Myślę, że Goffe i pani ojciec popłynęli do Ameryki, do przyjaciół pana Hooke’a. Tak podejrzewam. Kapitanie Weaver! – zawołał w stronę kuchni. – Proszę tu przyjść i przeszukać ten pokój.

Kapitan odepchnął Williama Hooke’a na bok i z dwoma innymi żołnierzami wszedł do salonu.

– Proszę zacząć od łóżka i siennika, może pan go przebić szpadą – nakazał mu Nayler.

Weaver spojrzał z powątpiewaniem na Katherine Whalley.

– Co mamy z nią zrobić?

– Jeśli sama nie zejdzie, po prostu zepchnijcie ją na podłogę.

Frances usłyszała, jak siedmioletnia Frankie woła z góry:

– Mamo! Mamo!

– To nieludzkie, panie Nayler! – oburzyła się Jane Hooke.

– Nieludzkie jest zabicie króla z zimną krwią. Proszę kontynuować, kapitanie.

Czas jakby się zatrzymał i Frances zrozumiała z pełną jasnością trzy rzeczy: wiedzą o Ameryce, znajdą list Willa, a ten mężczyzna wciąż trzyma jej dziecko.

– Poczekajcie – powiedziała.

Rozwiązała sznurek krępujący ściśnięty w rolkę siennik i rozwinęła go. Przyklękła, włożyła dłoń do rozcięcia i wyjęła list, portret i kosmyk włosów. Podała je Naylerowi. Spojrzał na nią ze zdumieniem. Dłoń Frances drżała. W końcu oddał jej dziecko. Mocno przytuliła synka i obserwowała, jak Nayler czyta list.

– To od pani męża?

Skinęła głową.

– Frances! – rzucił ostrzegawczym tonem jej wuj.

– Kiedy go pani dostała? – spytał Nayler.

– Tydzień temu.

– Kto go przyniósł?

- Nie widziałam. Przyniesiono go w nocy. Leżał tu, kiedy obudziłam się rano.
- To portret pani męża?
- Tak.

Ponownie przeczytał list, zwracając uwagę na staranny charakter pisma i ozdobne litery. Potem przez chwilę przyglądał się uważnie miniaturze. Ujął kosmyk włosów między kciuk a palec wskazujący i podniósł go do światła. Frances, widząc tak drogie jej sercu przedmioty w jego dłoniach, była bliska omdlenia. Starła się zapanować nad drżeniem.

– Dobrze – odezwał się w końcu mężczyzna. – Zabiorę list i portret. Włosy może pani zatrzymać.



Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, nim jeszcze żołnierze zdążyli dosiąść koni, Frances pobiegła na górę do dziewczynek. Frankie siedziała oparta o ścianę, z wyprostowanymi nogami; trzymała Nan na kolanach i starała się nie płakać. Judith położyła się na łóżku obok Betty i naciągnęła koc na ich głowy. Na podłodze leżały rozrzucone nieliczne dziecięce ubrania i zabawki. Żołnierze podważyli kilka desek w podłodze. Jeden z sienników został dwukrotnie przecięty, na krzyż; wszędzie wałała się podeptana słoma. W pokoju pachniało jak w stajni.

Frances przechodziła od jednej córki do drugiej, tuliła je i powtarzała te same słowa otuchy:

- Nie bój się... Ci ludzie już sobie poszli... Nic nam nie grozi...
- Dlaczego oni szukali taty i dziadka? – spytała Frankie.
- Kiedyś ci powiem. Ale zawsze pamiętaj, że tata i dziadek nie zrobili nic złego.
- Kiedy będziemy mogły wrócić do domu?
- Dom jest tam, gdzie jesteśmy wszyscy razem. Posprzątajcie swoje rzeczy... O właśnie, grzeczna dziewczynka. Przyniosę igłę z nitką, pozbieramy słomę i łóżko będzie jak nowe.

Tymczasem na dole Jane pocieszała w salonie Katherine. Jej kojący niski głos niósł się aż do kuchni, gdzie przy kuchennym stole siedział jej mąż. Jego Biblia była otwarta, lecz jej nie czytał; wpatrywał się w przestrzeń. Frances poznała Williama Hooke'a przed czterema laty, gdy wrócił z Ameryki, by służyć jako jeden z osobistych kapelanów Cromwella. Dostał to stanowisko z polecenia jej ojca. Miał surową minę. Gdy tylko weszła do kuchni, wstał. Przygotowała się w duchu na naganę – prawdę mówiąc, zawsze trochę się go bała – lecz wuj wyciągnął do niej rękę.

– Chodź, dziecko.

– Nie jesteś na mnie zły, wuju?

– Zły? Ależ skąd. Myślałaś szybciej niż ja.

Wpadła mu z ulgą w ramiona i oparła policzek na jego barku. Wydawał się twardy i niewzruszony jak kamień.

– Choć złamałam przykazanie i skłamałam?

– Biblia nakazuje, by nie mówić fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu swemu. Ten człowiek nie był naszym bliźnim. Był diabłem. Zamydliłaś mu oczy, a tego nie można uznać za grzech. Choć obawiam się, że tu wróci, kiedy odkryje, że dał się wyprowadzić w pole.



Równo o ósmej następnego dnia, w poniedziałek, Nayler stawiał się rano w Worcester House i poprosił o spotkanie z lordem kanclerzem. Czekał w westybulu na wezwanie, a potem poszedł za sekretarzem fircykiem. Tym razem odniósł wrażenie, że młodzieniec jest przygaszony, a w rezydencji panuje dziwna atmosfera: domownicy rozmawiali szeptem po kątach, a kiedy przechodził obok otwartych drzwi kolejnych pomieszczeń, zamykano je cicho. Gdy weszli na galerię prowadzącą do gabinetu sir Edwarda, po drugiej stronie pojawiła się Anne Hyde, córka kanclerza, w towarzystwie służącej. Nayler nie widział jej od kilku miesięcy. Przystanął, zdjął kapelusz i ukłonił się. Był zszokowany jej wyglądem. Ładna

dziewczęca twarz zrobiła się nalana i czerwona; Anne wyraźnie przytyła, upodabiając się, niestety, do ojca. Kiedy przemknęła obok niego, nawet nie rzuciwszy mu spojrzenia, odniósł wrażenie, że płakała.

Sir Edward siedział tam gdzie zwykle, u szczytu stołu. Zdjął perukę i pochylił się, trzymając głowę w dłoniach.

– O co chodzi, panie Nayler? – spytał, wpatrując się w dywan.

– Możemy porozmawiać o tym kiedy indziej, sir Edwardzie, jeśli to nieodpowiednia chwila.

– Nie. – Hyde uniósł ze znużeniem głowę. – Proszę mówić.

– Chodzi o pułkownika Whalleya i pułkownika Goffe’a. – Hyde jęknął, lecz Nayler kontynuował: – Mam dowody, że mogą wciąż być w Anglii.

Tym razem lord kanclerz spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Jakie dowody?

– Poszukałem ich rodzin i dowiedziałem się, że mieszkają w Clapham. To wiadomość, którą ktoś podrzucił tydzień temu Frances Goffe. – Położył kartkę na stole. – Pismo jest bardzo charakterystyczne, podobne do podpisu, który złożono na wyroku śmierci.

Kanclerz przeczytał szybko wiadomość.

– Wierzy pan tej kobiecie?

– Tak. Jest przerażonym, prostodusznym stworzeniem, któremu religia zabrania kłamać. Co więcej, to, co powiedziała, pasuje do faktów. W żadnym z listów przysyłanych przez królobójców z Europy nie ma nawet wzmianki o Whalleyu i Goffie. Podejrzewam, że w maju lub kwietniu uciekli do Holandii, ale potajemnie wrócili.

– Dlaczego mieliby robić coś tak głupiego?

– Goffe jest jednym z najmłodszych królobójców. Gdy stracono króla, miał zaledwie trzydzieści lat. Ma małe dzieci, jedno to jeszcze niemowlę. Przypuszczam, że wrócił ze względu na nie.

– Ach tak... – Hyde westchnął. – Dzieci! Przeznaczenie, przed którym nikt nie może uciec. – Umilkł na chwilę, po czym spytał: – Jeśli są w Anglii, to jak proponuje pan ich schwytać?

– Rozgłaszając ich nazwiska we wszystkich miastach i wioskach królestwa. Ostrzegając, że każdy, kto ośmieli się im pomóc, zostanie potraktowany jak zdrajca. A przede wszystkim wyznaczając nagrodę za ich głowy. Po sto funtów za jednego powinno wystarczyć. Być może uda się ich znaleźć na tyle szybko, by postawić ich przed sądem wraz z innymi, jeszcze w październiku.

Hyde pokręcił głową.

– Na Boga, nie chciałbym być pańskim wrogiem!

Nayler uklonił się uniżenie.

– Nigdy się tak nie stanie, sir Edwardzie – zapewnił.

Kanclerz przypatrywał mu się z uwagą.

– To dziwne, ale jestem skłonny panu uwierzyć – powiedział, po czym przez chwilę milczał, jakby ważył coś w myślach. – Wiedział pan, że moja córka Anne wychodzi dziś za mąż, tu, w tym domu?

– Nie, sir Edwardzie, nie wiedziałem.

– Nie możemy urządzić uroczystego ślubu z oczywistych powodów. – Hyde obserwował jego reakcję. – Anne jest w ciąży, podobno w szóstym lub siódmym miesiącu. Wychodzi za ojca dziecka. On twierdzi, że ją kocha. To księżę Yorku.

Nayler otworzył usta ze zdumienia. Nie mógł zapanować nad tym odruchem. Przypomniawszy sobie widok półnagiętego brata króla w dawnym domu Whalleya.

– Widzę, że nie spieszy pan z gratulacjami – zauważył Hyde, a kiedy Nayler zaczął zaprzeczać, przerwał mu bezceremonialnie. – Nie, nie, proszę nie kłamać. Podziwiam pański instynkt. Głupcy będą myśleć, że to doskonała partia i że można mi tylko pozazdrościć, ale pan i ja wiemy, że to katastrofa. Jego Królewska Mość sypia z połową dworu... wie o tym cały świat, prócz mojej córki. Będzie z nim bardzo nieszczęśliwa. Poza tym ten związek doprowadzi do mojego upadku. Nie od razu, bo król jest bardzo łaskawy, ale dopóki nie spłodzi dziedzica, moi wrogowie

będą mu podszeptywać, że spiskuję, by osadzić wnuka na tronie, więc wcześniej czy później król zwróci się przeciwko mnie. Na razie zaprzecza, ale zbyt dobrze go znam, by w to uwierzyć. – Westchnął ciężko. – Cóż, tak to wygląda. A teraz proszę już zająć się swoimi sprawami, panie Nayler. Wkrótce w całym Londynie pojawią się głowy zatknięte na piki. Proszę jednak pamiętać, że być może pewnego dnia znajdzie się wśród nich i moja.



Przez kilka pierwszych dni po nalocie żołnierzy na dom Frances wpadała w panikę, gdy tylko ktoś pojawiał się na drodze. Złowieszczy Nayler nie pokazał się już jednak, a życie powoli wracało do dawnego spokojnego rytmu. William Hooke wybierał się od czasu do czasu na drugą stronę Tamizy, by spotykać się potajemnie z purytańskimi kaznodziejami z Londynu, którzy przekazywali mu najnowsze wieści. Dzięki temu wiedział, że aż do końca października nie należy się spodziewać wieści z Ameryki. Jego żona Jane i Frances nie opuszczały Clapham; zajmowały się dziećmi i Katherine Whalley. Nie widywały się z nikim, jedynie w niedziele chodziły do domu modlitwy w wiosce, co wydawało się stosunkowo bezpieczne. Społeczność purytańska na południowym brzegu Tamizy była niewielka i bojaźliwa, nikt nie zadawał więc Frances i Jane zbędnych pytań.

Wieczorami, gdy dziewczynki leżały już w łóżkach, a niemowlak był nakarmiony, Jane siadywała z szyciem przy kominku i opowiadała o swoim życiu w Ameryce. Spędziła z Williamem jedenaście lat w New Haven, najmłodszej ze wszystkich kolonii, a właściwie osadzie wspólnoty religijnej położonej na wybrzeżu, sto mil od Bostonu. Jej współzałożycielami byli wielebny John Davenport, „obdarzony ogromnym talentem kaznodzieja i inspirator”, oraz zamożny purytański kupiec, Theophilus Eaton. Kiedy opisywała małe drewniane osady otoczone palisadami, niezmierzone połacie gęstego lasu, w którym żyły wilki i dzikie koty, tubylców zwanych Indianami i ich pogańskie obyczaje, długie zimy i ciężką pracę na roli, Will wydawał się Frances zarazem bliższy (bo mogła go

sobie wyobrazić) i bardziej odległy niż dotychczas. Zastanawiała się, dlaczego ciotka i wuj wyjechali z Ameryki.

Pewnego wieczoru Jane opowiedziała jej historię *Wielkiego Statku*, stutonowej jednostki zbudowanej przez miasto, która wypłynęła z New Haven niedługo po tym, jak tam przybyli. Mieszkańcy kolonii wypełnili ładownie statku towarami, które chcieli sprzedać w Anglii, i musieli rozbijać lód, by uwolnić go z przystani. Kilka miesięcy później na rozgwieżdżonym zimowym niebie pojawiło się na moment widmo ogromnego statku – tak właśnie koloniści dowiedzieli się, że *Wielki Statek* zatonął, zabierając ze sobą na dno siedemdziesięciu mieszkańców miasta.

– Po tej tragedii trudno się było podnieść – dodała. – Dlaczego Bóg tak karze wiernych? Czym zgrzeszyliśmy? – Musiała dostrzec przerażoną minę Frances, bo przerwała i dodała ze skrucą: – Nie wiem, dlaczego opowiadam ci takie okropne historie. Twojemu kochanemu Willowi na pewno nic nie grozi.

Mniej więcej miesiąc po wizycie żołnierzy – czasami trudno było zachować rachubę dni, które prawie niczym się od siebie nie różniły – Frances wybrała się do Clapham, by kupić coś na obiad. Była jesień, liście opadały deszczem czerwieni i żółci, więc nie spieszyła się do miasteczka i cieszyła oczy widokami, zbierając do fartucha kasztany, którymi zamierzała bawić się z dziewczynkami; były gładkie i lśniące, jakby wypolerowane przez samą naturę. Kiedy dotarła do bramy cmentarnej przy kościele Świętej Trójcy, zobaczyła ogłoszenie przypięte do tablicy. U góry widniała korona, co oznaczało, że to królewski edykt. Podeszła bliżej i zaczęła czytać.

Zważywszy, że haniebni zdrajcy, pułkownik Edward Whalley i pułkownik William Goffe, którzy jakiś czas temu popłynęli za Atlantyckie, niedawno, jak domniemy, wrócili do naszego Królestwa Anglii i ukrywają się w nieznanych Nam miejscach, niniejszym żądamy i rozkazujemy sędziom, sędziom pokoju, burmistrzom, szeryfom, rządcom, konstablom i wszystkim

naszym poddanym, by gorliwie wypytywali o tych zdrajców, szukali ich, schwytali i uwięzili.

Niniejszym oświadczamy, że jeśli jakakolwiek osoba po opublikowaniu tego edyktu zechce bezpośrednio lub pośrednio ukrywać, podejmować, żywić, utrzymywać lub wspomagać wymienionych powyżej Edwarda Whalleya i Williama Goffe'a, jednego z nich lub obu, albo jeśli w jakikolwiek sposób przyczyni się do tego, że obaj – czy którykolwiek z nich – unikną pojmania czy aresztowania, będziemy taką osobę czy osoby traktować z największą surowością.

Na koniec deklarujemy, że jeśli ktoś odnajdzie wymienionych powyżej Edwarda Whalleya lub Williama Goffe'a i sprawi, że obaj – lub jeden z nich – zostaną zatrzymani i sprowadzeni przed oblicze sprawiedliwości, żywi lub martwi, otrzyma nagrodę w wysokości stu funtów za każdego.

Sporządzono i podpisano na naszym dworze w Whitehall dnia 28 września.

Karol R.

Frances była tak wstrząśnięta, widząc nazwiska męża i ojca pojawiające się kilkakrotnie w edyktie, że przez chwilę nie mogła się ruszyć; stała wpatrzona wciąż w te słowa: *Edward Whalley i William Goffe... żywi lub martwi... sto funtów.* Po chwili przeniosła wzrok na pierwszą część edyktu: *niedawno, jak domniemy, wrócili do naszego Królestwa Anglii...*

...jak domniemy... To ona do tego doprowadziła! Król Anglii zasiadł przy biurku w pałacu i wydał to oświadczenie z jej powodu.

Zrobiło jej się słabo, gdy uświadomiła sobie, jakie mogą być tego konsekwencje. Rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Wydawało się, że kościół jest pusty. Na pastwisku chłopiec z psem zapędzał owce do zagrody. Wysypała kasztany z fartucha, zerwała afisz, złożyła go i schowała, a potem zawróciła i ruszyła spiesznym krokiem do domu, by ostrzec wuja i ciotkę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W Massachusetts nastał czas zbiorów, zboża dojrzały, a zjawiskowe zachody słońca nad porośniętymi lasem wzgórzami mieniły się ognistą czerwienią i odcieniami rudości, różu, pomarańcza i złota, jaskrawsze niż cokolwiek, co widzieli w Anglii.

– Jesteśmy zdrowi i sprawni – powiedział Ned do Daniela Gookina pewnego dnia. – Daj nam jakąś uczciwą pracę. Powinniśmy zarobić na swoje utrzymanie.

Od tej pory codziennie prócz niedzieli wychodzili o świcie z domu, by pracować na farmie: kosić pszenicę, zrywać kukurydzę, a potem kopać rowy, naprawiać płoty, paść owce i bydło, zbierać siano, ścinać drzewa, rąbać drwa na zimę. Ich dłonie zrobiły się szorstkie od sierpa i siekiery, łopaty i motyki; mięśnie stwardniały. Ned uważał, że jeśli mają przeżyć, muszą być silni i sprawni. Potrzebowali ruchu.

Ciężka praca od świtu do zmierzchu miała jeszcze jedną zaletę: uśmierzała tęsknotę za domem. Wieczorami, gdy wyczerpani kładli się do łóżka, spali tak głęboko, że nie przeszkadzały im nawet sny o Anglii. Nie było wiadomości z domu. W niedziele chodzili do domu modlitwy. Trzykrotnie jedli obiad z rektorem Chaunceyem w College’u Harvarda. Odwiedzali sąsiadów, na przykład Eldera Beale’a, który tak bardzo cierpiał z powodu kamieni w nerkach, że – jak mawiał – przy każdym oddaniu moczu jego wiara w Boga poddawana była ciężkiej próbie. Łamali się chlebem z Elderem Frostem w jego nędznym domu; ten człowiek przyjmował ich z taką miłością i życzliwością, że Will pewnego razu, gdy wracali do domu, powiedział:

– Wolałbym mieszkać z tym świętym w jego biednej chatynce niż z jakimkolwiek księciem.

Nie wypuszczali się poza Cambridge i trzymali się z dala od Bostonu, zresztą nikt ich tam już więcej nie zaprosił. Gdy Gookinów odwiedzali jacyś obcy ludzie,

Ned i Will wycofywali się dyskretnie na strych.

Stopniowo wydawało im się coraz bardziej prawdopodobne, że świat o nich zapomniał. Ned zaczął się nawet zastanawiać, czy nie mogliby dożyć swych dni jako prości farmerzy w Nowej Anglii. Może mogliby tu ściągnąć rodzinę? Jego córka i wnuki przywykliby do takiego życia, ale trudno było mu sobie wyobrazić Katherine w Ameryce.

Od czasu do czasu spoglądał przez lunetę na most. Dni robiły się coraz krótsze. Nadeszły pierwsze chłody.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nayler coraz wyraźniej odczuwał, że zbliża się godzina pomsty. Czasami, gdy wychodził z Serjeants' Inn ze spotkania prawników Korony przygotowujących oskarżenie i wracał na Strand, miał wrażenie, że wyczuwa ją niemal fizycznie, niczym guz rosnący w jesiennym powietrzu – ciężki siny bezruch opadający na miasto. Proces zaplanowano na drugi tydzień października. Festiwal krwi.

Tuż przed zachodem słońca we wtorek dziewiątego października Nayler popłynął łodzią do Tower i w towarzystwie komendanta, sir Johna Robinsona, oraz prokuratora generalnego, sir Geoffreya Palmera, przez całą wieczór chodził od celi do celi, informując każdego z dwudziestu dziewięciu więźniów przetrzymywanych w izolatkach, że nazajutrz rozpocznie się ich proces. Każdy bez wyjątku chciał wiedzieć, o co zostanie oskarżony, by przez noc przygotować się do obrony; wszystkim powiedziano, że zarzuty poznają rano w sądzie. Prawnik John Cooke, który podczas procesu króla pełnił funkcję oskarżyciela, był szczególnie rozsierdzony.

– Zaprzeczacie istocie sprawiedliwości, nie mówiąc nam, o co jesteśmy oskarżeni!

– Doprawdy? – odpowiedział uprzejmie Nayler. – Ale przecież tak właśnie potraktowaliście króla, który poznał wasze zarzuty dopiero wtedy, gdy zaciągnęliście go przed swój nielegalny sąd. – Uderzył pięścią w drzwi. – Straż!

Trzej urzędnicy wyszli z celi. Strażnik zatrzasnął za nimi drzwi i zamknął je na klucz. Cooke zaczął w nie walić i żądać, by wrócili. Jego skargi ścigały ich do samego końca wąskiego korytarza. Palmer poklepał Naylera po plecach.

– Dobrze powiedziane, dobrze powiedziane – pochwalił go.

Bardzo przydatny z niego cień, pomyślał Nayler. Odmówił uprzejmie, gdy Robinson zaprosił go na kolację, i położył się do łóżka w jednym z pokoi

Robinsona. Zasnął jednak dopiero długo po północy. Chcąc nie chcąc, słuchał, jak prokurator i komendant Tower wznoszą kolejne toasty za zdrowie króla, upijając się francuskim koniakiem Robinsona i tocząc coraz bardziej bełkotliwe dysputy.

O piątej rano obudził go grzmot. Nim wybiła szósta, był już na dziedzińcu i kryjąc się w drzwiach, obserwował, jak strażnicy wyprowadzają w ciemność więźniów. Niebo zakrywały skłębione czarne chmury, rozpalane raz po raz błyskawicami, w których światło lśniły strugi deszczu. Krople opadały z sykiem na pochodnie. Więźniowie w kajdanach skuwających ich kostki i nadgarstki szli powoli przez głębokie kałuże, powłócząc nogami. Trudno było uwierzyć, że ci zgnębieni starcy byli niegdyś rebeliantami, którzy na jedenaście lat zamienili Anglię w republikę. Wpychano ich jednego po drugim do powozów z zasłoniętymi oknami. Gdy minutę później na dziedzińcu pojawili się zaspani Palmer i Robinson, Nayler wsiadł z nimi do oddzielnego powozu, po czym cały kondukt ruszył w drogę, osłaniany eskortą kawalerii i piechoty.

Później Nayler wspominał kolejne dziewięć dni jako czas krańcowego wyczerpania i bezsenności, ciąg rozmazanych obrazów i wrażeń, z których tylko nieliczne zapadły mu na stałe w pamięć.

Olbrzymi tłum, niemal niewidzialny, który falował i pomrukiwał w wilgotnej ciemności, niczym gigantyczne zwierzę, czekając na rozpoczęcie procesu.

Średniowieczny sąd przypominający antyczny teatr, w którym sędziowie i urzędnicy siedzieli pod portykiem, a widzowie stali pod gołym niebem.

Gwizdy, szydercze okrzyki i kuksańce na powitanie królobójców prowadzonych w grupach po trzech lub czterech z cel w więzieniu Newgate do budynku sądu Old Bailey.

Notable zasiadający na ławach, z których obserwowali spektakl: lord kanclerz, lord skarbnik, skarbnik dworu królewskiego, burmistrz Londynu, przewodniczący Izby Gmin, dwaj sekretarze stanu. A także ludzie, którzy służyli Cromwellowi: Annesley, Ashley-Cooper, generał Monck, wyniesiony obecnie do rangi księcia

Albemarle – purytanie, którzy gdyby nie łaska Boża i zręczne zabiegi dyplomatyczne, sami mogliby trafić pod sąd.

Odczytywanie zarzutów wobec każdego z oskarżonych, stojących w deszczu przed stołem sędziowskim: „Że wraz z innymi, wyzbyty bojaźni Bożej i podlegany przez diabła, działając w złym zamiarze, dopuszczając się zdrady stanu i haniebnej zbrodni, łamiąc przysięgę wierności i sprzeniewierzając się swojemu obowiązkowi, sądził i skazał naszego nieżyjącego władcę, nieodżałowanej pamięci Karola Pierwszego, a także trzydziestego stycznia podpisał i opatrzył swoją pieczęcią rozkaz wykonania wyroku śmierci na Jego Najświętszej Królewskiej Mości...”.

Żałosne próby uniknięcia przyznania się do winy ze strony oskarżonych, kwestionowanie legalności zarzutów, to samo pytanie powtarzane bez końca przez przewodniczącego Sądu Najwyższego i sekretarza sądu, odrzucanie protestów oskarżonych, tak że w końcu byli zmuszeni udzielić odpowiedzi.

Cisza, która zapadła w chwili, gdy przedstawiono pisemny rozkaz wykonania wyroku śmierci – odczytano go przed sądem, a potem pokazano każdemu z więźniów. Gdy zmuszono ich do potwierdzenia, że to ich podpisy i ich pieczęcie, niektórzy robili to z ociąganiem, inni niemal z dumą przyznawali, że je rozpoznają. W tym momencie wszyscy jakby całkiem stracili wolę walki; stali przygarbieni, z opuszczonymi głowami, wciąż żywi, ale już martwi.

Straszliwy wyrok odczytywany raz za razem przez przewodniczącego Sądu Najwyższego, który w tym momencie kładł na swojej głowie kwadratowy skrawek czarnego papieru.

„Na mocy wyroku tego sądu zostaniesz odprowadzony do miejsca, z którego tu przybyłeś, stamtąd zostaniesz zaciągnięty koniem na miejsce egzekucji, gdzie zostaniesz powieszony za szyję i kiedy będziesz jeszcze żywy, sznur zostanie przecięty, ty zaś zostaniesz pozbawiony przyrodzenia, a twoje wnętrzności będą wyciągnięte z ciała i spalone na twoich oczach. Potem twoja głowa zostanie oddzielona od reszty ciała, a to zostanie porąbane na cztery części. Później zaś zgodnie z wolą Jego Królewskiej Mości głowa i ćwiartki twojego ciała zostaną wystawione na widok publiczny. I niech Pan zlituje się nad twoją duszą”.

I egzekucje – przede wszystkim egzekucje – które ciągnęły się przez tydzień. Narzędzia kaźni rozłożone na Charing Cross, by królobójcy patrzyli w ostatniej godzinie życia na Banqueting House, gdzie stracono Karola I – szafot z drabinami i kołyszącymi się na wietrze stryczkami, palenisko z płonącym węglem, rozgrzane do czerwoności szczypce i kotły z wrzątkiem, katowski pień, drewniane ramy, na których wleczono związanych więźniów z Tower po brukowanych ulicach, tak że docierali na miejsce z plecami zdartymi do krwi i twarzami lepкими od plwocin, wejście na drabiny, mowy pożegnalne, kat, który spychał skazanych ze szczebla, krótka chwila, gdy dyndali na stryczku, dopóki nie stracili przytomności, następnie przecięcie sznura, wiadro z wodą, którą chlustano im w twarz, rozcinanie ubrań, ostry nóż, który pokazywano tłumowi, ucinanie członka i jąder, krzyki, krew, ekstatyczne jęki i wrzaski motłochu, ostrze przecinające skórę na brzuchu, wyciąganie trzewi rozgrzаныmi do czerwoności szczypcami, długie jardy lśniących różowych kiszek – podobnych do łańcuchów kielbas wiszących w zakładzie rzeźnickim – wycinanych i rzucanych na węgle, smród smażących się wnętrzności, pulsowanie serca wyjętego z ciała i pokazanego tłumowi, przeciąganie martwego bezwładnego zewłoka do katowskiego pnia, ucinanie głowy, głuche walenie topora, gdy ćwiartowano ciało, król, który z chustką przyciśniętą do nosa przyglądał się temu z damami dworu z okna Holbein Gate, niesiony wiatrem przyprawiający o mdłości odór, tak dokuczliwy, że bogaci obywatele mieszkający w pobliżu Charing Cross złożyli protest i ostatnie egzekucje przeprowadzono tam, gdzie robiono to zwykle, czyli w Tyburn, nocna wizyta Isabelle Hacker w mieszkaniu Naylera, błaganie o litość, rozmowa z Hyde'em następnego ranka („To dzięki niemu zdobyliśmy ten dokument i mogliśmy przeprowadzić sprawnie proces”), po której pułkownik Hacker, ostatni ze skazańców, doświadczył królewskiej łaski i został po prostu powieszony, a jego szczątki zwrócono rodzinie.

Głowy dziesięciu królobójców zatknięto na piki rozstawione w okolicach Westminster Hall, na Moście Londyńskim i w innych miejscach publicznych. Rozczłonkowane ciała przybito nad bramą City. Przez ponad tydzień przyciągały ciekawskich, ale stopniowo ludzie przestali zwracać na nie uwagę – ot, zwykle

kawałki mięsa obdarte do kości przez ptaki. Postanowienia Aktu Łaski zostały wdrożone w życie, a królewscy urzędnicy odetchnęli z ulgą i zajęli się innymi sprawami.

Z wyjątkiem Naylera.



Pod koniec listopada Nayler zwołał kolejną naradę swojego zespołu wywiadowczego – Nokesa, Wallisa, Bishopa i Prynne’a – by omówić postępy w poszukiwaniach królobójców. Ostatnimi czasy był tak pochłonięty procesem i jego następstwami, że minął ponad miesiąc, odkąd się ostatnio spotkali. Z satysfakcją przejrzał listę poszukiwanych i wykreślił nazwiska wszystkich, których stracono.

Wieści dotyczące pozostałych budziły jednak jego głęboką frustrację. Henry de Vic, angielski ambasador w Brukseli, przysłał zaszyfrowaną wiadomość, że niemal udało mu się pochwycić Johna Lisle’a, jednego z organizatorów procesu króla, lecz ten wystraszył się i uciekł, prawdopodobnie do Hamburga. Jeszcze bardziej irytujący był przypadek generała armii parlamentu, Edmunda Ludlowa, który omal nie oddał się latem w ręce rojalistów, lecz potem zmienił zdanie, przedostał się jakoś przez kanał La Manche do Dieppe, a ostatnio widziano go w Genewie, gdzie chronili go kalwinistyczni Szwajcarzy.

– Jak można było dopuścić do czegoś takiego? – spytał Nayler.

– Kanał jest wąski – odparł Nokes, który prowadził śledztwo w czasie, gdy Nayler był w sądzie. – Pogoda we wrześniu była wyjątkowo spokojna. Najprawdopodobniej Ludlow wypłynął zwykłą łódką z jakiejś plaży, unikając południowych portów.

– Być może Whalley i Goffe zrobili to samo – wtrącił Bishop. – Edykt króla i obietnica nagrody nic nie dały, znalazło się tylko paru pechowych ojców i synów, na których donieśli zwaśnieni sąsiedzi.

– To rozczarowujące. – Nayler westchnął ciężko. – I zaskakujące.

– Wydaje mi się, że... – zaczął ostrożnie Nokes – oni wcale nie wrócili do Anglii.

W miarę jak upływały kolejne bezowocne tygodnie, Nayler był zmuszony wziąć pod uwagę taką możliwość. Często myślał o Frances Goffe; na tyle często, że odczuwał wyrzuty sumienia. Było w niej coś – spokój, wyciszenie – co przypominało mu zmarłą żonę. Zastanawiał się nawet, czy... Nie, to niemożliwe. Z pewnością nie chciał przyznać, że mogła go oszukać.

– Dlaczego pan tak uważa, panie Nokes? – W jego głosie pobrzmiwały groźne nuty.

– Być może pamięta pan, że kazał mi pan sprawdzić listy pasażerów statków, które wypłynęły z Anglii do Ameryki w kwietniu i maju.

– Owszem, pamiętam. Zajął się pan tym?

– Przestaliśmy, gdy wyznaczono nagrodę za ich głowy, ale potem wróciliśmy do tego. – Nokes wyjął kartkę i położył ją na stole. – To lista pasażerów ze statku *Prudent Mary*. Wypłynął z Gravesend czternastego maja. Dowódca, kapitan Pierce, to znany purytanin, podobnie jak wielu pasażerów tego rejsu. Na przykład Daniel Gookin, który prawdopodobnie pracował dla Cromwella jako poborca celny. William Jones to być może syn pułkownika Johna Jonesa, królobójcy, którego niedawno stracono.

– I co? Przypuszcza pan, że Whalley i Goffe byli na pokładzie tego statku?

– Nie ma ich na liście, ale dwa nazwiska przykuły moją uwagę: Richardson i Stephenson, zapisani jeden pod drugim, co sugeruje, że podróżowali razem.

– To chyba dość pospolite nazwiska, prawda?

– W rzeczy samej. Ale potem przypomniałem sobie, że ojciec Whalleya miał na imię Richard, a Goffe’a Stephen.



Kiedy Nayler pogratulował Nokesowi przenikliwości – na tyle szczerze, na ile potrafił, co nie było łatwe, bo nie mógł znieść myśli, że być może zrobiono z niego

głupca – zakończył spotkanie, wziął konia ze stajni w Mews, przepłynął promem na drugą stronę Tamizy i ruszył galopem prosto do Clapham. Zeskoczył z wierzchowca, nim dotarł do końca drogi, wyciągnął pistolet i zbliżył się do chaty na piechotę.

...jeśli jakakolwiek osoba po opublikowaniu tego edyktu zechce bezpośrednio lub pośrednio ukrywać, podejmować, żywić, utrzymywać lub wspomagać wymienionych powyżej Edwarda Whalleya i Williama Goffe'a, jednego z nich lub obu, albo jeśli w jakikolwiek sposób przyczyni się do tego, że obaj – czy którykolwiek z nich – unikną pojmania czy aresztowania, będziemy taką osobę czy osoby traktować z największą surowością.

Takie było prawo, a on zamierzał je wyegzekwować. Wtrąci tę kobietę do więzienia. Zabierze jej niemowlę. Wyciągnie z niej prawdę. I ze starucha. I ze staruchy.

Otworzył cicho furtkę i przeszedł do domu po trawie, a nie po ścieżce, by nie hałasować. Drzwi były zamknięte na klucz. Przyłożył dłonie do szyby i zajrzał do wnętrza salonu. Nic. Przeszedł na drugą stronę domu, lecz gdy zajrzał do kuchni, przywitał go ten sam widok: gołe deski, żadnych sprzętów, niezamieszkanе miejsce.



Przez Southwark toczyły się powoli w stronę Mostu Londyńskiego dwa otwarte wozy. William i Jane Hooke'owie siedzieli z tyłu pierwszego, mając między sobą Katherine Whalley, która leżała na sienniku, otoczona ich dobytkiem. Frances Goffe zajmowała miejsce na ławce obok woźnicy w drugim wozie. Tuż za nią usadowiła się Frankie, która trzymała Nan. Judith i Betty leżały obok siebie na brzuchach, wyglądały zza tylnej burty wozu, śmiały się i robiły miny do przechodniów. Frances musiała raz po raz odwracać się do nich i upominać, by zachowały ostrożność i nie wypadły.

Była wyczerpana napięciem, które towarzyszyło jej przez ostatnie tygodnie, wysiłkiem, jakiego wymagało spakowanie rzeczy i przygotowanie do

przeprowadzki do nowej kryjówki w Londynie. Mimo zimna co chwila przysypiała i zaraz się budziła, gdy wóz podskakiwał na nierównościach. Wciąż pozostawała w tym sennym stanie, gdy zbliżyli się do bramy prowadzącej do Mostu Londyńskiego. Wóz znów wjechał w koleinę i podskoczył, a gdy otworzyła oczy, ujrzała koszmarnie woskowe twarze głów zatkniętych na długich pikach nad kratą bramy, ustawione w szeregu na tle zimowego nieba. Patrzyły na nią z góry pustymi oczodołami, otwierając bezwładnie usta, pod którymi czerniły się ucięte szyje. Nawet z dość dużej odległości od razu rozpoznała dwie z nich: republikańskiego kaznodziei Hugh Petersa i pułkownika Johna Jonesa, pochodzącego z Walii przyjaciela jej męża.

Zdławiła okrzyk zdumienia i przerażenia. Odruchowo zakryła twarz synka dłonią, by oszczędzić mu tego widoku. Niemowlę spało jednak smacznie, kołysane ruchami wozu, który przejechał pod bramą i zniknął pośród wielu innych pojazdów przemierzających ulice Londynu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pierwszy śnieg spadł w Massachusetts w połowie grudnia. Ned i Will nie mogli już pracować w polu, więc spędzali całe dni w pokoju na poddaszu.

Ned obserwował przez lunetę, jak wielkie płatki śniegu powoli zakrywają znajome kształty, drogę i trzęsawisko, zacierając szczegóły, z których po jakimś czasie zostało tylko kilka ciemnych linii. Właśnie wtedy zauważył, że robotnicy na moście układają deski między filarami, stopniowo przedłużając pomost w stronę środka rzeki. Gdy ubrał się i zszedł do nich, zapewnili go, że most będzie się nadawał do użytku – nawet jeśli nie zostanie całkiem wykończony – już pod koniec miesiąca.

Stał przez chwilę w bezruchu, nie zważając na śnieg, i wpatrywał się w przeciwny brzeg. Myślał o tym, że most nie tylko znacznie ułatwi podróż z Bostonu, ale też – co istotniejsze – umożliwi dotarcie do Cambridge po zmierzchu, co dotąd było niemożliwe, bo prom nie kursował nocą. W końcu odwrócił się na pięcie i ruszył w górę zbocza, prosto do domu Goldeny Moore'a.

– Czy ma pan jeszcze jakiegoś szczeniaka z ostatniego miotu, panie Moore? – spytał, gdy dotarł na miejsce.

– Tak, pułkowniku, została mi jeszcze jedna śliczna sunia, choć byłoby mi przykro się z nią rozstać.

– Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby jednak pan to zrobił.

Ned ukrył wiercącego się spaniela pod płaszczem, zaniósł go do domu i podarował przy kolacji dzieciom jako niespodziankę. Mary Gookin nie chciała psa; wielokrotnie jednoznacznie dawała temu wyraz, lecz nie mogła już nic zrobić, gdy dzieci zobaczyły suczkę. Rzeczywiście była śliczna – nawet Mary musiała to przyznać – czarna z białą plamką pod pyszczkiem. Dziewczęta nazwały ją Bonny. Spała przy palenisku w kuchni i szczełała, gdy tylko ktoś zbliżał się do domu.

Pod koniec grudnia dostarczono paczkę z pocztą, którą przywiózł statek z Bristolu. Daniel Gookin rozpakował ją przy swoim biurku. Nie wspominał o niej do końca dnia, wyraźnie jednak sposepniał i dwukrotnie zniknął z żoną w sypialni. Wieczorem, gdy Ned i Will kończyli właśnie wieczorną modlitwę, rozległo się pukanie do ich drzwi. Daniel z Mary wszedł do pokoju na strychu i bez słowa podał pułkownikom drukowany dokument.

Ned i Will usiedli na łóżku, by go przeczytać. Był to podpisany przez króla edykt, w którym oferowano nagrodę w wysokości stu funtów za głowę, za dostarczenie, żywych lub martwych, *haniebnych zdrajców, pułkownika Edwarda Whalleya i pułkownika Williama Goffe'a*, a także grożono surową karą każdemu, kto będzie im pomagał. Dokument opatrzono datą sprzed trzech miesięcy.

– Przynajmniej myślą, że jesteśmy w Anglii – odezwał się Ned, który w każdej sytuacji szukał jaśniejszych punktów. Podniósł wzrok. – Są na fałszywym tropie. To dobrze. I dlaczego wszyscy nazywają mnie pułkownikiem, choć byłem generałem kawalerii Olivera? Ja sam powinienem być wart co najmniej dwieście funtów.

Daniel nie uśmiechnął się.

– Niestety, wkrótce uzmysłowią sobie swój błąd – powiedział. – Wszyscy mieszkańcy Cambridge, podobnie jak wielu obywateli Bostonu, mogą zaświadczyć, że jesteście tutaj, a gubernator Endecott nie będzie mógł zignorować królewskiego edyktu.

Will pochylił głowę i złożył dłonie na karku.

– Musimy opuścić wasz dom.

– Nie. – Daniel pokręcił głową.

– Przecież samą swoją obecnością narażamy was na niebezpieczeństwo. Musimy stąd natychmiast odejść.

– I dokąd pójdziecie w środku zimy? W Bostonie na pewno już wiedzą o tym edyktie. W ciągu tygodnia rozwieszą kopie w całej kolonii. Nie macie dokąd uciec.

– Wymienił porozumiewawcze spojrzenia z żoną i ujął jej dłoń. –

Przedyskutowaliśmy tę sprawę i razem postanowiliśmy, że nie zostawimy was bez pomocy.

– Nie możemy na to pozwolić, prawda, Ned?

– Ukryjemy was – oznajmiła Mary. – Powiemy wszystkim, nawet dzieciom, że wyjechaliście. Że odeszliście w nocy, bez ostrzeżenia.

Will ponownie zaczął protestować, lecz Ned położył mu dłoń na kolanie w uspokajającym geście.

– Gdzie nas ukryjecie? – spytał.

– W stajni – odparł Daniel. – Na poddaszu jest siano, możecie tam spać. Bydło trochę was ogrzeje. Może nawet będziecie mogli rozpalić ogień, jeśli rozpowiem, że krowy chorują.

– Nie. To zbyt niebezpieczne – obstawał przy swoim Will. – Musimy się poddać. Albo, jeszcze lepiej, wy nas wydacie i dostaniecie dwieście funtów za wszystko, co dla nas zrobiliście.

Daniel po raz pierwszy wydawał się rozzłoszczony.

– Macie o nas tak niskie mniemanie? Myślicie, że zdradzimy was za trzydzieści srebrników?

– Ciszej – rzuciła Mary. – Obudzisz dzieci.

– Cóż, ten plan wydaje się całkiem rozsądny – przyznał Ned. – Jeśli rzeczywiście chcecie podjąć takie ryzyko. I dziękuję wam z całego serca za to chrześcijańskie miłosierdzie. – Zwrócił się do zięcia: – Nie możemy się tak łatwo poddawać, Will. Kiedy byliśmy w wojsku, często spaliśmy w Szkocji zimą pod gołym niebem. Miesiąc czy dwa w stajni to w porównaniu z tym betka. Nasz Zbawiciel narodził się w stajence! Będziemy mieli dość czasu, by opracować jakiś plan, i wiosną ruszymy dalej.



Kiedy Mary upewniła się, że wszystkie dzieci śpią, ich goście spakowali swój skromny dobytek i wymknęli się cicho na parter, a potem przeszli po świeżym

śniegu na podwórku do stajni. Mary i Daniel szli za nimi, niosąc posłania, świece, dzbanek z wodą i mięso w cieście na śniadanie, przygotowane przez Mary po południu. Martwiła się, ale nie chodziło o strach przed konsekwencjami ukrywania „zdrajców”, tylko świadomość, że będzie musiała okłamywać dzieci i sąsiadów, codziennie dokładać do swoich grzechów kolejne.

Prowadzeni blaskiem świecy, przeszli między śpiącymi krowami. W stajni było zimno; w powietrzu unosił się smród łajna i moczu. Żrący odór zatykał im gardła. Ned wspiął się po drabinie do sąsiedka i sięgnął w dół, by wziąć od Willa sakwy.

– Przyjdę do was rano – obiecał Daniel, podając mu koce i poduszki.

Wracając do domu, Mary zauważyła, że świeży śnieg zakrył już ich ślady na podwórku, a obejrawszy się za siebie, zobaczyła, że nawet odciski, które zostawili w drodze powrotnej, nikną już pod warstwą bieli. Kilka minut później wszystko wyglądało tak, jakby dwaj uciekinierzy nigdy się tu nie pojawili.

Tymczasem na strychu stajni Will przygotowywał posłanie z siana i słomy, podczas gdy Ned wypakowywał broń: cztery naładowane pistolety, po dwa pod poduszkę, oraz szpady i noże ułożone na tyle blisko, by w każdej chwili mogli po nie sięgnąć. Potem obaj okryli się kocami i leżeli w milczeniu, niczym para niekochających się małżonków pogrążona w smutnych rozmyślaniach. W końcu dobiegające z ciemności oddechy i postękiwanie bydła ukołysały ich do snu.



Zniknięcie lokatorów wywołało różne reakcje wśród dzieci. Mary, najstarsza, była zaskoczona, ale zbyt posłuszna, by kwestionować to, co jej powiedziano. Nastoletnia Elizabeth, która zapałała nieodwzajemnionym uczuciem do Willa, przestała jeść i przez następne dwa tygodnie chodziła naburmuszona. Trzej chłopcy smucili się przez parę dni, ale potem o wszystkim zapomnieli. Wydawało się, że tylko pies wyczuwa prawdę: co jakiś czas siadał przed stajnią, skamlał i drapał drzwi.

Zniknięcie pułkowników zbiegło się z wywieszeniem ogłoszenia o nagrodzie w Cambridge, przed sklepem, dzięki czemu opowieść Gookinów o tym, że ich goście wystraszyli się i uciekli w ciemność, została uznana za całkiem wiarygodną. Tylko wielebny Mitchell podchodził do tego sceptycznie. Po porannym spotkaniu w następną niedzielę pani Gookin czerwieniła się i mówiła dziwnie piskliwym głosem, odpowiadając na jego szczegółowe pytania. O której godzinie zauważyła, że ich nie ma? Jak jej zdaniem opuścili Cambridge, konno czy na piechotę? Czy to nie dziwne, że nie poprosili Gookinów o pomoc?

Tymczasem Ned i Will właściwie nie ruszali się ze stajni. Były to najkrótsze dni w roku. Przytłumiony przez chmury blask słońca ledwie przenikał przez małe zakurzone okna. Śnieg padał niemal nieustannie; wielkie płatki opadały w ciszy niczym gęsie pierze, okrywały grubą warstwą dach, zbierały się pod ścianami z drewnianych belek, tłumiły odgłosy docierające ze świata zewnętrznego. Ned i Will przekonali się szybko, że łatwiej im radzić sobie z chłodem, jeśli przez cały dzień mają na sobie płaszcze i buty i leżą pod grubymi wełnianymi kocami oraz stertami siana. Will czytał Biblię. Jego teść wpatrywał się w krokwie; czasami wyobrażał sobie, że jest już martwy i leży w grobie. Tyle stworzeń przesypiało całą zimę – jeże, wiewiórki i inne – dlaczego więc nie mieliby tego robić ludzie uciekający przed prześladowaniami? Nawet gdy Daniel lub Mary przychodzili nakarmić bydło i zostawiali im jedzenie i picie przy drabinie, często żaden z nich nie ruszał się z posłania.

Pewnego dnia, pod koniec stycznia, Bonny oznajmiła głośnym szczekaniem, że Gookinowie mają gości. Odwiedził ich wielebny Mitchell. Przyniósł ze sobą dwie broszury, które przywieziono właśnie z Londynu. Jedna z nich zawierała opis procesu królobójców, a druga zbiór ostatnich modlitw i mów skazańców. Dopiero teraz więc dotarły do Massachusetts wieści o tym, co wydarzyło się w stolicy Anglii.

– Przeczytałem je wczoraj – powiedział wielebny. – I polecam wam obojgu. – Położył broszury na stole. – Uważam, że powinniśmy porozmawiać o zabiciu króla podczas najbliższego spotkania.

Daniel spojrział na niego ze zdumieniem.

– Uważasz, że to nie było słuszne?

– Nie jestem pewien. Modłę się o Boże pouczenie w tej kwestii. – Mitchell rozejrzał się po pokoju, odchylił do tyłu na piętach, by zajrzeć do kuchni, zerknął na sufit i dopiero wtedy ponownie zwrócił się do Gookinów: – Radzę wam zrobić to samo.

– Bóg już mnie pouczył, Jonathanie – oświadczył Daniel. – Zabicie tyrana nie jest zbrodnią.

– Najtęższe umysły w Anglii nie zgadzają się z tobą.

– Tęgie umysły mogą głosić nikczemne poglądy, zwłaszcza gdy w grę wchodzi ich interesy.

– Tak czy inaczej, musimy przestrzegać prawa. – Mitchell najwyraźniej czekał, aż gospodarze poproszą go, by usiadł i został na dłużej. Nie doczekawszy się zaproszenia, włożył kapelusz i zapiął płaszcz. – Cóż, Bóg z wami. Zwróćcie mi, proszę, te broszury, kiedy już je przeczytacie.

Daniel obserwował go przez zaśnieżone okno. Pastor nie przeszedł od razu do drogi, lecz przystanął na podwórzu i przez dłuższą chwilę patrzył na stajnię, zanim w końcu ostrożnie przeszedł śliską ścieżką do furtki.

– Podejrzewa, że nadal ich ukrywamy, to jasne jak słońce. – Daniel sięgnął po jedną z broszur i przeczytał tytułową stronę: – *Buntownicy, a nie święci. Zbiór mów pożegnalnych, prywatnych wiadomości, listów i modlitw osób niedawno straconych.*

Pokręcił głową i nagle wydał się Mary tak przybity, że objęła go mocno i przytuliła. Westchnął ciężko.

– Muszę chyba pójść do stajni i powiedzieć Nedowi i Willowi, że ich towarzysze nie żyją.



Tej nocy Ned i Will prawie nie spali. Czytali przy blasku świecy. Z jednej strony spodziewali się takich wieści, z drugiej jednak wydany drukiem chłodny opis wydawał im się szokujący. Poraziły ich brutalność i cynizm procesu, bestialstwo egzekucji. Ned odczytał głośno nazwiska dziesięciu straconych: Thomas Harrison, John Carew, John Cooke, Hugh Peters, Thomas Scot, Gregory Clement, Adrian Scroope, John Jones, Daniel Axtell i Francis Hacker. Po każdym milkli na chwilę i rozmyślali o zamordowanym towarzyszu, a na koniec Will odmówił modlitwę za ich dusze: „Odeszli do chwały Pana, każdy z nich”. Opis egzekucji Johna Cooke’a i Hugh Petersa, których stracono tego samego ranka – Cooke’a jako trzeciego, a Petersa jako czwartego – poruszył ich szczególnie. Cooke’a przyciągnięto do Charing Cross na ramie, do której przymocowano uciętą głowę Harrisona zatknietą na kołku. Peters, przywiązany do barierki i chory z przerażenia, musiał oglądać męczarnię Cooke’a, czekając na swoją kolej. *Kiedy stracono pana Cooke’a i przeniesiono go do poćwiartowania, pułkownik Turner zawołał ludzi szeryfa i kazał im przyprowadzić pana Petersa bliżej, by mógł to zobaczyć. Zaraz potem podszedł do niego kat, cały wymazany krwią, zatarł okrwawione dłonie i spytał szyderczo: „Jak się to panu podoba, panie Peters, jak się panu podoba ta robota?”. Na co ten odparł: „Nie przeraża mnie to, dzięki Bogu. Możesz czynić swą haniebną powinność”.*

– Alleluja – powiedział Will. – Chwała niech będzie Panu, że na koniec dał mu odwagę.

Wszyscy umierali dzielnie, z podniesioną głową. Generał Harrison zdołał nawet uwolnić jedną rękę, gdy go patroszono, i uderzył w głowę kata, na co ten szybko poderżnął mu gardło.

– Ale dlaczego właściwie Peters w ogóle musiał umrzeć? – spytał Ned. – Był kaznodzieją, a nie żołnierzem czy prawnikiem. Nie sądził króla ani nie podpisał wyroku śmierci. My nigdy nie zadawaliśmy takich tortur naszym wrogom. Karola Stuarta zabito jednym uderzeniem.

Will długo milczał.

– Powinienem był umrzeć z nimi – odezwał się w końcu. – Im większe cierpienie, tym prawdziwsze świadectwo oddania Zbawicielowi. – Przekartkował jedną z broszur i znalazł ostatnie słowa pułkownika Jonesa, Walijczyka, którego syn płynął z nimi na *Prudent Mary* do Ameryki. – *W jakim smutnym położeniu znaleźli się nasi drodzy przyjaciele za oceanem. Będą ich tam tropić i przeganiać z miejsca na miejsce i nigdy nie będzie im dane zaznać spokoju. Wyprzedziliśmy ich znacznie, bo jesteśmy już u celu i idziemy do nieba. To prawda. Oni są już w niebiosach z Panem, podczas gdy my czaimy się tu jak szczury.*

To właśnie najbardziej ich dzieliło, choć starali się unikać tematu: przekonanie Willa, że Ned odegrał rolę diabła, nakłaniając go do uciezki.

– Nie jestem tchórzem – odpowiedział Ned po chwili. – Mam nadzieję, że o tym wiesz. Nie boję się śmierci zdrajcy. Choć to straszliwa męka, to czy może być gorsza od porodu, który tyle razy znoszą kobiety, nawet te najniżej urodzone? I jeśli taki los jest nam pisany, niech tak będzie: chętnie pójdę prosto do nieba, mam nadzieję, że równie dzielnie jak pozostali. Ale naprawdę wierzę, że Bóg wybrał dla nas inną drogę, że chce, byśmy pozostali przy życiu, podtrzymywali płomień i świadczyli o prawdzie. Poza tym przecież teraz cierpimy. Czy nie jesteśmy męczennikami? John Jones ma rację. Jeśli położymy jedno i drugie na szali, ostatecznie może się okazać, że nasz ból waży więcej niż ich. Ich dobiegł już końca, są pośród świętych, którzy będą rządzić ziemią. Nasz ból trwa i twierdzą, że mamy obowiązek podtrzymywać go tak długo, jak jesteśmy w stanie.

Zmęczyła go ta długa przemowa. Ułożył się na sianie i zamknął oczy. Nie mógł już więcej czytać o procesach i egzekucjach. Will nie odpowiedział, lecz Ned po chwili poczuł, jak kładzie się obok niego i zaciska dłoń na jego dłoni.



Zawstydzeni odwagą i determinacją starych towarzyszy, zaczęli aktywniej kierować swoim losem. Ned pożyczył od Daniela wiertarkę i wywiercił w ścianie otwór na tyle duży, by mógł włożyć do niego lunetę. Potem poszerzył go tak, by obracać lunetą na boki i obserwować dom, podwórko, drogę i rzekę Charles.

Scyzorykiem wydłubał ze ściany kawałek drewna i zatykał nim otwór, by nie wpadało zimne powietrze. Obaj zaczęli ćwiczyć – robili pompki i podciągali się na skraju sąsiedka. Czyścili broń i dbali o to, by zawsze była naładowana. Musieli być gotowi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z powodu krótkich dni i nieprzejezdnych dróg podczas surowej angielskiej zimy prowadzone przez Naylera poszukiwania właściwie stanęły w miejscu. Dotarły do niego tylko dwa raporty o aresztowaniach osób uznanych za Whalleya i Goffe'a, jeden z Essex, drugi z Kent. Kiedy jednak wysłał Nokesa w uciążliwą podróż, by przesłuchał podejrzanych, oba alarmy okazały się fałszywe. Właściwie Nayler, tak czy inaczej, był już przekonany, że dwaj królobójcy uciekli do Ameryki. Odwiedził komorę celną nad Tamizą, w pobliżu Tower, i poprosił jej naczelnika, by informował go o wszystkich statkach przyplływających z Nowej Anglii. Okazało się jednak, że niewielu kapitanów jest gotowych stawiać czoło gwałtownym zimowym sztormom północnego Atlantyku, a żaden z marynarzy czy pasażerów tych statków, którym udało się dopłynąć do Anglii, nie widział uciekinierów ani o nich nie słyszał.

W połowie stycznia Hyde wezwał go do Worcester House, by powierzyć mu nowe, nieprzyjemne zadanie: ekshumację ciał Olivera Cromwella, jego zięcia Henry'ego Iretona oraz przewodniczącego sądu królobójców Johna Bradshawa z ich grobowców w opactwie Westminster i zorganizowanie trzydziestego stycznia, czyli w dwunastą rocznicę zamordowania króla, ich pośmiertnej egzekucji w Tyburn.

Nayler wzdragał się przed tym zadaniem. Oczywiście zgadzał się, że zdrajców należy usunąć z opactwa Westminster przed koronacją króla, ale dlaczego po prostu nie pochować ich w jakimś sekretnym miejscu? Zakłopotany, poprawił się na krześle.

– To będzie obrzydliwa robota, sir Edwardzie.

– Od kiedy panu to przeszkadza? Poza tym to nie mój pomysł, proszę mi wierzyć – zapewnił kanclerz. – To zalecenie parlamentu i naprawdę, panie Nayler –

dodał z nagłą szorstkością – jeśli nie może pan znaleźć więcej żywych królobójców, których można by postawić przed sądem, może pan przynajmniej zająć się wieszaniem martwych!

Tak oto tydzień później Nayler stał w zimnej środkowej nawie kaplicy Henryka VII i razem z dowódcą straży Izby Gmin przyglądał się, jak robotnicy uderzają młotami w kamienną podłogę. Strażnicy powstrzymywali tłum gapiów zaciekawionych tym niecodziennym przedstawieniem.

Robotnicy potrzebowali około pół godziny, by otworzyć kryptę, odsłonić drewnianą trumnę Cromwella i wyciągnąć ją na powierzchnię. Od dawna już krążyły plotki, że proces balsamowania się nie powiódł, ciało lorda protektora eksplodowało, gdy zgromadziły się w nim gazy, i trzeba je było w pośpiechu pochować. Według innych plotek w opactwie Westminster nie pochowano ciała Cromwella, lecz jakieś inne zwłoki. Gdy podniesiono wieko, Nayler zakrył nos chustką nasączoną lawendą oraz kamforą i podszedł do trumny. Pod wiekiem znajdowała się osłona z ołowiu. Kiedy już ją wycięto, zobaczył ciało owinięte kilkoma warstwami szarawej tkaniny. Sięgnął do środka, odwinął je i ujrzał twarz Cromwella. Okrywająca ją skóra była cienka, brązowawa i sztywna niczym wyprawiona skóra zwierzęcia. Żuchwa opadła, odsłaniając zęby. Lecz nawet po ponad dwóch latach od pogrzebu lorda protektora można było bez trudu rozpoznać jego kartoflowaty nos, szerokie czoło i pozostałości wąsów oraz brody – twarz naznaczona śmiercią, a jednak wciąż pełna siły i mocy. Zgrubienie wokół wierzchołka głowy znaczyło miejsce, gdzie balsamiści odcięli czubek czaszki, by wyjąć z niej mózg, po czym przykleili kość z powrotem. Na szyi wisiał łańcuch ze złotym medalionem. Nayler odwrócił głowę, gdy sięgnął za kark zmarłego i zdjął łańcuch. Inskrypcję sporządzono po łacinie, tekst był jednak na tyle prosty, że bez trudu go przetłumaczył: *Oliver, Protektor Republiki Anglii, Szkocji i Irlandii. Urodzony 25 kwietnia 1599 roku, wprowadzony na urząd 15 grudnia 1653, zmarł 3 września 1658. Tutaj spoczywa.*

Powoli odłożył medalion do trumny, tak że srebrny łańcuch spoczął na piersi Cromwella, a potem cofnął się o krok. Bóg mu świadkiem, że nie znosił tego

człowieka, ale wydawało mu się, że profanując jego grobowiec, poniżają raczej siebie niż wroga.

– To jest Cromwell, bez wątpienia – powiedział.

Dowódca straży nakazał przenieść trumnę do centralnej części opactwa Westminster, by każdy z zebranych tam gapiów mógł za sześć pensów obejrzeć ciało lorda protektora, podczas gdy robotnicy zajęli się na zewnątrz ekshumacją dwóch królobójców. Ireton, lord namiestnik Irlandii, leżał pod ziemią najdłużej – dziewięć lat – więc jego szczątki były wysuszone i czarne, lecz Bradshaw, zmarły zaledwie przed czternastoma miesiącami, był zielony, a gdy po podniesieniu wieka z trumny wydobył się smród, stojący najbliżej robotnicy odwrócili się pospiesznie i wymiotowali.

Gdy najkrótszy dzień zimy dobiegł końca, trzy ciała załadowano na wóz, przewieziono do karczmy Red Lion w Holborn i wystawiono na widok publiczny, jakby to była parodia uroczystości poprzedzających pogrzeb Cromwella, choć tym razem zebrało się więcej ciekawskich, gotowych zapłacić za obejrzenie trupów, i to mimo smrodu roztaczanego przez zwłoki Bradshawa.

Rankiem trzydziestego stycznia Nayler jechał za końmi ciągnącymi ułożone na drewnianych ramach ciała do Tyburn, gdzie zebrał się już kilkutysięczny tłum, by zobaczyć pośmiertną egzekucję. Gdy trupy wisiały już na szubienicy, kołysane wiatrem, kat zszedł z drabiny i powiedział do Naylera:

– Uciałbym Cromwellowi jaja i kutasa, gdyby się tak bardzo nie skurczyły.

Nayler odwrócił się od niego bez słowa.

Tego samego popołudnia ciała zdjęto z szubienicy i ucięto im głowy; w okryty twardą skórą kark lorda protektora trzeba było uderzyć toporem aż osiem razy, by go przeciąć. Ciała wrzucono do wspólnego grobu, a głowy schowano do worka, by potem zatknąć je na wysokie na dwadzieścia stóp pale i umieścić nad Westminster Hall.

Nayler nadzorował to wszystko, a o zmierzchu poszedł prosto do burdelu przy Milford Lane i wziął pierwszą kobietę, którą mu podsunęto – nie zwracał uwagi,

czy jest młoda, czy stara, brzydka czy ładna; nie obchodziło go to wcale, chciał jedynie zatracić się w żywym cieple. A potem, gdy znalazł się w swojej sypialni, po raz pierwszy od lat nie zapalił świeczki pod portretem Sary. Nie potrafiłby na nią patrzeć i nie chciał, by ona patrzyła na niego.

Następnego dnia rano wysłał Nokesowi wiadomość, że jest chory.

Przez kolejne dni nie wychodził z mieszkania; większość czasu spędzał w łóżku, z nikim się nie spotykał, a posiłki kazał służącemu zostawiać przed drzwiami. Takie okresy czarnej melancholii prześladowały go od młodości. Czasami trwały tygodniami – głębokie przygnębienie i apatia, na którą nie pomagały żadne z zalecanych lekarstw, ani wywar z wawrzynu, ani biały ciemiernik, ani przykładanie pijawek.

Jakieś trzy tygodnie po tym, jak zaszył się w mieszkaniu, koło jedenastej przed południem ktoś załomotał głośno do drzwi. Nayler próbował ignorować natręta, lecz ten nie ustępował. W końcu zarzucił płaszcz na koszulę nocną, przeszedł do drzwi i uchylił je odrobinę. W bladym świetle wypełniającym korytarz zobaczył wysokiego mężczyznę koło czterdziestki.

– Pan Richard Nayler?

Spojrzał na niego spod przymrużonych powiek. Zdawało mu się, że głos nieznajomego dochodzi z wielkiej odległości.

– A kto pyta?

– Jestem kapitan Thomas Breedon. – Mężczyzna zdjął kapelusz i ukłonił się. – Właściciel statku i kupiec z Massachusetts Bay Company. Wczoraj przypłynąłem z Bostonu. W komorze celnej skierowano mnie do Tajnej Rady, a pana sekretarz powiedział, żebym przyszedł tutaj. Mam panu do powiedzenia coś, co może pana zainteresować.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W połowie lutego w Cambridge nastąpiła odwilż. Ned i Will słyszeli, jak wielkie połacie śniegu zsuwają się z dachu stajni i z hukiem spadają na podwórko. Potem wróciły mrozy, które zmuszały ich do leżenia pod ciepłymi kocami. Przez kilka dni nie widzieli Daniela Gookina, bo wyjechał do Bostonu, by wziąć udział w spotkaniu rady kolonii Massachusetts, której był członkiem. W poniedziałkową noc, dwudziestego piątego lutego, wkrótce po powrocie Daniela, na ściętą lodem ziemię znów zaczął padać śnieg. Ned leżał w ciemnościach, wsłuchany w ciszę otulającą ich coraz grubszą warstwą. Płomień świecy ledwie migotał, a gdy zaczął szczekać pies – musiało być już dobrze po północy – początkowo nie zwrócił na to uwagi; zdawało się, że szczekanie dochodzi z odległości co najmniej pół mili.

Ale po chwili nie miał już wątpliwości – to Bonny szczekała – i ogarnął go niepokój.

Zbudził Willa, potrząsając nim za ramię, scyzorykiem wyjął kawałek drewna z otworu w ścianie i wysunął lunetę w noc.

Cztery pochodnie, rozmazane za zasłoną śniegu, przesuwały się w rządku drogą, a potem przeszły przez bramę. Dostrzegł kilka niewyraźnych sylwetek i ich drżące cienie na śniegu. Jedna z osób niosła muszkiet.

Odwrócił się do Willa.

– Są tutaj – wyszeptał. – Co najmniej czterech.

Will skinął głową i podał teściowi jego pistolet, potem wziął swój, wsunął go do kieszeni i zszedł szybko po drabinie, ściskając pod pachą szpadę.

Zgodnie z ustalonym wcześniej planem mieli się rozdzielić i strzelać z różnych miejsc, by sprawiać wrażenie, że jest ich więcej niż dwóch.

Ned wrócił do swojego punktu obserwacyjnego. Pochodnie były w połowie podwórka. Nie potrzebował już lunety. Wyjął ją z otworu w ścianie i wsadził do

niego lufę pistoletu. Miał przewagę wysokości, co najmniej dziesięciu stóp.

Poczuł to co zawsze przed walką: ucisk w piersiach, przyspieszone bicie serca, dziwny chłodny spokój.

Przypomniał sobie słowa Olivera.

„Nigdy nie czekaj na atak przeciwnika, Ned, to ty zawsze atakuj pierwszy, bez względu na to, jakie masz szanse. Wzbudź w sobie ducha walki, miej wiarę w Pana...”

Pochodnie zbliżały się do stajni. Ned odczekał jeszcze chwilę, by mieć pewność, że Will dotarł na swoją pozycję, potem wymierzył w najbliższy z płomieni i strzelił. Jaskrawy błysk prochu. Ogłuszająca eksplozja. Zapach przypalonych włosów. Zobaczył, jak pochodnia spada, przełożył drugi pistolet do prawej ręki, ponownie wymierzył, wystrzelił i nie czekał, by zobaczyć rezultaty, lecz rzucił pistolety na siano, chwycił szpadę i zszedł po drabinie. W uszach wciąż dzwoniło mu od huku wystrzałów, więc ledwie usłyszał, jak Will oddaje dwa. Wydawało mu się również, że ktoś wypalił z muszkietu na zewnątrz.

Przecisnął się między przerażonymi krowami, które podnosiły się z klepiska. Drzwi stajni były otwarte na oścież. Poczuł podmuch lodowatego powietrza i w nikłym blasku odbitym od śniegu dojrzał Willa stojącego przy drzwiach, plecami do ściany, ze szpadą w dłoni i odrzuconymi pistoletami u stóp. Zbliżył się do niego i rozłożył ręce w niemym pytaniu „Gdzie oni są?”. Will wzruszył ramionami i pokręcił głową. Tymczasem krowy przepychały się do wyjścia. Chwilę później przeciskały się przez drzwi, zderzały się ze sobą i wypadały na śnieg. Ned i Will stali obok siebie, ramię przy ramieniu. Nie słyszeli strzałów ani ludzkich głosów, a jedynie muczenie wystraszonych krów.

– Widziałeś, ilu ich było? – spytał cicho Ned.

– Za ciemno. Pięciu albo sześciu.

Kiedy ostatnie zwierzęta wybiegły i w stajni zrobiło się pusto, Ned ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

Na ziemię powoli opadał gęsty śnieg. Krowy zbiły się w ciasną grupę po drugiej stronie dziedzińca, jak najdalej od domu. W oknach na piętrze poruszały się światła. Bonny szczełała. Poza tym na podwórku było pusto, z wyjątkiem jednego małego płomyka na ziemi, jakieś dwadzieścia kroków od wejścia do stajni. W oddali widać było trzy pochodnie zmierzające ku rzece.

Ned pomyślał, że z pewnością nie byli to żołnierze, skoro tak szybko się wystraszyli. Raczej rojaliści z Bostonu albo ci szkoccy łajdacy, którzy chcieli zgarnąć nagrodę.

Trzymając szpadę w dłoni, powoli brnął przez śnieg. Podniósł porzuconą pochodnię i oświetlił nią ziemię. Mnóstwo śladów stóp, świadectwa panicznej ucieczki, plama krwi wielka jak talerz, wyżłobiona w śniegu szeroka smuga czerwieni, która powoli już zniknęła pod nowymi wielkimi płatkami. Ned przeszedł śladem krwi aż do miejsca, w którym się kończyła. Przykucnął, wbił palce w śnieg i odkrył czerwień. Rana była zapewne poważna, bo musieli rannego ciągnąć.

Will podszedł i stanął za jego plecami. Ned podniósł się powoli, krzywiąc się z wysiłku i z trudem prostując obolałe stawy. Robił się już za stary na takie zabawy, choć teraz czuł radosne uniesienie, jak zawsze po walce.

– Pogoniliśmy tych łajdaków, Will!

– Tak, ale wrócą. Może już nawet o świcie. Będzie ich więcej i lepiej się przygotują.

Z domu wyszedł Daniel Gookin. Trzymał w dłoni świecę, osłaniając drugą ręką płomyk przed śniegiem. Brodząc w głębokim po kolana śniegu, szedł w ich stronę. Okryta płaszczem Mary stała w drzwiach.

– Jesteście ranni?! – zawołał Daniel.

– Nawet nie draśnięci! – odkrzyknął Ned radośnie.

Will miał oczywiście rację. Jeśli tu zostaną, to już po nich. Ned spojrzał na ciemne niebo. Na jego twarzy tworzyła się biała maska z topniejącego śniegu.



Dzieci usłyszały huk wystrzałów i wyszły z pokoi. Mary zamknęła drzwi kuchni, ale Ned i Will słyszeli, jak tłumaczy dzieciom, że nie ma się czego bać – głodny wilk dostał się na podwórze i ojciec już go przegonił – i zagania je z powrotem do łóżek.

Ned wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić, czy napastnicy nie wracają, nie zobaczył jednak niczego prócz ciemności i śniegu.

Kiedy dzieci położyły się spać, oficerowie przysunęli się do paleniska i z ich wilgotnych ubrań podnosiły się kłęby pary. Pies ułożył się wygodnie u stóp Willa, gdy opowiadali cicho, jak oddalili atak, a potem słuchali w milczeniu, gdy Gookin przekazywał im najnowsze wieści z Bostonu. Wielki Sąd Generalny Massachusetts przez cały dzień dyskutował o ich pobycie w kolonii i choć gubernator Endecott nie zgodził się poddać tej sprawy pod głosowanie, większość bez wątpienia uważała, że taka sytuacja jest nie do przyjęcia: że rząd w Anglii ma już ugruntowaną pozycję i wkrótce na pewno dowie się, że przebywają tu dwaj królobójcy, a wtedy król może ich za karę pozbawić statusu kolonii.

– Gubernator Endecott poprosił mnie, bym przekazał wam wyrazy ubolewania, ale też ostrzegł was, że będzie musiał wydać nakaz aresztowania. Postara się opóźnić to o dzień, może dwa, żeby dać wam trochę czasu, a szeryf obiecuje, że nie będzie się specjalnie przykładał do poszukiwań. Mimo to wkrótce w całej kolonii nie będziecie już bezpieczni, a łowcy nagród będą waszym najmniejszym zmartwieniem.

– Więc dokąd mamy pójść? – spytał Will.

– Gdzieś poza Massachusetts.

– Ale dokąd?

– Myślę, że do doliny Connecticut.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, słyhać było jedynie trzask ognia w palenisku.

– Czy to nie bardzo daleko stąd?

– Owszem, około stu mil – odparł Daniel. – Ale ta odległość to zaleta. Connecticut to purytańska kolonia, znacznie bardziej niż Boston. Nie znajdziecie tam zbyt wielu rojalistów. Poza tym znam tamtejszego gubernatora, Johna Winthropa. Jego nieżyjący już ojciec jakieś dwadzieścia lat temu był gubernatorem Massachusetts. Jeśli ktokolwiek może wam pomóc, to właśnie on. Powinniście się udać do Hartfordu.

– Naprawdę możemy dotrzeć tak daleko w taką pogodę? – spytał Ned.

– Da się to zrobić, choć z pewnością nie będzie łatwo. O tej porze roku nie ma trawy, więc można zabrać najwyżej jednego konia, który będzie niósł zapasy i bagaże.

– Musielibyśmy iść na piechotę? – Ned z trudem ukrywał przerażenie. – Sto mil?

– Tak, ale po drodze jest sporo indiańskich osad, w których moglibyśmy zatrzymać się na noc. Zimą Stary Trakt Connecticut zakrywa śnieg, ale doskonale znam tę trasę.

Mary spojrzała na męża z zaniepokojeniem.

– Więc poszedłbyś z nimi?

– A kto inny może ich poprowadzić? Sami na pewno by sobie nie poradzili.

Skrzyżowała ręce na piersiach i wbiła wzrok w ogień. W kuchni znów zapadło milczenie.

– Co na to powiesz? – zwrócił się Ned do zięcia.

Will drapał spaniela za uszami; sierść psa była niczym delikatny ciepły jedwab. Nagle stanął mu przed oczami obraz Frances tuż po ich ślubie, nagiej w ich sypialni, w blasku ognia. Musiał potrząsnąć głową, by odgonić to wspomnienie.

– Powiem, że chciałbym leżeć przy ogniu, jak Bonny, ale Bóg wybrał dla nas trudniejszą drogę. Myślę, że nie mamy innego wyjścia.



Mary i Daniel wrócili do sypialni, a ich goście zabrali swoje rzeczy ze stajni. Przy kuchennym stole ponownie naładowali pistolety i czuwali na zmianę do świtu; jeden siedział przy oknie, a drugi próbował drzemać w blasku ognia.

Wkrótce po tym, jak Ned po raz drugi usiadł przy oknie, wreszcie przestał padać śnieg. Nad podwórkiem pokazało się rozgwieżdżone niebo i pół srebrnego księżyca. Powierzchnia śniegu zamarzła i skryształizowała się; maleńkie lodowe igły lśniły niczym gwiazdy. Ned starł kciukiem szron, który osiadł na szybie. Zapowiadała się dobra pogoda. Podczas tak długiej podróży lepiej stąpać po twardej powierzchni, niż przedzierać się przez zasy, topniejący śnieg lub błoto. Miał już jednak sześćdziesiąt lat i perspektywa stumilowego marszu wcale go nie cieszyła.

Mary zeszła do kuchni i zawiesiła nad ogniem garnek z rosółem, po czym przeszła do spiżarni, by zapakować zapas żywności na kilka dni.

– Nie będziemy potrzebowali zbyt dużo jedzenia – powiedział jej wcześniej mąż. Otworzył kuferek z pieniędzmi i wyjął z niego sznur białych i różowych muszli sercówek, walutę tubylców. – Mam sporo wampumów. Możemy kupować jedzenie od Indian.

Wiedziała, że nie ma sensu się z nim spierać, kiedy już coś sobie postanowi. Wszedł do spiżarni, gdy z irytacją owijała kawałek szynki z przyprawami, objął ją w pasie i zaczął pocierać szorstkim od zarostu policzkiem o jej policzek. Wiedziała, że jej twarz będzie wyglądała tak, jakby skóra spierzchnęła jej od zimna.

– Nie udobruchasz mnie tak łatwo, Danielu Gookin – rzuciła.

Ale oczywiście udało mu się to, jak zawsze. Odłożyła szynkę i odwróciła się, by pocałować go w usta.

We czwórkę pili rosół przy blasku świecy. Pamiętając, że na górze śpią dzieci, nie rozmawiali zbyt wiele. Nim skończyli, na zewnątrz pojawił się już szary blask dnia.

Daniel poszedł do stajni, by przyprowadzić konia. Kiedy wrócił, napełnili sakwy i stali przez chwilę z zakłopotaniem w kuchni. W końcu Will zaproponował,

by uklękli i zmówili razem modlitwę.

– Poczajmy się nawzajem słowami psalmu. – Wyciągnął ręce, odwracając je wnętrzem dłoni do góry. – *Gdy wstąpię do nieba, tam jesteś; jesteś przy mnie, gdy się w Szeolu położę. Gdybym przybrał skrzydła jutrzeńki, zamieszkał na krańcu morza; tam również Twa ręka będzie mnie wiodła i podtrzyma mię Twoja prawica*¹². O Panie, oddajemy się pod Twoją opiekę i Tobie służymy. Amen.

– Amen.

Wstali i każdy z mężczyzn po kolei uściskał Mary na pożegnanie – Ned trochę sztywno i szorstko, Will czule, a Daniel z taką gwałtownością, że omal nie zabrakło jej tchu w piersiach; zapewniał ją w ten sposób, że wróci.

– Wrócę za dwa tygodnie, obiecuję – wyszeptał jej do ucha.

Stała na progu i patrzyła, jak odchodzą. Było tak mroźno, że każdy głębszy oddech sprawiał jej ból. Kiedy przechodzili przez furtkę – Daniel pierwszy, prowadząc konia – odwrócili się i pomachali jej na pożegnanie; Will szarmancko uchylił kapelusza, a potem zniknęli na drodze prowadzącej do osady.

Gospodarstwa Cambridge były jeszcze pogrążone we śnie. Na zakręcie, tuż przed domem modlitwy, przeszli po zamrzniętym strumieniu i dalej podążali ścieżką biegnącą wzdłuż północnego brzegu rzeki Charles. Ich buty przebijały cienką skorupę lodu i zanurzały się w śniegu. Gdy pokonali kilka mil, nad skutą mrozem krainą wstało słońce, a godzinę później skręcili na południowy zachód i przecinając olbrzymią połąć oślepiającej dziewiczej bieli, zmierzali w stronę odległego lasu.

¹² Ps 139, 8-10.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tego samego dnia na pilną prośbę Naylera w pałacu Whitehall spotkała się rano komisja Tajnej Rady Królewskiej do spraw królobójców – Hyde jako przewodniczący oraz wszyscy pozostali członkowie: sir William Morice, sir Anthony Ashley-Cooper i sir Arthur Annesley. Nie byli zachwyceni, że podwładny odrywa ich od obowiązków.

– No dobrze, panie Nayler – rzucił Hyde. – Jesteśmy tu wszyscy. O co chodzi?

Nayler zajął swoje miejsce na końcu stołu i rozłożył dokumenty. Otepienie, które prześladowało go przez ostatnie trzy tygodnie, zniknęło bez śladu. Tryskał energią, czuł się wręcz niepokojąco ożywiony; dobrze znał ten stan. Starał się zachować spokój i powściągliwość.

– Panowie, mam przyjemność poinformować, że ustaliłem miejsce pobytu pułkownika Whalleya i pułkownika Goffe’a.

Ta wiadomość wywołała raczej niewielkie poruszenie wśród zebranych.

– Gdzie są? – spytał Hyde. – W Anglii?

– Nie, sir Edwardzie, okazało się, że to fałszywy trop. Są w Ameryce. Dokładniej rzecz biorąc, mieszkają w osadzie Cambridge w Massachusetts, niedaleko Bostonu.

– Więc nie są jeszcze w naszych rękach? – Kanclerz wydawał się rozczarowany.

– Jeszcze nie, sir Edwardzie. Ale będą.

– Nie nazwałbym tego ważną wiadomością. – Rozczarowanie zamieniało się w irytację. – Proszę nas wezwać, gdy obaj będą już w łańcuchach, panie Nayler. To będzie odpowiednia pora na gratulacje. – Hyde odwrócił się do sekretarza stanu. – Sir Williamie, może byłby pan tak dobry i poprosił sir Edwarda Nicholasa, by

przygotował dla gubernatora kolonii Massachusetts rozkaz aresztowania uciekinierów.

Nim Morice zdążył odpowiedzieć, Nayler wtrącił:

– Obawiam się, że sprawa nie jest taka prosta, panowie. Za pozwoleniem, czy mogę przyprowadzić świadka?

Hyde spojrział na pozostałych. Wydał policzki i wypuścił głośno powietrze.

– Jeśli pan musi...

Nayler przeszedł korytarzem do swojego gabinetu. Nokes dokądś poszedł, a kapitan Breedon najwyraźniej przeglądał właśnie dokumenty leżące na biurku, bo cofnął się gwałtownie, gdy tylko otworzyły się drzwi. Co za bezczelność! Nayler udał jednak, że niczego nie zauważył.

– Komisja chętnie pana wysłucha, kapitanie – oznajmił. – Proszę pamiętać, co panu mówiłem: tylko fakty, krótko i zrozumiale.

Większość ludzi czułaby zapewne zdenerwowanie, stając przed lordem kanclerzem Anglii, sekretarzem stanu i dwoma innymi członkami Tajnej Rady. Breedon nie należał do tej większości. Wszedł do sali z pewnością siebie człowieka, który zamierza sprzedać pożądaną towar grupie podekscytowanych kupców.

– Panowie, to jest kapitan Thomas Breedon, który przybył niedawno z Bostonu.

– Dzień dobry, panowie – powiedział Breedon. – To dla mnie zaszczyt.

Hyde uniósł brwi, zaskoczony, ale uprzejmie poprosił gestem, by gość usiadł.

Kapitan zajął miejsce przy stole.

– Proszę powiedzieć komisji to, co usłyszałem od pana wczoraj – zwrócił się do niego Nayler.

Ku jego uldze przybysz z Bostonu przedstawił zwięzłą i jasną relację: opowiedział, jak w czerwcu zeszłego roku popłynął z Anglii do Ameryki, wioząc wraz z innymi wiadomościami nazwiska królobójców, którzy zgodnie z Aktem Łaski powinni byli oddać się w ręce parlamentu; jak dziesiątego sierpnia statek zacumował w Bostonie i kilku spośród członków załogi rozpoznało Whalleya

i Goffe'a, którzy wyszli z kościoła niedaleko nabrzeża i przeszli wraz z innymi purytanami do domu wielbnego Johna Nortona; jak Szkoci poprosili go o pomoc i jak udał się z nimi do domu Nortona, gdzie zastał gubernatora kolonii Massachusetts, Johna Endecotta; jak odczytał mu zarządzenie parlamentu i pokazał listę z nazwiskami poszukiwanych; jak widział Whalleya i Goffe'a czających się w głębi pokoju za gubernatorem – „widziałem ich równie wyraźnie jak was w tej chwili, panowie” – i jak jego sugestia, że należy poszukiwanych aresztować, została odrzucona z pogardą; jak w ciągu następnych tygodni wielokrotnie próbował nakłonić Endecotta do wypełnienia obowiązków gubernatora, lecz w odpowiedzi słyszał tylko obelgi i oszczerstwa; jak szeryf kolonii śmiał mu się w twarz i powtarzał: „Spróbuj zaatakować Whalleya i Goffe'a, jeśli się ważysz”.

– Szeryf kolonii? – powtórzył ze zdumieniem Hyde. – Urzędnik Korony mówił do pana w taki sposób?

– Tak właśnie, lordzie kanclerzu. Mam świadków, którzy to potwierdzą.

– I gubernator odmówił działania? To skandal!

– Nie, sir Edwardzie – wtrącił Morice. – To zdrada.

– Potrafi pan jakoś wytłumaczyć to zdumiewające zachowanie? – zwrócił się Annesley do kapitana.

– Wydaje mi się, że potrafię. – Breedon poprawił mankiety i odchrząknął. – Osadnicy w Nowej Anglii dzielą się na tych, którzy należą do Kościołów purytańskich, i tych, którzy do nich nie należą. Ten podział jest teraz w Ameryce równie wyraźny jak niegdyś w Anglii podział na purytanów i tych, którzy opowiadali się za królem. Purytanie w Ameryce... nie wszyscy, ale większość... to dawni zwolennicy Cromwella, którzy nie chcą się pogodzić z powrotem Jego Królewskiej Mości. Ci najbardziej radykalni twierdzą, że wszelka władza świecka powinna być podległa ich Kościołowi. Purytanie mają najwięcej do powiedzenia we władzach kolonii i to właśnie oni chronią Whalleya i Goffe'a.

– I ci królobójcy żyją sobie tam całkiem otwarcie? – spytał Hyde.

– Tak jest, lordzie kanclerzu. Kiedy wypływałem w grudniu z Bostonu, mieszkali w Cambridge, po drugiej stronie rzeki, i o ile mi wiadomo, przebywali tam od czasu przyjazdu. Podobno przyjmują gości. Odwiedzają sąsiadów. Spotykają się w niedzielę, w Dzień Pański. I przez cały czas chełpią się, że gdyby doszło do podobnej sytuacji, ponownie podpisałiby rozkaz wykonania wyroku na królu.

– Nie do wiary – mruknął Ashley-Cooper.

– Teraz już chyba sami rozumiecie, panowie, dlaczego uważałem, że komisja powinna wysłuchać kapitana Breedona – powiedział Nayler. – Jeśli jedynie poprosimy gubernatora Massachusetts, by aresztował zdrajców, nic się nie wydarzy.

– Najwyraźniej. – Hyde skinął głową. Przez chwilę milczał, stukając palcem wskazującym w wargi i rozważając tę sprawę. – Cóż, dziękujemy panu, kapitanie – odezwał się w końcu. – Pańskie informacje są bardzo cenne.

– Czy nie macie, panowie, żadnych pytań? – Na twarzy Breedona pojawił się chytry uśmieszek. – W takim razie czy mógłbym podnieść kwestię nagrody?

– Nagroda zostanie wypłacona tylko temu, kto dostarczy nam uciekinierów, żywych lub martwych – oświadczył stanowczo Nayler, po czym wstał i położył dłoń na ramieniu Breedona. Dyskretnie, lecz zdecydowanie podniósł kapitana na równe nogi i skierował do drzwi.

– Doceniamy pańską pomoc! – zawołał za nim Hyde. – Jestem pewien, że możemy się jakoś odwdzięczyć, prawda, panie Nayler?

– Zobaczę, co da się zrobić, sir Edwardzie – odparł Nayler i zaprowadził Breedona do swojego gabinetu.

Odetchnął z ulgą, widząc, że Nokes wrócił za swoje biurko.

– Właśnie o to mi chodziło, kapitanie – powiedział. – Jeśli zechce pan tu poczekać z panem Nokesem, wkrótce wrócę.

W korytarzu przystanął i wsłuchał się w pomruk rozmów dobiegających z sali Tajnej Rady. Zachowaj spokój, przykazał sobie. Ten pomysł musi wyjść od nich,

nie od ciebie. Wziął głęboki oddech, wszedł do pokoju i usiadł na swoim krześle.

Morice proponował właśnie, by wysłać okręt wojenny z korpusem ekspedycyjnym.

– To nie musiałyby być duży oddział, co najwyżej pięćdziesięciu ludzi – dodał.

– Pięćdziesięciu, żeby złapać dwóch? – Hyde pokręcił głową. – To byłoby oznaką słabości, a nie siły. Przydałoby Whalleyowi i Goffe’owi znaczenia, na które nie zasługują.

– Poza tym jeśli sytuacja rzeczywiście jest tak trudna, jak opisał to kapitan, mogłoby to wywołać działania przeciwko Jego Królewskiej Mości, które wymagałyby interwencji jeszcze większego oddziału żołnierzy – zauważył Annesley. – Nim się zorientujemy, konflikt, któremu położyliśmy kres w Anglii, rozgorzeje na nowo po drugiej stronie Atlantyku.

– Panie Nayler, co pan o tym sądzi? – spytał Hyde.

– Nie jestem dyplomata, sir Edwardzie, ale wydaje mi się, że urzędnicy muszą wykonywać polecenia Korony... albo pożegnać się ze swoimi stanowiskami.

– Otóż to – zgodził się z nim Morice. – Pokaz siły.

– Być może nim przejdziemy do tego etapu, powinniśmy uświadomić władzom w Ameryce, jakie podejmą ryzyko, jeśli nie zechcą aresztować królobójców? – zasugerował Nayler ostrożnie.

– A jak mielibyśmy to zrobić?

Zawahał się na moment, jakby dopiero teraz szukał najlepszego rozwiązania.

– A gdyby tak Jego Królewska Mość osobiście wydał bezpośredni rozkaz Endecottowi i innym gubernatorom w Nowej Anglii i zażądał od nich aresztowania i dostarczenia do Anglii Whalleya i Goffe’a? Jeśli nie wykonaliby takiego rozkazu, dla wszystkich byłoby oczywiste, że gubernatorzy są winni zdrady, a wtedy moglibyśmy tam wysłać większe siły.

W pokoju zapadła na chwilę cisza; członkowie komisji zastanawiali się nad tym pomysłem.

– To jest do zrobienia – powiedział w końcu Hyde.

– Ale skąd moglibyśmy wiedzieć, czy wykonują rozkaz króla, czy nie? – przedstawił swoje wątpliwości Morice. – Ukrywają tych ludzi od pół roku. Równie dobrze mogliby to robić przez kolejne pół, udając przed nami, że ich szukają.

Nayler milczał. Czekał. Sami wpadną na właściwe rozwiązanie. To było oczywiste.

W końcu odezwał się Ashley-Cooper:

– Nie moglibyśmy wysłać tam przedstawiciela Korony, który osobiście przekazałby władzom rozkaz króla i przekonał się, czy ten rozkaz rzeczywiście jest wykonywany?

Przy stole znów zapadła cisza, a po chwili Hyde parsknął śmiechem.

– Ach, teraz już rozumiem! – Popatrzył prosto na Naylera. – I któż mógłby być tym przedstawicielem?

Nie dało się go oszukać.

Nayler rzucił mu śmiałe spojrzenie.

– Każdy, kto wystarczająco dobrze zna tę sprawę, sir Edwardzie – powiedział. – Na przykład mój sekretarz, pan Nokes.

– Nokes? – prychnął Morice. – Kim jest Nokes? Kto zwracałby uwagę na jakiegoś Nokesa?

– Myślę, że tak naprawdę pan Nayler proponuje siebie – powiedział Hyde.

– Ależ nie, sir Edwardzie – zaprotestował Nayler. – Taka podróż potrwa przynajmniej pół roku, a tymczasem w Europie wciąż są królobójcy, którymi należy się zająć. Obowiązki zmuszają mnie, bym został tutaj.

– Proszę nas nie zmuszać, żebyśmy pana o to błagali! – Hyde wydawał się bardziej rozbawiony niż rozzłoszczony. – Jestem pewien, że przygotował pan już tekst rozkazu króla i wie pan, jak nazywa się statek, który w najbliższym czasie odpływa do Bostonu.

Nayler milczał. Tekst rozkazu i informacja o statku leżały na biurku w jego gabinecie.

– Myślę, że jeśli pan Nayler zechce się podjąć tej misji, to takie rozwiązanie będzie najlepsze – wyraził swoją opinię Annesley.

– Zrobię wszystko, czego zażąda ode mnie komisja – oświadczył Nayler, skłaniając pokornie głowę.

I tak ustalono, że jak najszybciej popłynie do Ameryki, przekaże rozkaz króla gubernatorowi Endecottowi i pozostanie w Nowej Anglii, by się upewnić, że rozkaz został wykonany.

Hyde poprosił Naylera, by poczekał, aż pozostali wyjdą.

– Żywi pan jakąś szczególną awersję do tych dwóch ludzi, Whalleya i Goffe’a – powiedział, gdy został z nim sam.

– Nie, sir Edwardzie.

– Ależ owszem. Obserwowałem, jak pan reaguje, gdy ktoś wymienia ich nazwiska. Nie będę na pana naciskał w tej kwestii, ale wiem z długiego doświadczenia, że obsesja i zdrowy osąd rzadko chodzą ze sobą w parze.



Przez kilka następnych dni Nayler zajmował się przygotowaniem. Próbował namówić kapitana Breedona, by popłynął z nim do Bostonu, lecz ten miał sprawy do załatwienia w Londynie; nawet perspektywa dwustu funtów nagrody nie wydawała mu się na tyle kusząca, by wziął udział w kolejnym rejsie przez Atlantyk tak szybko po poprzednim. Podał jednak Naylerowi nazwiska „dwóch dobrych ludzi, wiernych królowi”, mieszkańców Massachusetts, którzy z pewnością udzielą mu pomocy.

Nayler wykupił miejsce na pokładzie statku *King Harry*, który miał wypłynąć z Gravesend w czwartek siódmego marca. Spakował do kufra trochę ubrań, trochę dobrego twardego sera, trzy butelki francuskiego koniaku, *Historię świata* sir Waltera Raleigha, dwa pistolety oraz woreczki wypełnione prochem i nabojami. Pobrał ze skarbcza dwieście funtów w złocie oraz weksel, na którym było napisane,

że wszelkie zobowiązania zaciągnięte przez osobę, która go podpisze, zostaną spłacone przez rząd Jego Królewskiej Mości.

Brakowało mu jedynie rozkazu podpisanego przez króla. Niestety, dwór przeniósł się do Hampton Court na tygodniowe polowanie, a Jego Wysokość nie życzył sobie, by mu przeszkadzano. Wieczorem we wtorek piątego marca król wrócił do Whitehall. Następnego dnia Nayler przez cały dzień wyczekiwał pod królewskimi apartamentami na pełnomocnictwo i rozkaz, podpisany i zapieczętowany. Pozwolił sobie nawet pomarzyć, że monarcha wezwie go i będzie mu osobiście życzyć powodzenia. Kiedy jednak Hyde wyszedł w końcu ze spotkania z królem, poinformował go, że Jego Wysokość udał się na King Street do pani Palmer. Ostatecznie dokument dostarczył Naylerowi urzędnik z biura sekretarza stanu. List zaadresowano *Do naszego wiernego i drogiego gubernatora lub innego zarządcy czy zarządców naszej plantacji w Nowej Anglii.*

KAROL R.

Wierni i umiłowani!

Pozdrawiamy was. Doszły Nas wieści, że pułkownik Whalley i pułkownik Goffe, którzy zostali uznani za winnych haniebnego morderstwa naszego umiłowanego świętej pamięci ojca, przybyli niedawno do Nowej Anglii, by uniknąć odpowiedzialności za swoje zbrodnie. Naszą wolą i życzeniem jest, by jak najszybciej po otrzymaniu tego listu wyżej wymienione osoby aresztowano i przy pierwszej sposobności odesłano do Nas pod strażą, czego niniejszym żądamy i co nakazujemy uczynić. Żegnam was z przekonaniem, że chętnie i należycie wykonacie swoje obowiązki.

Sporządzono na dworze w Whitehall, piątego dnia marca.

Nayler zerknął tylko przelotnie na list, nim schował go do skórzanej teczki. Pamiętaj, że służysz Koronie, a nie człowiekowi, nakazał sobie. Opuścił pałac bez słowa pożegnania.

Tej nocy nie spał dobrze. Rankiem ubrał się, zdjął miniaturowy portret Sary i przytrzymał go w dłoni. Zastanawiał się, czy schować go do kieszeni. Zapamiętał jednak dobrze słowa Hyde'a. Być może rzeczywiście zapominał o zdrowym rozsądku, co z pewnością mu nie służyło. To była oficjalna misja, a nie prywatna zemsta. Odwiesił portret na ścianę.

W korytarzu czekał służący z chłopcem, który miał nieść bagaże. Nayler zamknął mieszkanie na klucz i przeszedł za nimi przez ogród do Tamizy, gdzie przy pomoście cumowała łódź, którą miał popłynąć do Gravesend. Pogoda sprzyjała podróżowaniu; wiał ciepły wiatr, który niósł zapowiedź wiosny. Kiedy wypłynęli na środek rzeki i poddali się nurtowi, miejska zabudowa ustąpiła wkrótce miejsca otwartej przestrzeni i Nayler poczuł, że nabiera otuchy.

Wczesnym popołudniem był już na pokładzie statku *King Harry*, w małej kajucie tuż nad ładownią, a marynarze ustawiali jego kufer pod hamakiem. Traktowali go z wielką rewerencją – skoro miał prywatną kajutę, musiał być kimś naprawdę ważnym – a pierwszy oficer zaprosił go w imieniu kapitana na kolację, lecz Nayler odmówił. Kiedy został sam, przekonał się, że kufer ułatwia mu znacząco wejście na hamak. Górny pokład znajdował się zaledwie o stopę nad jego głową. Słyszał kroki pasażerów, krzyki i nawoływania marynarzy, turkot beczek przetaczanych po deskach. Sznury hamaka napięły się pod ciężarem ciała, płótno szczelnie go otuliło, zamknął oczy i niemal natychmiast zasnął.

Obudził się wiele godzin później w ciemności. Kołysząc się w hamaku, słuchał trzeszczenia desek. Nie miał pojęcia, która może być godzina.

Musiał obrócić ciało, by wyjść z hamaka, wysunąć po kolei nogi i opuszczać je powoli. W końcu postawił stopy na podłodze i zaczął się kołysać wraz ze statkiem. Byli na morzu. Poziom wody w ujściu Tamizy podniósł się wraz z przyływem i statek wypłynął z portu, kiedy Nayler spał.

Opuścił kajutę i ruszył chwiejnym krokiem korytarzem. Musiał się garbić, bo korytarz miał zaledwie pięć stóp wysokości. Z obu stron dochodziło głośne chrapanie. Wydawało mu się, że dostrzega w ciemnościach długie białe toboły zawieszane w powietrzu, przypominające olbrzymie kokony. Dotarł do drabiny

i przytrzymał się jej. Gdy spojrział w górę przez otwarty właz, dojrzał skrawek rozgwieżdżonego nieba. Ostrożnie wspiął się po szczeblach na pokład i wszedł w chłodną noc. Wiatr i ciemność, żadnych świateł, ani śladu lądu, żadnego marynarza w pobliżu, tylko wrażenie nieustannego ruchu, gdy parli na zachód przez otchłań, zmierzając ku krawędzi świata.

Część druga

POŚCIG

1661

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Już tego pierwszego poranka, gdy trasa prowadziła przez środek pokrytej śniegiem równiny Massachusetts – płaskiego obszaru upstrzonego wielkimi dębami i bukami, terenu, który nie różnił się szczególnie od przeciętnej angielskiej okolicy w środku zimy – Ned z trudem dotrzymywał tempa dwóm młodszym mężczyznom. Po kilku godzinach przedzierania się przez zasy coraz bardziej bolały go nogi. Spływał z niego pot i zamarzał na twarzy, a broda pokryła się szronem; serce waliło w piersiach niczym żelazny młot. Po południu, gdy dotarli do porośniętego lasem wzgórza, wędrówka stała się znacznie trudniejsza, bo ścieżka prowadziła w górę zbocza, między wysokimi sosnami o potężnych pniach przypominających filary katedry z sufitem ze splecionych gałęzi, sięgających samego nieba.

Daniel Gookin wkroczył do lasu jako pierwszy, prowadząc konia. Will szedł za nim. Ned włókł się z tyłu, stąpając po ich śladach. Co jakiś czas musieli przystawać i czekać, aż ich dogoni. Gdy tylko się z nimi zrównywał, zapewniał, dysząc chrapliwie, że świetnie daje sobie radę. W końcu, kiedy zdarzyło się to po raz czwarty, porzucił pozory i zgodnie z sugestią Willa wsiadł na konia. Jego towarzysze nieśli juki, podczas gdy on, upokorzony, kołysał się w siodle i przeklinał swoje stare kości.

Ścieżka była tak wąska, że nie dałoby się przejechać po niej wozem. Od czasu do czasu z głębi lasu dochodził głuchy odgłos, kiedy śnieg zsuwał się z gałęzi i opadał ciężkim wodospadem kryształów na ziemię. Choć Daniel zapewniał wcześniej, że wędrują dobrze mu znaną starą trasą Indian wiodącą z Zatoki Bostońskiej w głąb kontynentu, to zdawało się, że raz po raz wracają w te same miejsca. Ned zaczął więc podejrzewać, że zabłądzili. Potem jednak jego żołnierska dusza zaczęła to rozumieć i doceniać; wiedział już, dlaczego na pozór bez celu szli przez długi czas wzdłuż rzeki – bo w końcu docierali do powalonego drzewa, które

pełniło funkcję wygodnego mostu, albo do olbrzymich głazów, ułożonych tak, by można było przejść przez zagłębienie terenu, gdzie latem zapewne było trzęsawisko. Ta trudna do przebycia kręta droga wiodąca przez leśną gęstwinę była owocem setek – a może i tysięcy – lat doświadczeń i ciężkiej pracy.

Gdy zaczęło się ściemniać, Daniel zarządził postój nad brzegiem jeziora. Podczas gdy Ned i Will zbierali chrust, on wyjął z bagaży sieć, wyszukał mocną gałąź i wszedł ostrożnie na lód. Ned i jego zięć przerwali pracę, by przyglądać się poczynaniom Daniela. Kiedy tylko lód zaczął pękać, ich przewodnik cofnął się o krok i gałęzią wybił w lodowej pokrywie szeroką dziurę, po czym zarzucił sieć. Dziesięć minut później był już na brzegu z sześcioma rybami, które trzepotały się w siatce, pobłyskując srebrzyście w gęstniejącym mroku. Uniósł zdobycz w triumfalnym geście.

– Bóg stworzył krainę obfitości, a człowiek musi jedynie wyciągnąć rękę, by odebrać te dary.

Rozpalili ognisko i kiedy przy nim siedzieli, Will, zainspirowany widokiem jeziora i otaczającą ich głuszą, przypomniał im historię Jonasza zamkniętego przez trzy dni w brzuchu wieloryba.

– *Z wnętrzości ryby modlił się Jonasz do swego Pana Boga. I mówił: W utrapieniu moim wołałem do Pana, a On mi odpowiedział. Z głębokości Szeolu wzywałem pomocy, a Ty usłyszałeś mój głos*¹³.

– Amen.

– Amen.

Z głębokości Szeolu wzywałem pomocy... Otóż to, pomyślał Ned. Mimo piękna tej bezludnej zimnej krainy, którą przemierzali, tak się właśnie czuł.

Owinęli ryby liśćmi, upiekli je na żarze i orzekli zgodnie, że nigdy jeszcze nie jedli czegoś równie pysznego. Wypalili wspólnie fajkę, a potem Daniel pokazał im, jak przygotować posłanie na indiański sposób: zebrali suche liście i mech, część rozłożyli na ziemi, a resztę wepchnęli do sieci, tworząc w ten sposób coś w rodzaju grubego koca. Położyli się blisko siebie, by ogrzewać się nawzajem. Dzięki temu

było im zaskakująco sucho i ciepło. Ognisko strzelało ku niebu czerwonymi iskrami. Z ciemności dochodziły odgłosy zwierząt. Słyszeli wycie wilka i między drzewami przeszło jakieś potężne stworzenie, którym według Daniela mógł być niedźwiedź. Nabitą broń trzymali pod ręką.

Tak zakończył się pierwszy dzień.



Prawie cały ranek następnego dnia upłynął im na okrążaniu jeziora. Wspięli się na górski grzbiet, zeszli po drugiej jego stronie i po południu wyszli z lasu, za którym rozciągała się płaska jak stół równina. Ned znów dosiadł konia, a jego towarzysze szli ugięci pod ciężarem bagaży. Wciąż nie doczekali się choćby najmniejszych przebłysków słońca; niebo było ciężkie od chmur i szare. Z północnego zachodu wiał przenikliwy zimny wiatr, a nad ziemią zalegała cisza. Ogromna połać śniegu przypominała białe morze, ciągnące się na przestrzeni wielu mil i poprzecinane tropami zwierząt.

Daniel położył na ziemi bagaże i wyjął kompas, po czym wskazał na lewo, wyznaczając kierunek marszu na zachód. Wiatr przybierał na sile. Mniej więcej godzinę później na tle śnieżnobiałego krajobrazu pojawiła się czarna smuga kilka mil przed nimi. Przystanęli. Ned wyjął z płaszcza lunetę i przyjrzał się uważnie czarnej plamie. W powiększeniu przybrała postać trzech obiektów przypominających kryte strzechą długie szopy. Nad każdą unosiły się wstęgi dymu. Ned zsiadł z konia i podał lunetę Danielowi.

Ten przystawił ją do oka i orzekł:

– Indianie. Obozują w swoich wigwamach nad brzegiem rzeki, bo pod koniec zimy jest tam sporo ryb.

– Powinniśmy zmienić kierunek marszu? – spytał Ned.

– Wręcz przeciwnie: zależało mi na tym, żeby ich znaleźć. – Daniel oddał mu lunetę. – Zatrzymamy się u nich na noc. – Parsknął śmiechem, ujrawszy minę pułkownika. – Nie ma powodu do obaw! Są takimi samymi stworzeniami Bożymi

jak ty czy ja. I potrzebują naszego współczucia i pomocy, bo ktoś musi ich przecież wyzwolić z tego barbarzyńskiego stanu i przywieść do zbawienia.

Mimo tych zapewnień Ned uparł się, że resztę drogi pokona piechotą, by w razie potrzeby mógł szybciej sięgnąć po pistolety i szpadę.

– Jak to się stało, że ta dzika rasa żyje w Ameryce? – odezwał się Daniel, gdy brnęli w stronę obozowiska. – Szukałem rozwiązania tej tajemnicy w Piśmie Świętym. Legendy Indian mówią o dwóch młodych kobietach, które wyszły tu na brzeg przed tysiącem lat i gdy piana morska dotknęła ich ciał, stały się brzemiennie. Jedna urodziła mężczyznę, a druga kobietę, potem obie zmarły i opuściły świat, a ich syn i córka założyli plemię.

– Pogańskie przesady – mruknął Will.

– Owszem – zgodził się z nim Daniel. – Powstaje jednak pytanie: który z synów Noego jest ich przodkiem? Moim zdaniem są potomkami jednego z dziesięciu plemion Izraela, o których czytamy w Księdze Królewskiej. Asyryjski tyran, Salmanasar, wygnał to zniewolone plemię z Samarii do Azji. Prawdę poznamy w Dniu Sądu Ostatecznego, kiedy wszystko, co ukryte, zostanie objawione ku chwale Bożej. Na razie zamieniliśmy już wielu Indian w dobrych chrześcijan, a z czasem będzie ich coraz więcej. Mój przyjaciel John Eliot, pastor z Roxbury, tłumaczy właśnie Biblię na język Wampanoagów, Indian z Massachusetts.

– Podjęliście się bardzo trudnego zadania.

– A jednak musimy robić wszystko, co w naszej mocy, by wieść ich ku Chrystusowi, do czego nawołuje nas psalm: *Żądaj ode Mnie, a dam Ci narody w dziedzictwo i w posiadanie Twoje krańce ziemi*¹⁴.

– Pamiętaj jednak o następnym wersie – odezwał się Will. – *Żelazną różgą będziesz nimi rządzić i jak naczynie garncarza ich pokruszysz*¹⁵.

– Z tym akurat się nie zgadzam – odpowiedział Gookin. – Choć znam takich, którzy tego się właśnie trzymają.

Na tym zakończyli dyskusję i żaden z nich nie odezwał się do czasu, gdy znaleźli się przy obozie Indian.

Wigwamy były zaskakująco duże; miały podłużne obłe kształty przypominające kadłub statku odwrócony stępką do góry, długi na jakieś trzydzieści stóp i wysoki na piętnaście. Zdaniem Neda wyglądały żałośnie: ponure rudery bez okien, obłożone szarawymi paskami starej kory, otoczone roztopionym śniegiem, który zamienił się w brudną breję. Wyczuwszy przybyszów, psy z obozowiska zaczęły głośno ujadać. Dwa wychudzone kundły podbiegły do nich przez śnieg, usiadły przed nimi i zaczęły warczeć. Koń spłoszył się, więc przystanęli.

Skóra zakrywająca wejście do jednego z wigwamów została podniesiona i wyszło z niego sześciu mężczyzn okrytych futrami; każdy niósł łuk i strzałę. Stanęli w szeregu i napięli cięciwy, mierząc w trzech wędrowców.

– Boże, miej nas w swojej opiece – mruknął Ned. – Spójrzcie tylko na to.

– Poczekajcie tu – powiedział Daniel. – Pójdę z nimi porozmawiać.

Zdjął z grzbietu konia sakwę i ruszył w stronę obozowiska, unosząc rękę w geście pozdrowienia. Ned sięgnął pod płaszcz po pistolet.

– Nie. – Will pokręcił głową. – Nie wygramy z nimi. Jest ich zbyt wielu.

Daniel dotarł do Indian, odłożył sakwę i podniósł obie ręce. Potem powiedział coś do najwyższego z nich. Gdy tubylcy opuścili łuki, podniósł sakwę i wszedł za nimi do wigwamu.

Ned wysunął rękę spod płaszcza i rozejrzał się – przy ciemniejącym niebie śnieg wydawał się dziwnie błyszczący, wręcz niezemski. Ned słyszał szum rzeki płynącej gdzieś za drzewami, które rosły tuż za obozowiskiem; zdawało się, że nurt jest bardzo silny, zbyt szybki, by woda mogła zamarznąć. Nie mieli dokąd uciec.

– Kochany Willu – mruknął. – Co to za kraina, do której nas przywiodłem?

Czekali dość długo, smagani lodowatym wiatrem, a gdy kłapa wigwamu znów się podniosła, było już tak ciemno, że ledwie rozpoznali Daniela Gookina.

Podświetlany czerwonym blaskiem ognia płonącego w wigwamie, pomachał do nich i zawołał, że nic im nie grozi. Ruszyli w jego stronę.

– Wszystko załatwione. Kupiłem ziarno dla konia i jedzenie dla nas na dwa dni. Możemy tu przenocować i zjeść kolację. Zejdźcie z tego zimna.

Podniósł klapę. Ned i Will wymienili niepewne spojrzenia, pochylili się i weszli powoli do środka. Daniel opuścił za nimi klapę.

Ich zziębnięte ciała i oczy przywykłe do ciemności doznały szoku w zetknięciu z żarem bijącym od ogniska, łagodnym żółtym blaskiem oświetlającym twarze około dwadzieścioro mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy wpatrywali się w nich z zaciekawieniem. Dym z ogniska unosił się ku otworowi w dachu, powietrze wypełniała woń pieczonych ryb i kukurydzy. Ściany obwieszane były skórami niedźwiedzi i jeleni, a na podłodze z ubitej suchej ziemi stało sześć dużych drewnianych platform, przykrytych kocami i skórami. Daniel podprowadził ich do ogniska.

– Przyznajcie, że jest to najcieplejsze miejsce, w jakim byliście przez całą tę zimę – powiedział.

– Owszem – zgodził się Ned i przysunął ręce do ognia, rozglądając się dokoła. – Cieplesze niż którykolwiek dom w Cambridge, to na pewno.

Daniel zwrócił się w tubylczym języku do najwyższego z Indian, zapewne wodza tej grupy. Był to wysoki mężczyzna o ostrych rysach twarzy, długich czarnych włosach ściągniętych w kucyk i głęboko osadzonych, czarnych jak smoła oczach. Miał na sobie tylko przepaskę biodrową przypominającą fartuch i zwierzęcą skórę zarzuconą na ramiona. Wskazał na łóżko na samym końcu wigwamu, na którym młoda kobieta karmiła piersią niemowlę, i wypowiedział kilka krótkich słów.

– Mówi, że mamy tam spać i że przyniosą nam jedzenie.

Kiedy podeszli do posłania, kobieta zakryła pierś i tuląc dziecko, przemknęła do pozostałych Indian. Will odprowadził ją spojrzeniem. Nie mógł się powstrzymać. Ta młoda dzikuska z niemowlakiem, zamknięta w tej prymitywnej

chacie, ma się lepiej ode mnie? – pomyślał. Jak to możliwe? Zamknął na moment oczy. O Panie, pomóż mi znosić Twoje zamierzenia wobec nas i lepiej je rozumieć.

Ned odstawił sakwę i położył się na legowisku. Wsunął dłonie pod głowę, wyprostował nogi i westchnął z ukontentowaniem.

– Na pewno będzie nam tu wygodnie. Miejsca jest aż nadto.

Starsza kobieta przyniosła im jedzenie w drewnianych miskach: kawałki ryby zmieszane z kukurydzą, czerwoną fasolą i gniecionymi orzechami, bardzo gorące. Musieli jeść palcami, wybierając mozolnie z ryby małe ości, których było mnóstwo. Potrawa miała dziwny smak, ale wypełniła im żołądki i z pewnością była bardziej pożywna niż chleb z serem, czyli zwyczajowe racje żywnościowe, które serwowano w zreformowanej armii. Nic dziwnego, że poganie wydawali się tak sprawni i szczupli. Opróżniwszy miskę, Ned wylizał palce i spytał Daniela, jak w języku Indian Massachusetts brzmią słowa „ryby” i „dobre”. Wymówił je kilkakrotnie na próbę, a potem zawołał w stronę tubylców: *Námás! Wuñne!* Musiał wypowiedzieć oba jeszcze dwukrotnie, nim go zrozumiano.

Kilku Indian parsknęło śmiechem i pokręciło z rozbawieniem głowami. Zaspokoiwszy ciekawość, zajęli się jedzeniem. Spektakl z udziałem trzech dziwnych cudzoziemców dobiegł końca.

Chwilę później trzej wędrowcy – wyczerpani, najedzeni i rozgrzani – zapadli w głęboki sen. Głośnie chrapanie, które niosło się przez cały wigwam, na nowo rozbawiło ich gospodarzy.



Maszerowali przez kolejne cztery dni. Im dalej przesuwali się na zachód, tym łagodniejsza robiła się pogoda i tym szybciej topniał śnieg – co nie ułatwiało wędrówki, grzęźli bowiem w błocie i musieli się przedzierać przez wezbrane strumienie i rzeki. Żywili się głównie rybami łowionymi w jeziorach, przy których zatrzymywali się na noc, i *nokehick*, prażoną kukurydzą, którą Daniel Gookin kupił od Indian za małe lusterko i cztery uncje tytoniu; garść ziaren zmieszanych

z gorącą wodą pozwalała się rozgrzać i oszukać głód. Kiedy mocno wiało lub zaczynało padać, Daniel pokazywał, jak budować szałas indiańskim sposobem; zbierali sosnowe gałęzie i układali je na kształt miniaturowego wigwamu.

W piątek rano podniósł nagle rękę, nakazując im, by zatrzymali się w środku lasu.

– Jesteśmy blisko celu – powiedział. Wskazał na wielki, płaski głaz leżący przy ścieżce. Wydawało się, że nie mógł tu trafić inaczej, jak tylko prosto z nieba. Nazywano go Amboną, bo stąd właśnie kaznodzieje nauczali uczestników pierwszych wypraw zmierzających w głąb kraju i zachęcali tubylców, by szukali swojego nowego świata (Ezechiel, rozdział trzydziesty siódmy: *Ludy zaś pogańskie poznają, że Ja jestem Pan, który uświęca Izraela, gdy mój przybytek będzie wśród nich na zawsze*¹⁶).

– Pomyślcie tylko – dodał. – Jaką wiarę musieli mieć ludzie, którzy przyплыли tu aż z Anglii, nie wiedząc nic o tym, co ich czeka, a potem wyruszyli w głąb tego dzikiego lądu! Tylko Boży wybrańcy mają dość odwagi i determinacji, by podbijać tę krainę.

Następnego dnia pokazał im inne widoki: Czarny Staw, na porośniętych sosnami i cedrami trzęsawiskach, które nadawały wodzie barwę węgla, oraz Kryształowy Staw, z wodą dla odmiany tak czystą, że widać było ławice ryb pływające nad dnem, tak cudownie obfite jak w rajskim ogrodzie.

W niedzielę rano, szóstego dnia wędrówki, mniej więcej po godzinie marszu usłyszeli głośny szum dobiegający z za skraju lasu. Przyspieszyli kroku, a gdy wyszli z za drzew, zobaczyli rzekę o szerokości ponad stu jardów, majestatyczną w pierwotnej dzikości, brązową od roztopionego lodu i śniegu, wezbraną tak bardzo, że niemal występowała z brzegów. Spieniony nurt niósł większe i mniejsze gałęzie z prędkością galopującego konia.

Przez chwilę przyglądali się temu w niemym zachwycie.

– Panowie – odezwał się w końcu Daniel Gookin, wskazując na rzekę – Connecticut.



Uznali, że dotarcie do rzeki właśnie w Dzień Pański jest pomyślnym znakiem. Uklękli i podziękowali Bogu. Potem Will i Daniel zarzucili sakwy na plecy, Ned dosiadł konia i ruszyli wzdłuż rzeki na południe. Nieco ponad milę dalej na drugim brzegu pojawiły się dachy angielskiej osady. Daniel Gookin powiedział im, że to Windsor, tyle że nad Connecticut, a nie nad Tamizą. Kiedy zrównali się z wioską, Ned obejrzał ją przez lunetę: kilkadziesiąt prostych drewnianych domów, dom modlitwy z dzwonnica i prom przy brzegu. Wydawało mu się, że przy tak silnym nurcie prom nie będzie w stanie dotrzeć do przeciwległego brzegu, ale Daniel zapewnił go, że to możliwe, bo jest przymocowany do łańcucha ułożonego na dnie i kursuje nawet w najgorszą pogodę. I kilka minut później zobaczyli mężczyznę przeciągającego prom na ich stronę rzeki.

Był pierwszym Anglikiem, jakiego spotkali niemal od tygodnia. W odróżnieniu od milczącego przewoźnika z rzeki Charles, ten był młody i gadatliwy. Daniel ostrzegał jednak wcześniej pułkowników, by nie ujawniali celu podróży.

– Nie znam ludzi z tej części stanu ani ich poglądów. Pamiętajcie, że wyznaczono nagrody za wasze głowy. Najlepiej, żebyście znów zostali Richardsonem i Stephensonem, jak na *Prudent Mary*.

Dlatego na wszystkie pytania przewoźnika – skąd przyjechali? dokąd się wybierają? skąd pochodzą? – odpowiadali monosylabami. W końcu młodzieniec poddał się i przestał się odzywać. Prąd napierał na burtę promu i co jakiś czas odrobina wody wlewała się do środka. Ned, przemoczony i skulony w skórzanym wojskowym płaszczu, uświadomił sobie nagle, że teraz tak właśnie będzie wyglądało ich życie: będą podejrzliwi wobec każdego, kogo spotkają po drodze, będą ukrywać swoją tożsamość, ignorować pytania lub odpowiadać na nie szorstko i wymijająco. Jak długo to zniosą?

Przybili do zachodniego brzegu, opłacili przejazd – osiem pensów za konia, dwa pensy za każdego z pasażerów – i za namową Daniela nie zatrzymali się w Windsorze, lecz szli dalej na południe. Przez kilka godzin maszerowali zrytą

koleinami błotnistą drogą i po południu, przeszedłszy przez łąkę, dotarli do granic Hartfordu. Osada przypominała Cambridge, była jednak większa i gęściej zabudowana drewnianymi domami. Wzdłuż błotnistych ulic ciągnęły się brudne zwały ubitego śniegu. Nie napotkali nikogo. Droga oddalała się od rzeki i prowadziła na wzgórze z dużym placem przed domem modlitwy, z którego dochodził głośny śpiew. Wyglądało na to, że zebrała się tu cała osada.

– Szkoda, że nie możemy do nich dołączyć! – powiedział Will i westchnął.

Daniel Gookin pokręcił głową.

– Zbyt duże ryzyko – rzucił.

Poprowadził ich węższą drogą w górę zbocza, do dużego domu przy skrzyżowaniu, należącego do gubernatora Winthropa.

– Ma jeszcze jedną farmę na wybrzeżu, w Nowym Londynie, ale dużo czasu spędza tutaj, kiedy załatwia urzędowe sprawy. Miejmy nadzieję, że to jeden z takich dni.

Posiadłość miała typowy układ: na ogrodzonej działce o powierzchni kilku akrów były sad, padok, dom i zabudowania gospodarcze. Daniel zabrał swoich towarzyszy do stajni, żeby się tam ukryli i poczekali. Kiedy poszedł do domu, dwaj pułkownicy znów znaleźli się na sianie, pośród kilkunastu krów. Nedowi całkiem zdrętwiały stopy. Zdjął buty, a potem pończochy i próbował je wyjąć.

– Mógłbyś, chłopcze? – zwrócił się do zięcia.

Will ukląkł przed nim, zdjął rękawice i próbował rozmasować jego zziębnięte nogi.

Po chwili usłyszeli trzask otwieranej furtki i dziewczęce głosy na podwórzu. Podeszli obaj do drzwi stajni, by wyrzeć przez szpary między deskami. Para dorosłych – zapewne państwo Winthropowie – wróciła z pięcioma córkami, z których najstarsza mogła mieć nie więcej niż piętnaście lat. Wszyscy byli szczelnie opatuleni. Winthrop uściśnął dłoń Daniela Gookina. Mężczyźni stali jednak zbyt daleko, by Will i Ned mogli usłyszeć, o czym rozmawiają. Gospodarz

objął Daniela ramieniem i poprowadził do domu. Żona i córki ruszyły za nim i ostatnia z dziewcząt zamknęła drzwi.

Minęło sporo czasu. Zaczęło zmierzchać i w stajni zrobiło się ciemno. Ned włożył wilgotne pończochy i buty, po czym umościł się na sianie. Zamknął oczy, lecz był zbyt wyczerpany, by zasnąć. Will został przy drzwiach.

– Ktoś idzie – wyszeptał po chwili, po czym wrócił na środek stajni i pomógł teściowi wstać. Ned wciąż otrzepywał płaszcz z siana, gdy do stajni wszedł Daniel. Towarzyszył mu tęgi mężczyzna po pięćdziesiątce, który niósł w ręce lampę. Podniósł ją i oświetlił twarze królobójców, odsłaniając jednocześnie swoją: pociągłą i inteligentną. Jego wydatny nos, podkreślony blaskiem lampy, natychmiast przywiódł Nedowi na myśl Cromwella.

– Panie gubernatorze – odezwał się Daniel – pozwolę sobie przedstawić panu Edwarda Whalleya i Williama Goffe’a. – Odwrócił się do pułkowników. – Udawanie, że jesteście kimś innym, nie miałoby sensu.

Ned zwrócił uwagę na to, że Winthrop nie podał im ręki.

– Przykro nam, że stawiamy pana w takiej sytuacji – powiedział.

Winthrop nie odpowiedział, tylko nadal im się przyglądał.

– Wyjaśniłem sytuację panu gubernatorowi – oznajmił Daniel, pocierając z zakłopotaniem rękę. – Niestety, jego zdaniem nie możecie zostać w Connecticut.

Zaskoczony i skonsternowany Will położył dłoń na ramieniu teścia.

Winthrop postawił lampę na klepisku i odchrząknął.

– Wybaczcie, panowie. Gdyby chodziło tylko o mnie, nie wahałbym się ani chwili. Jestem jednak odpowiedzialny za mieszkańców tej kolonii. Większość z nich z pewnością sprzyja waszej sprawie, ale nie mogę zagwarantować, czy jakiś Judasz nie skusi się na nagrodę w wysokości dwustu funtów, a to ściągnęłoby gniew Korony na głowy nas wszystkich. Możecie tu zostać na noc, skoro Daniel zapewnił mnie, że nikt was tu nie widział. Przed świtem musicie jednak wyruszyć dalej. Przykro mi.

– Dalej? – powtórzył Ned z niedowierzaniem. – Ale dokąd konkretnie?

– No właśnie, to jest sedno sprawy. – Daniel westchnął. – Gubernator sugeruje New Haven.

– Jak to daleko stąd?

– Czterdzieści mil.

Will tylko jęknął.

– Dlaczego w New Haven będziemy bezpieczniejsi niż w Connecticut? – zapytał Ned.

– To niezależna kolonia, założona dwadzieścia lat temu według surowych zasad rodem z Biblii. Mieszkańcy New Haven nie uznają władzy króla. Właściwie uznają jedynie władzę Boga. Znam tamtejszego pastora, Johna Davenporta. Tak czy inaczej, miałem mu niedługo wysłać lekarstwa. Znajdę wam tu przewodnika.

Will spojrział ze zdziwieniem na Daniela Gookina.

– Nie pójdziesz z nami?

– Nie znam dobrze drogi. – Daniel wydawał się zakłopotany. – Poza tym obiecałem Mary, że wrócę do domu za dwa tygodnie. Ale zostawiam was w dobrych rękach, możecie być pewni.



Winthrop nie zaprosił ich do domu, ale wrócił po chwili z chlebem, serem, piwem, kocami i lampą. Daniel, choć zaoferowano mu łóżko w domu, grzecznie odmówił i został z pułkownikami, choć ci próbowali namówić go do zmiany zdania.

– Dzieliłem z wami trudy podróży do tej pory, więc nie opuszczę was na samym końcu – odparł.

Will poprowadził medytację, powołując się na cytat z rozdziału szóstego Ewangelii świętego Mateusza: *Przypatrzcie się ptakom w powietrzu: nie sieją ani żnć i nie zbierają do spichrzów, a Ojciec wasz niebieski je żywi*¹⁷.

Po raz ostatni ułożyli się we trzech obok siebie, by się ogrzać. Daniel i Will niemal od razu zasnęli, lecz Ned czuwał jeszcze przez co najmniej godzinę. Choć

nie wspomniał o tym Winthropowi, znał pastora z New Haven, Johna Davenporta, przynajmniej ze słyszenia. Siostra Neda, Jane, mieszkała przez wiele lat w kolonii Davenporta, a jej mąż, William Hooke, był jego pomocnikiem. I choć Jane starannie dobierała słowa – a Hooke zawsze mówił o Davenportcie jako o prawdziwie Bożym człowieku – Ned wyczuwał pewien chłód w stosunku siostry do założyciela New Haven. Przypomniawszy sobie również, że bardzo chciała wrócić do Anglii. Zastanawiał się nad tym jeszcze przez jakiś czas, nie doszedł jednak do żadnego konkretnego wniosku, poza tym, że nie mają wyboru i powinni być wdzięczni Panu, w swej niezmierzonej mądrości prowadzącemu ich do jedyne go człowieka w Ameryce, który być może zechce ich chronić.



Ned obudził się przed świtem, gdy zaświecono mu prosto w twarz. Winthrop pochylał się nad nim. Towarzyszył mu mężczyzna koło trzydziestki, niski i barczysty.

– To jest Simon Lobdell, obywatel Hartfordu, który dobrze zna New Haven. Simonie, to ludzie, których poprowadzisz.

Gubernator nie podał ich nazwisk, a powściągliwe zachowanie Lobdella wskazywało na to, że nakazano mu, by nie zadawał niepotrzebnych pytań.

Ned podniósł się z siana, zeszywniały i obolały, zwinął posłanie i zarzucił sakwę na grzbiet konia Lobdella, chciał bowiem przejść tę ostatnią część drogi na piechotę. Z Winthropem pożegnał się bardzo oficjalnie, ale gdy ścisnął Daniela Gookina, nie potrafił pohamować łez i bał się, że za chwilę całkiem się załamie.

– Niech cię Bóg błogosławi, Danielu. Dziękujemy za wszystko. A jeśli już się nie spotkamy... – Głos uwiązł mu w gardle. Ned musiał wypuścić go z objęć i odwrócić się.

– Spotkamy się, przyjacielu – zapewnił go Daniel. – Na tym albo na tamtym świecie.

Ned nie odwrócił się już do niego; podniósł tylko rękę w geście pożegnania i wyszedł ze stajni. Otarł oczy i słuchał przez moment, jak żegna się zięć. Wkrótce potem Will do niego dołączył, a na koniec na podwórku pojawił się Lobdell i ujął wodze konia. Razem, prowadzeni stukotem kopyt, wyszli przez bramę na ulicę, nie oglądając się za siebie.

Niewiele mogli dojrzeć w ciemności. Nocą błotniste koleiny zamarzły na kamień i wystarczył jeden nieuważny krok, by zwichnąć nogę. Szli powoli i ostrożnie, mijając niewyraźne sylwetki domów po obu stronach drogi. W jednym z gospodarstw zaczął szczekać pies. Gdy w oknie na górze pojawiło się światło, Ned i Will instynktownie naciągnęli mocniej kapelusze i pochyłili głowy. Gdzieś w głębi osady piał kogut.

Gdy schodzili ze wzgórza, powietrze było zimne i wilgotne; rzeki Connecticut nie było widać w ciemnościach, choć słyszeli jej szum. Po godzinie na niebie pojawił się szary blask i lekko podświetlił nierówny szereg sosen po lewej. Ned wywnioskował z tego, że idą na południe, ale poza tym nie miał pojęcia, gdzie właściwie są. Coraz wyraźniej widział przysadzistą sylwetkę idącego na przedzie Lobdella. Ten człowiek mógł ich prowadzić dokądkolwiek. Zaufali mu, choć nie mieli pojęcia, kim właściwie jest. Ned przyspieszył kroku, dogonił Willa i wyszeptał:

– Czy to naprawdę możliwe, żeby nie znał naszych nazwisk?

– A dlaczego Winthrop miałby mu je podawać?

– Mimo wszystko musi się przecież domyślać. Ogłoszenia o nagrodzie za nasze głowy wiszą w całej Nowej Anglii.

– Myślisz, że by nas zdradził?

– A dlaczego nie? Raczej nie jest bogaty, skoro zgodził się być naszym przewodnikiem. Dwieście funtów urządziłoby go na całe życie.

Will zastanawiał się przez chwilę.

– Dryfujemy po wielkim morzu – odezwał się w końcu. – Musimy zaufać Bogu.

– Ufamy Bogu, oczywiście, zawsze. Ale czy ufamy panu Lobdellowi?

Ned nie doczekał się odpowiedzi na to pytanie. Po chwili nieco zwolnił i znowu szedł z tyłu. Maszerowali w milczeniu ścieżką, która coraz bardziej oddalała się od rzeki Connecticut.

13 Jon 2, 2-3.

14 Ps 2, 8.

15 Ps 2, 9.

16 Ez 37, 28.

17 Mt 6, 26.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Następne trzy dni wyglądały podobnie jak sześć poprzednich, tyle że ścieżka była szersza i równiejsza, śnieg stopniał i nie mogli się już cieszyć towarzystwem Daniela Gookina, który umiłował im podróż. Pierwszą noc spędzili w indiańskim wigwamie z czterema młodymi mężczyznami z plemienia Quinipiac, którzy sprzedali im ryby, a potem pokazali Nedowi i Willowi, jak je łapać – w jazie z kamieni, który zbudowali na płyciźnie rzeki uchodzącej do pobliskiego jeziora i który zwężał się stopniowo na kształt litery V, zatrzymując ryby płynące w dół rzeki.

Drugiej nocy znaleźli pusty wigwam przy ścieżce i zjedli resztki *nokehick*, prażonej kukurydzy kupionej przez Daniela Gookina od Indian Massachusetts. Późnym popołudniem trzeciego dnia zauważyli mewy krążące w górze, co oznaczało, że zbliżają się do oceanu. Lobdell twierdził jednak, że za późno już, by jeszcze tego dnia dotrzeć do New Haven, bo ścieżka przed nimi jest zdradliwa – była to najdłuższa kwestia, jaką wygłosił – więc zbudowali szałas z gałęzi. Will próbował wędkować i złapał do sieci cztery pstrągi. Potem napchali do niej liści i mchu, by przygotować przykrycie, jak pokazał im Daniel, i zasnęli przy ognisku.

Następnego dnia wyruszyli w drogę o brzasku. Wspinali się przez sosnowy las po skalnej ścieżce, która dalej biegła poziomo, a potem stromo opadała, musieli więc schodzić bokiem, by nie polecieć w dół. Za jednym z zakrętów ścieżki, między pniami sosen, jak między kolumnami, ujrzeli daleko w oddali szeroką równinę, a za nią szary ocean i białe fale ciągnące się po horyzont.

– Czy to New Haven?! – zawołał Ned do Lobdella, który się wysforował.

Przewodnik odwrócił się i pokiwał głową. Ned wyjął lunetę. Od miasta dzieliło ich jeszcze kilka mil, ale nawet z tej odległości widać było wyraźnie charakterystyczną siatkę szerokich ulic i skupiska domów wznoszących się tuż przy

przystani, całkiem inaczej niż w innych osadach, które widzieli w Nowej Anglii. Jak ją opisał Winthrop? „To niezależna kolonia, założona dwadzieścia lat temu według surowych zasad rodem z Biblii”. Nedowi podobał się ten pomysł. Złożył lunetę i ostrożnie ruszył w dół zbocza, by dogonić pozostałych.

Kiedy znaleźli się na dole, od razu zrozumieli, co przywiodło w to miejsce założycieli kolonii. Ograniczona od południa oceanem, a od północy, wschodu i zachodu wzgórzami i czerwono-brązowymi urwiskami, równina przypominała zdaniem Willa Judeę, nad którą wznosiła się święta góra. W dębowych zagajnikach roilo się od dzikich indyków i kuropatw. Przez płaską nizinę płynęły przejrzyste strumienie, na łąkach między niedawno zaoranymi i gotowymi do obsiewu polami pasły się krowy, owce, świnie i kozy. Ostra bryza wiejąca w głąb lądu niosła ze sobą zapach oceanu.

Pół godziny później przeszli po drewnianym moście, pod którym znajdowały się wrota śluzy, i weszli do osady. Lobdell poprowadził ich krętą trasą – najpierw w lewo, potem w prawo, obok pręgierza i dybów – do dużego narożnego domu na skraju zabudowań, skąd rozciągał się widok na strumień i łąkę. Był to prawdziwy pałac, z co najmniej sześcioma wysokimi ceglanyimi kominami wznoszącymi się nad pierwszym pięciem.

– To dom pana Davenporta – oznajmił przewodnik. Zdjął z siodła ich sakwy oraz jeszcze jedną, w której, jak wyjaśnił, była paczka od gubernatora Winthropa dla wielbnego Davenporta; położył je na skraju drogi, pożegnał się i odjechał.

Pułkownicy patrzyli na niego, dopóki nie zniknął za rogiem.

– Myślisz, że jedzie po nagrodę? – mruknął Ned.

– Nawet jeśli tak, to nic nie możemy z tym zrobić – odparł jego zięć.

Zabrali bagaże, przeszli przez furtkę na podwórze i ruszyli do drzwi frontowych. Kury dziobały ziemię, a zza łąki dochodził huk fal uderzających o wybrzeże. Dom wydawał się opuszczony.

– Od razu przyznamy się, kim jesteśmy? – spytał Will.

– A mamy wybór? Jeśli on nas nie przyjmie, możemy oddać się w ręce króla. Bo nie dam rady włóczyć się ani dzień dłużej po tej dzikiej krainie.

Wytarł ręce w płaszcz, wyprostował ramiona i zapukał głośno do drzwi. Po rozmiarach domu sądził, że przywita ich służąca, ale jakieś pół minuty później drzwi otworzył starszy mężczyzna, który mógł być tylko Davenportem – odziany w czerń z białą befką przy szyi i czarny kapelusz nałożony na kręcone siwe włosy, rozwichrzone niczym puch ostu. Miał bladą twarz, okrągłą i płaską, przypominającą pysk mopsa; patrzył na świat zza maleńkich zielonych okularów. Spojrzał na królobójców i ich bagaż, po czym złożył dłonie jak do modlitwy.

– Wreszcie – powiedział.

Ned zdjął kapelusz.

– Wielebny Davenport? Jesteśmy...

– Tak, tak, domyśliłem się, kim jesteście. Czekałem sześć miesięcy, aż do mnie traficie. – Ujął rękę Neda w obie dłonie. – Witajcie! – Spoglądając znad jego ramienia na Willa, powtórzył: – Witajcie! – Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. – Chwała niech będzie Bogu, że dożyłem tego dnia!



Jak na człowieka w zaawansowanym już wieku, Davenport emanował niezwykłą energią. Uparł się, że sam będzie niósł ich sakwy, i zawołał na górę do żony: „Elizabeth, chodź, zobacz, kogo sprowadził nam Pan!”. Powiedział im, że mogą zostać tak długo, jak zechcą – „Aż do Drugiego przyjścia, czyli pewnie za jakieś pięć lat, czego, mam nadzieję, nie doczekam!” – i zaprowadził ich na górę. Pani Davenport stała w korytarzu na piętrze przed otwartymi drzwiami, trzymając miskę i ręcznik. W głębi pokoju na łóżku leżał młody mężczyzna oparty o poduszki. Zasłony wokół łóżka były zaciągnięte. Śmiertelnie bladą twarz oświetlała świeczka.

– Elizabeth, Johnie, to pułkownik Whalley i pułkownik Goffe – przedstawił gości pastor. – Zesłani tu przez Boga jako dar. Dziękujemy Mu i wychwalajmy Go

na wieki! – Potem dodał nieco ciszej: – Mój syn John często choruje.

John uniósł drżącą dłoń w pozdrowieniu.

– Gubernator Winthrop prosił, żebyśmy przekazali wielebnemu te lekarstwa.

– To miłe z jego strony, bardzo miłe. Jest świetnym aptekarzem. Więc przyszliście z Hartfordu pieszo? Chodźcie, pokażę wam wasze pokoje. – Poprowadził ich w głąb korytarza. – Ten będzie pana, pułkownika Whalley – oznajmił, otwierając drzwi. – A pana – zwrócił się do Willa – ten obok. Powiem służącym, żeby przynieśli wasze bagaże, i potem będziecie mogli je na spokojnie podzielić.

Goście nie zdążyli się jeszcze nadziwić tym niesłychanym luksusom – osobne pokoje po raz pierwszy od roku – a Davenport już prowadził ich do schodów, obok żony, która nie odezwała się jeszcze ani słowem, i na parter. – Muszę oprowadzić was po osadzie, dopóki sprzyja pogoda.

Z uprzejmości nie zaprotestowali, choć marzyli tylko o tym, by odpocząć godzinę lub dwie w łózkach. Wyszli za nim na szeroką drogę i przyglądali się z podziwem, jak energicznym krokiem przemierza osadę, pozdrawiając mieszkańców, którzy uchylali przed nim kapeluszy, i opowiadając o planie Nowego Jeruzalem opisanego w Apokalipsie świętego Jana: siatka złożona z dziewięciu kwadratów, które odtworzyli w wielkiej skali, każdy z nich o boku długości pół mili, w każdym kilkanaście domów, w tym jeden należący do przewodnika duchowego, wybieranego osobiście przez Davenporta.

– Bo jak głosi Księga Liczb: *Niech Izraelici rozbiją namioty, każdy pod swoją chorągwią, pod znakami swoich rodów, dokoła Namiotu Spotkania*¹⁸. – Przystanął i wyciągnął rękę. – A to jest nasz Namiot Spotkania.

Szli szybkim krokiem już od kilkunastu minut, oddalając się od oceanu, w górę łagodnego zbocza. Nedowi powoli brakowało tchu. Pośrodku miasta znajdował się dziewiąty, niemal niezabudowany kwadrat: otwarta trawiasta przestrzeń o takich samych wymiarach jak świątynia opisana w rozdziale czterdziestym trzecim Księgi Ezechiela. Pośrodku kwadratu wznosił się drewniany dom modlitwy, zbudowany

na planie kwadratu o boku liczącym pięćdziesiąt dwie stopy lub trzydzieści łokci, podobnie jak przybytek opisany w Księdze Wyjścia. Miał dwa poziomy, spadzisty dach i wieżę strażniczą.

– Wieża jest po to, żebyśmy mogli obserwować Indian podczas spotkań... choć nie dają nam się szczególnie we znaki, biedne dzikusy – wyjaśnił Davenport. – Wiedzą, że nasza straż jest silna.

Zaproponował, że pokaże im jeszcze przystań, ale niebo wyraźnie pociemniało i Will – ku uldze Neda – spytał, czy mogliby zachować tę przyjemność na inną okazję. Davenport, najwyraźniej nieprzywykły do tego, by ktoś mu się sprzeciwiał, wyglądał na zirytowanego.

– Dobrze. Jest jednak jeszcze jedna rzecz, którą muszę wam pokazać, skoro jesteśmy już tak blisko.

Poprowadził ich przez trawnik do domu modlitwy. Gdy uszli jakieś sto jardów, zatrzymał się i wskazał na szarą kamienną płytę, przed którą leżał bukiecik przebiśniegów. Pochylili się i przeczytali napis.

*Wielmożny Pan Gubernator Theophilus Eaton, zmarły 7 stycznia 1657 roku,
w wieku lat 67. Mąż sławny, mądry i sprawiedliwy. Feniks naszego świata, o którym
Nowej Anglii nigdy nie wolno zapomnieć.*

– To właśnie pan Eaton założył tę kolonię – powiedział Davenport. – Był człowiekiem wielce pobożnym i zamożnym i cały swój majątek przeznaczył na służbę Bogu. Nasze domy, jego i mój, powstały tu jako pierwsze, jeden obok drugiego, na wschód od Namiotu Spotkania, dokładnie tam, gdzie, jak mówi nam Biblia, Mojżesz i Aaron rozbili swoje namioty. – Rozłożył szeroko ręce. – New Haven to królestwo Chrystusowe. Przyjdzie tutaj w roku Pańskim tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym, gdy święci powstaną z martwych, i będzie tu rządził przez tysiąc lat.

Ned nie mógł się powstrzymać i spytał z powagą:

– A który z was był Mojżeszem?

Oczy Davenporta, ukryte za zielonkawymi szklami, otworzyły się szeroko ze zdumienia.

– Oczywiście, że ja jestem Mojżeszem.



Od samego początku Ned miał pewne wątpliwości co do ich gospodarza, choć zachowywał je dla siebie. Davenport w latach dwudziestych był purytańskim pastorem w Londynie, a potem w Holandii, został jednak wyrzucony ze swojego kościoła w Hadze z powodu radykalnych poglądów na chrzest niemowląt; jego zdaniem był zarezerwowany tylko dla dzieci Wybranych, nikt inny nie mógł wejść do Królestwa Niebieskiego. W latach trzydziestych wyemigrował do Bostonu, lecz pokłócił się również z tamtejszymi władzami kościelnymi i razem z Eatonem oraz ich wyznawcami popłynął wzdłuż wybrzeża, by założyć New Haven. Ned widział jednak, że Willowi odpowiadają poglądy Davenporta: on również był milenarystą i wierzył, że w roku 1666, Roku Bestii, jak to opisano w Apokalipsie, Chrystus wróci na ziemię. Ned nie przepadał za tą doktryną, ale nie znał się wystarczająco dobrze na teologii, by się o nią spierać.

Poza tym był wdzięczny Davenportowi za gościnę. Przypuszczał, że w jego rezydencji są co najmniej dwa tuziny pokoi – z czego połowa, jak mu się zdawało, nie była używana. Davenport twierdził, że ma w swojej bibliotece tysiąc książek. Okno pokoju Neda wychodziło na szerokie wybrzeże i odległy ocean. Złożony chorobą John, który nigdy nie wychodził na zewnątrz, był jedynym dzieckiem Davenportów, a przynajmniej nikt nie wspominał o innych. Żona pastora, Elizabeth, drobna siwowłosa kobieta, krążyła niczym zjawa między kuchnią, pokojem syna i sypialnią; nie spała w niej z mężem, jak zauważył Ned. Dwoje służących, małżeństwo w średnim wieku, które mieszkało w swojej części domu, na widok pułkowników spuszczało wzrok i chowało się w cieniu. Jedzenie było kiepskie, pokoje zimne. W powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń. Mimo kilku kominów rzadko zapalano ogień. Ogólnie rzecz biorąc, było to dziwne domostwo.

Trzy dni po przybyciu pułkowników, w Dzień Pański, Davenport zabrał ich do zatłoczonego domu modlitwy i ku zdumieniu Neda przedstawił ich, podając prawdziwe nazwiska. Przytoczył cytat z Listu do Hebrajczyków – *Nie zapominajmy też o gościnności, gdyż przez nią niektórzy, nie wiedząc, aniołom dali gościnę*¹⁹ – i wygłosił przemówienie pełne grozy i przestroż: „Gdyż męczarnie diabelskie, kary potępionych w piekle i wszelkie plagi, które spadają na nikczemników na ziemi, pochodzą od prawego i sprawiedliwego Pana, który w ten sposób sprawuje swą władzę”.

Później, gdy przystanęli na trawniku, Davenport przywołał najważniejszych obywateli osady, by poznali jego znakomitych gości. Znaleźli się wśród nich Nicholas Street, który zastąpił Williama Hooke’a jako pomocnik pastora oraz nauczyciel w miejscowej szkole, i William Jones, poważny młodzieniec, który przyплыł z pułkownikami do Ameryki na pokładzie *Prudent Mary*; jego ojciec został stracony w październiku za podpisanie wyroku śmierci na króla. Ned i Will dobrze go poznali podczas długiego rejsu. Niedawno ożenił się z Hannah Eaton, córką współzałożyciela New Haven, i wprowadził się do jego domu – jedyne domostwa w osadzie większego od rezydencji Davenportów. Kiedy Ned chciał mu złożyć wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca, Jones podniósł rękę, by go powstrzymać. Podobnie jak Will mówił z walijskim zaśpiewem.

– Nie ma czego opłakiwać. Podobno aresztowano go, gdy spacerował całkiem otwarcie w Finsbury Park. Nie próbował uciekać. Matka pisze, że przyjął swój los na szafocie niczym pan młody oblubienicę w noc poślubną, a teraz jest świętym. Gdy przyjdzie na to czas, spotkamy się.

– Jak długo zamierzacie, panowie, zostać w New Haven? – spytał Street.

– Tak długo, jak zechcecie nas gościć, panie Street. Nie mamy żadnych planów, chcemy jedynie przetrwać i służyć Panu. Wciąż mam nadzieję, że w Londynie nastąpią zmiany polityczne.

– Oczywiście jesteśmy gotowi pracować – dodał Will.

– Mieliście jakieś konkretne zajęcia, zanim wstąpiliście do wojska?

– Owszem – odparł Ned. – Ja byłem kupcem bławatnym, a Will solarzem, choć nie pracowaliśmy w swoich zawodach prawie od dwudziestu lat, odkąd zajęliśmy się wojaczką.

– Ale tutaj możecie wykorzystać doświadczenie w wojaczce – powiedział Davenport. – Bardzo potrzebujemy oficerów do szkolenia naszych straży.



Wokół New Haven było wiele obozowisk Indian ze szczepu Quinnipiac – pośród wzgórz na północy, na wschodzie wzdłuż wybrzeża szerokiej zatoki, która tworzyła naturalną przystań i gdzie znajdowało się stare indiańskie cmentarzysko, oraz przy rafie ostrygowej na zachodzie. W ramach środków ostrożności przeciwko atakowi tubylców każdy mieszkaniec kolonii płci męskiej w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat – czyli około trzystu osób w samym New Haven – otrzymał broń palną, proch, krzesiwo, cztery sąźnie lontu, dwadzieścia cztery kule i szpadę. Tylko w domu modlitwy przechowywano cztery armaty i skrzynię z pikami. Każdy mężczyzna był zobowiązany poświęcić sześć dni w roku na szkolenie. Tak się złożyło, że następne ćwiczenia wypadły w środę w tym tygodniu.

Dwaj pułkownicy bez trudu odnaleźli się w swoich rolach z czasów armii Cromwella. Will zajmował się pikinierami i muszkietierami, ucząc ich musztry z bronią i strzelania do celu. Ned na łące pod osadą opowiadał o taktyce kawalerii. Usiadł na koniu i zaczął wyrównywać szereg jeźdźców: przejeżdżał wzdłuż niego, zaglądając każdemu po kolei w oczy. Odżyły w nim wspomnienia pierwszej zimy wojny domowej.

Pewnego szarego popołudnia w październiku 1642 roku, gdy drenował pole na swojej farmie w Essex, przy ujściu Tamizy – kiepska gleba, więc plony nigdy nie były dobre – na horyzoncie pojawili się jeźdźcy. Jak się okazało, był to Oliver Cromwell i jego najstarszy syn, również Oliver, a także szwagier, Valentine Walton. Przyjechali, żeby go namówić do wstąpienia do pułku kawalerii, którą Cromwell tworzył w hrabstwie Cambridge, by walczyć z królem.

Katherine błagała Neda, by nie odjeżdżał; chodziła za nim z dzieckiem na rękach, gdy pakował się do drogi. „Masz czterdzieści dwa lata – powiedziała – nie znasz się na wojaczce, na pewno cię zabiją, zostanę wdową z czwórką małych dzieci i bez grosza przy duszy. Poza tym twój kuzyn jest na wpół obłąkany, sam często to powtarzałeś”. To ostatnie zdanie dodała półgłosem, nerwowo zerkając za okno, gdzie Oliver czekał niecierpliwie na wierzchołku.

Potem przyszły długie miesiące szkolenia w Ely, gdzie mieszkał w domu Cromwellów, z Oliverem, Betty i ich sześciorgiem dzieci. Rozmawiali poważnie o planach, ale też śmiali się, dwa razy dziennie odmawiali modlitwy i studiowali Biblię. A do tego rekrutowanie żołnierzy i płomienne przemówienia Cromwella:

„Nie będę was oszukiwał, że walczymy dla »króla i parlamentu«, nie będę opowiadał podobnych bzdur. Powiem wam, że jeśli wśród wrogów, których zaatakujemy, znajdzie się król we własnej osobie, strzelę do niego bez wahania, jak do każdego innego żołnierza, więc jeśli sumienie nie pozwoliłoby wam na coś takiego, radzę nie zaciągać się do wojska pod moją komendą”.

Oliver Cromwell nie dbał o to, czy ludzie wstępujący do jego armii potrafią walczyć; tego można ich było nauczyć. Lecz tego, na czym zależało mu najbardziej, nie dało się ich nauczyć: bogobożności, wiary, dyscypliny i gotowości, by umrzeć w razie potrzeby.

„Bo człowiek gotów umrzeć zawsze będzie wzorem”.

Ned spojrzał na łąkę pod New Haven i zobaczył takich właśnie ludzi. Narzędzia Boga. Pokazywał im strategie szarży kawaleryjskiej opracowane przez Cromwella. Należy atakować w trzech szeregach. Jeźdźcy w pierwszym szeregu muszą być blisko siebie, prawe kolano powinno dotykać lewego uda jeźdźca obok. Atakować należy szybkim kłusem, a strzelać z pistoletu dopiero wtedy, gdy przeciwnik znajdzie się w odległości jednego konia. Oddawszy strzał, trzeba rzucić pistoletami w twarz wroga i natrzeć na niego szpadą. A potem – ten właśnie manewr zmieniał układ sił na polu bitwy – przedarłszy się przez linię wroga, należy zawrócić i zaatakować ponownie.

Ned wiedział oczywiście, że taka taktyka nie sprawdzi się w Nowej Anglii, gdzie kawaleria była bardzo nieliczna i walczyła zazwyczaj z Indianami – pod Naseby wojska Cromwella musiały stawić czoło kawalerzystom parlamentu, których było trzy i pół tysiąca – lecz tak pogrążył się w przeszłości, że mimo to ćwiczył te manewry, a farmerzy, kowale i pasterze z New Haven wpatrywali się z podziwem w legendarnego siwowłosego żołnierza, który na nowo przeżywał czas swojej świetności. Kiedy skończył, trzykrotnie wznieśli okrzyk na cześć pułkownika Whalleya.

– Bóg mi świadkiem, gdyby choć dwustu takich przyjaciół jak wy stanęło u naszego boku, nie obawialibyśmy się nikogo, w Starej czy w Nowej Anglii – powiedział wzruszony.

Być może to właśnie powinni byli zrobić, rozmyślał tego wieczoru, paląc fajkę w swoim pokoju i patrząc na srebrzyste odbicie księżyca w wodach zatoki: przestać uciekać, stworzyć w Ameryce armię na wzór tej Cromwella, proklamować tu republikę i stanąć do walki z królem. Fałszywe poczucie bezpieczeństwa zrodzone przez atmosferę New Haven, gdzie żyli wśród ludzi o podobnych poglądach, z dala od zagrożeń Bostonu, było tak silne, że Ned zastanawiał się nad takim rozwiązaniem całkiem poważnie; sporządził nawet listę oddziałów, które byłyby konieczne do prowadzenia wojny. Dopiero później uświadomił sobie, że padł ofiarą słabości, której poddawało się wielu ludzi żyjących w złudnym przeświadczeniu, że jeśli pragną w coś wierzyć, musi być to prawdą.



Któregoś wieczoru przy kolacji Davenport opowiedział im, jak zarządza się kolonią. Zgodnie z prawem Mojżeszowym tylko ludzie uznani za predestynowanych do zbawienia mogli zostać członkami Kościoła, a tylko członkowie Kościoła mogli głosować czy sprawować urzędy. To Davenport decydował o tym, kto jest predestynowany, a że mógł ekskomunikować każdego, kto nie był jego zdaniem wystarczająco pobożny, praktycznie kontrolował władzę w kolonii.

– Jesteśmy kolonią teokratyczną, jedyną w Ameryce, w której władze świeckie podlegają prawu i władzy Bożej – oznajmił.

– Szkoda, że nie wprowadziliśmy takich samych zasad w Anglii, kiedy mieliśmy ku temu okazję. – Will westchnął. – Wtedy nie musielibyśmy uciekać.

Ned pomyślał, że to chyba najgłupsza uwaga, jaką jego zięć wygłosił kiedykolwiek w jego obecności. Nawet Oliver Cromwell nie odważyłby się prowadzić takiej polityki. Lecz wierny postanowieniu, że będzie za wszelką cenę unikał sporów, zauważył jedynie, że być może istnieje pewna różnica między społecznością złożoną z kilku tysięcy osób, które wyemigrowały właśnie dlatego, że łączy je wspólna wiara, a zróżnicowanym wielomilionowym narodem.

Niemniej jednak kolonia New Haven miała też gubernatora. We wtorek dwudziestego szóstego marca, niemal trzy tygodnie po przybyciu pułkowników do osady, William Leete, który z wyraźną niechęcią pełnił tę funkcję, zawitał do domu Davenporta, przynosząc otrzeźwiający wieści. Był to ponury prawnik pod pięćdziesiątkę; przyjechał z pobliskiej osady Guilford, gdzie mieszkał. Przywiózł nakaz, który gubernator Endecott musiał w końcu wydać w Bostonie, wzywający do zaareztowania *haniebnych królobójców, Whalleya i Goffe'a*. Przekazywali go sobie z rąk do rąk.

– New Haven nie podlega jurysdykcji Endecotta – powiedział Davenport. – Zignorujemy to. Niech Massachusetts i Connecticut padają na kolana przed królem, jeśli chcą. My uznajemy wyłącznie władzę Boga.

Leete zatarł nerwowo ręce.

– Zasadniczo ma pan rację, wielebny, jak zawsze – przyznał. – Status tamtych kolonii został jednak potwierdzony mocą królewskich edyktów, podczas gdy nasz na razie nie. Jeśli się rozniesie, że udzielamy gościny dwóm ludziom, którzy podpisali wyrok śmierci na króla, nigdy oficjalnie nie staniemy się kolonią.

– Istniejemy od dwudziestu lat bez żadnego edyktu i jakoś dajemy sobie radę.

– Tyle że przez większość tego czasu Anglia była republiką i rząd nam sprzyjał – zauważył Leete. – Obawiam się, że teraz może to wyglądać całkiem inaczej.

Davenport wziął nakaz do rąk i podarł go powoli; skrawki papieru opadły na podłogę.

– To właśnie myślę o Endecotcie i jego nakazie, a także o Karolu Stuartcie, jeśli chodzi o ścisłość, zarówno Pierwszym, jak i Drugim. Czy Boston przysłał tu jakichś ludzi, by aresztowali panów pułkowników?

– Na razie nie.

– Widzi pan? Nie odważą się!

– Ale przyjdą po nich, panie Davenport – odparł Leete cicho. – Wcześniej czy później. Jeśli nie ludzie z Bostonu, to z Londynu. A nasze straże, choć odważne i dobrze uzbrojone, nie będą w stanie ich powstrzymać.

– Och, Williamie, Williamie... – Pastor pokręcił ze smutkiem głową. – Zaczynam się obawiać o stan twojej duszy.

Ned podniósł rękę.

– Czy mogę coś wtrącić jako jeden z tych, którzy są źródłem tych kłopotów? – Uświadomił sobie własną głupotę i niebezpieczeństwo, które im groziło. – Nasz błąd... mój błąd... polegał na tym, że poruszaliśmy się po New Haven tak otwarcie. Powinniśmy byli zachować większą roztropność, używać fałszywych nazwisk albo w ogóle pozostawać w ukryciu, dopóki wrzawa nie ucichnie.

– I teraz to mówisz! – prychnął Will.

– Tak, mówię to teraz i przyznaję, że powinienem był zrobić to wcześniej... obaj powinniśmy. Byliśmy jednak wyczerpani podróżą i straciliśmy czujność. To oczywiste, że nie możemy tu dłużej mieszkać. Powraca więc stary problem: dokąd mamy pójść? – Już kiedy wymawiał te słowa, w jego umyśle powstawał zarys pewnego planu. Po chwili wahania dodał: – Wydaje mi się, że mam pewien pomysł... cień pomysłu... choć wiązałby się z pewnym ryzykiem zarówno dla was, panowie, jak i dla nas.

Umilkł, czekając na reakcję.

– Nie obawiamy się ryzyka – odrzekł Davenport. – Proszę mówić.



Wyjechali z New Haven następnego dnia rano, na koniach, których użyczył im Davenport, obładowanych bagażem. Nim opuścili osadę, objechali łąkę, na której stał dom modlitwy, pożegnali się z wszystkimi i złożyli im podziękowania. Kilka osób pytało, dokąd się wybierają. Nie odpowiadali wprost, mówili tylko, że czas przenieść się dalej, „być może na inne brzegi”. Gdy wkrótce potem widziano ich, jak ruszają drogą na zachód prowadzącą wzdłuż wybrzeża, założono, że zmierzają do holenderskiej kolonii, być może żeby popłynąć z Nowego Amsterdamu do Holandii.

Podróżowali bez przewodnika, uznali bowiem, że im mniej ludzi pozna ich sekret, tym lepiej. Poza tym droga, choć kręta, prowadziła cały czas wzdłuż wybrzeża, stale mieli więc po lewej stronie skały, o które rozbijały się fale, a po prawej ciemny sosnowy las. Przebywszy dziesięć mil, dotarli do osady Milford, należącej do kolonii New Haven. Wstąpili do sklepu, kupili parę rzeczy od właściciela, Micaha Tomkinsa – sieć, nóż, małą siekierę, garnek – spytali, jak daleko do Nowego Amsterdamu, pogawędzili z klientami o pogodzie i stanie dróg, po czym odjechali. Opuszczając osadę, zauważyli ogłoszenie o nagrodzie stu funtów za głowę każdego z nich. Sądząc po tym, jak przypatrywali im się niektórzy mężczyźni w sklepie, gdy weszli tam w starych wojskowych płaszczach, z pewnością ich rozpoznano. I dobrze.

Jechali jeszcze przez chwilę drogą, po czym zsiadli z koni i wprowadzili je w las. Milę dalej znaleźli małą polanę nad strumieniem. Zatrzymali się, nazbierali chrustu, rozpalili ognisko i upiekli nad nim kilka kawałków baraniny. Potem wypchali sieć liśćmi i mchem, zamieniając ją w poślanie, położyli się i czekali. Will czytał Biblię. Ned palił fajkę.

Około siódmej, gdy zaszło już słońce, zwinęli obóz i zdeptali resztki ogniska. Gdy wracali do drogi, towarzyszyły im dźwięki lasu układającego się do snu, przejmujące krzyki lelków i rechot żab. W mroku trudniej było wypatrzeć krętą nadmorską drogę. Konie zatrzymywały się raz po raz, w końcu więc musieli zsiąść i je poprowadzić. Fale uderzały z hukiem o skały. Nawet zawsze opanowany Ned, który zwykle nie poddawał się takim fantazjom, wyczuwał obecność diabła.

Gdy koło północy dotarli do New Haven, wąski sierp księżyc ledwie wydobywał z mroku porośniętą trawą szeroką ulicę. Minęli trzynaście uśpionych domów, nim wrócili w końcu do rezydencji Davenporta, gdzie w oknie na piętrze paliła się świeca. Nikt nie widział, jak wchodzili do środka, a oni przez kolejne pięć tygodni nie odważyli się wyjść na zewnątrz. Mieszkańcy miasta byli przekonani, że dwóch pułkowników wyjechało na dobre.

18 Lb 2, 2.

19 Hbr 13, 2.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Po ośmiotygodniowym rejsie przez północny Atlantyk w słoneczne popołudnie ostatniego dnia kwietnia statek z Richardem Naylerem na pokładzie wpłynął do Zatoki Bostońskiej.

Gdy pomiędzy kolejnymi napadami choroby morskiej Nayler miał ochotę i siły rozmyślać o tym, jak może wyglądać cel tej niekończącej się okropnej podróży, wyobrażał sobie jakąś prymitywną placówkę handlową, a przy niej proste chaty z belek, drewniany pomost i kościół bez żadnych ozdób, pełny purytanów o pociągłych twarzach. Był więc mocno zaskoczony, gdy statek mijał strzegącą wejścia do portu kamienną fortecę wyposażoną w baterię trzydziestu armat. Gdy potem *King Harry* płynął kanałem między wielkimi statkami cumującymi w porcie, Nayler zobaczył szereg pomostów, żurawi i magazynów ciągnący się na długości pół mili. Za zabudowaniami portowymi dostrzegł ładne i solidne domy z czerwonej cegły i dwa duże kościoły. Miasta strzegła druga forteca, wzniesiona na wzgórzu. Dalej aż po horyzont ciągnęły się równiny, lasy i rzeki kolonii. Nayler zacisnął dłoń na krawędzi nadburcia, po raz pierwszy uświadomił sobie bowiem z trwogą, jak trudnego podjął się zadania.

Jego cierpienia nie dobiegły jednak jeszcze końca, bo gdy tylko zszedł na brzeg, musiał szeroko rozstawić nogi, zszokowany nieruchomością stałego lądu. Miał wrażenie, że Nowy Świat kołysze się i wiruje wokół niego. Zgiął się wpół, opierając ręce na kolanach, i zwymiotował na nabrzeże. Gdy skończył pluć żółcią, wyprostował się, otarł usta wierzchem dłoni i rozejrzał się, by sprawdzić, czy ktoś mu się przyglądał. Wszyscy byli jednak zajęci rozładowywaniem statku i wysiadaniem z pokładu, nikt nawet nie zerkał w jego stronę. Zmrużył oczy i spróbował zorientować się jakoś w położeniu.

Ciepły, przyjemny dzień. Blask słońca skrzący się na powierzchni wody. Jaskrawe zielenie i błękity. Nawoływania nieznanymi ptaków morskich. Unoszący się w powietrzu zapach, którego nie potrafił do końca określić: dziwnie słodki i jednocześnie ostry.

Anglia, a jednak nie Anglia.

*O, Ameryko moja! mój ładzie nieznanym...*²⁰

Kiedy nabrał już pewności, że nie będzie więcej wymiotował, wyjął z wewnętrznej kieszeni notes i spojrzął na listę nazwisk, którą przekazał mu w Londynie kapitan Breedon. Odnalazł adres, którego szukał, i odczytał go jakiemś marynarzowi. Ten zgodził się być jego tragarzem. Dom z pokojami do wynajęcia znajdował się w centralnej części szeregu podobnych domostw ciągnących się wzdłuż wąskiej ulicy w pobliżu portu. Załoczoną salę na parterze wypełniał dym tytoniowy. Około dwudziestu mężczyzn podobnych do Breedona – sądząc po wyglądzie, kupców, kapitanów i właścicieli statków – siedziało przy stołach zastawionych dzbankami z piwem i winem. Kilku odwróciło się, gdy wchodził, i przez otwarte drzwi wpadł podmuch powietrza, który poruszył gęste opary dymu, po czym znów zajęli się swoimi sprawami.

Właściciel – chuchrowaty zezowaty mężczyzna, niejaki Shadbricke – początkowo twierdził, że nie ma wolnych pokoi, lecz gdy Nayler, kładąc na ladzie złotą monetę, oznajmił, że przysłał go kapitan Breedon, Shadbricke sprawdził zębami, czy złoto nie jest fałszowane, po czym nagle przypomniał sobie, że jednak ma wolną kwaterę. Było to małe pomieszczenie na strychu, ale drzwi zamykały się na klucz i Nayler nie musiał go z nikim dzielić. Właściciel nie spytał o nazwisko. Marynarz wniósł kufer na plecach krętymi wąskimi schodami, Nayler dał mu szylinga napiwku, zamknął za nim drzwi i położył się na twardym drewnianym łóżku.

Koce były brudne i cuchnęły przepoconymi ciałami. Słyszał szczury biegające pod dachem. Nie przeszkadzało mu to. Czuł, jak wracają mu siły i pewność siebie. Tych ludzi można kupić – to było dlań odkryciem dnia. Nowa Anglia była ogromna, dziwna i zamieszkała głównie przez purytanów, ale pulsowała energią

i chciwością. A on miał pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Mógł złapać uciekinierów, korzystając ze złota.



Przez kilka następnych dni Nayler nie wychodził z pokoju; jadł i pił to, co mu przyniesiono. Musiał dojść do siebie po podróży morskiej. Poza tym nie chciał się pokazywać publicznie i wzbudzać plotek, by gubernator Endecott nie dowiedział się o nowo przybyłym dziwnym gościu z Anglii. Zapłacił chłopcu, który wynosił jego nocnik i przynosił mu jedzenie, za dostarczenie dwóch listów, napisanych na jego prośbę w Londynie przez kapitana Breedona do jego wspólników w Bostonie. Do każdego z listów Nayler dodał wiadomość; zapraszał ich na spotkanie w zajeździe, w którym się zatrzymał, w piątek o czwartej po południu. Obaj odpowiedzieli, że będą zaszczyceni, mogąc go poznać.

Uznał, że powaga jego misji ucierpiałaby, gdyby przyjął gości w swojej nędznej kwaterze, więc tuż przed wyznaczoną godziną zamknął drzwi pokoju na klucz, zszedł na parter i zajął miejsce przy stole w rogu, obok kominka, skąd miał widok na drzwi. W sali było ciemno i znacznie spokojniej niż w dniu jego przyjazdu. Poprosił o zapaloną świecę, trzy kufle i dzban wina.

Breedon opowiedział mu co nieco o ludziach, z którymi miał się spotkać. Thomas Kellond, młodszy z tej dwójki, urodził się w bogatej rodzinie w Devonie i przybył do Ameryki, by pomnażać niemałą już rodzinną fortunę. Był właścicielem dziewięćdziesięcotonowego statku, który nazwał *Charles*, co było dość jednoznacznym świadectwem jego sympatii politycznych. To on właśnie przybył na spotkanie pierwszy. Nayler rozpoznał go po wieku – „około dwudziestu pięciu lat”, zdaniem Breedona – eleganckim ubraniu oraz po tym, że był sam. Wstał i przywołał go.

– Pan Kellond, prawda?

– W rzeczy samej. Pan Nayler, jak mniemam? – Młody człowiek mówił z akcentem typowym dla południowo-zachodniej części Anglii.

– Tak, to ja. – Uścisnęli sobie dłonie. – Proszę siadać. Napije się pan ze mną?

– Trochę wcześniej, ale czemu nie? – Kellond spojrział na trzeci kufel. – Oczekuje pan kogoś jeszcze?

– Kapitana Thomasa Kirke’a. Zna go pan?

– Owszem. O, już tu jest.

Wskazał głową na starszego mężczyznę, który właśnie wszedł do sali i stał w drzwiach, rozglądając się. Był pod sześćdziesiątkę, wysoki i tęgi; miał nieco pałukowate nogi i szorstką od wiatru rumianą twarz. Nayler wiedział od Breedona, że Kirke walczył w wojnie domowej po stronie króla i dosłużył się stopnia pułkownika, a potem, gdy Cromwell przejął władzę, uciekł do Nowej Anglii. „To solidny człowiek i dobrze zna kraj, lepiej niż Kellond. Nie mógłby pan znaleźć dwóch ludzi bardziej oddanych sprawie króla”, dodał Breedon.

Kirke zauważył Kellonda i ruszył w ich stronę. Uścisnęli sobie dłonie.

– Proszę usiąść przy palenisku, kapitanie Kirke – powiedział Nayler i nalał wino dla gości i siebie. – Wznieśmy toast. – Podniósł kufel. – Za króla!

– Za króla!

Nayler skrzywił się mimowolnie, gdy wypił wino – było kwaśne.

– No dobrze, przejdźmy od razu do rzeczy. – Rozejrzał się, by mieć pewność, że nikt ich nie usłyszy. – Jak nasz wspólny przyjaciel, kapitan Breedon, wyjaśnił w listach do panów, służę Tajnej Radzie Królewskiej i moim zadaniem jest oddać w ręce sprawiedliwości zbrodniarzy wciąż ściganych za zamordowanie ojca króla. Przypłynąłem z Londynu z podpisanym przez Jego Królewską Mość rozkazem, zgodnie z którym gubernator Endecott musi jak najszybciej odszukać i aresztować pułkownika Edwarda Whalleya i pułkownika Williama Goffe’a. Słyszeliście o nich, panowie?

Skinęli głowami.

– Ich obecność w Massachusetts okryła hańbą całą kolonię – powiedział Kellond.

– Z pewnością jesteście też świadomi – kontynuował Nayler – że pan Endecott i szeryf Michelson nie byli... jak to ująć?... zbyt gorliwi w wysiłkach zmierzających do ujęcia królobójców. Zamiast więc udać się bezpośrednio do gubernatora i dać mu okazję do kolejnego opóźnienia, a być może nawet wyznaczenia grupy poszukiwawczej sprzyjającej zdrajcom, zamierzam sam zebrać godnych zaufania ludzi, z którymi dopadnę uciekinierów. – Pochylił się nad stołem. – Chciałbym, żebyście, panowie, zorganizowali i poprowadzili ten pościg.

Oczy Kirke'a zalaśniły. Uderzył pięścią w stół.

– Na Boga, te psy powinny zapłacić za swoje zbrodnie!

Mężczyzna siedzący przy sąsiednim stole odwrócił się i spojrzał na nich.

– Za tę przysługę – Nayler zniżył głos niemal do szeptu – mogę wam zaoferować zapłatę po pięćdziesiąt funtów dla każdego, dodatkowe pięćdziesiąt funtów, jeśli królobójcy zostaną schwytani, oraz po dwieście pięćdziesiąt akrów dobrej ziemi.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Kirke upił łyk wina i oblizał wargi.

– To bardzo trudne zadanie, panie Nayler, nawet jeśli doskonale płatne. Może dałoby się nieco zmienić ten układ? Na przykład przyznać nam również nagrodę za schwytanie królobójców?

– Nie przyjechałem się tutaj targować, kapitanie – odparł Nayler. – Tak wygląda moja propozycja, możecie ją przyjąć lub nie. Jeśli wydaje wam się niewystarczająca, to mogę zapewnić, że znajdę innych, którzy podejmą się tego zadania za połowę ceny. Słyszałem, że Szkoci są bardzo wzburzeni i szczególnie zależy im na schwytaniu Whalleya.

– Nie tak szybko, nie tak szybko – powiedział Kirke z uśmiechem. – Nie ma się co obrażać. Proszę pamiętać, że jesteśmy biznesmenami. Targujemy się choćby dla zasady. – Wymienił spojrzenie z Kellondem i ten skinął lekko głową. – Dobrze, ze względu na lojalność i oddanie królowi przyjmujemy pana propozycję. Ale to pan będzie musiał pokryć wszystkie koszty.

– Zgoda.

– To nie będzie tanie – ostrzegł Kirke.

– Rozumiem.

– Gdzie można znaleźć tych pułkowników? – spytał Kellond.

Nayler spojrział na niego z politowaniem, zastanawiając się, czy nie jest ograniczony umysłowo.

– Gdybym to wiedział, panie Kellond, nie siedziałbym tu i nie składał panom tak hojnej oferty. Wiem ze swoich źródeł, że ostatnio widziano ich w Cambridge, gdzie żyli całkiem otwarcie, ale to było jakiś czas temu. Przypuszczalnie od tamtej pory gdzieś się przenieśli.

– Ja wiem z całą pewnością, że tak się stało – rzucił Kirke. – Pewnej lutowej nocy próbowano ich zatrzymać. To był nieprzemyślany, pochopny atak i królobójcy odparli go bez trudu, strzelając z pistoletów. Gdy nasi ludzie wrócili tam, by spróbować ponownie, pułkowników już tam nie było. Oczywiście Gookinowie zaprzeczają, by cokolwiek o tym wiedzieli.

– Gookinowie?

– Daniel i Mary Gookinowie. To w ich domu przebywali pułkownicy, niedaleko College’u Harvarda. Gookin ma dość wysoką pozycję w tamtej społeczności. Za czasów Cromwella sprawował w Anglii jakiś ważny urząd.

Nayler wyjął notes i zapisał to nazwisko. Przypomniawszy sobie, że zdaniem Nokesa Gookin płynął z Anglii tym samym statkiem co pułkownicy.

Kirke dopił wino i napełnił swój kufel.

– Przypuszczam, że udali się na zachód. W Connecticut purytanie są bardzo silni.

– Connecticut. – Nayler zapisał także i tę nazwę. Nie podobało mu się, że Kirke tyle pije. Kim właściwie byli ci ludzie? Głupek i pijaczyna. Czy Breedon naprawdę nie mógł zaproponować kogoś innego? – A co z New Haven? Wiem, że Whalley jest powiązany z tą kolonią przez szwagra.

– Tam z pewnością też warto sprawdzić, bo w New Haven mieszkają fanatycy przeciwni królowi. Być może spróbowali też szczęścia w holenderskiej kolonii,

w Nowych Niderlandach. Tamtejsi kalwiniści nie przepadają ani za Anglikami, ani za królem.

Nayler poprosił Kirke'a, by narysował w jego notesie mapę ukazującą położenie tych miejsc i podał dzielące je odległości. Potem rozmowa zeszła na sprawy praktyczne. Ilu trzeba ludzi, by pojmać dwóch zawodowych oficerów, uzbrojonych i zdesperowanych? Kirke sugerował co najmniej sześciu.

– Mówił pan, że to my mamy prowadzić poszukiwania, panie Nayler. Pójdzie pan z nami?

– Oczywiście. Ale będę trzymał się z tyłu. To powinna być sprawa, którą załatwią mieszkańcy Nowej Anglii.

– Jeśli wolno spytać... Umie pan posługiwać się bronią?

– Walczyłem pod Naseby. Odniosłem ranę, która dokucza mi do dziś, ale nadal umiem posługiwać się szpadą i pistoletem.

Kirke spojrzał na niego z szacunkiem.

– Ja też byłem pod Naseby. To był zły dzień dla Anglii.

– Owszem, kapitanie. Whalley i Goffe też tam byli. Pomścimy więc naszych poległych przyjaciół.

Ostatecznie uzgodnili, że grupa poszukiwawcza będzie liczyć osiem osób: ich trzech, przewodnik („Znam odpowiedniego człowieka – oznajmił Kirke. – W jego żyłach płynie indiańska krew”) oraz czterech mężczyzn, z których każdy otrzyma po pięć funtów. Nayler zaproponował, by nająć Szkotów, wydawało się bowiem, że sami rwą się do walki. Mieli podróżować konno, by jak najszybciej dogonić uciekinierów. Kellond podjął się dostarczenia wierzchowców i broni, choć Nayler ostrzegał go, by zachował dyskrecję; bardzo zależało mu na tym, by wieści o pościgu nie dotarły do królobójców, co dałoby im czas do ucieczki. Był to również jeden z powodów, dla których nie zamierzał odwiedzać gubernatora aż do czasu, gdy będą gotowi do wyjazdu.

Przed szóstą zdążyli już omówić wszystkie sprawy. Wzniesli ostatni toast – na pohybel wrogom króla – i umówili się na spotkanie w tym samym miejscu i o tej

samej godzinie w najbliższy poniedziałek. Gdy goście zbierali się do wyjścia, Nayler spytał, gdzie może znaleźć dom Gookinów.



Następnego dnia Nayler posłał rano chłopca do stajennego, by wynajął dla niego konia, a godzinę później wyjeżdżał z Bostonu drogą wiodącą wzdłuż rzeki Charles. Wiedział, że łamie własną surową regułę, pokazując się w mieście, tłumaczył sobie jednak, że nikt nie zauważy go wśród tysięcy mieszkańców i setek przyjezdnych. Poza tym nie mógł się oprzeć ciekawości. Chciał zobaczyć miejsce, w którym przebywali Whalley i Goffe. Dom Gookinów był pierwszym pewnym tropem uciekinierów, który znalazł niemal po roku poszukiwań.

Gdy dotarł do mostu nad rzeką Charles, było już południe. Przystanął w połowie mostu, zauważywszy długą wąską łódź z sześcioma ludźmi pochylonymi nad wiosłami, która zmierzała w jego stronę, płynąc w dół rzeki. Indiańskie kanu. Rozpoznał je dzięki opisowi z książki Raleigha: łódka wycięta z jednego pnia drzewa. Przemknęła pod nim tak szybko, że ledwie zdążył dojrzeć umięśnione brązowe postacie, nagie, jak mu się zdawało. W następnym momencie była już pięćdziesiąt jardów dalej, niesiona nurtem i wiosłami.

Przeniósł spojrzenie na przeciwległy brzeg, na osadę z drewnianymi domami, nad którymi dominował znacznie większy budynek. Pomyślał, że to z pewnością College Harvarda, gdzie kształcono surowych młodych sekretarzy, którzy rozprzestrzeniaли swoją surową religię po całej Nowej Anglii. Uznał, że to przedziwny kraj, skoro koegzystują w nim dwie tak odmienne rasy i filozofie, poganie i fanatycy. Czy może z tego wyniknąć coś dobrego?

Za mostem przejechał przez trzęsawisko przecięte strumieniem i podążał dalej drogą wiodącą w górę ku pierwszemu domostwu po prawej. Zdaniem Kirke'a należało do Gookinów. Wcześniej Nayler zamierzał objechać je powoli, obejrzeć osadę i wrócić do Bostonu, ale gdy zrównał się z gospodarstwem, ze stajni wyszedł dobrze zbudowany mężczyzna w koszuli i skórzanej kamizelce; niósł wiązkę siana i przystanął na jego widok. Ich spojrzenia się spotkały.

– Zgubił się pan, przyjacielu?

Nayler podjechał bliżej. Nie mógł zaprzepaścić takiej okazji.

– Szukam dwóch znajomych, pana Richardsona i pana Stephensona.

– Nie ma tu nikogo o takim nazwisku.

– Nazywa się pan Gookin?

– Tak.

– Więc być może znał ich pan jako pułkownika Edwarda Whalleya i pułkownika Williama Goffe’a.

Gookin pokręcił głową.

– Wyjechali stąd już dawno temu – powiedział.

– Jak dawno?

– W grudniu, zdaje się.

– W grudniu? To pół roku po tym, jak parlament uznał ich za poszukiwanych.

– Wieści z parlamentu docierają do nas z dużym opóźnieniem.

– A nie byli tu przypadkiem jeszcze w lutym? Słyszałem, że doszło tu wtedy do strzelaniny.

– Nie ma żadnego dowodu, że to byli oni. Najprawdopodobniej chodziło o włóczęgów, którzy ukryli się w szopie.

– Włóczędzy uzbrojeni w pistolety? Panie Gookin, czy kłamstwo według pańskiej wiary nie jest grzechem?

Gookin zarzucił sobie siano na ramię i uśmiechnął się do Naylera.

– Widzi pan, że muszę już iść. Do widzenia.

Nayler czuł, jak wzbiera w nim gniew. Próbował nad nim zapanować, ale protekcyjny uśmiech tego człowieka doprowadzał go do szału.

– Musi pan powiedzieć, dokąd się udali, bo inaczej pan również zostanie uznany za zdrajcę, jako że udzielił im pan schronienia. A kara za to jest naprawdę straszna, zapewniam pana.

– Kim pan jest? Mówił pan, że zna pułkowników. Skąd?

– Poznałem ich w Boże Narodzenie kilka lat temu. Nie będą mnie pamiętać, ale kiedy ich pan zobaczy, proszę przekazać, że ja ich nie zapomniałem. I znajdę ich.

Powiedział za dużo. Pociągnął mocno za uzdę, zawrócił konia i przeklinając swą porywczosć, ruszył w dół zbocza w stronę rzeki.



Potem zamknął się w pokoju, wysłał chłopca, by kupił mu jakąś książkę o historii Ameryki – chłopak wrócił z *Krótką historią Nowej Anglii* Mavericka, która okazała się bardzo przydatna – a następnie zajął się korespondencją, którą musiał ogarnąć przed rozpoczęciem wyprawy. Co jakiś czas spotykał się z Kellondem i Kirkiem, śledził ich postępy w rekrutacji ludzi i aprowizacji i opłacał rachunki. Przygotował ulotkę z informacją o dwustu funtach nagrody za schwytanie królobójców – *żywych lub martwych*. Podobała mu się ta fraza, więc poprosił Stephena Daye’a, miejscowego drukarza, u którego zamówił dwieście kopii, by wypisano ją jak największą czcionką.

Nieco ponad tydzień później, we wtorek siódmego maja 1661 roku, gdy wreszcie wszystko było gotowe, włożył rano swoje najlepsze ubrania, wyjął spod łóżka królewskie pełnomocnictwo i wybrał się z wizytą do gubernatora Endecotta. Zapytany o drogę przechodzień powiedział mu, że znajdzie gubernatora w State House, nowym budynku wzniesionym niedaleko Pierwszego Kościoła w Bostonie. Na parterze mieściło się targowisko z ustawionymi ciasno straganami; unosił się tu zapach świeżych ryb, ziół i przypraw, a kury gdakały głośno w klatkach. Drewniane schody prowadziły na piętro, gdzie odbywały się posiedzenia sądu. Urzędujący tam sekretarz poprosił Naylera, by podał swoje nazwisko i sprawę, w jakiej przychodzi, na co ten odpowiedział, że przybywa z Londynu i że to, co ma do powiedzenia, przeznaczone jest wyłącznie dla uszu gubernatora. Mężczyzna wyszedł, wkrótce wrócił i oznajmił, że pan Endecott przyjmie go, ale tylko na chwilę.

Gabinet gubernatora był duży i przestronny; przez wysokie okna ze szprosami wpadało jasne poranne światło. Na końcu długiego stołu, pośród dokumentów,

atramentu, piór, laku do pieczęci i zapalonej świecy, siedział Endecott w swoim ulubionym elżbietańskim kołnierzu z koronki i płaskiej czarnej czapce.

Nayler zdjął kapelusz.

– Dzień dobry, panie gubernatorze. – Ukłonił się. – Nazywam się Richard Nayler i pracuję dla Tajnej Rady Jego Królewskiej Mości. Przy płynąłem niedawno z Anglii na pokładzie statku *King Harry*, by zgodnie z poleceniem lorda kanclerza i sekretarza stanu przekazać panu w imieniu króla ten rozkaz. – Położył dokument na stole przed Endecottem i cofnął się o krok.

Gubernator, wyraźnie skonsternowany, dźgnął królewską pieczęć palcem w rękawiczce.

– Proszę usiąść, panie Nayler.

– Dziękuję, ale postoję.

Endecott podniósł na niego wzrok, choć wydawało się, że i tak niewiele widzi. Z nieogolonymi zapadniętymi policzkami i rozchyłonymi ustami bez zębów wyglądał na stulatka.

– Jak pan sobie życzy – rzucił.

Przysunął dokument bardzo blisko do oczu.

– *Do naszego wiernego i drogiego gubernatora lub innego zarządcy czy zarządców naszej plantacji w Nowej Anglii...* – Odchylił głowę. – Czy to dotyczy pułkownika Whalleya i pułkownika Goffe’a? – Ponownie wbił wzrok w tekst. – *Naszą wolą i życzeniem jest, by jak najszybciej po otrzymaniu tego listu wyżej wymienione osoby aresztowano i przy pierwszej sposobności odesłano do Nas pod strażą, czego niniejszym żądamy i co nakazujemy uczynić.* Prawdziwie królewski język – skwitował. – Ale już zajęliśmy się tą sprawą.

Nayler obserwował beznamiętnie, jak gubernator grzebie w stercie dokumentów i w końcu wyciąga to, czego szukał.

– Dwa miesiące temu wydałem nakaz aresztowania obu pułkowników. – Endecott przesunął papier po stole.

– *Protokół z zebrania Rady Nowej Anglii, zobowiązujący sekretarza do wydania nakazu, na mocy którego Edward Michelson ma przeprowadzić poszukiwania i aresztować Whalleya i Goffe'a* – przeczytał Nayler. – *Boston, ósmy marca tysiąc sześćset sześćdziesiątego pierwszego roku.* – Odłożył dokument na stół i pchnął go w stronę gubernatora. – Czy wolno spytać, jakie były skutki wydania tego nakazu?

– Jak dotąd nie odnaleziono pułkowników.

– Ilu ludzi wysłał pan na poszukiwania?

– Rozesłałem posłańców do wszystkich osad w Nowej Anglii.

– Posłańców? Tacy ludzie raczej nie dadzą się złapać posłańcom. – Nayler otworzył swoją teczkę. – Pozwoliłem sobie przygotować nowy nakaz, który być może przyspieszy bieg tej sprawy.

Położył papier przed gubernatorem. Dłonie Endecotta zawisły na moment nad kartką, jakby bał się jej nawet dotknąć, w końcu jednak ją podniósł.

Nayler pomyślał, że ta udawana półślepotą gubernatora to tylko sztuczka i że widzi równie dobrze jak inni ludzie, tylko dzięki niej zyskuje na czasie.

Zaczynał tracić cierpliwość.

– Zgodnie z treścią nakazu dwaj obywatele kolonii Massachusetts, kapitan Kirke i pan Kellond, poprowadzą grupę poszukiwawczą – oznajmił. – Zna pan tych dżentelmenów?

– Owszem, znam ich i nie przepadam za nimi.

– Cóż, rozmawiałem z nimi kilkakrotnie i uznałem, że nadają się do tego zadania.

– Rozmawiał pan z nimi kilkakrotnie? Proszę więc powiedzieć: od kiedy jest pan w Bostonie? Mówił pan, że przyплыł na pokładzie statku *King Harry*. O ile mi wiadomo, stoi w porcie co najmniej od tygodnia.

– Owszem.

– I przez cały ten czas nie zechciał mnie pan poinformować o swojej obecności?

– Proszę przeczytać nakaz – powiedział Nayler. – Jest skierowany do wszystkich gubernatorów Nowej Anglii. Wyjaśni tę sprawę lepiej niż ja.

Przez moment myślał, że Endecott odda mu dokument i każe wyjść. Starzec jednak przez chwilę poruszał z irytacją bezzębnymi dziąsłami, po czym spojrzął na kartkę. Czytał głośno z narastającym gniewem i niedowierzaniem:

– Nakazuje się przeprowadzenie gruntownych poszukiwań Whalleya i Goffe’a, a jeśli ci zostaną znaleźni, sprowadzenie ich do kolonii Massachusetts. Należy przydzielić do tego zadania odpowiednio wyposażonych ludzi z końmi. Należy również przeprowadzić dokładne śledztwo w sprawie tego, co robili do tej pory i gdzie przebywali Whalley i Goffe, aby król mógł w pełni poznać ich działania. Rachunki za wszystkie koszty poszukiwań zostaną uregulowane przez skarbnika Korony. Wszyscy dowódcy wojskowi, strażnicy, jak również urzędnicy państwowi i mieszkańcy mają pomagać grupie poszukiwawczej, a jeśli będą się od tego uchylać, narażą się na poważną karę. Gdyby Whalley i Goffe udali się do holenderskiej kolonii, należy dostarczyć pisemny rozkaz Jego Królewskiej Mości tamtejszemu gubernatorowi i zwrócić się do niego o wydanie obu uciekinierów... – Endecott podniósł wzrok. – Pan to napisał?

– Owszem, z upoważnienia Tajnej Rady.

Gubernator odłożył kartkę i milczał przez chwilę, wpatrzony w przestrzeń.

– Podporządkujemy się, oczywiście – mruknął w końcu. – Ale trzeba czasu, żeby to zorganizować.

– Nie trzeba czasu – rzucił Nayler. – Wszystko jest już gotowe.

– Gotowe?

– Mamy ludzi, konie, zapasy i broń. Potrzebny jest jedynie pana podpis.

– Kiedy proponuje pan zacząć? – spytał Endecott.

– Dziś. Zamierzam jak najszybciej wyruszyć w drogę, by wieść o naszej ekspedycji nie dotarła do Whalleya i Goffe’a, zanim ich dopadniemy.

– A jeśli nie podpiszę?

– Wtedy i tak ruszymy. I przekażę raport do Londynu. Jego Królewska Mość sam wyciągnie wnioski co do lojalności tej kolonii i jej gubernatora. – Nayler wyjął z teczki stertę listów. – To też będzie wymagało pańskiej pieczęci i podpisu. Może zechce pan wezwać do pomocy sekretarza? – Uśmiechnął się. – Myślę, że teraz skorzystam z pańskiej uprzejmej propozycji i usiądę.



Kellond i Kirke siedzieli w sali na parterze zajazdu. Nayler poklepał teczkę z dokumentami.

– Mam wszystko. Podpisany nakaz. Listy od Endecotta do gubernatorów Connecticut, New Haven i Plymouth, łącznie z kopiami rozkazu króla. Mają nam pomagać. Podpisał nawet list do Stuyvesanta, zarządcy Nowych Niderlandów, w którym prosi o współpracę Holendrów! – Roześmiał się; niechęć starca była naprawdę komiczna. – I dopisał, że *nie wątpi, że lojalnie wypełnią swój obowiązek wobec Jego Królewskiej Mości, tak jak sobie tego życzymy!* Przysięgam, że o mało nie dostał apopleksji, kiedy to pisał! Chodźcie, nie traćmy ani chwili więcej.

Zabrał z pokoju na piętrze pieniądze, szpadę i pistolet, zapłacił Shadbricke’owi pół suwerena, by trzymał dla niego pokój aż do jego powrotu – choć nie miał pojęcia, kiedy to nastąpi – i ruszył z Kellondem i Kirkiem do portu.

Kiedy tam dotarł, było już późne popołudnie. Grupa poszukiwawcza czekała przez cały dzień z końmi i zapasami w magazynie należącym do Kellonda. Gdy Nayler wszedł do środka, mężczyźni wylegiwali się na belach wełny i grali w kości. Do tej pory nie miał okazji ich poznać, więc Kirke przedstawił wszystkich po kolei, zaczynając od przewodnika, Johna Chapina – szczupłego młodzieńca o ostrych rysach twarzy, kruczoczarnych włosach i równie ciemnych oczach. Nayler teraz już rozumiał, dlaczego mówiono, że w jego żyłach płynie indiańska krew. Czterej Szkoci, wszyscy więźci do niewoli po bitwie pod Dunbar w 1650 roku, byli trochę po trzydziestce. John Stewart spędził kilka lat jako przymusowy robotnik w kopalni rudy żelaza w Lynn, dopóki nie wykupiono go stamtąd i nie zatrudniono jako kowala w Springfield; William Mackwater również pracował

w kopalni w Lynn; Niven Agnew trafił do tartaku w Maine, gdzie stracił dwa palce lewej dłoni; John Ross przez dziewięć lat harował w kopalni grafitu niedaleko Sturbridge.

Nayler uściskał dłoń każdemu. Podobało mu się, że wszyscy są szczupli, mają umięśnione ramiona i – przede wszystkim – nienawiść w oczach. Przywodzili mu na myśl sforę wygłodniałych psów.

– Więc jak, wszyscy chcecie ruszyć w pościg? – spytał.

– Tak jest, proszę pana – odpowiedział mu chór chrapliwych głosów.

– To dobrze, bo ja też.

Nigdy chyba nie czuł się równie ożywiony. Nie mógł przestać się śmiać. Jednym skokiem dosiadł konia. Kirke otworzył drzwi. Chapin wyjechał pierwszy, potem Kellond, Nayler i Szkoci. Kellond zamknął magazyn na klucz i wskoczył na wierzchowca, by dogonić pozostałych. Przejechali ze stukotem po bruku, budząc zaciekawienie wśród przypadkowych przechodniów. Opuścili port i przemierzyli kolejne ulice Bostonu, a gdy znaleźli się poza miastem, skręcili na zachód. Moje życie wciąż kieruje się na zachód, pomyślał Nayler. Mrużąc oczy w słońcu, jechali przez równinę ku ciemnej linii lasu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tylko osiem osób wiedziało o powrocie pułkowników do New Haven: troje członków rodziny Davenporta; dwoje służących; pastor pomocniczy, Nicholas Street; syn królobójcy, William Jones, oraz gubernator Leete.

Ned i Will stracili jednak spokój duszy i pierwsze dni wydawały im się gorsze nawet od zimy w Cambridge, gdzie przynajmniej było cicho. Teraz, gdy słyszeli huk odległego wystrzału, który oddał myśliwy w lesie, od razu wyobrażali sobie, że to początek najazdu. Usłyszawszy tętent więcej niż jednego konia na drodze, sięgali po broń. Większość czasu spędzali w swoich pokojach, a żeby się rozruszać, chodzili po korytarzu – bez butów, by nie robić hałasu. Davenport zachęcał ich do korzystania z książek w jego gabinecie, na tym samym piętrze co ich pokoje, były to jednak głównie traktaty religijne, odpowiadające bardziej gustom Willa niż Neda.

Ze względu na dominującą rolę Davenporta w kolonii na parterze pojawiało się zbyt wielu niezapowiedzianych gości, by pułkownicy odważyli się tam zapuszczać w ciągu dnia. Wyczekiwali więc nocy, gdy miasto zasypiało, a oni mogli bezpiecznie wyjść na dziedziniec Davenportów, poczuć powiew świeżego powietrza na twarzach, wciągnąć w nozdrza zapach wiosennego kapryfolium i posłuchać nocnych ptaków oraz szumu morza. Monotonia takiego życia coraz bardziej im ciążyła, więc po pierwszych tygodniach stali się nieco odważniejsi. Czasami wczesnym rankiem przemykali pospiesznie przez drogę – miała dokładnie sześćdziesiąt stóp szerokości, Ned nie odważył się jednak spytać, czy ma to jakiś związek z Biblią, by nie prowokować Davenporta do kolejnego wykładu – a potem przecinali wielką łąkę pastora i docierali do brzegu oceanu, by popatrzeć na światła oznaczające miejsca, gdzie umieszczono pułapki na homary.

Choć początkowo nie zdawali sobie z tego sprawy, do pewnego stopnia prowadzili nocne życie: kładli się do łóżek tuż przed świtem i spali do południa, kiedy przynoszono im obiad.

Nic równie skutecznie nie ujawnia prawdziwego charakteru człowieka niż wymuszona bliskość, a im dłużej Ned przebywał w towarzystwie Davenporta, tym mniej go lubił. Nastrój pastora mógł się zmienić trzykrotnie w ciągu jednego dnia, czasami nawet godziny – od ponurego milczenia, przez nienaturalnie dobry humor, po despotyczną wściekłość, kiedy jego wrzaski wypełniały cały dom. Wymierzanie kar było nieuniknioną częścią jego obowiązków; Ned to rozumiał, bo sam podczas służby w armii wielokrotnie skazywał podwładnych na chłostę. Wydawało się jednak, że Davenport czerpie szczególną przyjemność z sądzenia winowajców, nakładania grzywien i aresztu, stawiania pod pręgierzem i biczowania. Zgodnie z prawem Mojżeszowym, które obowiązywało na terenie całej kolonii, niedziela zaczynała się w sobotę o zachodzie słońca, a kończyła dopiero w poniedziałek o świcie. W tym czasie wszelkiego rodzaju prace oraz podróże – z wyjątkiem wyjścia do domu modlitwy – były zakazane. Można więc było nieumyślnie złamać prawo, a nie brakowało chętnych donosić na sąsiadów. Jakby tego było mało, Davenport wszędzie dopatrywał się czarów jako przyczyny chorób czy nieurodzaju; podczas pobytu pułkowników w jego domu dwukrotnie przyprowadzano do niego kobiety na przesłuchanie.

Przynajmniej raz w tygodniu, po południu, Neda i Willa odwiedzali Street i Jones, często razem, i wtedy czterej mężczyźni modlili się z Davenportem w jego gabinecie i omawiali teksty z Biblii. To właśnie podczas jednego z takich spotkań Ned uświadomił sobie, że źródłem nieprzyjemnego zapachu, który często wypełniał dom, jest sam gospodarz. Chyba nikt poza Nedom tego nie zauważał, więc starał się po prostu siadać jak najdalej od pastora i pochylać nad Biblią, zakrywając przy tym nos i usta, jakby był głęboko skupiony.

Coraz częściej jego umysł szukał ucieczki w przeszłość. Leżał na łóżku, trzymając na piersiach teologiczną rozprawę lub zbiór kazań, i odtwarzał w myślach niezwykle wydarzenia ze swojego życia, tak różniące się od obecnej

egzystencji. Widział tyle rzeczy! Bitwy i oblężenia, uczyty z królem w Hampton Court, potem jego proces i egzekucję, siłowe rozwiązanie parlamentu, chwałę lorda protektora w pałacu Whitehall i Hampton Court, śmierć Cromwella... To właśnie podczas jednej z takich wędrówek w przeszłość przyszło mu do głowy, że mógłby lepiej spędzić czas, zapisując tamte wydarzenia. Lecz czy nie byłoby to grzeszną próżnością? Kogo obchodziło życie Edwarda Whalleya poza samym Edwardem Whalleyem? Taki dziennik powinien być do czegoś przydatny.

I wtedy wpadł na znacznie lepszy pomysł.

Zastanawiał się nad nim przez chwilę, po czym przeszedł korytarzem do gabinetu i zapukał do drzwi. Pokój był pusty. Biurko Davenporta, stojące pod oknem, przypominało takie, przy których siedzieli nauczyciele. Podniósł wieko, wyjął jedną z kartek papieru, na których pastor zapisywał swoje ogniste kazania, sięgnął po pióro, zanurzył je w kałamarzu i napisał:

*Wspomnienia z życia nieżyjącego lorda protektora Olivera Cromwella autorstwa
jego kuzynapułkownika Edwarda Whalleya*

I na tym skończył. Gdy tylko podniósł pióro nad papier, by pozbierać myśli, wyczuł za plecami Olivera, który pochylał się nad jego ramieniem i pytał bezgłośnie:

Co to za zuchwałość?

– Ludzie ciągle wypytują mnie o ciebie – mruknął Ned.

Więc niech wypytują, przekłęci głupcy, ale mnie zostaw w spokoju!

Głos ten wydawał się tak realny, że Ned poczuł, jak włosy stają mu dęba.

Zwinął kartkę i wyszedł z gabinetu. Zastanawiał się, czy nie popada w obłąd.

Wrócił jednak następnego popołudnia i tym razem bez wahania zabrał się do realizacji celu, jakby prowadził kawalerię przeciwko wrogowi.

Urodziłem się w roku Pańskim 1598, jako drugi syn sir Richarda Whalleya z Kirkton Hall w hrabstwie Nottingham. Mój ojciec był

wychowanym w wierze purytańskiej posłem do parlamentu z tego hrabstwa. Matka, Frances Cromwell, młodsza córka sir Henry'ego Cromwella z Hinchingbrooke w dystrykcie Huntingdon, była siostrą Roberta Cromwella, ojca Olivera, który urodził się w tym samym roku co ja.

Przerwał. Na razie szło mu nieźle. Wszystko to były zwykłe niepodważalne fakty. Lubił fakty. Dopóki miał do czynienia z faktami, czuł się swobodnie. Zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął kreślić kolejne słowa.

Bliskie pokrewieństwo naszych rodzin, wspólne przekonania religijne i podobny wiek zaważyły na zażyłości, która łączyła nas od dzieciństwa przez ponad pięćdziesiąt lat.

Znów tylko fakty. Ale potem zrobiło się trudniej. Opisy długich letnich dni w Hinchingbrooke – łowienia ryb, wspinania się na drzewa, zabaw w chowanego z kuzynami – wydawały mu się trywialne, postanowił więc je pominąć. Potrzebował trochę czasu, nim mógł kontynuować.

Często słyszę pytania, jaki był naprawdę. Jeśli chodzi o wygląd fizyczny, był wysoki – brakowało mu tylko dwóch cali do sześciu stóp – dobrze zbudowany i silny; widziałem, jak zrobił dwadzieścia kroków, niosąc kowadło, i jak podniósł wóz, który ugrzązł w błocie, w młodości bowiem lubił demonstrować swoją siłę. Miał dużą głowę, rumianą cerę, jasne oczy i długie gęste włosy. Jako bardzo młody człowiek nie interesował się szczególnie książkami. Wolał spędzać czas na wolnym powietrzu; uwielbiał jazdę konną, łowy, polowania z sokołem, zapasy. Wiedział o koniach więcej niż jakikolwiek człowiek, którego spotkałem w życiu. Miał ognisty temperament, który łączył się z osobliwą czułością dla każdej istoty dotkniętej cierpieniem, czy to zwierzęcia, czy człowieka. Często płakał i wpadał w melancholię.

Na razie wystarczy. Czas na więcej faktów.

Kiedy skończyłem szesnaście lat, w roku Pańskim 1614, ojciec wysłał mnie na studia do College'u Emmanuela w Cambridge, miejscu znanym z purytańskiego nauczania, a następnego roku Oliver rozpoczął studia w College'u Sidney Sussex, w wielce pobożnej uczelni odległej o zaledwie pół mili. Często się widywaliśmy.

W jego umyśle pojawiały się różne obrazy: Oliver walczący z chłopcami z miasta na targowisku, Oliver grający w kości w pokoju na piętrze tawerny Rose, Oliver spółkujący z miejscową dziewczyną na brzegu rzeki Cam, podczas gdy on pilnował, czy nikt nie nadchodzi... Nie mógł jednak wspomnieć o którejkolwiek z tych rzeczy, bo wyręczyłby złośliwych rojalistycznych autorów paszkwili.

Nie zawsze należycie przykładął się do nauki. Po roku opuścił Cambridge, nie ukończywszy studiów, choć nie ze względu na brak chęci. Stało się tak, bo zmarł jego ojciec, musiał więc wrócić do rodziny, by utrzymywać matkę i siostry. Ja zostałem w Emmanuel i uzyskałem pierwszy stopień naukowy. Dopiero kilka lat później odkryłem, że mój rozrzutny i nierozsądny ojciec, który roztrwonił rodzinny majątek, pożyczył od Roberta Cromwella 600 funtów i nie był ich w stanie oddać. To właśnie z powodu tego niezwróconego długu ucierpiał majątek Roberta Cromwella i jego syn musiał zrezygnować ze studiów i zająć się utrzymaniem rodziny. Oliver nigdy jednak o tym nie wspomniał, a gdy odkryłem prawdę i przysiągłem mu, że oddam całą sumę, zdecydowanie odrzucił tę ofertę; powiedział, że to dług mojego ojca, a nie mój.

Nigdy jeszcze nie opowiadał nikomu tej historii. Nawet teraz, po czterdziestu latach, gdy przenosił ją na papier, jego twarz płonęła wstydem. Jeśli jednak czytelnik miał poznać charakter Olivera – zrozumieć, dlaczego ludzie byli gotowi pójść za nim w ogień – Ned nie mógł pominąć tak wiele mówiącego epizodu.

W następnej kolejności zamierzał napisać o tym, jak po Cambridge, gdy mieli niewiele ponad dwadzieścia lat, mieszkali na sąsiednich ulicach, w tej samej parafii

City of London. Kiedy jednak zanurzył pióro w kałamarzu, okazało się, że zużył cały atrament. Gdzie mógł znaleźć więcej?

Nie widział zapasu w małych przegródkach ciągnących się wzdłuż tylnej części biurka. Dwie szuflady nad jego kolanami były zamknięte, ale pewnego popołudnia, gdy przechodził obok otwartych drzwi, zobaczył przypadkowo, jak Davenport chowa klucz, wciskając go między dwa tomy na półce. Ned nie widział powodu, by zwracać mu głowę prośbą o buteleczkę atramentu, wyjął więc klucz ze schowka. Pierwsza szuflada nie zawierała niczego prócz papieru i laku do pieczęci. Kiedy jednak zaczął otwierać drugą, usłyszał obiecujący brzęk szkła. Szuflada kryła w sobie mnóstwo ciemnozielonych i ciemnoniebieskich buteleczek, oznaczonych starannie etykietami. Zobaczył również wąskie drewniane pudełko, a w nim bardzo cienką mosiężną rurkę o długości około sześciu cali, z niewielkim lejkiem na końcu. Zaciekawiony, podnosił kolejne fiołki do światła. Nie było w nich atramentu. Niektóre nazwy nic mu nie mówiły, rozpoznał jednak dwie: rtęć i gwajakowiec. W żadnej europejskiej armii nie było chyba oficera, zmuszonego do radzenia sobie z chutliwymi żołnierzami podczas kampanii, który nie rozpoznałby typowych środków na rzeżączkę.

Wpatrywał się w nie przez chwilę. Chorowity syn, brak innych dzieci, oddzielne pokoje małżonków – wszystko nagle stało się jasne. Davenport musiał nabawić się tego przed wielu laty, nim jeszcze przybył do Ameryki, albo w Londynie, albo w Hadze.

Ned szybko odłożył buteleczki na miejsce, zamknął szufladę i wsunął klucz między książki. Zebrawszy zapisane kartki, sprawdził, czy w korytarzu nikogo nie ma, i przemknął do swojego pokoju.



Człowiek rodzi się w grzechu. Zmaga się ze swoją naturą. Błądzi. Upada. Ned rozumiał to wszystko.

I często okazuje się, że ci, którzy najgłośniejsz złorzeczą diabelskim pokusom, ulegli najgorszym z nich; uczą innych tak głośno, bo sami znają ludzkie

słabości. To po prostu pewien rodzaj zwykłej hipokryzji. Ned widział już jednak w życiu zbyt wiele, by długo się dziwić.

Mimo to nie potrafił spojrzeć Davenportowi w oczy, gdy spotkał się z nim następnego popołudnia na wspólne studiowanie Biblii. I podobne skrępowanie wyczuł w pastorze. Zastanawiał się, czy w pośpiechu nie zostawił klucza w innym miejscu niż to, z którego go wyjął, albo czy nie przestawił buteleczek z lekarstwami. Tak czy inaczej, Davenport najwyraźniej orientował się, że jego tajemnica została odkryta, bo wkrótce zasugerował, że nadszedł już czas, by opuścili jego dom.

– Jesteście tu prawie od ośmiu tygodni – powiedział zakłopotany, ale też zdeterminowany. – I choć chętnie gościłbym was tak długo, jak tylko zechcecie, w sklepie zaczęto wypytywać, dlaczego zamawiamy tak dużo jedzenia, prawie dwa razy więcej niż dawniej. Rozmawiałem z Williamem Jonesem, który chętnie przyjmie was na jakiś czas pod swój dach. Hannah nosi ich pierwsze dziecko, ale mają wiele pokoi, których nie używają. Potem możecie albo wrócić tutaj, albo przenieść się do pana Streeta.

Tak skończyła się oferta gościny aż do Drugiego przyjścia.

– Rozumiemy – odparł Will, choć nie potrafił ukryć zaskoczenia. – I dziękujemy ogromnie za pańską gościnność. To dług, którego nigdy nie będziemy w stanie spłacić. Kiedy mielibyśmy się przenieść?

– Myśleliśmy, że... dziś wieczorem.

Will wydawał się jeszcze bardziej zdumiony.

– Tak szybko?

– Jeśli macie to zrobić, to lepiej działać szybko, a dziś w nocy prawie nie będzie księżyca, więc ryzyko, że ktoś was zobaczy, gdy będziecie przechodzić przez ulicę, jest mniejsze. – Davenport nie patrzył na Neda.

– Skąd ten ogromny pośpiech? – spytał Will, gdy został sam z teściem. – Obraziliśmy go czymś?

– To, co mówi, brzmi całkiem logicznie – odparł Ned. Wcale nie żałował, że się wyprowadzają. Nie był w stanie podzielić się z zięciem swoim odkryciem, bo ten był mniej wyrozumiały dla ludzkich słabości. – W ciągu najbliższych dwóch tygodni księżyc będzie coraz pełniejszy, a skoro już pojawiają się jakieś plotki, to im dłużej tu zostaniemy, tym większe niebezpieczeństwo.

Słońce zaszło o ósmej, lecz całkiem ciemno zrobiło się dopiero przed dziesiątą. Wtedy zjawił się Jones. Żaden z domowników nie przyszedł pożegnać się z pułkownikami, z wyjątkiem Davenporta. Pastor uściskał im dłonie i powiedział, że odwiedzi ich za jakiś czas. Ned i Will zabrali sakwy i wyszli na zewnątrz. Gdy zamknęli za sobą drzwi, Ned pomyślał, że pożegnanie w tym domu wyglądało całkiem inaczej niż powitanie.

– To bardzo miłe z twojej strony – zwrócił się szeptem Will do Jonesa. – Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

– Nie ma o czym mówić. Jesteście gotowi? To niedaleko stąd, kilkaset kroków.

Przeszli niemal po omacku na drogę i skręcili w lewo. Masywny dom Jonesa majaczył w ciemnościach, podświetlany nikłym blaskiem księżyca. Nagle Jones przystanął. Z naprzeciwka zbliżała się do nich rozchybotana lampa. Przeszedł szybko przez drogę, otworzył furtkę najbliższego domu i szeptem kazał pułkownikom wejść na podwórze.

– Ukryjcie się.

Przykucnęli w trawie za ogrodzeniem i słuchali, jak Jones pozdrawia człowieka niosącego lampę.

– Dennis Crampton, prawda?

– Pan Jones. Trochę późno na spacer.

– Byłem u pana Davenporta.

– Doprawdy? – Crampton odchrząknął i splunął. – Ten człowiek nigdy nie odmówi ci gościny! – dodał bełkotliwie, wyraźnie podpity.

– Jesteś daleko od domu, Dennisie. Dasz radę do niego dotrzeć?

– Śpię u Johna Thorpa. Chce pan skorzystać z mojej lampy? Odprowadzę pana.

– Nie, dziękuję. Zostanę tu jeszcze chwilę, zaczerpnę świeżego powietrza.

– Jak pan woli.

Crampton ruszył dalej. Minutę później Jones pochylił się nad płotem.

– Mieliśmy pecha.

– Zdaje się, że ten człowiek nie przepada za wielbnym Davenportem – zauważył Will.

– Pastor skazał go kiedyś na chłostę za pijaństwo. Myślałem, że Crampton przeniósł się do Guilfordu.

Wyszli z powrotem na drogę. Ned obejrzał się przez ramię i zobaczył, że rozchwiana lampa ponownie zmierza w ich stronę.

– On wraca – rzucił.

Jones zaklął pod nosem i chwycił jedną z toreb Neda.

– Lepiej się pospieszmy.

Na wpół idąc, na wpół biegnąc, dotarli do bramy domu. Jones wepchnął ich na podwórze. Ned, którego po drodze chwyciła kolka, dysząc ciężko, zgiął się wpół, by złapać oddech.

– Widział nas? – spytał.

– Chyba nie – odparł Jones. – Ale to nie ma znaczenia. Jest głupcem i pijaczną, nikt nie zwraca na niego uwagi. – Otworzył drzwi domu. – Tu będziecie bezpieczni.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Co jakiś czas, zwłaszcza na początku wyprawy, Nayler czuł, że ogrom Ameryki ich pokona. Gdy tylko przemierzali jedną bezkresną połąć lasów i górskich grzbietów, równin i jezior, otwierała się przed nimi następna. Jak można odnaleźć dwóch zdeterminowanych uciekinierów w tak bezmiernej dziczy? Wkrótce jednak zaczął postrzegać tę ziemię inaczej, nie jako ląd, lecz jako ocean z archipelagiem maleńkich osad rozsianych po całej powierzchni; enklaw cywilizacji otoczonych przez wrogą naturę. Jeśli Whalley i Goffe nie zdecydowali się zamieszkać z Indianami – co oczywiście było mało prawdopodobne – to liczba ich kryjówek była bardzo ograniczona, a ryzyko zdemaskowania znacznie większe, niż mogłoby się wydawać. Chrześcijańska populacja Nowej Anglii liczyła około trzydziestu tysięcy dusz, podczas gdy w samym Londynie mieszkało prawie pół miliona ludzi. Być może lepiej byłoby dla królobójców zostać w domu.

Jeśli misja miała się powieść, Nayler potrzebował przede wszystkim elementu zaskoczenia. Obawiał się więc, że Endecott mógł wysłać posłańca, który ostrzeże królobójców. Ta myśl stale towarzyszyła Naylerowi, choć przewodnik John Chapin zapewniał go, że nie ma innej drogi do Connecticut niż ta, którą właśnie jadą, i że żaden z napotkanych Indian nie wspominał o samotnym jeźdźcu, który by ich poprzedzał. Mimo to Nayler nalegał, by codziennie jechali jeszcze przez jakiś czas po zachodzie słońca, choć kapitan Kirke uważał, że to zbyt niebezpieczne. W każdym miejscu, w którym zatrzymywali się na postój, nawet w dzikiej głuszy, Nayler wieszał kopię ulotki z informacją o nagrodzie – *żywych lub martwych!* – zakładając, że jakiś myśliwy lub podróżnik zmierzający tą trasą dostrzeże ulotkę i przekaże jej treść innym. O świcie zawsze wstawał jako pierwszy, chodził po obozowisku i budził pozostałych. Zdawał sobie sprawę z ich narastającej niechęci – zwłaszcza Szkotów, którzy szeptali między sobą, że zamienili jedną formę

niewolnictwa na inną, ale także łagodnego zazwyczaj Kellonda i Chapina, który ostrzegął, że konie są bliskie wyczerpania.

Mimo to byli mu posłuszni, a tylko to miało dla Naylera znaczenie. Po południu w piątek dziesiątego maja – pokonawszy ponad sto mil w zaledwie trzy dni – dotarli do rzeki Connecticut. Zamiast cieszyć się tym sukcesem i pozwolić ludziom na choćby krótki odpoczynek, Nayler wypytał Chapina, co znajduje się przed nimi, i oznajmił, że muszą natychmiast ruszać do promu w Windsorze. Ze znużeniem i irytacją znów dosiedli koni. Godzinę później byli już po drugiej stronie rzeki i siedzieli z drewnianymi kubkami piwa w zatłoczonej sali małej gospody przy sklepie – wszyscy prócz Kellonda i Kirke’a, bo tym Nayler kazał znaleźć jakichś przedstawicieli miejscowych władz i wypytać ich o królobójców. Czekaając na ich powrót, powiesił dwie ulotki w sklepie i gospodzie, a kilka dał klientom.

Kellond i Kirke pojawili się około szóstej z informacją, że ani pastor, ani członkowie kościelnej starszyny nie widzieli Whalleya i Goffe’a, słyszeli jednak plotki, że widziano ich obu w Hartfordzie.

– Kiedy?

– Dwa miesiące temu – odparł Kellond. – Mniej więcej.

– Wierzycie im?

– Ja tak – powiedział Kirke.

– A pan, panie Kellond?

– Ja również.

– Dobrze. – Nayler dopił piwo i wstał. – Więc jedziemy do Hartfordu.

Szkoci zaczęli głośno protestować, zwłaszcza John Ross, były górnik z kopalni grafitu, najbardziej posepny z całej czwórki.

– Ale tu są pokoje, panie Nayler – dołączył do nich Kirke, zerkając na dzban z piwem. – I tylko kilka godzin do zmierzchu. Zamiast spędzać kolejną noc pod gołym niebem, moglibyśmy dać odpocząć koniom i wyruszyć rankiem.

– Musimy jechać natychmiast – rzucił Nayler. – Inaczej z pewnością wyprzedzi nas jakiś purytański szpieg.

Przez moment nikt się nie ruszał, więc zaczął się obawiać, że może dojść do buntu. Nie miał pojęcia, co zrobiłby w takiej sytuacji, tak daleko od domu, w obcej krainie. Wsparł go jednak Chapin.

– Będziemy musieli prowadzić konie – powiedział. – Jeśli znów zmusimy je do szybkiej jazdy, padną.

– Dobrze, będziemy prowadzić konie – odparł z wdzięcznością Nayler. – I spędzimy noc w Hartfordzie. Obiecuję, że poszukamy tam jedzenia i schronienia... i wina – dodał, spoglądając znacząco na Kirke'a.

Kapitan przez moment patrzył mu w oczy, po czym skinął głową. Kryzys został zażegnany. Pięć minut później znów byli w drodze.



John Winthrop Młodszy – pięćdziesięcioletni, człowiek nauki i interesów, a także niezachwianej wiary, od trzech lat wybierany co roku na gubernatora kolonii Connecticut – siedział przy kuchennym stole w swoim domu w Hartfordzie z żoną Elizabeth i pięciorgiem najmłodszych spośród ich dziewięciorga dzieci: Mercy, Sarą, Margaret, Marthą i Anne. Właśnie skończyli kolację i Winthrop czytał ustęp z Nowego Testamentu, gdy usłyszeli, jak na ulicy zatrzymuje się kilka koni. Wyjrzał przez okno na łagodne ciemnofioletowe światło zmierzchu.

Ktoś zapukał głośno do drzwi.

– Kto może nas nachodzić o tej porze? – zdziwiła się Elizabeth.

– Tak, to zastanawiające – mruknął. Wiedział jednak, wiedział, nim wstał od stołu. Oczekiwał tej chwili od tygodni. – Może zabierzesz dziewczęta na górę?

Kiedy otworzył drzwi, przekonał się od razu, że miał rację: dwaj mężczyźni na schodach, z kapeluszami w dłoniach, trzeci za nimi – pół-Indianin, sądząc po wyglądzie – trzymający wodze koni, pięciu pozostałych wciąż w siodłach, wszyscy brudni i zaniedbani po długiej podróży, wszyscy uzbrojeni.

– Dobry wieczór, gubernatorze – powiedział starszy z dwóch mężczyzn. – Jestem kapitan Thomas Kirke, a ten dżentelmen obok mnie to pan Thomas Kellond. Przepraszamy bardzo, że przeszkadzamy o tak późnej porze, ale przybywamy z Bostonu w pilnej sprawie.

– Chyba nie tak pilnej, żeby nie mogła poczekać do rana? – Winthrop próbował grać na zwłokę. Dwaj mężczyźni wyraźnie się zawahali. – Wróćcie jutro, panowie, choćby o świcie. Wtedy porozmawiamy. Właśnie chciałem położyć się do łóżka.

Gdy zaczął zamykać drzwi, jeden z mężczyzn siedzących na koniach zawołał:

– Porozmawiamy teraz, panie Winthrop, jeśli pan pozwoli!

– Kim pan jest?

– Nazywam się Richard Nayler.

– Pan również jest z Bostonu?

– Nie, gubernatorze, przybywam z Londynu.

– Z Londynu? – Winthrop wyczuwał w jego głosie i zachowaniu pewność siebie właściwą ludziom obdarzonym władzą, a także jakąś bliżej nieokreśloną groźbę. Tym razem to on się zawahał. – Cóż, w takim razie, kapitanie Kirke i panie Kellond, proszę wejść – powiedział z ociąganiem. Otworzył szerzej drzwi. – Pana też zapraszam, panie Nayler.

Rozłożyli dokumenty na kuchennym stole: nakaz podpisany przez gubernatora Massachusetts, rozkaz króla z jego pieczęcią oraz list od Endecotta. Sprawa wyglądała poważniej, niż przypuszczał Winthrop. Rozmyślał o niej od dwóch miesięcy, modlił się do Boga o pomoc i wiedział już, co zrobić.

– Więc ścigacie pułkownika Whalleya i pułkownika Goffe'a? – powiedział.

– Doszły nas słuchy, że na początku marca widziano ich w Hartfordzie – odparł Kirke.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Mogli podróżować pod fałszywymi nazwiskami: Richardson i Stephenson.

Winthrop udał, że próbuje sobie przypomnieć te nazwiska.

– Richardson i Stephenson... Tak, to brzmi znajomo.

- Spotkał ich pan?
- Owszem.
- Zatrzymali się w Hartfordzie?
- Nie, tylko tędy przejechali.
- A dokąd się wybierali?

Boże, przebacz mi, pomyślał Winthrop.

- Zdaje się, że do New Haven.

Człowiek z Londynu, Nayler, który już od dłuższego czasu najwyraźniej chciał coś powiedzieć, nie mógł się dłużej powstrzymać.

– Proszę sobie nie żartować, gubernatorze. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Mamy uwierzyć, że nie wiedział pan, kim są ci dwaj? Najbardziej poszukiwani ludzie w Ameryce, za których wyznaczono dwieście funtów nagrody? Przybywają do pana, uciekając przed sprawiedliwością, a pan im pozwala jechać dalej? Świadomie czy nie, pomógł pan zdrajcom.

– Bardzo mi przykro. Z zasady wierzę ludziom na słowo. Na przykład pan twierdzi, że nazywa się Richard Nayler, a ja panu wierzę, choć nie mam żadnego dowodu, że mówi pan prawdę. – Winthrop z satysfakcją odnotował, że szyderczy uśmieszek zniknął z twarzy londyńczyka. Kontynuował pojednawczym tonem: – Pytali o drogę do New Haven, więc powiedziałem im, jak tam dojechać. Chętnie zarządzę przeszukanie Hartfordu o brzasku, jeśli pan sobie tego życzy, ale jestem pewien, że ich tu nie znajdziecie. Connecticut nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

– Trudno mi w to uwierzyć – rzucił Nayler, tym razem całkiem poważny. – Byli sami czy mieli przewodnika?

- Byli sami.

– Dwaj ludzie, którzy nie znają Ameryki, w dodatku jeden z nich po sześćdziesiątce, podróżują sami przez dzikie tereny aż z Bostonu, i to w zimie? To przeczy zdrowemu rozsądkowi. Jak odnajdywali właściwą drogę?

– Z trudem, zapewne. Przypuszczam, że właśnie dlatego zatrzymali się tutaj, by o nią spytać.

– Mówi pan, że wybierali się do osady New Haven czy do kolonii?

Winthrop uciekł się do następnego, obmyślonego wcześniej kłamstwa.

– O ile dobrze pamiętam, skierowałem ich do Guilfordu, najbliższej osady.

– O ile pan dobrze pamięta? Kiedy ich złapiemy, wypytamy obu szczegółowo o pomoc, jaką otrzymali w Nowej Anglii, i sprawdzimy, czy ich opowieść zgadza się z pańską. – Nayler odwrócił się do młodszego ze swoich towarzyszy. – Proszę zebrać dokumenty, panie Kellond. Szkoda marnować tu choćby minutę więcej. Wygląda na to, że musimy pojechać do Guilfordu.

– Dziękujemy, że poświęcił nam pan czas, gubernatorze – powiedział Kirke. – Teraz może pan już kłaść się spać. – Spojrzał z niecierpliwością na Naylera, a potem ponownie na Winthropa. – Czy zechciałby pan skierować nas do jakiejś dobrej gospody?

Kiedy już poszli – Nayler zostawił tuzin ulotek z informacją o nagrodzie i przykazał, by rozwiesić je po całej osadzie – Winthrop siedział przez chwilę sam przy stole, trzymając dłonie na rodzinnej Biblii, którą podarował mu ojciec. Badał swoje sumienie. Co zrobiłby ojciec? Kłamstwo jest poważnym grzechem. Ale zdrada przyjaciół jest nim również. I działając w interesie Connecticut i przyszłości tej kolonii, Winthrop zdołał popełnić oba te grzechy w ciągu jednego wieczoru. Przypuszczał, że tego rodzaju kluczenie to rzecz, której mąż stanu nie może uniknąć. Jak inaczej mógłby uchronić swój lud przed zemstą Korony, a jednocześnie dać odrobinę czasu pułkownikom, podrzucając pogoni fałszywy trop? Wkrótce będzie musiał odbyć długą podróż do Londynu i prosić w imieniu Connecticut o edykt królewski.

– *Piłat, widząc, że nic nie osiąga, a wzburzenie raczej wzrasta, wziął wodę i umył ręce wobec tłumu...*²¹

Pomyślał o Naylerze, o jego brudnej brodzie, fałszywym uśmiechu, zmęczonych oczach, zbryzganej błotem twarzy i ubraniach. Ten człowiek wydawał się na wpół obłąkany. Winthrop tym bardziej współczuł Whalleyowi i Goffe'owi. Z pewnością nie chciałby, żeby ścigała go taka Furia.

Zaniósł ulotki nad palenisko w kuchni i wrzucił je jedną po drugiej do ognia.



Nayler spędził bezsenność noc w jedynej gospodzie w Hartfordzie, uwięziony na wąskim łóżku między Kellondem i Kirkiem. Każda godzina bezczynności była dla niego torturą. Słońce wstało tuż po piątej, a on wraz z nim. O szóstej grupa pościgowa była już w drodze. Wyruszając tak wcześnie, Nayler miał pewność, że nikt nie opuścił miasta przed nimi. Była sobota jedenastego maja.

Chapin znał drogę do Guilfordu. Osada, jak twierdził, leżała na wybrzeżu, jakieś trzydzieści pięć mil na południe od Hartfordu. Droga okazała się bardzo trudna; napotykali wszelkiego rodzaju przeszkody naturalne: gęsty las, bagna, skalne urwiska, szeroki strumień, wzdłuż którego musieli iść dwie mile, nim dotarli do płytszego miejsca, gdzie musieli zsiąść z koni i prowadzić je na drugą stronę, brodząc po uda w zimnej rwącej wodzie. Wierzchowce sprawiały im coraz więcej problemów – dyszały niezdrowo, kręciły łbami, czasami zbaczały z drogi niczym pijane i wchodziły w zarośla. Pierwszy padł koło południa pod Mackwaterem, brocząc pianą; Chapin musiał wyjąć pistolet i zastrzelić zwierzę. Drugi, wierzchowiec Nivena Agnew, padł martwy jak kamień godzinę później. Od tego momentu musieli iść na piechotę; dotarli do Guilfordu dopiero późnym popołudniem.

Była to mała osada, o wiele biedniejsza od Cambridge – kilka porządných domów z kamienia, rozrzuconych pomiędzy drewnianymi zabudowaniami, które w większości wyglądały jak szopy. Nayler pomyślał, że to mało prawdopodobne, by królobójcy postanowili zamieszkać w takim miejscu, bo tu za bardzo rzucaliby się w oczy. Mimo to kazał wyciągnąć i załadować pistolety. Z zadowoleniem zauważył, że perspektywa konkretnego działania w końcu ożywiła Szkotów i pomogła im się skoncentrować. Prowadzili konie błotnistą ulicą w stronę domu modlitwy, przyglądając się uważnie twarzom mijanych ludzi. Kirke zażądał od starszego mężczyzny stojącego na łące, by zaprowadził ich do człowieka

zarządzającego miastem. O szóstej Kellond, Kirke i Nayler znaleźli się w salonie gubernatora New Haven, pana Williama Leete'a.

Widząc przemyślane i skrupulatne działania gubernatora, Nayler domyślił się od razu, że ma do czynienia z prawnikiem. Zanim Leete zgodził się przeczytać nakaz i listy, posłał służącego po starszych osady, by mógł się z nimi skonsultować. Sprowadzenie ich zajęło niemal całą godzinę. Gdy w końcu około siódmej w salonie gubernatora zebrało się sześciu purytanów o kamiennych twarzach, wszyscy w czarnych ubraniach i identycznych czarnych kapeluszach, Leete zasiadł przy biurku, wyjął okulary, ostrożnie ułożył je na nosie i zaczął głośno odczytywać rozkaz króla:

– *Do naszego wiernego i drogiego gubernatora lub innego zarządcy czy zarządców naszej plantacji w Nowej Anglii...* – Przerwał i zmarszczył brwi. – Najwyraźniej doszło tu do jakiejś pomyłki. Nie ma takiego urzędu jak gubernator Nowej Anglii. Ten rozkaz nie ma żadnej mocy prawnej.

Kellond i Kirke spojrzeli na Naylera z konsternacją.

– Pan pozwoli, że spojrzę. – Nayler pochylił się nad ramieniem Leete'a. Rzeczywiście, słownictwo mogłoby być bardziej przejrzyste, ale sens dokumentu wydawał się oczywisty. Pisarz przygotowujący tekst chciał mu po prostu nadać bardziej urzędową formę. – Myli się pan, panie Leete. Napisano tu wyraźnie o gubernatorze w Nowej Anglii, a nie gubernatorze Nowej Anglii.

– To niczego nie zmienia.

– Ależ oczywiście, że zmienia. Czyta pan to w taki sposób, jakby chodziło o gubernatora Nowej Anglii, bez wyraźnego „w”. Zapewniam pana zresztą, że nawet gdyby tego „w” nie było, mielibyśmy do czynienia ze zwykłą pomyłką. Ale jest. Proszę spojrzeć.

Przez kilka następnych minut spierali się zawzięcie o ciężar prawny „w”, aż w końcu Nayler uderzył dłonią w biurko.

– Na miłość boską, gubernatorze! Nie przepłynąłem trzech tysięcy mil, żeby dyskutować o składni! Proszę przeczytać do końca rozkaz oraz pozostałe

dokumenty, żebyśmy mogli zakończyć tę sprawę przed nocą!

– Dobrze, będę czytał dalej – odparł Leete spokojnie. – Ale to nie znaczy, że się z panem zgadzam. Powtarzam: nie ma kogoś takiego jak „gubernator Nowej Anglii”. Nasza kolonia jest niezależna. – Zdjął okulary, przeczyścił je, założył z powrotem na nos i kontynuował.

Mijał czas. Leete odczytywał monotonnym głosem kolejne dokumenty. Gdy światło zaczęło słabnąć, kazał służącemu przynieść świece. Nayler rozejrzał się ukradkiem po zatłoczonym salonie. Teraz było tu co najmniej kilkunastu widzów, a na zewnątrz stała grupa miejscowych kobiet, pilnowanych przez dwóch Szkotów z pistoletami w dłoniach. Ludzie wchodzili i wychodzili bez przeszkód. Któryś z nich mógł bez problemu wymknąć się do wioski i ostrzec królobójców. Szanse na zaskoczenie pułkowników malały z minuty na minutę.

– Dość, panie gubernatorze – powiedział Nayler ze znużeniem. – Dość. To nie jest jakieś widowisko. Albo pan wyprosi tych ludzi, albo przejdziemy do miejsca, w którym będziemy mogli porozmawiać na osobności.

– Nie mam panu do powiedzenia nic, czego nie powiedziałbym w obecności moich przyjaciół – odparł Leete.

– Niemniej jednak... Kilka słów w cztery oczy, jeśli pan pozwoli.

Gubernator westchnął ciężko.

– Cóż, jeśli tak panu na tym zależy...

Zebrał dokumenty i zaprowadził Naylera do sąsiedniego małego pokoju, w którym wzdłuż ścian ciągnęły się półki wypełnione książkami prawniczymi i religijnymi. Nayler zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

– Porozmawiajmy szczerze, panie Leete. Możemy mieć całkiem odmienne poglądy, ale w tej kwestii nasze interesy się zbiegają. Ja chcę znaleźć królobójców, a pan... jeśli jest pan człowiekiem rozsądnym, a na takiego pan wygląda... wolałby uniknąć gniewu moich mocodawców z Londynu. Rozumiem, że w obecności osób zebranych w pokoju obok musi pan okazywać niechęć, ale z pewnością wie pan

dobrze, że czasy się zmieniły i że jeśli New Haven chce zostać kolonią uznawaną przez Koronę, musi się poddać władzy króla.

– To nie takie proste, panie Nayler.

– A mnie się wydaje, że nie ma nic prostszego. Obaj służymy Jego Królewskiej Mości. Jedyne, czego od pana wymagam, to osiem świeżych koni, za które dobrze zapłacę, oraz pańskie przyzwolenie na przeszukanie kolonii. Kiedy dostanę jedno i drugie, pojedziemy sobie dalej.

– Musi pan mi dać więcej czasu.

– Zmarnowałem go już zbyt wiele. – Nayler otworzył drzwi i wszedł do zatłoczonego salonu. – Wyjeżdżamy – zwrócił się do Kellonda i Kirke’a.

– Nie tak szybko, panie Nayler – odezwał się Leete. – Pozwoli pan, że dokończę. Nie może pan przeszukać jakiegokolwiek części New Haven bez zgody rady kolonii.

– Ile potrwa uzyskanie tej zgody?

– Dwa dni.

– Dwa dni!

Leete uśmiechnął się lekko i wskazał na ciemniejące okno.

– Słońce już zaszło. Zaczęła się niedziela. Nie możemy podejmować żadnych działań aż do poniedziałku rano.

Nayler zamknął oczy i zachwiał się lekko.

– W takim razie domagam się przynajmniej koni.

– To niemożliwe. Zgodnie z prawem Mojżeszowym aż do poniedziałku rano nie można przeprowadzać żadnych transakcji. Poza tym podróże dłuższe niż na dwie mile są zakazane, chyba że ich celem są uroczystości religijne.

– Jakie znowu prawo Mojżeszowe? – prychnął Nayler. – Rząd króla nie uznaje żadnych innych praw prócz tych, które zostały zatwierdzone przez parlament. Czy to nie z tego powodu wszczęliście wojnę?

– Podczas tej wojny walczono o wolność przekonań – wtrącił się stojący przy oknie mężczyzna o surowej twarzy. – A tutaj, w New Haven, praktykujemy tę

wolność, przestrzegając prawa Mojżeszowego. Jak zapisano w Księdze Wyjścia: *Każdy przeto z was pozostanie w domu! W dniu siódmym żaden z was niech nie opuszcza swego miejsca zamieszkania*²². W Biblii napisano również o tym, jak ukamienowano człowieka tylko dlatego, że zbierał w szabas chrust. Nawet gdyby nasz gubernator wydał rozkaz łamiący to prawo, żaden mieszkaniec Guilfordu nie będzie chciał z wami rozmawiać do poniedziałku rano.

Zgromadzeni wokół niego ludzie kiwali głowami z aprobatą.

– Zgadza się – odezwał się jeden.

– Dobrze powiedziane – rzucił drugi.

Nayler nie mógł wydobyć z siebie głosu. Przepchał się do wyjścia z salonu i wyszedł na podwórze. Wieczorne niebo było jeszcze jasne, lecz za dachami drewnianych chat naprzeciwko czerwienił się blask zachodu słońca. Nayler zacisnął dłonie w pięści. Oszukany i powstrzymany przez obłąkanych purytanów! Boże, gdyby tylko miał dość środków, żeby aresztować ich wszystkich za zdradę i obrócić tę ich przeklętą osadę w popiół. Usłyszał, jak Kirke wypytuje ludzi zgromadzonych na podwórzu, gdzie w Guilfordzie jest gospoda.

²¹ Mt 27, 24.

²² Wj 16, 29.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W New Haven pułkownicy skończyli właśnie kolację i spędzali ostatnią godzinę przed snem w swoich pokojach, które ze sobą sąsiadowały. Will czytał Biblię, a Ned palił fajkę. Był sobotni wieczór, dokładnie dwanaście dni po tym, jak przenieśli się pod dach Jonesów.

Jak na tak duży dom przebywało tu bardzo niewiele osób: William Jones, jego żona Hannah – dziesięć lat młodsza od niego i bliska rozwiązania – oraz pokojówka i służący, na tyle bliscy rodzinie, że zdradzono im tożsamość gości. Ned i Will musieli zrezygnować z nocnych wycieczek na zewnątrz, bo obok domu Jonesów, oddalonego nieco bardziej od morza niż rezydencja Davenportów, stały trzy inne domostwa i sąsiedzi mogli z wyższych pięter zaglądać na swoje podwórza. Poza tym ich codzienna rutyna nie uległa zmianie: czytanie, chodzenie po korytarzu i dwa razy w tygodniu dyskusje o Biblii.

Było już około dziewiętej, gdy usłyszeli nerwowe pukanie do drzwi. Obaj podnieśli wzrok. Takie wizyty nie były tu niczym nadzwyczajnym, więc po chwili powrócili do swoich zajęć. Minutę później usłyszeli, jak Jones wbiega na schody. Zdyszany i spanikowany, poszedł do pokoju Neda.

– W Guilfordzie są ludzie, którzy przyjechali z Bostonu, żeby was aresztować.

Will wyszedł ze swojego pokoju i stanął obok Jonesa. Ned zerwał się na nogi. Choć spodziewał się tego od wielu miesięcy, teraz wydało mu się to nierealne.

– Ilu ludzi? – spytał.

– Ośmiu. Dobrze uzbrojonych. Mają rozkaz od samego króla i listy od Endecotta, w których gubernator każe udzielać im pomocy.

– Kiedy przyjechali?

– Dwie, może trzy godziny temu. Leete spróbuje ich zatrzymać, ale posłaniec mówi, że wyglądają jak szaleńcy zdolni do wszystkiego. Nie mamy ani chwili do

stracenia. Jesteście spakowani?

Pułkownicy skinęli głowami. Odkąd wrócili do New Haven, zawsze byli gotowi do ucieczki.

Jones podszedł do okna i spojrzał w ciemność.

– Pozostaje tylko pytanie, dokąd pójdziecie.

– Powinniśmy uciekać w góry – odparł Ned. – Przywykliśmy już do spania pod gołym niebem.

– Nie możecie zrobić tego dzisiaj. Do poniedziałku możecie podróżować nie dalej niż na odległość dwóch mil.

Ned zapomniał o tej regule. Nigdy nie spotkał się z takim zwyczajem w Anglii, nawet we wspólnotach z najsurowszymi zasadami.

– Ale dwie mile... – Przerwał i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Dwie mile to nie jest bezpieczna odległość.

– Niemniej jednak takie jest prawo.

– I naprawdę musimy go przestrzegać?

– Oczywiście, że musimy – wtrącił się Will. – Jak mogłeś pomyśleć inaczej?

– Ale to przecież żydowski obyczaj, prawda? Dlaczego musimy się do niego stosować?

– Jest pewne miejsce – odezwał się Jones. – Zrujnowany młyn po drugiej stronie osady. To na pewno nie więcej niż dwie mile stąd. Pokażę wam drogę i pomogę nieść sakwy.

– Nie moglibyśmy ukryć naszych rzeczy tutaj? – spytał Ned.

– Z pewnością przeszukają dom. A poza tym obawiam się, że raczej nie będziecie mogli tu wrócić. – Jones wyszedł na korytarz, przystanął i odwrócił się do nich. Miał łzy w oczach. – Wybaczcie. Muszę pamiętać o Hannah i dziecku.

Will dotknął jego ramienia.

– Rozumiemy. I tak ogromnie ryzykowałeś.

Jones zszedł szybko na parter, Will wrócił do swojego pokoju, a Ned zapakował fajkę i zebrał kartki ze wspomnieniami o Cromwellu. Gdyby miał w pokoju

kominek, spaliłby je, ale z pewnością nie mógł ich tu zostawić i pozwolić, by wpadły w ręce wroga, nie miał więc innego wyjścia, jak je zabrać. Rozejrzał się po raz ostatni po pokoju. Wątpił, by w najbliższym czasie mogli liczyć na podobne wygody, skoro ścigało ich ośmiu ludzi. Poczuł, że jeszcze chwila, a zaczną użalać się nad sobą, potrząsnął więc głową, by odzyskać trzeźwość umysłu. Pan daje, Pan odbiera. Nie wolno mu tego kwestionować.

Kilka minut później wymknęli się przez bramę na szeroką ulicę.

Jones prowadził. W jednej ręce niósł lampę, a w drugiej sakwę Neda. Księżyc skrywał się częściowo za woalem chmury i prześwitywał przez mgliste warstwy odbitymi kręgami światła, niczym pochodnia wsunięta do studni. Wiał wiatr od morza, ale nie padało; mieli chociaż tyle szczęścia. Pokonali pół mili dzielące ich od łąki, na której stał dom modlitwy, nie napotkawszy żywej duszy; przecinając łąkę, minęli nagrobek Eatona i po chwili znaleźli się na ulicy oddzielającej północno-zachodnią część osady od północno-wschodniej. Tu i ówdzie w oknach migotały świece, lecz mieszkańcy większości domów już spali. Kiedy w końcu opuścili New Haven, mieli przed sobą jedynie ciemność, wiatr i niesamowity blask księżycy, który kładł się łagodnie na ziemi.

Szli niepewnym krokiem krętą ścieżką prowadzącą przez otwartą przestrzeń. Mniej więcej pół godziny później dotarli do lasu. W koronach drzew pohukiwały sowy; dojrzeli jedną z nich, wielką i białą, gdy przelatywała bezgłośnie nad ścieżką niczym duch. Gdzieś niedaleko szemrał strumyk. Jones przystanął i podniósł lampę.

– To tutaj.

Dopiero gdy wytężyli mocno wzrok, zobaczyli mały kamienny budynek, porzucony przed wielu laty i przywrócony częściowo naturze. Ściany porośnięte były bluszczem i jeżynami, przez rozbite okna wychylały się wysokie chwasty. Pęknięte drzwi wisiały na zawiasach, a podłogę w środku pokrywał gruz. Wiatr z jękiem przelatywał przez dziury w dachu. Jones postawił lampę i zapalił od niej drugą.

– Przykro mi, ale przynajmniej przez parę nocy nie będziecie moknąć. Wrócę w poniedziałek.

Kiedy odszedł, Ned i Will zebrali trochę zielonych gałązek i wilgotnych kawałków połamanych mebli i rozpalili ogień w palenisku. Komin musiał być jednak zatkany ptasimi gniazdami, bo pomieszczenie szybko wypełniło się gryzącym gęstym dymem. Musieli poczekać na zewnątrz, aż się rozwieje.

– Cóż za samotne, smutne miejsce. – Ned westchnął ciężko. Wyobrażał sobie, jak czają się w środku, wystawiając lufy pistoletów przez rozbite okna, podczas gdy prześladowcy okrążają ich powoli, kryjąc się za drzewami. Pomyślał, że opuszczony młyn wygląda na takie właśnie miejsce, w którym dwóch zdesperowanych wyrzutków może stoczyć swoją ostatnią walkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Tak zwana gospoda w Guilfordzie była drewnianą szopą stojącą pośrodku osady. Miała jedno pomieszczenie bez okien ze stołem i krzesłami w rogu oraz siennikami ułożonymi na klepisku. Właściciel, Goodman Bishop, cytując Księgę Wyjścia, poinformował ich z żalem, że gotowanie i podawanie jedzenia po zachodzie słońca w sobotę jest zabronione (*Pan nakazał wam szabat i dlatego w szóstym dniu dał wam pokarm na dwa dni*²³). Zostawił na stole tace z zimnym jedzeniem i dzbany z wodą i powiedział, że musi im to wystarczyć do poniedziałkowego świtu. Zobowiązał się, że wróci wtedy z parą koni, które zastąpią dwa padłe w lesie. Za wszystkie te usługi pobrał wygórowaną cenę, w całości i z góry.

Kiedy poszedł, Stewart i Mackwater rozpalili ognisko na podwórku i upiekli ostatnie ryby, które złowili dwa dni wcześniej, w stawie przy Starym Trakcie Connecticut. Podczas posiłku prawie nikt się nie odzywał. Kirke popijał z butelki brandy i nikogo nie częstował. Kiedy już zjedli, Nayler usiadł z dala od pozostałych, opierając się plecami o ścianę szopy; palił fajkę i rozmyślał. Szkoci zaczęli grać w karty. W końcu wstał i podszedł do Chapina, który siedział z Kellondem i Kirkiem.

– Jak daleko stąd do New Haven, panie Chapin?

– Szesnaście mil.

– To nie tak daleko. Gdybyśmy wyruszyli o brzasku, bez trudu dotarlibyśmy na miejsce przed południem.

– Pewnie tak – przyznał Kellond. – Ale złamalibyśmy wtedy ich zasady i nie mielibyśmy prawa przeszukać osady.

– Pistolety dadzą nam takie prawo – odparł Nayler.

– Mają tam silną straż – powiedział Kirke. – Na każdy z naszych pistoletów przypadałoby dwadzieścia należących do nich. Poza tym New Haven to właściwie

miasto, a nie osada, nie taka nędzna dziura jak ta. Od czego byśmy zaczęli?

– Od domu pastora Johna Davenporta.

– Davenport nie wpuści nas za drzwi! I jakie mamy dowody, że Whalley i Goffe kiedykolwiek tam byli?

– Na Boga, jesteście bandą słabeuszy – mruknął Nayler na tyle głośno, że Szkoci grający w karty przy ognisku podnieśli na niego wzrok.

Wstał i wrócił na swoje miejsce; znów palił fajkę, szukając jakiegoś rozwiązania, podczas gdy pozostali weszli do szopy, by ułożyć się do snu. Najgorsze było to, że cała odpowiedzialność za tę sytuację spoczywała na nim, wiedział o tym. Nie spodziewał się takiego uporu i krnąbrności tutejszych notabli. Być może sekretarz Morice miał rację: żeby załatwić tę sprawę, należałoby tu wysłać ekspedycję wojskową. Tyle że nie z pięćdziesięcioma, lecz pięciuset żołnierzami. Wzdrygnął się na myśl, że będzie musiał zameldować o porażce Hyde'owi.

Wieczorna bryza przegnała chmury. Na niebie rozbłysły gwiazdy. Ognisko zamieniło się w kupkę rozżarzonych węgli. Ciszę przerywał jedynie trzask gałązek, które rozpały się jeszcze na moment i strzelały w górę fontanną iskier, oraz chrapanie dochodzące z szopy. Nayler nie był w stanie wejść do środka. Rozłożył na ziemi płaszcz i wkrótce po północy zasnął.



Kiedy obudził się o świcie, miał już plan. Nic szczególnego, ale wolał to niż dzień wymuszonej bezczynności.

Choć raz pozwolił pozostałym pospać dłużej, do czasu, aż usłyszał bicie w bęben wzywające wiernych na pierwsze tego dnia zebranie w domu modlitwy. Wtedy zbudził swoich ludzi, dał każdemu gwoździe i po kilka ulotek i kazał im porozwieszać je w widocznych miejscach – na rogach ulic, przed sklepem, na słupku przy bramie Leete'a, wszędzie, gdzie ludzie mogli je zauważyć. Sam wziął jedną i przeszedł przez pustą osadę do domu modlitwy. Słyszając purytanów

śpiewających w środku psalm, z niemalą satysfakcją przyłożył ulotkę do drzwi, a potem przybił ją gwoździami, uderzając w nie obcasem buta.

Kiedy wszyscy członkowie wyprawy wrócili do gospody, Kellond wyjął Biblię i zaproponował, by Nayler poprowadził modlitwę.

– Nie jestem księdzem – odparł Nayler. – Niech każdy spędza czas tak, jak nakazuje mu sumienie.

Wszedł do środka i ułożył się na sienniku. Dawno już nie był w kościele. Ostatnim razem zdarzyło się to wtedy, gdy wykopywał ciało Cromwella w opactwie Westminster. Nie wierzył w Boga – purytańskiego, anglikańskiego czy katolickiego – choć nie był na tyle głupi, by się do tego przyznawać. Żeby zachować swoją pozycję w społeczeństwie, wymawiał odpowiednie słowa jak wszyscy inni. Teraz słuchał, jak Kellond zaczyna odmawiać Modlitwę Pańską, i przekonał się ze zdumieniem, że dołączają do niego wszyscy pozostali, także Szkoci, którzy jego zdaniem woleliby raczej grać w karty. Świadomość swojej wyjątkowości sprawiła Naylerowi nieoczekiwaną radość. Do diabła z tymi przesądami! Z rozbawieniem myślał o tym, jakie miny będą mieć purytanie, gdy wyjdą ze spotkania i odkryją, że ktoś złamał ich szabasowe prawo, rozwieszając ulotki. Zastanawiał się, czy religia pozwoli im je zerwać, czy też taka czynność zostanie uznana za pracę.

– *Proście, a będzie wam dane* – recytował Kellond. – *Szukajcie, a znajdziecie...*

24

Odmówiwszy modlitwy, młody rojalista wszedł do szopy.

– Nie dołączył pan do nas – powiedział z przyganą; on nie był człowiekiem wyjątkowym.

– Wolę skupiać się na zadaniu, które mam wykonać – odparł Nayler.

– I naprawdę wierzy pan, że te obietnice nagrody coś dadzą w społeczności takiej jak ta?

– A dlaczego miałbym nie wierzyć? Za tymi ponurymi twarzami i czarnym odzieniem kryją się umysły pełne żądz i chciwości, jak u wszystkich ludzi.

Chciałby pan się o to założyć? A może sumienie nie pozwala panu robić takich rzeczy w Dzień Pański?

– Wątpię, by ktokolwiek, zwłaszcza w tej kolonii, chciał zostać uznany za Judasza.

– Zgadzam się, nikt nie zechce, by inni tak o nim myśleli, dlatego przyjdzie tutaj wtedy, gdy nikt tego nie zobaczy: albo po południu, podczas drugiego spotkania modlitewnego, albo wieczorem, gdy będzie już ciemno. A może jednak nikt nie przyjdzie. Wcale nie mam pewności. Powinien pan przyjąć ten zakład.

Kellond milczał.

– Cynik z pana, panie Nayler – odezwał się w końcu i wyszedł z szopy.

Nayler drzemał. Po południu obudził go głos bębna, który który ponownie wzywał wiernych na modlitwę. Wkrótce potem usłyszał trzask otwieranej zasuwki przy furtce i głosy na podwórzu. Wstał, gdy do szopy weszli Kellond i Kirke w towarzystwie wychudzonego mężczyzny po trzydziestce, okrytego czarnymi łachmanami. Mężczyzna zdjął czarny płaski kapelusz i stojąc przy drzwiach, nerwowo miał rondo kapelusza.

– Ten człowiek mówi, że ma dla nas jakieś informacje – oznajmił Kirke.

– Jest pan mądrym człowiekiem – zwrócił się Nayler do nieznanego. – Możemy poznać pańskie nazwisko?

– Nie chce go podać – odezwał się Kellond.

Nayler pokręcił głową.

– To, niestety, konieczne – rzucił. – Jeśli mamy panu zaufać, musimy wiedzieć, kim pan jest.

Człowiek w czarnych łachmanach obejrzał się nerwowo na mężczyzn czekających na dziedzińcu.

– Ręczę honorem, że zostanie to między nami – zapewnił go Nayler.

– Dennis Crampton – powiedział tamten cicho.

– Dobrze, panie Crampton. – Nayler wysunął krzesło spod stołu. – Śmiało. Proszę usiąść i coś zjeść. Nie dano nam zbyt wiele, ale chętnie podzielimy się tym,

co mamy.

Chyba nigdy dotąd nie widział równie wygłodniałego człowieka. Czekał cierpliwie, aż gość napełni żołądek, bo chciał, żeby czuł się komfortowo w ich towarzystwie. Powoli, między kolejnymi kęsami, Crampton opowiedział im swoją historię. Urodził się w Devonie, w wieku dwudziestu lat wyemigrował do Nowej Anglii i osiadł w New Haven; ożenił się, ale nie miał dzieci, a jego bezpłodną żonę oskarżono o czary z powodu rzekomej zawiści wobec matek w osadzie; zmarła na febrę, wciąż pozostając w stanie oskarżenia („te plotki ją załamały”), a on pogubił się w życiu („szczerze to przyznaję, panowie”); na rozkaz wielebnego Davenporta został wychłostany za to, że upił się w niedzielę (czemu gwałtownie zaprzeczał), i niedawno przybył do Guilfordu w nadziei, że znajdzie tu zatrudnienie, przekonał się jednak, że tu wcale nie jest lepiej. Otarł usta rękawem.

– Bardzo potrzebuję tych pieniędzy z nagrody, panie. Dzięki nim znów stanąłbym na nogach i mógłbym opłacić podróż powrotną do Anglii.

– I będzie miał pan te pieniądze, panie Crampton – powiedział Nayler, kładąc dłoń na kościstym kolanie mężczyzny. – Dostanie je pan, jeśli zdoła pan doprowadzić nas do Whalleya i Goffe’a. No dobrze... – Wyjął notes i krótki ołówek. – Do rzeczy.

– No więc widziałem ich na własne oczy, kiedy szkolili straż w New Haven. Pułkownik Whalley powiedział wtedy, że gdyby on i Goffe mieli choćby dwustu takich ludzi, którzy staliby u ich boku, nie obawialiby się niczego ani w Starej, ani w Nowej Anglii.

– Tak powiedział?

– Widziałem, jak szkoli kawalerię, i słyszałem to na własne uszy.

Nayler kazał mu powtórzyć te słowa i zapisał je.

– Dwustu takich ludzi... Słyszeliście to? – Popatrzył na Kellonda i Kirke’a. – Planują kolejny bunt przeciwko królowi. – Odwrócił się ponownie do Cramptona. – Są jeszcze w New Haven?

– Ludzie, którzy tam mieszkają, powiedzą wam, że nie, ale ja wiem, że jest inaczej.

– Proszę mówić dalej.

– Od początku marca mieszkali przez kilka tygodni u Davenporta, a potem pojechali do Nowego Amsterdamu, żeby wsiąść na statek do Holandii, a przynajmniej tak mówiono. Ale moim zdaniem wkrótce wrócili i znów ukryli się pod jego dachem.

– Ma pan na to jakieś dowody?

– W kwietniu służący Davenporta kupili w sklepie w New Haven o wiele więcej jedzenia niż zwykle. – Crampton wyprostował się z dumą. – O całe dziesięć funtów więcej.

Nayler zanotował to.

– Więc być może nadal są u Davenporta?

– Tego nie wiem. Ale wiem na pewno, że czasami przechodzili przez ulicę do domu pana Williama Jonesa, syna królobójcy, bo widziałem ich pewnej nocy, gdy mieszkałem u Johna Thorpa. Pora była bardzo późna i nikt inny nie chodził już po osadzie.

– Widział ich pan po tym, jak rzekomo wybrali się do Nowego Amsterdamu? – Nayler pochylił się nad stołem. – Proszę mówić prawdę i tylko prawdę, bez żadnych ubarwień.

– Tak jest, widziałem ich, choć ukryli się na mój widok.

– Kiedy to było?

– Niecałe dwa tygodnie temu.

Nayler zamknął notes. Pozostawienie fałszywego tropu wydawało się przebiegłym posunięciem. Pułkownicy byli sprytni. Ale on był sprytniejszy.

– Panowie, mamy ich.

24 Mt 7, 7.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ned i Will spędzili niedzielę ukryci w zrujnowanym młynie, modląc się i czytając Biblię. Od czasu do czasu dla zabicia nudy Ned podchodził do okna, by sprawdzić, czy nikt nie czai się na zewnątrz. Pszczoły brzęczały między fioletowymi pąkami kwiatów i odlatywały, obładowane bursztynowymi grudkami pyłku. Chętnie zapaliłby fajkę, wiedział jednak, że zięć byłby temu przeciwny. Pod koniec popołudnia zaproponował, by rozprostowali nogi.

Will zmarszczył czoło z dezaprobatą.

– Przeszliśmy już dozwolone dwie mile – opowiedział. – Złamalibyśmy prawo.

– Czyje prawo? Boga czy pana Davenporta? Moim zdaniem to dwie różne rzeczy, nawet jeśli wielebny chętnie o tym zapomina.

– Teraz już bluźnisz. – Will pochylił się ponownie nad Biblią. – Idź, jeśli chcesz. Ja nie ruszam się stąd do świtu.

Przez parę minut Ned stał przy oknie, w końcu jednak wyszedł na zewnątrz, mrużąc coś pod nosem.

Will nie żył w realnym świecie, na tym polegał jego problem. Zawsze tak było. Przed oczami Neda stał obraz bladego, wychudzonego człowieka przed trzydziestką. Długie ciemne włosy i broda upodobały go do Chrystusa, gdy grzmiał z mównicy na spotkaniu armii w Putney w 1647 roku. Jego kazania, zawsze bardzo popularne wśród żołnierzy, obfitowały w wizje i przepowiednie. Miał nawet czelność pouczać generała porucznika Cromwella i wypominać mu niewłaściwe rozumienie Boga, co rozsierdziło Cromwella na tyle, że zażądał przeprosin (Will przeprosił go w obecności tłumu wiernych, i to bardzo potulnie). A Cromwell, wiedziony tym swoim dziwnym sentymentalizmem, wyraźnie go potem polubił. „Ten młody człowiek ma w sobie wielką moc Ducha”, powiedział kiedyś. Pewnie dlatego dwa lata później, niedługo po egzekucji króla, kiedy ich

pułki stacjonowały w Londynie, Ned popełnił ten błąd i zaprosił Willa po kościele na obiad. Frances – wtedy zaledwie szesnastoletnia – przez całe popołudnie robiła słodkie oczy do przystojnego oficera. Katherine uważała, że to całkiem dobra partia, a gdy młody pułkownik poprosił o rękę Frances, Ned, który wolałby nie mieć za zięcia członka sekciarskiej wspólnoty religijnej, zwanej Piątą Monarchią, która wierzyła w Drugie przyjście, zgodził się na to małżeństwo, pod warunkiem że poczekają dwa lata, aż dobiegnie końca kampania przeciwko Szkotom. Los sprawił, że teraz, dziesięć lat później, to nie Frances była skazana na jego towarzystwo, lecz jej ojciec, i to prawdopodobnie do końca życia!

Przeszedł kawalek ścieżką, a potem zbieżył w dół do strumienia. Zdjął buty, podwinął nogawki i stał w wodzie, sycąc się spokojem lasu, żywicznym zapachem sosen, gruchaniem gołębi, łagodnym pluskiem wody obmywającej kamienie. Nad powierzchnią krążyły muszki, niczym drobiny kurzu wirujące w smudze słonecznego światła; od czasu do czasu ryby wypływały na powierzchnię, by schwytać jętkę. Głupstwem było pozostawanie w tym miejscu, odległym o niecałą godzinę marszu od New Haven, gdy całkiem niedaleko obozowali wrogowie. Powinni przynajmniej przejść na wzgórza, od których dzieliła ich niecała mila; stamtąd dzięki przewadze wysokości mogliby obserwować poczynania ludzi przybyłych z Bostonu. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wybrać się tam samemu, ale takie rozwiązanie oczywiście nie wchodziło w grę – zawstydzził się, że w ogóle przyszło mu to do głowy.

Przysiadł na brzegu strumienia, poczekał, aż wyschną mu stopy, i wrócił do młyna. Jego zięć wciąż był naburmuszony, nie zamienili więc ani słowa, a po zmierzchu ułożyli się do snu.



W poniedziałek o świcie Goodman Bishop, właściciel gospody w Guilfordzie, zgodnie z obietnicą przyprowadził dwa świeże konie, za które Nayler zapłacił wcześniej, i godzinę później byli już w drodze. Crampton nie chciał z nimi jechać, ale Nayler był nieugięty; ten człowiek musiał im wskazać domy Davenporta

i Jonesa, więc jeśli do nich nie dołączy, może zapomnieć o nagrodzie. Nayler upomniął go szorstko, by przestał się skarżyć, i kazał mu usiąść za Mackwaterem, najdrobniejszym ze Szkotów.

Ścieżka wiła się przez las, w którym rosły głównie sosny i dęby karłowate; między drzewami po prawej prześwitywał ocean. Raz po raz musieli pokonywać strome zbocza i płytkie strumienie i objeżdżać jeziora ze słoną wodą. Minęli dwie duże indiańskie osady, gdzie tłumy tubylców stały na brzegu, obserwując zarzucanie sieci. Około dziewiątej po drugiej stronie ujścia rzeki zobaczyli zatokę New Haven. Stracili pół godziny, czekając na prom, i gdy tylko znaleźli się po drugiej stronie rzeki, ustawili się w szyku, wyjęli broń i ruszyli szybkim kłusem w stronę osady, a właściwie już miasta. Ludzie przyglądali się im z zaniepokojeniem. Kiedy dotarli do pierwszego rogu ulicy, Crampton poprosił, by się zatrzymali. Zsiadł z konia i podszedł do Naylera.

– To jest dom Davenporta – powiedział, wskazując na dużą rezydencję zwróconą frontem ku zatoce. – A tamten większy w głębi ulicy należy do Jonesów. Mogę już dostać pieniądze?

– Dostanie pan nagrodę, gdy zdrajcy będą martwi lub zakuci w kajdany. Proszę tu poczekać i popilnować koni. Pan także, panie Chapin.

Nayler zeskoczył na ziemię i podał Cramptonowi wodze. Pozostali również zsiadli z wierzchowców i zgromadzili się wokół niego. Przyjrzał się rozległym posiadłościom. Dobry Boże, nieźle się powodziło tym bogatym purytanom: żyli jak lordowie.

– Jak myślicie, od którego zaczniemy? – zwrócił się do swoich ludzi.

– Nie potrzebujemy nakazu od gubernatora, zanim przystąpimy do przeszukania? – spytał Kellond.

– Nie możemy na niego czekać.

– Dom Davenporta jest bliżej – zauważył Kirke.

Nayler skinął głową. Był to powód równie dobry jak każdy inny.

– W takim razie najpierw Davenport. Panie Stewart i panie Ross, zajmijcie, proszę, pozycję z tyłu domu i pilnujcie, żeby nikt nie uciekł, dobrze?

Odwiódł kurek pistoletu.

Trzymając szpadę w lewej ręce, a pistolet w prawej, poprowadził Kellonda, Kirke’a, Mackwatera i Agnew przez drogę, a potem przez bramę. Serce waliło mu jak młotem, ale, o dziwo, był całkiem spokojny.

– Kapitanie Kirke, zechce pan zapukać? – powiedział, zatrzymując się przed drzwiami. Cofnął się o krok i wycelował w wejście.

Kirke załomotał rękojeścią pistoletu w ciężkie, nabijane ćwiekami drzwi. Minęła dłuższa chwila i nikt się nie pojawił, Nayler kazał mu więc je otworzyć.

Gdy kapitan wykonał polecenie, Nayler przecisnął się obok niego i wszedł pierwszy, trzymając palec na spuście. Był tak podekscytowany – tak pewny, że w końcu dopadł królobójców – że omal nie wystrzelił do ubranego na czarno człowieka idącego na dół po schodach. W ostatniej chwili zorientował się, że to pastor, i opuścił broń. Wbiegł na schody, przesadzając po dwa stopnie naraz. Davenport wrzeszczał coś z oburzeniem, lecz Nayler odepchnął go na bok. Dotarł na piętro i ruszył szybko korytarzem; otwierał drzwi po obu stronach. W pierwszym pokoju zobaczył starszą kobietę z wystraszoną bladą twarzą, w następnym młodego mężczyznę w koszuli nocnej. Pozostałe pomieszczenia wyglądały na puste. Zajrzał jednak do każdego z nich i sprawdzał nawet, czy nikt nie ukrywa się pod łózkami. Zawrócił i stanął u szczytu schodów. Owca

– Co u pana, panie Kellond?! – zawołał.

– Na dole czysto, panie Nayler! – odkrzyknął Kellond z parteru.

Nayler złapał za łokieć Kirke’a, który wszedł z nim na górę, i odwrócił go twarzą do siebie.

– Jesteśmy w niewłaściwym domu – powiedział.

Popędzili na dół, minęli Davenporta, który klęczał w holu ze złożonymi rękami i modlił się głośno, i wypadli na dziedziniec. Potrzebowali niecałych dwóch minut, by dotrzeć do domu Jonesów. Tym razem Nayler nie bawił się w takie subtelności

jak pukanie, lecz od razu otworzył drzwi. Ruszył na górę, a Kirke i Mackwater za nim. Na piętrze nikogo jednak nie było i Nayler czuł, jak z każdym krokiem rozwiewają się jego nadzieje. Znalazł tu to samo co u Davenportów – puste pokoje i łóżka, żadnych dowodów obecności królobójców, być może z wyjątkiem jednego pomieszczenia, w którym unosił się niepasujący do tego miejsca, ledwie wyczuwalny zapach tytoniu. Zaciskając zęby z frustracją, zszedł na dół. Zastał tam dwoje starszych ludzi i kobietę w zaawansowanej ciąży, do których Agnew mierzył z pistoletu. Ross i Stewart nadeszli z przeciwnej strony holu.

– Znaleźliście coś? – spytał Nayler.

– Tylko tych troje – odparł Stewart.

Nayler odwrócił się do ciężarnej kobiety.

– Gdzie jest William Jones?

– Nie ma go w domu – odpowiedziała drżącym głosem.

– To widzę. Gdzie jest?

Jęknęła i osunęła się po ścianie. Gdyby kierowany odruchem Nayler nie złapał jej w ostatniej chwili, runęłaby na kamienną podłogę.



W tym samym momencie Jones pędził bez tchu przez las, jakby sam Belzebub deptał mu po piętach.

Ned, który siedział na rozłożonym płaszczu we wnętrzu młyna i ostrzył nożem patyk, usłyszał trzask łamanych gałęzi.

On i Will sięgnęli po pistolety, lecz nim zdążyli się zerwać, w drzwiach stanął Jones. Czerwony na twarzy, zdyszany, z trudem wydobywał z siebie słowa:

– Przyszli po was. – Oparł się o futrynę, potem zgiął się wpół i łapał gwałtownie powietrze. – Poszli do Davenportów.

– Czy ktoś widział, jak tutaj szedłeś? – spytał Ned.

– Nie wiem. Chyba nie.

Pułkownicy podnieśli sakwy.

– Dokąd teraz? – spytał Will.

– W góry – odparł Ned. – Nie ma innego wyjścia. – Potem zwrócił się do Jonesa: – Dziękujemy za ostrzeżenie. Powinieneś wracać, zanim zauważą, że cię nie ma.

– Niedaleko stąd mieszka farmer, którego dobrze znam.

– Możemy mu zaufać?

– Chyba tak. Zaprowadzę was do niego.

Teraz naprawdę mamy się czego bać, pomyślał Ned, gdy wyszli w pośpiechu na ścieżkę. Tak właśnie skończymy: przenosząc się z miejsca na miejsce, prosząc o pomoc obcych ludzi. Ale co nam pozostało?

Robiło się coraz cieplej. Zmuszeni do wspinaczki po stromym zboczu, obarczeni bronią i sakwami, wkrótce zaczęli się obficie pocić. Po chwili ujrzeli przed sobą chatę z kamienia i rąbiącego drewno mężczyznę w białej koszuli. Rytmiczne uderzenia siekiery mieszały się ze stukaniem dzięciołów i śpiewem ptaków.

– Poczekaście tu, porozmawiam z nim – powiedział Jones.

Ned odstawił sakwę, po czym z ulgą osunął się na ziemię i wyprostował nogi. Spojrzał przez ramię na ścieżkę, którą przyszli. Wiła się między drzewami i niknęła za zboczem. Nasłuchiwał uważnie, ale nie wyłapał niczego, co mogłoby sugerować, że podąża za nimi pościg.

– Głowa do góry. Bywaliśmy już w gorszych opałach – pocieszył go zięć.

– Tak uważasz? W takim razie chętnie się dowiem, kiedy to było.

Will parsknął śmiechem, a po chwili Ned też zaczął się śmiać. Leżał na ziemi, wystawiając twarz do słońca, zadowolony, że przynajmniej są na otwartej przestrzeni. Zastanawiał się, kim są ci ludzie, którzy podążają ich śladem. Dobry Boże, jeśli ma umrzeć, to chciałby przynajmniej kilku z nich zabrać ze sobą.

Jones wrócił z farmerem. Mężczyzna miał około czterdziestu lat. Spod zakasanych rękawów wyzierały umięśnione brązowe ramiona. Prawe przedramię

przecinała długa blizna, ciągnąca się od łokcia do nadgarstka. Wyglądało na to, że brał udział w prawdziwych walkach. Pułkownicy wstali.

– To jest Richard Sperry – przedstawił go Jones. – Richardzie, to są przyjaciele, o których mówiłem.

Sperry skinął głową, ale nie podał im ręki.

– Richard pokaże wam miejsce, w którym będziecie się mogli schronić – powiedział Jones. – Wróć do was, gdy tylko będę mógł.

Uściskał obu po kolei i rzuciwszy „Niech Bóg będzie z wami”, popędził do New Haven.

– Jesteśmy... – zaczął Will, lecz Sperry przerwał mu bezceremonialnie.

– Wiem, kim jesteście. Lepiej o tym nie rozmawiajmy. Im mniej wiem, tym mniej będę musiał kłamać.

Odwrócił się i ruszył w drogę. Ned i Will zarzucili sakwy na ramiona i poszli za nim na podwórze gospodarstwa. Sperry zabrał stamtąd siekierę i ciężki zwój liny i poprowadził ich ścieżką, która pięła się po stromym zboczu. Gdy uszli około mili, raptownie skręcił w mrok lasu. Słyszeli dziwny grzmiący dźwięk, który stopniowo przybierał na sile, i w końcu zobaczyli między drzewami wodospad. Woda spadała z wysokości dobrych czterdziestu stóp, z krawędzi rdzawego klifu, i tworzyła na dole staw zasilający strumień.

– Zostańcie tu – powiedział Sperry.

Zarzucił sobie zwój liny na szyję, zatknął siekierę za gruby skórzany pas i zaczął się wspinać na urwisko. Przenosił ciężar ciała z miejsca na miejsce, szukając punktów podparcia dla stóp i dłoni. Ned przyłożył dłoń do czoła, osłaniając oczy przed słońcem, i śledził jego postępy.

– Wielkie nieba – mruknął. – Czy on chce, żebyśmy poszli za nim?

Sperry dotarł do szczytu i zniknął za krawędzią. Chwilę później ukazał się i zaczął spuszczać linę.

– Zacznę od sakw! – krzyknął w dół.

Przywiązali najpierw sakwę Neda; szybko wędrowała w górę, objając się o skalne ściany. Kiedy farmer wciągnął drugą, krzyknął do Willa, by obwiązał się liną w pasie.

– Nie obawiaj się, trzymam cię! – dodał.

Ned wolał na to nie patrzeć, potem jednak pomyślał, że powinien, by wiedzieć, jak to robić. Jego zięć nie szukał ostrożnie punktów podparcia, lecz ruszył prosto w górę; odchyłał się od ściany urwiska, trzymając mocno linę i idąc po skale jak po ziemi. Gdy poślizgnął się tuż pod szczytem, Ned krzyknął, przekonany, że zięć spadnie. Lina jednak wytrzymała i Will, który zawisł na moment nad przepaścią, odchylił się ponownie do tyłu i dokończył wspinaczkę.

Sperry ponownie opuścił sznur. Ned był pewien, że nie zdoła się wspiąć na szczyt. Wolał już chyba umrzeć, walcząc z pogonią, niż rozbić się o skały.

– Nie, nie dam rady. Jestem za stary, za ciężki! – zawołał.

– Przytrzymamy cię! – odkrzyknął Will. – Jeśli będziesz dobrze obwiązany, nie spadniesz.

– Śmiało, pułkowniku! – zawołał Sperry. – Walczyłem pod Marston Moor. Skoro potrafił pan pobić króla, to poradzi pan sobie z kawałkiem skały.

Weteran, pomyślał Ned. To tłumaczyło bliznę – prawdopodobnie pozostałość po ranie zadanej piką. To zmieniało postać rzeczy. Nigdy nie stracił twarzy przed swoimi ludźmi i nie zamierzał dopuścić do tego teraz.

Obwiązał się liną w pasie, zabezpieczył ją trzema węzłami i poczuł, jak się napina. Ujął ją w obie dłonie, podciągnął się i zaczął się wspinać. Co trzeci albo czwarty krok podeszwy butów ślizgały się na gładkiej skale, lecz dzięki temu, że mocno odchyłał się do tyłu, udawało mu się utrzymać styczność z podłożem. Najgorsza była ostatnia część, gdzie wiatr smagał go nad przepaścią. Ned popełnił błąd, spoglądając w dół, co omal nie skończyło się tragedią. Zamknął jednak oczy i przeszedł kilka ostatnich kroków. Will wychylił się do przodu, chwycił go za nadgarstek i wciągnął za krawędź urwiska.

Ned odczołgał się od skraju przepaści, wstał, otrzepał płaszcz i rozejrzał się. Byli na skalnej półce o szerokości około trzydziestu kroków, ciągnącej się w obie strony niczym droga usłana krzewami, małymi drzewami i głazami – to do jednego z nich Sperry przywiązał linę. Za nimi wznosiła się kolejna skalna ściana, przecięta szczeliną szerokości człowieka i dwukrotnie wyższą; wyglądała tak, jakby prowadziła do jaskini. Do krystalicznie czystego stawu wpadała kaskada wody. Poniżej rozciągał się wspaniały widok na las, równinę z wyraźnie widoczną siatką ulic New Haven, zatokę oraz sięgający horyzontu ocean.

– Jaskinia jest sucha, choć kiedy wieje od oceanu, jest dość wietrzno. Jest tu ścieżka prowadząca na górę, ale trudno ją znaleźć. Powinniście być tu bezpieczni.

– Schronienie, woda, widok – powiedział Ned. – Idealne miejsce.

– Zostawię wam linę, a później przyślę syna z jedzeniem w koszyku, który będziecie mogli wciągnąć. Nie pokazujcie się, lepiej, żeby was nie widział.

Sperry wyraźnie chciał już odejść. Nim zdążyli mu podziękować, już zsuwał się w dół liny.

– To nam w zupełności wystarczy – stwierdził Ned. – Przynajmniej na parę dni... albo nawet dłużej, jeśli będzie trzeba. – Wspiął się na głaz. – Mamy tu świetny punkt obserwacyjny.

Rozłożył lunetę i skierował ją na New Haven. Grupki postaci przesuwały się ulicami w stronę południowo-wschodniego krańca osady, gdzie mieszkali Davenport i Jones. Przyglądał im się przez chwilę, próbując odgadnąć, co się tam właściwie dzieje, choć nie miał wątpliwości, że nic dobrego.



Jeszcze przed południem misja Naylera ugrzęzła w różnego rodzaju trudnościach i sytuacja, zamiast coraz lepiej, wyglądała coraz gorzej.

Hannah Jones odeszły wody i zaczęła rodzić, więc wyniesiono ją na piętro. Po osadzie rozeszła się wieść, że doszło do jakiejś zbrodni, a na dziedzińcu domu Jonesów zgromadziło się co najmniej dwudziestu mieszkańców miasta – w tym

kilku uzbrojonych w przydziałowe szpady i pistolety. Davenport prowadził modlitwę na ulicy, błagając Boga, by chronił matkę, dziecko i społeczność. *I uczynią Mi święty przybytek, abym mógł zamieszkać pośród was*²⁵.

Pośrodku całego tego zamieszania do New Haven przybył gubernator Leete z ponurym członkiem rady kolonii – Josephem Crane’em z pobliskiej osady Branford – i domagał się gniewnie wyjaśnień.

Nayler stał z Kellondem, Kirkiem i resztą grupy poszukiwawczej przy drodze – Crampton zniknął – na rogu między domami Jonesa i Davenporta. Kazał im odłożyć broń, by nie prowokować miejscowych. Próbował udobruchać Leete’a.

– Dotarły do nas informacje, że Whalley i Goffe przebywali w jednym z tych domów. Musieliśmy działać szybko, by to sprawdzić.

– Nie mieliście pozwolenia władz kolonii.

– Czy władza króla nie jest uznawana w tej części jego posiadłości? Naprawdę, panie Leete, muszę powiedzieć, że zrobił pan wszystko, co w pańskiej mocy, by nam przeszkodzić.

– Robiłem tylko to, co nakazuje mi prawo tej kolonii.

Davenport, który podszedł bliżej, by przysłuchać się ich rozmowie, dodał:

– Jedyną władzą w New Haven jest Bóg.

Nayler już go przejrzał: w jednej chwili świętoszkowaty, w następnej władczy, najgorszy rodzaj dwulicowego religijnego despoty. Stracił cierpliwość.

– Czy zaprzeczy pan, że pod pańskim dachem mieszkali królobójcy? Nie może pan zaprzeczyć! Wie o tym cała osada. Szkolili straż i nawoływali do buntu.

– Istotnie, zatrzymali się u mnie na krótki czas – przyznał Davenport. – I gdyby zechciał pan mnie potraktować z należytą uprzejmością, wszystko bym wyjaśnił. Nie miałem pojęcia o nakazie aresztowania tych ludzi, a nim się dowiedziałem, już stąd wyjechali.

– Żeby wsiąść na statek w Nowym Amsterdamie?

– Tak powiadają. Widziano ich w Milfordzie, w drodze do Nowych Niderlandów.

– Tak powiadają?! Co to za odpowiedź? Ci ludzie są poszukiwani za zamordowanie króla. – Nayler odwrócił się do Leete’a. – Domagam się prawa przeszukania tej osady.

– Nim będę mógł wydać taki nakaz, muszę uzyskać zgodę pana Crane’a, który jest tu ze mną, oraz dwóch innych członków rady kolonii, pana Gilberta z New Haven oraz pana Treata z Milfordu – odpowiedział Leete.

– A gdzie oni są?

– Posłano po nich.

– Doprawdy, w tej kolonii jest więcej członków rady niż mieszkańców. – Nayler spojrzał nad ramieniem Leete’a na mężczyznę, który szedł pospiesznie ulicą od północnej strony miasta. Był chyba kimś znaczącym, bo ludzie zdejmowali przed nim kapelusze, mówili coś do niego, klepali go po ramieniu. – Kim jest ten człowiek?

– To William Jones, którego żonę tak okrutnie pan potraktował – wyjaśnił Davenport.

– Jones? Syn królobójcy? A gdzie on był przez cały ten czas? – Nayler odłączył się od grupy i ruszył ulicą. – Panie Jones! Chciałbym zamienić z panem kilka słów, jeśli można.

Jones przystanął przy furtce swojej posesji.

– Najpierw porozmawiam z żoną – oświadczył Jones.

Z wnętrza domu dobiegł płacz dziecka. Obaj spojrzeli na otwarte okno na piętrze. Nayler poczuł nieoczekiwaną ulgę. Nie chciał mieć na sumieniu śmierci matki albo dziecka – byłaby to gorzka ironia losu. Pochwycił Jonesa za ramię.

– Nalegam, by odpowiedział pan na moje pytania teraz.

– Nie ma pan żadnego prawa mnie do tego zmuszać – odparł Jones.

Wyrwał się człowiekowi, którego nie znał, i zniknął we wnętrzu domu. Kiedy Nayler próbował pójść za nim, drogę zastąpiło mu dwóch krzepkich mężczyzn w strojach purytanów. Odwrócił się i przywołał Kellonda oraz Kirke’a.

– Ten Jones, którego ojca schwytalem i powiesilem zeszlego lata, wlasnie wyprowadzil stad krolobojcow – powiedzial. – Jestem tego pewien.

– Przeciez przeszukalismy jego dom – przypomniał mu Kirke. – Nie znaleźliśmy niczego podejrzanego. Jak mogliby się wyprowadzić tak szybko?

– Być może wynieśli się stąd, gdy my czekaliśmy w Guilfordzie, a kiedy zjawiliśmy się tutaj, poszedł ich ostrzec i właśnie wrócił. – Nagle Nayler zrozumiał, jak to musiało wyglądać. – Ten ich zakaz podróżowania w niedzielę pewnie odnosił się także do Whalleya i Goffe’a, prawda? Nie wolno im było odejść dalej niż na dwie mile. Jones przyszedł z północy. – Spojrzał na urwiska za miastem. – Tam są. Czuję to w kościach. Panie Chapin! – zawołał do przewodnika. – Zna pan te wzgórza?!

– Trochę.

– Proszę nas tam zaprowadzić.

– A osada? – spytał Kellond. – Nie będziemy jej przeszukiwać?

– Tu musi być co najmniej sto domów, a nas jest tylko ośmiu – odparł Nayler. – Zajęłoby to nam kilka dni, i tak niczego byśmy nie znaleźli, a ci, których ścigamy, przez ten czas siedzieliby tam, na górze, i śmiali się z nas. – Nie mógł znieść myśli, że ci podli ludzie będą z niego szydzić, że go pokonają. Czuł, jak krolobojcy wymykają mu się z rąk. Zawołał do Szkotów: – Na konie! Jedziemy dalej!

Kiedy czterej mężczyźni ruszyli do swoich wierzchowców, Leete podszedł do Naylera, by go powstrzymać.

– Nie wolno wam prowadzić przeszukiwań, dopóki nie porozmawiam z pozostałymi członkami rady.

– Niech pan z nimi rozmawia, a ja po powrocie do Londynu porozmawiam z Tajną Radą – zapowiedział Nayler. – Wtedy przekonamy się, kto ma władzę w tej kolonii.

Wskoczył na konia, dźgnął go piętami i ruszył ulicą. Pozostali pojechali za nim. Miejscowi stojący przed domem Jonesów próbowali ich zatrzymać, lecz Nayler pogalopował prosto na nich, rozrzucił ich na boki jak kule bilardowe i już bez

przeszkód pędził w stronę domu modlitwy i drogi prowadzącej ku odległym góróm.



Ned, który wciąż obserwował okolicę przez lunetę, zauważył grupę jeźdźców przejeżdżających przez osadę. Patrzył na nich, dopóki nie zniknęli w lesie, i wtedy opuścił lunetę.

- Naliczyłem ośmiu ludzi, bez wątpienia jadą w naszą stronę.
- Mało prawdopodobne, żeby nas tu odkryli – powiedział Will.
- Mimo wszystko... – Ned zsunął się niezdarnie z głązu. – Powinniśmy wciągnąć linę i schować sakwy.



Chapin jechał kawałek przed innymi. Co jakiś czas zsiadał z konia, by przyrzeć się ścieżce, a pozostali zatrzymywali się i obserwowali, jak dotyka liści i gałązek albo przysuwa twarz do ziemi. Za każdym razem podnosił wzrok i kręcił głową. Zatrzymał się ponownie przy zrujnowanym młynie i wszedł do środka.

- Ktoś palił tu ognisko – oznajmił, wychodząc.
- Kiedy? – spytał Nayler.
- Popiół jest zimny. Trudno powiedzieć.
- Myśli pan, że ujechaliśmy już dwie mile?
- Tak, coś koło tego.

Nayler zdjął kapelusz i otarł pot z twarzy. Poczł ukłucie komara na szyi i uderzył się w to miejsce, a potem spojrzł na otwartą dłoń, czarną kropkę rozgniecionego owada na czerwonej smudze jego krwi. Wytarł ją w nogę.

- Więc mogli zatrzymać się tu na niedzielę i wyruszyć dalej dziś rano – powiedział. – Na Boga, jesteśmy tylko dwie albo trzy godziny za nimi, mógłbym przysiąc, że czuję ich zapach.

Ruszyli w dalszą drogę. Kiedy dotarli do domu Sperry'ego, Nayler zeskokczył z konia, wyciągnął pistolet, podszedł do drzwi i zapukał. Otworzyła kobieta z niemowlęciem na rękach, a drugie dziecko czepiało się jej spódnicy. Wydawała się posepna i zmęczona; w jej brązowych włosach lśniły pasma siwizny.

– Jest gospodarz? – spytał Nayler.

– Poluje z naszym synem.

– Nazywam się Nayler. Jesteśmy przedstawicielami Korony i tropimy przestępców. Pozwoli pani, że obejrzę dom i sprawdzę, czy nic pani nie grozi?

Nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka. Mackwater i Kellond podążyli za nim, podczas gdy Kirke i pozostali Szkoci ruszyli w stronę zabudowań gospodarczych. Przeszukanie trwało bardzo krótko. Nie znaleźli niczego prócz oznak ciężkiego życia – proste meble własnej roboty, drewniane talerze, pobielone ściany. Na kołku po drugiej stronie drzwi wisiał stary skórzany płaszcz, jaki nosili żołnierze Cromwella. Nayler wziął między palce grubą bawołą skórę.

– Pani mąż walczył pod Cromwellem?

Kobieta milczała.

– Jak on się nazywa?

– Richard Sperry.

Nayler zanotował nazwisko i wrócił do pozostałych.

– Przejeżdżali tędy – rzucił. – Musieli, jeśli chcieli dostać się wyżej. Ten farmer walczył w armii Cromwella. Przypuszczam, że im pomaga. – Jego towarzysze mieli sceptyczne miny. Widział, że są już zmęczeni i zniechęceni. – Głowy do góry, chłopcy! Musimy jechać dalej. Panie Chapin, proszę ruszać.

Wspinali się mozolnie ścieżką za przewodnikiem. Dzień był coraz gorętszy, stromizna coraz większa, komary coraz natrętniejsze. Nayler miał wrażenie, że spokojny las drwi sobie z niego. Chapin już nie przystawał ani nie szukał wskazówek. Niebezpieczna wąska ścieżka wijąca się wzdłuż krawędzi klifu prowadziła ich na zachód i w końcu wjechali na szczyt górskiego grzbietu.

W dole rozpościerała się równina New Haven. Nie czekając na polecenie Naylera, wszyscy zeszli z koni, ułożyli się w cieniu dębów i podawali sobie tykwę z wodą. Nayler pomyślał, że zachowują się bezczelnie, może nawet buntowniczo. Sam również zsiadł z konia, ale nie położył się ani nie usiadł.

– Cóż, panie Nayler, jesteśmy na szczycie, jak pan sobie życzył – powiedział Kirke. – Co pan teraz zamierza?

– Odpocząć chwilę, a potem kontynuować.

Kirke spojrzął na pozostałych, jakby szukał u nich wsparcia, po czym zwrócił się do Naylera:

– W jakim celu, jeśli wolno spytać? Mógłby pan tu sprowadzić całą armię na tydzień, a i tak niczego by nie znaleźli.

– Nie tak powinien wyglądać duch naszej wyprawy, kapitanie. Mamy zadanie i musimy je wykonać.

– Jasne, ale wygląda na to, że szukamy wiatru w polu.

– Zgadza się – wtrącił się Stewart, kowal ze Springfield.

Pozostali Szkoci pokiwali głowami.

– Jeśli nasi poszukiwani żyją w dziczy – kontynuował Kirke nieco bardziej wyzywającym tonem – to schwywanie ich jest całkiem innym zadaniem niż to, które przedstawił nam pan w Bostonie, właściwie niemożliwym do wykonania. – Rozległy się pomruki poparcia. – Czy nie rozsądniej byłoby wrócić do New Haven, rozdać ulotki, zgromadzić jak najwięcej informacji, a potem pojechać śladem królobójców do Nowego Amsterdamu? Davenport mówił, że widziano ich w Milfordzie. To powinien być nasz następny cel.

– Tyle że to bez wątpienia fałszywy trop – powiedział Nayler. – Gdyby rzeczywiście chcieli wsiąść na statek płynący do Holandii, zrobiliby wszystko, żeby zachować to w sekrecie. A tymczasem opowiedzieli o swoich zamiarach całej osadzie, a potem postarali się, żeby widziano ich w Milfordzie. – Wydawało mu się to tak proste, tak oczywiste, że nie mógł pojąć, jakim cudem tego nie dostrzegają. –

Może pan dać się wodzić za nos, kapitanie Kirke, jeśli taka pana wola, ale ja będę ich szukał tutaj.

Popełnił błąd, mówiąc to, i natychmiast tego pożałował. Był jednak zgrzany i zirytowany, a do tego bolała go noga, więc zbyt późno uświadomił sobie, że w ten sposób pozwolił im zaniechać poszukiwań.

– Doskonale – rzucił Kirke, z kupieckim sprytem wykorzystując dobrą okazję, nim druga strona się wycofa. – To właśnie zrobimy, jeśli wszyscy pozostali się zgadzają.

Zgadzali się – nawet młody Kellond, najbardziej posłuszny z nich wszystkich; nawet uparty Chapin przyznał z żalem, że jego zdaniem idą niewłaściwym tropem.

Kiedy dosiedli koni, by ruszyć do New Haven, Kirke zawołał z siodła:

– Spotkamy się z panem później w osadzie, panie Nayler! Albo w drodze do Nowego Amsterdamu, jeśli zechce pan za nami pojechać! Jeśli nie, będziemy czekać na pana w Bostonie! Z Bogiem!

Nayler usiadł w cieniu, objął głowę dłońmi i słuchał, jak się oddalają; docierało do niego rżenie koni, stukot kamieni osuwających się po zboczu, pomruk rozmów. Potem zamknęła się nad nim cisza górskiego szczytu. Poczł się nagle ogromnie samotny i opuszczony. Musiał wyteńczyć całą siłę woli, by nie pojechać za nimi.

No i dobrze, został sam.

Wstał, sprawdził pistolet, zatknął go za pas, dosiadł konia i ruszył powoli wzdłuż grzbietu. Co jakiś czas przystawał, by wyjąć lunetę i sprawdzić, czy nic się nie dzieje pod urwiskiem. Poruszał się ostrożnie, świadomy, że gdyby dzięki jakiemuś niezwykłemu łutowi szczęścia znalazł królobójców, będą mieli nad nim przewagę. Mimo to nie bał się. Śmierć go nie przerażała; wyobrażał sobie, że kiedy nadejdzie ten moment, być może przyjmie go z ulgą.

Dotarł do źródła, z którego wypływał strumień, i przystanął, by napić konia. Zeskoczył na ziemię i zaczerpnął dłońmi zimnej czystej wody. Napił się, a potem ochlapał twarz i polał głowę. Strumień pokonywał niewielką odległość, a potem

przelewał się przez krawędź urwiska. Nayler podszedł do tego miejsca i spojrzał w dół na szeroką skalną półkę, gdzie woda wpadała do stawu.

Po chwili zastanowienia uwiązał konia do dębu karłowatego, po czym zaczął się przeciskać między kamieniami i krzewami, aż znalazł obiecujące miejsce. Usiadł, powoli zsunął się z krawędzi i kiedy stopy zawisły w powietrzu, obrócił się i zaczął schodzić. Kilka minut później opadł na półkę.

Wyjął pistolet zza pasa, odciągnął kurek i ruszył naprzód. W skale widniała szeroka szczelina, częściowo przesłonięta krzewami. Najpierw minął ją, bo uznał, że to jedynie płytkie pęknięcie, potem jednak zawrócił. Szczelina była głębsza, niż przypuszczał, lecz wąska – musiał obrócić się bokiem, by się w nią wcisnąć. Przesuwał się powoli, odwracając głowę do wyjścia i ocierając pierśmi o skałę. W końcu otwór nieco się poszerzył i Nayler znalazł się w skalnym korytarzu, choć niewiele mógł w nim dojrzeć. Korytarz skręcał w prawo i gdy Nayler zrobił kilka kroków w tę stronę, nie widział już nic. Sklepienie musiało być wysokie, bo kiedy wyciągnął rękę w górę, nie dosięgnął go. Stał w bezruchu, nasłuchując. Cisza była równie głęboka jak ciemność.

Trzymając pistolet w wyciągniętej ręce i mierząc w pustkę, zrobił kilka kolejnych kroków. Nie czuł już blisko siebie skalnych ścian, jakby nagle otoczyła go nieograniczona przestrzeń. Przystanął i wyteżył słuch, ale słyszał jedynie bicie własnego serca. Obrócił się powoli wokół własnej osi. Czuł się kompletnie dezorientowany, rzucony w pustkę. Nagle zabrakło mu tchu. Umarłem i jestem w grobie, pomyślał. Och, Saro, Saro, oszalałem i oto gdzie mnie przywiódł obłąd.

Wymachując rękami, rzucił się w panice tam, gdzie – jak mu się wydawało – jest ściana. Uderzył w nią ramieniem, przywarł do niej na chwilę, by odzyskać panowanie nad sobą, a potem zaczął się przesuwać wzdłuż skały za róg, z powrotem do wyjścia i oślepiającej smugi światła.

Za nim, po drugiej stronie jaskini, w kompletnych ciemnościach stali dwaj pułkownicy, wciąż trzymając gotowe do strzału pistolety.

25 Wj 25, 8.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wejście na szczyt urwiska zajęło Naylerowi znacznie więcej czasu niż zejście na półkę. Musiał wspinać się na skalną ścianę niczym pająk, wyszukując punktów podparcia dla stóp, wciskając czubki butów w wąskie szczeliny i chwytając się wystających korzeni, które czasami zostawały mu w rękach. Jego atutem była jednak siła górnej części tułowia, ramion i barków zapaśnika; równoważyły słabość nie całkiem sprawnej nogi, więc w końcu, ociekając potem, dotarł na szczyt. Przez chwilę siedział tam w bezruchu, by złapać oddech, a potem wstał, odwiązał konia i wgramolił się na siodło. Wydawało się, że klacz zna drogę powrotną, bo sama niosła go wzdłuż szczytu, a potem w dół stromej ścieżki i przez las. Nayler nawet nie zauważył domu Sperry'ego ani zrujnowanego młyna, które mijał po drodze. Niczym gęsta mgła otaczała go czarna jak noc melancholia.

Nim dotarł do New Haven, słońce zbliżało się do horyzontu; cień domu modlitwy kładł się długą smugą na trawniku. Spytał o drogę do gospody mijaną parę, która trzymając się pod rękę, spacerowała, by zaczerpnąć chłodniejszego powietrza.

Tak jak przypuszczał, jego ludzie siedzieli w sali na parterze, pijąc wino albo piwo.

– Pan Nayler! – zawołał kapitan Kirke, podnosząc kielich. – Dobrze się pan bawił? – Jego twarz wykrzywił szyderczy uśmiezek.

– Przeszukaliście miasto? – Ludzie dobrze znający Naylera natychmiast zwróciliby uwagę na śmiertelnie spokojny ton jego głosu.

– Ciągle nie mamy na to pozwolenia. – Kapitan upił łyk wina.

– Doprawdy?

– Owszem.

– Myślę, że dość już pan wypił – powiedział Nayler.

- Będę pił tyle, ile zechcę.
- Nie kiedy ja za to płacę.

Nayler podszedł do kapitana i spokojnie wytrącił mu kieliszek z ręki. Kirke zaklął i zaczął się podnosić. W tym momencie Nayler wziął szeroki zamach i uderzył go pięścią w bok głowy, na tyle mocno, że kapitan runął jak długi na podłogę, jęknął, spróbował usiąść i znów upadł.

Ssąc otarte knykcie, Nayler powiódł wzrokiem po pozostałych, rzucając im wyzwanie. Nikt jednak nie odważył się spojrzeć mu w oczy, więc wszedł po schodach do sali sypialnej i położył się na pierwszym z brzegu łóżku. Odwrócił się do ściany i leżał tak do zapadnięcia nocy, aż usłyszał kroki i głos Kellonda.

- Panie Nayler, gubernator Leete przyszedł z panem porozmawiać.
- Każ mu odejść.
- Mówi, że ma wieści o nakazie przeszukania.
- Położyłem się już spać.
- On nalega.

Nayler jęknął, odwrócił się i opuścił nogi na podłogę.

W sali na parterze Kirke leżał bezwładnie na stole, z głową opartą na skrzyżowanych rękach, pewnie pogrążony we śnie. Nayler był pewien, że nie będzie miał z nim więcej kłopotów; nawet Szkoci siedzieli z dala od niego, jakby miał dzumę.

Leete stał w drzwiach.

- Gubernatorze, chciał pan ze mną rozmawiać – zwrócił się do niego Nayler.
- Na osobności, jeśli można.
- Sądzę, że nie ma pan do powiedzenia nic, czego nie mogliby słyszeć inni.
- Mimo wszystko.

Wyszli na zewnątrz. Cisza zalegająca nad osadą była niesamowita. Nayler zastanawiał się, jak mogą ją znieść mieszkańcy New Haven. Nic dziwnego, że połowa z nich była obłąkana.

– Szkoda, że nie jestem zwykłym oraczem – powiedział Leete i westchnął. – Nie musiałbym się wtedy zмагаć z tyloma obowiązkami.

– Jestem pewien, że nikt ich panu nie narzucał. Ma pan nakaz przeszukania?

– Mam nadzieję, że otrzymam go jutro.

– Czyli nie ma pan. – Nayler odwrócił się, by wrócić do gospody, lecz Leete złapał go za ramię.

– To nie moja wina, panie Nayler. Wszystko zależy od członków rady, a ci słuchają się wielebnego Davenporta. Żywię jednak nadzieję, że jutro rano zwycięży zdrowy rozsądek... ogromną nadzieję.

– Za późno, gubernatorze. Za mało i za późno. Nie chcę już przeszukiwać New Haven. To nie ma sensu. Ptaszki już wyfrunęły. Zrobiliście ze mnie głupca. – Nayler czuł, jak znów wzbiera w nim gniew. – I przyjdzie wam za to zapłacić. Jednego możecie być pewni: kiedy przyjdzie czas wydawania królewskich edyktów, w Ameryce z pewnością będzie stan Massachusetts, będzie też stan Connecticut, ale nigdy, przenigdy, dopóki Anglią rządzi król, nie będzie stanu New Haven. To koniec waszej Mojżeszowej mrzonki. Dobranoc panu.



Grupa poszukiwawcza opuściła osadę New Haven następnego dnia rano, niezbyt wcześnie, ponieważ teraz nie miało to już znaczenia. Słońce stało już wysoko na niebie, gdy jechali wzdłuż wybrzeża do Milfordu. Tam Nayler czekał przed sklepem, podczas gdy Kellond i Kirke – potulny tego dnia jak baranek – przesłuchiwali właściciela, Micaha Tomkinsa. Ten potwierdził, że królobójcy zatrzymali się u niego w marcu i kupili trochę zapasów, po czym odjechali w stronę Nowych Niderlandów. Utrzymywał, że nie wiedział, z kim ma do czynienia, dopóki nie odjechali. Na żądanie Naylera, mimo braku nakazu, sklep przeszukano – podobnie jak dom i pobliskie zabudowania gospodarcze – ale niczego nie znaleziono. Nayler nie spodziewał się niczego innego; zarządził przeszukanie dlatego, że Tomkins głośno domagał się poszanowania jego praw, a także dlatego,

że musiał pomagać królobójcom – w każdym razie Nayler był o tym przekonany. Szkoci postarali się, by część towarów nie nadawała się już do sprzedaży.

Po dwóch dniach szybkiej jazdy dotarli do Nowego Amsterdamu i udali się prosto do fortu, by porozmawiać z zarządcą, Peterem Stuyvesantem. Był to porywczy sześćdziesięcioletni mężczyzna, który stracił w Indiach Zachodnich nogę; urwała ją hiszpańska kula armatnia. Nie wydawał się zachwycony ich wizytą, ale nie miał odwagi odmówić prośbie króla Anglii, ponieważ w Ameryce Anglików było znacznie więcej niż Holendrów. Przekuśtykał na drewnianej nodze przez gabinet, przywitał się z Naylerem, Kellondem i Kirkiem, przeczytał królewski rozkaz i mówiąc całkiem poprawnie po angielsku, choć z fatalnym akcentem, kazał przeszukać wszystkie statki w porcie. Poleciał również, by nie wypuszczano z portu mężczyzn, którzy posługują się nazwiskami Whalley i Goffe – lub Richardson i Stephenson. Potem wyjaśnił przepaszającym tonem, że nie może zrobić nic więcej bez zgody swoich mocodawców z Europy, a ponieważ tamtejszy rząd odrzucił wszystkie prośby o aresztowanie królobójców przebywających na terenie Holandii, Stuyvesant nie sądził, by pozwolono mu na cokolwiek poza tym, co zrobił.

– Czy dotarły do pana jakieś wieści o tym, że Whalley i Goffe przebywają na pańskim terytorium? – spytał Nayler.

– Nie, nie otrzymałem takich informacji.

– Widzicie? – Nayler odwrócił się do Kellonda i Kirke’a z gorzkim uśmiechem triumfu. – To był fałszywy trop.

Po spotkaniu, wyposażeni w rozkazy podpisane przez Stuyvesanta, pojechali do portu Monhatoes. Podczas gdy inni przechodzili od statku do statku, by przesłuchiwać kapitanów, Nayler – który uważał to za stratę czasu – siedział na kabestanie cumowniczym, palił fajkę i rozmyślał. Popołudnie było ciepłe i pogodne; nad wodą, w której odbijało się czyste błękitne niebo, przemykały z krzykiem mewy, a na falach miarowo unosiły się boje. Za statkami cumującymi w kanale widać było płaską szarą wstęgę Long Island, kilka domów i wiatrak.

Zauważył, że w porównaniu z Bostonem ochrona fortu jest tu bardzo słaba. Nie więcej niż dwadzieścia armat. Musi pamiętać, by o tym zameldować.

Krzyki mew i blask słońca skrzący się na powierzchni wody przywiodły mu na myśl dzień jego przybycia do Ameryki, kiedy był jeszcze pełen złudnych nadziei. Jakim był wtedy głupcem... Ogarnęła go nagle tęsknota za Londynem i jego pięknymi budowlami, za mieszkaniem w Essex House i gabinetem w pałacu Whitehall, za swojskim krajobrazem z ciasno zbitymi małymi wioskami, kamiennymi kościołami i wąskimi polami otoczonymi żywopłotami. Z czułością myślał nawet o smrodzie Tamizy podczas odpływu i ściekach na Strandzie.

Kilka minut później pojawili się Kirke i Kellond, który niósł grubą księgę. Ku zdumieniu Naylera obaj mieli triumfalne miny.

– Znaleźliście coś ciekawego? – spytał.

– Owszem – odparł Kirke. – Może to jednak wcale nie był fałszywy trop.

Kellond podał Naylerowi oprawny w skórę tom. Ten otworzył go na stronie zaznaczonej kartką papieru; zacisnął mocniej zęby na ustniku fajki i ułożył księgę na kolanie.

– Co to jest? – rzucił.

– Manifest ładunkowy *Vleigende Draeck*, po naszymu *Latającego Smoka*. Szef komory celnej pozwolił nam pożyczyć tę księgę, żebyśmy mogli to panu pokazać. Statek wypłynął trzeciego kwietnia do Rotterdamu, wiozł przede wszystkim tytoń, ale też dwunastu pasażerów. Proszę zwrócić uwagę na siódme i ósme nazwisko.

Nayler spojrzał na listę.

Edw. Richardson.

Wm. Stephenson.

Odchrząknął i przechylił głowę.

– Ale to byłoby chyba zbyt proste, prawda? – Nadal wpatrywał się w nazwiska.

– Być może – przyznał Kirke. – Ale jakie mamy dowody, że nie wsiedli na tego *Latającego Smoka*, tylko wrócili do New Haven? Żadnego prócz słowa Dennisa Cramptona, jedyne go człowieka, który utrzymuje, że ich widział, łajdaka, który ma

porachunki z władzami osady. I gdzie on właściwie teraz jest? Zniknął, gdy tylko w New Haven pojawił się Leete.

– Leete i członkowie rady nie zachowywali się jak ludzie, którzy nie mają nic do ukrycia – przypomniał mu Nayler.

– Bo mieli bardzo wiele do ukrycia – wtrącił się Kellond. – To oczywiste, że pomagali królobójcom w ucieczce. Może chcieli usunąć ślady tej pomocy, zanim przystąpimy do przeszukania. A może nie byli pewni, czy Whalley i Goffe zdążyli już odpłynąć, i chcieli dać im więcej czasu.

Nayler zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– To możliwe – przyznał w końcu i oddał im księgę. – Ale nie jestem przekonany. Myślę, że to jedynie sprytna sztuczka, która ma nas skłonić do zaniechania poszukiwań.

– Chce pan kontynuować?

– Oczywiście. Nie spocznę, dopóki ci dwaj nie wpadną w moje ręce albo dopóki nie będę miał całkowitej pewności, że nie żyją.

Kellond i Kirke spojrzeli po sobie.

– Proszę nam wybaczyć – odezwał się Kellond – ale w porcie stoi statek, który jutro wypływa do Bostonu.

– I co z tego?

– Pomyśleliśmy, że moglibyśmy nim popłynąć, zamiast wracać do domu drogą lądową. Chyba nie mamy tu już nic do roboty.

Nayler zauważył, że Kellond unika jego wzroku, i tknęła go pewna myśl.

– Czy ten statek nie nazywa się przypadkiem *Charles*?

– Owszem.

– Tak samo jak statek należący do pana rodziny? To dopiero niezwykły zbieg okoliczności! Teraz już rozumiem, dlaczego tak bardzo chcieliście jechać do Nowego Amsterdamu. – Nayler postukał fajką w kabestan i przedmuchał ją. Wiedział już, że poniósł klęskę. – Zgadza się, nie ma tu czego więcej szukać. Więc możemy sobie dać spokój. Ale pod jednym warunkiem: nie powiecie nikomu

o tej liście pasażerów. Inaczej ci purytańscy gubernatorzy będą mieli wymówkę, żeby nie robić nic więcej w tej sprawie. Zgoda?

– Zgoda.

Następnego popołudnia, pozostawiwszy Chapina i Szkotów, którzy zamierzali wrócić do domu konno, Nayler, Kellond i Kirke wypłynęli do Bostonu.

Tym razem udało wam się uciec, pomyślał Nayler, stojąc przy relingu i patrząc na brzeg, który powoli nikał w oddali. Ale narobiłem wokół was tyle hałasu, że jeśli nadal tu jesteście, wasze życie zamieni się w koszmar. Nie możecie ukrywać się bez końca. Wcześniej czy później was dopadnę.

Jego niestrudzony umysł zaczął już planować wizytę w Holandii, a gdyby ta okazała się bezowocna, kolejną ekspedycję w Nowej Anglii.



Nayler miał rację. Po tym, jak omal nie znalazł pułkowników w jaskini, ich życie stało się wyjątkowo uciążliwe, jakby rzucił na nich klątwę.

Obawiając się, że poszukujący ich człowiek czeka na zewnątrz i do nich strzeli, gdy tylko opuszczą jaskinię, tkwili w ciemnościach, wymieniając tylko od czasu do czasu nerwowe szepty.

– Ilu ich było?

– Chyba tylko jeden.

– Poszedł sobie?

– Nie wiem.

– W pobliżu mogą być inni.

– Mógł nas usłyszeć i pójść po pomoc.

Nim w końcu odważyli się precyzyjnie przejść przez szczelinę i wyrzucić na zewnątrz, zapadał już zmierzch. Jeśli syn Sperry'ego rzeczywiście próbował dostarczyć im jedzenie, musieli to przegapić. Na szczęście staw, do którego wpadał wodospad, zapewniał im przynajmniej wodę do picia. Szukając w gasnącym świetle drewna na opał, Ned znalazł mały topór – indiański, sądząc po wyglądzie – więc na cześć tego

znaleziska nazwali swoją kryjówkę Przystanią Topora i podziękowali Bogu za ratunek. Ich radość nie trwała jednak długo. Uznali, że nie mogą rozpaść ogniska, bo byłoby je widać z osady i migotałoby na nocnym niebie niczym kometa. Z powodu wąskiego wejścia do jaskini czuli się w niej jak w pułapce, spali więc pod gwiazdami.

Syn Sperry'ego pojawił się następnego dnia po południu i wywołał ich piskliwym głosem. Opuścili linę i wciągnęli na górę koszyk; znaleźli w nim tylko skromne porcje chleba i sera i natychmiast je zjedli. Następnego dnia rano usłyszeli wołanie mężczyzny. Opuścili linę i wspiął się po niej Sperry. Od razu spytał, czy ktoś nie pojawił się w pobliżu. Opowiedzieli mu o człowieku, który wszedł do jaskini i nasłuchiwał w ciemnościach. Will dodał, że dzieliło go od nich nie więcej niż dwadzieścia kroków. Słyszeli nawet jego oddech.

– To musiał być Nayler – stwierdził Sperry. – Przypłynął z Londynu, żeby was znaleźć, a przynajmniej tak mówią ludzie.

– Kto to taki?

– Diabeł wcielony, mówię wam. Napędził mojej żonie porządnego stracha.

– Jest jeszcze w New Haven?

– Pojechał ze swoimi ludźmi w stronę Nowego Amsterdamu. Ale pan Jones mówi, że przez te jego groźby i ulotki z obietnicą nagrody nie możecie się czuć bezpieczni w żadnym zakątku Nowej Anglii. Kazał wam przekazać, żebyście się trzymali z dala od osad, dopóki sytuacja się nie zmieni.

– Ale nie możemy zostać tu na zawsze – zaprotestował Ned.

– Znam lepsze miejsce.

Zebrali swoje rzeczy i szli za farmerem po półce skalnej. W końcu Sperry zatrzymał się i zrobił to samo co dwa dni temu: wspiął się na urwisko, rzucił im linę, wyciągnął ich sakwy, po czym po kolei przewiązani liną dostali się na górę.

Nowa kryjówka nie była jaskinią, lecz skupiskiem potężnych skał. Wygląda jak pogańska świątynia, pomyślał Ned, Stonehenge stworzone siłami natury. Głazy tworzyły schronienie o powierzchni mniej więcej czterdziestu stóp i wysokości

dwudziestu, z tunelem między dwoma olbrzymimi głazami i półką wysoko nad ziemią, na której mogli wygodnie spać. Kryjówkę osłaniały dość szczelnie drzewa, ale gdy weszli na jej szczyt, przekonali się, że mają stąd jeszcze lepszy widok niż ze skalnej półki: nie tylko na osadę i ocean, ale też na lasy na północy.

– Trochę niżej jest strumień, w którym możecie łowić ryby, i znajdziecie tam mnóstwo chrustu – powiedział Sperry. – Jeśli będziecie palić ognisko po drugiej stronie, nikt z New Haven go nie zobaczy. Indianie nazywają to miejsce Skałą Trupa i wierzą, że krążą tu złe duchy, więc nie będą was niepokoić. Macie pistolety?

Ned poklepał się po kieszeni.

– Lepiej trzymajcie je pod ręką – poradził im farmer. – Nie brakuje tu wilków, niedźwiedzi i pum, które mogą was zaatakować. Jeden strzał powinien je wystraszyć. Będę do was posyłał syna z jedzeniem, kiedy tylko się da. Zostawi wam kosz na wymianę. Uważajcie, żeby nikt was nie zobaczył. Pan Jones obiecuje, że po was przyjdzie, kiedy tylko uzna, że możecie się gdzieś przenieść.

– Kiedy to może być? – spytał Will.

Sperry wzruszył ramionami. Kto wie?



Szybko zdali sobie sprawę, że jedzenie dostarczane przez syna Sperry'ego nie zaspokoi ich głodu; domyślali się, że rodzina farmera sama ledwie wiąże koniec z końcem. Musieli więc sięgnąć po indiańskie metody, które poznali podczas podróży do Connecticut. Łowili w strumieniu ryby, korzystając z sieci, którą kupili w Milfordzie, a potem piekli je w żarze, zawinięte w liście, jak pokazał im Gookin. Gdy okazało się, że do siatki wpada za mało ryb, zbudowali kamienną pułapkę podobną do tych, jakich używali tubylcy. Zbierali rośliny jadalne, które znali z długich forsownych marszów w Anglii – mlecze, gorczycę, tasznik – a także amerykańskie jagody i grzyby. Nie wiedząc, czy grzyby nie są trujące, kładli maleńki kawałek kapelusza na języku, by to sprawdzić. Raz mimo tych środków

ostrożności Neda straszliwie rozboleł brzuch. Will przygotował środek wymiotny z węgla i wody i jego teść przez większość tego dnia wymiotował nad latryną, którą wykopał toporkiem pięćdziesiąt kroków od obozowiska.

Nocą słyszeli czasami całkiem bliskie wycie wilków; leżeli wtedy z otwartymi oczami na materacu z liści i mchu i trzymali palce na spustach pistoletów.

Pewnego dnia o świcie, w połowie drugiego tygodnia spędzonego w kryjówce z głazów, Ned otworzył oczy i zobaczył łanię obwążującą pozostałości po ognisku. Bardzo powoli podniósł pistolet i strzelił jej w bok. Gdy przeszła kilka kroków i upadła, dobił ją toporem. Wypatroszyli ją, pocięli mięso na kawałki i ugotowali. Potem przygotowali ramę z gałęzi i wysuszyli skórę zwierzęcia.

Niektóre czerwcowe dni były nieznośnie gorące; musieli wtedy palić gałęzie z liśćmi, by przegonić dymem owady. Zdarzało się, że wyjący wiatr smagał ich kryjówkę i niesiony przez niego deszcz siekł z taką zaciekłością, że nie mieli gdzie się przed nim schronić. W końcu zdejmowali przemoknięte ubrania i okrywali się przepaskami ze skóry łani. Z czasem przekonali się, że wygodniej im w takim stroju w indiańskim stylu. Wkrótce ich ciała, najpierw czerwone i obolące, zbrązowiały w słońcu. Urosły im włosy i brody – Will śmiał się z tego i mówił teściowi, że z długą siwą brodą wygląda jak Matuzalem – i bez względu na to, jak często kapali się w strumieniu, nie mogli uwolnić się od wszy.

Dobry Boże, nie jesteśmy już chrześcijańskimi dżentelmenami, pomyślał Ned pewnego popołudnia, obserwując zięcia, który stał w wodzie, niemal nagi, nieruchomy jak posąg z włócznią na ryby w dłoni. Zamieniliśmy się w dzikusów, tylko że brakuje nam ich gracji i umiejętności.

Rozmawiali nieustannie o swojej sytuacji i o tym, co mogliby zrobić, by ją poprawić. Czy mogliby spróbować szczęścia w innej angielskiej kolonii? Ale skoro nawet w New Haven nie było już bezpiecznie, to gdzie mogliby pójść? Poza tym tylko dość mgliście znali geografię Ameryki. Mogli przejść wzdłuż wybrzeża do Nowego Amsterdamu. Ale podobno tam właśnie podążył ten tajemniczy Nayler i jego ludzie. Być może Holendrzy okazaliby im gościnność, lecz ani Ned, ani Will nie znali ich języka i mieli mało pieniędzy. Rzucaliby się w oczy, więc wcześniej

czy później ktoś wydałby ich dla nagrody. Will czasami sugerował, żeby po prostu dali za wygraną, lecz Ned odrzucał ten pomysł.

– Bóg poddał nas takiej próbie nie bez powodu – powiedział. – Naszym obowiązkiem jest ją znieść.

Modlili się dwa razy dziennie, z samego rana i późnym popołudniem. Will skrupulatnie odmierzał upływ dni, wydrapując kreski na jednym z gładów. W niedzielę poświęcali dużo czasu na medytację. Will czytał głośno Biblię, kołysząc się przy tym do przodu i do tyłu, co – jak twierdził – pomagało mu się skoncentrować. Często wracał do opowieści o czterdziestu dniach i czterdziestu nocach, które Chrystus spędził na pustyni, przedstawionej w Ewangeliach świętych Łukasza i Mateusza: o tym, jak Jezus pościł i zmagał się z głodem, i jak kusił go diabeł.

Pewnego popołudnia, w szóstym tygodniu izolacji, Will zszedł ze skalnej półki, na której spali; w dłoniach ścisnął Biblię. Jego ciemnobrązowe oczy, które w wycieńczonej twarzy wydawały się jeszcze większe niż zwykle, lśniły dziwną ekscytacją. Ned szturchnął właśnie kamieniem rozżarzone węgielki, przygotowując je do gotowania posiłku.

– Chyba już rozumiem, jaki jest sens tego wszystkiego – powiedział jego zięć.

– Jaki jest tego sens?

– Bóg umieścił nas tutaj, na tym pustkowiu, pośród kamieni i gór, jak niegdyś Chrystusa na pustyni. To próba, której celem jest to, byśmy zrozumieli, że musimy żyć jedynie wiarą, a nie chlebem i światowymi pokusami. – Po krótkiej przerwie Will wyrecytował z pamięci: – *Na to odrzekł mu Jezus: „Idź precz, szatanie! Jest bowiem napisane: Panu, Bogu swemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz”*. Wtedy opuścił Go diabeł, a oto aniołowie przystąpili i usługiwali Mu²⁶. – Policzył kreski wyryte na kamieniu. – Nasz czterdziesty dzień i czterdziesta noc wypadają pojutrze, dwudziestego trzeciego czerwca, w Dzień Pański. – Raz jeszcze policzył kreski. – Tak, jestem tego pewien. Dziś jest piątek, więc to będzie w najbliższą niedzielę.

– Co będzie?

– Koniec naszej próby. Tego dnia opuścimy pustkowie, jak nasz Zbawiciel, i wrócimy do świata ludzi.

– I dokąd pójdziemy?

– Udamy się do domu modlitwy w New Haven i damy świadectwo naszej wiary.

Ned dawno już przywykł do nagłych przyływów religijnej żarliwości zięcia. Zawsze starał się traktować je z szacunkiem. Przecież sam Oliver twierdził, że Will nosi w sobie prawdziwego ducha Chrystusowego. Lecz tego było już za wiele.

– To byłoby szaleństwo. Musimy czekać, aż Jones da nam znać, że możemy bezpiecznie wyjść z ukrycia.

– Nie, mylisz się. A jeśli Jones nigdy nie przyjdzie? Musimy wierzyć, że Bóg ma dla nas plan.

– Bóg dał nam też rozsądek i dlatego nie wsadzamy rąk w ogień, nawet jeśli wierzymy, że się nie sparzemy.

Spierali się do nocy – była to ich pierwsza poważna kłótnia, odkąd musieli zamieszkać w dziczy – a gdy kładli się spać, Ned uświadomił sobie z przerażeniem, że zięć zamierza zejść do osady bez względu na to, czy on będzie mu towarzyszył, czy nie. Sama myśl o tym, że zostałby tu całkiem sam, wydawała mu się przerażająca. Długo nie mógł zasnąć i zastanawiał się, co powinien zrobić, a gdy w końcu zapadł w sen, dręczyły go koszmary. Śniło mu się, że skrada się za nim diabeł, bestia o żółtych ślepiach, wydająca z siebie dźwięk, jakiego nie słyszał nigdy dotąd: niesamowicie głębokie warczenie, od którego włosy stawały dęba.

Ned otworzył oczy i zobaczył, że na półkę zakradło się jakieś zwierzę; przykucnęło nie dalej niż sześć stóp od niego, podświetlone nikłym blaskiem księżycy. Zauważył, że potrząsa lekko zadem, co oznaczało, że szykuje się do skoku. Przez moment był zbyt przerażony, by się ruszyć, potem jednak odzyskał przytomność umysłu i przesunął dłonią wzdłuż krawędzi posłania w poszukiwaniu pistoletu. Ten nieznaczny ruch najwyraźniej sprowokował zwierzę – skoczyło na

niego w chwili, gdy podnosił broń. Poczł jego cięzar na piersiach i gorący oddech na twarzy w tym samym momencie, gdy przystawił lufę do sierści i pociągnął za spust. Huk wystrzału niemal go ogłuszył. Usłyszał jednak krzyk Willa, gdy próbował wydobyć się spod leżącego zwierzęcia – nie wiedział, czy żywego jeszcze, czy martwego – i własny krzyk. Razem pochwycili stworzenie, zepchnęli je z półki i usłyszeli, jak uderza ciężko o ziemię.

Ned opadł na plecy, dysząc ciężko. Gdy Will spytał, czy nie jest ranny, teść odpowiedział, że chyba nie. Mimo to leżał w bezruchu, z otwartymi oczami, trzymając na piersiach drugi nabity pistolet. Will zachowywał się tak samo. O brzasku zeszli z półki, by obejrzeć napastnika. Nie był to diabeł, lecz samica pumy, nazywanej tu górskim lwem. Nedowi wydawało się wcześniej, że jest ogromna, lecz w szarym świetle świtu wyglądała niemal mizernie; miała nie więcej niż jard długości i była bardzo chuda. Wystające żebra opinała skóra pokryta płową sierścią, brzuch zwierzęcia był biały i poplamiony zakrzepłą krwią w miejscu, gdzie przeszła kula, która trafiła ją prawdopodobnie prosto w serce. Półżywa z głodu, jak my, pomyślał Ned. Nagle zrobiło mu się żal zwierzęcia.

Will wskazał na jego prawe ramię.

– Jesteś ranny.

Ned spojrział na swój bark, gdzie czerwieniły się małe rany: ślady po kłach lub pazurach. Nie wyglądały na zbyt głębokie, wiedział jednak, że zostaną po nich blizny – kilka nowych do jego kolekcji. Zszedł do strumienia, by obmyć ranę. Wiedział, że zięć uzna to za znak od Boga, który nakazuje im wyjść z ukrycia, i że na dowód przytoczy jakiś stosowny fragment Biblii. Oczywiście nie mylił się, ale to nie słowa Willa skłoniły go do zmiany zdania. Ned wiedział po prostu, że nie przeżyje bez zięcia w tym pełnym niebezpieczeństw dzikim miejscu. Dotarli aż tutaj razem i razem pójdą dalej – choćby do samego końca, jak mówiła Biblia.



Żeby nie złamać prawa Mojżeszowego, przy czym wciąż upierał się Will, przed zachodem słońca musieli znaleźć się nie dalej niż dwie mile od domu modlitwy.

Oczywistym rozwiązaniem był powrót do zrujnowanego młyna. Nie byłoby w stanie zejść z dwóch urwisk, zwłaszcza ze względu na ranę Neda, co oznaczało, że musieli iść długą okrężną drogą. Ned wypatroszył pumę, pokroił mizerne kawałki mięsa i włożył je do garnka z wrzątkiem. Czekał, aż się ugotują, rozprostował skórę zwierzęcia i przymocował ją do ramy, na wypadek gdyby jednak musieli tu wrócić.

Wydawało się, że bez względu na to, jak długo mięso pumy będzie się gotować, pozostanie twarde i trudne do przeżucia, choć całkiem dobre, przypominające smakiem mięso dzika. To, czego nie zjedli, Ned schował do torby na kolację. Włożyli angielskie ubrania, zdeptali ognisko i ruszyli w drogę.

Przeszli kilka mil na zachód grzbietem góry, a kiedy teren zaczął się obniżać, skręcili na południe w las; kierunek ustalili na podstawie pozycji słońca. Gdy znaleźli się na równinie, odbili na wschód. Wędrówka w upale nie była łatwa, zwłaszcza że mieli na sobie skórzane wojskowe płaszcze. Musieli uważać na nierówny grunt, a dodatkowo życie uprzykrzały im komary i wielkie muchy. Tygodnie spędzone pod gołym niebem wystarczająco ich jednak zahartowały, a tygodnie wędrówek nauczyły ich wybierać właściwe drogi. Późnym popołudniem dotarli do domu Sperry'ego. Zastanawiali się przez chwilę, czy go odwiedzić, ale zrezygnowali z tego, zresztą w gospodarstwie chyba i tak nikogo nie było. Tuż przed zmierzchem dotarli do młyna.

Wyczerpany Ned przeżuł kilka kawałków zimnego mięsa z pumy, położył się na płaszczu i zasnął.

Rano zarzucili torby na ramiona i ponownie ruszyli w drogę. Gdy uszli jakieś pół mili, usłyszeli w oddali głos dzwonu, a gdy piętnaście minut później dotarli do miasta, zobaczyli puste ulice, bo wszyscy mieszkańcy byli już w domu modlitwy. Kiedy Will wszedł śmiałym krokiem na trawnik, idący tuż za nim Ned pomyślał z lękiem, że prawdopodobnie popełniają okropny błąd, a gdy weszli do budynku i zgromadzony tam tłum odwrócił się w ich stronę, był już tego pewien. Na ich widok podniosły się okrzyki zdumienia i przerażenia, wywołane zapewne nie tylko ich obecnością, ale też wyglądem po długich tygodniach spędzonych w dziczy.

Davenportowi, który wygłaszał właśnie kazanie, chyba po raz pierwszy w jego długiej karierze odjęło mowę. Po chwili, gdy gwar rozmów zaczął przybierać na sile, pastor zszedł z mównicy i ruszył w stronę pułkowników; machał przy tym rękami tak, jakby przeganiał dzikie zwierzęta, które przybłąkały się tu z lasu. Gubernator Leete i William Jones, którzy zajmowali miejsca w pierwszych ławach, wstali i ruszyli śladem Davenporta, by w trójkę wyprowadzić przybyszów na zewnątrz. Jones zamknął drzwi i odwrócił się do pułkowników.

– Na miłość boską – powiedział cicho. – Mówiłem chyba, że macie pozostać w ukryciu, dopóki nie dam wam znać, prawda? Dlaczego wróciliście?

Will podniósł wyzywająco głowę.

– Spędziliśmy czterdzieści dni i czterdzieści nocy na pustkowiu. Jak napisano, nasza próba dobiegła końca, a teraz będą nam usługiwać aniołowie.

– Gdzie napisano, że wasza próba dobiegła końca? – spytał Davenport.

– W Ewangelii świętego Mateusza, w rozdziale czwartym.

– Nie takie jest znaczenie tego fragmentu.

– Mnie się wydaje, że właśnie takie – upierał się Will.

– Chce mnie pan uczyć Biblii? – rzucił Davenport.

– Nie, wielebny.

– Uważa się pan za Chrystusa, pułkownik Goffe? Jeśli tak, to dopuszcza się pan najgorszego bluźnierstwa!

Will stracił nieco pewności siebie.

– Nie zamierzam twierdzić, że którykolwiek z nas jest Chrystusem, mówię jedynie, że pokornie idziemy za Jego przykładem ukazany w Piśmie Świętym.

Leete kręcił głową z niedowierzaniem.

– Wasz powrót stawia nas w bardzo trudnej i niebezpiecznej sytuacji – oświadczył. – Cała Nowa Anglia zwróciła się przeciwko naszej kolonii po tym, jak odeszliście. Wielebnemu Davenportowi grozi areszt, podobnie jak panu Jonesowi i mnie.

– Przykro nam – powiedział Ned.

– Zapewniliśmy władze Korony, że nie znamy waszego miejsca pobytu, a teraz tu jesteście! I widziała was cała osada!

– Idźcie – odezwał się Jones i zaczął machać rękami tak jak Davenport w domu modlitwy.

Ned zapamiętał na zawsze ten moment, kiedy wyrzucono ich poza ludzką społeczność.

– Idźcie już – powtórzył Jones. – Powiemy, że zeszliście z gór, żeby się poddać, i zmierzacie do Bostonu.

– Ale to nie po chrześcijańsku – zaprotestował Will.

Ned ujął go za ramię.

– Chodź, Will – powiedział łagodnie. – Oni są naszymi przyjaciółmi. Nie możemy prosić ich o więcej, niż mogą nam dać. – Odwrócił się do Jonesa. – Możemy przetrwać lato pod gołym niebem. Ale gdy pogoda zacznie się zmieniać... – Nie był w stanie dokończyć zdania.

– Zobaczymy, co da się zrobić – odparł Jones. – Macie nasze słowo. Przyjdę do was, gdy będziemy mieli jakiś plan. A teraz odejdźcie, proszę.

Will wyglądał tak, jakby nadal chciał się spierać, ale teść odciągnął go na bok. Po kilku krokach Will przestał się opierać i razem ruszyli po trawie w stronę drogi. Kiedy do niej dotarli, Ned obejrzał się. Trzej mężczyźni wciąż ich obserwowali. Lecz minutę później, gdy odwrócił się ponownie, już ich nie było.



Mieli spędzić w dziczy jeszcze pięćdziesiąt sześć dni. Will nadal skrupulatnie odznaczał na kamieniu każdy z nich, łącznie z datami pełni – *11 lipca* i *9 sierpnia*. Gdyby nie ten prowizoryczny kalendarz, nie mieliby pojęcia, ile czasu upłynęło od ich powrotu na pustkowie, bo kolejne dni zlewały się ze sobą.

Zrobili sidła na zające i łuk z gałęzi orzesznika; cięciwę wykonali z włókien, które pletli z łądyg pokrzyw, a strzały z gałązek brzozy, opatrzonych z jednej strony kamiennym grotem, a z drugiej lotkami z piór. Pozwalało im to oszczędzać

amunicję i zabijać nudę, a przy tym ta prymitywna broń okazała się zaskakująco skuteczna podczas polowań na jelenie. Nie głodowali. Co więcej, dzięki diecie z gotowanego i pieczonego mięsa, ryb, jagód i jadalnych roślin byli zdrowsi niż kiedykolwiek dotąd. Neda przerażała jedynie perspektywa zmiany pogody; był pewien, że w tak odsłoniętym miejscu nie przetrwają jesieni ani tym bardziej zimy. Zapuszczali się więc coraz dalej w głąb lasu, żeby znaleźć lepsze schronienie.

Właśnie podczas jednej z takich wypraw spotkali Indian. Will zobaczył ich pierwszy – trzech mężczyzn stojących w całkowitym bezruchu między drzewami. Przez jakieś pół minuty wpatrywali się w niego, a kiedy w końcu podniósł rękę w geście pozdrowienia, odwrócili się i zniknęli w lesie. Nie zobaczyli ich nigdy więcej, lecz czuli, że są pod obserwacją, co tylko pogłębiło ich niepokój. Pewnej nocy usłyszeli, jak w obozowisku węszy jakieś duże zwierzę, być może niedźwiedź, a rano przekonali się, że skrytka z zapasami jedzenia jest pusta. Poczucie, że muszą nieustannie walczyć o życie, i świadomość, że wrogie zwierzęta, a być może również ludzie, obserwują ich i czekają na błąd, który będzie oznaczał dla nich koniec, zaczęły odbijać się na ich zdrowiu. Dni wypełnione różnego rodzaju aktywnością nie były takie złe, ale w miarę jak noce robiły się coraz dłuższe, umęczone umysły podsuwały im coraz bardziej przerażające obrazy. Świat okryty ciemnością był jak nawiedzony. Każdy krzyk ptaka, każdy szmer, wilcze wycie budziły złe duchy. Ned zastanawiał się coraz częściej, czy nie popadają w obłąd.

W poniedziałek po południu – dziewiętnastego sierpnia według obliczeń Willa – Ned dostrzegł przez lunetę czterech jeźdźców zbliżających się do ich kryjówek. Nie, jeźdźców było tylko dwóch, bo na dwóch koniach nikt nie jechał. I nie byli to Indianie. Ned przyglądał się im jeszcze przez chwilę, a potem zawołał zięcia. Opuścił lunetę i otarł pot z czoła. Kiedy spojrział ponownie, rozpoznał Jonesa i Sperry'ego.

Nie mieli czasu, by się przebrać, więc spotkali się z nimi tak, jak stali: Will z łukiem przewieszonym przez ramię, on w skórze pumy zarzuconej na ramiona. Dostrzegł w oczach Jonesa szok, a właściwie nie tylko szok, ale też odrazę.

Goście rozglądali się po obozowisku, patrzyli ze zdumieniem na suszące się ryby i jelenie skóry, na dół służący do wrzucania kości upolowanych zwierząt. Północno-wschodni wiatr zmienił nieco kierunek i przyniósł ze sobą smród latryny.

– W końcu nadszedł czas – powiedział Jones. – I to w samą porę, jak widzę. Znaleźliśmy wam schronienie na zimę.

– Dokąd mamy iść?

– Pozbierajcie swoje rzeczy. Zobaczycie.

Zwinięcie obozu i spakowanie sakw zajęło im godzinę. Ned nie miał serca po prostu wyrzucić narzędzi, które sami wykonali, łuku i strzał, włóczni, ram do suszenia skór czy znalezionego toporka. Wykopał dół i ukrył tam wszystko razem z siecią na ryby.

Trasa, którą wybrali Jones i Sperry, prowadziła grzbietem góry, a potem skierowali się w dół do lasu, lecz zamiast na południe skręcili na południowy zachód. Zatoczyli wielki łuk, co oznaczało, że omijają New Haven. Późnym popołudniem zatrzymali się na skraju linii drzew, by coś zjeść; poczekali do zachodu słońca i dopiero potem ruszyli dalej. Ned pomyślał, że niezależnie od tego, dokąd jada, chcą tam dotrzeć po zmroku.

Gdy przecięli rozległą równinę z wielkimi drzewami, przypominającą angielskie parki, Ned zorientował się, że zmierzają w stronę oceanu. Z półmroku wychynęła mała osada, lecz dopiero gdy dotarli do drogi prowadzącej wzdłuż wybrzeża i gdy zapadła noc, uświadomił sobie, że są w Milfordzie, przy sklepie Micaha Tomkinsa. Gdy Jones zapukał, drzwi otworzył właściciel z lampą. Nie zaprosił ich do środka; obejrzał się nerwowo przez ramię, uścisnął im szybko dłonie i poprowadził ich przez podwórze do budynku gospodarczego. W mroku nie widzieli zbyt wiele: tylko beczki, worki i kawałki drewna. Przesunął kilka rzeczy, otworzył klapę w podłodze i przysunął nad nią lampę.

– Przynajmniej jest sucho. Powinniście być tu bezpieczni. Wrócę rano. – Podał lampę Willowi.

Ten podziękował i od razu zaczął schodzić. Ned zjrzał w mrok – nie podobało mu się to miejsce, ale nie mógł przecież narzekać – i po krótkim wahaniu zszedł za zięciem po drabinie na kamienną podłogę. Klapa nad ich głowami zamknęła się z cichym trzaskiem.

26 Mt 4, 10-11.

Część trzecia

W UKRYCIU

1662

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wiosną – a dokładnie o ósmej rano w niedzielę drugiego marca 1662 roku – czterej mężczyźni pod sześćdziesiątkę w odświętnych purytańskich strojach, każdy z Biblią w ręce, szli dostojnym krokiem przez City of London. Ich zachowanie mogło się wydawać prowokacyjne; zgodnie z prawem uchwalonym przez rząd króla Karola II w jednym miejscu mogło się zgromadzić co najwyżej pięciu purytanów. Większą liczbę uważano za zgromadzenie sekty religijnej, karane więzieniem. Obchód tych czterech przez miasto był zatem legalny, ale balansował na granicy prawa.

Przy akompaniamencie dzwonów kościelnych z całego miasta przeszli na północ od rzeki Coleman Street, skręcili w prawo w Swan Alley, ulicę, przy której stały domy kupców, i zatrzymali się przed wysokim, wąskim budynkiem wyglądającym tak, jakby wciśnięto go między pozostałe kamienice, by załatać puste miejsce.

Frances Goffe nalewała wodę dla wuja Williama, gdy usłyszała ich pukanie. Stary pastor jak zwykle pochylał się nad jakimiś dokumentami.

– To pewnie moi goście – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Wpuść ich, proszę. Mogą cię zaciekawić. Wrócili niedawno z Ameryki.

Z Ameryki!

– Myślisz, że mogą mieć jakieś wieści o Willu i ojcu? – spytała.

– Całkiem możliwe.

Przeszła szybko korytarzem, wyglądając suknię i poprawiając włosy, i otworzyła drzwi. Najstarszy z czterech mężczyzn patrzył na nią przez chwilę, po czym uśmiechnął się z powagą.

– Czy mam zaszczyt rozmawiać z panią Goffe? Z panią Frances Goffe?

Nie była aż tak podekscytowana, by zapomnieć o ostrożności.

– A mogę spytać, kto chce to wiedzieć?

– Proszę wybaczyć. – Mężczyzna dotknął róna kapelusza. – Jestem John Winthrop, gubernator kolonii Connecticut. To major Robert Thompson z Guilfordu w New Haven, kapitan Scott z Long Island i pan Nathaniel Whitfield, również z Guilfordu. Przyszliśmy do wielebnego Hooke’a.

– Proszę wejść. Mój wuj panów oczekuje.

Odsunęła się, by wpuścić gości do środka, rozejrzała się szybko po ulicy, by sprawdzić, czy nikt ich nie śledził, po czym zamknęła drzwi i zaprowadziła ich do salonu.

Przystanęła w progu, licząc na to, że będzie mogła zadać przybyszom kilka pytań, lecz William powiedział stanowczym tonem:

– Dziękuję ci, Frances. Możesz dołączyć teraz do ciotki. I zamknij, proszę, drzwi.

Uznała, że wuj postępuje okrutnie, wykluczając ją z tej rozmowy. Minęły niemal dwa lata, odkąd widziała Willa i ojca. Przez cały ten czas nie dostała od nich żadnego listu, z wyjątkiem krótkiej wiadomości od Willa na początku ich rozłąki. Nie pozwalano jej do nich pisać, choć błagała o to ze łzami w oczach, nawet gdy zmarła matka. Uważano, że niesie to za sobą zbyt duże ryzyko. Przez chwilę próbowała podsłuchiwać, co mówią, niczego jednak nie rozumiała, więc w końcu poszła na piętro do ciotki Jane i dzieci.

Richard miał już niemal dwa lata i już teraz był bardzo podobny do ojca. Szybko nauczył się chodzić i tak chętnie z tego korzystał, że musieli zamontować bramkę przy schodach, by z nich nie spadł. Betty i Nan wciąż często chorowały, ale Judith cieszyła się doskonałym zdrowiem, a Frankie pomagała matce w opiece nad maluchami, choć z pewnością nie było to życie, o jakim marzy dziesięcioletnia dziewczynka – zamknięta w cudzym domu, zdana na łaskę i niełaskę członków Kościoła, od których dostawała używane ubrania. Frances też nie mogła liczyć na więcej, lecz przynajmniej ludzie byli dla nich mili i nie zadawali pytań. Wiedziała jednak, o czym szepczą za jej plecami; była żoną jednego z królobójców i córką

drugiego – uciekinierów, którzy zostaną powieszani, wypatroszeni i poćwiartowani, jeśli wpadną w ręce królewskich wysłanników. Między innymi dlatego wołała trzymać dzieci w domu; chciała jak najdłużej chronić je przed okrutną prawdą. Stale brakowało im pieniędzy, musiała więc przyjmować rzeczy do prania i pracować jako szwaczka, by związać koniec z końcem.

Jej synek siedział na kolanach ciotki Jane, która trzymała przed sobą otwartą Biblię; czekała z rozpoczęciem czytania i dyskusji na powrót Frances. Ta, trzymając dłoń Judith, próbowała skupić się na Biblii, lecz jej myśli wciąż wędrowały ku mężczyznom zebranych w salonie. Gdy dwie godziny później usłyszała trzask otwieranych drzwi i przytłumione głosy, przeprosiła ciotkę i pobiegła na dół.

Goście właśnie wychodzili z salonu. Frances od razu zorientowała się, że padły między nimi jakieś ostre słowa. Major Thompson i pan Whitfield, mieszkańcy Guilfordu, odwracali się plecami do pana Winthrop, a ten rozkładał bezradnie ręce, jakby wcześniej o coś do nich apelował, a oni odrzucili jego prośbę.

– Panowie, panowie – odezwał się wuj William pojednawczym tonem, wychodząc za nimi na korytarz. – Nie powinniśmy się kłócić. Brak tolerancji to grzech, który doprowadził nas do obecnego opłakanego stanu.

– Nie – odparł pan Whitfield. – To raczej zbyt duża tolerancja doprowadziła nas do upadku. Chyba już nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Z Bogiem, panie Hooke. Panie Winthrop, oby Bóg poprowadził pana ku prawdzie.

Whitfield, Thompson i Scott wyszli. Winthrop przez chwilę patrzył za nimi, po czym pokręcił głową.

– Widzi pan, panie Hooke, jak to wygląda. Beznadziejna sytuacja. – Westchnął ciężko. – Ale dziękuję panu za tę próbę. Teraz musimy poczekać i zobaczyć, jak sprawy się rozwiną.

Szedł już do drzwi, gdy Frances zawołała ze schodów:

– Panie Winthrop, nim pan wyjdzie, proszę powiedzieć: ma pan jakieś wieści o moim mężu i ojcu?!

Zatrzymał się i odwrócił.

– Powiedzieliśmy wszystko, co wiemy, pani wujowi.

– Ale może zechciałby pan powiedzieć i mnie? Proszę wybaczyć, tak dawno nie miałam od nich żadnych wiadomości.

– Powiem ci wszystko później, moje dziecko – obiecał wuj William.

– Widział ich pan? Są zdrowi i cali?

– Frances!

– To żaden kłopot, panie Hooke. – Winthrop uśmiechnął się. – Tak, proszę pani, widziałem ich. Rok temu. Przejeżdżali przez Hartford. I byli zdrowi, wprawdzie zmęczeni podróżą, ale poza tym w całkiem dobrym nastroju.

– A teraz? Gdzie są teraz?

– Gdzieś w kolonii New Haven, o ile mi wiadomo. Tylko garstka osób wie, gdzie dokładnie się ukrywają. Tak jest bezpieczniej.

– Jak im się żyje? Pewnie bardzo ciężko...

– Są wśród przyjaciół, cali i zdrowi, o ile mi wiadomo, a to już coś. Reszta jest w rękach Boga.

– Jeśli ich pan spotka, proszę im powiedzieć, że ja i dzieci też jesteśmy zdrowi, dobrze? Że modlimy się za nich codziennie i żyjemy nadzieją, że kiedyś znów będziemy razem.

– Jeśli ich spotkam, z pewnością im to przekażę. – Uśmiechnął się ponownie i dotknął róna kapelusza. – Do widzenia państwu, niech Bóg będzie z wami.

Gdy tylko wyszedł na ulicę, uśmiech zniknął z jego twarzy. Oczywiście nie mógł powiedzieć Frances Goffe, że postara się nigdy więcej nie spotkać jej męża i ojca. Słyszał ostatnio, że mieszkają w jaskini. Jeśli to prawda, to jak mieli przetrwać zimę? Nieszczęśnicy, pomyślał. Pewnie woleliby już umrzeć.



William Hooke poprosił Frances, by przysłała do niego do salonu. Zaczęła go przepraszać, odniosła jednak wrażenie, że wcale jej nie słucha. Siedział odwrócony

do niej plecami przy małym stoliku, którego używał jako biurka i przy którym tworzył swoje „komunikaty” – po tym, jak zakazano mu nauczać, poświęcał większość energii pisaniu listów, które tak naprawdę były miniaturowymi gazetami, pełnymi faktów i plotek zebranych w mieście. Potem kopiował te listy i rozprowadzał wśród purytańskich społeczności poza Londynem, w Europie i Ameryce. Żyli niczym buntownicy, prowadząc nielegalną działalność. William Hooke już od tygodnia pracował nad kolejnym „komunikatem”. Jego pióro przesuwano się szybko po papierze.

– Obawiam się – zaczął – że twój ojciec i mąż byli źródłem poważnych sporów między naszymi przyjaciółmi w Nowej Anglii. Mieszkańcy New Haven, a zwłaszcza wielebny Davenport, byli bardzo otwarci... chyba zbyt otwarci... w swojej gościnności i utrudniali oficjalne poszukiwania. Teraz chodzą słuchy, że król rozwiąże tę kolonię. W takim wypadku wszystkie jej osady zostaną przejęte przez Connecticut. Obywatele New Haven chcą uzyskać od gubernatora Winthropa zapewnienie, że nie zgodzi się na takie rozwiązanie. Poproszono mnie, bym podjął się roli pośrednika między tymi stronnictwami.

– A pan Winthrop nie udzielił im takiej gwarancji? – spytała Frances.

Jej wuj pokręcił głową.

– Nie. Przybył do Londynu po nowy edykt dla swojej kolonii. Mówi, że jeśli nie wypełni woli króla, narazi Connecticut na podejrzenia.

– I co wuj o tym sądzi?

– Widzę rację obu stron. To moja słabość. No dobrze... – Skończył pisać i podmuchał na atrament, by szybciej go osuszyć. – Pan Thompson mówi, że jego znajomy, kupiec, niejaki Samuel Wilson, wypływa jutro do Bostonu. To purytanin i jest gotowy podjąć ryzyko, jakie wiąże się z przewożeniem listów. Przygotowałem skrót wiadomości dla wielebnego Davenporta i właśnie dodałem postscriptum dotyczące dzisiejszego spotkania, ogólnikowe, ale zrozumie jego wymowę. Byłabyś tak dobra i zaniósłaby ten list panu Wilsonowi? Mieszka w domu nad rzeką. Poszedłbym sam, ale często ktoś mnie śledzi, a poza tym moje nogi nie

są już takie sprawne. – Wsunął złożone kartki do koperty i zalakował ją. – Tu masz adres Wilsona. – Podał jej karteczkę. – A ja pójdę do żony i przekażę jej wiadomości o jej bracie.

Frances poszła do kuchni po płaszcz, a gdy wróciła, wuja już nie było. Na wypchanej kopercie widniał napis: *Wielebny John Davenport, New Haven.*

Samuel Wilson mieszkał w parafii Świętych Piotra i Pawła. Obróciła kopertę w dłoniach, świadoma, że to jedyna, choć bardzo cienka, nić łącząca ją z mężem. Nie mogła oprzeć się pokusie. Usiadła przy biurku, wzięła następną kartkę, zanurzyła pióro wuja w atramencie i zamyśliła się. Nie mogła napisać niczego, co byłoby czymś ponad najcichszy szept miłości – żadnych szczegółowych informacji o ich prawdziwym położeniu, żadnych wieści, które mogłyby zdradzić, gdzie mieszkają, kto wysłał tę wiadomość i do kogo może być zaadresowana. W tej ostatniej kwestii musiała liczyć na dyskrecję wielebnego Davenporta.

Zaczęła pisać:

Serce moje najdroższe, Bóg nas rozdzielił, ale dzięki Jego miłosierdziu dzieci i ja cieszymy się zdrowiem. Wierzę, że w swej łaskawości pozwoli nam się kiedyś spotkać.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie dodać jeszcze zdania skierowanego do ojca, w którym informowałaby go o śmierci jego żony; chciałyby przekazać mu, że był to dla niej akt łaski, nie potrafiła jednak znaleźć odpowiednich słów, a poza tym uznała, że nie ma sensu dokładać mu jeszcze cierpień.

Nie mogę napisać nic więcej, pomyślała.

Złożyła kartkę na czworo i zapieczętowała ją kroplą laku. Potem otworzyła list do wielebnego Davenporta. W środku znajdował się weksel na dwadzieścia funtów, które zebrano wśród miejscowych purytanów. Sami z pewnością potrzebowali tych pieniędzy, choć Frances oczywiście nie miała im za złe, że wykazali się taką hojnością. Wsunęła liścik między osiem gęsto zapisanych stron i ponownie zapieczętowała kopertę w czterech miejscach, korzystając z sygnetu wuja.

Przyjrzała się uważnie swemu dziełu. Nikt nie odgadłby, że przesyłka została naruszona.

Z góry doszedł przytłumiony dźwięk. To wuj powoli schodził na parter. Szybko posprzątała biurko, zabrała list oraz karteczkę z adresem Wilsona i wyszła na ulicę.

Do domu kupca nie było daleko, niewiele ponad milę. Stał nad rzeką przy dawnym klasztorze Blackfriars. Spytała o drogę kościelnego w świątyni Piotra i Pawła i pół godziny po wyjściu z gabinetu wuja zapukała do drzwi Wilsona. Okryty purytańską czernią, był młodszy, niż przypuszczała. Z głębi domu dobiegł dziecięcy śmiech, co dodało jej otuchy.

– Mój wuj prosił, bym przekazała panu ten list. Podobno ma go pan przewieźć do Ameryki.

Mężczyzna zerknął na nazwisko na kopercie i skrzywił się.

– Będę musiał to szczególnie dobrze ukryć.

– Ale robi pan to?

– Zrobię. Obiecałem.

– Niech pana Bóg błogosławi. Dobry z pana człowiek.

Wydawał się zaskoczony jej emocjonalną reakcją.

– Może pani wejdzie na chwilę?

– Nie. Dziękuję, ale muszę wracać do dzieci.

Była niemal w połowie drogi powrotnej do domu, gdy uświadomiła sobie, że tęga kobieta w brązowej sukni i ciemnozielonym czepku, którą zauważyła wcześniej niedaleko domu Wilsona, jest nie dalej niż pięćdziesiąt kroków za nią. Weszła do kościoła Świętej Marii le Bow, przeszła szybko przez główną nawę i opuściła świątynię drzwiami przy prezbiterium. Kawałek dalej skręciła w lewo, w Old Jewry. Kobieta wciąż ją śledziła, choć teraz już z większej odległości. Frances skręciła w dziedziniec, przebiegła po bruku, znalazła drzwi, które nie były zamknięte na klucz, i skryła się w przejściu za nimi. Czy to oznaczało, że dom Wilsona jest pod obserwacją? Czy szukali raczej jej wuja? I czy powinna wrócić do Wilsona, by go ostrzec, że być może narobiła mu kłopotów? Czekwała dobrze ponad

pół godziny, a gdy kościelny dzwon wybił dwunastą, postanowiła zaryzykować i wyjść na zewnątrz.

W wąskiej alejce nie było kobiety w ciemnozielonym czepku. Frances na wszelki wypadek szła okrężną drogą do Swan Alley, raz po raz się odwracając. Wszystko wskazywało na to, że udało jej się umknąć kobiecie.

Natychmiast po powrocie do domu opowiedziała o wszystkim wujowi. Ten nie wydawał się szczególnie zmartwiony. Podejmował ogromne ryzyko, by podtrzymać ich wiarę. Akceptował związane z tym zagrożenia i zakładał, że Wilson również.

– Wszystko w rękach Boga – powiedział.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

W tę samą niedzielę, w którą William Hooke spotkał się z czterema przybyszami z Ameryki, Richard Nayler popłynął do Rotterdamu.

Cztery dni później, wieczorem w czwartek szóstego marca, kucał przy oknie sypialni na piętrze w holenderskim mieście Delft i obserwował przez lunetę pobielony dom po przeciwnej stronie kanału. Niedawno minęła szósta, słońce właśnie zachodziło i po blad różowych ścianach przesuwaly się cienie. Za Naylerem siedział na drewnianym krześle z wysokim oparciem sir George Downing, ambasador Jego Królewskiej Mości w Hadze. Na parterze czekało sześciu angielskich żołnierzy, uzbrojonych, lecz w cywilnych ubraniach, którzy przez całe popołudnie przybywali tu pojedynczo z *Blackamoor*, statku Królewskiego Towarzystwa Afrykańskiego, należącego do księcia Yorku. Statek cumował w rotterdamkim porcie jakieś sześć mil na południe stąd.

Downing ziewnął i spytał:

– A jeśli nie przyjdą?

– Przyjdą – odparł Nayler, poprawiając nieco ostrość lunety, by śledzić, co dzieje się na ulicy. – Czytałem ich listy. Uczucia to ich słabość, proszę mi wierzyć. Z pewnością poczekają do zmroku.

– Więc ktoś może tęsknić za żoną tak bardzo, że jest gotowy ryzykować życie, żeby się z nią spotkać – mruknął Downing z niedowierzaniem i zaczął się śmiać.

Nayler go nienawdził.



Wrócił z Bostonu do Londynu pod koniec lipca, zdecydowany podwoić wysiłki, by zatrzymać królobójców, którzy ukrywali się na kontynencie. Jeśli Whalley i Goffe są wśród nich, z pewnością się o tym dowie. Gdy zameldował

Hyde'owi – teraz hrabiemu Clarendonu – o fiasku misji w Ameryce i poinformował go, że uciekinierzy mogli się udać do Holandii, kanclerz powiedział mu o niedawnej nominacji Downinga na stanowisko ambasadora.

– Proszę do niego napisać – poradził. – Z pewnością chętnie panu pomoże.

– Downing jest w Hadze? – zdumiał się Nayler. – Przecież był człowiekiem Cromwella w Holandii.

– Owszem. A teraz jest naszym człowiekiem. Mówiąc między nami, skontaktował się z nami potajemnie, gdy król przebywał jeszcze na wygnaniu, i sprawdził się jako bardzo użyteczny szpieg. To jeden z tych byłych zwolenników parlamentu, którzy chcą teraz dowieść swojej lojalności. Proszę nie robić takiej zdziwionej miny, panie Nayler. Zwykle nie ma pan podobnych skrupułów.

Downing rzeczywiście okazał się bardzo skuteczny w tropieniu królobójców, właśnie ze względu na swoją przeszłość. Wychowany w Salem w Massachusetts, jeden z pierwszych absolwentów College'u Harvarda, kapelan w armii Cromwella, po przejściu na stronę rojalistów utrzymywał przyjazne stosunki z przebywającymi na wygnaniu byłymi współpracownikami, którzy wciąż mu ufali. W raportach przekazywanych przez niego do komisji przy Tajnej Radzie Naylera było mnóstwo nazwisk i miejsc. Na wolności pozostawało jeszcze trzynastu królobójców, a Downingowi udało się zebrać wiarygodne informacje o sześciu z nich. John Hewson, były szewc, który stracił oko, walcząc w armii Cromwella w Irlandii, zmarł niedawno w Amsterdamie, zatem można było skreślić go z listy. Miles Corbet, prawnik w podeszłym wieku, mieszkał w Holandii, między Zwolle i Kampen. Pozostali czterej – Valentine Walton, szwagier Cromwella, sir John Barkstead, były naczelnik w Tower, John Dixwell i pułkownik John Okey, były dowódca Downinga – mieszkali w Hanau niedaleko Frankfurtu.

Dopóki przebywali w Niemczech, byli poza zasięgiem Anglików. Gdyby jednak udało się ich zwabić do Holandii, można by ich schwytać.

Downing dostarczył nazwiska, ale to Nayler przygotował pułapkę. W Delft mieszkał jego znajomy, kupiec Abraham Kicke, który pomagał królobójcom,

przekazując listy między Barksteadem i Okeyem a ich żonami w Anglii. Nayler czytał te listy, nim trafiały do adresatów, i zauważył, że małżonkowie zwracają się do siebie z ogromną czułością. Zgodnie z jego sugestią Downing zaofertował Kicke'owi nagrodę w wysokości dwustu funtów za głowę, jeśli ten zaproponuje obu mężczyznom potajemne spotkanie z żonami w jego domu w Delft. „Perspektywa spotkania z ukochanymi na pewno ich skusi, panowie”, zapewniał komisję. Aby ostatecznie przekonać królobójców do takiej wyprawy, Downing obiecał Okeyowi bezpieczny przejazd przez Holandię.

Spotkanie zaplanowano na pierwszy tydzień marca, choć pani Okey i lady Barkstead nie miały o tym najmniejszego pojęcia i wiodły spokojny żywot w Anglii.



O siódmej dzwony w Delft rozbrzmiały jasnymi, dźwięcznymi głosami – przyjemniejszymi niż uderzenia dzwonów angielskich kościołów, bardziej melodyjnymi – a pół godziny później dom Kicke'a pogrążał się już w ciemnościach; tylko w oknie na dole paliła się lampa. Kiedy Downing po raz kolejny zasugerował, że królobójcy być może jednak nie przyjdą, Nayler odparł, że w takiej sytuacji będą musieli wrócić następnego wieczoru, i następnego, i kolejnego. Ambasador odchylił się na oparcie krzesła i westchnął ciężko.

W tym momencie zza rogu po prawej wyszli dwaj mężczyźni. Maszerowali szybko, blisko siebie, i bez wątpienia byli uzbrojeni. Minęli oświetlone okno i przystanęli. Po chwili objął ich na moment żółty blask wypływający zza uchylonych drzwi. Przekroczyli próg i drzwi zamknęły się za nimi.

– Są – rzucił Nayler, który obserwował tę scenę przez lunetę. – Weszli do środka.

– Ilu?

– Dwóch.

Downing podniósł się z krzesła, podszedł do Naylera i położył dłoń na jego ramieniu. Miał obwisłe policzki i nalane ciało; od jego ubrań biła woń pieczonej baraniny. Nayler z trudem powstrzymał dreszcz obrzydzenia. Kilka minut później w oknie na piętrze zapaliła się świeca.

– To sygnał – powiedział Downing. – Powiem ludziom. – Ruszył w stronę schodów.

– Proszę poczekać! – zawołał Nayler, poprawiając ostrość lunety. – Jest trzeci.

Na polecenie Naylera Kicke wysłał do mieszkającego pod Amsterdamem Milesa Corbeta list, w którym pytał, czy nie chciałby się spotkać ze starymi towarzyszami. Zgodnie z przypuszczeniami Naylera udręczony samotnością Corbet przyszedł. Był przygarbiony i poruszał się powoli, jak to człowiek zbliżający się do siedemdziesiątki. Drzwi otworzyły się na moment i zniknął w ciemnościach.

– Teraz? – spytał Downing.

Gorliwość, z jaką zdradzał przyjaciół, była dla Naylera czymś niepojętym.

– Niech odłożą płaszcze i pistolety, sir George, i zamienią je na kielichy z winem. W końcu będą je pili po raz ostatni.

Odczekali jeszcze pół godziny, nim zeszli na dół, by zebrać ludzi. Jeden z żołnierzy niósł worek z kajdanami na ręce i nogi, inny miał lampę zawieszoną na drągu. Downing wyciągnął broń, Nayler zrobił to samo. Wyszli razem na pustą ulicę. Kiedy przechodzili po mostku nad kanałem, Nayler czuł, jak serce bije mu coraz szybciej.

Zgodnie z umową Kicke nie zamknął drzwi frontowych na klucz. Downing przesunął się na początek grupy. Nayler pomyślał, że chce sobie przypisać całą zasługę w pojmaniu królobójców; zapewne miał już gotowy raport dla hrabiego Clarendonu, jeśli nie na papierze, to w głowie. Downing odwrócił się i przyłożył palec do mięsistych warg. Weszli cicho do holu. Z pokoju po prawej dochodziły męskie głosy. Kiedy wszyscy znaleźli się w korytarzu, Downing przekręcił gałkę i otworzył drzwi na całą szerokość.

Królobójcy siedzieli z Kickiem przy rozpalonym kominku, pili piwo i palili fajki. Wyraz szoku i grozy, który pojawił się na ich twarzach, gdy do pokoju wpadli żołnierze i starsi mężczyźni rozpoznali Downinga, na długo pozostał w pamięci Naylera. Leciwy Corbet upadł i dostał jakiegoś ataku; jego chude ciało podskakiwało i uderzało o wypolerowaną podłogę niczym marionetka. Z trudem założyli mu kajdany.

Pięć minut później było po wszystkim. Widok więźniów wyprowadzanych z pokoju pozwolił Naylerowi – choć na ten jeden wieczór – uwolnić się od dręczącej myśli, że nie zdołał dopaść Whalleya i Goffe’a.



Minęło kilka dni, nim Nayler miał okazję przesłuchać więźniów.

Kiedy rozeszła się wieść o ich pojmaniu, przed więzieniem zgromadził się tłum miejscowych sympatyków ich sprawy. Złożono do sądu petycję o ich uwolnienie. Tylko dzięki przebiegłości Downinga i potężnym łapówkom w końcu wydano nakaz ekstradycji i królobójcy zostali przekazani Naylerowi. We wtorek o drugiej w nocy angielscy marynarze przeprowadzili ich opustoszałymi ulicami miasta do łodzi i dostarczyli na pokład *Blackamoor* w Rotterdamie. Tam umieszczono ich w ładowni, każdego w oddzielnej kajucie. Następnego dnia rano statek podniósł kotwicę, a Nayler zszedł pod pokład, by przyrzeć się swojej zdobyczy.

Nie zawracał sobie głowy Milesem Corbetem; ten chudy prawnik i urzędnik nie walczył w wojnie domowej, większość okresu rządów Cromwella spędził w Irlandii jako zarządca. Twierdził, że nie poznał Whalleya ani Goffe’a, widział ich tylko w parlamencie podczas procesu króla i później w Malowanej Komnacie, gdzie podpisywano rozkaz wykonania wyroku, i Nayler skłonny był mu wierzyć.

Co innego Barkstead i Okey.

Jako naczelnik Tower Barkstead słynął z brutalności i chciwości, a jako zastępca burmistrza Londynu wprowadził surowe purytańskie prawa: kazał wyburzyć teatr Globe, aresztować setki prostytutek i wysłać wiele z nich do

Ameryki, wyciąć wszystkie słupy majowe, zamknąć Beargarden przy Bankside i zabronił tradycyjnych zabaw ostatekowych. Żołnierze wiedzieli o nim wszystko i nie mieli dla niego litości; jego twarz była cała opuchnięta, a nos wyglądał na złamany.

Naylera najbardziej interesowało to, że Barkstead dosłużył się stopnia pułkownika w armii Cromwella i latem 1648 roku walczył u boku Whalleya podczas oblężenia Colchesteru, gdy rojalistyczni dowódcy, którzy poddali miasto – sir Charles Lucas i sir George Lisle – zostali skazani po uproszczonym procesie. Ireton, Whalley i Barkstead przyczynili się wtedy do wydania wyroku śmierci. Kiedy generał Lucas zaprotestował – „Nie słyszano nigdy dotąd, by zabijano ludzi z zimną krwią” – Whalley odpowiedział mu podobno: „Sir Charlesie, przypomnę panu o takim wypadku” i przywołał historię czternastu żołnierzy purytanów, którzy po kapitulacji zostali powieszani w Woodhouse w hrabstwie Wilt. Egzekucję Lucasa i Lisle’a relacjonowano obszernie w rojalistycznej prasie. *Potem sześciu dragonów z karabinami strzeliło do niego; kiedy upadł, zastrzelono również sir George’a Lisle’a, który wcześniej ucałował towarzysza na pożegnanie.*

Barkstead twierdził, że nie pamięta tego incydentu.

– Ale Whalley był twoim przyjacielem? – Nayler przyniósł sobie stołek na trzech nogach, by było mu nieco wygodniej prowadzić przesłuchanie.

– Był – odparł Barkstead, przykuty do kadłuba statku.

– Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

Więzień zastanawiał się nad tym.

– Dwa lata temu – odezwał się w końcu.

– Gdzie jest teraz?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie potrafisz czy nie chcesz?

– Nie potrafię.

– Mam dowody, że w zeszłym roku przypłynął do Holandii.

– Nawet jeśli tak było, nic o tym nie wiem.

– Może zapomniałeś. Mogę przywołać paru ludzi, żeby odświeżyli ci pamięć.

W oczach Barksteada na chwilę pojawił się strach, ale duch starego żołnierza szybko wziął górę nad sponiewieranym ciałem.

– Możecie mnie bić, ile chcecie. Moja odpowiedź się nie zmieni. Nie wiem, gdzie przebywa obecnie pułkownik Whalley. Choć cieszy mnie wiadomość, że wciąż jest na wolności.

Nayler zastanawiał się, czy sam nie powinien nad nim trochę popracować, uznał jednak, że nie warto. Zabrał stołek i lampę i przeszedł do sąsiedniej celi, gdzie w rogu kulił się drugi z uwięzionych oficerów. Okey dowodził pod Naseby pułkiem dragonów, który pomógł przechylić szalę zwycięstwa na stronę armii Cromwella. Na pewno dobrze znał Whalleya. Nayler postanowił spróbować innego podejścia. Postawił lampę na podłodze i usiadł na stołku.

– Jak się pan miewa, pułkowniku? – spytał.

– Na tyle dobrze, na ile może człowiek, który został podle zdradzony przez kogoś, komu ufał.

– Rozumiem pana rozczarowanie. Mówiąc między nami, Downing to łajdak o moralności dziwki. Przykro mi, że tak pana potraktował.

– Rozumie pan? Wątpię. Ten człowiek był moim kapelanem. Mieszkał w moim domu. Gdyby nie ja, dziś byłby nikim.

– Przykro mi oglądać pana w takim stanie. – Nayler pochylił się do Okeya. – Mógłbym panu trochę ulżyć, może pozwolić wyjść na pokład, żeby zaczerpnął pan świeżego powietrza.

– Chce się pan ze mną układać? Proszę sobie oszczędzić wysiłku. Nie mam nic na wymianę.

– Chodzi mi jedynie o pewną informację. Pułkownik Whalley i pułkownik Goffe... Byli pana przyjaciółmi, prawda?

– Goffe niezupełnie. Zbyt radykalny i uduchowiony jak na mój gust. Ale Neda Whalleya znałem całkiem dobrze.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

– Dobry oficer. Całkowicie oddany Cromwellowi. To było jego szczęście i przekleństwo zarazem.

– W jakim sensie przekleństwo?

– Oddał rozsądek za pozycję. Stał się pupilem Cromwella. Wiedział pan, że był jednym z tych, którzy namawiali lorda protektora, żeby został królem? Republikę toczyła zgnilizna.

– Podobno jest w Holandii – powiedział Nayler.

Okey wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem parsknął śmiechem.

– Teraz już rozumiem pańską grę. Downing był moim Judaszem, a ja mam zostać Judaszem Whalleya. Po to, żebym mógł wyjść na pokład i nabrać trochę rumieńców, zanim zostanę powieszony, wypatroszony i poćwiartowany!

– Mówi się, że Whalley jest w Europie. Jeśli tak, to na pewno próbował się z panem skontaktować.

– Po raz ostatni widziałem Neda kryjącego się w okopie pod Daventry, gdy pojmano generała Lamberta i republika padła. To było prawie dwa lata temu. Od tego czasu nie miałem od niego żadnych wieści. Choć szczerze mówiąc, panie Nayler, nie zdradziłbym go, nawet gdybyśmy się widzieli w zeszłym tygodniu, więc może pan mi wierzyć albo nie. A teraz proszę mi dać pomodlić się w spokoju. Mam przed sobą długą drogę na spotkanie z Bogiem i mało czasu, by się do niej przygotować.

Nayler przyglądał mu się, mimo woli czując do niego szacunek. Nawet w tym żalonym stanie ci ludzie pozostawali nieugięci i nie tracili ducha. Nic dziwnego, że wygrali wojnę. Zabrał lampę i stołek i w drodze na pokład polecił dowódcy straży, by pozwolił każdemu z więźniów spędzić pół godziny na świeżym powietrzu, pod ścisłym nadzorem.



W niedzielę rano, szesnastego marca, *Blackamoor* rzucił kotwicę w ujściu Tamizy przy Gravesend. Na rozkaz lorda kanclerza Pepys z marynarki wojennej

wysłał na spotkanie okrętu barkę i trzech królobójców przeniesiono do kajuty na jej rufie. Połączane ławki w kajucie były obite karmazynowym aksamitem dla wygody oficerów admiralicji i skuci łańcuchami Corbet, Barkstead i Okey wyglądali dość dziwnie w tym otoczeniu. Strażnicy usiedli na dziobie z marynarzami. Pióra wiosel zanurzyły się w wodzie i barka ruszyła. Po kilku minutach widok więźniów, a jeszcze bardziej brzęk ich łańcuchów tak bardzo przygnębiał Naylera, że w końcu wyszedł na zewnątrz i dołączył do strażników.

Do Tower dotarli o zmierzchu. Popychani i szturchani królobójcy weszli na pokryte zielonym szlamem schody za Bramą Zdrajców. Kiedy Barkstead mijał Naylera, ten nie mógł się powstrzymać i powiedział, że dla byłego naczelnika Tower to właściwie powrót do domu, „Choć teraz przyjdzie panu mieszkać w mniej komfortowych warunkach niż poprzednio”, dodał. Wsiadł z barki przy pomocy Essex House i przeszedł przez ogrody, by spędzić wieczór w swoim mieszkaniu.

Następnego dnia poszedł rano do pałacu Whitehall, gdzie Samuel Nokes, tuląc do piersi dokumenty sprawy, czekał z gratulacjami. Kiedy Nayler usiadł za biurkiem i opisał okoliczności aresztowania, Nokes spytał:

– Zdobył pan jakieś informacje dotyczące Whalleya i Goffe’a?

Czy Naylerowi tylko się wydawało, czy też jego sekretarz delikatnie z niego drwił?

– Nie, nie zdobyłem, choć sądząc po pańskim uśmiechu, panu się to udało.

Nokes sięgnął do dokumentów

– Pamięta pan tego kupca, Samuela Wilsona, którego podejrzewaliśmy o przewożenie tajnych wiadomości między purytanami z Londynu i Ameryki?

– Oczywiście. To ja kazałem go obserwować.

– Kiedy był pan w Holandii, odkryłem, że jego statek ma lada moment wypłynąć, i kazałem go przeszukać. Znaleźliśmy mnóstwo wywrotowych książek, traktatów religijnych i podobnych druków ukrytych wśród towarów. Wilson jest w areszcie i przysięga, że nic nie wiedział o tych rzeczach ani nie ma pojęcia, skąd się tam wzięły.

– A jaki to ma związek z Whalleyem i Goffe’em?

– Znaleźliśmy także to. – Nokes położył przed przełożonym gruby list.

– *Wielebny Davenport* – przeczytał Nayler. – Paskudne indywiduum. – Przeglądał pobieżnie kolejne strony, litanie narzekań na represje rządu wobec purytanów i wrogie królowi plotki, aż dotarł do końca. *Podpisano D.G.* – Kto to może być?

– Znaczenie inicjałów jest niejasne, ale sądząc po treści, autorem jest pewien niemłody już purytański pastor, który kiedyś mieszkał z Davenportem.

– William Hooke?

– Tak sędzę. Opisuje spotkanie z gubernatorem Winthropem i jakimiś ważnymi ludźmi z New Haven, które miało miejsce dwie niedziele temu i chyba poszło nie najlepiej. Proszę zwrócić uwagę na ostatnią część.

Słowa zapisano maleńkimi literami, w ciasno stłoczonych liniach, dla oszczędności papieru, ale dało się je łatwo odczytać.

– *Proszę, pozdrów moich krewnych, o których wspominałeś ostatnio, i przekaz im tyle, ile uważasz za stosowne. Powiedz im, że nasi przyjaciele tutaj mają się dobrze.* – Nayler podniósł wzrok na Nokesa. – Jego krewni? Chodzi o Whalleya i Goffe’a?

– Z całą pewnością. Whalley jest jego szwagrem, a Goffe mężem siostrzenicy. Do „przyjaciół” zalicza się zapewne Frances Goffe. Między kartkami była też druga wiadomość.

Nokes podał ją zamaszystym gestem Naylerowi, czego prawie nigdy nie robił. Tę wiadomość sporządzono całkiem innym pismem – niewprawnym, niemal dziecięcym.

– Jedna z kobiet, które opłacamy, zameldowała, że dzień przed tym, jak Wilson zamierzał wypłynąć do Ameryki, odwiedziła go jakaś kobieta. Podobno wyglądała na dwadzieścia kilka lat, była szczupła i zabiedzona. Ale z pewnością nie była głupia, wymknęła się tej, która ją śledziła.

– Frances Goffe... – Nayler skinął głową. Podniósł kartkę do nosa i powąchał ją. Sara spryskiwała listy miłosne perfumami, ale wiadomość Frances nie miała żadnego zapachu. Oczywiście, że nie miała, Frances była przecież porządną purytańską żoną. – Wiemy, gdzie ona mieszka?

– Mieszkała z Hooke’ami przy Swan Alley, ale musieli się dowiedzieć o aresztowaniu Wilsona, bo znów się przeprowadzili.

Sfrustrowany Nayler uderzył pięścią w stół.

Przejrzał szybko korespondencję, która zgromadziła się podczas jego nieobecności, po czym poszedł do Worcester House, by złożyć lordowi kanclerzowi raport z wydarzeń w Delft.

– Mamy też nowe informacje świadczące o tym, że Whalley i Goffe nadal są w Ameryce – powiedział, gdy zrelacjonował już akcję w Holandii. – Niemal na pewno w New Haven, gdzie wciąż pozostają pod ochroną Davenporta i jego przyjaciół.

– Mówił pan, zdaje się, ostatnio, że mogą być w Holandii? – przypomniał mu Hyde.

– Miałem taką nadzieję. Wygląda jednak na to, że znów musimy skupić się na Ameryce.

– Co pan proponuje?

– Doszedłem do wniosku, że sekretarz Morice miał słuszość w tej kwestii. To zadanie wymaga ekspedycji na większą skalę. Nie możemy polegać na miejscowych. Musimy pomaszerować prosto na New Haven i dręczyć ich dopóty, dopóki nie wydadzą tych zdrajców.

– „Musimy”? Kto dowodziłby tą wyprawą?

– Popłynąłbym tam ponownie, gdyby pan pozwolił, sir Edwardzie, ale tym razem zostałbym do czasu, aż zadanie zostanie wykonane.

– Whalley i Goffe... – jęknął kanclerz. – Whalley i Goffe... Już raz pana ostrzegałem. Jeszcze trochę, a wszyscy będą mieli dość pańskiej obsesji. Kiedy

skończymy z tymi trzema królobójcami z Holandii, będziemy mieli na koncie trzynastu powieszonych, wypatroszonych i poćwiartowanych ludzi.

Nayler zaczął protestować, lecz Hyde podniósł rękę.

– Wystarczy, panie Nayler. Nastroje się zmieniały. Ludzie mają już dość tego spektaklu. Wkrótce zaczną traktować królobójców jak męczenników, a to bardzo niebezpieczne. Jeśli Whalley i Goffe wpadną w nasze ręce, muszą oczywiście ponieść karę przewidzianą prawem. Ale kategorycznie zabraniam panu marnować więcej państwowych pieniędzy na to bezowocne przedsięwzięcie. Czy wyrażam się jasno?

– Oczywiście, sir Edwardzie – powiedział Nayler.

Lecz zanim jeszcze wyszedł z gabinetu, jego niestrudzony umysł szukał już rozwiązania, które pozwoliłoby mu ująć Whalleya i Goffe'a.



Datę potrójnej egzekucji wyznaczono na dziewiętnastego kwietnia, na sobotę, by przyglądało się jej jak najwięcej ludzi. Już wczesnym rankiem zbocza wokół Tyburn wypełniły się dziesiątkami tysięcy widzów i setkami straganów, na których sprzedawano piwo, rum, ostrygi, ciasta i inne wiktuały. Rodzice sadzali sobie dzieci na ramionach, by zapewnić im lepszy widok. Nayler nadzorował całość spektaklu i wcale nie wydawało mu się, by londyńczycy byli w mniejszym stopniu niż przy poprzednich egzekucjach złaknięmi widoku cierpienia i krwi.

Ciekawskich było tak wielu, że konie ciągnące skazańców na drewnianych ramach nie mogły przedrzeć się przez ciżbę, więc królobójcy musieli przejść do szafotu na piechotę – najpierw Okey, pół godziny później Barkstead, którego witały najgłośniejsze gwizdy i szyderstwa, a na końcu Corbet. Skazańcy wspięli się na wóz stojący pod szubienicą, zdjęto im peruki i założono stryczki na szyję. Paleniska, w których podgrzewano żelazne narzędzia tortur, lśniły wesoło w wiosennym słońcu. Królobójcy wygłosili mowy pożegnalne, Okey zaatakował Downinga – „Ten, który był niegdyś moim kapelanem, przywiódł mnie na szafot” –

i namawiał zebranych, by wspierali króla. Potem Barkstead zawołał: „Panie Jezu, przyjmij nasze dusze!”, koń smagnięty po zadzie pociągnął wóz i wszyscy trzej zakołysali się na sznurach.

Lecz tłum to dziwny stwór, kapryśny i nieprzewidywalny, i gdy kat przystąpił do swego krwawego dzieła, nad Tyburn zapadła dziwna cisza. Nayler przekonał się, że Hyde – czy też jego szpiedzy – nie mylił się: ludzie rzeczywiście mieli tego dość. Zaczęli się rozchodzić na długo przed ćwiartowaniem i gotowaniem głów. A następnego dnia, gdy w uznaniu aktu skruchy Okeya jego rodzinie zwrócono poćwiartowane ciało, by mogła mu urządzić chrześcijański pochówek, na pogrzebie w Stepney pojawił się taki tłum, że trzeba było przerwać ceremonię z obawy przed zamieszkami, i szczątki skazańca przetransportowano ukradkiem do Tower.

Gdy dzień po tym Nayler stawiał się w siedzibie Tajnej Rady Królewskiej, Hyde już na niego czekał.

– Czy nie ostrzegałem pana, że może do tego dojść? – powiedział. – Ze względów bezpieczeństwa musieliśmy wczoraj przewieźć Jego Wysokość do Hampton Court. Koniec z egzekucjami. Od tej pory, jeśli znajdziemy jakiegoś królobójcę, będziemy się go pozbywać innymi środkami.

Nayler spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Chce pan, sir Edwardzie, żebym wysyłał za granicę ludzi, którzy ich zabijają?

– Czemu nie? Pod warunkiem że nie da się udowodnić, że to nasza sprawa.



Przez całą wiosnę i lato Nayler regularnie zwoływał swoje grupy wywiadowcze. Wieść o pojmaniu Barksteada, Corbeta i Okeya przeraziła pozostałych wygnańców i stali się jeszcze ostrożniejsi niż dotąd. Downing doniósł o śmierci dwóch kolejnych. Valentine Walton, mąż siostry Cromwella, który zarabiał na życie jako ogrodnik we Flandrii, na łożu śmierci ujawnił swoją tożsamość. Thomas Challoner, jak się okazało, rok temu zmarł w Middelburgu. To

oznaczało, że przy życiu pozostało tylko siedmiu mężczyzn, którzy podpisali wyrok śmierci na króla. W szwajcarskim mieście Vevey mieszkali Edmund Ludlow, używający fałszywego nazwiska Phillips, oraz William Say, obaj chronieni przez władze kantonu Berno; w Rotterdamie ukrywał się podobno Michael Livesey; w Akwizgranie w Niemczech widziano Daniela Blaggrave'a, a w Ameryce wciąż przebywali Whalley i Goffe. Miejsce pobytu Johna Dixwella, byłego komendanta twierdzy w Dover, pozostawało nieznane. Pięćdziesięciu dwóch zmarłych – czy to z ręki kata, czy z przyczyn naturalnych – to całkiem przyzwoity wynik, ale Naylera wciąż dręczyła myśl, że nie dokończył dzieła. Godzinami wpatrywał się w listę królobójców, niemal czarną od wykreślonych nazwisk. Lord kanclerz miał rację: zamachy były jedynym rozsądnym sposobem na pozbycie się pozostałych królobójców. W Europie kontynentalnej, gdzie roіło się od angielskich agentów i byłych żołnierzy szukających zatrudnienia, nie było to trudne, ale jak miał znaleźć takich ludzi w Ameryce? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że problem Whalleya i Goffe'a można rozwiązać jedynie, wysyłając do Nowej Anglii ekspedycję wojskową. Wiedział jednak, że Hyde nie zmieni zdania i nie sfinansuje tak kosztownego przedsięwzięcia tylko po to, by dopaść dwóch królobójców. Co mógł więc zrobić?

Znalazł odpowiedź pewnej lipcowej nocy, gdy leżał w łóżku i nie mógł zasnąć z powodu upału.

Księżę Yorku.

Brat króla, który nie skończył jeszcze trzydziestki, zawsze szukał sposobów na szybki zarobek, a jeśli łączyła się z tym wojacka sława, to tym lepiej.

Nayler postanowił, że następnego dnia postara się na niego wpaść w Izbie Lordów, gdzie księżę lubił przesiadywać w fotelu kanclerskim i ze znużeniem wysłuchiwać parlamentarnych debat. Miał twarz sybaryty – pociągłą i bladą niczym księżyc o północy, z szerokimi miękkimi ustami i wyrazem znużenia i pogardy. Kiedy wstał, by opuścić salę, Nayler stanął przy drzwiach i pokłonił się nisko.

– Wasza Wysokość...

Książę przystanął i spojrział na niego spod ciężkich powiek.

– Ach tak, pan...

– Nayler, Wasza Wysokość.

– Nayler? – Książęcy umysł pracował dość powoli. Brat króla wyglądał tak, jakby położył się spać dopiero nad ranem. – Nasz główny łowca królobójców?

– Owszem, Wasza Wysokość. – Nayler znów pokłonił się nisko.

– I jak wyglądają postępy?

Książę Yorku szedł dalej w otoczeniu świty. Nayler dreptał obok niego.

– Tylko garstka pozostaje na wolności. Kilku na kontynencie i dwóch w Ameryce...

Nim książę dotarł do końca korytarza, Nayler zdołał pokrótce opisać swój pobyt w Nowej Anglii i przykrości, jakie go tam spotkały.

– Szokujące – rzucił książę beznamiętnym tonem.

– Tak, to szokujące, Wasza Wysokość, znosić takie upokorzenia ze strony królewskich poddanych. No i jeszcze ci Holendrzy...

Książę zatrzymał się przy drzwiach na dziedziniec. W jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– Co z Holendrami?

– Wygląda na to, że królobójcy korzystali z ich portu, Nowego Amsterdamu. Holenderscy osadnicy myślą tylko o pieniądzach. Cała kolonia jest zamożna i stoi na drodze naszej ekspansji. Ale ochrona miasta jest bardzo słaba.

– Widział pan to?

– Tak, kiedy odwiedzałem generalnego zarządcę Stuyvesanta, naliczyłem w forcie tylko dwadzieścia armat. Straż miejska też jest nieliczna.

– Interesujące. – Książę obdarzył go łaskawym uśmiechem, jakby rzucał mu monetę. – Cóż, do widzenia, panie...

– Nayler, Wasza Wysokość.

Nayler odprowadził wzrokiem księcia przechodzącego przez dziedziniec. Ziarno zostało zasiane. Musiał czekać, aż wyda plon. Tymczasem będzie nadal

zbierał informacje o miejscu pobytu Frances Goffe i Hooke'ów, którzy znów przypadli bez śladu, chronieni przez londyńskich purytanów.



Frances miała zapamiętać gorące miesiące tego lata jako najgorszy okres życia rodziny od czasu ucieczki Willa.

Gdy tylko dowiedzieli się o aresztowaniu Samuela Wilsona, ona, jej dzieci i Hooke'owie załadowali skromny dobytek na dwa wózki, które sami ciągnęli, i przenieśli się w pośpiechu ze Swan Alley do innej kryjówki, przy West Harding Street w Holborn, na północ od Fleet Street. Nowa kwatery była znacznie gorsza od poprzedniej: dwie sypialnie dla ośmiu osób, w wilgotnym szeregowym domu, w połowie mrocznej alejki o długości zaledwie pięćdziesięciu kroków. Klienci pobliskich piwiarni traktowali to miejsce jako latrynę. Gdy zrobiło się cieplej, ścieki cuchnęły obrzydliwie. Betty i Nan znów zachorowały. Frances znalazła pracę przy cięciu tytoniu w magazynie nad rzeką i zostawiała dzieci pod opieką ciotki Jane. Z trudem zachowywała pozory dobrego nastroju w obecności dzieci, choćby ze względu na poczucie winy, że to po części za jej sprawą spadło na nie to kolejne nieszczęście.

Od razu przyznała się wujowi, że wsunęła wiadomość do jego listu do Davenporta. Złościł się, ale niedługo. Kazał jej powtórzyć słowo w słowo, co napisała.

– Jeśli nie używałaś nazwisk, nie powinno to mieć znaczenia. – Pozwolił sobie nawet na żart: – Wyobraź sobie tylko, Frances: twój list miłosny w rękach Tajnej Rady. – Przynajmniej na pozór wydawał się niezagniewany.

Podczas gdy ona pracowała, a ciotka opiekowała się dziećmi, wuj nadal przygotowywał swoje „komunikaty”, choć teraz nie ośmielał się adresować ich bezpośrednio do Davenporta, człowieka napiętnowanego. Pisał do innego starego przyjaciela, wielebnego Increase'a Mathera z Północnego Kościoła Bostonu.

Pewnego dnia pod koniec sierpnia, gdy Frances wróciła do domu, wyczerpana pracą w fabryce tytoniu, wuj odciągnął ją na bok. Trzymał ręce za plecami i miał wyjątkowo poważną minę.

– Wuju? – spytała, przerażona, że któreś z dzieci spotkało jakieś nieszczęście. – Co się stało?

– Nic złego. – Jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu. – Dostałaś list.

Wysunął ręce z za pleców i pokazał jej małą kartkę złożoną na dwoje.

Musiała się zebrać na odwagę, by zadać to pytanie:

– Od Willa?

Skinął głową.

Pragnęła tej chwili tak bardzo i czekała na nią tak długo, że przez kilka sekund nie wiedziała, co zrobić. Potrzebowała prywatności, wzięła więc list i wyszła z nim na ulicę. Ręce drżały jej tak mocno, że nie mogła go otworzyć, a kiedy w końcu to zrobiła, słowa skreślone znajomym charakterem pisma falowały jej przed oczami.

29 maja 1662

Najdroższa moja, tak wiele się wydarzyło od naszego rozstania i tak wiele przeżyłem, że sam nie wiem, o czym pisać. Poza tym mam na to mało czasu, bo posłaniec nie może czekać, a nie spodziewałem się takiej okazji. Wiedz jednak, że jestem zdrowy, podobnie jak Twój ukochany ojciec, który siedzi teraz obok mnie i każe Ci przesłać najserdeczniejsze pozdrowienia. Najukochańsza moja, Boże plany wobec nas są niezgłębioną tajemnicą, a rozłąka z Tobą i dziećmi jest tak trudna do zniesienia. Wierzę jednak głęboko i wiem, że to wszystko ma jakiś sens. „Nie wyczerpała się litość Pana, miłość nie zgasła. Odnawia się ona co rano: ogromna Twa wierność” (Lamentacje 3, 22-23). Napisz do mnie, jeśli Twoi bliscy uznają, że to bezpieczne, bo pragnę wiedzieć o wszystkim, co się u Was dzieje. Żyję tylko w nadziei, że pewnego dnia znów będziemy razem i że ujrzę Twoją słodką twarz. A wtedy wszystko się wyjaśni, słusznie bowiem powiedziano, że nie

ma nic ukrytego, co by nie wyszło na jaw, ani nic tajemnego, co by się nie stało wiadome. Pozdrawiam Cię, kochanie. Żegnaj.

Czytała ten list jeszcze wielokrotnie i zawsze trzymała go pod poduszką.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Tego dnia, gdy Frances otrzymała list Willa, mijał niemal dokładnie rok, odkąd zbiegowie zamieszkali w piwnicy właściciela sklepu w Milfordzie. Nie byli więźniami – mogli w każdej chwili odejść – Micah Tomkins dał im jednak wyraźnie do zrozumienia, że dopóki pozostają w jego kryjówce, muszą przestrzegać jego zasad, co w praktyce oznaczało, że są więzieni. Przez dwadzieścia trzy godziny na dobę musieli pozostawać pod ziemią. Wychodzili na powierzchnię tylko w ciemności, gdy wszyscy domownicy – Tomkins, jego żona Mary i ich dwie córeczki, a właściwie całe Milford – spali. Wtedy mogli ćwiczyć na podwórzu i zapuszczać się nie dalej niż do sadu. Często, gdy noce były pogodne, nie mogli się zmusić do powrotu, zostawali więc na zewnątrz znacznie dłużej niż godzinę i wracali do kryjówki dopiero o świcie.

Magazyn z piwnicą, w której przebywali, stał między domem a sklepem. Pomieszczenie w podziemiu było na tyle wysokie, że Ned mógł w nim stać wyprostowany, i dość przestronne: dwadzieścia na dwadzieścia stóp. Wiedzieli to, bo przemierzali je w nieskończoność. Była tam żelazna skrzynia z kominem, w której mogli zimą palić; Tomkins tłumaczył sąsiadom, że wędzi tam mięso. Mieli stół, dwa proste drewniane krzesła i jedno łóżko. Załatwiali się do stojącego w rogu drewnianego wiadra na nieczystości; wynosili je na górę nocą i wylewali zawartość do kloaki. Piwnica sięgała jakieś dwie stopy poza magazyn i w tym miejscu była tutaj metalowa kratka, przez którą wpadało do wnętrza świeże powietrze i trochę dziennego światła, ale kiedy padał deszcz albo śnieg, trzeba było ją zakrywać. Ned i Will często siadali pod kratą i patrzyli w górę na błękit nieba lub gwiazdy.

Tomkins, człowiek bardzo poważny, wręcz posepny, wyraźnie nie był zadowolony z ich obecności. Spełniając chrześcijański obowiązek, przynosił im codziennie jedzenie i picie; jako właściciel sklepu nie miał problemów z ukryciem

tego, że karmi nie tylko rodzinę. Na szczęście nie był jedynym człowiekiem, którego widywali pułkownicy. Co jakiś czas z New Haven przyjeżdżali Davenport i Jones, żeby się z nimi pomodlić i przekazać wieści ze świata, w dużej części dostarczane przez Williama Hooke'a z Londynu, ostatnio za pośrednictwem Increase'a Mathera.

Kat spalił uroczyście umowy zawarte w 1643 roku między parlamentem a sprzymierzonymi Szkotami... Markiz Argyle został ścięty i podczas egzekucji okazał odwagę i niezłomność... Parlament polecił, by lord Monson, sir James Harrington i sir Henry Mildmay (który sądził straconego króla) zostali pozbawieni zaszczytów i tytułów, a do tego w każdą rocznicę śmierci króla będą przeciągani po ziemi na drewnianych ramach, z pętlą na szyjach i twarzami wysmarowanymi krwią, od Tower do szubienicy w Tyburn i tam będą stali przez sześć godzin, po czym wrócą do Tower, gdzie spędzą resztę życia...

Tak właśnie wyglądała łaska dla tych, którzy się poddali i wyrzekli swojej wiary!

O obecności pułkowników wiedziało kilku członków społeczności Milfordu – pastor Roger Newton, członkowie rady Robert Treat i Benjamin Fenn – i od czasu do czasu ich odwiedzali. Uciekinierzy nigdy nie widzieli żony Tomkinsa ani jego córek, choć dziewczęta korzystały z magazynu do przedzenia, więc często słuchali, jak śpiewają podczas pracy. Dziecięce piosenki wzruszały Willa do łez. Słyszeli też klientów przychodzących do sklepu, gdy ci przystawali na zewnątrz i plotkowali. Było to dla pułkowników pewnego rodzaju rozrywką, choć pogodne głosy ludzi nieświadomych ich obecności jednocześnie pogłębiały ich izolację.

Aby skupić na czymś myśli, wrócili do dawnych zajęć. Ned ciął i zszywał zwierzęce skóry, które Tomkins kupował od miejscowych Indian, Will wędził i solił mięso oraz ryby. Ich produkty sprzedawano w sklepie, a kiedy Tomkins

obliczył, że zarabia na tym więcej, niż wydaje na utrzymanie zbiegów, uparł się, by wypłacać im nadwyżkę, zaczęli więc gromadzić skromne oszczędności.

Ludzie, którym los oszczędził męczarni, jaką jest przebywanie przez długi czas w zamknięciu, zakładają z pewnością, że w takiej sytuacji dni straszliwie się ciągną, ale ci, którzy doświadczyli takiej tortury, wiedzą, że jest odwrotnie. Kiedy każdy dzień staje się taki sam jak poprzedni, umysł nie ma punktu zaczepienia. Czas traci wymiar. Dni mijają niepostrzeżenie, jeden podobny do drugiego, szybko łączą się w tygodnie i miesiące. Jednocześnie, za sprawą jakiejś dziwnej właściwości natury, noce wypełnione niesamowitymi snami, które w przypadku Neda niemal zawsze dotyczyły przeszłości, stają się dziwnie żywe. Kiedy budził się zlany potem i wyczerpany, zwykle leżał na łóżku sam, bo Will wolał ułożyć się na podłodze, niż czekać, aż teść przestanie się szarpać i przewracać z boku na bok.

Co zdumiewające, rzadko się kłócili. Znali już swoje zachowania i nastroje tak dobrze, że zawczasu dostrzegali sygnały ostrzegawcze i nauczeni doświadczeniem, milczeli. Gdy Will robił się drażliwy, Ned rozumiał, że myśli o Frances i dzieciach, unikał więc tematów, które mogłyby go sprowokować. A kiedy Ned pogrążał się w myślach, Will wiedział, że teść wspomina Cromwella oraz zdarzenia, które niegdyś zaprowadziły go tak wysoko, a teraz zepchnęły w otchłań.

Wszystkie zgromadzenia publiczne zostały zakazane, a ci, którzy spotykają się za zamkniętymi drzwiami, pozostają pod obserwacją; wielu z nich wtrącono do więzienia – nie wiem, kiedy spotka to również mnie... Chwała przeminęła, a na lud Boży zstąpiło wcielone zło. Wściekłość nieprzyjaciela i cierpienia Świętych narastają z dnia na dzień... Nasi przyjaciele w Anglii popadają w zwątpienie i błądzą w ciemności, nie wiedząc, co czynić: uciekać czy też bronić sprawy do końca?... Księżę Rupert został mianowany naczelnikiem Tower...

Dowiedzieli się o straceniu Barksteada, Okeya i Corbeta i o odwadze, jaką wykazali się na miejscu egzekucji. Will, poruszony tą wieścią, znów zaczął gorzko

biadać nad głupotą, przez którą uciekli do Ameryki. „Spójrz tylko na nas, uwięzionych w celi, bez wolności i honoru. Przecież gdybyśmy mieli odwagę naszych umęczonych przyjaciół, bylibyśmy teraz z Bogiem”. Ned chciał zauważyć, że ci trzej również uciekli, by uniknąć kary, i zginęli śmiercią męczenników tylko przez własną nieostrożność, co wcale nie wydało mu się honorowe, zdołał jednak utrzymać język za zębami.

Rozmyślając o egzekucjach, Will popadł w głęboką melancholię; trwała kilka tygodni i skończyła się dopiero w listopadzie, gdy złożył im wizytę Davenport. Przyszedł sam; postarzał się i sprawiał wrażenie bardzo przygnębionego. Z Londynu dotarł komunikat z wieścią, że Winthrop przyjął królewski edykt, na mocy którego całe terytorium New Haven podlegało teraz jurysdykcji Connecticut.

– Czy to wola Boża, by prawo Mojżeszowe zniknęło z tej krainy? – powiedział.

Był tak zdumiony i skonsternowany działaniami Wszechmocnego, że dopiero po zakończeniu modlitwy i rozważań nad Biblią, gdy postawił już jedną stopę na drabinie, by wyjść, przypomniał sobie o innym powodzie tej wizyty.

– Proszę wybaczyć, pułkowniku Goffe, całkiem zapomniałem. Mam dla pana list z Anglii.



Will poczekał, aż Davenport wyjdzie, po czym poszedł z listem pod kratę, gdzie w bladym zimowym świetle mógł odczytać niezdarne pismo Frances. Zdawał sobie sprawę, że podobnie jak jemu, brakuje jej wykształcenia, ale była to jedna z rzeczy, które ich łączyły.

Najdroższy mój, ogromnie mnie ucieszył Twój cudowny list. Dzięki Bożej łaskawości ja i dzieci pozostajemy w dobrym zdrowiu. Betty i Nan są trochę słabowite, ale pozostałe to krzepkie dzieci.

Całym sercem pragnę być z Tobą, lękam się jednak, że mógłbyś wtedy wpaść w ręce wroga, jak to się zdarzyło pułkownikowi Barksteadowi i pułkownikowi Okeyowi, dlatego na razie oprę się takiej pokusie w nadziei,

że Pan w odpowiednim czasie zwróci nas sobie. Poczajmy się myślą, że nawet jeśli nie spotkamy się już na tym świecie, to dzięki łasce Bożej połączymy się na powrót w niebie. Kochany mój, wiem, że jesteś pewny moich uczuć, pozwól mi jednak powiedzieć, że jesteś mi tak drogi, jak tylko mąż może być drogi żonie, i że gdybym wiedziała tylko, co uczynić, by Cię uszczęśliwić, zrobiłabym to z Bożym przyzwoleniem, nawet za cenę życia.

Jeśli chodzi o wieści, to nie żyje mój wuj Burket, odeszła też moja matka. Mój brat John popłynął za morze, nie wiem jednak dokąd. Henry i Edward podobnie.

Najdroższy mój, krewni i przyjaciele są dla mnie bardzo dobrzy, więc, Bogu dzięki, nie brakuje nam jedzenia i ubrań. Choć czuję niewysłowioną ulgę, wiedząc, że dobrze Ci się wiedzie, z obawy przed najgorszym błagam Cię, byś nie pisał zbyt często. Oni są bardzo czujni.

A teraz, najdroższy, roniąc tysiąc łez, opuszczam Cię i polecam Bogu, który ani nie próżnuje, ani nie śpi i który, mam nadzieję, zachowa Ciebie i towarzyszącego Ci mojego drogiego przyjaciela przed wrogami, a w swoim czasie przywróci Cię rodzinie. O co modli się codziennie Twoja kochająca i posłuszna aż do śmierci żona. F.

Wielu przyjaciół stąd prosi, by Cię od nich pozdrowić. Richard i pozostałe Twoje ukochane dzieci dużo mówią o Tobie i pragną Cię zobaczyć. Przekaż, proszę, że wciąż jestem posłuszną córką kochanego ojca i całym sercem codziennie się za niego modlę, ale taki kiepski ze mnie skryba, że nie ważę się do niego pisać. Błagam, zachowaj czujność i uważaj, komu ufasz.

Przeczytał list ponownie, po czym wrócił do słów *...nie żyje mój wuj Burket, odeszła też moja matka*. Dość oględny sposób przekazywania okropnych wieści, niemal mimochodem, pomyślał, wiedział jednak, że jest to świadectwem jej wiary: po latach ciężkiej choroby Katherine Whalley zaznała wreszcie spokoju w Bogu.

Nie był to zatem powód do rozpacz. Zerknął na Neda, który pochylał się, siedząc na krześle, i wpatrywał w niego z przejęciem.

– Śmiało – odezwał się w końcu. – Co pisze?

– Sam powinieneś to przeczytać – odparł Will. Podał teściowi list i położył dłoń na jego ramieniu w geście pocieszenia.

Gdy Ned podniósł wzrok, na jego twarzy pojawił się wyraz lęku.

Skończywszy czytać, odchylił się na oparcie krzesła i wbił wzrok w przestrzeń, wciąż zaciskając list w dłoni.

– Bardzo mi przykro – powiedział Will. – Była wspaniałą kobietą, pełną Bożej łaski. Bardzo cierpiała, a teraz jej męki dobiegły końca.

Ned przez chwilę milczał, a potem rzucił:

– Cóż, tak to jest.



Kiedy tej nocy jak zwykle wyszli na górę, by zaczerpnąć powietrza, Ned bez słowa poszedł w stronę sadu. Will zostawił go samego.

Od cieśniny Long Island nadciągała morska mgła. Jabłonie i grusze wyciągały nagie gałęzie w wilgotnej listopadowej ciemności; w geście rozpacz, jak mu się zdawało. Obrazy tłumione przez długie miesiące teraz poruszały się we mgle: dziewiętnastoletnia Katherine Myddleton, którą poślubił jako drugą żonę po tym, jak Judith zmarła przy porodzie; zmęczona Katherine, którą pozostawił na farmie w Essex, z czwórką małych dzieci – dwójką Judith i dwójką jej – wyjeżdżając na wojnę; rozpromieniona Katherine na ucztach w Hampton Court, gdy król Karol był jego więźniem i jeszcze wydawało się, że Jego Wysokość i Cromwell dojdą do porozumienia; Katherine, elegancka dama zarządzająca rezydencją przy King Street w czasach obfitości, gdy należeli do ścisłego kręgu lorda protektora, byli bogaci i szanowani; i zboleła Katherine, która nieoczekiwanie zaszła w ciążę w dwudziestym roku ich małżeństwa i omal nie wykrwawiła się na śmierć, gdy straciła dziecko, po czym nigdy nie wróciła do pełni zdrowia, ani na ciele, ani na

umyśle. Tyle różnych Katherine i żadnej z nich już nie zobaczy, nie przytuli, nie pocałuje. Tyle żalu.

Opadł na kolana w zimnym obcym sadzie i zapłakał.



Ta zima – ich druga zima w Milfordzie, a trzecia na wygnaniu – była równie mroźna i surowa jak pierwsza, spędzona w Cambridge. Spadł śnieg, więc trzeba było zamknąć klapy na kracie. Siedzieli w półmroku przy żelaznej skrzyni z paleniskiem i próbowali pracować przy świecy zgrabiałymi z zimna palcami. Nie dostali więcej listów. Podróż przez północny Atlantyk w porze sztormów była zbyt niebezpieczna. Dowiedzieli się od Davenporta – który dowiedział się o tym od Increase’a Mathera – że William Hooke przebywa w ukryciu po tym, jak przejęto jego list, i nie może już pisać bezpośrednio do New Haven.

Will nadal śledził upływ czasu, odznaczając każdy dzień, i pewnego ranka oznajmił, że jest Boże Narodzenie.

– W Anglii bez wątpienia to znów czas pijaństwa i bezbożnego ucztowania – dodał posępnym tonem. Potem nagle się rozpogodził. – Pamiętasz ten dzień w pięćdziesiątym siódmym, kiedy przerwaliśmy tajną mszę w Essex House?

Ned podniósł wzrok znad igły i nitki. Owszem, dobrze pamiętał tamto zdarzenie. Rada Państwa, zaniepokojona tym, że zakaz urządzania papistycznych świąt jest powszechnie ignorowany, nakazała armii rozprawić się surowo z niesfornymi rojalistami. To Will wpadł na pomysł, by wybrać się do prywatnej kaplicy markiza Hertfordu i złapać ich na gorącym uczynku. Ned nie był tym zachwycony, zgodził się jednak, by zadowolić zięcia.

– Napędziliśmy wtedy stracha tym kawalerom! – powiedział. – Pamiętasz tego bezczelnego człowieka, który próbował się z nami spierać? Tego, którego kazaliśmy aresztować?

Will pokiwał głową.

– To był sekretarz Hertforda – rzucił. – Nayler.

– Zgadza się, Nayler. – Ned zajął się znowu szyciem, nagle jednak podniósł wzrok. – Czy nie tak się nazywał ten człowiek, który według Sperry’ego dowodził pościgiem za nami?

– Być może. – Will wzruszył ramionami. – To dość pospolite nazwisko. Mało prawdopodobne, żeby to był ten sam człowiek.

– Masz rację – przyznał Ned.

Lecz ta myśl nie dawała mu spokoju. Czy ciężarna żona tego człowieka nie zaczęła wtedy krwawić? Pamiętał, że musieli ją wynieść z kaplicy. Pamiętał też okropny kontrast między czerwienią jej krwi na posadzce i śmiertelną bladością twarzy; wyglądała tak samo jak Katherine, kiedy dostała krwotoku. Nayler... Tak, zgadza się. Sperry nazwał go wcielonym diabłem.

Tej nocy było zbyt zimno, by wyjść na zewnątrz i ćwiczyć. Po kolacji Ned zapalił drugą lampę i podczas gdy jego zięć leżał i czytał Biblię, usiadł przy stole, otworzył starą wojskową sakwę i wyjął kartki.

*Wspomnienia z życia nieżyjącego lorda protektora Olivera Cromwella
autorstwa jego kuzyna pułkownika Edwarda Whalleya*

Nie patrzył na nie od ponad półtora roku. Teraz jednak jego umysł wypełniało tyle obrazów z przeszłości, że musiał dać im ujście, miał bowiem wrażenie, że inaczej pęknie mu głowa. Poza tym wiedział już, kogo mogą zainteresować jego wspomnienia: Frances, na którą jego kariera współpracownika Cromwella spowodowała życiową katastrofę. Myśl, że córka boi się do niego pisać, bo ma nieładny charakter pisma, przeraziła go nie na żarty. Zawsze był dla niej zbyt surowy. Teraz chciał to nadrobić. Nie napisze do niej listu: będzie miała te wspomnienia.

Choć jako człowiek szlachetnie urodzony odebrałem odpowiednie wychowanie i wykształcenie, nim osiągnąłem dorosłość, ojciec przez rozrzutność doprowadził nas do bankructwa. Żył wyłącznie z pożyczonych

pieniędzy. Gdy miałem dziewiętnaście lat, porzuciłem wszelkie nadzieje i zostałem wysłany do Londynu, gdzie miałem terminować u krawca.

Przez siedem lat byłem niemal niewolnikiem; wykonywałem pracę, której sam bym nie wybrał, choć na szczęście służyłem u dobrego – trzeźwego i bogobożnego – mistrza. Bóg obdarzył go piękną i rozsądną córką – Twoją matką, Judith – i za jego przyzwoleniem ożeniłem się z nią. Przykro mi, że nie możesz jej pamiętać: była łagodna, dobra i pobożna. Jej duch mieszka w Tobie. Za sprawą zbiegu okoliczności, który na zawsze naznaczył nasze życie, w tym samym roku Oliver Cromwell poślubił Elizabeth, córkę Jamesa Bouchiera, londyńskiego handlarza towarami skórzanymi. Widywaliśmy się więc często, nim wrócił na farmę w Huntingdon.

Mimo szczęśliwego związku z Elizabeth, która wkrótce urodziła mu dzieci, Oliver cierpiał na głęboką melancholię; często zapadał na różnego rodzaju dolegliwości, zwykle wyimaginowane, i był przekonany – z czego nieraz mi się zwierzał – że na pewno umrze przed trzydziestką. Pił więcej, niż powinien, grał na walkach kogutów, często i chętnie wdawał się w bójki w karczmach i niezbyt przykładał się do modlitwy. Wkrótce po tym, jak po ukończeniu terminu zostałem przyjęty do cechu krawców i kupców bławatnych i założyłem własny interes, Oliver zniknął z domu. Przyjaciele, którzy szukali go bezskutecznie przez kilka dni, obawiali się najgorszego.

A tydzień później, dzięki Bożej łasce, zapukał do drzwi naszego londyńskiego domu – ten sam Oliver, a jednak odmieniony (było to jeszcze przed twoimi narodzinami). Jego oczy płonęły jasno niczym ogień; nie wiem, jak inaczej mógłbym to opisać. Nasz Pan i Zbawiciel uratował go i wydobył z piekielnej otchłani, w którą Oliver się osuwał. „Och, żyłem i kochałem w ciemności – powiedział. – Byłem przywódcą grzeszników. Byłem ślepy, ale teraz widzę. Złożyłem moje życie w rękach Boga i od tej pory będę kroczył w blasku Bożej woli, dokądkolwiek zechce mnie zaprowadzić”.

Nie odkryłem, czym było to objawienie ani gdzie i jak go doznał, ale mówił prawdę. Narodził się na nowo i od tej pory dobrze mu się wiodło. Zmienił się i choć wtedy nie mogliśmy tego wiedzieć, zmienił Anglię ogniem swojej wiary.

Dopiero po kilku dniach, wielu skreśleniach i długich przemyśleniach Nedowi udało się ułożyć tych kilka akapitów. Jakie jednak znaczenie miał czas? Tylko czasu miał pod dostatkiem. Często odkładał rękopis na kilka dni lub tygodni, a potem znowu zabierał się do pisania. Zdarzało się, że godzinami śnił na jawie, nim sklecił choćby jedno zdanie. Żeby utrwalić na papierze jedno wspomnienie, przywoływał dziesiątki innych. Wolał nie wspominać o fiasku swoich przedsięwzięć. Handel tkaninami nie przynosił dużych dochodów, bo ceny były zbyt niskie, a gotowych ubrań Holendrzy nie chcieli kupować. Dwukrotnie musiał uciekać przed wierzycielami. Wydzierżawił farmę Longhouse Place na bagnach Essex przy ujściu Tamizy i próbował uzdatnić te ziemie do uprawy, osuszając je, ale i w tym poniósł klęskę. Po co jednak potomność miała o tym wiedzieć? Takie wspomnienia tylko go upokarzały. Często myślał o Judith. Jej ojciec umarł młodo, a pieniądze ze spadku wkrótce się wyczerpały, strawione przez nieudane projekty Neda. Urodziła dwoje dzieci, Johna i Frances, i zmarła w wieku trzydziestu lat, próbując obdarować go trzecim. Wkrótce potem poznał Katherine, córkę sąsiada z Essex, należącego do miejscowej szlachty – jej dziadek, sir Thomas Myddleton, był burmistrzem Londynu. Wyszła z miłości za wysokiego, dobrze urodzonego wdowca po trzydziestce, który próbował samodzielnie wychowywać dwójkę małych dzieci. Jeśli jednak miała nadzieję na lepsze życie, to się rozczarowała. Jedyne, co Ned mógł jej zaoferować, to skrawek wydzierżawionej jałowej, płaskiej ziemi przy słonych błotach i morzu. Gdy król wprowadził podatek przybrzeżny – obmierzły haracz, z którego finansował papistyczną politykę – farma Longhouse Place stanęła na skraju bankructwa.

Tak wyglądała sytuacja Edwarda Whalleya na krótko przed wybuchem wojny domowej, gdy miał czterdzieści cztery lata i jego kuzyn Cromwell przyjechał

namówić do służby w swoim pułku człowieka bankruta, wykształconego ponad stan, rozczarowanego swoim losem, sfrustrowanego porządkiem świata, oddanego purytańskiej wierze, silnego i sprawnego fizycznie dzięki pracy na roli, spragnionego przygód, wrogo nastawionego do Korony, nieustraszonego – idealnego kandydata na rebelianta.



– Co tam piszesz? – spytał Will któregoś wieczoru. – Cokolwiek to jest, idzie ci bardzo wolno. Na pewno nie są to listy, bo przecież nie możemy ich wysłać, a nawet gdybyśmy mogli, i tak nigdy nie piszesz listów.

– To tylko rozrywka, dla zabicia czasu – odparł Ned. – Parę wspomnień, nic istotnego.

– Chciałbym to przeczytać. Mogę?

– Być może. Kiedyś. Gdy będzie gotowe.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Ned nie chciał jednak, by zięć to zobaczył, pilnował więc uważnie rękopisu; składał co noc kartki i chował je na dnie swojej sakwy.



Prawdę mówiąc, wielu wydarzeń wolał nie opisywać, zwłaszcza jeśli miała to czytać jego córka. Na przykład tej pierwszej zimy wojny, kiedy krążyli po wschodnich hrabstwach, aresztując rojalistów i przejmując pieniądze, żeby je wysłać do Londynu. W Suffolku i Lowestoft wzięli około trzydziestu więźniów i wyrzucili papistycznych księży z ich domów. Potem pojechali do Cambridge – Ned nie był tam od czasów studiów – i zażądali wydania całego złota i srebra uczelni, a gdy się tego nie doczekali, uwięzili dziekanów i prorektora w ich pokojach. W kościele uniwersyteckim Najświętszej Marii Panny przejechali konno główną nawą i podarli na kawałki Modlitewnik Powszechny. Cromwell pozrzucał drewniane rzeźby w kaplicy, pociął je mieczem na kawałki, a potem spalił przed

ołtarzem. To było w marcu. W kwietniu napadli na katedrę w Peterborough, porąbali toporami organy, rozbili witraże, zniszczyli ołtarz, balaski i tablice pamiątkowe, spalili bibliotekę, archiwa i lektorium, a na koniec urządzili w kaplicy mariackiej stajnię dla swoich koni. Gdy odjeżdżali, potężna średniowieczna katedra była równie pusta jak piwnica Micaha Tomkinsa. Pamiętał, jak kilku jego żołnierzy znalazło szaty liturgiczne, włożyło je i paradowało w nich po mieście. Byli bojownikami napędzanymi tłumionym świętym gniewem, ale teraz, gdy Ned patrzył na to z perspektywy czasu, zastanawiał się, czy rzeczywiście było to dzieło Boże. Oliver jednak upajał się tym. Ned zobaczył go oczami wyobraźni: jego czerwoną twarz, która robiła się jeszcze czerwiejsza w blasku płonących ksiąg i starych drewnianych rzeźb, i ciemne oczy, w których odbijał się ogień. Przed wszystkim chcieli jednak zabijać rojalistów – „To nasze zadanie: uśmiercać wrogów”, mówił Oliver – i w maju nadarzyła się taka sposobność.

Właściwie nie była to bitwa, raczej zwykła potyczka bez udziału artylerii, dwie mile od Grantham w hrabstwie Lincoln. Dwa tysiące po stronie przeciwnika – kawaleria, piechota i dragoni, którzy wychynęli z letniego zmierzchu, bijąc w werble i powiewając flagami – i ledwie tysiąc pod komendą Cromwella, z czego połowę stanowił pułk Neda, a resztę biedni i niedoświadczeni w boju mieszkańcy okolicznych wiosek. Przez pół godziny dwie armie stały naprzeciwko siebie i wymieniały sporadycznie ogień z muszkietów, aż w końcu, gdy zaczęło się robić ciemno, Oliver stracił cierpliwość i mimo niekorzystnego układu sił zarządził szarżę.

Przeprowadzili ją dokładnie tak, jak ćwiczyli przez całą zimę: natarcie szybkim kłusem w trzech szeregach, Ned w pierwszym z nich, z nogami dotykającymi nóg sąsiadów po obu stronach i gotowym do strzału pistoletem w ręce. Nie czuł najmniejszego strachu, jedynie moc Bożą przepływającą przez jego ciało; śpiewali psalm, gdy szarża nabierała tempa, choć trudno było usłyszeć cokolwiek poza tętentem kopyt. Nagle linia wrogich wojsk, która wydawała się bardzo odległa, była bardzo blisko. Wystrzelił z pistoletu, rzucił nim w twarz najbliższego rojalisty, po czym wyciągnął szpadę i gdy starł się z jednym z przeciwników, niesiony

pędem siekł na oślep innych, dopóki nie znalazł się sto jardów dalej. Wtedy wyhamował, zawrócił – czego wróg, który zajmował się rannymi, nie oczekiwał – i natarł ponownie od tyłu, i coś, co jeszcze przed chwilą było starannie ustawioną formacją, zamieniło się w spanikowany tłum, chmarę przerażonych ludzi myślących tylko o ucieczce. Ned spiął konia, ruszył w pościg i po raz pierwszy w życiu zabił człowieka: żołnierza, którego dogonił. Zrobił to, wychylając się z siodła i uderzając zamasyście szpadą, tak że wbiła się w bok szyi wroga. Trysnęła krew. Ned nie przystanął, by zobaczyć, kto padł jego ofiarą – wydawało mu się, że żołnierz był młody i drobny – tylko galopował za jego towarzyszami, dopóki nie zniknęli w ciemnościach.



Pisał regularnie przez cały ten rok – 1663 – i następny; zużył cały zapas papieru ze sklepu Tomkinsa i poprosił go o sprowadzenie nowej partii z New Haven. Tymczasem nad piwnicą zmieniały się pory roku. Przez cały ten czas do Davenporta dotarł tylko jeden list od wielebnego Hooke’a, który bardzo powściągliwie – używając trzeciej osoby, jakby przydarzyło się to komuś innemu – opisał przejęcie jego listu z informacjami o sytuacji w Anglii. *Sam chyba rozumiesz, dlaczego jego listy nie dotarły do celu i w czyje wpadły ręce. W związku z tym ma ograniczone możliwości i nie może pisać do Ciebie tak jak wcześniej. O ile mi wiadomo, Twój przyjaciel ma kilku znajomych niedaleko Ciebie, których znasz, i zapewne ucieszy ich wieść, że jest zdrowy, on i jego bliscy.* Nie było już więcej listów od Frances, choć Will modlił się o nie codziennie. Wydawało się oczywiste, że sytuacja w Londynie jest niebezpieczna. *Lud Boży jest bardzo smutny; nie wie, co czynić ani dokąd się udać.*

Ned nie odczuwał izolacji tak dotkliwie jak zięć. Owszem, jego ciało było uwięzione w piwnicy, ale umysł wędrował przez Anglię sprzed dwudziestu lat i przeżywał na nowo chwalebne dni wojny, gdy wyborowa kawaleria Cromwella – Żelaznobocy, jak ich nazywano – zmiatała z powierzchni ziemi wszystko, co stało

jej na drodze, z każdym kolejnym zwycięstwem coraz pewniejsza, że musi to być dzieło Boże.

Dwa miesiące po Grantham było Gainsborough w hrabstwie Lincoln. Walczyli na piaszczystych wzgórzach podziurawionych króliczymi norami – straszny teren dla kawalerii – lecz z Bożą pomocą utrzymali szyk, a gdy rojalistyczny generał, młody Cavendish, zjechał ze swoim pułkiem z wysokiego płaskowyżu i natarł na wycofujące się wojska przeciwnika, te na rozkaz Cromwella ruszyły za nim i zagoniły pułk wroga na trzęsawisko. Cavendish, liczący zaledwie dwadzieścia trzy lata, syn hrabiego Devonshire, znalazł się w pułapce, osaczony przez Whalleya i majora Berry’ego. Berry, robotnik z huty żelaza w hrabstwie Shrop, zsiadł z konia, przebrnął przez grzęzawisko i zabił Cavendisha jednym pchnięciem pod żebra. Ned pamiętał, że umierający młody generał kwiczał jak świnia.

Dwa miesiące później był Boston, gdzie zastrzelono konia pod Cromwellem i ten omal nie zginął; ocaliła go łaska Boża. Stu wrogich żołnierzy utonęło w kanałach Fens w hrabstwie Lincoln. W następnym roku było Marston Moor w hrabstwie York, największa bitwa, jaką kiedykolwiek stoczono na angielskiej ziemi; brało w niej udział czterdzieści dwa tysiące ludzi i Whalley, wtedy już pułkownik, dowodził kawalerią, która rozbiła szyki księcia Ruperta. Huk i smród trzech i pół tysiąca koni pędzących po gęstej trawie i zboczach wrzosowiska. Precyzja, z jaką wojska Cromwella zatrzymały się po pierwszej szarzy, zawróciły i natarły ponownie. Kwiat królewskiej armii wycięty – cztery tysiące zabitych i tylko trzystu poległych po stronie armii Cromwella.

I w końcu następnego lata Naseby na równinach hrabstwa Northampton, gdzie wczesnym rankiem, gdy śpiewały skowronki, Oliver podjechał do Neda z szerokim uśmiechem – często się śmiał i uśmiechał przed bitwą, pewny zwycięstwa – i uczynił mu zaszczyt, powierzając poprowadzenie pierwszej szarzy przeciwko sir Marmaduke’owi Langdale’owi i jego tysiącu pięciuset kawalerzystom z północy, którzy już zmierzali w ich stronę w górę zbocza.

– Bóg czyni cuda dla dzieci człowieczych, Ned – powiedział Oliver.

To była ciężka walka wręcz, pośród krzewów kolcolistów, na zrytej króliczymi norami ziemi. Gdy odrzucili pistolety, długo jeszcze musieli bić się szpadami. Do tego czasu Ned zabił już tylu wrogów, że nie był ich w stanie policzyć; tamtego dnia uśmiercił kilku kolejnych i pod koniec bitwy, wyczerpany i okrwawiony, po raz pierwszy nie czuł uniesienia, tylko znużenie tą wojną.

Nie zniesmaczyła go sama bitwa, lecz masakra, do której doszło później, gdy zabito nie tylko wycofujących się żołnierzy, ale również ponad sto kobiet przebywających w obozie rojalistów. Gdy Ned tam pojechał, przekonał się, że, Bogu dzięki, nie doszło do gwałtów – przez całą wojnę nie pojawiło się ani jedno doniesienie o gwałcie popełnionym przez żołnierzy armii Cromwella – ale okaleczano i mordowano bez litości. Żołnierze twierdzili, że kobiety były irlandzkimi papistkami albo dziwkami, albo wiedźmami, albo papistkami, dziwkami i wiedźmami jednocześnie, Ned przypuszczał jednak, że były to po prostu żony rojalistycznych wojskowych, które z nimi podróżowały. Na ich miejscu mogła się znaleźć Judith lub Katherine. Poruszył tę sprawę w rozmowie z Oliverem, lecz generał Cromwell, bo taki nosił wtedy tytuł, odparł, że takie rzeczy zdarzają się w czasie wojny, i poprosił Neda, by więcej o tym nie wspominał. Liczyło się tylko to, że królewska armia została całkowicie rozbita i że mieli powody wierzyć, że wojna dobiegła końca.

– Naseby nie było niczym innym jak dziełem Boga – powiedział Oliver. – I tylko do Niego należy zwycięstwo.

Ned dopilnował, by kobiety pochowano we wspólnym grobie. Nie umiejąc znaleźć słów, które wyrażałyby jego uczucia, pominął ten incydent we wspomnieniach.

Na zewnątrz trwało lato – gorące powietrze było nieruchome. Głuchy grzmot burzy nad cieśniną Long Island i migotanie błyskawic rozświetlające żelazną kratę były jak zwiastun nadciągającej bitwy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Sierpień 1664 roku był dla Naylera okresem wzmożonej aktywności. Podróżując pod fałszywym nazwiskiem, jako jubiler Richard Foster, udał się najpierw do Paryża, by przekazać tajne wiadomości od Hyde'a angielskiemu ambasadorowi, lordowi Hollesowi, a potem do Genewy, gdzie spędził tylko jedną noc, i następnego dnia rano wsiadł do powozu, który zawiózł go do Lozanny. Przybył tam po południu w środę dziesiątego i zatrzymał się w gospodzie L'Auberge Saint-Gabriel, w pokoju z widokiem na Jezioro Genewskie.

W innych okolicznościach nie angażowałby się osobiście w coś tak ryzykownego jak zabójstwo, ale najemnicy, których zatrudniał do tej pory, okazali się wyjątkowo nieskuteczni. Spartaczyli pierwszą próbę zamachu na generała Edmunda Ludlowa, przeprowadzoną w jego domu pod Lozanną na brzegu jeziora. Chroniony przez władze kantonu Berno, Ludlow bez wątpienia podwoił czujność i teraz był poza ich zasięgiem. Nie mogąc znieść myśli o kolejnym niepowodzeniu, Nayler postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Poza tym w Anglii było okropnie gorąco, w Londynie szalała febra, więc król ze swoim dworem wyjechał z miasta i Nayler się nudził.

Wieczorem dołączyli do niego trzej zamachowcy – James Fitz Edmond Cotter, Miles Crowley i John Rierdan (albo Riordo, jak go nazywano) – irlandzcy rojalistyczni oficerowie, którzy popadli w tarapaty i byli gotowi podjąć się niemal każdego zadania, by poprawić swoją sytuację. Tworzyli mało udane trio: niezdarni, złani potem, z szerokimi piegowatymi twarzami, mówili okropnie po francusku, przez co od razu zdradzali się jako obcokrajowcy. Nayler jęknął, gdy zobaczył, jak podchodzą z drugiej strony tarasu do jego stołu. Nauczył się już jednak, że przy tego rodzaju zadaniach musi korzystać z takich środków, jakie są dostępne.

Ich ofiarą miał być sir John Lisle, sześćdziesięcioletni prawnik, który zajmował się organizacyjną stroną procesu króla; siedział obok przewodniczącego sądu podczas przesłuchań i przygotowywania wyroku. Teraz posługiwał się fałszywym nazwiskiem Field. Nie był sędzią podczas procesu ani nie podpisał wyroku śmierci, został jednak uznany za zdrajcę i choć w porównaniu z Ludlowem był postacią drugorzędną, komisja przy Tajnej Radzie uznała, że jest wart zachodu i ryzyka.

Cotter, przywódca irlandzkiej trójki, przedstawił plan zamachu. Obserwowali Lisle'a od kilku tygodni, byli więc pewni, że następnego dnia rano uda się do kościoła w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy go ochraniają. Cotter i Rierdan mieli się zająć tymi dwoma, podczas gdy Crowley strzeli do Lisle'a ze specjalnie na tę okazję wybranej broni. Crowley położył na stole przedmiot, który skrywał pod szmatą; częściowo go odsłonił i pokazał Naylerowi. Był to krótki muszkiet zwany muszkietonem, z lufą rozszerzającą się na końcu; wyrzucał kilkanaście kul naraz. Nayler otworzył szeroko oczy i rozejrzał się z przerażeniem po zatłoczonym tarasie.

– Na miłość boską, panie Crowley, proszę to natychmiast schować. – Gdy broń znalazła się pod stołem, powiedział: – Będziecie musieli podejść do niego bardzo blisko, jeśli chcecie użyć muszkietonu, inaczej postrzelicie połowę wiernych.

– Och, podejźmy blisko – zapewnił go Cotter. – Nie musi się pan o to martwić.

Ale Nayler się martwił. Dręczony niepokojem, nie mógł zasnąć przez pół nocy. Zaplanowany zamach był zdecydowanie zbyt ostentacyjny jak na jego gust. Zastanawiał się nawet, czy o świcie nie wyjechać z miasta, bo gdyby odkryto, że człowiek współpracujący z lordem kanclerzem Anglii kieruje zamachem w obcym – neutralnym – kraju, wywołałoby to skandal dyplomatyczny. Ostatecznie jednak doszedł do wniosku, że jego obowiązkiem jest doprowadzić sprawę do końca, i kiedy rano wstał, naładował pistolet i schował go do kieszeni.

Kościół Świętego Franciszka stał pośrodku Lozanny, mniej więcej milę od L'Auberge Saint-Gabriel. By do niego dotrzeć, Nayler musiał się wspinać przez

zatłoczone kręte ulice. Gdy rozległ się głos dzwonu, wszedł na brukowany plac, przy którym z jednej strony stał kościół, a naprzeciwko niego rząd sklepów i warsztatów. Przed jednym z nich – zakładem fryzjerskim – czaili się Cotter, Crowley i Rierdan. Wyglądali dość absurdalnie, bo mimo upalnej letniej pogody wszyscy nosili płaszcze. Nayler zaczął wypatrywać Lisle’a wśród wiernych, którzy zdecydowanym krokiem zmierzali do drzwi kościoła, i szybko go namierzył. Korpulentny mężczyzna w peruce i stroju angielskiego prawnika rzucał się w oczy tak samo jak czekający na niego zabójcy. Lisle’owi towarzyszyli dwaj krzepcy ochroniarze.

Niemal w tym samym momencie, w którym zobaczył go Nayler, wypatrzyli go zamachowcy. Ruszyli szybkim krokiem przez plac, podszli do Lisle’a od tyłu, rozchylili płaszcze i wyjęli broń w chwili, gdy ich ofiara dotarła do schodów. Mosiężna lufa muszkietonu zaślniła w słońcu i jej rozszerzony wylot znalazł się w odległości kilku cali od pleców Anglika. Rozległ się potężny huk, aż stado gołębi poderwało się w panice z ziemi i przeleciało nad rynkiem. Lisle wyrzucił ręce w górę. Pchnięty siłą eksplozji, poleciał do przodu i runął ciężko na stopnie kościoła. Mężczyźni, którzy go ochraniaли, próbowali wyciągnąć broń, lecz Cotter i Rierdan nie pozwolili im na to. Mierząc do nich z pistoletów i krzycząc ostrzegawczo, zaczęli się wycofywać. Jakaś kobieta piszczała przeraźliwie. Cotter zawołał okropną francuszczyznę: *Vive le roi d’Angleterre!*, po czym wszyscy trzej odwrócili się i pobiegli w boczną uliczkę, do czekających tam koni.

Wokół ofiary gromadził się tłum gapiów. Nayler do nich dołączył. Przepchnął się do przodu, by spojrzeć na Lisle’a z bliska. Ten leżał nieruchomo na brzuchu na stopniach kościoła, z przekrzywioną peruką, a obok jego ciała rosła kałuża krwi. Na plecach miał pulsującą krwią poszarpaną karmazynową ranę wielkości spodka. Gdy mężczyźni, którzy mieli go chronić, odwrócili Lisle’a na plecy, w tłumie rozległy się okrzyki przerażenia. Stary prawnik miał otwarte usta i wpatrywał się niewidzącymi oczami w niebo. Nayler został na tyle długo, by mieć pewność, że ten człowiek nie żyje, po czym odwrócił się i precisnął między gapiami.

Nikt nie próbował go zatrzymać. Po raz pierwszy od przyjazdu do Szwajcarii mógł spokojnie odetchnąć. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, Cotter, Crowley i Rierdan powinni w tej chwili wsiadać do łodzi, którą popłyną do Genewy. Kolejnego królobójcę spotkała zasłużona śmierć. A oddział wojskowy księcia Yorku, który miał zająć Nowy Amsterdam, powinien lada dzień dotrzeć do Ameryki. Przy odrobinie szczęścia jeszcze przed końcem lata Nayler będzie mógł wykreślić z listy następne dwa nazwiska.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

W tym samym tygodniu w połowie sierpnia przypadała trzecia rocznica pobytu Neda i Willa w piwnicy Micaha Tomkinsa. Udręczeni duchotą pułkownicy mieli na sobie tylko bieliznę. Ned spędzał cały dzień przy stole i pisał wspomnienia; próbował uporządkować wszystkie oblężenia, w których brał udział przez dwa lata po bitwie pod Naseby: Bridgwater, Sherborne, Bristol, Dartmouth, Banbury, Exeter, Oksford, Worcester... Choć armia króla została praktycznie zniszczona w polu, nie brakowało punktów rojalistycznego oporu.

Will solił baraninę, przygotowując zapasy na zimę. W ciasnym pomieszczeniu unosił się zapach krwi i tłuszczu, który przyciągał chmary much.

Żaden z mężczyzn nie skomentował trzeciej rocznicy pobytu tutaj. Co mieliby powiedzieć? Nie mieli dokąd pójść, nie mogli niczego zrobić. Jedyne, co im pozostało, to modlić się i czekać na zmianę sytuacji.

Tego wieczoru po zjedzeniu kolacji przyniesionej przez Tomkinsa poczekali do północy, gdy zrobiło się już chłodniej, wspięli się po drabinie do magazynu i wyszli na zewnątrz. Noc była spokojna i pogodna, na rozgwieżdżonym niebie lśnił księżyc w nowiu. W jego blasku widać było wyraźnie drogę i wąską ścieżkę prowadzącą do odległego o sto jardów oceanu. Cieśnina Long Island ciągnęła się niczym roziskrzony srebrzysty jezioro. Fale uderzające o brzeg wydawały dźwięki przypominające cichy wdech, po którym następował długi wydech. Znaleźli skrawek piaszczystego wybrzeża między skałami, rozebrali się do naga i weszli do wody.

Przez następną godzinę pływali, bacząc, by prąd nie zniósł ich zbyt daleko od brzegu. Nie zamienili ani słowa. Noc wydawała się zbyt święta, by zakłócać ją rozmowami, jakby znajdowali się w ogromnej katedrze, bardzo blisko Boga. Później leżeli na piasku i wpatrywali się w gwiazdy, aż zasnęli. Po przebudzeniu

Ned włożył kciuk do ust, by posmakować soli, potem wyjął z kieszeni lunetę i skierował ją na księżyc. Był dość jasny, by Ned mógł wypatrzeć na nim górskie grzbiety i kratery. Nad horyzontem przemknęła spadająca gwiazda. Śledził jej lot, a potem powoli przesunął lunetą wzdłuż lądu, od prawej do lewej.

Zobaczył ciemną sylwetkę statku.

Zdumiony opuścił lunetę i usiadł prosto. Po chwili znowu uniósł ją do oka. Przez jakiś czas nie widział statku, lecz w którymś momencie ponownie ujrzał ten charakterystyczny kształt. W odległości około mili. Duża jednostka: trzy pokłady, trzy maszty, po cztery duże żagle na każdym i wielka flaga na rufie, kołysząca się powoli w chłodnej nocy, podświetlona blaskiem księżyca. To nie był statek handlowy, lecz okręt wojenny. I nie przypłynął sam. Tuż za nim cumował kolejny i jeszcze jeden, i – dobry Boże! – następny.

Obudził Willa i podał mu lunetę.

– Cztery okręty wojenne – wyszeptał. – Płyną na zachód. – Wskazał na horyzont.

Jego zięć wpatrywał się we flotyllę przez pół minuty.

– Widzisz, co to za bandera? – spytał Ned.

Will zmrużył oko i poprawił ostrość lunety.

– Angielska, bez wątpienia. – Oddał ją teściowi. – To ekspedycja wojskowa. – W blasku księżyca jego posępna twarz wydawała się upiornie blada. – Myślisz, że szukają nas?

– To możliwe.

– Naprawdę tak bardzo im na nas zależy, że przypłynęli aż tutaj?

– Być może. – Możemy uciec na koniec świata, a oni i tak nigdy się nie poddadzą, pomyślał Ned. – Powinniśmy wracać.



Kiedy rano Tomkins przyniósł im jedzenie, powiedzieli mu o okrętach.

Ta wiadomość tak przeraziła ich gospodarza, że nawet się na nich nie zezłościł, choć przyznali mu się, że spostrzegli okręty, kiedy zeszli na brzeg.

Następnego popołudnia Tomkins wrócił z wielebnym Davenportem.

Ten bez żadnych wstępów oznajmił:

– Do zatoki Gravesend przybyła ekspedycja angielskich okrętów wojennych. Cztery okręty z czterema setkami żołnierzy.

– Gdzie jest zatoka Gravesend? – spytał Ned.

– Na drugim końcu Long Island.

– Zna wielebny ich plany?

– Trzy tygodnie temu przybili do Bostonu, żeby uzupełnić zapasy. Pokazali rozkazy gubernatorowi Endecottowi. Zgodnie z poleceniami księcia Yorku mają zmusić do kapitulacji Nowy Amsterdam... i schwytać was.



Woleliby mieć więcej czasu na przygotowania, ale Tomkins naciskał. Nie miał pewności, czy w ciągu ostatnich trzech lat ktoś nie zauważył ich w nocy, zwłaszcza jeśli nie przestrzegali jego poleceń i zapuszczali się poza sad. Nagroda w wysokości dwustu funtów wciąż była aktualna. Gdyby odkryto, że ukrywali się w jego gospodarstwie, trafiłby na szubienicę. Chciał, by odeszli jeszcze tej nocy.

– Dokąd mamy pójść? – spytał Ned.

– No właśnie. – Davenport westchnął ciężko. – Oto jest pytanie.

Rozmawiali o tym przez chwilę, nim doszli do nieuniknionego wniosku, że jedyną możliwością jest ich stara kryjówka w skałach nad New Haven.

– Poinformuję o tym Williama Jonesa – powiedział Davenport, wyraźnie zadowolony, że nie poprosili, by przyjął ich ponownie pod swój dach. – Postaramy się przynieść wam zapasy, gdy będzie to już bezpieczne, i spróbuję wam znaleźć jakąś inną kryjówkę na zimę. – Westchnął ponownie i pokręcił głową. – Ale nie mam pojęcia, kto zechce was przyjąć w tych okolicznościach. To będzie musiało być jakieś miejsce odległe od oceanu.

Kiedy zostali sami, Ned opadł ciężko na krzesło naprzeciwko Willa. Perspektywa kolejnych, Bóg wie ilu, tygodni spędzonych w dziczy, budziła w nim przerażenie. Miał sześćdziesiąt pięć lat. Stare rany bolały go od momentu, gdy otwierał rano oczy, do chwili, gdy je zamykał. Nie był pewien, czy zdoła to przetrwać.

– Wiem, że zawsze to ja nakłaniałem nas do ucieczki, ale po raz pierwszy zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy się poddali – powiedział w końcu.

– Chyba nie przypuszczasz, że okazaliby nam litość? – spytał Will.

– Nie. Spotkałby nas ten sam los co Okeya i pozostałych. Ale zabrałiby nas do Londynu na egzekucję, a wtedy mielibyśmy przynajmniej okazję pożegnać się z rodziną. Okazalibyśmy prawdziwą odwagę i umarlibyśmy śmiercią męczenników, której zawsze pragnąłeś.

Will nie odpowiedział od razu. Sięgnął po Biblię i wyszukał odpowiedni fragment.

– *Zewsząd znosimy cierpienia, lecz nie poddajemy się zwątpieniu; żyjemy w niedostatku, lecz nie rozpaczamy; znosimy prześladowania, lecz nie czujemy się osamotnieni; obalają nas na ziemię, lecz nie giniemy*²⁷. List świętego Pawła do Koryntian. – Położył dłoń na ramieniu teścia i spojrzał na niego z powagą. – Jeszcze rok, najwyżej półtora, i wszystko będzie dobrze, obiecuję ci.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo często rozmawiam o tym z wielebnym Davenportem i wiem, że wszystko zostało przepowiedziane. W roku Pańskim tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym Chrystus powróci i w Ameryce zapanują rządy świętych. Miałeś rację. Nie wolno nam tracić wiary, jak uczy nas święty Paweł: w dobrych zawodach wystąpić, bieg ukończyć i przeżyć, by zobaczyć królestwo Boże na ziemi.

Will mówił z takim przekonaniem, że Ned na chwilę nabrał otuchy. Jego zięć, podobnie jak Oliver, zawsze potrafił wynaleźć w Piśmie cytat, który wskaże właściwą drogę. Niemniej jednak, gdy Ned musiał wcisnąć swoje rzeczy do sakwy

i okazało się, że albo będzie musiał zostawić rękopis, albo pozbyć się czegoś innego, postanowił zostawić Biblię. Tłumaczył sobie, że nie potrzebują dwóch i że będzie korzystał z egzemplarza Willa.

Usiedli z sakwami przy stopach i czekali w milczeniu.

Gdy tylko niebo nad kratą pociemniało, Tomkins podniósł klapę i po nich zszedł. Choć Ned od dawna marzył o opuszczeniu piwnicy, to gdy w końcu nadeszła ta chwila, poczuł dziwny ucisk w brzuchu na myśl, że nie zobaczy jej nigdy więcej. Właściwie przerażała go nie tyle perspektywa życia w dziczy, ile świat zewnętrzny. Ty stary głupcze, żyłeś w ciemności i zrobiłeś się miękki jak robak, pomyślał ze złością. Odmówił, gdy Tomkins chciał mu pomóc, podziękował za gościnę, zarzucił torbę na ramię i wszedł na drabinę. Will pozostał na dole nieco dłużej, by wygłosić bardziej wymyślne pożegnanie i odmówić modlitwę za Tomkinsów. Minutę później byli już w drodze; maszerowali na wschód w blasku księżyca, starając się jak najbardziej oddalić od angielskich statków, nim nastanie świt.



Mieli szczęście, że w ostatni tydzień sierpnia i na początku września 1664 roku księżyc nad Nową Anglią był w drugiej kwadrze. Jego niebieskawy blask był na tyle jasny, że drzewa i krzewy rzucały ostre cienie. Szli, aż zaczęły śpiewać ptaki, a nad drzewami pojawił się skrawek słońca. Mniej więcej milę przed New Haven skręcili z drogi przy wybrzeżu i szpadami wycięli ścieżkę w podszyciu, by wejść w głąb gęstego lasu. Na polanie otoczonej pniami potężnych sosen odpoczęli, zjedli chleb i ser, który dał im na drogę Tomkins, a potem spali na tyle dobrze, na ile mogą spać ludzie świadomi, że szuka ich czterystu żołnierzy. Po zmierzchu znów podjęli wędrówkę.

Okrążyli New Haven, zerkając na oblane księżycowym blaskiem sylwetki domów, a potem weszli na znajomą ścieżkę prowadzącą na północ, do opuszczonego młyna. Dotarli do niego wczesnym rankiem wyczerpani i leżeli na płaszcach pośród zielska, zastanawiając się, czy informować Sperry'ego o swojej

obecności. Minęły lata, odkąd widzieli go ostatnio. Kto mógł wiedzieć, czy zechce im pomóc i czy w ogóle można mu ufać? W końcu postanowili go nie niepokoić.

Czwartego dnia dotarli do swojego dawnego domu wśród skał. Obejrzeni uważnie okolice, nie znaleźli jednak śladów świadczących o tym, że ktoś je odwiedził. Pułapka na ryby w strumieniu wciąż stała tak, jak ją zostawili. Po godzinie drapania się w głowę i kopania dołków Ned znalazł w końcu miejsce, w którym ukrył narzędzia i sieć. Gdy zaszło słońce, rozpalili ognisko i upiekli w liściach rybę złapaną przez Willa. Był to ich pierwszy ciepły posiłek od prawie tygodnia. Gdy wieczorem ułożyli się do snu na półce, Ned czuł się – być może za sprawą pełnego żołądka – dziwnie zadowolony, niemal szczęśliwy. Wciąż obaj żyli i nie chorowali. I wciąż wyprzedzali prześladowców o jeden krok. Z Bożą pomocą przeżyją.



Już po dwóch dniach czuli się tak, jakby nigdy nie opuszczali tego miejsca. Życie wróciło w dawne koleiny: było wypełnione polowaniami, chwytaniem w sidła zwierząt, łowieniem ryb, zbieraniem jagód, liści i grzybów, uprawianiem zwierzyny i suszeniem skór, spaniem z pistoletami pod ręką i nasłuchiowaniem wilków. O świcie Ned wspinał się z lunetą na szczyt skał i rozglądał po okolicy, zataczając pełny krąg. Zaczynał od New Haven i odległego o trzy mile oceanu, po czym obracał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, lustrując farmy osadników na równinie, las prowadzący do domu Sperry'ego, grzbiet góry, ogromną połąć lasu na północy, znowu grzbiet i ocean.

W poniedziałek piątego września była pełnia księżyca. Gdy zaczęło go ubywać, zmieniła się pogoda: wiał porywisty wiatr, padał rześisty deszcz, dni robiły się coraz krótsze, a noce coraz chłodniejsze. Ned zszył razem skóry schwytych królików, tak że powstało nakrycie; wysuszyli je na skałach, gdy przestało padać. Ścięli toporkiem kilka drzew i całymi nocami paliło się ognisko. Dziewiętnastego i dwudziestego księżyc w ogóle się nie pojawił, choć niebo było czyste, a dwudziestego pierwszego Ned siedział do późna, wypatrując cienkiego sierpa

nowiu. Gdy w końcu dojrzał go nad horyzontem w pobliżu Long Island, zaczął szeptem zmawiać modlitwę dziękczynną, szybko ją jednak przerwał. Jeszcze trochę, a zacznie czcić słońce i gwiazdy.

Pewnego ranka na początku października, gdy stał na szczycie skały, dojrzał kłęb dymu unoszący się ponad lasem na północy. Był zbyt daleko, by dojrzeć szczegóły. Zawołał zięcia.

Will spojrział w to miejsce przez lunetę.

– Myślisz, że to może być obozowisko żołnierzy? – spytał.

– Raczej Indian.

– Pałają drzewa. Zobacz. – Oddał teściowi lunetę.

Po koronach drzew rozchodziły się jasnopomarańczowe płomienie. Nieco dalej wznosił się dym z drugiego pożaru. Słyszeli o indiańskim zwyczaju jesiennego wypalania ziemi, ale nigdy tego nie widzieli. Przez następną godzinę obserwowali z fascynacją i strachem, jak pożar rozprzestrzenia się na kolejne części lasu. Morze płomieni wyrzucało w powietrze ogromną chmurę dymu i popiołu, który przyćmił słońce, zamieniając je w brązowy krąg, a potem całkiem je przesłonił. Północny wiatr wiejący im prosto w twarze niósł niesamowity ryk ognia i zapach palonego drewna.

Pod wieczór karmazynowy blask rozlał się niemal po całym niebie. Nawet o północy było tak jasno, że wyraźnie widzieli swoje twarze. Obawiali się, że pożar może ich zmusić do ucieczki z obozowiska, lecz tej nocy spadł rześisty deszcz i do rana niemal całkiem ugasił ogień. Tylko nieliczne sosny wciąż płonęły jak żagwie na tle czarnego spopielonego krajobrazu.

– Armagedon – rzucił Ned.

– Jeszcze nie – powiedział Will. – Ale nadchodzi – dodał z dziwnym zadowoleniem.

Jedną z konsekwencji pożaru była masowa ucieczka zwierząt w stronę górskiego grzbietu, dzięki czemu pułapki i wnyki wypełniły się królikami

i wiewiórkami. Will zabił wygłodniałą łanię prymitywną strzałą z łuku, który sami zrobili.

Temperatura spadała. Nadchodziła zima. Dwukrotnie zauważyli po przebudzeniu, że ich płaszcze i koce są pokryte szronem. Ned uszył z jeleniej skóry dwie pary rękawic z jednym palcem. Szacował, że jedzenia wystarczy im co najmniej na dwa miesiące. Nie obawiał się jednak głodu, lecz złej pogody. Will prawdopodobnie przetrwałby w takich warunkach, ale Ned był pewny, że nie pożyje długo w śniegu. Obmyślił już, co robi, kiedy nadejdzie jego czas: nocą wymknie się z obozowiska, nie budząc Willa, i będzie szedł, dopóki nie padnie i nie zaśnie na mrozie. Widział wielu żołnierzy, którzy poddawali się szkockiej zimie. Nie była to wcale taka zła śmierć, a Will miałby większe szanse na przetrwanie, gdyby został sam, bez niedołączającego starca na karku.

W trzecim tygodniu października w zatoce New Haven pojawiły się dwa angielskie okręty wojenne. Obserwowali przez lunetę, jak wpływają do zatoki i zarzucają kotwicę. Pół godziny później obie fregaty opuściły po dwie szalupy wypełnione żołnierzami. Było zbyt daleko, by mogli ich policzyć; wiedzieli jednak, że to żołnierze, bo ich czerwone kaftany zlewały się w większe jaskrawe plamy kontrastujące z ciemną wodą.

– Ilu ich jest w każdej łodzi, jak myślisz? – spytał Will.

– Dwa tuziny? – odparł Ned.

– Więc w sumie około setki. – Will złożył lunetę. – Co byś zrobił na ich miejscu?

– Gdybym działał rutynowo? Zacząłbym od miasta. Wystawiłbym strażę na drogach, żeby nikt nie mógł wjechać ani wyjechać, dopóki wszystkie domy nie zostaną przeszukane. Potem ruszyłbym dalej, w teren.

– A zakładając, że nie jesteś tępym służbistą?

– Zrobiłbym odwrotnie. Postawiłbym strażę, żeby zablokować miasto, i zacząłbym od okolic w nadziei, że zagonię nas do New Haven.

– A czego powinniśmy się po nich spodziewać?

– Powinniśmy się zastosować do pierwszej zasady sztuki wojennej: założyć, że wróg nie jest głupi.

Do końca tego dnia i do południa następnego zacierali ślady po obozowisku: zasypali latrynę, ukryli narzędzia w dole, który Ned wykopał trzy lata wcześniej, zakopali sakwy, jedzenie i drewno, przykryli kamieniami resztki ogniska. Gdy skończyli, nie pozostał żaden ślad ich obecności prócz kresek, które Will wyrył na skale, by oznaczać upływ dni podczas ich pierwszego lata – tego nie mogli wymazać. Przeszli w las i korzystając z liny Sperry’ego, wspięli się na potężny dąb. Niższe gałęzie drzewa były tak szerokie i proste, że mogli się na nich położyć, pozostając niewidoczni z dołu. Mieli przy sobie pistolety i szpady, na wypadek gdyby doszło do walki.

Nocny deszcz przemoczył ich do suchej nitki. Rano Ned szczękał zębami, zmagając się z przeziębieniem i gorączką.

Po południu usłyszał męskie głosy. Podniósł rozpaloną głowę i zobaczył czterech żołnierzy w czerwonych kaftanach, wychodzących zza grzbietu od zachodu. Byli uzbrojeni w muszkiety z bagnetami umocowanymi na lufach. Okrążyli wielkie głazy, dżgając bagnetami ziemię i zarośla. Potem przystanęli i jeden z żołnierzy wspiął się na najwyższy głaz, wyjął lunetę i powiódł wzrokiem po okolicznych drzewach. Był wyżej niż ich kryjówka. Ned przytulił policzek do szorstkiej kory i zacisnął mocno zęby, by powstrzymać je od szczękania.

– Kapitanie, proszę spojrzeć tutaj! – krzyknął ktoś.

Ned podniósł głowę i odważył się popatrzeć w bok. Oficer schował lunetę i zszedł z głazu, by się czemuś przyjrzeć. Wyglądało na to, że odkryli kalendarz Willa. Rozmawiali o czymś z ożywieniem. Ned nasłuchiwał, jak zdejmują bagnety i nabijają broń. Ruszyli w stronę drzew i przeszli równym szeregiem pod samym dębem.

Dźwięki powoli cichły w oddali.

– Myślisz, że sobie poszli? – wyszeptał Will po kilku minutach.

– Wątpię. Zostały może ze trzy godziny do zmierzchu. Prawdopodobnie wrócą tą samą drogą, którą przyszli, żeby nie pobiłdzić.

– Powinniśmy ich zabić?

To była kusząca perspektywa. Gdyby jednak zaginęło czterech ludzi, inni zaczęliby ich szukać, i to w znacznie większej liczbie.

– Tylko jeśli nas zobaczą – odparł Ned.

Z głębi lasu dobiegł huk wystrzału. Ned instynktownie znów przycisnął głowę do konara. Potem rozległy się dwa wystrzały, niemal jednocześnie. Krzyki. Odgłosy ciał przedzierających się przez zarośla, potem długa cisza. Ned bał się głośniejszy oddychać. W końcu usłyszał głosy, rozzłoszczone, jakby żołnierze się kłócili. Gdy wracali do obozowiska przy głazach, znowu przeszli pod nimi.

– Mówię ci, że coś widziałem! – zawołał któryś

– Jasne, ducha.

– Albo wczorajszy rum!

Ktoś się roześmiał. Ten, który coś widział, obstawał przy swoim. Głosy powoli cichły.

Uciekinierzy zostali na drzewie do północy. Gdy Ned z niego schodził, trząsał się tak bardzo, że ledwie mu się udało dotrzeć na dół. Przeszedł do skalnej półki między głazami i ułożył się na niej. Will wykopał kilka skór i owinął nimi teścia, a potem przyniósł mu kubek wody i trochę zimnego mięsa. Rozmawiali szeptem i nie odważyli się rozpalić ogniska, na wypadek gdyby żołnierze obozowali w pobliżu. O Boże, modlił się Ned, wybac mi moją słabość. Nie mogę tego znieść. Pozwól mi umrzeć tej nocy.

Rano wciąż jednak żył.

Przez trzy dni zmagał się z gorączką. Zdawał sobie sprawę, że zięć opiekuje się nim jak dzieckiem. Czwartego dnia obudził się z normalną temperaturą obok chrapiącego Willa. Zdołał wstać, przejść chwiejnym krokiem między drzewa i załatwić potrzebę. Czuł się coraz lepiej; ogarnęła go cudowna euforia, jak to się często zdarza po chorobie. Wyjął lunetę i wspiał się ostrożnie na szczyt skał. Nad

równiną podnosiła się mleczna mgła, lecz ocean był czysty, rozświetlony blaskiem wschodzącego słońca.

Zatoka była pusta. Okręty odpłynęły.



Tego popołudnia po raz pierwszy od niemal dwóch miesięcy mieli gościa, który był im życzliwy i przyjazny.

William Jones przyniósł zapasy: świeżo upieczony chleb, ser, szynkę, piwo i tytoń. Był trochę zaskoczony, widząc ich przy życiu. Przepraszał, że zostawił ich samych na tak długo. Mówił, że gdy w okolicy przebywało tylu żołnierzy, wyprawa poza miasto była zbyt ryzykowna. Usiadł z pułkownikami na najniższym gładzie, a gdy ci jedli, zrelacjonował im ostatnie wydarzenia.

Stuyvesant oddał holenderską kolonię Anglikom bez walki. Nowe Niderlandy przestały istnieć. Nowy Amsterdam został przemianowany na cześć królewskiego brata i teraz nazywał się Nowy Jork. Wypełniwszy misję wojskową, angielscy żołnierze szukali królobójców w New Haven, Milfordzie, Guilfordzie i okolicach. Jonesa, wielebnego Davenporta, Leete'a i członków rady traktowali dość brutalnie, co oznaczało, że byli dobrze poinformowani. Niczego jednak nie znaleźli. Sfrustrowani, poprzedniego dnia odpłynęli do Bostonu.

– Uwierzcie, że nie zapomnieliśmy o was – powiedział Jones. – Zbieraliśmy fundusze wśród waszych przyjaciół w Ameryce. Również pan Hooke przysłał pieniądze, które zebrał w Londynie. Przygotowano dla was nową kryjówkę.

Ned palił fajkę, delektując się dymem.

– Na zimę?

– Nie. To będzie w końcu coś na stałe.

– W piwnicy? W szopie?

– Nie. W domu, z rodziną. John Sperry wróci tu jutro z końmi i was tam zaprowadzi.

– Z końmi? – Ned zakładał, że wróca pieszo do New Haven. – Dokąd mamy jechać?

– Do Hadley w Massachusetts. – Jones zerknął na Willa.

Ten wzruszył ramionami.

– Nie słyszałem o takim miejscu – przyznał.

– Prawie nikt nie słyszał i to jest właśnie piękne. Hadley to nowa osada, założona niecałe pięć lat temu, i leży osiemdziesiąt mil na północ stąd, nad Connecticut. To najdalej wysunięta angielska osada w Ameryce. Wszystko jest już załatwione. Zamieszkacie u pastora, Johna Russella, starego przyjaciela wielebnego Davenporta. Żyje tam tylko pięćdziesiąt kilka rodzin. Nikt nie będzie wam przeszkadzał. A jeśli chodzi o resztę świata... – Jones uśmiechnął się i rozłożył ręce, jakby wypuszczał gołębia na koniec magicznej sztuczki – przestaniecie dla niego istnieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Zaraz po świcie następnego dnia przyszedł Sperry z dwoma końmi. Wyjechali od razu, zabierając ze sobą tyle rzeczy, ile tylko mogli załadować. Tego, co zostawili, nie próbowali nawet ukrywać. Ned pomyślał, że niezależnie od tego, jak potoczą się ich losy, jedno było pewne: nigdy tu nie wrócą.

Jechali przez wypalony las, zakrywając usta i nosy chustkami, co chroniło ich przed popiołem wzbijanym przez końskie kopyta. Tu i ówdzie dopalały się jeszcze resztki drzew i unosiły się nad nimi obłoczki dymu, ale zadziwiająco wiele drzew oparło się pożarowi. Na poczerniałej ziemi pojawiały się już nowe zielone pędy. Teraz już rozumieli, dlaczego niektóre tereny Nowej Anglii przypominają angielskie parki. Jeszcze przed zachodem słońca dotarli do rzeki Connecticut.

Następnego dnia jechali dalej na północ. W czystym późnojesiennym świetle lasy mieniły się wszystkimi odcieniami czerwieni i złota, tu i ówdzie trafiały się małe połacie czerni, niczym dziury wypalone w tureckim dywanie. Co jakiś czas widzieli w oddali indiańskie obozy. Jadąc dalej lasami, objechali Hartford, po czym wrócili do rzeki w Windsorze. Tu po raz pierwszy od lat pokazali się publicznie. Widok kilkunastu osób zgromadzonych przy przeprawie promowej budził w nich niepokój. Ned trzymał dłoń na rękojeści pistoletu ukrytego pod płaszczem. Nikt jednak nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Kiedy prom przewiózł ich na drugą stronę rzeki, trzymali się ścieżki biegnącej wzdłuż brzegu. Wieczorem rozbili obóz w odległości pięciu mil na południe od Springfield.

Trzeciego dnia o zachodzie słońca dotarli w końcu do szerokiego zakola Connecticut, w którym przycupnęła maleńka osada. Sperry twierdził, że to Hadley, choć nie miał pewności; nigdy dotąd nie zapuścił się tak daleko na północ. Kazał im czekać w ukryciu i poszedł znaleźć wielebnego Russella.

Było to piękne miejsce, co widzieli nawet w gęstniejącym mroku: łąka z sosnami, rozłożyste wierzby na brzegu rzeki, góry porośnięte lasem po drugiej stronie i para orłów krążących pod niebem. Lecz odosobnienie tej osady i zalegająca nad nią cisza wydawały się niesamowite, skłaniające do melancholii. Ned przyglądał się osadzie przez lunetę.

– Takie maleństwo – mruknął. – Pewnie żyją w strachu przed atakiem.

– Trudno się dziwić. – Will wzruszył ramionami. – W takim oddaleniu od reszty ludzkości.

Godzinę później, gdy było już niemal całkiem ciemno, wrócił Sperry.

– Pan Russell jest gotów was przyjąć. Wygląda na to, że osada już śpi, więc raczej nikt was nie zobaczy.

– Jaki to człowiek? – spytał Ned.

– Wydaje się miłym chrześcijańskim dżentelmenem, pułkowniku. Polubi go pan.

– Mam nadzieję, skoro mamy z nim spędzić resztę życia. – Wypowiedział te słowa półzartem, ale zabrzmiały raczej rozpaczliwie.

– Tylko rok – sprostował Will. – Do tysiąc sześćset sześćdziesiątego szóstego. Potem zostaniemy zbawieni.

Dosiedli koni i pojechali za Sperrym ścieżką przez łąkę w stronę osady.

W dogasającym świetle wieczoru widzieli kształty drewnianych domów po obu stronach pokrytej trawą szerokiej ulicy. Stały w sporej odległości od siebie, na ogrodzonych działkach. Jadąc przez parę minut, minęli kilkanaście domostw – w niektórych oknach paliły się jeszcze świece – i w końcu dotarli do dużego domu na rogu. Sperry zeskoczył na ziemię i otworzył bramę. Pułkownicy zsiadli z koni i wprowadzili je na podwórze, gdzie czekał mężczyzna w średnim wieku z lampą – wysoki, barczysty i długowłosy. Uściskał ich dłonie z siłą i energią, które pasowałyby raczej do żołnierza niż pastora.

– John Russell – przedstawił się. – Bogu niech będą dzięki, że miał was w opiece.



W dniu ich przyjazdu wielebny John Russell miał trzydzieści osiem lat. Urodzony w Ipswich w Anglii, jako dziecko został przywieziony do Massachusetts podczas masowej migracji separatystów religijnych, którzy nie zgadzali się z polityką Karola I. Był czternastym absolwentem College’u Harvarda. Podobnie jak jego przyjaciel i mentor Davenport, poróżnił się z bardziej umiarkowanymi purytanami w Nowej Anglii, zwłaszcza w kwestii chrztu dla wszystkich dzieci, których rodzice tego pragnęli – uważał to za niedopuszczalne pobłażanie. Wyprowadził swoich wiernych z Wethersfield w Connecticut i stworzył nową wspólnotę w Massachusetts, z dala od wpływu władz kościelnych.

Na tym jednak, ku radości Neda, kończyły się jego podobieństwa do Davenporta. Russell miał czterech synów: czternastoletniego Johna z pierwszą żoną, Mary, która zmarła jak wiele innych pierwszych żon podczas porodu, oraz trzech urodzonych przez drugą żonę, Rebeccę – dziewięcioletniego Jonathana, czteroletniego Samuela i rocznego Eleazera, którego matka wciąż karmiła piersią. W prowadzeniu domu pomagało jej dwoje dwudziestokilkuletnich czarnoskórych niewolników, Abraham i Martha, małżeństwo kupione na aukcji na Rhode Island, nauczone zasad chrześcijańskiej wiary. Spali w jednym z budynków gospodarczych. Pastor usprawiedliwiał posiadanie niewolników, twierdząc, że Biblia pozwala korzystać z pracy niewolników zabranych spośród pogan.

– Zapewniam was, że i w Anglii byliby niewolnicy, gdyby brakowało tam ludzi do pracy – powiedział.

Był całkowicie pozbawiony niemającego wiele wspólnego z rzeczywistością fanatyzmu Davenporta. Posługiwał się bronią, siekierą, młotem i pługiem równie sprawnie jak Biblią. Sam zbudował dom, a w ostatnich miesiącach przerobił go tak, by mogli w nim zamieszkać nieoczekiwani goście.

Główna część domostwa, w której mieściły się pokoje rodziny, zwrócona była na północ. Na południu dobudowano nowe skrzydło o wymiarach około trzydziestu stóp na dwadzieścia. Na parterze mieścił się salon z dużym kominkiem. Gdy Ned

i Will rozpakowali sakwy, Russell zaprowadził ich na górę i pokazał dwie całkiem spore sypialnie, w których paliły się już świece.

– To pomieszczenia wyłącznie do waszego użytku – oznajmił. – A teraz spójrzcie tylko na to. Skończyłem to w zeszłym tygodniu.

Otworzył drzwi biegnącego za kominem wąskiego korytarza łączącego sypialnie. Wypływał stamtąd zapach świeżego drewna i farby. Russell wyciągnął kilka luźnych desek z podłogi w połowie korytarza i przywołał gości. Oświetlił drabinę prowadzącą w ciemność.

– Na parterze jest mały pokój ukryty za kominem. Gdyby ktoś przyszedł was tu szukać, możecie się tam schować.

– Bardzo pomysłowe – pochwalił gospodarza Ned. Oto nora, do której kiedyś wpęźnę, by umrzeć, pomyślał.

Kiedy Russell udał się na spoczynek, obiecawszy, że rano przedstawi ich pozostałym domownikom – „Możecie być pewni, że dochowają sekretu” – pułkownicy usiedli na łóżku w jednej z sypialni.

– To prawdziwie Boży człowiek – powiedział Will. – To się czuje.

– Owszem – przyznał ze znużeniem Ned. – Bez wątpienia.

– Czy mogłoby nam być lepiej? Mamy schronienie, żywność, towarzystwo, przestrzeń, kryjówkę i własne sypialnie. Mamy nawet okna!

– To prawda.

– A jednak nie wydajesz się zadowolony – zauważył Will.

Zadowolony?! – miał ochotę krzyknąć Ned. Jak możemy być zadowoleni? Trafiliśmy na same obrzeża cywilizacji! Nie rozumiesz? To koniec naszej wędrówki. Nigdy więcej nie zobaczymy Anglii. Tęsknił za domem w Whitehall, za Katherine i siostrą Jane, za Frances i wnukami, za hałasem King Street, za przyjaciółmi i towarzyszami, za Cromwellem i wojskiem, za dawnym życiem w centrum wydarzeń.

– Wybacz – powiedział. – Jestem po prostu bardzo zmęczony.



Uzgodnili, że za dnia będą przebywać w swoich pokojach i nie będą jeść posiłków z Russellami, by ograniczyć do minimum kontakt z dziećmi oraz unikać pytań o to, kim są i dlaczego się tu znaleźli. O zmierzchu będą mogli wychodzić na ośmioakrową działkę i ćwiczyć, pod warunkiem że postarają się, by nikt ich nie zobaczył. Domy stały jednak w tak dużej odległości od siebie, że raczej nie należało się tego obawiać, zwłaszcza że przy coraz gorszej pogodzie mało kto przebywał na zewnątrz. Pierwszy śnieg spadł w listopadzie, a od gór i zamarzającej rzeki wiał przenikliwy wiatr. Ned mógłby przysiąc, że nigdy jeszcze nie czuł tak okropnego zimna.

Oprócz domowników o ich pobycie w Hadley wiedział jedynie zarządca osady, diakon Kościoła i zastępca Russella, Peter Tilton. Pochodził z hrabstwa Warwick i był o kilka lat starszy od pastora. Mieli podobne charaktery, choć Tilton był nieco bardziej milczący.

Początkowo Ned i Will dużo spali, odzyskując siły po długiej podróży. W grudniu Will poprosił o jakąś pracę i zajął się rąbaniem drewna na opał w szopie, co oznaczało, że Abraham musiał pracować w polu. Zarówno Ned, jak i Will uważali, że niewolnictwo jest sprzeczne z chrześcijaństwem. Każdemu wersowi z Biblii, który rzekomo je usprawiedliwiał, Will mógł przeciwstawić dwa lub trzy inne, mówiące coś przeciwnego. Wkrótce zaproponował, że podejmie się swojego starego zajęcia, czyli solenia mięsa, dzięki czemu Abraham mógł wrócić do ciepłej szopy. W Hadley nie było sklepu ani domu modlitwy. Rodziny prowadziły między sobą handel wymienny: ubrania za drewno na opał, drewno za mięso, mięso za kukurydzę... Nawet jeśli ludzi zastanawiało, skąd Russellowie wzięli nagle tyle solonej wieprzowiny, to nikt tego nie okazał. Zimą mieszkańcy tego odległego zakątka cywilizacji myśleli tylko o tym, jak przeżyć.

Ned spędzał dni, kuląc się przy kominku, trzymając na okrytych kocem kolanach tacę, na której leżał jego rękopis. Właściwie nie zostało mu nic prócz pisania i przecucia, że ma już niewiele czasu. Ale tej pierwszej zimy całymi godzinami wpatrywał się tylko w płonące drwa, słuchając czasem, jak synowie Russella rzucają się śnieżkami na podwórku. Czynny udział w wojnie domowej

bardziej pasował do jego temperamentu niż opisywanie jej. Skoro jednak znalazł w sobie dość odwagi i siły na walkę w armii Cromwella, to chyba znajdzie również odwagę, by opowiedzieć o tamtych wydarzeniach. Spojrzał za okno, na śnieg zbierający się na parapecie, i wrócił myślami do tych okropnych długich zim z połowy lat czterdziestych, gdy wydawało się, że zwycięstwo zawsze będzie wymykać im się z rąk. Jak mógł wyjaśnić to wszystko Frances? Te kolejne etapy, które doprowadziły do egzekucji króla, a potem zniszczyły życie rodziny? W końcu pióro znów zaczęło kreślić słowa.

Zimą z roku 1646 na 1647 generał Cromwell zapadł na febrę; chorował tak ciężko, że obawiano się najgorszego. Później powiedział mi, że był gotów z ochotą przyjąć wyrok śmierci, by nauczyć się ufać w pełni Panu, albowiem wszystkie rzeczy cielesne to marność nad marnościami.

Wiosną 1647 roku obozowałem z armią w Saffron Walden, gdy dotarła do mnie wiadomość, że parlament zagłosował za rozwiązaniem połowy pułków. Moi ludzie, którzy nie dostawali żołdu od wielu miesięcy i podejrzewali, że zostaną zdradzeni, przedstawili petycję z żądaniem. Podobne nastroje panowały w innych pułkach, więc w kościele Najświętszej Marii Panny zorganizowano spotkanie, na które przybyli przedstawiciele żołnierzy oraz generał Cromwell i inni dowódcy, gotowi wysłuchać skarg.

Przerwał na chwilę. To właśnie w zatłoczonych ławach kościelnych w Saffron Walden po raz pierwszy zobaczył Willa, wówczas kapitana w pułku piechoty pułkownika Pride'a. Był jednym z najbardziej wojowniczo nastawionych protestujących; przeplatał żądania usunięcia przeciwników armii Cromwella z parlamentu z apokaliptycznymi wizjami Boga, które ukazywały mu się we śnie. Domagał się przy tym nie negocjacji, lecz zniszczenia króla. Ned słyszał go teraz, jak rąbie drewno w szopie. Jakiż szczęśliwy jest człowiek, który nigdy nie popadł w zwątpienie!

Generał Cromwell, poznawszy poglądy żołnierzy, z którymi spotkał się w kościele Najświętszej Marii Panny, i obiecawszy wsparcie dla ich żądań, wrócił do Londynu. Pod koniec maja zaprosił mnie na prywatne spotkanie w jego domu przy Drury Lane. Król przebywał wtedy – pod nadzorem parlamentu – w Holdenby House w hrabstwie Northampton. Obawiając się, że członkowie parlamentu mogą się z nim porozumieć i wykorzystać to do rozwiązania pułków, generał Cromwell zaproponował, by to armia przejęła opiekę nad królem.

Kto był obecny na tym spotkaniu? Ireton, wtedy już mąż córki Cromwella, Bridget. Kaznodzieja Hugh Peters. John Thurloe, sekretarz Olivera. Kilku innych oficerów czekało w sąsiednim pokoju. Ned pamiętał, jak Elizabeth Cromwell przynosiła tace pełne jedzenia i dzbany z piwem. Palono fajki. Dyskusja była burzliwa i niebezpieczna.

George Joyce, który miał pięciuset ludzi w pobliżu Oksfordu, podzielał zdanie Cromwella. Mógł pojmać króla.

Przygotowano rozkaz.

Ned odciągnął Cromwella na bok.

– Nie możesz tego zrobić, Oliverze – powiedział.

– Dlaczego nie?

– Bo nie masz takiej władzy.

– Mięczak z ciebie – rzucił Cromwell. – Po co wygrywać bitwę za bitwą, skoro parlament przegra za nas tę wojnę.

– To Fairfax jest głównodowodzącym, nie ty.

– Fairfax jest lwem na polu bitwy, poszedłbym za nim do piekła, ale gdy idzie o politykę, staje się potulny jak baranek. Podziękuj mi jeszcze, że zmusiłem go do tej decyzji.

Po spotkaniu wróciłem do swojego pułku, który stacjonował razem z armią w Newmarket. Kilka dni później wezwał mnie do siebie generał

Fairfax. Właśnie otrzymał wiadomość, że król został usunięty siłą z Holdenby House przez George'a Joyce'a i ten wiezie go do Newmarket.

– To sprawka pana kuzyna – dodał generał Fairfax.

Ned czuł się bardzo niezręcznie, gdy stał na baczność przed głównodowodzącym, z hełmem w dłoni.

– Generał Cromwell musi odpowiadać sam za siebie, ekscelencjo – powiedział.

Kazał mi jak najszybciej wyruszyć z moim pułkiem, zatrzymać George'a Joyce'a i dopilnować, by Jego Wysokość był należycie traktowany i miał możliwość powrotu do Holdenby House.

Ned natrafił na kolumnę Joyce'a następnego popołudnia na drodze do Cambridge, jakieś cztery mile na zachód od miasta. Joyce był młody i popędliwy – nie skończył jeszcze trzydziestu lat – a teraz rozpierała go duma, że ma w swym władaniu samego króla Anglii. Ned pokazał mu rozkaz Fairfaxa.

– Teraz ja się tym zajmę, George – powiedział.

– Proszę bardzo, może go pan zabrać, pułkowniku.

– Proszę mnie mu przedstawić. – Kiedy szli wzdłuż kolumny żołnierzy, Ned spytał: – W jakim jest nastroju?

– Potrafi być miły, jeśli tylko postępuje się z nim stanowczo – odparł Joyce.

Ned nigdy wcześniej nie widział króla. Otoczony członkami swej świty i dosiadający potężnego konia Karol wydawał się maleńki. Spoglądał zdezorientowany na otaczające go żywopłoty, obsypane kremowymi kwiatami głogu i różowymi pąkami dzikich róż.

– Wasza Królewska Mość, to pułkownik Whalley – powiedział Joyce bez żadnych wstępów. – Generał Fairfax przysłał go tutaj, by zapewnił Waszej Wysokości bezpieczeństwo.

Ned zdjął hełm i uklonił się. Król przez chwilę patrzył na niego z góry, a potem wyciągnął rękę. Ned zawahał się. Nie znosił tego człowieka, ale Karol wciąż był

jego władcą. I choć Ned starał się tego nie okazywać, był zdenerwowany. Postąpił krok do przodu, ujął królewską dłoń – białą, miękką i delikatną jak u damy – i ucałował ją.

Siedząc teraz w zasypanym śniegiem domu, na skraju cywilizacji, z trudem wierzył we własne wspomnienia.

Kochana Frances, spróbuj sobie wyobrazić, co wtedy czułem. Przedstawiłem się królowi, przekazałem pozdrowienia od generała Fairfaxa, powiedziałem, że jestem do jego dyspozycji i że w każdej chwili mogę go odwiedzić z powrotem do Holdenby House, na co odparł stanowczo, że woli jechać do Newmarket, jak obiecał mu George Joyce, i tam spotkać się z dowódcami armii. Ta nieoczekiwana odpowiedź postawiła mnie w trudnej sytuacji. Dzień dobiegał końca, musiałem więc znaleźć odpowiednie schronienie dla króla i czekać na nowe rozkazy.

Stał niezdecydowany na środku drogi.

– Mogę coś zaproponować, pułkowniku Whalley? – Król wydawał się rozbawiony jego zakłopotaniem.

– Tak, Wasza Wysokość?

– Niedaleko stąd jest Childerley Hall. Sir John Cutts zmarł kilka miesięcy temu, ale jesteśmy pewni, że lady Cutts będzie zaszczycona, mogąc nas ugościć.

Wdowa Cutts być może wcale nie była zaszczycona, ale nie miała nic do powiedzenia, gdy na teren jej posiadłości wjechał pułk kawalerii. Tego wieczoru Ned stał przy oknie sypialni w Childerley Hall i spoglądał na rozległy park, w którym obozowało jego pięciuset żołnierzy. Ich konie pasły się na krótko przystrzyżonych trawnikach, strażnicy pilnowali bram parku i wszystkich drzwi w domu, podczas gdy król zaszył się w swoich komnatach.

Następnego dnia, w niedzielę, Ned spotkał się ze swoimi ludźmi pod drzewami na modlitwy. Potem zawezwał go król, który też zdążył się pomodlić ze swoim kapłanem.

Karol powtórzył, że chce jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę do Newmarket, bo woli negocjować z armią niż z parlamentem. Ned poprosił go, by poczekał, aż otrzyma odpowiedź na wiadomość wysłaną do Fairfaxa, w której prosił o dalsze instrukcje.

W poniedziałek Fairfax, Cromwell i Ireton przyjechali do Childerley Hall ze swoimi strażami. Fairfax ucałował królewską dłoń, Cromwell i Ireton ostentacyjnie tego nie zrobili. Po rozmowie, która przebiegała w uprzejmej, lecz chłodnej atmosferze, Cromwell zabrał Neda na spacer po parku.

– Widzisz, jaki jest przebiegły? Udaje uległego, ale przez cały czas próbuje poróżnić nas z parlamentem. Staraj się jak najczęściej przebywać w jego towarzystwie. Oddawaj mu wszystkie należne honory. Ale na miłość boską, nie pozwól mu uciec.

Moje dziecko, z pewnością trudno Ci wyobrazić sobie Twojego starego republikańskiego ojca z królem Anglii, a jednak przez następne siedem miesięcy widywałem go niemal codziennie – znacznie częściej i dłużej niż którykolwiek ze zwolenników Cromwella w ciągu całej wojny. Cóż to był za dziwny człowiek! W jednej chwili wesoły i przyjazny, w następnej wyniosły i niedostępny. Wydawało się, że obserwuje świat przez grubą szybę, oddzielony od innych śmiertelników. Pamiętam tylko jedną nieprzyjemną sytuację. Było to w dniu, gdy odwiedził go oficer, który chciał zwrócić Order Podwiązki należący do zmarłego księcia Oranii. Kiedy przechadzali się razem w tę i w tę, odniosłem wrażenie, że prowadzą jakąś tajną konferencję, a kiedy próbowałem się do nich przyłączyć, król odepchnął mnie obiema rękami i podniósł laskę, jakby chciał mnie uderzyć w głowę.

Zgodnie z rozkazami miał zawsze przebywać w pobliżu armii, dla ułatwienia negocjacji i na wypadek, gdyby próbował uciec. W końcu, gdy nasze wojska dotarły na obrzeża Londynu, król wrócił do Hampton Court. Tutaj mógł przyjmować przyjaciół i młodsze dzieci, otaczać się swoimi służącymi i jeździć do woli po królewskim parku. Często spotykał się

z Cromwellem, by dyskutować o ugodzie, która zapewniłaby pokój w kraju – która pozwoliłaby mu wrócić na tron, gwarantowała należyte prawa parlamentowi i zapewniała wolność wyznania. Niektóre cechy króla podobały się Cromwellowi: miłość, jaką darzył dzieci, głęboka religijność czy niechęć do łamania zasad, którymi się kierował, nawet jeśli drogo go to kosztowało. Właściwie...

Ned przerwał pisanie.

Właściwie...

Właściwie co?

Właściwie Jego Królewska Mość w prywatnych rozmowach zasugerował, że mógłby nadać Oliverowi tytuł hrabiego i powierzyć mu dowództwo nad angielską armią, gdy w końcu uda się osiągnąć porozumienie. Trudno to sobie wyobrazić: Cromwell hrabią Ely, a jego żona Elizabeth hrabiną!

Relacje Neda z królem stały się na tyle niebezpiecznie przyjazne, że pewnego wrześnieowego wieczoru, gdy monarcha bawił się ze swoimi dziećmi, a potem Ned eskortował go do jego komnat, król nawiązał z nim prywatną rozmowę.

– Ma pan żonę, pułkownika Whalley?

– Tak, Wasza Wysokość.

– I dzieci?

– Czworko, Wasza Wysokość.

– Powinien pan ich tu sprowadzić. Mamy sto pięćdziesiąt pokoi i tylko resztki dworu, więc miejsca nie brakuje. Proszę porozmawiać z sir Jackiem.

Miał na myśli sir Johna Ashburnhama – przystojnego, bogatego i niezbyt lotnego mężczyznę, swojego najbliższego dworzanina.

Oczywiście Ned nie zamierzał tego robić. Ale dwa dni później Ashburnham znalazł go i oznajmił, że Jego Królewska Mość kazał mu zaprosić panią Whalley i jej dzieci do Hampton Court, „jeśli nie ma pan nic przeciwko”. Miał również

przekazać, że król chciałby zaprosić pułkownika i jego żonę „oraz generała Cromwella i generała Iretona z żonami” na kolację.

I tak stało się coś niewiarygodnego, niewiarygodnego w tamtym czasie, a tym bardziej z perspektywy dwudziestu lat: po dziesięciu miesiącach rozłąki Ned i Katherine spotkali się w świeżo wypranej i pachnącej lawendą pościeli w apartamencie jakiegoś dworzanina w opuszczonym skrzydle pałacu, a potem uczestniczyli wraz z twórcą zreformowanej armii w kolacji wydanej przez króla. Wzdłuż bogato zdobionego ciężkiego stołu ustawiono krzesła zwrócone ku wielkiemu holowi, gdzie stali dworzanie obserwujący ten spektakl. Elizabeth Cromwell posadzono po prawej ręce króla, a Katherine po lewej. Bridget Ireton – najstarsza córka Cromwella – siedziała nieco dalej, obok Neda, a jej ojciec zajął miejsce obok Katherine. Krzesło po drugiej ręce Neda było jednak puste – Henry Ireton odrzucił zaproszenie.

Twoja matka wyglądała przepięknie, król zachowywał się wobec niej bardzo szarmancko, wino i jedzenie były wyborne. Wesoły wieczór.

Kiedy wieść o tej uczcie dotarła do armii stacjonującej zaledwie siedem mil od Hampton Court, nad Tamizą w Putney, żołnierze nie posiadali się z oburzenia – które w dużej mierze podsycił młody i radykalny podpułkownik William Goffe.



Tego wieczoru po kolacji siedzieli przed kominkiem w pokoju Neda i palili fajki. W ciemności za oknem padał śnieg. Niesamowita cisza.

– Rozmyślałem dzisiaj o dyskusjach w armii w Putney – odezwał się Ned.

– Byłeś tam w ogóle? Myślałem, że przez cały ten czas siedziałeś w Hampton Court ze swoim przyjacielem królem. – Za tym sarkazmem wciąż kryła się gorzka nuta, po tylu latach.

– Byłem na początku. Wciąż pamiętam twoje przemówienie z pierwszego dnia.

– Podobało ci się?

– Było... płomienne.

– Mówiłem tak, jak kazał mi Pan.

Dowództwo armii zebrało się w kościele w Putney, by zdecydować, jaką prowadzić politykę; obradom przewodniczył Cromwell. Will pomaszerował do mównicy niczym żołnierz idący na bitwę. Jak twierdził, dotychczasowe zwycięstwa dowiodły, że Bóg „pozbawił chwały wszystko, co cielesne”. Oznajmił, że miał we śnie wizję, zgodnie z którą nie powinni w ogóle negocjować z królem, a „głos z nieba powiedział, że zgrzeszyli przeciw Panu, zadając się z wrogami”. Jego słowa spotkały się z ogłuszającym rykiem aprobaty. To właśnie wtedy Cromwell zażądał przeprosin – i otrzymał je.

Pod koniec pierwszej części spotkania Ned odszedł z Cromwellem kawałek od kościoła i powiedział coś o kiepskich nastrojach wśród żołnierzy.

– Kiepskie? – rzucił Cromwell. – Boże, to mało powiedziane! Są wściekli... i być może nie bez powodu. Wykazaliśmy się głupią próżnością, publicznie zasiadając z królem do uczyty. Henry postąpił bardzo rozsądnie, odcinając się od tego. Słyszałeś, że niektórzy chcieliby mnie postawić przed sądem? Ba, podobno lewellerzy planowali zamach na moje życie.

Był naprawdę przejęty; Ned jeszcze nigdy nie widział kuzyna w takim stanie.

– Ta armia jest narzędziem Boga – oświadczył Cromwell. – Jej nastroje są echem Jego głosu. Jeśli nie możemy przekonać jej do naszych zamysłów, będziemy musieli przychylić się do jej woli. Powinieneś wrócić jeszcze dziś do Hampton Court, a ja zobaczę, co da się jutro zrobić.

Teraz Ned pochylił się i dźgnął pogrzebaczem ogień.

– Nie chciałem cię urazić, Will. Oliver zawsze cię szanował za twoją pobożność.

– Ale mieliśmy rację – powiedział z mocą jego zięć. – Nigdy nie doszlibyśmy do porozumienia z Karolem Stuartem. Nie powinniśmy byli nawet próbować. – Spojrzał podejrzliwie na teścia. – Czasami zastanawiam się, co ty wypisujesz na tych swoich kartkach.

Ned dokończył palić fajkę i wrócił do swojego pokoju.

Przez dwa tygodnie armia obradowała w Putney, prosząc Boga o wsparcie, podczas gdy ja pozostawałem w Hampton Court. Niemal codziennie dostawałem raporty o tym, jak silne są nastroje wrogie królowi. Jedenastego listopada, gdy obrady dobiegły końca, generał Cromwell przysłał mi list i kazał pokazać go królowi. Pamiętam każde słowo tej wiadomości: „Drogi kuzynie Whalley, z zagranicy dochodzą nas plotki o planowanym zamachu na Jego Królewską Mość. Zaklinam cię zatem, byś baczył na strażę, gdyby bowiem doszło do czegoś podobnego, byłaby to potworna zbrodnia”.

Od razu udałem się do króla, by pokazać mu list. Zapewniłem go, ręką swoim honorem, że nie przysłano mnie po to, bym go zamordował, że może być pewien, iż podczas mojej obecności nigdy nie dojdzie do czegoś tak potwornego, i że jestem gotów zginąć u jego stóp, broniąc jego życia. Podziękował mi za to i dodał: „Zawsze traktował pan naszą osobę z największym szacunkiem, pułkowniku Whalley”.

Zgodnie z sugestią Cromwella wzmocniłem strażę, ale żeby należycie zabezpieczyć wszystkie wejścia do tak rozległego pałacu, potrzebowalibyśmy czterystu lub pięciuset żołnierzy, a dysponowałem zaledwie stoma.

Król miał w zwyczaju spędzać czwartki – a właśnie był czwartek – na pisaniu listów przeznaczonych do wysłania za granicę. Wychodził z sypialni między piątą a szóstą po południu, odmawiał modlitwy, spożywał kolację i dopiero potem udawał się na spoczynek. To był wietrzny, deszczowy wieczór. O piątej wszedłem do pokoju obok jego sypialni i spytałem służących o króla. Powiedzieli mi, że wciąż pisze listy. Pół godziny i godzinę później spytałem ponownie. O siódmej, coraz bardziej zaniepokojony, powiedziałem jednemu ze służących, Mawle’owi, że obawiam się o zdrowie króla, i poprosiłem, by wszedł do jego sypialni. Odpowiedział, że król przykazał mu surowo, by mu nie przeszkadzał, a on nie śmie sprzeciwić się

jego woli, poza tym drzwi są zamknięte na zasuwę. Zajrzałem do sypialni przez dziurkę od klucza, ale nie dojrzałem Jego Królewskiej Mości.

Gdy zbliżała się ósma, poszedłem do pana Smitheby'ego, strażnika komnat królewskich, i poprosiłem, by przeszedł wraz ze mną na tyły pałacu, przez ogród – gdzie stali moi wartownicy – a potem na piętro, z komnaty do komnaty i kolejnej. W końcu dotarliśmy do pomieszczenia sąsiadującego z sypialnią Jego Wysokości i zobaczyliśmy w nim jego pelerynę leżącą na środku podłogi, co mnie zdumiało.

Teraz już rozkazałem Mawle'owi wejść do środka. Powiedział, że to robi, ale ja muszę pozostać przy drzwiach. Zgodziłem się i wszedł. Wyszedł niemal natychmiast i oznajmił, że króla tam nie ma. Gdy weszliśmy do sypialni we trzech, pan Smitheby powiedział, że może król jest w swojej garderobie. Pan Mawle poszedł to sprawdzić i po chwili zawołał: „Nie ma go tu, ale zostawił dla pana list!”.

Nedowi aż zaschło w ustach, kiedy przeżywał ponownie tę chwilę, gdy czytał wiadomość od króla z podziękowaniami za jego służbę (*Zapewniam Pana, że to nie list, który Pan mi dzisiaj pokazał, skłonił mnie do tej decyzji. Muszę przyznać, że nie chcę, by więziono mnie we własnym domu pod pretekstem chronienia mojego życia*), gdy kazał przeszukiwać oddziałom konnych i pieszych park w wilgotny, wietrzny i ciemny listopadowy wieczór i gdy wysyłał do Fairfaxa i Cromwella wiadomość o ucieczce króla.

Cromwell przyjechał z Putney o północy. Ku zaskoczeniu Neda generał był spokojny, wręcz pogodny. Wysłuchawszy raportu, objął Neda za ramiona w geście pocieszenia.

– Nie przejmuj się tym za bardzo, kuzynie. Przydzieliliśmy ci zadanie niemożliwe do wykonania: miałeś traktować go jak więźnia, a jednocześnie pozwalać, by żył swobodnie w tym wielkim pałacu. Poza tym to może się obrócić na naszą korzyść. Zdradził nasze zaufanie, pokazał, jakim jest człowiekiem,

i uwolnił nas od brzemienia negocjacji. Jeśli chodzi o Karola Stuarta, wszyscy możemy być teraz lewellerami.

– A jeśli uda mu się uciec za granicę? – spytał Ned.

– Tym lepiej, pozbędziemy się go. Wątpię jednak, by dotarł tak daleko.

Oczywiście Cromwell miał rację. Jak wiele innych przedsięwzięć króla, jego ucieczka została zaplanowana w pośpiechu i niedbale zrealizowana. Opuściwszy teren Hampton Court, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami spotkał się z Ashburnhamem i dwoma innymi rojalistami, sir Johnem Berkeleyem i Williamem Legge'em. We czterech natychmiast ruszyli na południe, przez królewski las, w stronę wybrzeża. Jego Wysokość zarzekał się, że zna drogę, lecz w tę paskudną deszczową noc wkrótce pobłądzili i o świcie dotarli dopiero do Sutton. Tam zaproponował, by pojechali do Southampton, Ashburnham ostrzegł do jednak, że nie przygotowano statku, którym król mógłby popłynąć do Francji. W związku z tym pojechali do Lymington i wysłali wiadomość do gubernatora Isle of Wight, Roberta Hammonda, którego król uważał za wiernego sprzymierzeńca. Gubernator zgodził się go przyjąć, lecz gdy król dotarł na wyspę, zamknął go w zamku Carisbrooke i zawiadomił o tym Londyn.

Później odkryliśmy, jak daleko sięgała zdrada Karola Stuarta. Zawarł tajne porozumienie ze Szkotami, którzy mieli najechać Anglię i przywrócić go na tron. Napisał też do królowej Francji, że nie czuje się zobowiązany dotrzymywać jakichkolwiek obietnic, do których skłoniono go pod przymusem, i że „we właściwym czasie będzie wiedział, jak rozprawić się z łajdakami, którym zamiast Jedwabnej Podwiązki należy się konopny sznur”.

Właśnie takim był człowiekiem. Czy zastanawiasz się jeszcze, droga córko, dlaczego musieliśmy go zabić? Dopóki żył, nigdy nie udałoby się zaprowadzić pokoju.

Podniósł wzrok. Dzień przygasł, nadciągała ciemność. W rogach pokoju zbierały się cienie.

Nie chciał już więcej pisać. Poruszając zastałe osady przeszłości, niepotrzebnie ożywiał stare niepokoje, obawy i podejrzenia. Na przykład ten list od Cromwella, który zgodnie z jego poleceniem musiał pokazać królowi... Teraz przyszło mu do głowy, że miał nie tyle ostrzec monarchę przed niebezpieczeństwem, ile sprowokować go do podjęcia próby ucieczki. Czy to oznaczało, że Cromwell gotów był narazić kuzyna na upokorzenie – być może na sąd polowy, a nawet na rozstrzelanie – tylko po to, by wykpić się od negocjacji z królem i poprawić swoje relacje z armią?

Ned podmuchał na atrament, by szybciej wysechł, włożył gruby plik kartek do sakwy i położył się na łóżku. Zamknął oczy. Człowiek nie mógł być niczego pewien, gdy chodziło o Olivera Cromwella. Ambicja i pobożność, własny interes i wyższe cele, pospolity metal spleciony ze złotem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kilka dni później zdarzyło się coś, co miało zmienić relacje Neda z zięciem.

Było późne popołudnie w chyba najzimniejszy i najsroższy jak dotąd dzień zimy; padał drobny, twardy śnieg – maleńkie drobiny siekły niczym kule z muszkietu w zadymce szalejącej nad jednostajnie białymi polami. Will uciekł przed zimnem do domu i siedział w swoim pokoju. Ned stał przy oknie, które wychodziło na południe, na podwórze, ulicę i odległe domy, tak jak okno pokoju jego zięcia. Wpatrywał się w przestrzeń, nie myśląc o niczym szczególnym, gdy nagle zza zasłony śniegu wynurzyła się jakaś postać, bez wątplenia mężczyzna. Szedł skrajem drogi pod wiatr, pochylając nisko głowę; na plecach niósł jakiś bagaż. Zatrzymał się w bramie Russella i spojrzął na dom. Ned odsunął się od okna. Kiedy ponownie spojrzął na zewnątrz, mężczyzna był już na podwórzu i zbliżał się do drzwi.

Ned wziął pistolet spod poduszki i przeszedł do pokoju zięcia. Will leżał na łóżku i wpatrywał się w sufit. Na widok teścia usiadł prosto. Ned przyłożył palec do ust, ostrzegając go, by się nie odzywał.

– Idzie tu jakiś człowiek – wyszeptał. – Obcy. – Dał znak Willowi, by poszedł za nim.

Weszli do korytarza za kominem i podnieśli deski. Ned zszedł po drabinie na parter, a jego zięć opuścił się o kilka szczebli, sięgnął w górę i włożył deski na miejsce, po czym dołączył do teścia. Po raz pierwszy od przybycia tutaj musieli się ukryć. Nie mieli świecy. Stojąc blisko siebie w ciemnościach za kominem, wsłuchiwali się w niewyraźne głosy dobiegające zza cegieł. Po chwili usłyszeli ciężkie kroki zmierzające na górę. Ktoś wszedł do korytarza i zatrzymał się nad nimi, po czym podniósł deski. W otworze ukazała się głowa Johna Russella.

– Macie gościa – oznajmił.

– Kogo? – spytał Ned.

– Przedstawia się jako James Davids i twierdzi, że zna was obu. I że nie powie nic więcej, dopóki was nie zobaczy.

– Można mu wierzyć?

– Chyba tak. Mówi, że przypłynął z Holandii.

– Z Holandii?

– Skąd wie, że tu jesteśmy? – spytał Will.

– Od waszych przyjaciół w Bostonie, dlatego myślę, że mówi prawdę. Musieli mu ufać, choć list, który przyniósł, jest oczywiście powściągliwy w treści. Przysłali go tu z przewodnikiem.

– Co o tym sądzisz? – zwrócił się do teścia Will.

Ned zastanawiał się przez chwilę.

– Skoro wie, że tutaj jesteśmy, to i tak nie ma sensu się ukrywać – odparł w końcu. – Ale nie znam żadnego Jamesa Davidsa.

– Ja też. Zresztą wygląda to na wymyślone nazwisko.

Wspięli się po drabinie, otrzepali z kurzu i przeszli za Russellem na parter – Will pierwszy, popędzany ciekawością, Ned za nim, znacznie ostrożniejszy.

Nieznajomy grzał się przy ogniu, a u jego stóp leżała stara skórzana sakwa. Wyglądał jak włóczęga: miał wychudzoną wąską twarz, czerwoną od wiatru i zimna, długie potargane włosy i brodę, przetykane pasmami siwizny. Na ich widok zdjął kapelusz.

– Pułkownik Whalley! Pułkownik Goffe! Jakże się cieszę, że widzę was obu żywych!

Kiedy podszedł do nich, wyciągając rękę, Will powiedział ze zdumieniem:

– Zdaje się, że rozpoznaję pańską twarz.

Po chwili, pomimo piętna, jakie odcisnęło na mężczyźnie ostatnie sześć lat, Ned również go rozpoznał: pułkownik armii Cromwella, bogaty szlachcic, członek parlamentu, sędzia na procesie króla, jeden z tych, którzy podpisali rozkaz wykonania wyroku śmierci – John Dixwell.



Tego samego wieczoru, gdy Dixwell się umył i włożył czyste ubrania użyczone przez wielebneho Russella, czterej mężczyźni usiedli do kolacji w salonie i nowo przybyły opowiedział im o swoich losach. Kiedy latem 1660 roku przywrócono monarchię, początkowo, zawierając zapisom Aktu Łaski, obiecał, że odda się w ręce władz. Odwlekał to jednak, usprawiedliwiając się problemami ze zdrowiem, i w zyskanym w ten sposób czasie sprzedał część swojego majątku. Potem, gdy miał już dość pieniędzy, by prowadzić wygodne życie, zdołał uciec z Anglii do Rotterdamu. Stamtąd przeniósł się do Hanau w Niemczech i mieszkał tam przez kilka lat w bliskim sąsiedztwie Valentine'a Waltona, Johna Barksteada i Johna Okeya. Omal nie wpadł w tę samą pułapkę co Barkstead i Okey, ale coś w zaproszeniu do Delftu wzbudziło jego podejrzenia.

– Mówiłem im, że będą głupcami, jeśli tam pojedą, ale Okey ufał temu bydlakowi Downingowi – powiedział Dixwell. – Kiedy dowiedziałem się, co się stało, nie byłem szczególnie zaskoczony. I wiedziałem, że muszę uciekać z Hanau.

Przeniósł się do Szwajcarii, do Lozanny, spotkał się z Edmundem Ludlowem i ten zapewniał go, że to bezpieczne miejsce. Niestety, Ludlow omal nie został porwany przez jakichś irlandzkich bandziorów, a John Lisle, mieszkający w sąsiednim mieście, zginął zastrzelony w biały dzień na ulicy. Dixwell porzucił więc Szwajcarię i wrócił do Holandii. Kiedy jednak doszło do przejęcia Nowego Amsterdamu przez Anglików i wszyscy zaczęli mówić o wojnie między Anglią i Holandią, uznał, że w takiej sytuacji jako Anglik zbytnio rzucałby się w oczy, wsiadł na statek do Bostonu, w grudniu dopłynął do Ameryki i oto jest tutaj.

– Wydaje się, że dokądkolwiek się pan uda, kroczy za panem nieszczęście – powiedział Ned.

Will parsknął śmiechem i pokręcił głową.

– Daj spokój, Ned. John był po prostu ostrożny.

John...

Dixwell od samego początku nie przypadł Nedowi do gustu. Było w nim coś odstręczającego – samozadowolenie, z jakim o sobie opowiadał, i pewna protekcjonalność – ale Will jakby tego nie zauważał i chłonał każde jego słowo. Ned przypuszczał, że ich nowy towarzysz jest o jakieś dziesięć lat od niego młodszy, czyli dziesięć lat starszy od Willa. Gdy wybuchła wojna domowa, był członkiem parlamentu reprezentującym Dover i otrzymał stopień pułkownika, choć nigdy nie walczył w prawdziwej bitwie, a przynajmniej Ned nic o tym nie wiedział. Pamiętał jednak doskonale, że Dixwell głosował w Izbie Gmin za wytoczeniem procesu królowi, a potem był jednym z sędziów; jak wielu innych próbował jednak wywinąć się od podpisania rozkazu wykonania wyroku śmierci. Był jednym z tych parlamentarzystów, których Cromwell wyciągnął z sali w przeddzień egzekucji, zaprowadził do pokoju, gdzie na stole leżał pisemny rozkaz, i włożył im pióro w rękę. Mimo to Ned starał się zachować przyjazny ton.

– Więc jak długo pan z nami pozostanie, pułkowniku? – spytał.

– To zależy od dobrej woli pana Russella.

– Może pan tu mieszkać tak długo, jak pan zechce – zapewnił go Russell.

– Jestem pewien, że nasz los odmieni się w sześćdziesiątym szóstym roku, gdy Pan przybędzie w chwale na ziemię – powiedział Dixwell.

– Zostanie pan aż tak długo? – zdziwił się Ned.

– Jeśli będzie mi wolno. – Dixwell zerknął na Russella, a ten skinął głową. – Razem będziemy przeżywać ten cudowny dzień.

– Amen – dodał Will. – Wczoraj w nocy we śnie przyszedł do mnie Bóg i pokazał mi wizję świata w ogniu, z wielkim światłem zstępującym z nieba i człowiekiem, który kroczy nietknięty przez płomienie, odziany od stóp do głów w biel. Nasz Pan i Zbawca przybyły, by nas wyzwolić.

Przez chwilę wszyscy milczeli, zastanawiając się nad tymi słowami.

– Czy to naprawdę takie pewne? – wypalił w końcu Ned. – Nie jestem znawcą Pisma, ale ta przepowiednia wydaje mi się trochę wydumana. Jeśli liczba sześćset sześćdziesiąt sześć rzeczywiście oznacza koniec świata, to czy Drugie przyjście nie

powinno było nastąpić tysiąc lat temu? Wydaje się, że będzie pan dość długo czekał na coś, co może się nie wydarzyć.

– Proszę wybaczyć mojemu teściowi – powiedział Will. – Czasami wydaje mi się, że ma zadatki na prezbiterianina.

Urażony – on, prezbiterianinem? – Ned wstał od stołu, pożegnał się i poszedł na górę do łóżka. Wiedział, że zachowuje się niepoważnie, wręcz dziecinnie, że zamienia się w kłótliwego i upartego starca, takiego jak ci, którymi gardził w młodości. Przeprosi. Leżał przez parę godzin z otwartymi oczami, zakładając, że Will przeniesie się do jego pokoju, a swój odda Dixwellowi. Ale kiedy w końcu usłyszał ich kroki, obaj poszli do sypialni Willa. Ned zasnął, gdy zza ściany wciąż słychać było ich przytłumioną rozmowę.

– Widzę, że jesteś bardzo blisko z pułkownikiem Dixwellem – powiedział rano z wymuszonym uśmiechem.

– Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie, jeśli John będzie dzielił pokój ze mną tak długo, jak zechce tu zostać.

– Jak sobie życzysz.

– Obraziłeś się? – Zatroskany Will położył dłoń na ramieniu teścia. – Myślałem, że taki układ będzie ci odpowiadał. Ty częściej przebywasz w swoim pokoju. Będziesz mógł spokojnie pisać wspomnienia.

– Zastanawiam się, czy z tego nie zrezygnować.

– Dlaczego?

– Takie grzebanie w przeszłości nie zawsze jest miłe – odparł Ned.

– Więc jak inaczej będziesz spędzać czas? Ja przynajmniej wciąż jestem w stanie pracować.

Will nie miał niczego złego na myśli, lecz Ned mimowolnie się wzdrygnął. W końcu zostało głośno wypowiedziane to, czego dotąd nie przyznawał nawet przed sobą. Miał sześćdziesiąt sześć lat, bolały go dawne rany, mięśnie mu zanikały – był ciężarem. Zbyt stary, by robić coś pożytecznego, mógł jedynie siedzieć w pokoju i rozmyślać o przeszłości.

– Cóż, pewnie masz rację – rzucił.

Potem stał przy oknie i patrzył, jak dwaj młodszy mężczyźni idą przez podwórze do szopy.



Moja najdroższa i jedyna córko, muszę teraz przejść do egzekucji króla, wydarzenia, które przywiodło nas do obecnej przykrew sytuacji.

Gdy Jego Wysokość został schwytyany i uwięziony na Isle of Wight, wojna domowa – którą uważaliśmy za wygraną – rozgorzała na nowo i przez jakiś czas nasze położenie wydawało się beznadziejne. Na północy zbierała się ogromna szkocka armia, która miała przyjść królowi na ratunek. W naszym obozie zdania były podzielone między częścią członków parlamentu, którzy uważali, że ugoda z Jego Wysokością wciąż jest możliwa, a większością armii uważającą Karola Stuarta za szatana. W całym kraju dochodziło do rojalistycznych powstań. W maju 1648 roku generał Cromwell pojechał na zachód, by rozbić tamtejsze siły króla, a ja na wschód, by wykonać podobne zadanie w Kent i Essex.

Walki toczone tamtego lata i jesieni były znacznie okrutniejsze i bardziej zacięte niż te wcześniejsze. Wzdrygał się na wspomnienie tych wydarzeń. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek zobaczy w Anglii podobne rzeczy. Plony, stodoły i młyny palono tylko po to, by zamorzyć wroga głodem. Pułkownika Shambrooke'a postrzelono zatrutą kulą, którą wcześniej gotowano w wiotriolu. W Chelmsfordzie ułożono w rzędzie ciała dwudziestu rojalistów, ludzi szlachetnie urodzonych, o delikatnej skórze i w eleganckich ubraniach, zabitych strzałami w tył głowy. W Colchesterze żołnierze z pułku Neda wrzucili granat do nieprzyjacielskiego magazynu z prochem i rozerwali na kawałki ponad stu ludzi. Rojalistyczni dowódcy, sir Charles Lucas i... Jak się nazywał ten drugi? Sir George Lisle, właśnie! Obaj zostali rozstrzelani na dziedzińcu zamkowym po procesie przed sądem polowym, choć sami się poddali. Tylu dobrych ludzi stracono.

Żeby zrozumieć, co się potem stało, musiałybyś, Frances, wiedzieć, jak to wyglądało. Po tym, jak generał Cromwell pokonał Walijczyków pod Pembroke, a następnie Szkotów pod Preston, oddziały jego armii spotkały się pod Londynem, zdeterminowane rozstrzygnąć sprawę króla raz na zawsze. Dotarłem tam wraz z głównymi siłami w sobotę drugiego grudnia. Zajęliśmy pałace Whitehall i St James, spaliśmy w królewskich apartamentach, w salach, w których król udzielał audiencji, w pokojach służby – wszędzie, gdzie można się było położyć. W następnym wtorek, mimo obecności wielu tysięcy żołnierzy, Izba Gmin przegłosowała wniosek nakazujący kontynuowanie negocjacji z królem. Widząc, że parlament w takim składzie nigdy nie zgodzi się na postawienie Jego Królewskiej Mości przed sądem, rada armii Cromwella postanowiła wykluczyć wszystkich posłów, którzy głosowali za ugodą.

To pułk Willa, dowodzony wówczas przez pułkownika Pride'a, najbardziej radykalny w całej armii, miał zaszczyt otoczyć salę obrad Izby Gmin. Will, który znalazł się wtedy w centrum wydarzeń, zaciągnął czterdziestu członków parlamentu, którzy odważyli się protestować, do aresztu urządzonego w pobliskiej tawernie, a ponad osiemdziesięciu innych nie dopuścił do ich miejsc w sali, stawiając na ich drodze oddział muszkieterów z bronią gotową do strzału. Ned natomiast wyprowadził z parlamentu tego nudnego gadułę o wykrzywionej twarzy i czaszce pozbawionej uszu, Williama Prynne'a.

Zastanawiają Cię być może – jak wielu innych, także mnie – działania armii, która poszła na wojnę, by bronić parlamentu, a teraz traktowała go brutalniej, niż kiedykolwiek ośmielił się to zrobić król. Wiedzieliśmy jednak, że Bóg jest z nami, bo czy bez Jego wsparcia moglibyśmy odnieść tak wiele wspaniałych zwycięstw? Byliśmy pewni, że wykonujemy Jego wolę.

Mimo to Ned prywatnie spierał się z Cromwellem i krytykował jego metody. Z pewnością istniał jakiś prostszy sposób na pozbycie się króla niż publiczny proces. Jego Wysokość wielokrotnie próbował uciekać. „Dajmy mu okazję do

kolejnej próby i zastrzelmy go w trakcie ucieczki. Czy nie byłoby to sprawiedliwe?”, zaproponował. Cromwell odparł jednak, że dzieł Bożych nie realizuje się w ciemności. Lud powinien widzieć, jak Karol Stuart zostaje oskarżony o zbrodnie i sprawiedliwie ukarany zgodnie z przepisami prawa. Był przekonany, że monarcha zostanie ostatecznie i całkowicie upokorzony. Ned nie był tego jednak taki pewien.

Sześć tygodni później przywieziono pilnie strzeżonego króla do Londynu i uwięziono w domu nad Tamizą na terenie Westminsteru, który był wtedy obozowiskiem armii Cromwella. Ned znalazł się w gronie stu trzydziestu pięciu osób – oficerów, członków parlamentu i prawników – wyznaczonych na sędziów. Proces miał się rozpocząć w Westminster Hall, największej sali w Anglii, po południu w sobotę dwudziestego stycznia. Od samego początku, gdy tylko ogarnął spojrzeniem ogromną przestrzeń, obstawioną żołnierzami i wypełnioną setkami widzów, Ned czuł narastający niepokój. Tylko połowa miejsc przeznaczonych dla sędziów była zajęta; pozostali za bardzo się bali, by uczestniczyć w procesie. Gdy sprawdzono listę obecności, okazało się, że nie ma generała Fairfaxa. Ludzie szeptali między sobą, pytali się nawzajem, gdzie generał może być. Jakaś kobieta zawołała z galerii dla publiczności: „Ma na tyle rozumu, żeby tu nie przychodzić!”. Mało kto wiedział, kim jest, lecz Ned ją rozpoznał: to była lady Fairfax.

Potem wszystko rozegrało się dokładnie tak, jak się tego obawiał. Znał Karola Stuarta lepiej niż którykolwiek z sędziów. W chwili, gdy król – drobny mężczyzna otoczony przez żołnierzy pod dowództwem pułkownika Hackera – wszedł po schodach do sali, stało się jasne, że pozostanie nieugięty. Nie przydzielono mu prawnika. Nie przedstawiono wcześniej zarzutów. Zajął swoje miejsce i rozejrzał się z typową dla siebie mieszanką oderwanego od rzeczywistości zaciekawienia i pogardy. Powiódł wzrokiem po ławie sędziowskiej – prócz Cromwella i Iretona nie znał właściwie nikogo spośród zasiadających tam ludzi. Zatrzymał na moment spojrzenie na Nedzie, a potem z pogardliwym grymasem na twarzy przesunął wzrok dalej. Kiedy John Cooke, prokurator, zaczął odczytywać akt oskarżenia – zarzucił królowi złamanie przysięgi koronacyjnej i prowadzenie wojny przeciwko

własnym poddanym – Karol pochylił się do przodu i poklepał go w ramię laską, by mu przerwać. A gdy Cooke to zignorował, król uderzył go tak mocno, że srebrna gałka laski odpadła i potoczyła się po kamiennej podłodze. Monarcha czekał, aż ktoś ją podniesie, a że nikt się do tego nie wyrywał, wstał i sam to zrobił.

Bradshaw, przewodniczący sądu, spytał go, czy przyznaje się do winy.

– Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, na jakiej podstawie mnie sędzicie i czy mieliście prawo mnie tu wezwać. – Mówił spokojnym, stanowczym tonem. – Na świecie jest wielu ludzi, którzy uzurpują sobie władzę nad innymi, złodziei i rozbójników. Pamiętajcie jednak, że jestem waszym królem, waszym prawowitym królem.

Oświadczył, że nie ustosunkuje się do aktu oskarżenia, dopóki nie pozna precedensu sądowego, który pozwoliłby nadać zarówno temu sądowi, jak i aktowi oskarżenia moc prawną. A ponieważ takiego precedensu nie było, zepchnął ich wszystkich do defensywy – do tego stopnia, że gdy pod wieczór wyprowadzano go z sali, wśród publiczności rozlegały się okrzyki: „Boże, chroń króla!”.

Podczas następnego posiedzenia sądu, w poniedziałek, zachowywał się tak samo, we wtorek również. Wyglądało to tak, jakby nie sędzono króla, lecz armię Cromwella i jej legalność. Sędziowie musieli zmienić taktykę. W środę rano podczas tajnego głosowania postanowili nie przyprowadzać króla do sądu i pod jego nieobecność wysłuchać świadków oskarżenia. W sobotę rano, podczas utajnionego posiedzenia, uznali go za winnego. Po południu przyprowadzono Karola do Westminster Hall, by przedstawić mu werdykt. Bradshaw spytał, czy chciałby coś powiedzieć, nim zostanie ogłoszony wyrok. Zarzuciwszy ponownie temu sądowi nielegalność, król poprosił o możliwość wystąpienia przed połączonym gremium Izby Lordów i Gmin. Kiedy Bradshaw odmówił, doszło do zdumiewającej sceny. Członek parlamentu, John Downes, który siedział dwa miejsca od Neda, zawołał:

– Czy mamy serca z kamienia?! Czy jesteśmy ludźmi?!

Odrąciwszy ręce sąsiadów próbujących go powstrzymać, podniósł się. Cromwell, który siedział dokładnie przed nim, odwrócił się, unosząc brwi.

– Co się z tobą dzieje, człowieku?! – rzucił. – Oszalałeś? Siadaj i milcz!

– Nie, panie generale. Nie mogę milczeć. Nawet gdybym miał przez to umrzeć, muszę się sprzeciwić.

Zdenerwowany Bradshaw zarządził przerwę i sędziowie wyszli do bocznej komnaty. Gdy Cromwell zaatakował Downesa, zarzucając mu tchórzostwo, trzech sędziów przemówiło w jego obronie.

– Czy nie moglibyśmy chociaż wysłuchać, co Jego Wysokość ma do powiedzenia? – zapytał jeden z nich. – Być może ma propozycję, jak zaprowadzić pokój w kraju.

– Na miłość boską, nie widzicie tego?! – zawołał Cromwell. – To tylko jego kolejna sztuczka! Nie dotarliśmy tak daleko tylko po to, żeby się teraz wycofać! Jesteście mięczakami...

Przez kolejne pół godziny ciskał gromy, aż w końcu opór sędziów osłabł i runął niczym mury oblężonej fortecy. Wszyscy wrócili do Westminster Hall – z wyjątkiem Downesa, który zalał się łzami i został w bocznej komnacie – by ogłosić wyrok.

– ...że wspomniany Karol Stuart, jako tyran, zdrajca, morderca i wróg narodu, zostanie uśmiercony poprzez oddzielenie głowy od ciała.

– Pozwoli pan, że powiem dwa słowa? – spytał spokojnie król.

– Po ogłoszeniu wyroku oskarżony nie może już przemawiać – odparł Bradshaw. – Wyprowadźcie go.

Król wydawał się zdumiony.

– Mogę przemawiać po ogłoszeniu wyroku... – Dopiero gdy strażnicy ruszyli w jego stronę, po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą. – Wstrzymajcie się, proszę! Wyrok, panie Bradshaw... Powtarzam, panie Bradshaw, mam prawo...

Gdy wyprowadzano go z sali, by w odosobnieniu oczekiwał swego losu, jego słowa zostały jednak zagłuszone przez krzyki żołnierzy:

- Egzekucja!
- Sprawiedliwość!
- Egzekucja!



Wyczerpany Ned odchylił się na oparcie krzesła. Czuł przeszywający ostry ból za oczami i mrowienie w ramionach. Przez wiele lat nie myślał o samym procesie – właściwie nigdy dłużej się nad nim nie zastanawiał. Czekał, aż objawy ustąpią, jak zawsze. Co jeszcze mógł sobie przypomnieć? Że następnego dnia, niedziela, był czasem modlitw i medytacji. Że w poniedziałek na stole w Malowanej Komnacie położono rozkaz wykonania wyroku śmierci i że przyszedł z Cromwellem z pałacu Whitehall – gdzie ten zajmował dwie spośród najwspanialszych sypialni w apartamentach królewskich – by go podpisać. W Malowanej Komnacie czekało już kilkunastu, może kilkudziesięciu sędziów, którzy grzali się przy wielkim kominku, bo dzień był wyjątkowo zimny. Stół przykryto tureckim dywanem. Bradshaw złożył podpis jako pierwszy, potem lord Grey, jedyny arystokrata w ich gronie, po czym Cromwell, który był w doskonałym nastroju, prysnął atramentem w twarz Henry’ego Martena, a ten odpłacił mu tym samym. Ned, który dostał pióro od Cromwella, podpisał się jako czwarty i przystawił pieczęć z rodzinnym herbem przedstawiającym trzy wieloryby wypuszczające fontanny wody. Zrobił to bez wahania. Uważał karę za sprawiedliwą. Taka była wola Boża. Tylko proces był błędem. Podał pióro Johnowi Okeyowi. Pamiętał, że Will też tam był; świeżo po wizycie u króla, stał przy ogniu i opowiadał, jak kierowany współczuciem próbował namówić Karola Stuarta, by pomodlił się wraz z dwoma purytańskimi pastorami, których przyprowadził, został jednak odprawiony bez słowa.

Przed południem na dokumencie złożono już prawie czterdzieści podpisów.

– Za mało – orzekł Cromwell.

Ned przeszedł z nim do drzwi sali Izby Gmin, żeby wyciągnąć stamtąd posłów, którzy próbowali uchylić się od obowiązku.

– Ci, którzy wzięli udział w procesie, muszą złożyć podpis – powiedział Cromwell. – Dopilnuję, by to zrobili.

Wszedł do sali, żeby przyprowadzić opornych posłów. Jednym z nich był Dixwell, innym nieszczęsny John Downes. Cromwell zaprowadził ich do Malowanej Komnaty; obejmował ramieniem Downesa i tłumaczył mu, że to dla niego szansa, by odkupić grzechy w oczach Boga i towarzyszy.

Wkrótce potem Ned poszedł na King Street, by uczestniczyć w przygotowaniach do egzekucji, która miała się odbyć następnego dnia; nadzorował wznoszenie szafotu i usuwanie części ściany w Banqueting House, by król mógł wejść tamtędy na podwyższenie, kazał też sprowadzić z Tower specjalny topór. Zajmował się tyłoma rzeczami naraz, że teraz nie pamiętał już wszystkiego. Pracował wtedy do późnej nocy. Z samego rana poszedł do sypialni Cromwella. Generał Harrison i Ireton spali na łóżku, ale Cromwell był już na nogach; stał przy stole, na którym leżał wyrok śmierci i rozkaz wykonania egzekucji. Towarzyszyli mu trzech pułkownicy – Hacker, Axtell i Huncks – którzy mieli nadzorować ścięcie. W ostatniej chwili Huncks odmówił udziału w egzekucji i Cromwell nazwał go „tchórzem i słabeuszem”. Wątpliwości, wątpliwości, nawet na tym ostatnim etapie... Lecz Ned nie wahał się ani przez chwilę. To było jak szarża kawaleryjska: pochylona głowa, nogi dotykające nóg towarzyszy po prawej i lewej, jazda prosto na wroga.

Wróciłem do Banqueting House, żeby się upewnić, czy nikt nie podejmie ostatniej próby ratowania króla. Byłem obecny przy tym, jak wyszedł z budynku na spotkanie śmierci. Otarł się o mnie, ale mnie nie widział. Powiedziano mi, że włożył tego dnia dodatkową koszulę, by nie drżeć z zimna, co inni mogliby odczytać jako wyraz strachu. Umarł bardzo dzielnie, muszę to przyznać.

Czy dobra śmierć mogła odkupić złe życie? Stojąc przy otwartym oknie, Ned słyszał ostatnie słowa króla: „Odchodzę z Korony przekupnej do nieprzekupnej,

gdzie nic nie może zmącić świętego porządku”. Obserwował opadający topór, słyszał jęk tłumu, widział, jak kat podnosi odciętą głowę. Potem przyszyli ją z powrotem do tułowia, by wystawić ciało w otwartej trumnie w pałacu St James’s, gdzie zagraniczni ambasadorowie i inni notable mogli się przekonać na własne oczy, że Karol Stuart nie żyje.

Ned jeszcze raz spojrzął na to, co napisał. *Umarł bardzo dzielnie...* To nie było najwłaściwsze określenie. Odszedł nie tylko dzielnie, ale też łagodnie, niemal radośnie. Karol Stuart musiał wiedzieć, że dzięki swojej postawie w sądzie i na szafocie w ostatecznym rozrachunku odniósł zwycięstwo nad wrogami. Dopiero wtedy Ned uświadomił sobie, że król umarł dokładnie tak, jak wiele lat później schwytni królobójcy – z niezachwianą pewnością, że słuszość leży po jego stronie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Ostatnimi czasy w gabinecie Naylera, na końcu korytarza w siedzibie Tajnej Rady Królewskiej, było wyjątkowo cicho. Jakiś czas wcześniej Nokes poprosił o zwolnienie go z obowiązków sekretarza i rozpoczął pracę u sir Williama Morice'a. Członkowie komisji przy Tajnej Radzie zajęli się pilniejszymi sprawami. Gdy jesień zamieniała się powoli w zimę, a z Ameryki wciąż nie dochodziły żadne wieści, Nayler spędzał większość dni w samotności i ciszy przerywanej jedynie trzaskiem ognia, całkiem zapomniany, jak mu się zdawało. Jednym z niewielu jaśniejszych punktów w tym monotonnym życiu było pojawienie się komety nad Londynem, tydzień przed Bożym Narodzeniem. Specjalnie wspiął się na dach, by ją obserwować. A potem, w przedostatni dzień stycznia 1665 roku, w rocznicę egzekucji króla, wezwano go do lorda kanclerza.

Sir Edward Hyde – Nayler nie mógł się przyzwyczaić do jego nowego tytułu hrabiego Clarendonu – wciąż pracował w swoim starym małym pokoju w Worcester House. Wciąż też otaczały go sterty dokumentów, wciąż zmagął się z podagrą i opierał opuchnięte nogi na poduszkach, a jego wielkie ciało było jeszcze grubsze niż przedtem, mimo zalecanych przez medyków diet i przeczyszczeń. Jego dłonie zamieniły się z wiekiem w łuszczące się czerwone szpony. Wskazał jedną z nich na siedzenie obok siebie, a gdy Nayler posłusznie zajął miejsce, kanclerz sięgnął po leżący przed nim dokument, chwycił go między palec wskazujący i kciuk i podniósł. Musiał lekko przechylić głowę, niczym papuga, by odczytać jego treść.

– Otrzymaliśmy w końcu meldunek od pułkownika Nicollsa z Bostonu, a w nim raport o wynikach jego misji w Nowej Anglii – oznajmił. – Wygląda na to, że Holendrów udało się pokonać bez jednego nawet strzału, chwała Bogu. Nowy

Amsterdam to teraz Nowy Jork i Jego Wysokość może oczekiwać od tej kolonii dochodu w wysokości około trzydziestu tysięcy funtów rocznie.

– Gratulacje, sir Edwardzie – rzucił Nayler. – To wielki triumf. – Ani trochę nie obchodził go Nowy Jork. Chciał się tylko dowiedzieć, co z Whalleyem i Goffe’em.

– Czy to rzeczywiście taki triumf? – mruknął kanclerz. – Wkrótce wybuchnie wojna z Holendrami, która będzie nas kosztować dwa miliony rocznie.

Nayler poprawił się nerwowo na krześle. Nie zostawił na piśmie niczego, co wiązało się z ekspedycją zorganizowaną przez księcia Yorku; był niemal pewien, że Hyde nie wie, kto podsunął księciu pomysł tej wyprawy, ale tego sprytnego starca trudno było nie doceniać.

– Z pewnością chciałby pan poznać wieści o królobójcach – powiedział Hyde. – Zgodnie z rozkazami pułkownik Nicolls przeprowadził gruntowne poszukiwania pułkowników Whalleya i Goffe’a. – Podniósł wzrok znad dokumentu i milczał przez chwilę, przedłużając męczarnie Naylera. – Nic.

– Nic, sir Edwardzie? – Nayler odchylił się na oparcie krzesła. Teraz, gdy otrzymał już ten cios, uświadomił sobie, że nie spodziewał się niczego innego. Był przekonany, że gdyby Whalley i Goffe zginęli, czułby to w trzewiach. – Nic, zupełnie?

– Przeszukali wszystkie miejsca, o których pan wspomniał. Nicolls przesłuchał Gookina i doszedł do wniosku, że ten człowiek z pewnością należy do siatki purytanów ochraniających zbiegów. Przypuszcza, że być może nawet przekazuje im pieniądze. Nie miał jednak dość dowodów, by go aresztować.

– Więc wygrali?

– Jeśli uważa pan, że życie trzy tysiące mil od domu, strach przed każdą obcą twarzą i siedzenie w jakiejś kryjówce jest zwycięstwem, to tak. Ja jednak tego tak nie widzę. – Kanclerz odłożył raport. – No dobrze, przejdę do rzeczy. Uważam, że nadszedł już czas, by rozwiązać komisję do spraw królobójców. I tak rzadko się spotykamy. Jestem pewien, że pańskie talenty można wykorzystać gdzie indziej.

Nayler usiadł prosto. Właściwie tego też się spodziewał. Wykonał swoje zadanie i zostanie odprawiony.

– Pomyślałem, że mógłby pan zostać moim prywatnym sekretarzem – dodał Hyde.

Nayler wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami, zbyt zaskoczony, by odpowiedzieć.

– Lecz proszę mieć na uwadze – ciągnął kanclerz – że musiałby się pan uwolnić od obsesji poszukiwań pułkowników w Ameryce. Zbadałem tę sprawę. Wiem, co panem kieruje. Śmierć żony w takich okolicznościach to rzeczywiście koszmar. Ale ta sprawa jest już zakończona. Musi pan to zaakceptować. – Zmienił pozycję obolałej nogi i skrzywił się lekko. – Mam nadzieję, że mi pan nie odmówi.

– Nie, sir Edwardzie. Będę zaszczycony.

– Może jednak potrzebuje pan trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić. Nie mam już takich wpływów jak kiedyś. Mam za to wielu wrogów, zwłaszcza panią Palmer, czy też lady Castlemaine, jak musimy ją od jakiegoś czasu tytułować. Król chętnie słucha moich przeciwników, a ja jestem stary, chory i wiecznie zmęczony. Rychła wojna z Holendrami nie będzie łatwa, a do następnego roku millenaryści przywiązują tak wielką wagę, że mogą z tego wyniknąć kłopoty. Zakładam, że pan nie wierzy w takie przesady.

– To tylko data, rok jak każdy inny – odparł Nayler.

– Ale wiele tysięcy osób jest innego zdania i będzie wypatrywać różnych znaków, jak ta kometa, którą uznali za cud. Takie niespokojne nastroje mogą wywołać armagedon innego rodzaju. Proszę więc pamiętać, że być może zwiąże pan swój los z upadającą gwiazdą.

– Mimo to przyjmuję pańską propozycję, sir Edwardzie, uniżenie i z wielką chęcią.

– Proponuję więc, żeby przeprowadził się pan tutaj, do Worcester House. Często pracuję do późna w nocy, więc wygodnie byłoby mieć pana pod ręką. Możemy się umówić na jutro? – Hyde sięgnął powykrzywianą ręką po inny

dokument i zaczął czytać, a potem podniósł wzrok, wyraźnie zaskoczony, że Nayler wciąż siedzi w jego gabinecie. – Coś jeszcze?

– Nie, sir Edwardzie.



Stanowisko prywatnego sekretarza lorda kanclerza Anglii było łakomym kąskiem, nawet jeśli Hyde nie mijał się z prawdą i jego władza rzeczywiście słabła. Zrobił sobie wroga z kochanki króla, teraz lady Castlemaine, sprzeciwiając się jej wyborowi na damę dworu opiekującą się sypialnią królowej, co uważał za uwłaczające żonie króla. Poza tym kanclerz budował ogromny dom w pobliżu pałacu St James's, który podobno miał być wspanialszy od królewskiej rezydencji, co uważano za świadectwo wygórowanych ambicji. Wiele dzieci Karola pochodziło z nieprawego łoża, a jednym z nich była wnuczka Hyde'a, Anne, trzecia w kolejce do tronu.

Gdy Nayler szedł StranDEM w stronę siedziby Tajnej Rady, był bliski euforii; rozmyślał o tym, jakie otwierają się przed nim perspektywy.

Pod oknem Banqueting House, przez które szesnaście lat wcześniej król wyszedł na spotkanie swej śmierci, leżały bukiety mizernych kwiatów, jakie można było zdobyć w Anglii zimą – przebiśniegów, oczarów, wrzośców – pozostawione tu w hołdzie królowi. Po drugiej stronie ulicy modliła się grupa pielgrzymów.

Nayler przeciął dziedziniec pałacu Whitehall, wszedł na górę i usiadł przy stole w swoim gabinecie. Zdjął z szyi rzemyk i otworzył woreczek zawierający fragment chustki splamionej krwią króla. Ucałował ją. Mógł z czystym sumieniem stwierdzić, że wypełnił swoją obietnicę najlepiej, jak potrafił. Wpatrywał się przez chwilę w listę królobójców, wciąż ułożoną na sztaludze, niczym artysta kontemplujący ukończony obraz. Lista składała się teraz niemal wyłącznie z czarnych kresek. Prawie wszystkie nazwiska zostały wykreślone. W końcu odłożył swoją relikwię, odpiął kartkę ze sztalugi i zwinął ją w rulon. Potem opróżnił sejf i zaczął sortować nagromadzone w ciągu czterech i pół roku

dokumenty; te, które chciał zabrać do Worcester House, odłożył. Rozszyfrowane listy, raporty agentów, protokoły z przesłuchań, podpisane zeznania, błagania o litość, anonimowe donosy, pokwitowania, rozliczenia – wiele z nich spalił w kominku. Znalazł plik oznaczony napisem *Wm. Goffe* i wyjął z niego wiadomość, którą pułkownik przesłał żonie.

Serce moje najdroższe, Bóg nas ochroni, bo przecież On kieruje wszystkim, co dzieje się na ziemi. Módl się za mnie, tak jak ja zawsze modłę się za Ciebie. Jesteś największym skarbem, jakim mnie obdarzył. Wrócę do Ciebie, gdy tylko będę mógł.

Nieznośne purytańskie pustosłowie! Zaniósł kartkę do kominka, ukląkł przed kratą i przysunął papier do płomieni. Patrzył, jak jego brzeg brązowieje i zwija się. Przez dłuższą chwilę trwał w tej pozycji, czując gorycz klęski, aż ogień zaczął mu parzyć palce. Dopiero wtedy się opamiętał, cofnął szybko nadpaloną wiadomość i dołożył ją do pozostałych dokumentów, które miały trafić do Worcester House.

Choć jeszcze nic o tym nie wiedział, za jego oknem ze szprosami właśnie rozpoczął się armagedon Anglii.



Kilka mil dalej na północny wschód, w Holborn, Frances Goffe spieszyła do domu. Od ponad dwóch lat nie miała wiadomości od Willa. Był bezpieczny, choć przebywał w innym miejscu, wiedziała tylko tyle.

Właśnie minęła kościół Świętego Idziego w Fields, kiedy zauważyła, że idąca przed nią tłumna grupa zmienia kierunek, niczym strumień omijający głaz. Ludzie woleli wejść w cuchnące śmiecie na środku ulicy, niż przejść blisko ściany po przeciwnej stronie. Kiedy potrącana przez przechodniów, zbliżyła się do tego miejsca, zobaczyła, co omijają: samotny dom, którego drzwi i okna zabito deskami, a na nich namalowano czerwony krucyfiks wysokości stopy i napisano kilka słów;

czerwona farba spływała z nich powoli niczym krew sącząca się z rany. *Boże, zlituj się nad nami*. Ktoś powiedział jej, że w środku jest zamknięta rodzina.

Frances wciąż mieszkała z dziećmi, ciotką i wujem w wąskim, ciasnym domu przy Harding Street, pół mili dalej. Gdy tam dotarła, powiedziała wujowi Williamowi o zabitym deskami domu, czerwonym krzyżu i uwięzionej w środku rodzinie. Wiedziała, co to oznacza, choć nigdy dotąd tego nie widziała. Za jej życia w Londynie nie było jeszcze zarazy.

– Apokalipsa świętego Jana mówi nam, że Sąd Ostateczny poprzedzi czterech jeźdźców: Śmierć, Głód, Wojna i Antychryst. To Śmierć – oznajmił z powagą William Hooke.

Frances pobiegła na górę, do dzieci.

Od tej pory zaczęła kupować za jednego pensa cotygodniowe spisy zgonów, sporządzane przez członków rad parafialnych. Ci umieszczali na nich nazwiska wszystkich zmarłych ze swoich parafii, podawali przyczyny śmierci i objawy. Wiedziała, że powinna wypatrywać określeń w rodzaju *czarne obrzęki* albo podobnych. Miała je zmarła w lutym kobieta. W kwietniu w taki sam sposób zmarły dwie osoby. Pod koniec maja było już sto ofiar tygodniowo. To była straszna choroba, zapisana grozą w pamięci zbiorowej: okropne bóle głowy i poty, ciemne guzy pod pachami i w kroczu, wymioty, rozwolnienie. W trzech czwartych wypadków choroba kończyła się śmiercią. Frances trzymała dzieci w domu, kazała im płukać usta ciepłą wodą z octem i żuć liście tabaki, które wykradała z pracy, ukrywając je pod spódnicą; robiła wszystko, co podobno pomagało odegnać zło. Po raz pierwszy cieszyła się, że Will i jej ojciec są po drugiej stronie świata.

Na początku czerwca, gdy pracowała w magazynie na brzegu Tamizy, nad rzeką przetoczył się potężny huk. Wyszła na zewnątrz i dołączyła do tłumu, który zgromadził się na błotnistym nabrzeżu. Huk dochodził ze wschodu i można by go wziąć za grzmot, gdyby nie to, że ciągnął się w nieskończoność; czasami tylko przycichał na moment, a potem rozbrzmiewał z jeszcze większą siłą. Słysząc go było w całym Londynie. Towarzyszył jej w drodze powrotnej do domu, gdy mijała zabite deskami domy, i ciągnął się pustymi ulicami, które teraz, kiedy mieszkańcy

miasta uciekali w popłochu na wieś, zaczęły porastać trawą. Wuj William wybrał się wcześniej w okolice katedry Świętego Pawła, by wypytać o najnowsze wieści księgarzy z Paternoster Row, po powrocie do domu powiedział, że to odgłosy wielkiej bitwy toczonej na morzu między angielską i holenderską flotą.

– Drugi jeździec: Wojna – dodał. – To początek końca dni. Musimy mieć odwagę, by je przeżyć, i wtedy zobaczymy, jak nasz Zbawiciel wraca w chwale, by oddać ziemię świętym.

Bitwa trwała cztery dni. Anglia straciła dziesięć okrętów i tysiąc ludzi, Holendrzy cztery okręty i tysiąc pięćset żołnierzy. Oba kraje ogłosiły się zwycięzcami, wszyscy jednak wiedzieli, że to Anglicy ponieśli klęskę.

Gdy nadszedł lipiec i liczba ofiar zarazy sięgała niemal dwóch tysięcy tygodniowo, ludzie mówili, że kraj został przeklęty. Na początku września, kiedy umierało siedem tysięcy zarażonych tygodniowo, Frances przestała kupować listy zgonów. Nocami nie mogła spać; słyszała turkot wózków jeżdżących ulicami i posępne okrzyki „Wynieście swoich zmarłych!”, gdy zbierano zwłoki i wywożono je do masowych grobów. Za dnia dzwony żałobne dzwoniły właściwie bez przerwy, w końcu jednak nie miał kto pociągać za ich sznury, więc stopniowo milkły. Wuj William, który najwyraźniej nie bał się zarazy, wychodził z domu o różnych porach, nie zważając na błagania żony. Wybrał się nawet do grobu w Aldgate.

– Czterdzieści stóp długości – relacjonował po powrocie. – Dwadzieścia szerokości i tyle samo głębokości. Głębiej już nie mogli kopać, bo podchodził woda.

Wydawało się, że skala nieszczęścia sprawia mu satysfakcję. Sklepy były puste. Ludzie głodowali na ulicach, w rowach leżały trupy. Trzeci jeździec: Głód.

Frances nie mogła tego zrozumieć.

– Jeśli to początek powrotu naszego Pana na ziemię, to dlaczego karze zarówno sprawiedliwych, jak i bezbożników? – zapytała wuja.

– Spójrz na to jak na ból towarzyszący porodowi, moja droga, konieczność, którą trzeba znieść, nim narodzi się coś nowego – odparł.

– Ci mężczyźni! – prychnęła ciotka Jane w rzadkim u niej przypływie irytacji. Jej mąż miał przynajmniej dość przyzwoitości, by milczeć.



Lord kanclerz wyjechał na wieś, by dołączyć do króla i reszty dworu, lecz Nayler pozostał na posterunku. Kierując się radami jednego z lekarzy Hyde'a, przedsięwziął pewne środki ostrożności: codziennie zażywał mieszankę miodu z gałką muszkatołową i pił wzmocnione wino z Hiszpanii. Pracował jednak normalnie i bez ograniczeń poruszał się po mieście, okryty nowym kaftanem z czarnego jedwabiu, który zamówił, by uczcić nominację na prywatnego sekretarza lorda kanclerza. To on podjął decyzję, że pierwsza środa każdego miesiąca będzie dniem postu i modlitw o uwolnienie od zarazy. Spotkał się z lordem burmistrzem i ten za jego namową wprowadził zakaz opuszczania domostw po dziewiątej wieczorem. Nayler uczestniczył też w naradzie wojennej na pokładzie okrętu *Prince*, by omówić problem braku marynarzy wywołany zarazą, po czym złożył Hyde'owi, który przebywał wtedy z królem i parlamentem w Oksfordzie, raport o alarmującym stanie wojny z Holendrami. Dotarły do niego niepokojące wieści, że kanclerz udzielił królowi kolejnego surowego wykładu o niemoralnym prowadzeniu się dworu i zablokował działania lady Castlemaine, gdy ta próbowała spłacić prywatne długi z królewskiej szkatuły. Następnie Nayler nakazał tymczasowo wstrzymać prace budowlane w Clarendon House, bo wydawały się niestosowne w sytuacji, gdy tak wielu ludzi umierało i głodowało. Pracował od świtu do późnej nocy i po raz pierwszy od ponad pięciu lat przez kilka tygodni ani razu nie pomyślał o królobójcach.



Frances była pewna, że przynajmniej niektórzy z nich umrą. Frankie i Judith były zdrowe, pięcioletni Richard wręcz tryskał zdrowiem – ta trójka mogła

przeżyć. Lecz Betty i Nan często chorowały nawet w normalnych czasach; Frances była zmęczona i głodna – mogła sobie policzyć wszystkie żebra – a ciotka i wuj cierpieli na przeróżne dolegliwości typowe dla ludzi w podeszłym wieku. Gdy jednak nastąpiła zima, która wreszcie powstrzymała zarazę, Frances stwierdziła ze zdumieniem, że rodzina jest cała i zdrowa.

W lutym informatorzy wuja donieśli, że król wraz z dworem po siedmiu miesiącach pobytu na wsi wrócił do Whitehall.

Gdy przyszedł rok 1666, rok Drugiego przyjścia Pana, William Hooke wygłaszał ponure przepowiednie. Frances była zszokowana, widząc, z jaką lubością wuj przyjmuje wieści o wszelkich katastrofach. W czerwcu wrócił z Paternoster Row i z uśmiechem oznajmił, że angielska flota poniosła kolejną klęskę w drugiej czterodniowej bitwie z Holendrami. Czytał listy zgonów, by sprawdzić, czy wraz z letnimi upałami powróci zaraza, i był wyraźnie rozczarowany, że do tego nie doszło.

Na początku września, w niedzielę rano, przybył ostatni jeździec; Antychryst odziany w ogień.

Obudził ją dziwny czerwony blask przezierający przez okiennice, zbyt jasny jak na świt. Przemknęła na palcach obok dzieci, zbiegła na parter i wyszła na ulicę. Wydawało się, że wszyscy sąsiedzi wstali i wylegli na zewnątrz w koszulach nocnych. Z nieba niczym krople deszczu spadały iskry. Wschodnie niebo lśniło krwawą czerwienią. Wpadła z powrotem do domu, załomotała do drzwi ciotki i wuja, a potem obudziła dzieci. Gdy wszyscy wyszli na zewnątrz, zaczynało już świtać. Płatki sadzy przypominające czarny śnieg mieszały się z iskrami. Frances bała się, że Richardowi, który biegał po ulicy, zanosząc się śmiechem, zapalą się włosy. Wzięła go na ręce i zaniósła z powrotem pod drzwi.

William Hooke, triumfując, podniósł ręce ku rozpalonemu niebu.

– *Czy moje słowo nie jest jak ogień – wyrocznia Pana – czy nie jest jak młot kruszący skałę?*²⁸

– Posłuchajcie – powiedziała ciotka Jane, przykładając dłoń do ucha.

Z oddali dobiegał ryk szalejącego ognia.

Wuj nalegał, by odbyli niedzielne spotkanie modlitewne jak zwykle, zebrani wokół kuchennego stołu. Przerzucał strony Biblii, szukając odniesień do ognia, których, jak zauważyła Frances, było bardzo dużo; zdawało się, że tego dnia Pismo składa się wyłącznie z ognistych znaków i zapowiedzi. Kiedy wuj skończył czytać i odśpiewali psalm, nie mogła usiedzieć ani chwili dłużej. Włożyła buty i oznajmiła, że pójdzie sprawdzić, jak wielkie jest zagrożenie.

Hooke zaprotestował; twierdził, że to on powinien iść do miasta. Frances uważała jednak, że jest na to za stary. Obawiała się również, że oczarowany tak niezwykłym spektaklem, może całkiem o nich zapomnieć.

– Nie, wuju – odparła stanowczo. – Ja pójdę. Ty poczekaaj tu z żoną i dziećmi. – Zwracając się do ciotki, nakazała jej cicho, by nie wystraszyć dzieci: – Spakuj całe jedzenie, które mamy, i wszystkie wartościowe rzeczy. Wrócę niedługo.

Najpierw szła na wschód krętymi ulicami, potem na południe, do rzeki. Tego ranka nie dzwoniły żadne dzwony kościelne, ani w City, ani za murami. Słysząc było jedynie przerażający jednostajny ryk. Ludzie uciekali w stronę Tamizy, pchając przed sobą wózki, niosąc tyle dobytku, ile tylko mogli unieść. Matki trzymały na rękach płaczące dzieci, starcy z trudem dotrzymywali kroku młodszemu. Ciepły wiatr niósł ze sobą zapach płonącego drewna, a w powietrzu migotały miliony małych iskier. Co jakiś czas podmuch gorącego powietrza wynosił pod niebo spowite ogniem śmieci. Wydawało się oczywiste, że pożar postępuje na zachód, w ich stronę. Nie było sensu iść dalej. Frances zawróciła i przeciskając się przez tłum, spieszyła do domu.



Nayler, który mimo niedzieli pracował w gabinecie, dowiedział się o pożarze około ósmej rano od jednego ze służących. Natychmiast wyszedł na dach Worcester House, by przekonać się na własne oczy, jak wygląda sytuacja. Jakąś milę dalej na wschód nad miastem unosiła się wielka chmura czarnego dymu. Początkowo nie widział płomieni, później jednak w ciemności urosła wielka żółta

kula i po chwili eksplodowała kolejnym obłokiem dymu. Wkrótce potem zauważył jasnopomarańczową linię pełznącą niczym robak wzdłuż stłoczonych ciasno domów na Moście Londyńskim. Widok był tak dziwny i przerażający, że początkowo nie mógł uwierzyć własnym oczom. W końcu jednak oprzytomniał, otrząsnął się z szoku i pobiegł na dół, by znaleźć lorda kanclerza.

Hyde siedział na krześle z kólkami, które służący pchał w stronę prywatnej kaplicy. Lady Clarendonu szła obok niego, a pozostali służący z tyłu. Wydawało się, że kanclerz nie rozumie, co się dzieje.

– Przecież w Londynie codziennie są pożary – powiedział.

– Nie takie jak ten, sir Edwardzie – odparł Nayler. – Dotarł do mostu.

– I co miałbym z tym zrobić?

– Zwołać spotkanie rady... a przynajmniej tylu jej członków, ilu uda się znaleźć.

– W niedzielę rano? – Hyde postukał z irytacją w bok krzesła. – Dowiedz się więcej i złóż raport, kiedy skończę modlitwy... A swoją drogą, ty też mógłbyś się czasem pomodlić.

Przestępując nerwowo z nogi na nogę, Nayler uklonił się nisko.

– Sir Edwardzie...

Wsiadł na dziedzińcu pałacu w powóz i pojechał Stranem aż do Blackfriars, gdzie zatrzymały go tłumy ludzi i ściana gorąca. Na schodach przy rzece grupa wyrostków okładała pałkami mężczyznę leżącego na ziemi. Wyglądało na to, że chcą go zabić. Nayler wyskoczył z powozu.

– Kto to jest?! – zawołał. – Co tu się dzieje?!

Napastnik stojący najbliżej niego odwrócił się i odparł zdyszany:

– To jeden z Francuzów, którzy podłożyli ogień!

– To papistyczny spisek! – dodał inny.

– Puśćcie go – nakazał Nayler.

– A kto nam każe?

– Lord kanclerz Anglii. – Spojrzeli na niego z niedowierzaniem, zawzięci i głupkowaci. – Nie wierzycie mi? Popatrzcie na powóz i herb na drzwiach.

Wymierzywszy leżącemu jeszcze kilka kopniaków i napluwszy na niego, chłopcy cofnęli się.

Nayler złapał Francuza za ramię i pomógł mu wstać.

– Uciekaj – nakazał mu. – I nie odzywaj się, dopóki nie opuścisz miasta.

Wsiadł z powrotem do powozu.

– Worcester House – rzucił polecenie woźnicy. – Najszybciej, jak się da.



Frances i jej rodzina dopiero późnym popołudniem dotarli nad rzekę i zastali tam istne pandemonium. Do tego czasu pożar znacząco zbliżył się do Tamizy; od rzeki dzieliło go nie więcej niż pół mili. Nad pobliskimi domami wisiały kłęby dymu i języki ognia; w dole tysiące ludzi tłoczyło się na brzegu i obok pomostu w deszczu iskier. Frances wcisnęła się w tłum, ciągnąc za sobą dzieci, za którymi przepychali się Hooke'owie. Nie zważając na krzyki oburzenia, dotarła na sam początek kolejki. Pieniądze straciły wartość; przewoźnicy brali tyle, ile mogli wyciągnąć od ludzi. Frances musiała oddać połowę oszczędności, by kupić im miejsce na barce węglowej, która przewoziła pasażerów na bezpieczny przeciwny brzeg Tamizy. Pomogła wujowi Williamowi i ciotce wdrapać się na pokład i przeniosła na niego dzieci. Barka była wypełniona po brzegi i niebezpiecznie głęboko zanurzona. Kiedy przycupnęli w węglowym pyłu i odbili od brzegu, fale wzbudzone przez wiatr raz po raz przelewały się przez burtę i na pokładzie było coraz więcej brudnej wody.

Wioślarze musieli zmagać się z odpływem, by dotrzeć do drugiego brzegu. Kiedy Frances, jej dzieci i wujostwo znaleźli się na Bankside, musieli kluczyć między wyczerpanymi rodzinami, które rozłożyły się na trawie ponad przybrzeżnym błotem, w końcu jednak znaleźli dla siebie wolny skrawek ziemi. Z tego miejsca mieli doskonały widok na pożar szalejący po drugiej stronie rzeki,

jakby był żywym stworzeniem, diabelskim i złowrogim, które wspinało się na wieże kościołów i okrywało je krwawą czerwienią, przeskakiwało między budynkami i nad ulicami, przesuając się niestrudzenie na zachód. Ponad rykiem ognia słychać było trzask i huk walących się budynków. Nad miastem wisiała olbrzymia chmura dymu. Gdy przygasło światło dnia i nadeszła noc, niebo podświetlał jaskrawy czerwony blask, na tyle jasny, że wuj William mógł bez trudu czytać Biblię. Twierdził, że są właśnie świadkami zniszczenia Sodomy i Gomory. Ludzie zaczęli gromadzić się wokół niego, gdy stał nad brzegiem i nauczał.

– *A dla tchórzów, niewiernych, obmierzłych, zabójców, rozpustników, guślarzy, bałwochwalców i wszelkich kłamców: udział w jeziorze gorejącym ogniem i siarką. To jest śmierć druga*²⁹.

– Ucisz się, starcze! – krzyknął ktoś.

Inni wzywali Boga, by ich ratował. Rozpoczęła się kłótnia. Frances przygarnęła do siebie dzieci i zaczęła recytować psalm:

– *Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach...*³⁰

Zostali tam przez następne dwa dni; nocą ogrzewało ich rozpalone powietrze napływające z drugiej strony rzeki. Żywili się tym, co zabrali z domu, i niewielkimi ilościami jedzenia, które Frances udało się kupić. Obserwowali barki przewożące majątek bogaczy, słyszeli eksplozje w pobliżu Tower i Whitehall, gdy żołnierze niszczyli domy, by utworzyć pas wypalanej ziemi, która powstrzyma ogień. Mieli nadzieję, że pożar zatrzyma się na rzece Fleet, która płynęła w odległości zaledwie stu jardów od West Harding Street, lecz we wtorek rano płomienie przeskoczyły nad Fleet z taką łatwością, jakby była rowem. Przez cały ten czas potężna kopia katedry Świętego Pawła, okryta drewnianymi rusztowaniami, bo przechodziła właśnie remont, wznosiła się nietknięta pośród dymu i ognia. Ale wieczorem William Hooke krzyknął i wskazał na języki ognia, które pięły się po rusztowaniu i ślizgały po dachu. Ołów zaczął się powoli rozpalać do czerwoności, a godzinę później ogromny gmach runął, czemu towarzyszył przerażający huk i kanonada spadających kamieni.

– *Pan jest moim pasterzem...*

W środę rano Frances obudziła się o świcie w ubraniach pokrytych kroplami rosy, a kiedy wstała, zobaczyła, że właściwie nie ma już pożaru. Druga strona Tamizy, która w niedzielę przypominała ruchomą paletę różnych odcieni czerwieni – karmazynu, cynobru i szkarłatu – była teraz nieruchoma i składała się głównie z czerni i szarości; tylko tu i ówdzie lśniły jeszcze czerwone plamy płomieni, pożerających niedopalone resztki. Tam, gdzie niegdyś stały kościelne wieże, wznosiły się ku niebu upiorne kolumny dymu.

O czwartej po południu przestało wiać, uznali więc, że mogą bezpiecznie wrócić do Holborn i sprawdzić, czy cokolwiek zostało z ich domu. Frances wydała ostatnie pieniądze na opłatę za przewóz. Wylądowali na północnym brzegu przy Farringdon Street. Większość budynków spaliła się do szczytu lub zamieniła w poczerniałe skorupy, które w każdej chwili mogły się rozpaść. W wielu miejscach pod warstwą popiołu wciąż płonął ogień. Ziemia była gorąca, usłana poczerniałymi cegłami i resztkami spalonych belek. Zapadali się po kostki w ciepłym miękkim popiele. Dziewczynki zaczęły płakać. Tylko Richard traktował to wciąż jak przygodę. Frances musiała go mocno trzymać za rękę, by nie pobiegł do wypalonych domów, gdzie pokryci sadzą ludzie – właściciele albo szabrownicy – rozgrzebywali gruz i popiół.

Skręcili w to, co pozostało z Fleet Street. Frances nie wierzyła, by ich dom mógł przetrwać to piekło. Bezdomni, głodni, bez grosza przy duszy, co mieli począć? Umrą z głodu na ulicy jak ci żebracy w czasie zarazy. Połowa budynków na Fetter Lane zniknęła, ale zniszczenia nie były tak wielkie jak gdzie indziej. Frances modliła się żarliwie, jak nigdy dotąd – nawet nie jak za męża – by okazało się, że ich dom ocalał. Nie miała dość odwagi, żeby sprawdzić to osobiście. Wyszeptała do Frankie, by pobiegła naprzód i zobaczyła. Do końca życia zapamięta uśmiech córki, gdy ta po powrocie oznajmiła, że zdarzył się cud: West Harding Street ocalała.



Nayler prawie nie spał od niedzielnego poranka. Spocony, usmarowany sadzą, biegał z miejsca na miejsce w imieniu lorda kanclerza, starając się sprawiać wrażenie, że ten jest w centrum wydarzeń. To król zwołał osobiście Tajną Radę. Najważniejszym z jej członków przydzielono nadzór nad poszczególnymi dzielnicami Londynu. Lecz Hyde, unieruchomiony artretyzmem i podagrą, nie mógł uczestniczyć osobiście w spotkaniu rady i nie stać go było na cokolwiek innego niż siedzenie w Worcester House i robienie zamieszania wokół załadunku jego kosztowności na barkę. Przez większą część ostatnich trzech dni Nayler pełnił funkcję pośrednika między lordem kanclerzem i królem oraz księciem Yorku, gdy ci dowodzili walką z ogniem pod nieobecność generała Moncka, księcia Albemarle, który pozostał z flotą. Wszyscy twierdzili zgodnie, że były to najwspanialsze chwile w życiu królewskich braci: kierowali działaniami z grzbietów koni i z królewskiej barki, nakazywali niszczyć budynki, by tworzyć zapory dla ognia, i nie zważając na niebezpieczeństwa, pokazywali się publicznie, by podnosić morale.

Teraz, w późne środowe popołudnie, wyjeżdżali konno z pałacu Whitehall na kolejną inspekcję. Nayler pojechał z nimi w nadziei, że uda mu się szepnąć słówko za Hyde'em.

– Jak się miewa lord kanclerz, panie Nayler? – spytał król, obracając się nagle.
– Byliśmy tak zajęci, że nie mieliśmy nawet czasu, by o nim pomyśleć. Mam nadzieję, że jest zdrowy i cały.

– Tak, Wasza Królewska Mość, jest zdrowy, cały i bezpieczny.

– I pewnie w końcu wypoczęty.

– Tego bym nie powiedział, Wasza Królewska Mość. Żałuje ogromnie, że ze względu na swoją niemoc nie mógł dołączyć do Waszej Wysokości. Przez cały czas trwa jednak na swoim posterunku.

– Jestem mu ogromnie wdzięczny za wszystko, co dla nas robi – odrzekł król. Po chwili, jakby po namyśle, dodał: – Ale naprawdę potrzebuje odpoczynku... długiego odpoczynku.

Monarcha popędził konia, by dołączyć do brata, i zostawił Naylera z niepokojącym uczuciem, że reputacja jego pracodawcy po pożarze przypomina jeden z tych wspaniałych starych budynków z miasta: na pozór jest nietknięta, lecz chwieje się w posadach.



William Hooke usiadł przy stole, kładąc przed sobą otwartą Biblię. To nie był cud, tłumaczył, to Boży plan, objawiony w Apokalipsie. Z popiołów Wielkiej Nierządniczy, zwanej również Babilonem Wielkim, powstanie republika, raj na ziemi.

Frances wyszła do miasta z ukrytym pod płaszczem świecznikiem, który miała nadzieję wymienić na jedzenie.

Na Fleet Street coś się działo – na końcu ulicy pojawiły się konie, grały trąby, w oddali połyskiwały złoto i błękit. Ludzie wychodzili z ruin, by to zobaczyć. Od strony Whitehall, strzeżeni przez kawalerzystów, nadjeżdżali dwaj elegancko odziani dżentelmeni, którzy uchylali kapeluszy przed ocalałymi z pożaru. Towarzyszyły im wiwaty i radosne okrzyki: „Boże, chroń króla!”. Frances cofnęła się pod ścianę, gdy przejeżdżali obok ze strażami. Najwyższy z nich nawet się do niej uśmiechnął. Król Anglii z bratem, księciem Yorku, otoczeni chmurami popiołu wzbijanymi przez kopyta wysokich siwych koni.

Nie rozpoznała Naylera, a on z pewnością nie rozpoznał jej w tak wielkim tłumie.

Gdy odjeżdżali powoli w stronę City, odprowadzani głośnymi owacjami, pomyślała, że wuj się myli, bo uzurpatorzy nie pozwolą się tak łatwo upokorzyć, a władza sprawiedliwych nie powróci tak szybko, jak by się zdawało.

28 Jr 23, 29.

29 Ap 21, 8.

30 Ps 23, 1-2.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Minęły całe cztery miesiące, nim wieści o tych wydarzeniach, przytłumione czasem i odległością, dotarły do Hadley.

Dopiero w październiku 1665 roku Ned, Will i pułkownik Dixwell otrzymali wiadomość, że wojna z Holendrami rozpoczęła się od porażki na morzu, co mogło wzbudzić radość wśród tych, którzy czekali z niecierpliwością, aż Bóg ukarze Stary Kraj.

Dopiero jednak trzy miesiące później, w styczniu 1666 roku, dowiedzieli się, jak poważna była zaraza. To naprawdę wyglądało jak dopust boży. Gdy wielebny Russell odczytywał list od Increase'a Mathera z długą listą zmarłych w londyńskich parafiach – w St Botolph's, Aldgate, St Sepulchre, Newgate, St Ann's, Blackfriars i wielu innych – tylko Dixwell wydawał się uradowany. Reakcja Neda i Willa wyraźnie go zaskoczyła.

– Skąd te ponure miny? – spytał. – Pomyślcie tylko o dacie. Czy to nie świadectwo gniewu Bożego, który zwiastuje Drugie przyjście?

– Łatwo się panu cieszyć, panie Dixwell, bo pańska żona mieszka w Kent – odparł Ned; nadal nie miał najlepszego zdania o nowym towarzyszu. – Ale mowa tutaj o dzielnicach, w których ostatnio mieszkała nasza rodzina.

W zaciszu swojego pokoju modlił się, by zaraza ustąpiła, nawet jeśli zesłał ją Bóg, a potem, gdy nadeszły wieści, że tak się stało, dziękował za tę łaskę. W biuletynach pisano, że liczba ofiar znacznie przekraczała sto tysięcy, co oznaczało, że zmarł co czwarty londyńczyk. Gdy Will przeczytał te dane, zbladł jak ściana. Jakie było prawdopodobieństwo, że Frances i czworo dzieci uszli z tego cało? Wyczekiwał niecierpliwie wiadomości, że wszyscy są cali i zdrowi, lecz list nie nadchodził.

Cały rok upływał pod znakiem wyczekiwania, nadziei na kataklizmy zapowiedziane w Apokalipsie, a jednocześnie na lęku przed ich konsekwencjami.

Dopiero w grudniu, w ostatnich dniach tego szczególnego roku, do Connecticut dotarły wieści o wielkim pożarze. Pułkownicy przekazywali sobie z rąk do rąk kartkę z informacjami o zniszczeniach. Trzydzieści tysięcy domów, osiemdziesiąt siedem kościołów i katedra Świętego Pawła. Spłonęły te same parafie, które zostały najbardziej dotknięte zarazą. Nikt nie był w stanie określić, ilu ludzi zginęło, bo obrócili się w popiół. Wyglądało to tak, jakby Bóg w swej niezmierzonej mądrości uznał, że to tych kilka mil kwadratowych Londynu było źródłem całego zła świata. Niestety, donoszono również, że król stał się bohaterem tych dni.

– Dlaczego Karol Stuart i jego nikczemny dwór w Whitehall ocalał, podczas gdy sprawiedliwi padli ofiarą żywiołu? – zapytał Ned. – Czy to jest właśnie zbawienie, na które czekaliśmy?

– Nadejdzie ich czas – prorokował Dixwell.

– Kiedy? I co mamy robić do tej pory? Tylko modlić się za rodzinę?

– Czyżby kwestionował pan Boży plan?

– Być może, bo prawdę mówiąc, nie widzę w tym większego sensu – odparł Ned.

Trzej mężczyźni – Russell, Will i Dixwell – wpatrywali się w niego z najwyższym zdumieniem.

– Nie wierzysz już, że to rok Drugiego przyjścia? – spytał Will. – Mimo że pożar w Londynie zgadza się co do joty z moim snem?

Nie po raz pierwszy Ned doszedł do wniosku, że zięć jest obłąkany.

– Mówiłeś, zdaje się, że Drugie przyjście będzie tutaj, w Nowej Anglii, w tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym roku – przypomniał mu.

– To była opinia pana Davenporta – powiedział Will po chwili wahania.

– Cóż, jeśli rzeczywiście ma się to zdarzyć w tym roku, wkrótce się przekonamy. Zostało już tylko kilka dni.

W pierwszy dzień 1667 roku Ned wstał o świcie i otworzył okiennice. I tak – oczywiście! – świat się nie zmienił, podwórze, droga, odległe domy, wszystko było na swoim miejscu. Żaden Zbawiciel odziany od stóp do głów w biel nie przejdzie dzisiaj przez Hadley... ani żadnego innego dnia. Patrząc za okno, Ned poczuł, że poznał wreszcie prawdę, która od wielu lat dobijała się do jego sumienia: że Bóg nie będzie się dostosowywał do żadnych schematów tylko po to, by zaspokoić potrzeby ludzi, bez względu na to, jak słuszna wydaje się ich sprawa, i że liczenie na to jest z założenia grzechem. Wypełniała go rozpacz i gorzka satysfakcja zarazem.

Tego wieczoru zasiedli do kolacji w milczeniu.

– Być może – odezwał się w końcu Dixwell – w kalendarzu jest jakiś błąd, który popełniono wiele stuleci temu, i nowy rok zaczyna się później, niż zakładamy. A może należy liczyć lata tak, jak robią to prawnicy: od Zwiastowania Pańskiego, czyli od dwudziestego piątego marca.

Ned wydał z siebie dziwny dźwięk, coś między parsknięciem i jękiem.

– Więc musimy czekać jeszcze trzy miesiące?

– List z wieścią o pożarze napisano na początku września – zauważył Will. – Kto wie, co wydarzyło się tam od tego czasu? Może Anglia leży już w ruinach, a Pan wrócił na ziemię.

– Pożar wygasł – rzucił Ned. – Tak napisano w liście. A może myślisz, że od tego czasu doszło do kolejnego?

– Nie wolno ci tracić wiary, Ned.

– Tracić wiary?! Nie wierzę już ani trochę w wasze prorocтва. Nie wierzę, że w ciągu następnych kilku tygodni Zbawiciel powróci na ziemię. To bzdura oparta na życzeniowym odczytywaniu Pisma, mrzonka, którą żyją jedynie fanatycy. Żałuję, że kiedykolwiek dałem się w to wciągnąć.

Przy stole zapadła długa i głęboka cisza, niczym po eksplozji. W końcu Dixwell wstał bez słowa od stołu, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Will pochylił głowę. Poruszał bezgłośnie ustami. Modli się, pomyślał Ned. Za mnie czy za moją

nieśmiertelną duszę? – zastanawiał się. Po minucie Will podniósł głowę. Obdarzył teścia spojrzeniem pełnym gniewu i wyrzutu – Ned nigdy jeszcze nie widział go w takim stanie – po czym wyszedł.

Ned przypuszczał, że poszedł uspokoić Dixwella i przyprowadzić go z powrotem. Mijały jednak kolejne minuty, a żaden z nich nie wracał, więc po godzinie dał sobie spokój i poszedł na górę.

Nieco później Will podszedł do jego drzwi i zatrzymał się w progu.

– John wyjeżdża – oznajmił.

– Kiedy?

– Gdy tylko zrobi się ciepiej.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wie. Pewnie do New Haven.

– To nie jest bezpieczne.

– On uważa inaczej. – Will mówił chłodnym tonem. – Nie popełnił takiego błędu jak my i po przybyciu do Bostonu nie używał prawdziwego nazwiska. Władze nie wiedzą, że jest w Ameryce, i prawdopodobnie wciąż szukają go w Holandii. Ma pieniądze. Zamierza kupić jakąś posiadłość i żyć pod nazwiskiem Davids, udając osadnika, który właśnie przyплыł z Anglii.

– Mimo wszystko to zbyt ryzykowne. – Ned przełknął z trudem ślinę i wstał z łóżka. – Pójdę do niego i przeproszę.

– Nie chce twoich przeprosin. Nie chce mieć z tobą nic do czynienia. – Jego zięć zamilkł na moment, po czym dodał cicho: – Chce, żebyśmy z nim pojechali.

– Will... nie możesz tego zrobić!

– Dlaczego? Bo potrzebujesz mnie do towarzystwa?

– Nie, bo w New Haven zbyt dobrze znają twoją twarz! Nagroda... Schwytaliby cię, to pewne.

– John mówi, że ukryje mnie pod swoim dachem i za jakiś czas będę mógł bezpiecznie wyjść na zewnątrz. New Haven jest większe od Hadley, mniej odosobnione, łatwiej tam o miłe towarzystwo.

– „Miłe”? Co to jest „miłe towarzystwo”?

– Ludzie, którzy myślą podobnie jak my.

– Czyli żyją takimi samymi urojeniami? – Ned nagle stracił cierpliwość, nie mógł dłużej tego znieść. – Jedź więc, jeśli tak ci na tym zależy. Śmiało! Nie dbam o to. Zrobiłem wszystko, co mogłem, by cię ochronić.

– Naprawdę myślisz, że to właśnie robiłeś? Chroniłeś mnie?! – Will nie panował już na sobą, krzyczał. – Wciąż nie dopuszczasz do siebie prawdy?! Uparty starcze, zrujnowałeś życie nam obu!

Odwrócił się i wyszedł, a Ned zatrzęsnął za nim drzwi.



Droga Frances, nurtuje mnie jedno pytanie. Tamtego styczniowego dnia chcieliśmy zgładzić nie tylko Karola Stuarta, ale też monarchię. „Utniemy głowę króla razem z Koroną”, powiedział Cromwell i to właśnie zrobiliśmy. Pragnęliśmy, by Anglia była sprawiedliwą republiką, w której królowie, księżęta, lordowie czy biskupi nigdy już nie będą stawać pomiędzy ludźmi i Wszehmocnym Bogiem. To była słuszna idea; wierzyłem w nią wtedy i wierzę nadal, mimo cierpień, które przychodzi nam znosić. Wciąż jednak nie umiem sobie odpowiedzieć na to jedno pytanie: Jeśli zwycięstwa, które dał nam Bóg, dowodziły, że spełniamy Jego wolę, to jak zinterpretować to, co stało się potem? Czy przestał sprzyjać naszej sprawie, czy...

Zawahał się na moment.

...czy od samego początku byliśmy w błędzie?



Po tym okropnym Nowym Roku Ned siedział w swoim pokoju i pisał. Jeśli mijali Willa lub Dixwella na schodach, odwracali głowy, a on robił to samo. Nadal dwa razy w tygodniu spotykali się na wspólnych modlitwach z wielebny

Russellem i Peterem Tiltonem, ale ich rozmowy ograniczały się do omawiania Pisma Świętego i nikt nie wspomniał o Księdze Objawienia.

Pisał przy świetle dziennym i przy świecach. Pisał o Cromwellu w latach po egzekucji króla: o zawirowaniach w armii, kiedy lewellerzy zbuntowali się (a wśród nich część żołnierzy Neda) i domagali się wolnych wyborów oraz prawa głosowania dla wszystkich ludzi, o tym, jak Cromwell kazał postawić przywódców przed plutonem egzekucyjnym, żeby przywrócić dyscyplinę. Opisał, jak Cromwell ze straszliwym błyskiem w oku udał się do Irlandii, by ukarać zbuntowanych katolików, podczas gdy on został w Londynie, żeby utrzymać tam porządek, szczęśliwy, że uniknął straszliwej rzezi w Irlandii. Napisał o kampanii przeciwko Szkotom i bitwie pod Dunbar, gdzie omal nie zostali zepchnięci do morza, o tym, jak poprowadził szarżę kawalerii, by przełamać ich niebezpieczne okrążenie, i jak został ranny. Opisał ostatnią wielką bitwę wojny domowej pod Worcesterem, w której rojaliści zostali rozgromieni, a on znowu został ranny. Pisał o triumfalnym powrocie Olivera niczym Cezar do Londynu z czterema tysiącami jeńców; był wtedy Jego Ekszelencją lordem generałem, któremu wdzięczny parlament przyznał do użytku królewski pałac Hampton Court, a także część pałacu Whitehall. A potem nastąpiły szczęśliwe lata: dom przy King Street, dzieci, małżeństwo Frances z Willem, posiadłości skonfiskowane rojalistom, bogactwo i dostatek.

Ned pisał te wspomnienia, żeby się rozerwać, ale czasami był potem tak wyczerpany, że podnosił wzrok i ze zdziwieniem stwierdzał, że nie jest w jednej ze swoich pięknych rezydencji, ale w tej cichej celi więziennej. Jak wysoko się wzniósł i jak nisko upadł.

Dreńczyły go słowa Willa: „Uparty starcze, zrujnowałeś życie nam obu!”.



Nadszedł luty i zrobiło się cieplej. Pewnego wczesnego ranka, gdy siedział przy kominku, usłyszał głosy na podwórku pod oknem. Użył pogrzebacza jak laski: obiema rękami chwycił rączkę, by wstać. Na dworze był ciepły, niemal wiosenny dzień; śpiewały ptaki, a resztki śniegu topniały na dachu, ściekały na podwórze

i wpadały, bulgocząc, do strumyka za płotem – dzień pełen obietnic. Dixwell miał na sobie ciężki płaszcz i buty, a przy jego stopach leżała sakwa. Był z nim Russell, ubrany jak do wyjścia, i Will w starym wojskowym płaszczu. Ned słyszał ich głosy, ale nie rozpoznawał słów. W pewnym momencie wychwycił jednak swoje imię i spojrzeli na jego okno.

Gwałtownie odchylił głowę, żeby nie zostać zauważonym, i wydawało się, że coś w nim pękło. Serce biło mu ostro i szybko. Poczł ból w klatce piersiowej i ramionach, jakby zaciskała się żelazna obręcz. Czy Will naprawdę odejdzie bez słowa pożegnania? Ned oparł się o ścianę i opuścił głowę. Usłyszał trzask drzwi, podnoszenie się i opadanie rygła w bramie, a potem już tylko świergot ptaków, kapanie topniejącego śniegu i łomotanie jego serca. Nie mógł się ruszyć. Czuł, że jeśli spróbuje to zrobić, załamie się.

Wkrótce ból zaczął ustępować i Ned usłyszał, że ktoś wchodzi po schodach. Podniósł głowę.

– Will?

Opierając się na pogrzebaczu, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi. Przed progiem stał jego zięć.

– Nie odszedłeś?

Will nie mógł się zmusić do spojrzenia na niego. Pokręcił głową.

– Nie odszedłem – odezwał się w końcu. – Jestem uwięziony. Na zawsze. Z tobą.



Cromwell wściekły na parlament, który nie jest prawdziwym parlamentem, lecz okaleczonym ciałem, jakie pozostało po wykluczeniu posłów niepopierających procesu króla. Obraduje, gada i nic nie robi. „Czy po to prowadziliśmy tę wojnę?”, powtarza raz za razem.

Cromwell w kwietniowy poranek 1653 roku, w prostych czarnych ubraniach i szarych wełnianych pończochach, przechadza się nerwowo po jednej z bogato

zdobionych komnat swojego skrzydła pałacu Whitehall i otrzymuje wiadomość, że parlament chce przegłosować ustawę, która przedłuży jego kadencję na czas nieokreślony. Zatrzymuje się osłupiały ze zdumienia. Wzywa sześć oddziałów muszkieterów oraz Neda i Willa. Nie włożywszy nawet odpowiedniego stroju, idzie King Street do Westminsteru. Wpada do sali obrad Izby Gmin, siedzi rozwścieczony przez pół godziny, po czym zrywa się na równe nogi i chodzie w tę i w tę jak obłąkaniec; wskazując na różnych posłów, nazywa ich dziwkami, pijakami, bezbożnymi tchórzami, zdemoralizowanymi błaznami.

– Uważacie pewnie, że to nie jest parlamentarny język. Owszem, nie jest, ale w tej sytuacji nie powinniście ode mnie takiego oczekiwać. Dość już tu siedzieliście. Położę kres waszej czczej gadaninie. Nie jesteście parlamentem. Powtarzam: nie jesteście parlamentem. Skończę z tym waszym nieróbstwem. – Odwraca się do Neda, który stoi przy drzwiach. – Wezwij ich!

Ned przesuwa się na bok, by zrobić przejście. Muszkieterowie wchodzą do sali i Cromwell wskazuje Lenthalla, przewodniczącego Izby Gmin.

– Zabierzcie go stąd!

Kiedy żołnierze ściągną Lenthalla z jego miejsca, Henry Vane, zwykle powściągliwy i umiarkowany, woła:

– To nieuczciwe! To wbrew wszelkim zasadom i zwykłej przyzwoitości!

Cromwell odwraca się do niego.

– O, sir Henry Vane... sir Henry Vane. Boże, uwolnij mnie od sir Henry'ego Vane'a! – Chwyta buławę leżącą na stole przed fotelem przewodniczącego. – Co zrobimy z tą zabawką? – Rzuca ją Willowi. – Zabierz to.

Gdy sala jest już pusta, zamyka drzwi na klucz, chowa go do kieszeni, wraca do swojej siedziby w pałacu Whitehall, gdzie czekają na niego dowódcy armii, i rzuca klucz przed zdumionych oficerów.

– Kiedy tam szedłem, nie zamierzałem tego zrobić. Ale czując nad sobą tak silnego ducha Bożego, poddałem się mu.

I tak to się kończy. Oliver Cromwell zostaje lordem protektorem, staje się jedynym właścicielem pałacu Whitehall, trzeba się do niego zwracać „Wasza Wysokość”, podróżuje kareta z lokajami, zaprzęzoną w sześć koni, ma tron, na którym zasiada, gdy pokazuje się publicznie, i zostaje dyktatorem wojskowym Anglii – jej królem, choć bez takiego tytułu.

Spytałem, jakie chce mi przydzielić obowiązki. Odpowiedział, że moim zadaniem będzie utrzymanie go przy życiu, by mógł dokończyć dzieło, które powierzył mu Bóg. Nie było to wcale łatwe. Nie potrafię zliczyć spisków na jego życie – próbowano go otruć, zastrzelić, wysadzić w powietrze – ani zasadzek urządzanych między Whitehall i Westminsterem, a także na drodze do Hampton Court. Nigdy nie wychodził na zewnątrz bez naładowanego pistoletu w kieszeni i straży przybocznej złożonej z czterdziestu pięciu żołnierzy. Co ciekawe, w końcu omal sam się nie zabił. Księżę Oldenburga, dowiedziawszy się o zamiłowaniu lorda protektora do koni, wysłał mu w darze sześć pięknych siwków z Fryzji. Cromwell zabrał je do Hyde Parku i po kolacji pod drzewami, ze mną i kilkoma innymi osobami, nakazał zaprzęgnąć siwki do powozu, by nimi powozić. Smagał je batem zbyt mocno, a krewkie ogiery nie chciały go słuchać. W którymś momencie jego noga zaplątała się w lejce, spadł z powozu i podczas gdy konie ciągnęły go przez jakiś czas po ziemi, wypalił pistolet, który miał w kieszeni. Zawieźliśmy go, nieprzytomnego, do pałacu Whitehall i leżał w łóżku przez trzy tygodnie. Moim zdaniem nigdy nie wrócił w pełni do zdrowia, bo od tamtego czasu nie było dnia, by coś mu nie dolegało: kolka, kamień nerkowy, guzy, katar i febra nękająca go od czasu kampanii w Irlandii.

Cromwell miał władzę, lecz co mógł z nią zrobić? Za każdym razem, gdy próbował przywrócić parlament, wchodził z nim w konflikt i ponownie go rozwiązywał. Armia była podzielona, kraj wydawał się ponury. Lord protektor żył w pułapce, którą sam na siebie zastawił. Teraz Ned widział oczami wyobraźni, jak jego kuzyn przechadza się nerwowo z komnaty do komnaty w swoim pałacu.

W końcu uświadomił sobie, kogo mu przypominał: innego więźnia we własnym domu, Karola Stuarta.

Latem 1658 roku w Hampton Court zmarła na raka córka Cromwella, Elizabeth. Nigdy nie widziałem go równie zrozpaczonego. Zaszył się w sypialni i kazał mi czytać głośno ten ustęp z listu świętego Pawła, który podtrzymywał go na duchu po śmierci syna: „...ja bowiem nauczyłem się wystarczać sobie w warunkach, w jakich jestem... Do wszystkich w ogóle warunków jestem zaprawiony: i być sytym, i głód cierpieć, obfitować i doznawać niedostatku. Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”³¹. Był zbyt chory, by wybrać się na pogrzeb Elizabeth. Myślał wyłącznie o śmierci. Przenieśliśmy go do Londynu, do pałacu St James’s, dalej od rzeki, gdzie zdaniem lekarzy powietrze było zdrowsze, lecz niczego to nie zmieniło. (Później lekarze odkryli, że jego śledziona była pełna ropy; na próżno liczyliśmy na poprawę). W nocy przed jego śmiercią sekretarz Thurloe wezwał mnie i Willa, żebyśmy byli świadkami przy łóżku lorda protektora. Poproszono go, by dał jakiś znak, jeśli nadal chce, by jego syn Richard objął po nim władzę. Podniósł lekko rękę. Potem lekarze kazali nam wyjść. Wtedy widziałem go po raz ostatni.



Ned również coraz szybciej tracił siły. Trudne życie i bitewne rany w końcu dały o sobie znać. Pisanie sprawiało mu coraz większą trudność. Czasami ledwie znajdował w sobie dość determinacji, by wstać z łóżka. Pewnego dnia po przebudzeniu ujrzał obok siebie Olivera Cromwella.

– Wstawaj, mięczaku.

– Nie mogę, Wasza Wysokość. Nie mam sił.

– Co to za Wasza Wysokość? Dla ciebie jestem przecież zwykłym Oliverem, zawsze nim byłem, od dzieciństwa.

– Naprawdę? O ile dobrze pamiętam, przywiązywałeś dużą wagę do tego tytułu, nawet w prywatnych rozmowach.

– *Ha! Myślisz, że zależało mi na tym głupstwie? Ale jeśli w ogóle się czegoś nauczyliśmy, to tego, że lud Anglii nie posłucha żadnego wybranego gremium. Wciąż tęsknili za królem, a ja dzięki Bożej łasce godnie go zastępowałem.*

– *I koronowałbyś się, gdyby przystała na to większość armii.*

– *Owszem, ale nigdy tego nie chciałem.*

– *Mianowałeś jednak syna swoim następcą, jakbyś był królem.*

– *To wszystko bzdury, Ned. Istnieje tylko wola Boża.*

– *Uciąłeś królowi głowę i zostawiłeś nam pustkę. Twój syn Richard nie nadawał się na lorda protektora. Na pewno o tym wiedziałeś. Co mieliśmy zrobić, Oliverze? Oliverze?*

Lecz Cromwell zniknął.



Will stał przed drzwiami sypialni Neda. Słyszał, jak teść mamrocze coś do siebie, i nie mógł się zdecydować, czy wejść. Relacje między nimi od dawna były tak złe, że obawiał się ostrych słów, które może usłyszeć. Nie chciał pogarszać sytuacji. Ale coraz bardziej się martwił. Wydawało mu się, że starca dręczy gorączka lub delirium. Podniósł rękę do klamki, lecz w tym momencie za drzwiami zapadła cisza. Will powoli opuścił rękę. Lepiej niech się wyśpi. Znajdzie jakąś inną okazję, by porozmawiać z teściem. Odszedł na palcach do swojego pokoju.



Ned bawił się właśnie z Oliverem w chowanego pośród wielkich różowych rododendronów w ogrodach Hinchinbrooke, gdy usłyszał skrzypienie desek za drzwiami.

– Will, to ty?

Miał wrażenie, że jego słowa brzmią jak niezrozumiały bełkot.

Dopiero przy trzeciej lub czwartej próbie udało mu się przetoczyć na bok, a potem musiał się też natrudzić, by postawić stopy na podłodze. Zebrawszy

wszystkie siły, odepchnął się od łóżka i prawie udało mu się wstać. Głowa bolała go tak bardzo, że niemal nic nie widział. Zrobił kilka niepewnych kroków przez mgłę w stronę drzwi, przystanął, chwiał się przez moment i w końcu runął jak długi na podłogę.

31 Flp 4, 11-13.

Część czwarta

ŚMIERĆ

1674

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Siedem lat później, w połowie sierpnia 1674 roku, wczesnym rankiem, a właściwie godzinę przed wschodem słońca, pułkownik William Goffe wyszedł z domu Russella, niosąc wypchany płócienny worek.

To było długie gorące lato. Nawet o tej porze mgła znad rzeki spływała na ląd, co zapowiadało kolejny ciepły dzień. Will wciągnął w płuca nadrzeczne opary – chłodne, lekko zatęchłe – podszedł ostrożnie do bramy i wychylając głowę nad ogrodzenie, rozejrzał się po ulicy. Było na tyle jasno, by mógł stwierdzić z całą pewnością, że jest pusta.

Zarzucając worek na ramię, skrzywił się, gdy zabręczał ukryty w środku plecak, otworzył cicho bramę, skręcił w lewo, na porośniętą trawą drogę, potem jeszcze raz w lewo i pospieszył poboczem w stronę obrzeży osady.

Za płotem na końcu posiadłości Russella, na wschód od Hadley, rozciągał się obszar, który miejscowi nazywali Sosnową Równiną. Z białej mgły niczym maszty statków wystawały pojedyncze wysokie drzewa. Cieszył się, że opuszcza osadę, choćby na krótko. Chciałby się nasycić poczuciem wolności, miękkością trawy pod butami, blaskiem nadciągającego świtu, ale nie miał na to czasu. Szedł szybkim krokiem – w wieku pięćdziesięciu sześciu lat wciąż był silny i sprawny. Miał długie siwe włosy, które wiązał w kucyk, a dolną część twarzy zakrywały wąsy i broda. Od prawie dziesięciu lat nie widział go niemal nikt prócz Russellów i ich domowników. Czuł się całkiem zapomniany, niczym relikwina minionej epoki. Gdyby ktoś go teraz minął, wzięłby go za siwowłosego marynarza, który niedawno zszedł na ląd po długiej podróży. Tylko bladość skóry mogła kogoś zastanowić – a także charakterystyczny błysk religijnej żarliwości w ciemnych oczach i wybrzuszona kieszeń, w której miał pistolet.

Potrzebował piętnastu minut, by przejść przez równinę i dotrzeć na skraj lasu. Tam zwolnił, by nie zgubić ścieżki, ledwie widocznej w szarym świetle, choć właściwie znał drogę – wiedział, gdzie przeskoczyć z kamienia na kamień i jak stawiać stopy na omszałym pniu leżącym nad strumieniem. W drzewach po prawej coś się poruszyło, prawdopodobnie jeleni; gdyby to był Indianin, Will z pewnością by go nie usłyszał. Po dziesięciu minutach dotarł do obozu Norwottucków, kilkunastu dużych wigwamów rozrzuconych wzdłuż brzegu jeziora. Wiedział, że dalej kryje się ich w mroku więcej i że w sumie jest ich około pięćdziesięciu. Tu także znad wody podnosiła się mgła, niczym para znad garnka z wrzątkiem, i mieszała się z dymem unoszącym się nad dachami. Gdy Will podszedł bliżej, zaszczeł pies. W powietrzu czuło się zapach gotowanej kukurydzy.

Kobieta, z którą zawsze handlował, kucała w tym samym miejscu co zwykle. Jej wiek był dla niego tajemnicą. Miała gładką twarz bez jednej zmarszczki i czarne włosy. Przypuszczał, że jest około trzydziestki. Nie znał jej imienia i nigdy nie rozmawiali. Wiedział, że w języku tubylców Norwottuck oznacza „środek rzeki” i że tak nazywają zakole Connecticut, gdzie leżała osada Hadley. Will porozumiewał się z nimi gestami i za pomocą rysunków kreślonych na ziemi. Duże koło oznaczało, że zawsze powinien przychodzić, gdy księżyc jest w pełni.

Uklonił się uprzejmie i przykucnął naprzeciwko kobiety. Poczęstowała go półmiskiem gęstej kaszy z kukurydzy, na którą wcale nie miał ochoty ani czasu, ale zjadł ją szybko, by nie obrazić Indianki. Otworzył worek i wyjął swoje towary, głównie narzędzia, które zamówił z Hartfordu – topory, noże, młotki, dłuto, małą piłę – oraz mosiężny czajnik. Oglądała uważnie każdy przedmiot, podnosząc go do światła, obracając, sprawdzając kciukiem ostrość. Potem odliczyła zapłatę – dwa tuziny futer bobrowych dobrej jakości. Wiedział, że nie ma sensu się targować; jedyny raz, gdy próbował to zrobić, wstała i odeszła, a on musiał za nią biec i przykładając dłoń do serca w geście przeprosin, ku uciesze obserwujących ich mężczyzn. Ta kobieta nie dawała się oszukać. Włożył futra do worka, narysował w ziemi koło i pokazał dwa wyprostowane palce. Przyjdzie ponownie za dwie pełnie. Skinęła głową.

Gdy opuszczał obóz, jak zwykle przyglądała mu się grupa mężczyzn. Dziś jednak nie uśmiechali się do niego. Zauważył, że mają muszkiety, choć prawo zabraniało Anglikom sprzedawać tubylcom broń palną. Mijając ich, skinął głową. Odpowiedzieli ponurymi spojrzeniami, wręcz wrogimi, jak mu się wydawało, choć Indianie Norwottuck uchodzili za przyjaznych. W połowie drogi przez las wyczuł, że za nim idą. Włożył rękę do kieszeni, w której trzymał pistolet, i raz po raz oglądał się przez ramię. Nie widział nikogo, co jednak nie oznaczało, że jest sam, odetchnął więc z ulgą, gdy wyszedł na równinę, gdzie mgła była zbyt rzadka, by skryć napastnika. Przyspieszył kroku, jeszcze tylko parę razy obejrzał się i przed szóstą, gdy słońce zaczęło właśnie wysuwać się z horyzontu, był już w Hadley.



Kiedy ukrył futra w swoim pokoju – wiedział, że sporo na nich zarobi, kiedy wyśle je do handlarzy w Bostonie – przeszedł do pokoju Neda.

Jak co rano sprawdził przede wszystkim, czy teść żyje. Gdy dotknął jego policzka, stary człowiek spojrzał na niego.

– Niech cię Bóg błogosławi, Ned. Dzień dobry. – W odpowiedzi Will usłyszał jak zwykle tylko niezrozumiały bełkot. – Podziękujmy Panu za kolejny dzień życia.

Wsunął ręce pod pachy teścia, podciągnął go w górę, a potem przeszedł z nim do krzesła z dziurą, pod którą było wiadro. Spojrzał na łóżko i odetchnął z ulgą – teść nie wypróżnił się w nocy, a to już dawało nadzieję na udany dzień. Podciągnął koszulę nocną Neda nad jego wychudzone nogi, posadził go na krześle, a potem stanął za nim i przytrzymał go. Czekał, aż starzec zacznie sikać, zaintonował pięknym głosem, stworzonym przez Boga do śpiewania psalmów:

*Leży Ned jak kłoda, cóż począć z niebogą,
Nie poruszy ręką, nie poruszy nogą.*

Ta głupiotka rymowanka, którą ułożył wiele lat temu, zawsze bawiła Neda. Wydawało się, że zazwyczaj rozumie, co się do niego mówi, choć sam nie mógł

mówić. Uśmiechnął się. Gdy z kącika jego ust wypłynęła strużka śliny, Will wyjął chusteczkę i wytarł ją.

Tak właśnie wyglądały ich poranki od siedmiu lat.

Kiedy Ned załatwi potrzebę, zięć go ubiera, choć właściwie nie ma to sensu, bo stary człowiek nie wychodzi z pokoju. Willa przygnębiał jednak widok teścia, który kiedyś tak dbał o wygląd, spędzającego cały dzień w koszuli nocnej. Musi robić za niego wszystko – myć go mydłem, które Russell wytwarzał domowym sposobem z ługu i łoju, karmić łyżką, przystawiać kubek z wodą do jego ust, przycinać mu włosy i brodę, obcinać paznokcie, sadzać na krześle (zimą przy kominku, latem obok otwartego okna, choć na tyle daleko, by nie było go widać z drogi), czytać mu, mówić do niego, wieczorem kłaść go do łóżka – i powtarzać to bez końca, dzień w dzień, miesiąc po miesiącu, rok po roku. To ciężka fizyczna praca: pułkownik Whalley, choć wychudzony i skurczony ze starości, wciąż jest ciężki. Nic dziwnego, że jego zięć jest sprawny i silny, umięśniony nawet bardziej niż w młodości, jakby teść przekazał mu swoją siłę.

Will nie ma żalu do losu. Wręcz przeciwnie. Wykonuje dzieło pana: *Jeden drugiego brzemiona noście i tak wypełniajcie prawo Chrystusowe*³². Albo: *Jeśliby ktoś posiadał majątność tego świata i widział, że jego brat cierpi niedostatek, a zamknął przed nim swe serce, jak może trwać w nim miłość Boga? Dzieci, nie miłujmy słowem i językiem, ale czynem i prawdą!*³³. Czuje, że każde zadanie, które wykonuje, opiekując się teściem – a zwłaszcza te najtrudniejsze i najbardziej nieprzyjemne – zbliża go do Boga.

Kiedy Ned po raz pierwszy padł bez życia na podłogę, wielebny Russell zasięgnął rady lekarza ze Springfield. Objawy opisane w jego podręczniku – *choroba, która atakuje znienacka, nie pozwala się poruszać ani czuć, co wynika z nadmiaru krwi lub surowicy przekazywanej do mózgu, a poprzedzone jest zawrotami głowy, częściową utratą władzy w członkach...* – pasowały dokładnie do apopleksji. Nadzieje na powrót do zdrowia były niewielkie.

Początkowo pomagała im dziewiętnastoletnia Lydia Fisher, córka porządnej purytańskiej rodziny z Dedham w Massachusetts. Zamieszkała u pastora

i opiekowała się starym człowiekiem. Okazało się jednak, że każdy jej dotyk pobudza Neda i ożywia w nim uczucia, które udawało mu się tłumić przez ostatnie dziesięć lat. Lydia, uśmiechając się do niego czy kładąc mu dłoń na ramieniu, dawała wyraźnie znać, że i on nie jest jej obojętny. Po kilku miesiącach Will musiał ją odesłać, choćby dlatego, że opiekując się teściem, czuł się bliżej żony. Widział ją wyraźnie w jej ojcu, zwłaszcza gdy ten wyszczuplał i uwydatniły się kości policzkowe, a twarz i oczy przybrały wyraz niewinności i ufności. Zrozumiał, że to kolejny przywilej starości, która pozwala się pozbyć skorupy cierpień i doświadczeń narastającej przez długie lata i odsłania dziecko ukryte w dorosłym człowieku. Czasami Will ma wrażenie, że patrzy na Frances, a nie na teścia. Zastanawia się, co może się dziać w umyśle Neda, i to go niepokoi.



Pewnego dnia, wkrótce po odejściu Lydii, gdy Will, sprzątając w pokoju Neda, przełożył jego starą wojskową sakwę, by wymieść zgromadzony za nią kurz, zauważył upchnięty w niej gruby plik kartek. *Wspomnienia z życia nieżyjącego lorda protektora...*

Zerknął na teścia. Spał jak zwykle. Ogarnięty ciekawością, Will zabrał rękopis do swojego pokoju i zaczął czytać.

Urodziłem się w roku Pańskim 1598...

Czytał, dopóki nie nadeszła pora karmienia i mycia Neda, potem wrócił do lektury i gdy zrobiło się ciemno, zapalił lampę. Pierwsza część była całkiem poprawna – ba, była wręcz fascynująca. Poruszyła jego wspomnienia: obrazy z pierwszych lat służby, gdy jako pikinier w pułku piechoty pułkownika Pride’a maszerował po piętnaście mil dziennie z sześćdziesięcioma funtami na plecach, gdy walczył pod Naseby, gdy szturmował Bristol i jako pierwszy wspiał się na mury miasta. Przypomnił sobie spotkania w Saffron Walden i w Putney, gdzie dzięki swoim kazaniom i wizjom osiągnął znaczącą pozycję, czystkę parlamentu, w której ochoczo brał udział, starania o rękę Frances po egzekucji króla.

Dopiero gdy Ned zaczął wprowadzać do wspomnień imię Frances i zwracać się do niej bezpośrednio, Will poczuł narastający niepokój. *Zastanawiają Cię być może – jak wielu innych, także mnie – działania armii, która poszła na wojnę, by bronić parlamentu, a teraz traktowała go brutalniej, niż kiedykolwiek ośmielił się to zrobić król. Co to miało być? A potem ten osobliwy szacunek i współczucie dla Karola Stuarta – szokujące, prawdę mówiąc – i wątpliwości dotyczące procesu króla. A w końcu najbardziej zatrważający fragment: *Wciąż jednak nie umiem sobie odpowiedzieć na to jedno pytanie: Jeśli zwycięstwa, które dał nam Bóg, dowodziły, że spełniamy Jego wolę, to jak zinterpretować to, co stało się potem? Czy przestał sprzyjać naszej sprawie, czy od samego początku byliśmy w błędzie?* Opis Cromwella sugerował grzechy osobistej ambicji, dumy, gniewu, obłudy, cynizmu – zaiste, Bóg wybrałby sobie przedziwne narzędzie, gdyby to wszystko było prawdą. Pod koniec rękopisu był prawie nieczytelny, pełen wykreśleń, błędów i powtórzeń, lecz ostatnia strona wydawała się wystarczająco wyraźna:*

Czytałem, że pułkownik Hacker, mój sąsiad z hrabstwa Nottingham, dobry żołnierz i pobożny człowiek, na krótko przed egzekucją powiedział do kilku przyjaciół, że najbardziej dręczy go myśl, że „kiedyś nosił w sercu zbyt wielkie uprzedzenia wobec tych członków ludu Bożego, którzy wyznawali inne poglądy niż on”.

*Jeśli wybrał sobie na epitafium takie słowa, ja mogę je tylko powtórzyć.
Bogu niech będą dzięki, oby przebaczył swemu pokornemu słudze.*

Edward Whalley

Zszokowany Will odchylił się na oparcie krzesła. Czuł się tak, jakby duch teścia powstał ze skorupy jego ciała, przeszedł do jego pokoju i ogarnięty kompletnym szaleństwem, zaczął bredzić. Tego nie mógł napisać człowiek, którego kiedyś znał. To diabeł musiał trzymać jego pióro. Nic dziwnego, że Bóg go poraził. Szczególnie przerażająca dla Willa była myśl, że Frances mogłaby to przeczytać.

Trzeba ją chronić przed skutkami obłędu ojca. A Neda trzeba chronić przed nim samym.

Wzniecił ogień w kominku i spalił wspomnienia teścia, kartka po kartce.



Latem 1671 roku, cztery lata po udarze Neda, Russell oznajmił, że wielebny Mather gotów jest podjąć ryzyko i przekazać list Frances. Will długo go układał. Nie zdradził miejsca ich pobytu. Wspomniał o stanie zdrowia jej ojca, nie wchodził jednak w szczegóły. Oczywiście nie napisał nic o jego spisanych wspomnieniach. Na wypadek gdyby list wpadł w ręce rządu, zaadresował go do *Matki* i podpisał się jako jej syn. Następnej wiosny otrzymał odpowiedź.

Mój najdroższy Synu. Twój tak długo wyczekiwany list ogromnie podniósł mnie na duchu! Bogu dzięki wszyscy jesteście zdrowi i doświadczamy miłości i troski naszego Pana, który nas wspiera i opiekuje się nami w tych trudnych dniach próby. Cieszy mnie, że dobrze się czujesz w Ameryce i że tak pomyślnie Ci się układa, choć przykro mi słyszeć, że Twój przyjaciel choruje. Nie wiem, czy ta wiadomość dotrze do Ciebie, wspomnę więc tylko krótko, jak drogi jesteś mnie i Twoim małym braciom i siostram, którzy pozostają w dobrym zdrowiu – jedynie Betty jest trochę słabowita – i jak bardzo wszyscy pragną Cię zobaczyć. Jeśli Pan uzna, że to dla nas dobre, we właściwym czasie pozwoli nam się połączyć. Musimy być oszczędni, ale jeżeli mogę Ci w jakikolwiek sposób pomóc, proszę, daj tylko znać, a zrobię wszystko, co w mojej mocy, jeśli tylko Bóg pozwoli. Módl się za mnie, a ja obiecuję się modlić za Ciebie. Pozdrawiam Cię całym sercem i polecam Ciebie oraz wszystkich przyjaciół bezpiecznej opiece Wszchemogącego.

Na wieki Twoja kochająca Cię Matka

Wymienili jeszcze kilka listów, a potem nastąpiła długa przerwa spowodowana wojną z Holandią i tym, że w zimie kapitanowie statków raczej nie decydowali się na rejsy przez Atlantyck. Tego dnia w sierpniu 1674 roku, gdy wybrał się do obozu Norwottucków, mijało dokładnie półtora roku, odkąd Will otrzymał ostatni list od żony.



Kiedy usadził Neda w fotelu i otworzył okno, by wpuścić trochę świeżego powietrza do dusznego pokoju, spakował bobrowe futra i zabrał je na dół do Russella.

– Jak się dziś miewa nasz przyjaciel? – spytał wielebny.

– Jak zwykle. Może jest trochę słabszy.

– Bóg weźmie go do siebie, gdy zechce. To nie może potrwać długo.

Rozmawiali w ten sposób od lat, prawie codziennie rano, i Will zaczął się zastanawiać, czy Ned nie przeżyje ich obu.

Russell zerknął na worek.

– Znów interesy z Indianami? Nikt cię nie widział, mam nadzieję.

– Nie, zawsze jestem ostrożny. Dwa tuziny futer z bobra, gotowych do sprzedaży. Pięć szylingów za jedno. W sumie sześć funtów. Zrobiłem listę towarów, których potrzebuję z Hartfordu.

Will był dumny, że może się sam utrzymywać. Dzięki zyskom z handlu z Indianami oraz dochodom z inwestycji, które Gookin poczynił w ich imieniu w 1661 roku, a także darom z ojczyzny i spadkowi, który pozostawił im Richard Saltonstall z Ipswich, Ned i Will byli niemal bogaci, i to mimo wydatków na kwaterę i jedzenie, za które płacili Russellowi.

– Przyszedł do ciebie list z Anglii – oznajmił wielebny.

– Dziękuję, John. – Will od razu rozpoznał pismo Frances. – Bogu niech będą dzięki.

Ręka drżała mu lekko z emocji, gdy niósł list na górę.

– Spójrz, wreszcie wiadomości od Frances – zwrócił się do teścia.

Stary człowiek wymamrotał coś pod nosem.

Will przyciągnął krzesło do łóżka Neda i złamał pieczęć.

– Jest datowany na dwudziestego dziewiątego marca – powiedział i zaczął głośno czytać.

Mój drogi Synu, wiele się wydarzyło od mojego ostatniego listu. Na początek muszę Ci przekazać najgorszą wieść ze wszystkich: Pan zabrał do siebie naszą słodką Betty w osiemnastym roku jej życia.

Podniósł wzrok. Ned wpatrywał się w sufit z beznamiętnym wyrazem twarzy. Will pożałował, że najpierw sam nie przeczytał listu, ale czuł, że teraz nie może już przerwać.

Zawsze była chorowita i spodziewaliśmy się tego, ale przeżyła zarazę i pożar, więc był to dla nas prawdziwy szok. Oby nasz Stwórca i Zbawiciel pocieszył Cię po tej stracie tak, jak pocieszał nas. Powinieneś też wiedzieć, że Frankie wyszła niedawno za solarza, dżentelmena, choć niezbyt bogatego, bo interesy idą kiepsko. Jest przy nadziei i termin rozwiązania się zbliża. Mój najdroższy, obawiam się, czy nie jesteś na mnie zły, że stało się to bez Twojej wiedzy i rady, bo choć staram się być dobrą matką i modlę się codziennie o światło Boże, zdaję sobie sprawę, że brakuje mi Twej mądrości i roztropności...

Zgniół list w dłoni i poszedł do swojego pokoju. Obraz Betty, zniekształcony czasem, zamienił się w niewyraźną plamę. Frankie wciąż była dla niego małą dziewczynką z lalką. Nie uczestniczył w ich życiu, a teraz jedna umarła, a druga wyszła za męża i była w ciąży. Płakał nad nimi obiema i płakał nad sobą. Kiedy wrócił do teścia, ten leżał odwrócony twarzą do ściany i nawet nie chciał na niego spojrzeć.

Kilka dni później, po tym, jak Will podał Nedowi kolację, Russell przyniósł mu następny list. Do koperty z listem od wielebnego Hooke'a była wsunięta wiadomość od żony, krótka, skreślona na jednej stronie i z datą ósmego maja. Frances napisała ją więc kilka tygodni po poprzednim liście.

Najdroższy, tylko kilka słów, byś wiedział, że dwa dni temu Frankie urodziła chłopca, lecz dziecko, nazwane William na Twoją cześć, żyło tylko kilka godzin. Frankie bardzo cierpiała, lecz Pan stanął przy niej w tej trudnej godzinie, więc powoli dochodzi do siebie. Dzięki niech będą Temu, który się nami opiekuje.

Ułożywszy teścia do snu, Will usiadł przy stole w jego pokoju i odgonił ćmy krążące wokół świecy. Do tej pory zwlekał z pisaniem odpowiedzi. Teraz spróbował znaleźć odpowiednie słowa.

Ronię łzy nad trumną tej, która odeszła i której stratę oplakuję. Lecz, najdroższa moja, nie będę rozdrapywał Twych ran, mówiąc o własnym smutku, bo wiem, że rozpaczałaś już wystarczająco, za dużo. Dziękujemy Panu za jej życie, a także za to, że choć przez chwilę mieliśmy wnuka. Oboje spoczywają teraz w Bogu.

Piszesz, że obawiasz się, czy nie będę zły w związku z małżeństwem Frankie. Och, najdroższa moja, jak mogłaś się spodziewać po mnie czegoś podobnego? Wiesz, że nigdy nie przemawiałem do Ciebie w gniewie, nigdy nie uraziłem Cię nawet gniewną myślą i nigdy tego nie zrobię, bo i Ty nigdy nie dałaś mi do tego powodu i wierzę, że nigdy nie dasz. Wychwalajmy Pana, który tak zjednoczył nasze serca w miłości, że trudno sobie nawet wyobrazić, byśmy kiedykolwiek złościli się na siebie.

To była gorąca noc. Ned coś mamrotał i próbował się poruszyć. Will podszedł do niego i zsunął nieco koc, by było mu chłodniej. Przez chwilę patrzył na

pograżonego we śnie teścia, czekając, aż ten zacznie miarowo oddychać, po czym wrócił do stołu.

Twój stary przyjaciel pan R. wciąż żyje, ale nie jest zdolny do jakiegokolwiek racjonalnej rozmowy, jako że pamięć, rozum i język go zawodzą. Wydaje się, że niewiele rozumie z tego, co się wokół niego dzieje i mówi, lecz cierpliwie wszystko znosi i nigdy się nie skarży. Zastanawiam się czasami, dlaczego Pan nasz zesłał na niego taki los. Bóg pomaga nam czerpać korzyść ze wszystkiego i czekać z cierpliwością, aż się przekonamy, do czego nas przeznaczył.

Ned zakasłał gwałtownie, a potem znów coś wymamrotał. Will podszedł do niego. Teść wydawał się czymś mocno poruszony. Po raz pierwszy Will poczuł, że koniec naprawdę jest bliski. Czy Ned umierał w nadziei i oczekiwaniu na zmartwychwstanie, czy też utracił wiarę, podobnie jak przestał wierzyć w sprawę, za którą walczyli? Will ukląkł przy łóżku i ujął jego dłoń.

– Ned? Słyszysz mnie? Nasza walka była słuszna. Pan był z nami. Świadczyliśmy o prawdzie, ty i ja. Powiedz mi, że to wiesz. Daj mi znak, że jesteś gotów spotkać się z Bogiem z wiarą w Jego miłosierdzie i przyszłe życie.

W odpowiedzi usłyszał jednak tylko oddech teścia, być może bardziej chrapliwy niż wcześniej, jakby nawet ta czynność była dla niego ogromnym wysiłkiem.

Gdy zapytałem przed chwilą Twego starego przyjaciela, czy chciałby dodać coś od siebie, powiedział, że nie pragnie niczego innego niż zjednoczenia z Jezusem Chrystusem i Jego miłością dla tych, którzy w Niego wierzą i kroczą Jego drogą. Wypowiedział to zdanie z przerwami, ale swobodniej i wyraźniej niż zwykle.

Zapieczętował list, oddał go Russellowi, a ten miał go nazajutrz wysłać do Bostonu.

Dwa dni później, gdy Will wszedł do pokoju Neda, by go umyć i dać mu śniadanie, stary człowiek jak zwykle patrzył na drzwi, czekając na niego. Tym razem jednak, nawet nim Will dotknął jego ramienia, wiedział, że teść nie żyje.



Zbił wraz z Russellem trumnę z sezonowanych dębowych desek przechowywanych w szopie, a po zmierzchu przenieśli ją pod osłoną nocy do domu i wnieśli na piętro. Will zdjął z teścia koszulę nocną i ubrał go w jego stary kawaleryjski płaszcz i wojskowe buty. Potem ujął go pod pachy, Russell za nogi, podnieśli ciało, włożyli je do trumny, po czym umieścili ją na łóżku.

Na zewnątrz, na tyłach domu, czekali na nich syn Russellów Jonathan, teraz już krzepki szesnastoletni młodzieniec, i czarny niewolnik Abraham. Oblani księżycowym blaskiem, zabrali się do kopania grobu przy ścianie piwnicy, w miejscu niewidocznym z drogi i pobliskich domów. Początkowo szło im łatwo, bo górna warstwa gleby składała się w dużej części z piasku. Potem jednak trafili na kamienie i korzenie drzew, musieli więc pracować na zmianę, posługując się nie tylko łopata, ale też kilofem. Dźwięk metalu uderzającego o skałę niósł się w spokojnym sierpniowym powietrzu tak, że zdaniem Willa musieli go słyszeć wszyscy mieszkańcy Hadley. Mimo to nikt nie przyszedł do nich, by spytać, co się dzieje. Wykopali dół głęboki na sześć stóp, a potem otrzepali się z ziemi i poszli na górę, do pokoju Neda, by znieść jego ciało. Nim zabili wieko gwoździami, Will pocałował teścia w czoło. Zmarszczki starego człowieka zniknęły. Jego skóra była gładka, zimna i biała niczym marmur; przypominał rzeźbę rycerza z angielskiego kościoła. W wojskowym płaszczu wyglądał tak, jakby spał w przeddzień ważnej bitwy.

Choć było ich czterech, musieli się porządnie namęczyć ze zniesieniem trumny na parter. Dopiero gdy dotarli do salonu, mogli wziąć ją na ramiona i godnie przenieść zmarłego na miejsce jego ostatniego spoczynku. Kiedy opuścili go do grobu, wielebny Russell odmówił modlitwę pogrzebową – „z prochu powstałeś,

w proch się obrócisz” – po czym najpierw przysypali trumnę kamieniami, które miały ją chronić przed padlinożercami, a potem sypką ziemią.

Kiedy kończyli, robiło się już jasno. Odległe góry lśniły różem przedświt. Wszyscy poza Willem odeszli, by przespać się choć trochę, a on wciąż stał nad grobem. Wpatrywał się w skrawek rozkopanej ziemi, tak daleki od domu. Tym razem nie przychodziły mu do głowy żadne modlitwy czy cytaty z Biblii. Stał jeszcze długo, dopóki nie usłyszał głosów dobiegających od drogi. Wtedy powrócił do rzeczywistości i poszedł szybko do domu, by nikt go nie zobaczył.

32 Ga 6, 2.

33 1 J 3, 17-18.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Po śmierci Neda Will popadł w głęboką rozpacz, nie miał nawet siły wyjść z pokoju. Kiedy już nie musiał opiekować się teściem, jego życie stało się puste. Nie interesował go handel, nie zamówił towarów z Hartfordu ani nie poszedł na spotkanie z kobietą z plemienia Norwottuck. Zdjął pościel z łóżka Neda, zabrał jego rzeczy – szpadę i pistolety, kilka koszul, parę pończoch, lunetę – i przeniósł do swojego pokoju. Popłakał się, widząc, jak skromny był jego dobytek.

Nadeszła jesień, potem zima, ale nie doszły żadne listy z Anglii. Pod koniec kwietnia minęły jego pięćdziesiąte siódme urodziny, choć nikt tego nie zauważył, łącznie z nim. Odkąd zabrakło Neda, myślał o rodzinie częściej niż kiedykolwiek od czasu przyjazdu do Ameryki, nie tylko o Frances i dzieciach, ale także o matce, która zmarła, gdy miał osiem lat, i ojcu, bezkompromisowym wielebny Goffie, po którym odziedziczył religijną żarliwość i dar nauczania, a także o braciach, Stephenie i Johnie, którzy zostali duchownymi. John miał dość umiarkowane poglądy, ale Stephen, najstarszy, poszedł w całkiem inną stronę i został katolickim księdzem. Boże, ocal go i pokaż mu, że zblądził. Czy wciąż żyli? Jedyne, czego był pewien, to to, że nigdy ich nie zobaczy.

Wiosna przyniosła pewną poprawę nastroju. Zmusił się do zamówienia nowych towarów na wymianę i pod koniec czerwca, kilka dni po letnim przesileniu, wybrał się do lasu. Wyszedł na długo przed świtem, gdy księżyc był w pełni, a gwiazdy lśniły z całą mocą. Kiedy był w połowie drogi przez Sosnową Równinę, wydarzyło się coś przedziwnego. Księżyc stopniowo robił się coraz bardziej czerwony, po czym przeszedł przez wszystkie fazy, od pełni do cienkiego sierpa, następnie całkiem zniknął, a potem zaczął rosnąć. W czasie niepokojącego całkowitego zaćmienia wszystkie krowy w Hadley ryczały ze strachu. Will rozłożył płaszcz na wilgotnej trawie, położył się i oglądał przemiany księżyca, a także spadające

gwiazdy, które pojawiły się potem. Nigdy wcześniej nie widział takiego znaku, choć czytał o nim w Apokalipsie świętego Jana, w opisie tego, co stało się po otworzeniu szóstej pieczęci: *I słońce stało się czarne jak włosienny wór, a cały księżyc stał się jak krew*³⁴.

Niebo było pełne znaków, bardziej niż w 1666 roku. Nadchodziło coś strasznego. Will to czuł.

Mniej więcej po godzinie sięgnął po sakwę, rozważając, czy rozsądnie będzie kontynuować tę wyprawę, zaszedł jednak już tak daleko, że głupio byłoby zawrócić, ruszył więc dalej.

Była to jedna z tych letnich nocy, kiedy właściwie nigdy nie robi się całkiem ciemno. Widział całkiem wyraźnie ścieżkę między drzewami. Zastanawiał się, co myślą o zaćmieniu Indianie i czy takie zjawisko ma jakieś szczególne znaczenie w świecie ich prymitywnych pogańskich przesądów. Być może pogłębi tylko ich niechęć do cudzoziemców. Mimowolnie sięgnął do kieszeni, zadowolony, że ma ze sobą pistolet, choć gdyby go zaatakowali, nie mógłby się długo bronić.

Kiedy dotarł do obozu Norwottucków, zrozumiał, że stało się coś niedobrego. Dziesiątki wigwamów przycupniętych nad brzegiem jeziora wydawały się ciche i martwe. Na zewnątrz nie płonęły ogniska. Podszedł do najbliższego wigwamu – zniknęła zwierzęca skóra zakrywająca wejście. W środku było całkiem pusto: ani posłań, ani naczyń, ani jedzenia. Nie musiał zaglądać do pozostałych wigwamów. Wioska bez wątpienia została porzucona. Podszedł do pobliskiego paleniska i przeciągnął dłonią przez popiół. Wciąż był ciepły. Indianie odeszli stąd dzień lub dwa dni temu.

Zabrał sakwę z narzędziami na handel i ruszył w drogę powrotną do Hadley. Na przemian szedł i biegł, wyobrażając sobie złe duchy, które mogły czaić się na niego w półmroku; nie zważał na gałęzie, które siekły go po twarzy, ani na pnącza chwytające go za nogi.



Po powrocie do domu opowiedział Johnowi Russellowi o tajemniczym zniknięciu Norwottucków.

– Robili kiedykolwiek coś podobnego? – spytał.

– Nigdy. A o tej porze roku łowią ryby i zawsze trzymają się blisko rzeki.

Wielebny poszedł porozmawiać o tym z Peterem Tiltonem i innymi przywódcami miejscowej społeczności.

Kilka dni później dotarły do nich z Bostonu wieści, które przydały zniknięciu tubylców z obozowiska złowieszcze znaczenie. Okazało się, że na początku miesiąca uznano trzech Indian za winnych zabicia Anglika, skazano ich i powieszono. Znalazł się wśród nich główny doradca indiańskiego sachema Metacometa, nazywanego królem Filipem, wodza plemienia Wampanoag z południowo-wschodniej części Massachusetts. Oburzony tą zniewagą Metacomet zjednoczył rozproszone plemiona Nowej Anglii w koalicję wojenną, by raz na zawsze przegonić obcokrajowców. Norwottuckowie z okolic Hadley prawdopodobnie opuścili obóz, by do niego dołączyć.

– Jesteśmy tu całkiem odsłonięci – stwierdził Russell. Will po raz pierwszy widział go naprawdę zmartwionego. – Możemy się tylko modlić, czekając na rozwój wydarzeń.

Początkowo walki toczyły się jedynie na południu kolonii, w okolicach Providence. Lecz pewnego popołudnia w pierwszym tygodniu sierpnia Will usłyszał krzyki i turkot wozów. Jedno z okien jego pokoju wychodziło na wschód, w stronę Sosnowej Równiny, i właśnie stamtąd pędziły trzy wozy, kilkadziesiąt owiec i parę koni. Obok wlekły się rodziny o osmolonych twarzach i ubraniach. Na jednym z wozów leżeli ranni, na drugim skromny dobytek uciekinierów. Przeszli pod jego oknem, a minutę później rozległo się głośnie walenie do drzwi.

Po raz pierwszy od lat Will musiał się schować.

Zapalił świecę, wszedł do korytarza za kominem, podniósł deski, pokonał kilka szczebli w dół, po czym ułożył deski z powrotem na miejscu i zszedł do kryjówki. Słyszał stamtąd głos Russella – współczujący, kojący, chwilami oburzony – oraz

innego mężczyzny, który musiał stać w pobliżu kominka. Przyciskając ucho do cegieł, Will rozumiał większość z tego, o czym rozmawiali. Wyglądało na to – nieznajomy był w szoku, więc opowiadał nieco chaotycznie – że uciekli z Brookfield, maleńkiej osady oddalonej o jakieś dwadzieścia pięć mil na wschód od Hadley. Kilka dni wcześniej przybyli tam z Massachusetts niejaki kapitan Hutchinson i dwudziestu zbrojnych, by spacyfikować miejscowych Indian. Zostali jednak zwabieni w pułapkę i stracili połowę ludzi. Wtedy wycofali się do domu niejakiego Johna Ayresa, gdzie ukryli się wszyscy mieszkańcy, i przez całe dwa dni i dwie noce odpierali ataki oblegających dom Indian, podczas gdy osada została doszczętnie spalona. Zginęło dwóch osadników – jeden został zastrzelony, gdy stał przy oknie, drugi, kiedy próbował wyjść na zewnątrz. Wieczorem trzeciego dnia uratował ich kapitan Parker, który przybył z czterema tuzinami żołnierzy. Indianie wycofali się, a mieszkańcy Brookfield opuścili zniszczoną osadę, by szukać schronienia gdzie indziej.

Do domu weszło więcej ludzi, pokój wypełnił się gwarem rozmów, ale Will niewiele już rozumiał z tego, o czym rozmawiano. Minęła godzina i głosy zaczęły stopniowo przycichać. Trzasnęły drzwi, usłyszał kroki na schodach, po czym Russell podniósł deski i zajrzał z góry do kryjówki.

– Możesz wyjść – rzucił. – Jest już bezpiecznie.

– Sądząc po tym, co słyszałem, „bezpiecznie” nie jest chyba najlepszym określeniem.

– Masz rację. Biedni ludzie. – Russell wyciągnął rękę, by pomóc mu wyjść.

Poszli do pokoju Willa. Wielebny usiadł na łóżku i objął głowę dłońmi.

– Ze względu na ciebie musiałem ich odesłać, żeby szukali schronienia u kogoś innego.

Will usiadł obok niego.

– W takim razie odejdę jeszcze dziś, John. Nie pozbawię zrozpaczonych kobiet i dzieci łóżka.

– Nie, nie możesz odejść, nie teraz. Jak sam zauważyłeś, zrobiło się tu niebezpiecznie, a samotny podróżny w czasie wojny to łatwy łup. – Russell podniósł wzrok. Pokręcił głową i uśmiechnął się smutno. – No i pozostaje ten sam stary problem, przyjacielu: dokąd byś poszedł? Chociaż obawiam się, że mogłem wzbudzić podejrzenia, nie przyjmując nikogo w takim dużym domu. Bez wątpienia pojawią się następni uciekinierzy... i żołnierze. Być może będziesz musiał spędzać więcej czasu w kryjówce.

– Nie mogę cię narażać na takie niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo czai się wszędzie dokoła. Pomodlisz się ze mną?

Uklękli i modlili się razem cicho.

Will po raz tysięczny żałował, że nie ma już z nimi Neda. On wiedziałby, co robić.



Tej nocy, gdy pozostali domownicy spali, Will zszedł cicho po schodach. Przysiadł na stopniu, włożył buty i wyszedł na zewnątrz. Uznał, że właśnie to zrobiłby Ned: obejrzał teren bitwy. „Bóg da nam zwycięstwo, jeśli taka będzie jego wola, ale oczekuje, byśmy my, śmiertelnicy, przygotowywali rozsądne plany”, powiedziałaby. Oczywiście Will podejmował ryzyko, uważał jednak, że gra jest warta świeczki.

Nigdy wcześniej nie chodził po Hadley. Ruszył na południe, minął kilkanaście domów i dotarł do szerokiej wstęgi Connecticut, lśniącej w blasku księżyca. Potem szedł wzdłuż rzeki na zachód, obok przeprawy promowej, do miejsca, gdzie Connecticut ostro zakręcała, niczym ręka zgięta w łokciu. Tam, gdzie rzeka miała by staw łokciowy, gdyby była ręką, leżał teren zwany Wielką Łąką albo Garnkiem z Miodem – żyzna ziemia należąca do wspólnoty mieszkańców. Dalej na wschodzie znów zaczynały się zabudowania. To było naprawdę idealne miejsce na osadę. Ned rozumiał już, dlaczego Norwottuckowie woleliby się nie rozstawać z tym terenem. Pośrodku osady był porośnięty trawą plac, na którym stał nowo

wzniesiony dom modlitwy, największy budynek w mieście. To oczywiste miejsce, pomyślał Ned. Może odrobinę zbyt oczywiste? Przyglądał się przez chwilę budowli oblanej blaskiem księżyca, po czym ruszył dalej. Oceniał obwód osady na jakieś trzy mile. Robiąc częste przerwy, potrzebował dwóch godzin, by je obejść.

Po powrocie do pokoju narysował z pamięci szkic, a rano pokazał go Russellowi.

– Chodziłeś po mieście?! – Wielebny był zszokowany.

– Nikt mnie nie widział, i to jest właśnie problem. Mogłoby nas podejść niezauważenie całe plemię tubylców.

– Po osadzie powinien krążyć nocny patrol.

– Jeśli tak krąży, to nie ogarnia wszystkiego. Żeby kontrolować taki obszar, trzeba trzech patroli. Ta osada nie jest łatwa do obrony, ale ma jedną zaletę: z trzech stron osłania ją rzeka. Jeśli zaatakują, zrobią to od wschodu. Chyba że przypłyną na kanu, te moglibyśmy zatopić. Zakładam, że wszyscy mężczyźni w Hadley mają broń, tak?

– Oczywiście.

– Jaką? Muszkiety? Pistolety? Z zamkami lontowymi czy skałkowymi?

– Trochę jednych i drugich.

– Powinni je zawsze nosić przy sobie, nawet podczas pracy w polu. Dodatkową broń i amunicję trzeba trzymać w domu modlitwy: szpady, piki, sztylety, wszystko, co może się przydać. Macie jakiś umówiony sygnał w przypadku ataku?

– Tak, mamy uderzyć w dzwon w domu modlitwy. Ale módlmy się, żeby do tego nie doszło. Dotarły do mnie wiadomości z Bostonu, że oddział dragonów przeszukuje okolice. Może to zniechęci Indian do ataku.

– Świetnie – odparł Will, choć zastanawiał się, jak farmerzy dosiadający koni, choćby doskonale uzbrojeni, poradzą sobie z indiańskimi wojownikami, których widział w obozie Norwottucków.



Resztę dnia spędził na przygotowaniach. Zniósł do kryjówki stare łóżko Neda i większość ich rzeczy: pieniądze – wciąż myślał o nich „nasze” – zapas świec, dzbanek z wodą, szpady, pistolety, kule i proch. Potem, wyposażony w lunetę teścia, obserwował okolicę z okna w swoim pokoju. Późnym popołudniem zauważył słup dymu wznoszący się nad lasem. Rósł powoli przez kilka godzin, rozpościerając się nad drzewami niczym chmura burzowa, olbrzymi i złowieszcy. Niektórzy mieszkańcy osady, uzbrojeni w muszkiety i piki, przechodzili pod jego oknem i zmierzali na łąkę, skąd mieli lepszy widok. Co jakiś czas dochodziły stamtąd radosne okrzyki.

Wieczorem, gdy Russell przyniósł mu kolację, miał ponurą minę.

– Żołnierze spalili obóz Norwottucków. Pięćdziesiąt wigwamów poszło z dymem.

Will był przerażony.

– Dlaczego? – Pomyślał o kobiecie, z którą prowadził interesy i która zawsze miała dla niego jakiś poczęstunek.

– Zemsta za Brookfield.

– Ale przecież nie wiemy nawet, czy to rzeczywiście oni zaatakowali tę osadę.

– Wątpię, żeby to byli oni. Ale są Indianami. To wystarczy. Daniel Gookin napisał mi, że aresztowano i zakuto w łańcuchy nawet schryistianizowanych Indian. Oskarżono go, że za bardzo im sprzyja, w związku z czym straci miejsce w radzie kolonii. Teraz to już prawdziwa wojna na śmierć i życie. Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć: jutro przyjadą tu żołnierze i każdy dom w Hadley ma im zapewnić kwaterę.

– Jestem gotów – oświadczył Will.

– Przypuszczam, że często będą na patrolach. Będę ci przynosił jedzenie i wodę, gdy tylko będę mógł. Ale na pewno nie będzie ci wygodnie. Spróbuję ci znaleźć jakąś inną kryjówkę.

– Nie przejmuj się mną, John. Tak czy inaczej, na pewno będzie mi tu wygodniej niż w celi w Tower.



Russell przyniósł mu zapasy jedzenia i wody i Will sam zniósł je do swojej kryjówki. Następnego dnia usiadł przy oknie i koło południa zobaczył smugę pyłu nad Sosnową Równiną. Wyregulował ostrość w lunecie i minutę później widział już sylwetki żołnierzy na koniach, pięćdziesięciu, może nawet sześćdziesięciu, galopujących w stronę Hadley. Zabrał Biblię, rozejrzał się raz jeszcze po pustym pokoju i zszedł do kryjówki.



Pomieszczenie za kominem miało osiem stóp długości, ale tylko cztery szerokości. Sufit z desek był jakieś cztery stopy nad jego głową. Żeby zrobić miejsce na posłanie, musiał zabrać drabinę i ułożyć ją pod ścianą. Kiedy to zrobił, czuł się tak, jakby leżał w grobie, w ciemnościach rozpraszanych blaskiem tylko jednej świecy.

Trwał ostatni tydzień sierpnia, było okropnie gorąco. Will nie mógł robić nic innego, jak tylko leżeć na sienniku, wilgotnym od potu, i słuchać żołnierzy. Nie mógł uciec od tych odgłosów – otaczały go ze wszystkich stron, niczym dręczyciele Hioba albo halucynacje w malignie. Przychodzili ze stajni i wychodzili z powrotem przez salon, trzaskali krzesłami, przesuwali łóżka w sypialniach, tupali mu nad głową. Pewnego razu jeden z nich zaczął narzekać, że deski są luźne, i trącił jedną czubkiem buta, ale na szczęście ktoś – oficer, sądząc po tonie głosu – przywołał go do siebie. Mężczyźni rozmawiali, śmiali się, przeklinali, modlili się i chrapali. Czasami krzyczeli przez sen.

Przez jakiś czas Will próbował ich rozróżniać i śledzić losy każdego z nich – człowiek z Ipswich, człowiek ze Swansea, młodziak, którego żona była w ciąży – ale było ich tak wielu, że w końcu się pogubił i dał za wygraną. Nie potrafił określić godziny czy pory dnia z wyjątkiem tych, gdy w domu na kilka godzin zapadała cisza. Nawet wtedy nie mógł jednak spać. Rozciągał się, robił pompki, przechadzał po kilka kroków w jedną stronę i drugą, ale nie mógł się nawet

wygodnie obrócić. Poza tym, leżąc na boku, czytał Biblię, dopóki nie zaczynały go boleć oczy. Wracał raz po raz do psalmu 31, który przemawiał do niego bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Zmiłuj się nade mną, Panie, bo jestem w ucisku, od smutku słabnie me oko, a także moja siła i wewnętrzności. Bo zgryzota trawi me życie, a wzdychanie – moje lata. Siłę moją zachwiał ucisk i kości moje osłabły. Stałem się znakiem hańby dla wszystkich moich wrogów, dla moich sąsiadów przedmiotem odrazy, dla moich znajomych – postrachem; kto mnie ujrzy na ulicy, ucieka ode mnie. Zapomniano w sercach o mnie jak o zmarłym: stałem się jak sprzęt wyrzucony³⁵.

Był pewien, że oszaleje. Był pewien, że już oszalał. Próbował sobie wyobrazić, czy jakiś inny człowiek prowadził takie życie jak on, ale nie był w stanie. Za jakie straszliwe grzechy ponosił taką karę? W jakim celu poddawano go takiej próbie?

Mijały dni. Dom nigdy nie był pusty. Russell nie przychodził.

Miłujcie Pana, wszyscy, co Go czcicie! Pan zachowuje wiernych, a odpłaca z nawiązką tym, którzy wyniośle postępują. Bądźcie mocni i mężnego serca, wszyscy, którzy pokładacie ufność w Panu!³⁶

Próbował przyjmować te przekleństwa jako błogosławieństwa, traktować udręki jako szansę na zbliżenie się do Boga, podobnie jak traktował chorobę Neda. Było mu jednak coraz trudniej, zwłaszcza gdy prawie skończyły się jedzenie i woda, ale – co najbardziej przerażające – także świece. Myśl, że będzie całkowicie pozbawiony światła, była przerażająca.

Siódmego dnia płakał przez kilka godzin, zakrywając dłonią usta, by nikt go nie usłyszał, aż w końcu, po raz pierwszy od tygodnia, zapadł w otchłań snu, a kiedy się obudził, w domu panowała całkowita cisza.



Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny ani nawet czy na zewnątrz trwa dzień, czy noc. Do kryjówki zawsze docierały jakieś dźwięki, bez względu na porę, choćby tylko kasłanie czy skrzypienie, teraz jednak dom wypełniała całkowita cisza.

W końcu wstał. W wywołanym przez to ruchu powietrza płomień świecy zachwiał się i po sekundzie zgasł. Will namacał po ciemku szpadę, wsunął do kieszeni dwa pistolety, proch i kule, po czym włożył lunetę do drugiej kieszeni. Podniósł drabinę i przez chwilę przesuwając ją po omacku, aż trafił w legar. Postawił stopę na najniższym szczeblu i powoli zaczął się wspinać. Gdy dotarł na górę, odczekał kilka minut, wytyczając słuch, a potem wypchnął jedną z desek. Światło uderzyło go w oczy tak boleśnie, że musiał zacisnąć powieki i odwrócić głowę. Dopiero po chwili mógł je ponownie unieść. Wyprostował się, wyjął pistolet z kieszeni i trzymając szpadę w drugiej ręce, przeszedł ostrożnie pod ścianą do swojego pokoju.

Pomieszczenie wyglądało tak, jakby porzucono je w pośpiechu; na podłodze leżały rozrzucone brudne talerze i inne rzeczy.

Podszedł do okna. Równina wydawała się równie opustoszała jak dom. Poczuł ukłucie strachu. Musiało się wydarzyć coś bardzo niedobrego. Wyjął lunetę i patrzył przez nią na rozległy krajobraz – metodycznie, z północy na południe, aż po horyzont. W odległości kilku mil dojrzał smugę, jakby obłok kurzu. Czyżby żołnierze znaleźli coś jeszcze do spalenia? Poprawił minimalnie ostrość. Nie. To nie był dym, lecz ruchome postacie. Teraz widział już wyraźniej. Mężczyźni idący piechotą. Kilku na koniach. Obraz kołysał się leniwie w rozgrzanym porannym powietrzu. Czyżby to żołnierze wracali na kwatery? Nie byli ustawieni w szyku wojskowym, lecz rozrzućeni szeroko na całej równinie. A ci bez koni biegli, wzbijając pył tworzący linię, która przywodziła na myśl podpalony lont.

Złożył lunetę, opuścił pospiesznie pokój i zszedł na parter.

– John! John! – krzyknął i własny głos wydał mu się dziwnie obcy po tylu dniach milczenia. – Jest tu ktoś?

Otworzył drzwi domu i podszedł do bramy. Na ulicach i podwórzach było całkiem pusto, jakby wszyscy wyjechali z miasta.

Ruszył w stronę centrum osady; pobiegł obok pustych domów do domu modlitwy. Przystanął na progu. Słyszał głos Russella, wygłaszającego kazanie. Jakie znaczenie ma to, czy ktoś go teraz zobaczy? Otworzył drzwi i przeszedł przez środek sali. Ponad dwie setki twarzy wpatrywały się w niego ze zdumieniem. Russell stał na mównicy. Will wszedł na stopnie i stanął obok niego. Po raz pierwszy od wielu lat znalazł się przed tłumem wiernych. Tylu ludzi. Pomachał rękami.

– Atak! Nadchodzą tu! Do broni! Uderzać w dzwon!

Przez chwilę nikt nie reagował. Potem ludzie zaczęli szeptać między sobą. Oczywiście, dlaczego mieliby mnie słuchać? – uświadomił sobie. Musiał wyglądać naprawdę dziwnie: całkiem obcy człowiek, siwy, rozczochrany, z dzikim wzrokiem i twarzą szarą jak popiół po wielu latach pobytu w domu i dniach spędzonych w kryjówce. W dodatku miał na sobie stary cromwellowski płaszcz, a w ręce trzymał pistolet. Szaleniec.

Russell spojrział na niego ze zdumieniem.

– Jesteś pewien?

– Widziałem ich na równinie. Gdzie są żołnierze?

– Pojechali do Deerfield, biją się tam z Indianami.

– Na miłość boską, John, musimy działać jak najszybciej! Hadley też chcą zaatakować.

Wielebny patrzył mu przez chwilę w oczy, jakby próbował ocenić, czy Will jest przy zdrowych zmysłach, a potem zwrócił się do wiernych. Przekrzykując ich szepty i pomruki, zawołał:

– On mówi prawdę! Dzwoncie! Zamknijcie drzwi na klucz!

Nagła aktywność. Zgrzyt odsuwanych ławek. Brzęk wyjmowanych spod nich muszkietów. Zawodzenie i prośby do Boga. Głos dzwonu.

Will zeskoczył z mównicy i zaczął się przepychać do drzwi. Jednocześnie przyglądał się oknom. Zbyt wiele. Zbyt duże. A poza nimi samo drewno. Tymczasem wyglądało na to, że ogień to ulubiona broń tubylców. Wykurzą ich stąd. On z pewnością tak by zrobił... i robił to wiele razy w czasie wojny.

– Otwórzcie drzwi! – zawołał. Przed chwilą zamknięto je na klucz. – Otwórzcie!

Ktoś podał mu klucz.

Will wyszedł na zewnątrz, spodziewając się ujrzeć tam wroga, lecz porośnięty trawą plac był pusty. Nieopodal, po północnej stronie placu, jakieś pięćdziesiąt kroków dalej, stał dom.

– Tam! – powiedział, wyciągając rękę. – Wszyscy, którzy mają muszkiety, za mną.

Zrobił kilka kroków, po czym przystanął. Nikt się nie ruszył.

Podszedł do niego Russell.

– On wie, co robi – powiedział pastor. – Róbcie, co wam każe.

– Przynieście wodę! – krzyknął Will przez ramię. – Do gaszenia pożaru. Potem zamknijcie drzwi na klucz i zostańcie w środku.

Poprowadził oddział około czterdziestu muszkieterów – niektórzy byli już tak starzy, że ledwie za nim nadążali, inni wyglądali na dzieci – przez plac i weszli na podwórze domu.

– Znajdźcie sobie miejsca przy oknach, ale nie otwierajcie ich – zarządził Will. – Zachowajcie ciszę, ani mru-mru, i nie pokazujcie się. Nikt nie strzela, dopóki nie wydam rozkazu. Wtedy wybierzcie sobie cel, wymierzcie i strzelajcie. Zrozumiano?

– Tak jest! – odpowiedział mu chór.

Słuchali go bez szemrania – jedynego wśród nich, który zachowywał się tak, jakby wiedział, co należy robić. Bóg da, a jeszcze zrobi z nich prawdziwych żołnierzy.

Rozeszli się po parterze i piętrze. Will przechodził od okna do okna. Sześć było zwróconych na południe. Po czterech mężczyzn przy każdym, pozostali przy oknach wychodzących na wschód i zachód. Zszedł na dół i stanął przy drzwiach. Niech Bóg mu wybaczy, ale nie czuł się tak ożywiony od lat. Kobiety z miasta przekazywały sobie z rąk do rąk wiadra z wodą, tworząc szereg, który łączył studnię z domem modlitwy. Jeśli nie zachowają ostrożności, napastnicy zaskoczą je na otwartej przestrzeni. Przyłożył dłonie do ust i krzyknął:

– Dość! – Pokazał gestem, by się schowały.

Posłusznie weszły do domu modlitwy i zamknęły za sobą drzwi. W ostatniej chwili, jak się okazało, bo niecałą minutę później ujrzał pierwszego Indianina, który skradał się przez plac, przyciskając muszkiet do nagiej piersi.

Will zamknął drzwi domu i pobiegł na górę.

Odciągnął kurki pistoletów, stanął za mężczyznami, którzy przycupnęli przy oknach, i obserwował. Trzydziestu napastników, może więcej, uzbrojeni w muszkiety, łuki i strzały, niektórzy konno. Młodzi mężczyźni. Umieśnieni, półnaczy, zmierzali prosto do domu modlitwy. Jeźdźcy zaglądali do środka przez okna, a dwaj piechurzy próbowali wyważyć drzwi. Nagle zaczęli krzyczeć – żadnego planu ataku, żadnej strategii, żadnego strachu, tylko wściekłość i ekscytacja. Huk kilku strzałów. Brzęk tłuczonego szkła. Potem płonąca strzała, pięknie wymierzona, przemknęła nad trawnikiem i wleciała przez otwarte okno. Inni Indianie stali i patrzyli, co się wydarzy, zachęcając się nawzajem do walki okrzykami. W powietrze wzbija się kolejna ogniasta strzała. Uderzyła w drewnianą ramę tuż pod sufitem i tam została, wciąż płonąca.

Will wymierzył z pistoletu, choć z takiej odległości nie mógł liczyć na celny strzał.

– Ognia! – zawołał.

Wydawało się, że cały dom eksplodował dymem i hałasem. Siarka oślepiła go na moment.

Kiedy spojrzął na plac, ten wyglądał jak miejsce jatki. Napastnicy rozproszyli się na różne strony, kilku leżało na trawie, jeden z uciekających w popłochu koni bez jeźdźców ciągnął za sobą Indianina, którego stopa utknęła w strzemieniu. Ci, którzy wciąż stali, rozglądali się dokoła, wypatrując miejsca, z którego padły strzały. Jeden strzelił w stronę domu.

– Ładować! – rozkazał Will.

Przeładowanie broni z zamkiem skałkowym trwało pół minuty – przygotowanie krzesiwa, ubicie prochu i kuli w lufie – a potem trzeba było wymierzyć. Tymczasem Indianie biegli już w stronę domu.

– Ognia! – wydał rozkaz. Wystrzelił z pistoletu Neda, zobaczył, jak trafiony Indianin upada, i wyciągnął szpadę. – Do ataku!

Jako pierwszy znalazł się na dole. Wybiegli z domu. Wśród zakrwawionych Indian na trawie niektórzy byli jeszcze żywi. Pozostali napastnicy – wszyscy bardzo młodzi – rzucili się do ucieczki. Ruszył za rannym w nogę tubylcem, który utykał i podskakiwał niczym ranny ptak. Dogonił go na skraju placu i zadał cios szpadą w szyję. Z tyłu dobiegał huk wystrzałów i krzyki, gdy bogobojni mieszkańcy Hadley dobijali rannych.

„Bóg uczynił z nich rżysko dla naszych szpad – przypomniał sobie słowa Cromwella. – Chwała niech będzie Bogu”.

Staął okrakiem nad Indianinem, pochwycił obiema dłońmi rękojeść szpady, podniósł ją i z całych sił wbił w żyłaste plecy ofiary. Potem wyciągnął ostrze i wytarł je z krwi o trawę. Wrócił do domu Russellów, wszedł na górę do korytarza za kominem, po czym zrobił kilka kroków po drabinie, położył deski na miejsce, zszedł do kryjówki i usiadł skulony na posłaniu w całkowitych ciemnościach. Objął rękami podniesione kolana i mocno przycisnął do nich głowę. Drżał z zimna mimo letniego upału.



Kilka godzin później usłyszał krzyki i gwar wielu ludzkich głosów – tłumy, sądząc po ich natężeniu, stojącego na podwórzu. Podniósł głowę i nasłuchiwał. Docierał do niego głęboki głos Russella, uspokajający, pojednawczy i w końcu rozkazujący. Potem trzasnęły drzwi, rozległy się ciężkie kroki na schodach nad głową Willa i skrzypienie desek zdejmowanych z podłogi. I w końcu w smudze światła pojawiła się głowa Russella.

– Will?



Russell przedstawił sytuację po ataku Indian. Dwunastu napastników zginęło. Trzech Anglików było rannych. Żadnego z rannych tubylców nie pozostawiono przy życiu. Pozostali uciekli. Ogień na dachu domu modlitwy został zgaszony. Na skraju Wielkiej Łąki wykopano masowy grób.

– Wszyscy byli bardzo młodzi. Zastanawiam się, czy starszyzna plemienia w ogóle wiedziała, co planowali. Wygląda na to, że główne walki toczą się na północy w pobliżu Deerfield.

– Więc zabiliśmy chłopców?

– Młodocianych morderców – poprawił go Russell. – Zabiliby nas, gdyby tylko mogli. Uratowałeś miasto. Ludzie nazywają cię aniołem zesłanym z niebios. Szukają cię. Chcą wiedzieć, kim jesteś.

Aniołem!

– Musiałem się pokazać, John. Nie miałem wyboru.

– Tak, i Bogu niech będą dzięki, że to zrobiłeś. Ale sam widzisz, jak to wygląda. Na razie ich stąd odesłałem, ale nie mówią o niczym innym. Z pewnością wrócą.

– Więc muszę odejść.

– Tak. – Wielebny westchnął. – Obawiam się, że musisz, i to szybko, zanim żołnierze wrócą z Deerfield. Załatwiłem ci kwaterę w Hartfordzie. U porządnego

purytanina, kapitana Bulla, starego marynarza koło siedemdziesiątki. Mieszka tylko z żoną i chętnie cię przyjmie.

– Dobrze. Odejdę dzisiaj wieczorem!

– Nie, nie! Nie ma aż takiego pośpiechu! Zostań i przynajmniej zjedz coś. Jutro znajdę ci przewodnika.

– Nie potrzebuję przewodnika – odparł Will. – Mówisz, że walki toczą się na północy. A Hartford jest na południu, trafię tam bez problemu. Wystarczy iść wzdłuż rzeki. – Uśmiechnął się i poklepał wielebnego po ramieniu. – Widzisz, jak dobrze znam tę okolicę po tylu latach? Do rana będę w połowie drogi. Choć przydałby mi się koń.

– Oczywiście.

– Zapłacę za niego.

– Jak możesz proponować coś podobnego?! – Russell był wyraźnie urażony.

– Wolę przed odejściem wszystko uregulować. Zrobiłeś dla mnie tak wiele przez ostatnie jedenaście lat. – Ned rozejrzał się dokoła. Jedenaście lat... Prawdę mówiąc, i tak chętnie by stąd odszedł, zwłaszcza po wydarzeniach minionego dnia, nawet gdyby nie musiał. – Na wszystko jest czas, John. A mój czas tutaj dobiegł końca.



Miał już wszystko spakowane. Wystarczyło tylko wynieść rzeczy z kryjówki i załadować na konia w stajni. O wpół do ósmej zaczęło już zmierzchać, a Will był gotowy do drogi. Przeszedł w złotym blasku na tył domu, gdzie grób Neda porósł trawą. Nie było na nim krzyża ani napisu. Ptaki śpiewały wieczorną pieśń. Wiatr poruszał liśćmi jabłoni, wśród kwiatów brzęczały ostatnie letnie pszczoły. Ukląkł i przyłożył dłoń do ziemi. Powinien postawić tu nagrobek, choć wiedział, że to nie będzie możliwe. *Tutaj leżą szczątki pułkownika Edwarda Whalleya – męża, ojca, dobrego człowieka – który przerwał linię wojsk księcia Ruperta pod Marston Moor.* Klęczał jeszcze przez jakiś czas, po czym wstał i wrócił do stajni.



Nikt nie widział, jak wyjeżdżał z osady. O północy był już w Springfield. Miał dalej odpocząć kilka godzin w lesie i o brzasku wyruszył w drogę. Uznał, że jazda za dnia będzie bezpieczna; władze raczej nie będą go szukać w sytuacji, gdy dokoła toczy się wojna z tubylcami. Kiedy jednak natknął się na kolumnę żołnierzy maszerujących na północ, pochylił nisko głowę i odetchnął z ulgą, gdy minęli go obojętnie. Po południu dotarł do przystani promowej w Windsorze, pełnej ludzi, którzy uciekali z dobytkiem na południe, w bezpieczniejsze miejsce. Odpowiadał na ich pytania krótko i wymijająco, by nie dać się wciągnąć w dłuższą rozmowę. Nie, nie widział Indian. Tak, słyszał, że zarówno Brookfield, jak i Deerfield zostały spalone. Nie, nie uważał, że wojna musi trwać dopóty, dopóki nie zginie ostatni Indianin; nie przejmował się tym, co Pismo mówiło o prawie chrześcijan do zabijania pogan – to było wbrew nauce Chrystusa. Potem dali mu spokój.

O zmierzchu dotarł do Hartfordu i nie ujechał nawet stu jardów, gdy zatrzymał go patrol uzbrojony w piki i muszkiety. Czyżby nie wiedział, że po zmierzchu nie wolno nikomu wychodzić na zewnątrz? Kim jest? Dlaczego przyjechał tak późno? Powiedział, że nazywa się Walter Goldsmith i że szuka drogi na Południową Łąkę, do pana Warda. Nie miał pojęcia, kim jest Ward; nie chciał po prostu wymieniać nazwiska Bulla, a Russell powiedział mu, że stary kapitan ma dom obok posiadłości Warda. Pokazali mu drogę.

Było już całkiem ciemno, kiedy dotarł do celu. W oknie stała zapalona lampa. Do drzwi podszedł mężczyzna. Niski, żylasty, w niczym nie przypominał byka, z którym łączyło go nazwisko.

Will zdjął kapelusz.

– Kapitan Bull? – Ile razy już to robił: witał obcego człowieka w ciemności? – Przysłał mnie John Russell.

– Thomas Bull. – Kapitan uścisnął mu dłoń. – Bogu dzięki, że dojechał pan bezpiecznie... Moja żona, Susannah... Zaprowadzę pana do pokoju.

Znajoma procedura. Krętymi schodami na strych. Wąskie łóżko. Stół. Krzesło. Kufer wzmacniany żelaznymi pasami – kufer marynarza – a na nim miednica i duży dzbanek z wodą. Willowi przyszło do głowy, że nie będzie mógł dać znać Frances, gdzie jest i co się z nim dzieje. Czuł się tak zmęczony i samotny, że nagle szloch chwycił go za gardło. Przysłonił usta dłonią i udał, że kaszle.

– Będzie mi tu bardzo dobrze – powiedział po chwili. – Niech Bóg pana błogosławi, kapitanie, że zechciał mnie pan przyjąć.

Kiedy został sam, przeniósł świecę do maleńkiego okna. Za szybą było kompletnie ciemno. Nie widział niczego prócz odbicia własnej twarzy, niewyraźnego w pofałdowanym szkłe i bladego jak u topielca.

34 Ap 6, 12.

35 Ps 31, 10-13.

36 Ps 31, 24-25.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Cztery lata później w Paryżu, w lipcowe popołudnie 1679 roku, pewien Anglik wyszedł ze swojego domu przy rue Saint-Denis i wybrał się na codzienny spacer. Montorgueil w północnej części miasta, pełna krętych wąskich uliczek, drewnianych domów, szulerni, wrózek, złodziei i prostytutek, nie była bezpieczną dzielnicą. W lewej ręce niósł gruby kij, a w prawej kieszeni płaszcza mały pistolet. Choć miał już sześćdziesiątkę, wciąż sprawiał wrażenie człowieka, którego niełatwo pobić. Był tu znajomą postacią, ludzie nazywali go L'Anglais i zwykle schodzili mu z drogi. Nosił brodę, był trochę szerszy w pasie niż za londyńskich czasów, a pod peruką niemal całkiem łysy; wciąż jednak był barczysty jak dawniej i wciąż roztaczał wokół siebie aurę zagrożenia, jakby wiedział o tobie coś, czego sam nie chcesz wiedzieć.

Przez nikogo nie niepokoiony, przeszedł na środek ulicy, by uchronić się przed zawartością nocników, które od czasu do czasu opróżniali lokatorzy z wyższych pięter, i kilka minut później dotarł na prawy brzeg Sekwany. Było ciepło i rzeka śmierdziała jeszcze bardziej niż zwykle. Szedł wzdłuż mętnej brązowej wody, przystając obok niektórych wiklinowych straganów, na których księgarze wykładali towary; czasem podnosił jakąś książkę i przerzucał kartki. Nic nie przypadło mu do gustu. Za dużo religii. Prędzej znajdzie coś ciekawego na Pont Neuf. Wzdłuż balustrad mostu ustawiali się wszelkiego rodzaju szarlatani i oszuści – sprzedawcy drewnianych zębów, szklanych oczu i hiszpańskiej muchy na opadające fiuty, szulerzy i drobni złodzieje sprzedający swoją zdobycz, żonglerzy i akrobaci. Poczł, jak złodziejka dotyka jego płaszcza, i odtrącił jej rękę kijem.

Pośrodku mostu rozłożył towary sprzedawca, który specjalizował się w najnowszych angielskich publikacjach. Na to Anglik mógł się skusić. Za pięćdziesiąt soli kupił egzemplarz „London Intelligencer” sprzed dwóch tygodni,

opatrzone przez cenzora notą: *Wolny od nieodpowiednich treści*. Przeszedł przez Pont Neuf do Île Notre-Dame, ale gęstniejący tłum zaczynał go już nudzić – Anglik często się nudził – więc okrążywszy szybko Sainte-Chapelle, wrócił do domu.



Właściwie Nayler nudził się niemal codziennie, odkąd cztery i pół roku wcześniej Hyde zmarł na wygnaniu.

Lord kanclerz upadł dokładnie tak, jak się tego obawiał – runął niczym wielki stary dąb, powalony starością, gnijącymi kończynami, ciężkimi burzami i dobrze wymierzonymi ciosami nieprzyjaciół. Najpierw wielki pożar Londynu obnażył jego słabość. Wkrótce potem Holendrzy spalili angielską flotę przy ujściu Tamizy, co uznano za ogólnonarodowe upokorzenie, i niesłusznie zrzucano odpowiedzialność właśnie na Hyde'a. Na ścianach jego ogromnego domu pojawiły się wrogie napisy, sugerujące, że jest skorumpowany. Z powodu starości i podagry nie tylko nie mógł się swobodnie poruszać, ale też traktowano go na dworze z odrazą. Mimo to mógłby się utrzymać, chroniony przez króla, gdyby nie jego nieskrywane obrzydzenie obyczajami monarchy, który witał kobiety, chwytając je jedną ręką za piersi, a drugą za krocze. W końcu doszło do ostatniej – bardzo nieprzyjemnej – rozmowy między lordem kanclerzem a Jego Królewską Mością, podsłuchiwanej przez ludzi zgromadzonych w ogrodzie na zewnątrz, wśród których znalazła się lady Castlemaine. Król nie krył, że w Anglii czeka Hyde'a proces wytoczony przez parlament, uwięzienie w Tower i egzekucja przez ścięcie głowy, i twierdził, że nie jest go w stanie ocalić. Hyde mógł uratować głowę, tylko udając się na wygnanie. Kiedy wnoszono kanclerza z komnaty, z Naylerem u boku, kochanka króla roześmiała się, wskazała na niego palcem i zawołała:

– On nie może rządzić! Nie może nawet chodzić!

– Och, madame, to pani? – powiedział Hyde. – Proszę pamiętać, że jeśli będzie pani żyć, pani także się zestarzeje.

Przygotowano powóz, który miał go zabrać do Erith, gdzie czekał już statek. Kiedy Nayler wyszedł z Clarendon House, by pożegnać byłego już lorda kanclerza,

ten wydawał się tak osamotniony i smutny, że wiedziony impulsem sekretarz w ostatniej chwili wskoczył na miejsce naprzeciwko. Hyde spojrział na niego, skinął głową i odwrócił wzrok, jakby się tego spodziewał.

– Jestem wdzięczny, panie Nayler, ale ostrzegam: nie mogę panu płacić.

Popłynęli do Francji i osiedli w Montpellier, potem przenieśli się do Moulin i w końcu do Rouen. Hyde stawał w kłopotliwej sytuacji Francuzów, którzy nie chcieli go u siebie. Pewnego razu omal nie zginął z rąk tłumu angielskich marynarzy domagających się wypłaty zaległych zarobków. Otrząsnąwszy się z szoku, jakim była utrata władzy, zajął się, podobnie jak wielu innych polityków w jego sytuacji, pisaniem wspomnień. Nayler przepisywał je i porządkował – była to naprawdę błyskotliwa proza pełna wnikliwych spostrzeżeń i obserwacji. Kiedy Hyde skończył, w wieku sześćdziesięciu czterech lat stracił chęć do życia. Zdaniem lekarza zjadł się na śmierć. Król, który odmawiał konsekwentnie jego prośbom i nie pozwolił mu wrócić do Anglii, by mógł umrzeć w domu, łaskawie zgodził się, by przewieziono jego ciało i pochowano je w opactwie Westminster. Nayler miał towarzyszyć trumnie z ogromnymi zwłokami w podróży do Londynu, ale znów w ostatniej chwili poddał się impulsowi. Tym razem wysiadł z powozu.

Co jeszcze mógłby robić w Anglii? Nic. Ten kraj napełniał go odrazą.

Regularnie korespondował z Nokesem, który został sekretarzem jednego z członków Tajnej Rady Królewskiej. Nokes opisał mu pokrótce pogrzeb, który odbył się w styczniu.

O szóstej wieczorem zebraliśmy się na Old Palace Yard, obok małego ceglanego domku przy Izbie Lordów, i przeniesiono stamtąd trumnę do bramy opactwa. Tam czekali już na nas dziekan i kanonicy i ciało lorda Clarendonu złożono w grobie w obecności zaledwie kilku starych przyjaciół.

Nayler uporządkował dokumenty Hyde'a, rozesłał je do jego spadkobierców, po czym przeniósł się z Rouen do Paryża i wynajął zaniedbany drewniany dom przy rue Saint-Denis – na nic więcej nie było go stać. Miał kochankę, grał

z powodzeniem w karty na pieniądze, pił za dużo koniaku, rozsmakował się w opium i generalnie coraz bardziej się pogrążał, uznawszy swoje życie za pozbawione celu i sensu – aż do tego lipcowego popołudnia.



Catherine Louvois była nieślubną córką nieślubnego potomka jakiejś arystokratycznej rodziny znad Loary. Przez większość życia musiała polegać na hojności kolejnych mężczyzn, których pozycja obniżała się na przestrzeni lat, w miarę jak blakła jej uroda. Teraz, w wieku czterdziestu lat, mieszkała z Naylerem w dzielnicy Montorgueil i Bóg jeden wiedział, co zrobi w przyszłości. Nie zastał jej, gdy wrócił do domu. Ostatnio często wychodziła. Był pewien, że go zdradza. Nie przeszkadzało mu to. Sam by ją zdradzał, gdyby mu się chciało.

Nalał sobie kieliszek koniaku i usiadł w fotelu z „London Intelligencer” w ręce. Nie znalazł zbyt wielu interesujących wiadomości. Żałował, że wydał na tę gazetę całe pięćdziesiąt soli. Właściwie miał ją już wyrzucić, gdy jego wzrok przykuł mały nagłówek.

Anioł z Hadley

Z prowincji Jego Królewskiej Mości w Nowej Anglii dochodzą nas wieści o niezwykłym wydarzeniu, które miało miejsce podczas niedawnych zmagañ z Indianami, nazywanych wojną króla Filipa. We wrześniu 1675 roku odległa osada Hadley nad rzeką Connecticut została zaskoczona w czasie niedzielnego nabożeństwa przez tubylców zwanych Norwottuckami. W mieście zapanowało ogromne zamieszanie i wydawało się, że wszystko już stracone, gdy nagle pojawił się tam niemłody już poważny mężczyzna. Zarówno twarzą, jak i odzieniem odróżniał się od mieszkańców osady. Nie tylko zachęcił ich do obrony, ale też stanął na ich czele, zebrał w jednym miejscu, poinstruował i poprowadził do ataku na wroga. Jak się okazało, poganie ponieśli ciężkie straty, a chrześcijanie żadnych. Tymczasem nieznamy mężczyzna, który tak nagle pojawił się, by uratować Hadley, równie nagle zniknął i nigdy nie powrócił.

Skonsternowani mieszkańcy osady nie byli w stanie wytłumaczyć tego wyjątkowego zjawiska inaczej niż jako świadectwo opatrności Bożej i uznali tego obcego człowieka za Anioła, którego zesłano z nieba, by ocalił ich przed dzikusami.

Nayler odstawił koniak na podłogę i przeczytał artykuł po raz drugi, a potem po raz trzeci.

Zdołał już zapomnieć o królobójcach. Nic nie mógł zrobić w tej kwestii. Po co się zadręczać? Teraz jednak powrócili do jego umysłu. Whalley miałyby osiemdziesiątkę; można go było śmiało uznać za zmarłego. Ale Goffe? Jeśli pamięć go nie myliła, zięć Whalleya urodził się w tym samym roku co on.

Nayler przeczytał tekst po raz czwarty.

– Mój Boże – mruknął. – Naprawdę myślę, że to on.

Próbował wytłumaczyć sobie, że to absurdalne przypuszczenie. W Nowej Anglii w 1675 roku musiały mieszkać dziesiątki starych żołnierzy, którzy w chwili kryzysu mogli włożyć stare mundury i ruszyć do walki. Z pewnością znalazłoby się też mnóstwo powodów, dla których mogli *zniknąć i nigdy nie powrócić*.

Poza tym zdarzyło się to prawie cztery lata temu. Ten *niemłody już poważny mężczyzna* mógł dawno temu umrzeć. A nawet zakładając, że nadal żył i że był to Goffe, z pewnością nie pozostałby w Hadley, osadzie tak małej, że Nayler nigdy o niej nie słyszał. Jeśli wyszedł z ukrycia, to na pewno potem od razu gdzieś się przeniósł. Teraz mógł być gdziekolwiek. Jak ileś lat temu.

Nayler siedział nieruchomo w fotelu i nadal rozmyślał, gdy dzień dobiegł końca i na ulicy przed domem zapalono lampę.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi.

Catherine weszła do środka i zawołała:

– *Es-tu là, mon amour?!* – Jej głos był łagodny i czuły, co zwykle oznaczało, że była w łóżku z kimś innym.

– *Oui, ma chérie, je suis là* – odparł ze znużeniem.

Właściwie dlaczego w ogóle się wahał? Kiedy Hyde udał się na wygnanie, nic nie trzymało go już w Anglii. Teraz nic nie trzymało go we Francji.

Trop był świeży. Polowanie rozpoczęło się na nowo.



Następnego dnia rano powiedział Catherine, że pilne interesy wzywają go do Londynu. Zapewnił ją, że wróci najpóźniej za kilka miesięcy. Dał jej wszystkie pieniądze, które mógł na to poświęcić, i powiedział, że gdyby zabrakło jej środków do życia, może sprzedać trochę jego rzeczy, zaczynając od książek. Oboje podejrzewali, że nie wróci, i pożegnanie było czulsze i bardziej poruszające, niż którekolwiek z nich przypuszczało; tulili się długo do siebie niczym para rozbitków, nim w końcu się rozstali. W połowie sierpnia Nayler był już w Londynie.

Wynajął pokój nad tawerną przy Milford Lane, wciąż równie obskurny jak dawniej, ale przynajmniej dobrze mu znany. Z okna widział swoje stare komnaty w Essex House. Postawił miniaturowy portret Sary na stoliku nocnym, a potem leżał na łóżku i przeglądał dokumenty dotyczące Goffe'a, które zabierał we wszystkie swoje podróże: wiadomość, którą pułkownik wysłał do żony przed wyjazdem w 1660 roku, list żony do niego, który Nokes przejął w 1662 roku, portret Goffe'a jako młodzieńca, listę, na której zaznaczono jego obecność jako sędziego podczas procesu króla – uczestniczył we wszystkich posiedzeniach – artykuł z „London Intelligencer” i notatki, które sam zgromadził na przestrzeni lat. Gdy miał już w głowie gotowy plan, zabrał papiery i poszedł spotkać się z Nokesem.

Czuł się dość dziwnie, idąc swoją starą trasą – StranDEM do pałacu Whitehall – a jeszcze dziwniej, gdy musiał się zatrzymać przed drzwiami i przekazać wiadomość, że chciałby zamienić kilka słów.

Nokes zszedł z góry i przeszedł obok niego. Nayler musiał go zawołać.

– Panie Nokes, jestem tutaj!

Jego były podwładny odwrócił się i spojrzał na niego.

– Panie Nayler, to pan? – Nie mógł ukryć zdumienia. – Nie rozpoznałem pana.

– Och, naprawdę jest aż tak źle? Jestem starszy, tęższy i zdecydowanie bardziej łyśy, ale, niestety, ani bogatszy, ani mądrzejszy. Mogę zabrać panu trochę czasu?

– Oczywiście. Dla pana zawsze będę miał czas.

Nokes poprowadził Naylera na górę, a potem korytarzem do starego gabinetu gościa. Przez kilka minut gawędzili uprzejmie. Nayler wypytywał o żonę i dzieci, które w najmniejszym stopniu go nie interesowały, i opowiedział kilka historii o życiu Hyde'a na wygnaniu. Nokes spytał, jak długo zamierza zostać w Londynie.

– Właściwie zależy to od pana.

– Ode mnie? – Nokes uśmiechnął się nerwowo. – Jak to?

– Wydaje mi się, że namierzyłem naszego starego przyjaciela, pułkownika Goffe'a.

Usłyszawszy to nazwisko, Nokes chyba jeszcze bardziej się zaniepokoił, a gdy Nayler położył przed nim egzemplarz „London Intelligencer” otwarty na właściwej stronie, uśmiech całkiem zniknął z twarzy jego byłego podwładnego.

– Co to jest? – rzucił Nokes.

– Proszę się z tym zapoznać i powiedzieć mi, czy mylę się, podejrzewając, że nasz zbieg w końcu się ujawnił.

Nayler rozsiadł się wygodnie i obserwował z satysfakcją, jak Nokes pochyla głowę nad gazetą, kończy czytać, podnosi wzrok i wzrusza lekko ramionami.

– Przypuszczam, że to możliwe – odezwał się w końcu Nokes.

– Możliwe? Ja powiedziałbym, że raczej pewne. Jestem zdumiony, że nie zainteresował się tym nikt z rządu.

Nokes skrzywił się lekko, jakby bolał go ząb.

– Prawdę mówiąc, panie Nayler, nie prowadzimy już poszukiwań królobójców. Prawie wszystkich uznano za zmarłych.

– Ten jednak żyje.

– Być może. Ale nawet jeśli tak jest, to wątpię, by rada zgodziła się na następną wyprawę.

– Nie proponuję wcale, by angażować w to radę. Gotów jestem sam podjąć się tego zadania.

– Nie wiem, czy to rozsądne.

– To nie jest kwestia rozsądku, tylko honoru. Przed wielu laty złożyłem przysięgę komuś, kto był mi bardzo drogi, i zamierzam jej dotrzymać. Od pana chciałbym tylko dwóch rzeczy, nazwijmy je osobistymi przysługami.

– Jakich?

– Po pierwsze, chciałbym poznać adres pani Frances Goffe.

– Od lat jej nie śledzimy.

– Zakładam jednak, że nadal macie sieć informatorów wśród purytanów.

Nokes skinął głową.

– Być może uda nam się ją znaleźć – bąknął. – A ta druga rzecz?

– Usługi pańskiego najlepszego fałszerza.



Układał list długimi godzinami, siedząc przy stole w pokoju przy Milford Lane. Na blacie leżała wiadomość Goffe'a do żony, a portret Sary stał oparty o lichtarz. Nayler zastanawiał się, co by jej powiedział, gdyby wciąż żyła, jaką niezmierną tęsknotę próbowałyby wyrazić, lecz każda wersja brzmiała gorzej od poprzedniej. *Serce moje najdroższe* wydawało się bezpiecznym początkiem – tak Goffe zwracał się w liście do Frances. Lecz wszystko, co pisał potem – *Pragnę znów usłyszeć Twój głos... Śnię o Twojej słodkiej twarzy... Marzę o Twoich delikatnych pieszczotach każdego dnia i każdej godziny, odkąd rozłączył nas los...* – trąciło fałszem, jeśli miało wyjść spod pióra surowego fanatyka. Nayler doszedł do wniosku, że miłość purytanów nie ma sensu.

Jednego mógł być jednak pewien: że Goffe wspomni o Bogu. Poszedł więc do kaplicy w Exeter House i przez całe popołudnie przerzucał strony Biblii, szukając

odpowiedniego cytatu. Był boleśnie świadomy, że siedzi zaledwie kilka stóp od miejsca, w którym ostatnio widział Sarę, i że równie niedaleko stali Whalley i Goffe, którzy uzbrojeni w swą arogancką władzę i bigoterię, użyli wojska, by zabronić im świętować Boże Narodzenie. Boże Narodzenie! Jakby to było święto diabła! I zabili najwspanialszą kobietę, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi! Nienawiść paliła go równie mocno jak w dniu, w którym to się wydarzyło, ponad dwadzieścia lat temu.

Zamknął Biblię. To było beznadziejne. No dobrze, Boże, jeśli istniejesz, pokaż mi, co napisać, pomyślał. Otworzył ją na chybił trafił i znalazł.



Fałszerz, który przyszedł do jego pokoju, wyglądał jak urzędnik albo uczonek; miał długie białe palce poplamione atramentem i przedstawił się jako Carby. Zdjął płaszcz, podwinął rękawy, usiadł przy stole i przyjrzał się listowi napisanemu przez Goffe'a, po czym poprosił o dodatkowe świece.

– Interesujący charakter pisma – zauważył. Spróbował skopiować kilka wyrazów. – Inteligentny człowiek, ale raczej niezbyt dobrze wykształcony i próbuje ukryć ten brak nadmierną kwiecistością. Co chce pan do niego napisać? Im krócej, tym lepiej.

– Wiadomość jest krótka. – Nayler podał fałszerzowi swój list. Już wcześniej doszedł do wniosku, że zwięzłość jest kluczem do sukcesu.

Carby oszczędził sobie komentarzy. Pracował szybko i w ciągu dwóch godzin przygotował dwie wersje. Ułożył je obok siebie w blasku świec i przejrzał uważnie.

– Ta będzie chyba lepsza – ocenił. – Pismo jest bardziej naturalne.

– Jak pan uważa.

– Kto ma być adresatem?

– Pani Frances Goffe. – Nayler przeliterował imię i nazwisko. – No dobrze, panie Carby, ile jestem panu winien?

– Nic. Pan Nokes już zapłacił.

Kilka dni później, gdy leżał na łóżku i przeglądał niedawno zakupiony używany egzemplarz Biblii, przybył do niego posłaniec z Tajnej Rady odziany w liberię. Wydawał się przerażony, że trafił w takie miejsce. Nayler złamał pieczęć i przeczytał wiadomość: *Osoba, której Pan szuka, mieszka przy Spital Yard 2, przy Bishopsgate.* To było wszystko.

– Dziękuję – zwrócił się Nayler do posłańca. – Nie będę słał odpowiedzi.



Natychmiast ruszył w drogę wzdłuż Tamizy do Mostu Londyńskiego, a potem skręcił na północ, do City. To właśnie tu wybuchł wielki pożar, w jakiejś nędznej piekarni. W popołudniowym słońcu lśniły rozległe połacie ziemi porośniętej chwastami. Mimo to Nayler był zadziwiony, że zdołano już odbudować tak wiele spalonych do cna budynków. Szedł dalej, obok Finsbury Fields – gdzie aresztował pułkownika Jonesa, spacerującego spokojnie, jakby niczego się nie obawiał – obok placów budowy i rusztowań i w końcu dotarł do Bishopsgate. Spital Yard była wąską brukowaną uliczką, wzdłuż której ciągnęły się szeregowe domy, wzniesione niedaleko miejskiego muru. Na ulicy bawiły się dzieci. Obok przeszli dwaj mężczyźni w purytańskiej czerni, spoglądając na niego podejrzliwie. To z pewnością w tej okolicy kryło się gniazdo żmij. Nayler przeszedł szybko uliczką. Dom numer dwa stał na samym końcu, ciasny, popękany, wciąż osmolony, jakby opuszczony. Skręcił za róg i gwizdnął, by przyciągnąć uwagę jednego z chłopców.

– Masz tu sześciopensówkę. Będzie twoja, jeśli oddasz ten list kobiecie, która mieszka w tym domu. Do rąk własnych, pamiętaj. Jeśli jej nie będzie, przynieś list z powrotem, a jeżeli spyta, kto go przysłał, powiedz, że dał ci go pewien dżentelmen.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko, uszczęśliwiony, i wziął list. Kiedy się odwracał, Nayler złapał go za ramię.

– I żadnych sztuczek. – Zacisnął dłoń tak mocno, że dzieciak skrzywił się z bólu. – Będę cię obserwował – dorzucił i cofnął rękę.

Chłopiec przebiegł przez ulicę i zapukał do drzwi. Przez chwilę nic się nie działo i Nayler zaczął się obawiać najgorszego. Ten dom naprawdę wyglądał na opuszczony; może informacje Nokesa były nieaktualne? Po chwili jednak drzwi uchyliły się nieco i w szczelinie pojawiła się twarz kobiety. Nie był w stanie określić z takiej odległości, czy to Frances Goffe – minęło osiemnaście lat, odkąd ją widział. Rozmawiała z chłopcem. Otworzyła szerzej drzwi i rozejrzała się po ulicy. Nayler schował się szybko za rogiem, a kiedy odważył się wyjrzeć, drzwi były już zamknięte. Oparł się o ścianę i czekał.



Minęło już dużo czasu, odkąd Frances miała jakieś wiadomości od Willa. Wyglądało na to, że stało się coś, przez co ich przyjaciele z Bostonu bali się przekazywać listy. Wuj William już nie żył, a wraz z nim przepadł ostatni kontakt z Ameryką. Poza tym była zmuszona wyprowadzić się z ich starego domu i nie miała komu przekazać nowego adresu.

Od razu rozpoznała pismo męża.

Poszła z listem do maleńkiego salonu i musiała usiąść, by uspokoić nerwy, nim zdecydowała się złamać pieczęć.

Serce moje najdroższe, po tylu latach można wypowiedzieć w końcu te słowa, na które tak długo czekałem, jak w 18. i 19. wersie 25. rozdziału Księgi Kapłańskiej. Jeśli masz siły i chęć, by się tego podjąć, o co gorąco się modlę, błagam, byś zaniosiła tę wiadomość do pana Daniela Gookina w Cambridge w kolonii Massachusetts. On udzieli Ci wszelkiej pomocy.

Na tym wiadomość się kończyła. Frances musiała przeczytać ją kilka razy, by w końcu pojąć jej znaczenie. Will prosił, by dołączyła do niego w Ameryce! Sięgnęła po Biblię i odszukała Księgę Kapłańską i wskazane przez męża wersy.

...abyście mieszkali w kraju bezpiecznie: ziemia da wam plon, będziecie jedli do sytości, będziecie mieszkali na niej bezpiecznie.

Płakała. Śmiała się. Osunęła się na kolana i zaczęła się modlić. Straciła już wszelką nadzieję, lecz Pan był dobry, Pan był pełen miłosierdzia. Kazał jej czekać, aż nadejdzie odpowiedni moment – aż wuj William umrze, Frankie wyjdzie za mąż, Richard pójdzie na termin i zamieszka u mistrza, a dziewczynki znajdą schronienie u owdowiałej ciotki Jane na wsi – przeprowadził ją bezpiecznie przez zarazę i pożar. I teraz nie zostało już nic, co mogłoby ją powstrzymać przed dołączeniem do męża. Alleluja! Alleluja! Bogu niech będą dzięki! Chwała Bogu Najwyższemu!



Nayler obserwował, jak Frances wychodzi z domu i idzie uliczką. Oddalała się od niego tak szybko, że z trudem dotrzymywał jej kroku. Zauważył, że nie ogląda się za siebie ani nie kluczy po bocznych ulicach. Podekscytowana, zapomniała o starych nawykach i środkach ostrożności. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście, gdy przeszedł za nią przez całe City do Tamizy, a potem wzdłuż zatłoczonego nabrzeża. Przystanęła, by spytać o drogę, i ruszyła dalej. Gdy dotarła do biur towarzystwa żeglugowego, pomyślała wreszcie o tym, by obejrzeć się przez ramię, a potem weszła do środka.

Przystanął w odległości około dwudziestu jardów od wejścia i udawał, że obserwuje rozładunek statków z węglem z Newcastle. Poczynania tej kobiety świadczyły o tym, że jej mąż żyje. Niecałe pół godziny później wyszła z budynku i zatrzymała się przy drzwiach. Przyglądał się ukradkiem, jak poprawia czepek. Zerknęła w jego stronę, ale raczej go nie zauważyła. Uśmiechała się w słońcu, chyba nieświadoma niczego prócz szczęścia. Był zresztą pewien, że nawet gdyby go zobaczyła, nie rozpoznałaby go, nie po jednym spotkaniu tak dawno temu. Zwłaszcza że jego wygląd zmienił się tak bardzo, że były sekretarz minął go jak obcego człowieka.

Ruszyła wzdłuż nabrzeża w drogę powrotną do domu. Próbował wyobrazić sobie jej szczupłą figurę ukrytą pod starą suknią, gdy przeciskała się przez tłumy. To dziwne, że tak często o niej myślał.

Wszedł do ciasnego kantoru towarzystwa żeglugowego i dzięki łapówce w wysokości dziesięciu szylingów mógł przejrzeć listę pasażerów, na której zapisała się jako Frances Stephenson. Za następne pięć funtów kupił ostatnie miejsce na tym samym statku, *Blessing*, wypływającym z Gravesend do Bostonu za trzy dni, w czwartek dwudziestego pierwszego sierpnia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Ledwie zdążyła się ze wszystkimi pożegnać; musiała iść pieszo do Frankie i dwójki jej dzieci – chłopca i dziewczynki – mieszkających w Clerkenwell; do Dickiego, który terminował u sklepikarza w Shoreditch i mieszkał z mistrzem; do Nan i Judith opiekujących się ciotką Jane niedaleko błoni w Clapham. Zobowiązała każde z nich do zachowania tajemnicy, pokazała im wiadomość od ich ojca i oznajmiła, że odpływa jeszcze przed końcem tygodnia. Gdy protestowały przerażone, tłumaczyła, że kolejny statek do Bostonu wyrusza dopiero za miesiąc i jeśli nie wsiądzie na pokład *Blessing*, będzie ryzykowała podróż na początku okresu zimowych sztormów, a poza tym czekała na spotkanie z mężem tak długo, że nie chciała przedłużać ich rozłąki choćby o jeden dzień.

To Frankie, zawsze rozsądna i ostrożna, najmocniej starała się odwieść ją od tego zamiaru.

– Mamo, to szaleństwo, by kobieta w twoim wieku podróżowała samotnie na drugi koniec świata.

– Może i mam czterdzieści pięć lat, ale jestem silna jak mężczyzna. Musiałam taka być, żeby wychować was bez ojca.

– Ale nigdy cię już nie zobaczymy!

Frances klasnęła w dłonie.

– Frankie, kochanie, jeśli, jak twierdzi wasz ojciec, nie ma już żadnego zagrożenia, dołączycie do nas wszyscy. Ameryka to dla ludzi naszej wiary lepsze miejsce niż Anglia. *Ziemia da wam plon, będziecie jedli do sytości, będziecie mieszkali na niej bezpiecznie.* – Nauczyła się tych słów na pamięć. Nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że po tylu latach oczekiwania mogłaby odrzucić wezwanie Willa. – To nasza Ziemia Obiecana.

Spierały się przez godzinę, aż w końcu Frankie dała za wygraną. Wiedziała, jak uparta potrafi być matka.

– Więc płyn z naszym błogosławieństwem. Widzę, że podjęłaś już decyzję i że cokolwiek byśmy powiedzieli, nic jej nie zmieni.

Frances przygarnęła wnuczęta i ucałowała je, z trudem powstrzymując się od płaczu – chciała, by jej wspomnienie, być może ostatnie, było radosne – potem uściskała córkę i wyszła szybko z domu, by całkiem się nie rozkleić.

Była pewna, że Bóg ponownie połączy ją z dziećmi, albo na ziemi, albo w niebie.

W środę rano pakowała się. Wzięła ciepłe ubrania na zimy Nowej Anglii, miskę, kubek i sztućce, ciastka i ser oraz Biblię. Nie zajęło jej to zbyt wiele czasu, bo jej ziemski dobytek był bardzo skromny. Dzieci mogły zabrać wszystko, co po sobie zostawiła. Nie powiedziała żadnemu z członków jej wspólnoty religijnej o swoich planach. Po południu zeszła na pomost przy Moście Londyńskim i zapłaciła przewoźnikowi, by zawiózł ją do Gravesend. O zmierzchu była już na pokładzie *Blessing*, w zatłoczonej wspólnej kajucie pod pokładem, który trzeszczał pod naporem wód przyływu.



Nayler spędził noc przed wypłynięciem do Bostonu w gospodzie niedaleko nabrzeża. Wiedział z doświadczenia, jak będzie wyglądała ta podróż, chciał więc spędzić jak najmniej czasu na pokładzie. Zabrał ze sobą dwa pistolety, kule i proch, zawinięte w koszulę. W kieszeni miał ostry jak brzytwa nóż, zabezpieczony skórzaną pochwą. O brzasku zszedł do portu.

Miał na sobie ciemne ubrania. Zrezygnował z peruki i nosił kapelusz o płaskim rondzie, typowy dla purytanów. W jednej ręce niósł skórzane torby podróżne, a w drugiej sfatygowaną używaną Biblię. Pokazał bilet głównemu stewardowi – na liście pasażerów widniał jako Richard Foster – oddał większą z toreb do ładowni i został skierowany do miejsca, gdzie miał spędzić rejs. Tym razem nie była to

kajuta wyłącznie dla niego. Trafił do pomieszczenia pod pokładem, gdzie tłoczyło się około stu osób. Sufit był na wysokości zaledwie pięciu stóp. Musiał się garbić i przepychać przez gęstą ciżbę, między ludźmi starymi i młodymi, mężczyznami i kobietami – niektóre były w zaawansowanej ciąży – dziećmi w różnym wieku, matkami i niemowlętami, a nawet psami, aż znalazł wolny hamak. Z ładowni poniżej dochodziły pochrząkiwania, meczenie i gdakanie żywego inwentarza – świń, kóz i kur. Położył Biblię, kapelusz i mniejszą torbę na hamaku, by go zająć, a potem rozglądał się, wypatrując Frances. Obiecał sobie, że jeśli jej nie zobaczy – bo w ostatniej chwili nabrała podejrzeń lub dała się odwieść od podróży – to zejdzie z pokładu. Szczerze mówiąc, tak bardzo obawiał się czekającej go podróży, że w głębi duszy ucieszyłby się, gdyby się okazało, że zmieniła zdanie.

Przeszedł przez całą długość kajuty – w sumie około osiemdziesięciu stóp – zgięty wpół w nikłym świetle, przeciskając się między hamakami, przywieszonymi wyżej po jednej stronie, a niżej po drugiej, potykając się o dzieci, psy i bagaże. Dopiero gdy niemal wrócił do miejsca, z którego wyszedł, zobaczył jej twarz, zwróconą w jego stronę. Leżała na hamaku, na tyle blisko, że mógł ją dojrzeć. Wydawała się blada i wystraszona. Natychmiast odwrócił wzrok. Po tylu poszukiwaniach przekonał się, że ich miejsca dzieli nie więcej niż dziesięć stóp.

Dotarł do drabiny, wyszedł na główny pokład i został tam. Oparty o nadburcie, słuchał krzyku mew, obserwował ostatnich pasażerów i ostatnie ładunki przenoszone na statek. Przyglądał się, jak marynarze podnoszą trapy oraz kotwice na dziobie i rufie, a potem jak *Blessing* oddala się powoli od nabrzeża. Dopiero wtedy nabrał pewności, że Frances nie uciekła.



Jedynym luksusem, jakiego mu nie brakowało – jeśli takiego słowa można było w ogóle użyć w odniesieniu do podróży przez Atlantyk – był czas. Czekwały go długie tygodnie życia w zamknięciu. Nie musiał wykonywać jakichś pochopnych ruchów, które mogły wzbudzić podejrzenia Frances. Mógł powoli i cierpliwie osaczać ofiarę.

Przez pierwsze trzy dni trzymał się z dala od pozostałych; większość czasu spędzał w hamaku i ostentacyjnie czytał Biblię przy świecy. Czwartego dnia, gdy nie widzieli już lądu, dołączył do purytanów zgromadzonych na podwyższonym pokładzie w pobliżu rufy i odmawiających niedzielne modlitwy. Stanowili mniej więcej połowę pasażerów. Wspólnota z Essex emigrowała ze swoim przywódcą, pastorem Humilitym Fullerem, który chciał nauczać wszystkich purytanów na *Blessing*. Wygłosił dwugodzinne kazanie o grzechu i pokusie, przekrzykując szum wiatru. Nayler, który stał z tyłu, obok drabiny prowadzącej na główny pokład, starał się udawać zainteresowanie. Długie modlitwy były przynajmniej dość łatwe – z ulgą pochylił więc głowę i zamknął oczy – nie potrafił jednak włączyć się we wspólne śpiewanie psalmów. Poruszał ustami, naśladując pozostałych. Na koniec spotkania wypowiedział głośne i szczere „Amen”, po czym odsunął się na bok, by przepuścić pozostałych wiernych. Gdy przechodziła obok niego Frances, odezwał się cicho:

– Niech Bóg będzie z tobą.

Odwróciła się i spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– I z tobą, przyjacielu.

Podczas spotkania modlitewnego w środku tygodnia wypróbował inną strategię. Znowu stanął z tyłu, ale tym razem, gdy modlitwy się skończyły, szybko zszedł na główny pokład i stanął przy drabinie, by pomagać kobietom pokonującym ostatnie szczeble. Niektóre nie chciały dotykać obcego mężczyzny, ale Frances na moment ujęła jego dłoń.

– Dziękuję – powiedziała.

Poczuł, jak przez jego palce przebiega dreszcz, nim zabrała rękę.

– Niech Bóg panią błogosławi, siostró. – Dotknął kapelusza. – Richard Foster.

Skinęła lekko głową i odeszła bez słowa.

Wyglądało na to, że zalecanie się do uczciwej purytańskiej kobiety nie jest łatwym zadaniem. Mimo to nie ustawał w staraniach – wytrwałości, Foster! – gdy spotykał ją na pokładzie, kiedy wychodzili zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wygłaszał uwagi o pogodzie czy stanie morza, które ciągnęło się ze wszystkich stron po horyzont, czasami szare, czasami oleiście czarne i upstrzone białymi grzywami fal. Nie widzieli ani razu żagli innego statku, co choć na moment przerwałoby tę monotonię.

– *A Duch Boży unosił się nad wodami*³⁷ – zacytował Księgę Rodzaju.

– W rzeczy samej, panie Foster. To niezwykle widok.

Te starannie aranżowane, choć na pozór przypadkowe, spotkania stanowiły główny cel każdego dnia podróży Naylera. Wszystko pozostałe było nudne, nędzne, odrażające.

Im dłużej płynęli, tym jedzenie robiło się gorsze. Oszukiwał głód, pogryzając suchary, które podawano im co rano, choć najpierw wydłubywał z nich robaki i pająki. Czasami brał swoją rację zielonkawego tłustego mięsa do paleniska ustawionego na piasku i próbował je upiec. Pił dużo piwa; robili to także purytanie, a nawet ich dzieci, bo woda na *Blessing* była brązowa i podobnie jak suchary pełna małych wijących się stworzeń. Wypróżniał się do wspólnych wiader i zdrapywał ze skóry wszy, gdy przeszły na niego od innych pasażerów. Poza tym, gdy pogoda sprzyjała, spędzał czas na pokładzie, a kiedy padał deszcz, co zdarzało się znacznie częściej, leżał w hamaku i przeglądał Biblię. Najgorsze w udawaniu purytanina było to, że nie mógł dołączyć do gry w karty, czym wielu innych pasażerów zabijało czas. W miarę jak czytał kolejne strony Biblii, rosła w nim niechęć do Boga. Co za okropny potwór, który gromił, karał, wystawiał na próbę, wysłał syna na śmierć i ignorował jego błagania o pomoc!

Gdy tylko mógł, obserwował ukradkiem Frances. Zauważył, że na swój dyskretny, cichy sposób potrafi być bardzo towarzyska; śmiała się z innymi kobietami, pomagała w opiece nad dziećmi, pielęgnowała niemowlęta – pod tym względem również przypominała mu Sarę. To spostrzeżenie podsunęło mu pewien pomysł. Zaczął szukać na pokładzie niepotrzebnych kawałków drewna, rzeźbił z nich nożem różne figurki i oddawał jej jako zabawki dla dzieci.

Stopniowo wymieniali coraz więcej zdań i w końcu zaczęło to przypominać normalne rozmowy. Pewnego dnia, gdy opierali się o nadburcie i wpatrywali w złowieszcze czarne chmury zbierające się na horyzoncie, postanowił zaryzykować.

– Dokąd pani zmierza, jeśli wolno spytać?

To był błąd. Po raz pierwszy spojrzała na niego podejrzliwie.

– Nie mam jeszcze sprecyzowanych planów – odparła i wbiła wzrok w chmury. Zaczął się obawiać, że właśnie przekreślił całą dotychczasową pracę.

Po chwili jednak Frances, jakby chciała złagodzić swój szorstki ton, powiedziała:

– A pan, jeśli wolno spytać?

– Do małej osady o nazwie Hadley w Connecticut. Z pewnością nigdy pani o niej nie słyszała.

Obserwował uważnie jej reakcję. Pokręciła głową.

– Nie, w ogóle nie znam Nowej Anglii – odrzekła spokojnym tonem.

Jeśli nie była wytrawną kłamczynią – a z pewnością nie była – mówiła prawdę. Jego pierwsze pytanie najwyraźniej jednak wzbudziło jej niepokój.

– Niech Bóg będzie z panem, panie Foster – powiedziała i odeszła.

– I z panią! – zawołał za nią.

Wciąż nie podała mu swojego nazwiska. Tego wieczoru, gdy załoga zamknęła luki, zaalarmowana pogarszającą się pogodą, zobaczył, że Frances rozmawia ze starszym mężczyzną, na którego wcześniej nie zwrócił uwagi. Kiedy spojrzeli w jego stronę i szybko odwrócili wzrok, zorientowawszy się, że na nich patrzy, domyślił się, że to właśnie on jest tematem ich rozmowy.



Tej samej nocy rozpoczął się sztorm. Wiatr ryczał i zawodził w takielunku. Każdy grzmot brzmiał tak, jakby złamał się właśnie maszt. Woda przewalała się po pokładzie nad ich głowami i spływała cienkimi strużkami przez szpary między

deskami, podświetlana czasem blaskiem błyskawic. Statek kołysał się tak gwałtownie, że Nayler omal nie wypadł z hamaka. Wiadra z nieczystościami przewróciły się na podłogę, a świece zgasły. W całkowitych ciemnościach rozbrzmiewała kakofonia krzyków i pisków paniki, błagania zanoszone do Boga, płacz niemowląt i starszych dzieci, gardłowe odgłosy wymiotowania. Zimne wilgotne powietrze wypełniło się kwaśnym zapachem rzygowin. Nayler pochwycił się krawędzi hamaka, wychylił na bok i wyrzucił z siebie tę niewielką ilość jedzenia, która została w jego żołądku.

Sztorm trwał całą noc i rano wcale nie osłabł. Przez szpary między deskami sączyło się bladoszare światło, w którym mogli zobaczyć dzieło zniszczenia: porozrzucane bagaże, okrwawione głowy, zwisające bezwładnie kończyny. Statek kołysał się jak wahadło. Rzeczy pasażerów przelatywały od jednej burty do drugiej. Nie mogąc stać, zbyt wyczerpani, by krzyczeć, pasażerowie trzymali się kurczowo hamaków i prycz. Ciszę przerywał od czasu do czasu jęk czy szloch i zawodzenia mężczyzny, który powtarzał raz po raz, że jego żona nie żyje. Nayler leżał w hamaku, drżący i przemoczony; podciągał kolana pod brodę, dzięki czemu nieco mniej dokuczały mu bolesne skurcze brzucha. Ten rejs był o wiele straszniejszy niż jego pierwsza podróż przez Atlantyk. Przypuszczał, że lada moment kil pęknie z trzaskiem i wszyscy pójdą na dno. Czuł się tak fatalnie, że taka perspektywa niemal go cieszyła.

Przetrwał dzień, a potem noc, przewracając się i zwijając z bólu, dręczony dziwnymi snami, lecz gdy obudził się o świcie kolejnego dnia, zrozumiał, że wiatr i deszcz ustały i statek płynie równo. Pasażerowie w hamakach najbliższych kadłuba zaczęli otwierać bulaje, by wpuścić świeże powietrze.

Nayler postawił stopy na podłodze i spróbował wstać. Drewno było wilgotne i śliskie, pokryte mieszanką wody morskiej, wymiocin i ludzkich odchodów. Omal się nie przewrócił, w porę jednak zdołał pochwycić się hamaka. Podciągnął się do pionu. Ostrożnie stawiając kroki, przeszedł między śpiącymi pasażerami do drabiny, wspiął się do luku i próbował go otworzyć, lecz drewniana kłapa nie ustępowała łatwo. Gdy w końcu mu się udało, z góry poleciała na niego kaskada

wody i całkowicie go przemoczyła. W dole rozległy się głosy protestu. Ignorując je, wyszedł na pokład.

Odetchnął z ulgą, opuściwszy cuchnącą ciemność. Głęboko wdychał zimne powietrze o słonym zapachu. Ocean był gładki, a niebo zasnuwała perłowa szarość. Na szczęście ocalały wszystkie maszty. Nie licząc kilku marynarzy zbierających kawałki drewna, miał cały pokład dla siebie. Przeszedł na rufę i wyjrzał za nadburcie. Żagle były zwinięte i *Blessing* dryfował z morskim prądem. Pewnie zbczył wiele mil z kursu. Nayler usłyszał za sobą czyjeś kroki, a kiedy się odwrócił, zobaczył szczupłego starszego mężczyznę, z którym Frances rozmawiała przed sztormem.

– Bogu niech będą dzięki – powiedział mężczyzna, stając obok niego. – Myślałem, że już po nas.

Nayler spojrział na ocean. Nie miał ochoty na rozmowę. Czuł jednak, że powinien jakoś zareagować.

– Wyjątkowo fatalna pogoda – rzucił. – Jeszcze się z taką nie spotkałem.

– Więc płynął pan już przez Atlantyk? – spytał starszy mężczyzna, a że nie otrzymał odpowiedzi, dodał: – Ależ oczywiście, że musiał pan płynąć, skoro mieszka pan w Hadley.

Nayler zacisnął mocniej dłonie na krawędzi nadburcia. Wyczuwał kłopoty.

– Na pewno zna pan tamtejszego pastora – kontynuował mężczyzna. – Petera Tiltona, pastora.

– Oczywiście, że znam.

Mężczyzna wydał z siebie nieprzyjemny dla ucha okrzyk triumfu.

– Ależ skąd! Oczywiście, że go pan nie zna, panie Foster, czy jak tam się pan naprawdę nazywa. Inaczej wiedziałby pan, że to pan Russell jest pastorem, a pan Tilton zarządcą osady.

– Nigdy nie mówiłem, że mieszkam w Hadley – odparł Nayler. – To mój brat ma tam dom. Zamierzam do niego dołączyć.

– Kolejne kłamstwo! W Hadley nie ma nikogo o nazwisku Foster. Wiem, bo to moja osada!

Nayler obrócił się i przyjrzał uważniej rozmówcy. Jakie było prawdopodobieństwo, że zdarzy się coś podobnego? Co najmniej tysiąc do jednego. A jednak tuż przed nim stał ten chudy człowiek, gotów pokrzyżować mu plany, typowy wścibski purytanin o oczach płonących świętym oburzeniem i satysfakcją, jakby właśnie zdemaskował czarownicę. W Naylerze wezbrała z podwójną siłą tak długo tłumiona wściekłość.

– Przypuszczam, że przysłali pana do nas jako szpiega – kontynuował tymczasem mężczyzna. – Albo to, albo...

Nie zdążył wypowiedzieć kolejnych słów, bo Nayler przycisnął lewą dłoń do jego ust, popchnął go na nadburcie, sprawdził szybko, czy nikt nie patrzy, prawą ręką wyciągnął nóż i wbił go pod żebra chudego człowieka, kierując ostrze do serca, i z całej siły wpychał je dalej. Zszokowany mężczyzna otworzył szeroko oczy. Zdołał wydać z siebie jeszcze zdławiony jęk, nim Nayler złapał go pod kolana i przewrócił do tyłu. Ciało uderzyło w wodę z pluskiem tak głośnym, że marynarze odwrócili się w jego stronę.

– Człowiek za burtą! – krzyknął Nayler, wyciągając rękę.

Dyszał ciężko, bolały go plecy; był już za stary na tę grę. Wychylił się za nadburcie, by sprawdzić, czy starzec nie żyje, ale nie był tego w stanie określić. Gdyby wyłowili go żywego albo nawet martwego i odkryli ranę zadaną nożem, Nayler byłby skończony.

Marynarze zbiegali po drabinie z wyższego pokładu. Tymczasem z dołu wychodzili kolejni pasażerowie. Podbiegali do burty i patrzyli na ocean. Mężczyzna unosił się na wodzie, twarzą w dół, i oddalał od statku.

– Co się stało?

– Czy ktoś widział, jak on spadł?

Krzywiąc się z wysiłku, Nayler wspiął się na nadburcie, zebrał się na odwagę i wskoczył do wody. Szok pozbawił go na moment tchu. Wypłynął na

powierzchnię, potrząsnął głową, nabrał powietrza do płuc, rozejrzał się i popłynął w stronę ciała. Przewrócił je na plecy. Mężczyzna był martwy, z całą pewnością; unosił się na falach z otwartymi ustami i wpatrywał w niebo, jakby tuż przed śmiercią miał jakąś cudowną wizję. Nayler słyszał krzyki dobiegające ze statku. Położył dłonie na zabitego człowieka i wepchnął go pod wodę. Ciało zawisło na moment w miejscu, a potem zaczęło opadać na dno; biała twarz rozmywała się stopniowo.

Nayler zaczął płynąć w stronę statku, który był już niebezpiecznie daleko. Jeden z marynarzy krzyknął coś do niego i rzucił linę. Ciężar przemoczonych ubrań ciągnął Naylera w dół. Ostatkiem sił dopłynął do liny, chwycił ją kurczowo i owinął koniec wokół dłoni. Marynarze przyciągnęli go do burty. Nim tam dotarł, ledwie żył. Zarejestrował, że inny marynarz zszedł do niego po drabinie sznurowej i obwiązał go liną w pasie. Że wciągnięto go na nadburcie i opuszczono na pokład. Że leżał tam na plecach, kaszląc morską wodą, chwytając łapczywie powietrze i wpatrując się w pochylone nad nim twarze pasażerów, wśród nich twarz Frances.

Tak oto cudownym sposobem przeistoczył się z mordercy w bohatera.

A potem zemdłał.



Frances wzięła go pod opiekę. Drżał z zimna. Gdy marynarze znieśli go pod pokład, pokazała im jego hamak. Zdjęli z niego przemoczone ubrania i ułożyli go na hamaku. Frances zauważyła, że nosi na szyi rzemyk z małym woreczkiem. Podeszła do paleniska, wyblągała od jednej z kobiet kubek gorącego rosółu z kury i zaniósła go panu Fosterowi. Wsunęła dłoń pod jego głowę – włosy miał mokre i sztywne od morskiej wody – i uniosła ją delikatnie, by przystawić mu kubek do ust. Otworzył na moment oczy, upił kilka łyków, po czym opadł na hamak, wciąż drżąc z zimna. Frances przyniosła swój mniej wilgotny koc. Otuliła nim mężczyznę, który znów stracił przytomność.

To, co się przed chwilą wydarzyło, budziło w niej nieokreślone poczucie winy. Ten człowiek był tak życzliwy, zawsze pytał ją o zdrowie i dawał figurki dla dzieci,

a mimo to trzymała go na odległość. Było w nim coś – niech jej Bóg wybaczy – czemu nie do końca ufała, a gdy po kilku tygodniach podróży mocno schudł – przez kiepskie jedzenie i ciągłe biegunki wszyscy wynędzniali – czasami odnosiła wrażenie, że skądś go zna. Goodman Jones, który miał przy niej hamak, wdowiec wracający do Ameryki po tym, jak pogrzebał w Anglii żonę, zauważył, jak z nim rozmawiała, i spytał, kim jest. Przekazała mu tę garść informacji, którą zdradził jej pan Foster. To było tuż przed nadejściem sztormu. A teraz pan Jones nie żył, mimo chwalebnej próby ratunku, którą podjął pan Foster, a ona czuła, że to w pewnym sensie jej wina, kara za brak zaufania.

Wyniosła ubrania mężczyzny na pokład i rozłożyła, by się suszyły. Po powrocie zauważyła małą skózaną torbę pod jego hamakiem. Może miał tam koszulę na zmianę. Grzebała przez chwilę w torbie, wyjęła Biblię i jakiś przedmiot owinięty ceratą. Był twardy w dotyku, więc z pewnością nie mogło to być ubranie; nie zdołała się oprzeć ciekawości i zajrzała do środka. Zobaczyła miniaturowy portret młodej kobiety, bardzo ładnej, elegancko ubranej, z modną fryzurą.

Postać na hamaku poruszyła się niespokojnie. Frances odłożyła szybko portret i wstała. Mężczyzna otworzył oczy i próbował usiąść prosto.

– Spokojnie – powiedziała, kładąc mu dłoń na czole. – Proszę odpoczywać.

– Jest pani bardzo miła. – Opadł na hamak. – A ja nawet nie wiem, jak się pani nazywa.

– Frances – odparła. – Frances Stephenson.



Przed wieczorem był już na nogach, w wysuszonym ubraniu, nieco osłabiony, ale poza tym wcale nie było po nim widać, przez co przeszedł. Chwalony przez innych pasażerów, wzruszył ramionami i powiedział:

– Nie zrobiłem nic ponad to, co zrobiłby każdy inny chrześcijanin. Zawierzyłem moje życie Bogu, wiedząc, że mnie ochroni. Przykro mi tylko, że nie mogłem uratować tego człowieka.

Pytany przez kapitana, jak doszło do tego niefortunnego wypadku, powtórzył tę samą historię: że zobaczył, jak Goodman Jones wychyla się niebezpiecznie za nadburcie, pozdrowił go, przeszedł dalej, a potem usłyszał krzyk i plusk. Wydawało się, że te wyjaśnienia przekonują kapitana. Takie rzeczy zdarzają się podczas długich rejsów. W czasie sztormu stracili dwoje ludzi, kobietę i dziecko. W dzienniku pokładowym kapitan opíše śmierć pana Jonesa jako nieszczęśliwy wypadek.

Później jednak, gdy Frances spacerowała ze skromnym bohaterem po głównym pokładzie i doszli do miejsca tragedii, ten zobowiązał ją do zachowania tajemnicy i opowiedział cicho inną historię: że widział, jak Jones wspina się na nadburcie i po chwili wahania skacze.

Spojrzała na niego ze zgrozą.

– Chce pan powiedzieć, że odebrał sobie życie?

– Niestety, tak właśnie było.

– Ależ to grzech śmiertelny.

– Owszem.

– A wydawał się taki pobożny...

– Któż może wiedzieć, co kryje się w sercu innego człowieka? Być może sztorm pozbawił go na chwilę rozumu i wpędził w rozpacz. Proszę wybaczyć, że podzieliłem się z panią tym brzemieniem. Nikomu innemu nie mogę o tym powiedzieć. Dołączy pani do mnie w cichej modlitwie za jego duszę?

Uklękli razem.

Od tej pory to raczej ona szukała jego towarzystwa niż on jej. Ciekawił ją.

– Proszę wybaczyć – powiedziała pewnego popołudnia, mniej więcej tydzień później. – Ale muszę się panu do czegoś przyznać. Kiedy pan spał, zajrzałam do pańskiej torby, żeby sprawdzić, czy nie ma tam suchej koszuli na zmianę, i zobaczyłam portret. Ta kobieta jest pańską żoną?

– Była. – Na jego twarz padł cień smutku. – Zmarła podczas przedwczesnego porodu. Nasz synek też. Byłby naszym pierworodnym.

– Ogromnie przykro mi to słyszeć. Była bardzo piękna. – Po minucie Frances spytała: – Nie ożenił się pan ponownie?

– Nigdy nie znalazłem już nikogo, kto wzbudziłby we mnie podobne uczucia. Sama więc pani rozumie, że nic nie trzyma mnie w Anglii. Byłem w Ameryce wiele lat temu i postanowiłem tam wrócić. Zamieszkać u brata w Hadley i pożyję jeszcze tyle lat, ile da mi Pan, wśród Bożego ludu. – Milczał przez chwilę. – A pani, pani Stephenson? Jest pani zamężna, jak rozumiem?

– Owszem, od wielu lat.

Zdradziła mu tyle, ile się odważyła, unikając oczywistych kłamstw. Powiedziała, że nie zna nikogo w Ameryce, że jej mąż wyjechał, by przygotować dla nich nowe życie, i teraz może do niego dołączyć, ale przeprowadzał się dotąd tak często, że nie jest już pewna, gdzie może go znaleźć.

Wiedziała, że brzmi to idiotycznie, ale czuła ulgę, mogąc się komuś zwierzyć.

– Nie ma nikogo, kto mógłby pani pomóc?

– Skierował mnie do pewnego człowieka w Cambridge, który podobno powinien wiedzieć, gdzie aktualnie przebywa.

– Kto to taki, jeśli wolno zapytać?

Nie widziała powodu, by mu nie powiedzieć.

– Znam Daniela Gookina – oznajmił. – A właściwie słyszałem o nim. Mogę panią pokierować do jego domu. To zaledwie pół godziny jazdy od Bostonu.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Jest pan bardzo dobrym człowiekiem, panie Foster. Nie wiem, co bym bez pana zrobiła.

Pozostała część podróży upłynęła w spokoju. Gdy zbliżali się do Ameryki, godzinami stali razem przy nadburciu, obserwując wieloryby i delfiny popisujące się wokół statku. Wkrótce potem w górze pojawiły się mewy, a rankiem w czwartek trzydziestego października, po rejsie trwającym sześćdziesiąt dziewięć dni, *Blessing* zarzucił kotwicę w porcie w Bostonie.



Nie miała się gdzie zatrzymać, więc kiedy opuszczali statek, powiedział jej, że zna przyzwoitą gospodę niedaleko portu. Chętnie skorzystała z jego propozycji. Przeniósł jej torbę przez zatłoczony port, a potem wąską uliczką prowadzącą do gospody. Właściciel poinformował ich, że ma dwa wolne miejsca, jedno w oddzielnym pokoiku, a drugie na wspólnej sali. Pan Foster nalegał, by Frances zajęła pokój. W sali jadalnej było mnóstwo marynarzy i kupców, którzy prowadzili głośne rozmowy, palili fajki i raczyli się piwem lub winem, Frances cieszyła się więc, że towarzyszył jej podczas posiłku późnym popołudniem. zaproponował, by rano wynajęli dwa konie. Chciał pokazać jej drogę do domu Gookinów.

– Ależ zrobił pan dla mnie już wystarczająco dużo – zaprotestowała.

– Nonsens. Jeździ pani konno, mam nadzieję.

– Tak, choć nie robiłam tego od wielu lat. Mój ojciec uwielbiał konie, dorastałam wśród nich. Ale nie chciałabym sprawiać panu problemów, panie Foster.

– To żaden problem. Nigdzie się nie spieszę.

– Doskonale. – Uśmiechnęła się. – Dziękuję panu.

Zauważyła, że nigdy nie wypytuje jej o męża, choć z pewnością interesował go ten temat. Była mu wdzięczna za to, że wykazuje się takim taktem.

Następnego dnia przejechali razem, niemal ramię przy ramieniu, krótki odcinek drogi wzdłuż rzeki Charles. Był to ostatni dzień października, piękny i słoneczny; ostatnie liście mieniły się brązem, a w powietrzu czuło się już nadchodzącą zimą. Kiedy Frances po raz pierwszy od wielu lat dosiadła konia, w jej pamięci odżyły wspomnienia o jej ojcu – zapach stajni w Mews, jego głos, gdy upominał ją, by siedziała prosto, silne ramiona podnoszące ją z siodła i słowa „Niedługo wstąpisz do kawalerii”.

Gdy dotarli do mostu, pan Foster przystanął. Wskazał na drugą stronę rzeki.

– To dom Gookinów, pierwszy po prawej. Poczekam na panią tutaj. Proszę się nie spieszyć.

Przejechała po moście. Wiedziała, że wielki budynek dominujący nad miastem to College Harvarda. Cambridge wydawało się całkiem przyjemnym miejscem, podobnym do angielskich miasteczek, choć większym, czystszy i mniej zaludnionym. Czuła, jak ogarnia ją optymizm. Will pisał prawdę. Tu rzeczywiście było bezpiecznie.

Dojechała do bramy Gookinów, zsiadła, przywiązała konia do płotu i weszła na podwórze. Zapukała do drzwi. Otworzyła jej kobieta po pięćdziesiątce w fartuchu obsypanym mąką. Wytarła dłonie w ścierkę, przesunęła wierzchem dłoni po czole i zmrużyła oczy, przyglądając się nieznajomej. Wydawało się, że niedowidzi.

– Tak?

– Szukam pana Daniela Gookina – oznajmiła Frances.

– Jest w stajni. Zaraz go przyprowadzę. Mogę spytać, kto chce się z nim widzieć?

– Nazywam się Frances Stephenson. – Przełknęła z trudem ślinę. – Choć prędzej powie mi coś nazwisko Goffe, Frances Goffe. O ile mi wiadomo, zna mojego męża... i mojego nieżyjącego już ojca, pułkownika Whalleya.

Kobieta była tak zaskoczona, że przez moment nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Proszę tu poczekać – powiedziała w końcu.

Przeszła szybko przez podwórze do stajni i minutę później wyszła z niej w towarzystwie solidnie zbudowanego, wysokiego mężczyzny koło sześćdziesiątki.

– Czy to prawda? – spytał od razu.

Frances przyłożyła dłonie do piersi.

– Bóg mi świadkiem.

Obejrzał się przez ramię na drogę.

– Jest pani sama?

– Tak. Pewien człowiek ze statku wskazał mi tylko drogę.

– Czy on zna pani prawdziwą tożsamość?

– Nie.

Daniel Gookin podszedł do bramy i rozejrzał się.

– Lepiej niech pani wejdzie do środka – rzucił.

Usiadła przy kuchennym stole i pokazała im list od Willa. Gookin przeczytał go uważnie, a potem podał żonie.

– A ten cytat z Pisma Świętego? – spytał.

– *Abyście mieszkali w kraju bezpiecznie: ziemia da wam plon, będziecie jedli do sytości, będziecie mieszkali na niej bezpiecznie.* – Frances uśmiechnęła się. – Will zawsze potrafi znaleźć odpowiedni cytat.

– To prawda. – Gospodarz zerknął na żonę, a potem ponownie na Frances. – Jest pani pewna, że to jego pismo?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości. Proszę spojrzeć. To inne listy, które mi wysłał. – Wyjęła drogi jej sercu plik, przewiązany wstążeczką, i rozłożyła kartki na stole.

Gookin wziął jedną z nich i porównał z ostatnim listem. A potem zrobił to samo z pozostałymi kartkami.

– Nie widzę żadnej różnicy – stwierdził, po czym znowu spojrzął na żonę. – Wygląda na to, że mówi prawdę.

– Ile ma pani dzieci, pani Goffe? – spytała pani Gookin.

– Pięcioro... teraz czworo. Jedno zmarło.

– A ich imiona?

– Frankie, Nan, Judith, Richard i Betty... To Betty zmarła.

– A jak się nazywa pani wuj, który mieszkał kiedyś w New Haven? I jego żona?

– William i Jane Hooke'owie. Niestety, wuj William już nie żyje.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Gookin. – Niech spoczywa w pokoju.

– Los nie był dla nas łaskawy. Ale moje dzieci już dorosły i urządziły się w życiu. Nie widziałam powodu, by nie przyplłynąć tu od razu. Przebyłam tysiące mil. – Zaczęła płakać. – Proszę, panie Gookin, na miłość boską, proszę mi powiedzieć, gdzie jest mój mąż.

Mężczyzna wydał policzki, wypuścił głośno powietrze i przeciągnął dłonią przez siwe włosy.

– To nie będzie łatwe, pani Goffe. Nie widziałem go od wielu lat, a od dwóch czy trzech nie miałem o nim żadnych wieści. Kto wie? Może już nie żyje albo znów się dokądś przeniósł. A jeśli chodzi o to, czy jest już bezpiecznie, to wcale nie mam takiej pewności. – Raz jeszcze wymienił spojrzenia z żoną i ta skinęła głową. – Wiem, że ostatnio mieszkał u kapitana Bulla w Hartfordzie w Connecticut.

– Dziękuję. – Pochyliła głowę, przejęta ulgą, a potem zaczęła zbierać listy. – Nie będę państwa dłużej kłopotać.

Gookinowie odprowadzili Frances do drzwi. Minęło osiemnaście lat i trzy miesiące, odkąd pojawili się u nich dwaj królobójcy. Mary ujęła dłoń żony jednego z nich.

– Niech Bóg ma panią w swojej opiece, pani Goffe. Mam nadzieję, że znajdzie pani męża, a jeśli tak się stanie, proszę mu przekazać nasze pozdrowienia i powiedzieć, że przykro nam, że nie mogliśmy zrobić więcej.



Nayler czekał po drugiej stronie rzeki; siedział na trawie, opierając się plecami o drzewo, i obserwował ruch na drodze. Miał ochotę zapalić, na razie jednak musiał się zadowolić przygryzaniem ustnika. Choć wydawał się całkiem spokojny, w głębi duszy czuł zamęt. Niełatwo przyszło mu zdobyć zaufanie Frances, lecz dopiero teraz nadszedł czas prawdziwej próby. Gookin to nie samotna kobieta spragniona towarzystwa. O ile Nayler dobrze pamiętał, był prawdziwym przywódcą społeczności – doświadczonym, byстрыm i z pewnością wciąż bardzo ostrożnym w kwestiach dotyczących królobójców. Śmiało stawiał czoło pułkownikowi Nicollswi, gdy ten przesłuchiwał go czternaście lat temu, po wyprawie do Nowego Amsterdamu. Być może nie ujawni miejsca pobytu Goffe'a, nie upewniwszy się wcześniej, że ten rzeczywiście zaprosił żonę. Wtedy wszystko by przepadło.

W końcu Nayler zobaczył Frances zjeżdżającą po zboczach w stronę mostu. Wizyta nie trwała długo. To dobry znak czy zły? Podniósł się na równe nogi. Nie mógł wyczytać nic z jej twarzy. Nawet gdy przejechała przez most i czekała, aż on dosiądzie konia, nie dawała po sobie niczego znać. Jechali razem w milczeniu, ona pogrążona w myślach. Nie mógł się doczekać, kiedy w końcu coś mu zdradzi, wiedział jednak, że nie powinien sam o to pytać.

Dopiero gdy dojechali do Bostonu, oddali konie i szli do gospody, w końcu się odezwała:

– Dziękuję, że zechciał pan mi pomóc, panie Foster.

– Mam tylko nadzieję, że do czegoś się to przydało... – Wypowiedział te słowa tak, by zabrzmiały jak pytanie.

Nie złapała jednak przynęty.

– Co pan teraz zamierza? – spytała.

– Znaleźć przewodnika, który zaprowadzi mnie do Hadley.

– Wkrótce?

– Za dzień lub dwa. To długa podróż, a jutro zaczyna się listopad. Robi się coraz chłodniej.

Frances milczała przez chwilę, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

– Gdzie leży Hartford? – spytała w końcu. – Czy to jest gdzieś w okolicach Hadley?

Hartford!

– Chyba dość blisko. Z pewnością w tym samym kierunku. – Teraz nie mógł się już dłużej oprzeć. – Dlaczego pyta pani o Hartford? Czy tam właśnie mieszka pani mąż?

– Wiem, że proszę o wiele, a pan i tak już ogromnie mi pomógł, ale czy moglibyśmy podróżować razem?

– Byłbym zaszczycony.

Sprawa była więc załatwiona.

Tej nocy leżał na łóżku, które dzielił z innym mężczyzną, słuchał jego chrapania i rozmyślał o tym, co go czeka. Bardzo polubił Frances Goffe. Perspektywa wspólnej podróży była naprawdę miła. Będą spali pod gwiazdami lub szukali schronienia u przyjaznych Indian. Wykaże się wiedzą o Nowej Anglii. A na koniec zabije jej męża. Zastanawiał się, czy mógłby to zrobić tak, by nie wiedziała, że to on. Czy w takim wypadku – owdowiała i samotna w tym ogromnym obcym kraju – nie poszukałaby wsparcia u lojalnego i jedyne go przyjaciela Richarda Fostera? Wydawało się to całkiem możliwe. Postara się ułożyć odpowiedni plan.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Rano w niedzielę dziewiątego listopada 1679 roku William Goffe jak zwykle leżał w swej kryjówce na strychu domu Bulla i wpatrywał się w krokwie. Dom był pusty. Kapitan i jego żona poszli do domu modlitwy na niedzielne spotkanie. Will miał sześćdziesiąt jeden lat i był bliski rozpacz. Trzy listy wysłane w minionym roku do wielbego Increase'a Mathera z prośbami, by ten pomógł mu nawiązać znowu kontakt z żoną, pozostały bez odpowiedzi. Historia z Hadley, mit o aniele, który cudownie ocalił miasto, rozeszła się po całej Nowej Anglii i odstraszyła ludzi niosących mu dotąd pomoc. Być może uważali, że ujawniając swoją obecność, zdradził ich zaufanie. Czuł, że pragną się go pozbyć. Ale nie mógł się wtedy zachować inaczej.

Bulłowie byli całkiem mili, widział jednak, że i oni mają dość gościa, który nigdy nie opuszcza ich domu. Prowadził całkowicie pozbawione znaczenia, samotne życie. Pragnął śmierci, lecz jego ciało uparcie odmawiało rozstania się z ziemską egzystencją. Zniósłby wszystkie męczarnie opisane w Biblii – ogień i skorpiony, szarańczę i gwoździe – lecz ta niekończąca się samotność była nie do zniesienia.

Wszystko spełzło na niczym.

Jego Biblia leżała zamknięta, nawet w ten niedzielny poranek. Wydawało mu się, że ta wysłużona księga samym swym widokiem robi mu wyrzuty. Gotów był już zebrać siły i otworzyć ją w nadziei, że odnajdzie jakąś świeżą inspirację od Boga i wydobędzie się z tej ciemnej doliny, którą właśnie kroczył, kiedy z dołu dobiegł jakiś dźwięk.

Usiadł prosto.

Czyżby ktoś pukał do drzwi? Bulłowie bardzo rzadko przyjmowali gości, a w niedzielę, w czasie przeznaczonym na modlitwę, było to wręcz nie do

pomyślenia.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. Nie widział frontowych drzwi, ale gdy uchylił okno, usłyszał natarczywe pukanie i niosący się z podwórza kobiecy głos, słaby, lecz wyraźny:

– Will? Will? To ja, Frances!

Cofnął się chwiejnym krokiem na środek pokoju. To obłąd. Dręczące wizje. Najgorsza męczarnia.

Jeszcze przez minutę słychać było pukanie, a potem wszystko ucichło. Odeszła.

Will stał nieruchomo, próbując ogarnąć umysłem to, co właśnie usłyszał. To nie mogło być prawdą. A jeśli to była ona? Wypadł ze strychu, zbiegł po schodach i otworzył drzwi. Podwórze było puste. Wybiegł na drogę.

Jakaś kobieta z torbą podróżną oddalała się od domu.

– Frances?

Zatrzymała się i odwróciła. Zobaczyła obcego mężczyznę.

– Frances? – powtórzył.

Lecz jego głos, ta śpiewna intonacja... To był Will, bez wątplenia.

Pobiegła w jego stronę, przystanęła jednak niepewnie w odległości kilku kroków i wypuściła z ręki torbę. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, próbując dopasować nieznaną postać do tej, którą zachowali w pamięci. Potem Will podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

– To ty? – powiedział. – Jesteś prawdziwa? – Przesuwał dłońmi po jej plecach, dotykał jej ramion, barków, jej miękkiego ciała i rysujących się pod skórą kości. Delikatnie położył dłonie na jej wychudzonych policzkach i wbił spojrzenie w jej oczy. – Jesteś prawdziwa czy jesteś tylko zjawą zesłaną tu, by mnie dręczyć? To ty?

Tak długo bez jego dotyku, bez jego zapachu. Było dokładnie tak, jak sobie to wymarzyła, a jednocześnie kompletnie inaczej. Oderwała jego dłonie od swojego ciała i ucałowała je.

– Jestem prawdziwa – powiedziała. – Bogu niech będą dzięki.

Objął ją w pasie. Istniała, bez wątpienia – delikatna i krucha jak ptak, ale nie była snem. Nigdy już jej nie wypuści. Podniósł jej torbę i zaprowadził ją przez podwórze do domu.

– Jak to możliwe? – spytał.

Śmiała się i płakała. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta.

– Napisałeś. Przyplęnąłam. Myślałeś, że mogłabym odmówić?

W tej chwili wypełnionej upojnym szczęściem jej słowa docierały do niego jakby z wielkiej odległości. Początkowo nie zrozumiał ich do końca.

Trzymał ją jeszcze przez chwilę w objęciach, ale potem delikatnie odsunął od siebie.

– Ja napisałem? – powiedział z konsternacją. Za tym cudem kryła się jakaś tajemnica, której jeszcze nie pojmował. – Napisałem? – powtórzył. – Naprawdę napisałem? – Być może prawda była bardziej skomplikowana: Frances rzeczywiście do niego przyjechała, ale był obłąkany. Potem, nieco już zaniepokojony, spytał: – Jak mnie znalazłaś?

– Pan Gookin powiedział mi, gdzie jesteś.

Chwila ulgi. To miało sens.

– Ach tak. – Pokiwał głową. – Kochany Daniel... – Pocałował ją ponownie. Potem cień powrócił. Zawsze starał się zachować ostrożność i nie wymieniał nazwisk. – Ale skąd wiedziałaś o Danielu?

– Z twojej wiadomości.

– Jakiej wiadomości? Nie wysyłałem żadnej wiadomości. Nie wiedziałem, gdzie mieszkasz. – Cofnął się o krok, zobaczył błysk przerażenia w jej oczach i poczuł ucisk w żołądku. – Przyjechałaś tu sama?

– Nie – odpowiedziała, przerażona nagłym napięciem w jego głosie. – Pan Foster...

– Pan Foster? Kim jest pan Foster? – Nie czekając na wyjaśnienia, zatrzasnął drzwi i zamknął je na rygiel. – Na górę! – rzucił. – Szybko! – Popychając ją lekko

przed sobą, wszedł na piętro, a potem na strych. – Był z tobą tylko ten jeden człowiek czy jeszcze jacyś inni?

– Tylko jeden i przewodnik.

– Kiedy go ostatnio widziałaś?

– Kilka minut temu. Może kwadrans, nie więcej. Zostawił mnie na skraju osady. Mówił, że idzie do Hadley. – Przypomniała sobie, jak Foster odwrócił się do niej plecami. To było dość chłodne pożegnanie po tak długiej wspólnej podróży, wolała jednak, by nie widział, dokąd idzie, i wydawało jej się, że on też chce jak najszybciej pójść w swoją stronę. Zaczęła się trząść. – Will...

– Nieważne. – Otworzył torbę i wyjął broń. Dbał o to, by zawsze była naładowana. – Weź to. – Podał Frances stary pistolet jej ojca, wyczyszczony i naoliwiony. – Zostań tu. Nie wychodź, dopóki cię nie zawołam. – Wziął swój pistolet i przypiął szpadę do pasa. W drzwiach odwrócił się do niej. – Cieszę się niewysłowienie, że przyjechałaś, najdroższa, bez względu na wszystko.

Zszedł na parter i przechodził szybko z pokoju do pokoju, wyglądając przez każde okno. Podwórze, ogródek warzywny, sad z kurami dziobiącymi wśród drzew – nigdzie nikogo nie było. Zwolnił rygiel, uchylił lekko drzwi, wyjrzał przez szparę i dopiero potem otworzył je szerzej. Nic. Ruszył do bramy, trzymając w wyprostowanej ręce gotowy do strzału pistolet; obracał się wokół własnej osi, wyczulony na każdy ruch i dźwięk. Dotarł do bramy i rozejrzał się; popatrzył na ulicę, na wielką łąkę oddzieloną od drogi rowem, na płynącą za nią rzekę.

Wciąż nic.

– Pułkownik Goffe. – Głos męczyzny tuż za nim brzmiał przerażająco spokojnie. – Nie, niech się pan nie odwraca. Przez wzgląd na żonę, której nie chcę zrobić krzywdy, proszę rzucić broń.

Will rozważał przez moment swoje szanse, uznał, że nie ma żadnych, i wypuścił pistolet z dłoni.

– Na kolana.

Ukląkł. Och, Frances, Frances...

Usłyszał huk wystrzału i upadł na twarz.



Jakaż to była cudowna chwila triumfu! Jakież spełnienie po niemal dwudziestu latach poszukiwań, gdy przeciwnik klęczał przed nim bezsilnie jak król, którego zabił tamtego straszego zimowego poranka. Chętnie delectowałby się tą chwilą nieco dłużej. Tak to planował: że rzuci jakieś szyderstwo, ostatnie słowo, coś niezapomnianego, co ostatecznie zamknie ten rozdział. Tyle razy wyobrażał sobie tę scenę. Lecz broń wypaliła zbyt wcześnie. Najpierw poczuł krańcowe zdumienie, a potem dojmujący ból w karku. Jego usta wypełniły się jakąś cieczą. Nie mógł oddychać. Zachwiał się, obrócił na tyle, na ile był w stanie. Frances stała na schodach domu. Trzymała pistolet wymierzony prosto w niego. Miłość i nienawiść splotły się w nim w jedno. Czuł, jak uginają się pod nim nogi. Próbował coś powiedzieć, lecz z jego ust wypłynęła tylko krew. Przez ułamek sekundy widział białą twarz Goodmana Jonesa niknącą pod falami, a potem czarna otchłań pochłonęła także i jego.



Frances wypuściła z dłoni pistolet swego ojca i podbiegła do Willa. Obawiała się, że przez przypadek trafiła również jego.

– Will? Will, najdroższy?

Zaczął się podnosić. Pomogła mu stanąć na równych nogach.

– Bogu dzięki!

Zarzuciła mu ręce na szyję. Czuła bicie jego serca. Przez długi czas stali spleceni w uścisku, kołysząc się w rytm własnych serc, aż Will wyszeptał, że muszą zabrać się do działania.



Przeciagnęli ciało przez drogę i wrzucili je do rowu. Will zszedł na dno i przykrył je gałęziami i liśćmi. Miał nadzieję, że to wystarczy na dzień lub dwa. Musiał się spieszyć. Do końca spotkania modlitewnego zostało już niewiele czasu.

Zostawił wszystkie pieniądze, jakie mógł, na kuchennym stole, poszedł na strych, pozbierał swoje rzeczy i zniósł je do stajni, gdzie stał mały dwukołowy wóz, którego używali Bullowie, gdy wybierali się z wizytą do sąsiadów. Zaprzągnął konia i wyprowadził go na podwórze. Pomógł Frances usiąść na koźle, wrzucił na niego jej torbę i swoją sakwę i poszedł otworzyć bramę.

Minutę później byli na drodze prowadzącej na południe wzdłuż rzeki Connecticut. Frances obejmowała go w pasie obiema rękami. Cokolwiek by się działo, nigdy już nie zamierzała się z nim rozstać.

Will nie miał pojęcia, dokąd pojedą, co będą robić ani jakie niebezpieczeństwa czyhają na nich w przyszłości. Ufał jednak, że wyposażeni w miłość, Biblię, niezachwianą wiarę w moc Bożą i ochronę, jaką dawała im broń, będąc w Ameryce, która rozciągała się przed nimi niczym stół Pana – z całą pewnością przetrwają.

Podziękowania

Edward Whalley przeżył udar mózgu, po którym przez wiele lat żył w domu Russellów, przykuty do łóżka, bez kontaktu z otoczeniem, pielęgnowany przez zięcia aż do śmierci, która nastąpiła prawdopodobnie pod koniec 1674 roku.

Dalsze losy Williama Goffe'a nie są znane. Po ataku na Hadley w 1675 roku i przeprowadzce do Hartfordu desperacko próbował w kwietniu 1679 roku nawiązać kontakt z żoną. Wiadomo, że w lipcu tego roku otrzymał z Hadley list od Petera Tiltona. Później wszelki ślad po Williamie Goffie zagiął. Być może zmarł. Może zdecydował się zaryzykować powrót do Anglii. A może Frances naprawdę do niego dołączyła i razem zniknęli. Jak w wypadku wielu innych rzeczy w tej powieści, nie potrafię powiedzieć, że wydarzenia przebiegały tak, jak je opisuję. Ale mogły tak przebiegać.

Dwie doskonałe książki historyczne o polowaniu na „królobójców” to *Killers of the King* Charlesa Spencera oraz *The King's Revenge* Dona Jordana i Michaela Walsha. Niedawno wydano dwie prace dotyczące losów „królobójców” w Nowej Anglii, a mianowicie *Charles I's Killers in America* Matthew Jenkinsona i *The Great Escape of Edward Whalley and William Goffe* Christophera Pagliuco. Na długo przed tymi publikacjami powstała *A History of Three of the Judges of King Charles I* Ezry Stilesa, wydana w 1794 roku, lecz wciąż bardzo przydatna.

Miałem to szczęście, że udało mi się wytropić niepublikowaną pracę magisterską złożoną na Uniwersytecie Southampton w 1973 roku przez Geoffreya Jaggara, zatytułowaną *The Fortunes of the Whalley Family of Screveton, Nottinghamshire*. Wdowa po autorze, Margaret Jaggar, była tak miła, że zechciała mi pożyczyć jedyną istniejącą kopię. Dziękuję jej bardzo za pomoc, a jej nieżyjącemu mężowi za ciekawą pracę.

Gromadząc materiały do tej powieści, przeczytałem mnóstwo książek i artykułów o angielskiej wojnie domowej i jej następstwach, niektóre bardzo stare, inne opublikowane w czasie, gdy już pisałem *Wielką ucieczkę*. Nie jest to w żadnej mierze wyczerpująca lista, ale do najbardziej przydatnych pozycji należą:

Abbott W.C., *The Writings and Speeches of Oliver Cromwell* (cztery tomy)

Aylmer G.E., *The King's Servants; The State's Servants; The Crown's Servants*

Ayres Harral, *The Great Trail of New England*

Braddick Michael, *God's Fury, England's Fire*

Bremer Francis J., *Building a New Jerusalem: John Davenport, a Puritan in Three Worlds*

Brooks Lisa, *Our Beloved Kin, A New History of King Philip's War*

Clarendon Edward, *The Life of Edward, Earl of Clarendon*

Firth C.H., *Memoirs of Colonel Hutchinson* (red.); *Ludlow's Memoirs* (red.);

Cromwell's Army; The Last Years of the Protectorate

Fraser Antonia, *Cromwell, Our Chief of Men*

Gardiner S.R., *History of the Great Civil War* (cztery tomy)

Gaskill Malcolm, *The Ruin of Witches*

Gaunt Peter, *The English Civil War, A Military History*

Gentles Ian, *The New Model Army*

Greaves Richard L., *Deliver us from Evil: The Radical Underground in Britain, 1660–1663*

Hutton Ronald, *The Making of Oliver Cromwell*

Judd Sylvester, *History of Hadley*

Keay Anna, *The Restless Republic*

Lay Paul, *Providence Lost, The Rise and Fall of Cromwell's Protectorate*

Lincoln Margarete, *London and the 17th Century*

Marshall Alan, *Intelligence and Espionage in the Reign of Charles II*

Masson David, *Life of John Milton* (sześć tomów)

Muddiman J.G. (red.), *Trial of Charles I*
Ollard Richard, *Clarendon and his Friends*
Rideal Rebecca, *1666: Plague, War and Hellfire*
Robertson Geoffrey, *The Tyrannicide Brief*
Spalding Ruth (red.), *The Diary of Bulstrode Whitelocke, 1605–75*
Thurley Simon, *Palaces of Revolution*
Thurloe John, *State Papers* (siedem tomów)
Wedgwood C.V., *The King's Peace; The King's War; The Trial of Charles I*
Worden Blair, *God's Instruments; A Voyce From the Watch Tower* (red.)

Chciałbym podziękować tym, którzy przeczytali pierwotną wersję tekstu, podzielili się ze mną uwagami i pomogli mi stworzyć tę książkę, przede wszystkim ukochanej żonie, Gill Hornby, której ją dedykuję. Osoby, którym również należą się podziękowania, to: Venetia Butterfield, Helen Conford i Gail Rebeck z Penguin Random House w Londynie; Noah Eaker z HarperCollins w Nowym Jorku; Jocasta Hamilton, która przeczytała książkę jako przyjaciółka, a nie redaktorka; moja amerykańska agentka, Suzanne Gluck; agentka zagraniczna, Nicki Kennedy, oraz moi agenci filmowi, Anthony Jones i Bob Bookman.